JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

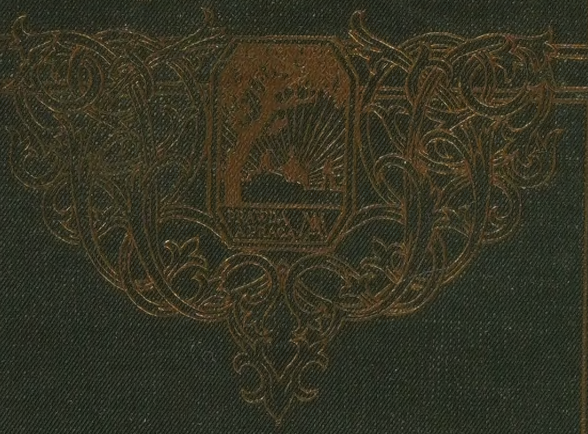

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
M·ARCTA
W WARSZAWIE

J. I. Kraszewski

Bracia Zmartwychwstańcy

Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

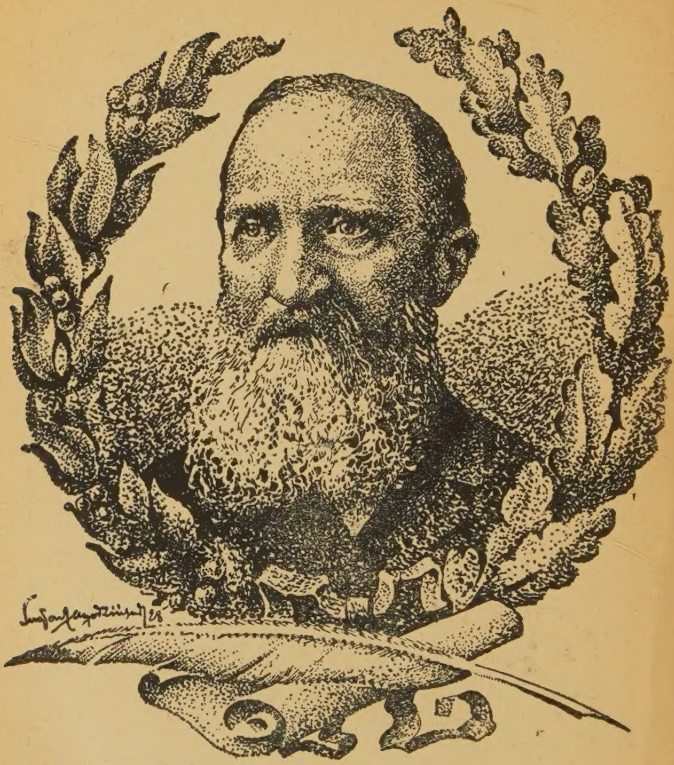

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom VI

J. I. KRASZEWSKI

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY

POWIEŚĆ Z CZASÓW CHROBREGO

CZĘŚĆ I

1 9 2 8

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Starym był ród Jaksów u Polan nad Odrą i Wartą i szerokiemi tu władał posiadłościami. Mówiono o nich i oni sami prawili o sobie, że niegdy od Serbów wyszedłszy, gdzie kneziami byli, osiedli tu, od rodzinnych chroniąc się waśni; drudzy ich liczyli do krwi Leszków i Pepełków. To zaś pewna, że do najmożniejszych należeli władyków, a choć się rozrodzili, stało dla wszystkich ziemi i skarbca, ubogim żaden nie był. Z dostojniejszemi też rody wielu węzłami połączeni byli, żon sobie zawsze wysoko szukając, czasem i w krajach sąsiednich. Ludzie byli wszyscy rycerskiego rzemiosła, a u siebie doma tak panowali własną wolą, jak kneziowie polańscy w Poznaniu i Gnieźnie, tylko, że im poczty na obronę kraju stawić musieli.

Gdy Mieszko przyjmował chrzest święty, Jaksowie też, nie ociągając się, wiarą nową się odrodzili, a mówiono nawet, że nim została ogłoszoną Polanom, oni ją już w niektórych domach swych potajemnie wyznawali, acz nie wszyscy.

W Gnieźnie do chrztu Mieczysławowego stawało dwu braci: Chroberz i Zbilut, a ci imiona nowe Janka i Andruszki przyjęli.

Oba starzy już wojacy byli, acz krzepko lata swe nosili na barkach niezgiętych; oba też mieli po dwu synów następców, którzy w ich ślady wejść obiecywali.

Młodzież to była gorąca i butna, do wojny i wycieczek stworzona, tęskniąca za wyprawami, nierada spoczywać w domu. Od dzieci ich do tego uczono.

Stary Jaksa, którego Andruszką na chrzcie nazwano, chłopców miał dorosłych, wiekiem od siebie o rok tylko się różniących; ci już z królem Bolesławem Wielkim chodzili z pocztami, i do Czech, i na Ruś, a sprawiali się jak nie można lepiej. Przy ojcu siedzieli rzadko, ten zaś, zaniemógłszy ciężko, sam już królowi służyć nie miał siły, — kochali się z sobą jak bracia, trzymali się razem nieodstępnie, tak, że ich pojedyńczo niemal trudno było spotkać. Starszy z nich po ojcu imię Andruszki wziął, drugi zwał się Jurgą. Posiadłości mając niedaleko granic, kędy często bywają napaści, musieli się Jaksowie trzymać czujno a obronnie.

Właśnie Bolesław był na Rusi z nimi, gdy stary ojciec, który się już i o kiju ruszyć nie mógł, życie zakończył. Pamiętał on jeszcze czasy Ziemomysła, nawet i potrosze poganinem był, choć później nawróciwszy się już, wedle owej wiary i obyczaju żyć się starał. Opowiadano potajemnie, że na łożu śmiertelnem służbie swej polecił, aby po chrześcijańskim pogrzebie, nocą z ziemi ciało dobywszy, starym obyczajem na stosie je spalili. I tak się też podobno stało, a duchowieństwo, dowiedziawszy się o tem, choć sarkało, przez palce patrzyć było zmuszone.

Gdy potem oba synowie powrócili z owego sławnego grodu Kijowa, w którym się pono wszyscy, nie wyłączając pana, nad miarę wesoło zabawiali, znaleźli dworzec pusty, służbę tylko wierną, stojącą na straży dobra pańskiego, w skarbcu ogromne stosy dostatków niemal królewskich.

Ojcowskiego oka i powagi zabrakło, młoda krew w nich wojacza zawrzała i wkrótce bardzo jakoś, że Bolesław na nową wojnę nie wzywał, poczęli życia swobodnie zażywać, nie żałując sobie niczego.

Starszy Andruszka pomiędzy innemi z Rusi łupami przywiózł z sobą Greczynkę niewolnicę, niewiastę dziwnej urody, lecz napodziw też płochą i niepomiarkowaną, zbyt wesołe życie lubiącą. Stary więc dworzec, niegdy spokojny, gędźbą się rozlegał i śpiewami, sprawiano uczty ciągłe i gości się nie przebierało.

Oba bracia byli ludzie samopas żyć lubiący, rozpuszczeni jak wojacy, nawykli życie stawić bez wahania, ale też używać go bez miary.

Duchowni, bliżej mieszkający, upominali ich wprawdzie o to, ale słowa ich niewiele skutkowały. Jurga i Andruszka ujmowali ich sobie, zapisując łąki i lasy kościołom, aby im pokój dano, a ziemi więcej mieli, niż im było potrzeba.

Król Bolesław Wielki, choć mu może donoszono o młodych Jaksach, dla swojego rycerstwa dosyć był pobłażającym, sam też podczas wiodąc takie życie wojacze, przebaczał sobie i drugim wiele, byle na zawołanie poczet stał cały, a dobrze zbrojny.

Jurga i Andruszka jeździli niekiedy na dwór pański z pokłonem, król ich po ojcowsku przyjmował, poił, karmił, mawiał z nimi o wyprawach, zawsze obdarzonych odsyłał, a o rozwiązłe życie strofować zaniechał.

Jurga, w Poznaniu bywając, ujrzał u boku królowej będącą piękną Teodorę, córkę Sieciecha, ochmistrza królewskiego, i myślał słać jej drużby, oboje się sobie podobali i jakby stworzeni byli dla siebie. Nie wiedzieć czego odkładał to z dnia na dzień, aż twarde przyszły czasy.

Na starym grodzie, gdzie oba bracia, nie chcąc dzielić się ojcowizną, siedzieli, dziwy się dziać miały, — swoboda straszna. Niebardzo się chciało Jurdze żonę tu wprowadzić, Andruszka też nierad był się od brata odłączyć.

I szło dalej po staremu. Łowy sprawiano ogromne, uczty książęce, ubogich obdarzano bez miary, nie czyniąc w nich wyboru, z sąsiadami naprzemiany to się wichrzono, to godzono, lub zapijano.

Przyszło do tego wreszcie, że na owo życie szalone poczęło braknąć, ze skarbu powynoszono i rozdrapano, co było, posiadłości dużo rozdano i rozprzedano. Bieda była za pasem, a upamiętanie przyjść nie chciało. Obaj nasi rycerze rachowali pono na nową jakąś wojnę i łu-

py, któreby ich zasiliły i majętności pozakładane wykupić dopomogły.

Wszystkiego złego pono przyczyną był Szwab, przybłęda, co się tam na dwór wcisnąwszy, nowe wprowadził zwyczaje, jakie, według niego, na zachodzie Europy rycerstwo i panów odznaczać miały.

Sam on korzystał z braci, drugim ich łupić dozwalał, pochlebiał, płaszczył się, a na wsze ich bezprawia wyciągał. Szwabowi na imię było Gwidon. Niegdy za Ottonów dużo się pono po świecie włóczył, plótł o swych bojach z Saracenami we Włoszech, o podróży do Bizancjum i o różnych niestworzonych przygodach na cesarskim dworze. A że Jaksom wmawiał, iż równych im dzielnością rycerzy na całym nie spotkał świecie,— dobrze mu się działo.

A no z nimi było źle! Choć niby sługa pokorny, on z Greczynką Antoniną trzęśli dworem i panami swoimi, wiodąc ich do zguby. Ani się opatrzyli Jaksowie, jak ona nadeszła.

W skarbcu nie było już nic, jeno półki próżne i skrzynie otwarte. Ludzie dawać nie chcieli, z ubogich osadników drzeć nie było łatwo. Śpiewano jeszcze i spijano we dworze, ale i pieśni nie były tak głośne, jak niegdyś, i napojem trzeba się było obchodzić domowym. Stare miody wyschły do kropli, nowych nie było z czego sycić, a i piwo warzono coraz gorsze. W starym dworcu znikły wspaniałości dawne, rozchwytali je potrosze mniemani przyjaciele, a teraz ich już nie widać było.

Żył jeszcze stryj Janko. Choć nieco opodal mieszkał, słyszał, co się u bratanków działo: raz czy dwa strofował mocno i groził, potem swoim u stryjecznych bywać zakazał, potem już jakby się wcale nie znali, — zerwało się wszystko.

Człek to był stary, ociężały, więcej nad to począć nie mógł, a do króla skarżyć się nie chciał. Serce mu się ściskało, że ojcowizna szła tak marnie, że ziemię nawet rozszarpywano, krwi mu swej żal było, a sił do powstrzymania nie miał.

Gdy wreszcie ciężkie bardzo nadeszły czasy, pomyśleli o tem Jaksowie, by u stryja pomocy szukać i zasiłku, a ten rozgniewany, że go dawniej nie słuchano, — ani przyjąć, ani mówić, ani wspomóc, ni znać nie chciał i drzwi im zamknął.

Tymczasem o spodziewanej wyprawie, na której się wszelkie opierały nadzieje, jakoś wcale słychać nie było. Król Bolesław, szeroko zawładnąwszy ziemiami słowiańskiemi, od Dunaju do Bałtyku panując, nowych wojen ani potrzebował, ani żądał. Henryk II, cesarz, w pokoju z nim wrzekomym był, drudzy też obawiali się wypróbowanej Szczerbca siły.

Na dworze w Jaksowym borze coraz puściej być zaczynało, — ludzie uciekali od podupadłych.

Właśnie zima się była w końcu listopada na dobre ustaliła, śniegi nawet upadły i trzymały się już; najlepszy czas do łowów nadchodził. W nich dwaj bracia jedyny ratunek znajdowali i pociechę. Dniami i tygodniami całemi siedzieli w puszczach i lasach, a no kiedyś przecież i do domu zajrzeć trzeba było, aby w ciepłej izbie odpocząć.

Dnia tego, gdy się nasze opowiadanie rozpoczyna, Jurga i Andruszka z nieodstępnym Szwabem i ludźmi do łowów właśnie się przywlekli na dworzec, oba chmurni, bo myślistwo się też nie wiodło. Spocząć jakiś czas doma zamierzali; rozpalono więc ogień w wielkiej izbie i służba się krzątała. Gwidon był do koni poszedł, — nikogo nie było w izbie, oprócz dwóch braci.

Oba milczeli posępnie, patrząc na ognisko, to zukosa na siebie.

Trwało to dosyć długo, gdy się młodszy Jurga odezwał zcicha:

— Co tobie, Andruszka?

— Chciałem spytać, co tobie, Jurgo? — odparł drugi. — Jeszczem cię ja takim nie widział.

— Ani ja ciebie, bracie.

— Bieda u nas...

— Bieda...

— Wojny nam trzeba...

— Król ociężał, już mu się na nią nie chce i nie zbiera... Lepiej mu w Poznaniu siedzieć, rycerzy przyjmować i zastawiać stoły...

— Bieda...

Westchnęli oba.

Szwab, który przed chwilą do izby powróciwszy, u progu stał i słuchał, odezwał się, gdy Jaksowie zamilkli:

— Na biedę sobie u nas ludzie radzić umieją, gdy głupi pokój trwa nadto długo.

Spojrzano na niego.

— Trudno rycerstwu dać mieczom w pochwach rdzawieć. Niema nieprzyjaciela, — trzeba polować na podróżnych...

Andruszka głową potrząsł silnie.

— U nas tego zwyczaju niema — rzekł żywo — gość u nas wszelki bywał zawsze bezpieczny.

— Swój... to pewnie — mówił Szwab niezmieszany — a obcy poco się mają po gościńcach włóczyć ze skarby wielkiemi? Co mają za prawo w cudzej ziemi handlować?... U nas, jeśli po dobrej woli podróżny okupu nie da, idzie do lochu, albo i głową nałożyć musi. Na czyjej ziemi kupiec zdechł, do tego skóra jego należy...

Bracia posępnie milczeli; Niemiec mówił dalej zwolna, pocichu, rzucając na nich oczyma kosemi, jakgdyby badał, co z nich te słowa uczynią.

— Tuby się teraz dobrze obłowić można na tych, co do Poznania, do Gniezna z Grecji i Rusi przeciągają. Spotykałem wozy i konie juczne, na które aż ochota brała. No... ludzie to niby orężni... i żelazaby się dobyło przecie, co dawno świata nie widziało i krwi innej, nad wilczą, nie kosztowało...

— U nas bo tego zwyczaju nie było! — powtórzył Jurga kwaśno.

— No... a jam słyszał — ciągnął Niemiec uparty, — że greckim kupcom nie jeden raz Damaradowie w lasach swoich drogę zastępowali... Obłowili się mało

wiele, przecie im za to nikt marnego nie powiedział słowa... co wzięli, to wzięli...

Andruszka niechętnie coś zamruczał.

— Ludzie też prości, co mieczów nie mają, ledwie pałki nasiekiwane, a i ci, zastąpiwszy gościniec, nieraz z tych włóczęgów ściągali daninę... Takie to polowanie, jak inne, tylko skórka lepsza...

Jurga się rozśmiał, oczy mu błysły.

— Lepsze to łowy, niż na jelenie — rzekł, żartując — bo te złotych rogów nie mają, — a kupcy trzosy wożą nabite...

— Ho! ho!... — wtrącił, ośmielając się, Szwab — nie jeden z nich przy sobie więcej ma srebra i złota, niżeli król posłał Prusakom na wykup ciała świętego Adalberta... Wożą go w szmatach, w bryłach, w pieniądzach i różnych kosztownościach...

Andruszka słuchał, patrząc ciągle w ogień, namarszczony i nierad.

— Milczałbyś! — zawołał wkońcu — naco ludziom darmo robić oskomę... Mieliśmy i my złota i srebra dosyć, powróciwszy z wojny, a teraz go i prószyny nie znajdzie, chyba na rękojeści u mieczyka.

— Hej! hej! — westchnął Jurga. — Gdzie się to wszystko podziało?...

— Źli ludzie rozchwytali, a dobrzy rozdarowali — rzekł Szwab. — I od tych, co po pijanemu rwali, siłą, mocą odebrać nie byłoby grzechu... Zresztą, od biedy, kościołowiby się też z tego coś dało...

Jurga wstał i, wzdychając ciężko, chodzić zaczął po izbie. Piękna Siecіechówna przyszła mu na myśl; nie było jej teraz gdzie przyprowadzić i czem obdarzyć...

— Mnie już tak dokuczyło to głupie ubóstwo i ta pustka nasza, że gdyby mi się jaki Grek nawinął, nie ręczyłbym za siebie... Andruszka, jako dobry brat, widząc mnie przy robocie, takżeby mnie samego nie zostawił... hę?

— Plugawa rzecz... lepiej wojny czekać... — rzekł starszy.

— Choćby się i nie chciało, to musimy — dodał Jurga. — Grecy, jak zwierzyna, po lasach się włóczą.. Łacniej tura, niż Greka dostać...

Szwab począł się śmiać z kąta.

— Właśniebym ja — odezwał się — mówił panom o czemś podobnem, gdybym już co napytanego i napatrzonego nie miał...

Oba Jaksowie zerwali się nagle i przyskoczyli doń. Myśliwska i wojacza żyłka w nich zagrała, podrażniona głupią mową. Może im nie tyle o zdobycz szło, co o samo polowanie.

— Mówże — krzyknął Jurga, rękę mu kładąc na ramieniu — wiesz co? gadaj!...

Szwab, który był krępy, niepozorny, wyglądał zdala jak prosty parobek i zwykle twarz miał jakąś bezmyślną, gdy się czemś rozpalił, zmieniał nagle oblicze. Małe oczki mu się iskrzyły, jak u kota, usta śmiały, a włos, wpół siwy, wpół rudy, najeżony, jak szczecina, zdawał się podnosić, gdyby sierść na stworzeniu podrażnionem...

Potarł brodę rozczochraną i zębami, jak miał zwyczaj, klapnął.

— Wiem to na pewno — odezwał się — że przez nasze lasy będą ciągnęli przed Bożem Narodzeniem kupcy z Kijowa. To ich zwyczaj; — spodziewają się już nasi. Jechał przodem na zwiady posłany wypatrywać gościniec i po nich pono powrócił. Kupcy mają być znaczni, koni jucznych kilkanaście, a skarby wiozą wielkie...

— Toć pewnie z niemi bez pocztu i straży nie jadą... — rzekł Andruszka.

— Niby to nie wiemy, co to ich straż i najemne pachołki na cudzych śmieciach! Zbierane licho, kulawe i chrome, byle plecy do liku stały. Tyle tylko, że na okaz od pospolitego motłochu dadzą im siaką taką dzidkę... albo mieczyk zardzewiały. Jakby prawdziwy rycerz huknął na nich, a dmuchnął, na ziemię polecą, jak żołędzie, żaden palcem nie kiwnie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Gwido milczał tro-

chę, oczyma rzucając po braciach; dawał się rozgościć truciźnie.

— Eh! — szepnął wkońcu — gdyby mi jeno ludzi dano, jabym sobie i sam z nimi dał radę...

— Zła to sprawa — wtrącił Jurga — daj pokój!

— Czem zła? co złego? — podchwycił Szwab. — Niechby miłościwi panowie pojechali do nas, w niemiecką ziemię, zobaczyliby, że największego rodu duki i komesy w to się wolnego czasu zabawiają. Ci obcy, co się włóczą, ladajaki gmin, wyzwoleńcy, niewolnicy, mieszczuchy, ladajaka drużyna! Na wilka czy na nich polować — wszystko jedno. Niewiadomo, w jakiego to Boga wierzy. At... i nikt się za to nie ujmie... Przepadło, to przepadło!...

Oba bracia, wysłuchawszy, nie odpowiedzieli ni słowa; Szwab zmiarkował, że nasienie zejdzie później, i trochę przycichł, jakby mu to było obojętne.

Podano wieczerzę niewykwintną, bo i adwent się już był rozpoczął, a mięsa nie wolno było używać. Kasza i ryba go zastępowały, nad piwo mdłe innego napoju nie stało. Skosztowawszy go, Jurga otarł wąsy i splunął.

— Liche pomyje — rzekł — ani to w żołądku zagrzeje, ani w głowie nie zaszumi; lepszy miód stary i wino. A skąd go u licha brać?...

Andruszka też, co lepszy napój lubił, usta wykrzywił. Szwab siedział w końcu stołu.

— He! he! — ozwał się — byłoby za co wina sprowadzić i miodu nasycić, żeby się dobrze polowanie udało. Za złoto wszystkiego dostać...

Bracia, pospuszczawszy głowy, siedzieli, jakby nie słysząc. Pod koniec wieczerzy Andruszka, wstając, spytał jakby odniechcenia:

— A kiedyż to ta złota zwierzyna wasza ma ciągnąć?

Szwabowi aż się oczy zaśmiały; już swojego prawie pewien był... Chciało mu się bowiem obłowić raz jeszcze i z tej pustki uciekać, ale nie z gołemi rękami.

— Lada dzień — zawołał — lada godzina... Na

niąby już trzeba być na przesmyku, dobre sobie miejsce wybrawszy...

Jurga dodał:

— Zaczepić, czy nie... alebym rad widzieć, jak to wygląda... i jak się to wlecze?... Zresztą... okup ściągnąć na własnej ziemi... nie tak to straszna rzecz... biorą miasta i król też opłatę z nich!

Gwidon śpiesznie mówić począł.

— Staniemy u mostu, miłościwy panie... u mostu na ruczaju, co się Gniłym nazywa... Most pański... albo to dla nich mosty stawiano? Czy to nie kosztuje?...

— Masz słuszność — cicho mruknął Andruszka — na swoim moście przydybawszy, upomnieć się o opłatę nie grzech... Toć ziemia nas za...

— Dla jakiegoś tam lichego okupu na mrozie siedzieć nie warto — odezwał się Jurga po namyśle — kto ich wie, kiedy nadejdą, a potem nas zbędą jaką lisią skórką albo kuną...

— Jeżeli zechcą zbyć psim swędem — zawołał prędko Szwab — toć na to przecie sposób jest...

Zamiast dalszej rozmowy poczęła się już wymiana drobnych słów, urywana i niesforna, ale Szwab widocznie zyskiwał coraz więcej na braciach; już mu się tak bardzo jak wprzód nie bronili.

Nazajutrz długo zależeli na ranek, nie było się czego śpieszyć, ni do czego wstawać.

Przyszedł Szwab, nie mówiąc nic, tylko oczyma rzucał; wiedział, że go zaczepią sami. Jakoż z przełaju zaczęli o kupców rozpytywać i niemal przez dzień cały o niczem innem mowy nie było, tylko o nich.

Sprzeczano się, wahano; późnym wieczorem stanęło pojechać i zobaczyć, ot tak, co tam może być...

Andruszka i Jurga nie chcieli brać ludzi, aby nikt o tem nie wiedział, tylko Szwaba za przewodnika. Mieli się uzbroić w kaftany podwójne, w hełmy skórzane twarde, dobry oręż i młoty, ale to tylko na wypadek. We dwu na dziesięciu pachołków, licho uzbrojonych, śmiało się rzucić mogli. Szwab jednak radził,

dobrawszy kilku pewnych parobczaków dla powagi, z większą siłą wyciągnąć na zasadzkę.

Sprzeczano się długo i ograniczono na sześciu. Dwaj bracia ufali w swą siłę i męstwo. Nieraz konni całą trzodę piechoty gnali i w niewolę imali.

Trzeciego tedy dnia, od stóp do głów uzbrojeni, wyruszyli w las, jakby na łowy.

Gościniec, którym kupcy ciągnąć musieli, był o dwie mile ode dworu. W puszczy przechodził on parów, którego głębinę przepływał ruczaj, a na nim dla grzęzawicy i topieliska most wystawiono, gdy raz wojsko tamtędy ciągnąć miało. Miejsce u mostu było dogodne, bo z jednej strony świerki mogły ukryć ludzi w zasadzce, dopókiby się cała gromada w dół nie spuściła. Ucieczka pod górę była niepodobieństwem, bo mróz ściął ją i śliską uczynił. Za świerkami kawał łączki nad ruczajem dozwalał rozłożyć obóz dość wygodnie. Gościńca tego kupcy, zimową zwłaszcza porą, wyminąć nie mogli, był jedyny, do Poznania wiodący, odwieczny.

U mostu więc w rozdole Jaksowie rozłożyli się za świerkami, pod noc przyciągnąwszy.

Niejeden raz im w wyprawach rycerskich w daleko większem niebezpieczeństwie i niewygodzie przychodziło koczować z małą garstką, na liczniejszego czatując nieprzyjaciela: nigdy jednak tak smutnie, a nawet bojaźliwie nie brali się do dzieła. — Nie rycerskie też to było dzieło!

Szwab tylko w swoim żywiole się zdał, śmiał się ciągle i biegał, z pod nawisłych gałęzi ku gościńcowi wyzierając.

Podług jego rachuby kupcy o innej dnia porze, jak ku wieczorowi, przejeżdżaćby tędy nie mogli, gdyż nieopodal było kilka chat osady, którą zwano Kolodzieje, gdzie każda taka gromadka podróżnych w szopach na noc stawać była nawykła.

Pierwszego dnia jednak nadzieja zawiodła, nie było nikogo na gościńcu; drugiego też czekano napróżno

i Jaksowie już poczynali z pogańska przeklinać swą ciekawość a Szwaba namowy.

Gwido dał się im wygniewać i nałajać; zapowiedzieli mu, że trzeciego dnia, choćby po nocy do domu powrócą. Mróz dojmował i wiatr smagał.

Aliści właśnie zmierzchać poczynało, gdy na gościńcu ukazali się jezdni i juczne konie, stąpając powoli. W mgnieniu oka wszystko było wpogotowiu, ludzie się pozrywali z barłogów, a Andruszka, zapaliwszy się, jakby istotnie zobaczył nieprzyjaciela, sam wnet począł rozporządzać i ustawiać.

Niczego się nie domyślając i nie obawiając, orszak ów zwolna i ostrożnie ku mostowi zbliżać się zaczął. Czekano aż się cały z góry spuści.

Gdy pierwsze konie juczne z przewodnikiem na czele już miały wstępować na most, Jurga z Andruszką, wypadłszy nagle z za krzaków, drogę im zastąpili; kupiecka gromada miała może piętnaście koni, ze sześciu przy nich ludzi zbrojnych napozór, licho, na czele jej jechał wąsaty, czarny mężczyzna w kożuchu dostatnim, z nożami dwoma u pasa, żelaznym młotem u siodła i mieczem u nogi.

Spostrzegłszy naprzeciw siebie zbrojnych, stanął — inni też ludzie, ścisnąwszy się, jakby do obrony sposobić się zaczęli.

Przewodnik pieszy, popatrzywszy tylko, może poznawszy, z kim miał do czynienia, wbok się zaraz rzucił i zniknął.

Szwab pierwszy do rozmowy wystąpił, wołając głośno, że przejazd bez okupu nie jest wolny. Wąsacz odpowiedział mu krzykiem, mało zrozumiałym, bo choć to niby ze słowiańska brzmiało, znać było w wymowie cudzoziemca. Na poparcie wyrazów począł też garścią szukać mieczyka.

Na widok żelaza, które dobywał, w Jaksach krew zakipiała; już ich powstrzymać nie było w ludzkiej mocy. Kupiec uciekać nie mógł ani myśleć, bo z obładowanemi i znużonemi końmi ani się śmiał na to po-

rywać. Ludzie jego, stanąwszy po bokach, dobyli też, co kto miał, udając, że się będą bronić zacięcie.

Zaczęto od okrutnego łajania z obu stron... Wtem Jurga i Andruszka skoczyli wprost na wąsacza i jeden go zaraz przez łeb chlasnął, czapkę przeciąwszy na dwoje... Grek oddał po ramieniu.

Wszczęła się utarczka ogólna, a że u Jaksów i panowie, i ludzie silniejsi byli, skutek łatwo można było przewidzieć. Dwóch pachołków zaraz, z koni skoczywszy, w las pierzchnęło, inni popadali od razów, broniący się kupiec także z konia się zwalił, porąbany okrutnie i ducha wyzionął.

Konie ich zrazu rwały się przestraszone, ale parę się na ślizgawicy wywróciło, — resztę pochwytali ludzie.

Nie upłynęło i pół godziny, a cała zdobycz, o którą się pokuszono, została w ręku napastników, rozgrzanych bojem i wcale już nierozważających, co popełnili. Odartego trupa rzucono na gościńcu, a Jaksowie z końmi jucznemi i ładunkiem puścili się żywo do dworu swojego.

Znając wszystkie ścieżyny, potrafili przebrać się lasami do domu, choć już noc zapadła. Już nawet nie zważali na to, by się kryć z popełnionym rozbojem, gorączka ich jakaś opanowała.

Ledwie na dworzec przybywszy, kazali ludziom przyjść z pochodniami; zdjęte z koni juki poznoszono do wielkiej izby na dole, gdzie się czeladź i mnóstwo ciekawych dworskich zebrało.

Na samym dowódcy karawany zabrano dwa trzosy złota, w jukach zaś były bogactwa różnego rodzaju. Najwięcej między innemi było złotych i srebrnych lam, jakich naówczas panie do okrycia futer i na suknie używały, bizanckich purpurowych szat, jedwabiów, tkanych we wzory, wreszcie złotych naszyjników, kolców, naczyń i różnych wyrobów, nasadzanych kamieniami drogiemi, malowanych emalją kolorową.

Łup o wiele przechodził najśmielsze nadzieje obu braci i Szwaba. Był tak wspaniały i obfity, iż Jaksowie,

zapomniawszy o tem, w jaki go sposób zdobyli, odzyskali wesołość, ciesząc się hucznie i głośno. Szwabowi też udzielono część piękną, która mu się słusznie należała, bo i naprowadził, i karku nastawiał.

Niemal całą noc trwała uciecha i rozmowa o wypadku, podsycana baryłką wina, która się między ładunkiem znalazła. Sami przed sobą uniewinniali się bracia, iż Grek pierwszy porwał się do miecza, a oni w prawie swem byli, wymagając okupu na moście. Cudzoziemiec więc sam swej śmierci był przyczyną. W oczach ich niemałej siły dodawało dowodzeniom jeszcze to, że jeden z nich ranny był acz lekko w ramię. Pomsta wydawała się im słuszna, a grabież ledwie za krew płaciła.

Szwab, śmiejąc się, upewniał i zaklinał się, że o podróżnego i pies się nie upomni. Któżby zresztą mógł i chciał, a wiedział, gdzie winnego szukać?

— Trupa — mówił — albo pobożna ręka pogrzebie, jak się to po gościńcach zwykle zdarza, lub nocą wilcy rozszarpią i nie pozostanie śladu.

Ostatnie przypuszczenie było najprawdopodobniejszem. Zwierza się głodnego włóczyło dużo.

Dopóki rozgorączkowanie trwało, póki szacowano łupy, rozmawiano o potyczce i wzajem sobie pomagano uniewinniać się, bracia zdawali się, jakby zpowrotem po wojennej wyprawie — weseli i raźni. Poszli spać dobrze sobie podochociwszy.

Nazajutrz dopiero przyszły jakieś obawy... Andruszka pierwszy wpadł na tę myśl, wnosząc z rzeczy wiezionych, czy kupiec nie był na dwór króla powołany do Poznania i czy go tam nie oczekiwano? Jeżeli go tam król albo królowa wyglądała? jeżeli się go spodziewano? nuż miał pozwolenie i porękę pańską? Cóż naówczas?

Kawał zapisanej skórki z pieczęcią znalazł się u kupca za nadrą, ale w domu nikt czytać nie umiał, i kartę Szwab zaraz do ognia rzucił; ani śladu po niej nie było...

Jurga posępnie milczał. I on też, przebudziwszy się

z rana, począł jakoś na sprawę zapatrywać się inaczej. Łup zdobyty wydawał mu się już niebardzo prawnie przywłaszczonym. Przez zęby cicho klął Szwaba i jego namowy. Oba Jaksowie chodzili niespokojni.

Ludziom, co się na wyprawie znajdowali z nimi, nakazano najsurowiej milczenie. Jeden z nich potajemnie zaraz wysłany został opatrzeć, co się z trupem działo. Kazano mu, jeżeliby ciało jeszcze na gościńcu leżało, zwlec je z drogi i w krzakach gałęźmi przyrzucić.

Długim wydawał się czas, nim posłany wrócił i doniósł, dotarłszy do Kołodziejów, że ludzie, od dworu królewskiego powracający do Poznania, ciało z gościńca zabrali i prawdopodobnie musieli je powieźć z sobą. Dopytywali oni u bliżej mieszkających, czy kogo nie widzieli w okolicy; wypadkiem trafili tu na przewodnika zbiegłego, a ten, z niedalekiego sąsiedztwa będąc rodem, miał wręcz powiedzieć, iż poznał ludzi Jaksów, a że się to na ich gruncie stało, nikt nie mógł być sprawcą — tylko oni. Królewscy komornicy ujęli zaraz tego przewodnika i związawszy go, poprowadzili z sobą. Ten, który przywiózł tak niepomyślne wiadomości, sam potrafił szczęśliwie uniknąć, iż go nie zabrano, — udając podróżnego i nie dając się poznać, skąd był.

Popłoch tedy tem większy padł na winowajców, którzy jeden na drugiego nie mając serca zrzucić winy, na Szwaba ją zwalili całą, bo on to pierwszy podał tę myśl nieszczęśliwą, której pokusie ulegli.

Andruszka, przewidując oskarżenie, miał już w myśli sam jechać do króla, aby przed nim opowiedzieć rzecz całą, jak należało. Jurga się temu opierał, boćby to było niemal przyznaniem się do winy; Szwab też zakrzyczał wniebogłosy i postanowiono w milczeniu czekać, co z tego wyniknie, na najgorsze się gotując.

Tymczasem wszyscy trzej, zwoławszy ludzi, sposobili się na wypadek wszelki, jak się tłumaczyć będą mieli.

Pierwszy ów kupiec grecki dobył oręża przeciwko

rycerzom i srogiem łajaniem ich wzywał. Cóż więc dziwnego, iż obelg i napaści wytrzymać nie mogli? Reszta sama za tem poszła. Upominanie się o zapłatę mostową nie było bezprawiem.

Tak się pocieszano, dodając sobie męstwa, chociaż bracia, znając dobrze króla, jego gwałtowność i surowość nieubłaganą, nie kryli się z tem przed sobą, iż gdyby przyszło stawać na sąd jego, sprawęby swą przegrali. Królowi szło o to wielce, aby kupcy obcy bezpiecznymi byli wśród krajów jego, bezprawia i gwałty rycerstwa, zarówno jak i kmieci i osadników, karał bezlitośnie.

Jaksowie mieli u króla zasługi i łaski, na dworze przyjaciół, rodzinę możną; — wszystko to mogło ich bronić w potrzebie, ale w oczach króla nie miałoby wagi, gdy raz co postanowił.

Niepokój zwiększył się jeszcze, gdy wkrótce po powrocie posłańca, który, dotarłszy do Kołodziejów, przywiózł wiadomość o tem, iż królowi musiano już dać znać o zabitym kupcu, a nader przewidujący Szwab, nocą zabrawszy część łupu i gwałtem porwawszy grecką niewolnicę z kilku ludźmi namówionymi, uszedł tak śpiesznie i zręcznie w lasy, iż go pogoń wysłana nazajutrz doścignąć nie mogła.

Niebardzo im żal było sługi i kosztowności, ale Andruszka bolał nad stratą pięknej niewiasty, a ucieczka dawała do myślenia, że i on się obawiał pomsty i prześladowania, — i od nich uchodził...

Dwa dni z sobą spory wiodąc, godząc się, pocieszając, bolejąc, bracia przetrwali w niepokoju. Nareszcie, gdy nic słychać nie było, sądzić poczęli, że burza ta może w inną przeciągnęła stronę; — gdy nagle nocą królewski posłaniec we czterdzieści koni nadbiegł, dwór osaczył dokoła i przywiózł rozkaz Jaksom, by natychmiast się stawili z nim przed sąd królewski, jako obwinieni o napad gwałtowny, zabójstwo i złupienie kupca, który dla króla z Kijowa prowadził zamówione towary.

Ani się temu rozkazowi opierać siłą, ani uciekać

nie było sposobu; a sąd króla — śmierć to była pewna.

Stary komornik i dowódca pocztu pancerników królewskich, Drogosz, dobrze obu braciom z wojen znany, wszedłszy do izby, gdy mu przyszło o tem oznajmywać, z bólu ręce załamał. Słyszał on przykaz z ust samego króla i wiedział, co o nim trzymać.

Jak on, tak i wszyscy, co z Jaksami pospołu bywali na wojnach, lubili ich i przywiązani byli do braci. Jurgę i Andruszkę znano, jako ludzi serdecznych, którzy na miłość sobie zarabiać umieli, choć nieraz po żołnierskiu płochością i porywczością zgrzeszyli.

Drogosz, wszedłszy do izby, długo stał niemy, nim się zebrał oznajmić, z czem był posłany; zdjął potem z głowy hełm, cisnął nim o stół i padł na ławę.

Jaksowie w posępnem milczeniu wysłuchali oznajmienia, spojrzeli po sobie, żaden się z nich nie ruszył nawet. Minął dawno szał, który ich do wybryku pobudził, wytrzeźwili się już byli, wiedzieli, co ich czekało. W duszy Andruszka pragnął tylko ocalić Jurgę, a Jurga myślał, jakby brata oswobodzić.

— Na pioruna! — odezwał się stary pancernik — na pioruna! cóżeście to za piwa nawarzyli? Wy, najmajętniejsi ze starych władyków, wy, którzyście złoto garściami rzucali wiedźmom kijowskim, — żebyście się połakomili na kupca i jak proste łotrzyki, dla mizernego skarbu na życie podróżnego godzili!

Żaden się narazie nie odzywał.

— Król zły... zaprzysiągł, że tego nie przebaczy — dodał Drogosz, wzdychając.

Widać było z jego mowy, że choć tak mówił, radby był znaleźć jakiś sposób ocalenia ludzi walecznych i dobrych towarzyszów...

— Słuchaj, Drogosz — odezwał się po namyśle Andruszka — nie pytaj, jak do tego przyszło. Skusił nas bies w niemieckiej skórze. Co się stało, na to niema rady. Powiem ci jedno: ten nie winien nic — dodał, wskazując na brata, — jam starszy, jam mu iść kazał, — co się stało, ze mnie poszło — nie z niego.

Wtem Jurga przerwał:

— Nie słuchaj go... Bóg świadek, jam się pierwszy Niemcowi dał zwieść i skusić. Trzeba dać głowę, — dam ją, nie targując się, byle Andruszce się nic nie stało... On poszedł za mną, nie ja za nim... Kłamie i przechwala się. Jeżeli król nas nie oszczędzi, to Bóg się zmiłuje.

Chcieli mówić i sprzeczać się, gdy Drogosz ręką machnął tylko.

— Jam tu nie sędzia — mnie was obu przystawić kazano... Powiecie królowi, jak się rzecz miała...

Pospuszczali głowy Jaksowie, a Drogosz zadumany przyrzucił:

— Póki jeszcze czas, — ślijcie do stryja, — niechaj on przybywa prosić za wami. — Dajcie znać przyjaciołom, niech jadą i proszą, jeżeli nie króla, bo do niego w gniewie przystąpić trudno — to do królowej. Wiele ona może... A no, Bolesławowskie słowo rzecz straszna, jak grom, król się zaklął... Niewiele w tem nadziei.

— Albo i żadnej! — dokończył Andruszka. — Kto się dziś wstawi za nami? Stryj zagniewany dawno, znać nas nie chce; przyjaciele dopóty trzymali z nami, póki szczęście było. Nikt nie powie słowa, aby się z łask pańskich nie wyzuł. Niech się dzieje wola Boska... może jedną głowę dając, — ocalim drugą... ja moją położę.

— Chyba ja — mruknął Jurga — albo nie, to oba!

Żadnemu z Jaksów nie przyszło na myśl zapierać się uczynku; przyznali się po żołniersku do tego, co popełnili, a trzeba było ginąć, żaden z nich śmierci się nie lękał. Patrzyli jej nieraz w oczy na pobojowiskach.

Drogosz, widząc, że o niczem nie myślą, sam dworskim szepnąć musiał, aby starego Jaksę i innych plemiennych objechali, zaklinając o pomoc dla nieszczęśliwych.

Wedle rozkazu królewskiego zabrano towary, jakie się znalazły, konie kupca i wszystko, co doń należało. Z południa potem oba bracia na konie siedli, żegnając

oczyma dwór swój stary i rozpłakane sługi, co się w podwórce zwlokły, zawodząc a jęcząc... Otoczyli ich wkoło ludzie królewscy i puścili się, jak pogrzebowy pochód milczący, do Poznania.

Wiedzieli, że na swój stary gród nie wrócą...

II.

Chociaż w owych czasach osady po krajach zdala od siebie rozsypane były i wielkie je dzieliły przestrzenie, — głośny wypadek z Jaksami, z ust do ust podawany, rozszedł się zaraz daleko, na wsze strony.

Być może, iż przyjazny obwinionym stary Drogosz, który ich pragnął ocalić, umyślnie powoli z nimi ciągnął, po drodze rozgłaszając, co się stało — aby tym sposobem rodzinę obudzić i w pomoc ją powołać. Byli też, jakeśmy mówili, młodzi Jaksowie, mimo buty swej i szaleństw, lubieni powszechnie — znano ich wady, a ceniono przymioty, któremi je okupywali. Głowy były zapalone, serca dobre; nierozwaga wielka, płochość bez miary, — żal też i skrucha serdeczne.

Ilu towarzyszów wykupili z niewoli, ran odnieśli, broniąc ich i zastawiając się za nich — niktby nie zliczył. Część znaczniejsza mienia poszła tak nieopatrznie dla miłości ludzi. Nie odjechał nikt od ich progu daremnie, jeśli to, czego żądał, spełnić mogli.

Oba społem, we dwu — nie mieli lat pięćdziesięciu, młodzi, silni, zdrowi, piękni, — niedawno jeszcze wiele obiecywali po sobie — król na nich rachował; teraz wszystko to jedna chwila szalona wniwecz obróciła.

Żal też był powszechny, przeklinano kupca nieszczęsnego, który miał dwu tak dzielnych rycerzy życia kosztować. Wszyscy ich niemal uniewinniali, przypisując napaść tę młodzieńczemu szaleństwu, a śmierć — przypadkowi. Inni, wiedząc o przewrotnym Szwabie, który wisiał przy nich, winę całą składali na niego i w tem się nie mylili, że jego poduszczeniu sprawę przypisywali.

Nikt jednak, posłyszawszy, jak się rzecz miała, dowiedziawszy się o królewskim gniewie, nie wątpił, iż Bolesław karę domierzy okrutną. Im wyżej w łaskach jego stali dwaj rycerze, tem się sroższej sprawiedliwości spodziewać było można.

Po drodze zbiegano się przypatrywać dwom Jaksom, jadącym w tem otoczeniu, jakby winowajcom wiedzionym na stracenie — czując już, że ich śmierć nie minie.

Drogosz wszystko czynił, co mógł, aby podróż jak najdłużej trwała.

Tymczasem stało się to, czego się nikt nie spodziewał; Gwidona, uchodzącego z zapłakaną i lamentującą Greczynką, który zagranicę przekraść się śpieszył z łupem swoim, pojmali ludzie królewscy przypadkiem i do Poznania go odstawili... Temu, zanim Jaksowie przybyli, król po krótkiem badaniu zaraz łeb ściąć kazał, niewolnicę oddawszy do dworu królowej. Szwab badany, broniąc siebie, winę składał na Jaksów, i w ten sposób jeszcze ich więcej obciążył, a króla rozsierdził.

Na drodze już od przejezdnych komorników pańskich dowiedział się Drogosz, iż Gwidon życiem przypłacił.

Z Jaksowych borów zaufany sługa stary, w chwili, gdy Jurgę i Andruszkę brano, oklep na konia skoczywszy, poleciał o mil kilkanaście do stryja, który mieszkał na gródku swoim w Niemierzyszczach.

Był to człek lat już bardzo podeszłych, za którego teraz dwu synów na wojnę stawało, bo on już dawno pocztu prowadzić nie mógł. Swojego czasu zawołany dowódca, bił się gdzie tylko zabrzęczały miecze — bywał nie jeden raz na Czechach i w Pradze, chodził na Lutyków i Pomorców, na Prusaków, na Ruś, na Węgrów i Niemców. Kilka razy pokłuty i porąbany, na pobojowisku został za umarłego — bywał w niewoli u Słowian, znał i niemiecką. Zawsze mu jednak jakoś szczęście służyło, iż przecierpiawszy, wyrwał się na swobodę i życie.

Teraz rany stare się otwierały, o kiju chodzić mu-

siał, włosy i brodę zapuścił długie, a całą pociechą jego było, choć chrześcijaninem został, starych słuchać pieśni. Te mu niewiasty i dziadowie wędrowni, których ugaszczał i bronił — musieli niemal po całych dniach i wieczorach nucić. Ustawało to tylko, gdy duchowny jaki do dworu przybywał.

Na starego Janka nieraz donoszono kapłanom, że w nim ta miłość dawnej pogańszczyzny została, a że naówczas tępienie wszelkich pamiątek, do których coś ze starej wiary przylgnąć mogło, było obowiązkiem kapłanów, zjeżdżali oni często do Niemierzyszcz, aby Jaksę w wierze umacniać... a odganiać precz zwyczaje, które zachował pokryjomu, tak jak nieboszczyk brat jego — ojciec dwu braci.

Stary przyjmował duchownych ze czcią wielką, jaka im należała, milkły na czas jakiś pieśni, dziadowie wynosili się do lasów. Janko stawał się z księżmi pobożnym; lecz, byle oni za wrota, wszystko znów do starego porządku wracało. Nie było na to sposobu.

W przekonaniu Jaksy to, co było, mogło się jakoś pogodzić z tem, co nastawało, rad był oboje połączyć, bo mu przeszłości dusznie żal było. Pobłażał też pocichu tym, co z nią trzymali, przez szpary patrzał, gdy po lasach, na uroczyskach ciała palono i tryzny odprawiano, gdy na Kupałę gromady ognie rozkładały i „stadem" chodziły, szalejąc.

Mimo to obowiązki nowej wiary spełniał ściśle, posty zachowywał, do kościoła jeździł, dopóki mógł, a synów do pobożności nakłaniał.

Dla dzieci po staremu był surowym. Matki już dawno nie miały. Czeszka Drahomira, jedyna żona Janka, zmarła mu jakoś wprędce po przyjściu na świat synów, a potem się już nie żenił.

Synowie Janka byli prawie rówieśnikami stryjecznych, i jak oni ludzie rycerscy a wojenni. Starszy, Miklasz i, o trzy lata za nim będący, Oleksa — chodzili z pocztami na wyprawy, a czasu pokoju u ojca pierwszymi tylko sługami być musieli. Kochał ich, ale im nie folgował. Albo ludzi do wojny sposobić, albo konie

młode objeżdżać, albo osadników i wioski nowe opatrywać, codzień ich posyłał stary — spoczywać nie dając.

Obu im już od roku żon szukał, aby póki pokój trwał, mogli sobie gniazda założyć i nową rozpocząć rodzinę, lecz niełatwym był w wyborze. Naprzód nie dowierzał niewiastom, wiele wymagał od nich, potem rad szukał krwi i plemienia dobrego. Sam bowiem kneziem się mieniąc, bo z podań to wiedzieli, że niegdyś Jaksowie u Serbów panowali, ladajakiej niewiastki do domu wprowadzać nie chciał. A że mu z żoną Czeszką dosyć dobrze było na świecie, dla synów też się za dziewkami stamtąd oglądał — niemniejszemi wszakże, jak Sławniki i Wrszowice. Dumnym był wielce i mało komu kroku ustąpił.

Dlatego też może, gdy się powysuwali naprzód różni nowi rycerze, na dworze, w łaskach i dostojeństwach zaczynając przodować, on się powoli od dworu uchylać jął i wkońcu został w ukryciu, wiekiem się składając. Na gródku swym tak panował samowładnie, jak król w Poznaniu.

Gródek ten w Niemierzyszczach, u ścieku dwóch rzeczułek na pagórku wystawiony, stary był, nie wyglądał pokaźnie, lecz obronić się mógł i nie jednemu już oparł się napadowi. Zajmował przestrzeń dosyć obszerną, objętą wysoko wysypanemi wałami i ostrokołami, bo w razie najścia cała ludność z podzamcza mieścić się w nim musiała. Dwór też był liczny, ludzi orężnych, szczególniej konnych, pancerników, — zawsze około dwóchset stało wpogotowiu. Oprócz dworca starego, jeszcze wedle dawnego obyczaju z drzewa wystawionego, dokoła były ustawione mnogie szopy, obory, stajnie, śpichlerze, czeladnie.

Stary Jaksa siadywał w wielkiej izbie swej, latem i zimą przy ogniu; nie wygasał on nigdy prawie w ogromnym kominie. Tu to na ławach, często po kilku na raz, u drzwi, zabierali miejsca dziady, ślepce i gęślarze.

Maleńkie okna niewiele wpuszczały światła. Janko

siadywał przed ogniem na stołku lub też się układał na skórach, które leżały w kącie. Gromada psów zawsze go otaczała, bo jak dawniej myśliwym był wielkim, tak teraz choć patrzyć na nie lubił, bo mu łowy przypominały.

Niegdyś, nawet na wojnę idąc, po parze psów bierał z sobą i mówiono, że mu jeden z nich życie uratował, gdy padłszy na Niemca, który już Jaksę z konia obalonego dusił, tak go gryźć począł, iż pan jego przez ten czas dźwignął się i obronił.

Gdy z Jaksowych borów przypadł tu ów sługa stary z wiadomością o losie Jurgi i Andruszki, znalazł Miklasza na podwórku i zaraz mu tu, jak stał, ręce załamując, wszystko wyśpiewał.

Między dwoma dworami Jaksów nie było już zdawna żadnego stosunku, z rozkazania Janka, który synowców znać nie chciał i mówić sobie o nich nie dawał. Chociaż zakaz ten trwał zawsze, Miklasz wszakże nie wahał się, posłańcowi poleciwszy stać i czekać na podsieniu, sam zaraz iść do ojca.

W izbie na ten raz żadnego dziada nie było; stary sam jeden, ręce zwiesiwszy — u ognia siedział a dumał.

Ledwie stanąwszy na próg, syn się zaraz odezwał, jak to było w obyczaju, że ze złą wieścią przybywa.

— Nie trzymajże mi jej, jako miecza nad karkiem, a mów... — zawołał stary.

Dusza to była hartowna, co się lada czego nie ulękła.

— Z Jaksowych borów sługa przybiegł — rzekł Miklasz. — Stało się tam nieszczęście: Jurga z Andruszką napadli na gościńcu kupca Greka, który dla króla z Kijowa wiózł kupię... powaśnili się z nim, zabili go i odarli. Król po nich przysłał i kazał ich na sąd swój stawić w Poznaniu.

Janko, wysłuchawszy syna, głową tylko potrząsł; długo mu słowa brakło.

— Jeśli tak jest — odparł wkońcu cicho — jeśli prawda, a król się nie zmiłuje nad nimi, będą musieli

dać szyję. Na cały ród Jaksów padnie hańba i sromota niezmazana...

Stary załamał dłonie.

— Co czynić?... — mruczał — co czynić?... O miłosierdzie prosić dla łotrów, czy za cudzą winę hańbę ponosić?... A zdaż się u Bolesława błaganie? A pomogąż u niego łzy i prośby?...

Zamyślony, długo w ziemię patrzył, potem skinął, aby mu sługę starego przywołano.

Ten, gdy wszedł i rzuciwszy się na ziemię, czołem bił, bo człek był niewolny, — z płaczem szeroko jął opowiadać, jak się to stało.

Tem lepiej mógł opisać wszystko, bo choć niemłody, ale krzepki i sprawny, należał do tych, co z Jaksami u mostu byli i kryć się z niczem nie widział teraz potrzeby.

Dowiedział się więc Jaksa, jak się to nieszczęście stało, kto był pierwszą jego przyczyną. Puściły mu się łzy milczące, dał ręką odprawę człowiekowi i siedział w myślach zatopiony, jak martwy.

Syn stał, czekając na rozkazy, ale ojciec ani się zwracał ku niemu, jakby zapomniał o nim. Potem niby sam do siebie począł mówić, z bólu się zachodząc:

— Niechaj giną łotrowie... niech przepadają marnie!... Niech kąkol idzie na ogień, aby czyste ziarno zostało. Mamyż się my czyści za pomazanych ujmować?... E! Andruszko! bracie mój miły, nie ich mi żal, ale ciebie, jeżeli ty z tamtego świata patrzysz na niegodne ciebie potomstwo.

Miklasz, choć się nigdy nie śmiał ojcu w niczem przeciwić, radby był za stryjecznymi przemówić słowo... a no... westchnął tylko. Zwrócił się Janko z brwią nawisłą ku niemu, jakby pytał, a chciał słuchać.

— Rodzica dawno stracili, w złe ręce popadli... — począł cicho Miklasz.

— A krew to bujna Jaksów, co niełatwo ostyga... — przyrzucił Janko, głowę skłaniając.

Uderzył w dłonie i załamał je.

— Król, jeśli nie im, to nam i rodzinie się umiło-

wać powinien... — rzekł. — Nie im życie, — ale nam weźmie sławę poczciwą!

I wstał nagle z siedzenia, choć się pod nim nogi trzęsły, chwyciwszy za stołek, aby się na nich utrzymać. Z pod siwych brwi nawisłych oczy mu połyskiwały.

— Jeżeli jeszcze czas... jeżeli czas miłosierdzia prosić — zawołał — nie dla nich, ale dla was, dla mnie, dla tych, co pomarli, i co żyć będą po nas... Jam stary i nie duż, ale mi trzeba... ale muszę!... Miklasz, ty pojedziesz ze mną... konia siodłać każ...

Stary już od lat kilku z ciężkością chodził o kiju, konia nie dosiadł dawno; synowi rozkaz zdał się tak dziwnym, iż się uląkł.

— Ojcze miłościwy — rzekł z pokorą — jakże wam i pomyśleć o koniu... jak o podróży? Mroźny czas, a wyście słabi.

— Na saniach leżeć nie mogę — począł Jaksa, stołkiem bijąc o ziemię — nie nawykłem... to babska i chłopska rzecz... jam żołnierz... Starego mi mojego osiodłać. Kożuch wezmę, jechać muszę.

Napróżno syn ofiarował się jechać z bratem do króla, uparł się stary Janko i słuchać nie chciał.

Nie było z nim co rozprawiać, gdy raz wydał rozkaz a rzekł swoje. Więc na całym dworze poruszyło się wszystko na tę niesłychaną nowinę, że pan jedzie do króla. Przestrach ogarnął ludzi, bo jakże to coś groźnego być musiało, gdy tego starca, złamanego niemocą, dźwignęło w taką porę na nogi?

W milczeniu posępnem wnet się poczęto przysposabiać do drogi. Stary, nie mówiąc już nic, dawał znaki. Naostatek, gdy oznajmiono, że koń stał wpogotowiu, dwu ludzi go doń prowadziło. Trzeba było starego podnieść na ramionach, aby go posadzić na grzbiet wierzchowca, lecz gdy się raz znalazł na nim, już się nie zachwiał.

Przeprowadzony przez cały dwór, z garścią ludzi i synem wyruszył Jaksa do króla.

— Padnę do nóg — rzekł do syna — prosić go bę-

dę... a nie ubłagam, wyniosę się z tej ziemi, nie chcę jej znać... aby nam sromu nie wytykano. Do Serbów pójdziem, albo do Czechów!

Jakby gorączka jakaś owładnęła starym Jaksą, bo choć go podtrzymywać było potrzeba i widocznie słabł ze znużenia, ledwie koniom dając wypoczynku, pośpieszał, nie tracąc chwili.

Drugiego dnia już mu tchu braknąć zaczynało, bo i wiatr był ostry a zimnem smagający, i drogi ciężkie, pozawiewane, a koń stary często na nogi szwankował.

Na noc, nie dając się powstrzymać dla spoczynku, gdy konie zjadły, sadzić się kazał na wierzchowca i ciągnął dalej, lecz nad ranem siły coraz wątlejące nie starczyły już. Musiano go przy pierwszej chacie nad drogą znieść z siodła na ręku i w izbie położyć, aby się pokrzepił. Stary płakał niemal, że dalej jechać nie mógł, bo padał z konia, choć go syn i ludzie trzymali.

Chałupa nędzna była i uboga, więc go, w pośrodku dlań usławszy łoże, przy ognisku położono. Tu zaledwie legł, poczuł sam zaraz, że mu ostatnia nadeszła godzina. Chciał się orzeźwić jakimś napojem, dano mu wodę i wino, które syn zabrał z sobą, ale już i to nie pomogło.

Życie, którego niewiele w nim było, nagle się wyczerpało, gasnął w oczach... powieki mu zapadały, jak do snu. Syn przy nim przykląkł, płacząc, starając się uspokoić, dopraszając, aby spokojnie usnął i snem się pokrzepił.

Jemu chwilami oczy pałały niepokojem i boleścią, czuł już a wiedział, że na drodze, na rozdrożu, nie doścignąwszy celu, marnie zemrzeć przyjdzie.

— Miklasz — ozwał się głosem osłabłym, — zaklinam cię na wszystko, co najdroższe, na krzyż Pański, na miłość, jakąście mieli dla mnie, uczyńcie, proszę, co każę, czego żądam...

Syn na znak posłuszeństwa rękę przyłożył do piersi.

— Mnie tu umierać przyszło — mówił głosem gasnącym stary — od doli i przeznaczenia nie uwolni się nikt. Jak umrę, Miklasz, wsadzicie mnie na moje-

go konia, przywiążecie do niego, trzymać będziecie, bym nie padł... i pojedziecie ze mną, z trupem do Poznania, przed króla... Powiecie mu, jako nie mogąc żywy, przybywam umarły, prosić za rodem moim... Nie zlitowałby się żywemu może, nieboszczykowi się umiłuje... Rozumiesz to?...

Miklasz milczał przerażony.

— Rozumiesz — powtórzył stary. — Tak ma być! Tak ja chcę! Niech mnie Bolesław zobaczy... Służyłem mu wiernie, krew lałem dla niego. Jeśli litości nie będzie miał — niech nas Bóg sądzi...

Zabrakło staremu tchu i siły, głowę zwiesiwszy na piersi, konać zaczął. Oddech się stał zrazu przyśpieszony, potem wolniał coraz, do syna rękę wyciągnął i trzymał go przy sobie, a dłoń mu stygła i twardniała.

Nie upłynęło ćwierć godziny, a stary Jaksa, szepnąwszy jeszcze pocichu: — Dziadów z domu nie pędźcie... — skonał i skostniał.

Miklasz klęczał przy nim osłupiały z żalu, wśród ludzi, którzy, zbiegłszy się do swojego starego pana, zawodzili żale. Nierychło wspomniał na swą przysięgę; nie pozostawało mu nic, tylko spełnić co rychlej przykazanie rodzica.

Dziwne to było i straszne widowisko oglądać tego umarłego starca, zbladłego, ze zwisłą głową, podtrzymywanego przez dwu obok jadących ludzi, po śmierci jeszcze zdążającego na spełnienie obowiązku. Stawali ludzie po drodze, przypatrując się dziwowi temu, nie umiejąc go sobie wytłumaczyć.

Podróż, pomimo nakazanego pośpiechu, szybką być nie mogła. Opóźniał ją ów trup chwiejący się i opadający, przy którym ludzie ciągle się mieniać musieli.

Tak wkońcu zbliżył się do królewskiego grodu, gdy na gościńcu ten sam Drogosz, którego król po Jaksów posyłał, wyprawiony gdzieś znów przez niego, spotkał się z żałobnym pochodem. Był on też Miklaszowi z wyprawy ruskiej dobrze znanym i przyjaznym.

Zrazu osłupiał na widok jadącego nieboszczyka, ale wnet mu Jaksa wytłumaczył, jakie od ojca otrzymał

przykazanie. A że właśnie w tem miejscu, gdzie się spotkali, znużonym koniom popaść było potrzeba i trafiła się szopa z gospodą, w której mogli ogień rozpalić i ogrzać się nieco, weszli do niej razem.

Pierwszem słowem Miklasza było spytać, co się działo ze stryjecznymi.

Drogosz, ciężko westchnąwszy, zmilczał; znać było, że dobrego nic do powiedzenia nie miał.

— Gdybyście nie wiem, jak śpieszyli — rzekł wkońcu — nie wiem i nie ręczę, ażali na czas dla ocalenia ich traficie. Gdym ich obu na gród przywiózł, król, na oczy ich widzieć nawet nie chcąc, natychmiast do ciemnicy wrzucić kazał. Dowiedziała się królowa, pani miłościwa a pobożna — mówił dalej — królowa, której każda kropla krwi przelanej drugie tyle łez kosztuje... święta i dobra pani nasza... pośpieszyła więc do króla... Myśmy ją wszyscy o to prosili, boć żal srogi takich dwu rycerzy postradać, za jednego tam jakiegoś zadławionego Greka. Prosiła królowa na kolanach... błagali inni... pono nadaremnie... Tymczasem mnie król wysłał precz... i nie wiem, co się stało. Gdym na koń siadał, kapelana swojego król wyprawił do nich, aby spowiedź uczynili... katowi się kazano sposobić do więzienia... Król, jak mówiono, sfolgował pono o tyle, iż nie publicznie miał ich dać ściąć, ale w lochu. Przecież!... Bóg wielki!... Nie wiem!... królowej łzy wiele mogą... cud się mógł stać... Jedźcie, proście, niechaj nieboszczyk stanie przed nim, w imię służb swych go błagając... Jeżeli czas... jeżeli jeszcze czas!... — westchnął Drogosz stary.

Miklasz więc śpieszyć postanowił, ale koniom znużonym tak, że się zaledwie wlokły, trzeba było dać chwilę odpoczynku. Drogosz też swoim wydychać dawał.

— Straszny gniew naszego pana... — mówił stary pancernik. — Widziałem ja go nieraz na wojnie, gdy nieprzyjaciel go rozjątrzył, bez opamiętania lecącego na tłumy... ale straszniejszy jeszcze we dworze, pod dachem, śród pokoju, gdy mu niesforność jaka, albo

gwałt, krew poburzy... Królowa dobrocią swą wiele może, pohamuje czasem i wymodli... przecie teraz nie wiem, czy i ona, i wy z nieboszczykiem potraficie go ułagodzić. Rozżarł się okrutnie... może nie o kupca tego, więcej o to, iż rycerstwu całemu zakałę zrobili. A i kupiec też człek był znaczny. Gdy wieść pójdzie o śmierci jego, odstręczy i odpędzi od nas innych obcych ludzi...

— Gdym z Jaksami waszymi przybył — mówił ciągle Drogosz — a szedłem się miłościwemu oznajmić, spostrzegłszy mnie — jak jest ciężki, z siedzenia wnet się porwał, biegnąc prawie.

— Są te łotry? — zawołał.

— Przywiozłem ich — odezwałem się.

— Rzucić wnet spętanych do lochu — krzyknął — na jawną zbrodnię sądu niema, jeno stryczek i miecz!...

Ośmieliłem się do kolan mu pokłonić.

— Miłościwy panie — rzekłem — młodzi są, krewcy, namowa zła...

— Milcz — zawołał — milcz... przykładu trzeba lub nikt się do nas jechać nie waży... Rodu są znacznego, więc im się śni, że wszystko dlatego wolno. Zasię!... Jak dwu im głowy z karku spadną, stu się ulęknie i strzyma... Idź... ani słowa... do ciemnicy!...

Nie wiem, co królowej rzekł... Mieli wstawiać się duchowni, mieli prosić za nimi powinowaci, Lisowie i Pobogi, i inni... a no, wola króla żelazna...

Miklasz musiał jednak dopełnić przykazania rodzicielskiego. Rozstali się więc ze starym Drogoszem i pochód z nieboszczykiem rozpoczął się na nowo.

Zbliżając się do Poznania i grodu, gdzie coraz więcej ludu uwijało się wpobliżu, ledwie się mogli przebić przez gromady ciekawych, których zwabiało to straszne widowisko zmarłego, wiezionego na koniu starca, którego na rękach niemal ludzie dźwigali... za nim jadącego syna z głową odkrytą i całej tej drużyny, wlokącej się, jakby ze wstydem, upokorzeniem i trwogą.

Kupy ludu poczynały się cisnąć około nich coraz

tłumniej, tak, że gdy do wrót zamku przybyli, rozpędzać je musiano.

Poznań już w ostatnich latach rządów Mieszkowych, potem za syna jego urósł był na znaczne miasto. Sam ten zamek, który niegdy cesarz Otto III, jako sprzymierzeniec króla i druh jego, odwiedził, skąd pieszo i boso po suknem wysłanej drodze szedł do Gniezna, do grobu męczennika Wojciecha — od czasów Mieszkowych wzmógł się i rozrósł, a królewsko wyglądał. Obok dawnych dworów drewnianych kazał w nim Bolesław wystawić murowane palatium dla siebie, takie niemal, jakie cesarze mieli w Dziewinie i Merseburgu.

Tuż, na gruzach dawnej pogańskiej kontyny wznosił się kościół katedralny, pierwsza w Polsce z gnieźnieńską stolica biskupia, z kamienia ciosowego zbudowana.

W pośrodku niej, naprzeciw wielkiego ołtarza, spoczęły już zwłoki ojca Bolesławowego, Mieszka, i on też sam zawczasu tu dla siebie grób sposobić kazał, chcąc leżeć obok rodzica. Dubrawka, matka Bolesławowa, chciała spoczywać w katedrze gnieźnieńskiej, którą wzniosła.

Zmieniło się tu wiele od owych skromnych pierwszych czasów, gdy rzemieślników brakło i staremi się domowemi sprzętami obchodzono. Owe sta pancerników Mieszka urosły teraz na tysiące, skromna gromadka dworzan pańskich rozmogła się w rój ogromny wspaniałego dworu. Każdy poczet wojsk królewskich odznaczał się teraz zbroją osobliwą, orężem i barwą sukni szczególną. Ani cesarskiej straży zbrojnej bolesławowska nie ustępowała.

Z Rusi, Moraw, Czech, Chrobacji, Węgier, od pogańskich jeszcze plemion słowiańskich nieustannie szli tu jedni prosić, drudzy przepraszać, kłaniać się, dary nieść, łaski jednać. Gromadnie, ludno, gwarnie było na zamku wielkiego króla, a ci, co dawniejsze pamiętali czasy, poznać go teraz nie mogli.

W tej izbie wielkiej, w której niegdy Mieszko przyj-

mował władyków Polan, dziśby swych gości codziennych król Bolesław nie posadził i połowy. Dla nieustannego ich natłoku musiano obok zamku wznieść gmach osobny rozległy, którego izby, na słupach pośrodku sparte, czterdzieści stołów gościnnych, powszednich dni zastawionych, pomieścić mogły.

Większa część dworu pańskiego, która na przyjęcie cesarza Ottona III, gwoli obyczajowi zachodniemu, na sposób włoski i frankoński przebrana została, później też dla cudzoziemców i okazałości większej, w stroju tym chodzić musiała. Czeladź więc i pacholęta, ówczesną modą, strój miały przepołowiony na dwoje, tak, że jedna strona była czerwona barwą, druga — żółtą, kaftan rękawy miał różne, a przez plecy rozcięty był napoły.

Nie ujrzałeś już tam teraz dawnego obuwia sznurowanego, tylko buty i trzewiki, których końce skówkami lśniącemi były nasadzane, a boki szyte kwiecisto. Co dostojniejsi ze dworu łańcuchami na szyjach się odznaczali, a płaszcze wszystkie złotem lamowane i srebrem naszywane być musiały.

Przepych widać było wszędzie, bo go król lubił i rad na swym dworze oglądał, aby od innych pośledniejszym nie został.

Uzbrojenie też, dawniej proste, wykwintniejsze było u Bolesława i jednostajne. Jednego żołnierza w jeździe nie miał król, któryby od stóp do głów pancerzem skórzanym, łuską żelazną naszywanym, nie był okryty. U starszyzny przy takichże hełmach, okutych żelazem, purpurowe i białe powiewały kity. I tarcze też pieszaków świeciły gwoździmi i błyszczały blachami, a po znakach każdy poczet i ziemię odgadnąć było można.

Zostały dzidy i młoty, a mieczów żelaznych przybyło; leżały ich całe komory, aby każdego czasu ludzi tysiące można było uzbroić.

Na grodzie nie jeden też tylko mieścił się dwór królewski; miała swój oddzielny królowa Emnilda, owa święta pani, córka Dobromira, którą król, jako trzecią poślubił, a nad wszystkie szanował i kochał. Czę-

sto też Mieszko, syn Bolesławów, i młodszy Dobromir — a starszy od nich Bezprym, z królowej Węgierki narodzony, córki pańskie i żona Mieszkowa, siostrzenica cesarska — Ryksa, tu przebywały, i wielu książąt sprzymierzonych i pokrewnych.

W podwórcach, jak na targu w uroczyste dni, w dzień i w nocy przebić się było trudno przez tłumy. Musiano też część dziedzińca sznurami odgradzać, aby codziennym turniejom i zabawom rycerskim, jakie pod okiem pańskiem dla rozrywki jego się odbywały, plac zostawić swobodny.

W chwili, gdy Miklasz Jaksa, prowadząc za sobą ciało ojca, wjeżdżał w bramę zamkową i oczy wszystkich się nań zwracały, komornicy królewscy, spostrzegłszy wiezionego trupa, z którym w podwórzec wprost zmierzano, ulękli się wielce. Nie śmieli powstrzymać, ale wnet oznajmiono starszemu nad dworem, którym był Sieciech, aby króla uprzedził, lub rozporządził, co należało.

Wybiegł więc zaraz Sieciech, ów pan poważny, w czarnej sukni dostatniej, z łańcuchem na szyi, w kołpaku sobolim, z laską kutą w ręku, aby się sam dowiedział, coby to oznaczać miało i pochód, już ku drzwiom murowanego gmachu dążący — zatrzymał.

Musiał mu się Miklasz tłumaczyć, w jakiem od umarłego jechał poselstwie. Przykazawszy mu stanąć, Sieciech pośpieszył do króla, który z ulubionym sobie opatem tynieckim, Aronem, na osobności się zabawiał.

Przeszedłszy kilka komnat, Sieciech u drzwi pańskich oznajmił się kaszlem i lekkiem uderzeniem laski o ziemię.

Król w sypialni swej odpoczywał. Ogromny ogień pałał w kominie z kapturem, przed nim siedział Bolesław w krześle, poduszką nakrytem.

Był już naówczas wielki ów podbójca i wojak niezmordowany nieco wiekiem ociężały. Ciemny, bujny włos kędzierzawy okrywał mu głowę, którą gdzie niegdzie srebrzyła siwizna; odkryło się wspaniałe czoło, które troski poryły. Twarz pełną, ogorzałą, rumianą,

dwoje oczu ciemnych zdawało się niemal wypełniać, tak wzrok ich gasił i ścierał, co się na niej innemi wyrażało rysy. Ust niewiele widać było pod wąsami i brodą, wybujałą szeroko. Pierś wydatna, rozłożyste ramiona, przygarbione nieco, całe ciało bujne i silnie rozrosłe uczyniły zeń olbrzyma, gdyby wzrost odpowiadał ich rozmiarom. Otyłość przyszła z wiekiem i ciężarem swym nużyła starego bohatera.

Kożuch soboli, jedwabiem pokryty, stanowił ubiór cały. Z pod niego widać tylko było bieliznę cienką i na nogach miękkie buty, futrem bramowane.

Obok krzesła królewskiego stał mężczyzna w czarnej długiej sukni, wzrostu słusznego, chudy, twarzy bladej, poważnej a myślącej. Włos krótko obcięty, wygolona korona, krzyż złoty na piersiach oznaczały duchownego. W rysach jego czytać było trudno, choć jak zagadka nęciły tajemniczym swym wyrazem. Bystry rozum zdradzał wzrok biegający żywo.

Król snać go słuchał, gdy Sieciech, uchyliwszy drzwi, z niskim pokłonem do sypialni się wsunął.

Na obliczu pańskiem dostrzec było można nieco zniecierpliwienia, ale stary Sieciech, który pana swojego znał dobrze, a wiedział, jak sobie z nim poczynać, bynajmniej się tem nie poruszył, choć brwi groźnie się ściągające i oczy w siebie wlepione zobaczył.

Opat Aron pilnie się też wpatrywał w przybyłego, zawiesiwszy przerwane opowiadanie.

Sieciech wkońcu krok naprzód postawił powoli, jakby rozmyślał, od czego zacznie.

— Przebacz, miłościwy królu — odezwał się, rękę spuszczając ku ziemi, — musiałem wczas miłości waszej przerwać, wchodząc... w podwórcu nieboszczyk domaga się twej łaski i posłuchania...

Król i opat, zdziwieni tą mową, podnieśli głowy, spojrzeli po sobie.

— Tak jest, miłościwy panie — kończył Sieciech spokojnie i powolnie. — Stary sługa królewski, Janko Jaksa z Niemierzyszcz, jechał prosić łaski i zmiłowania pańskiego, a w drodze umierając, trupa swojego syno-

wi tu przywieźć kazał, aby on u miłości pańskiej błagał o przebaczenie dla synowców... Syn z ojca zwłokami stoi pode drzwiami... Ludzi gromady się kupią...

Na twarzy króla, który, słuchając, brwi strasznie ściągnął, odmalował się gniew okrutny; oczy poczęły ciskać pioruny, rękę ścisnął i uderzył nią w poręcz siedzenia, lecz słowa zrazu nie rzekł, spoglądając na opata.

Opat Aron stał niemy, nie okazując po sobie ani co czuł, ani co myślał. Sieciech z głową spuszczoną czekał na odpowiedź.

— Syna mi tu prowadź! — zawołał Bolesław, nie wstając.

Sieciech pokłonił się na znak posłuszeństwa i natychmiast odszedł.

Król i opat patrzali na siebie. Bolesław zdawał się wyzywać zdania duchownego, ksiądz czekał na to, co król powie. Długo trwało milczenie, w ognisku tylko płomię syczało i iskry z niego pryskały.

Tymczasem dały się słyszeć kroki idących.

Jaksa Miklasz blady stał w progu chwilę, a potem się na kolana rzucił przed królem.

— Miłościwy panie!... — począł...

— Wiem wszystko — przerwał król, rękę ciągle ściśniętą podnosząc — wiem wszystko... Stary Janko z grobu przychodzi prosić za krwią swoją... ale ja... przysiągłem, że nie przebaczę. Każę poczestny pogrzeb sprawić sławnemu rycerzowi, a ich głowy jutro rano spaść muszą... i spadną!...

Usłyszawszy ten wyrok, Miklasz wstał powoli. Duma starego rodu Jaksów już mu do dalszego błagania usta zamknęła. Nie rzekł nic, nie prosił więcej.

Król głowę spuścił na piersi i ręką dał znak. Miklasz, nie uchyliwszy nawet czoła, wolnym krokiem wyszedł z sypialni.

Za nim pociągnął wzrok królewski i gdy zasłona zapadła, długo się na niej zatrzymał. Słychać było ciche, niepewne kroki, które coraz się oddalały... W kominie płomię syczało i iskry z niego pryskały.

Z założonemi na piersi rękami opat stał, oczy w ziemię wlepiwszy.

I trwało milczenie grobowe, przykre, którego ani król, ani duchowny przerwać nie śmiał przez chwilę, jak wiek długą. Z podwórców dochodził, niby głuchy tętent koni i gwar jakiś stłumiony, a potem cisza zaległa gród... i ognisko tylko mówiło coś samo niezrozumiałym językiem.

III.

Chociaż na dworze zmierzchało, niezwyczajny widok coraz liczniejsze gromadził tłumy około siedzącego na koniu trupa starca.

Przed wszystkiemi drzwiami dworców, po przedsieniach stały niewiasty, załamując dłonie, pokrzykując ze strachu i podziwu.

Pachołkowie i rycerstwo cisnęło się, aby starego Janka zobaczyć raz jeszcze. We wszystkich sercach litość się budziła. Niecierpliwie oczekiwano królewskiego słowa, spodziewano się jeszcze, że ten jęk z za grobu przemówi do serca pańskiego i zmiękczy je...

Gdy wreszcie Miklasz wyszedł z głową na piersi zwieszoną i ukazał się w przedsieni, pogrążony w smutku, z rozpaczą na twarzy — domyślili się wszyscy, iż trup nie mógł nic...

Szmer jakiś smętny, bolesny przebiegł z ust do ust, niewiasty sobie oczy pozakrywały, mężczyźni, nie śmiejąc nic rzec, z posępnemi twarzami oddalać się zaczęli.

Miklasz namyślać się zdawał, wreszcie, choć go wielu towarzyszów, stojąc mu na drodze, zaczepiało słowy i oczyma, milczący podszedł do konia, siadł nań i ludziom dał znak, aby za nim nazad jechali. Już, siedząc, nawracał, gdy z dworca królewskiego wyszedł opat Aron, przed którym co żywo usuwać się i kłaniać nisko poczęto. Niektórzy biegli, cisnęli się i, przyklękając, w rękę go całowali. Widać było, jak bardzo szanowano królewskiego ulubieńca.

Żywym krokiem podszedł opat ku Miklaszowi.

— Stój — rzekł. — Miłościwy pan a król nasz dla winnych tylko jest surowym... łaskiście jego nie utracili. Pogrzeb ojca waszego kazano na zamkowym odbyć kościele... Jedźcie wprost do tumu.

Miklasz słuchał milczący.

— Ojcze mój — rzekł, — to uczynię ze zwłokami rodzica mego i pana, coby on z sobą żyw uczynił, gdyby mu król dla rodu jego miłosierdzia odmówił. Powiozę je stąd... powiozę do pierwszego cmentarza i złożę w pierwszym kościele, jaki na drodze znajdę. Zhańbiona rodzina nasza, co łaski pańskiej nie była godną, — ni umarła, ni żywa już progu zamku tego nie przestąpi... Taka była zmarłego wola...

Surowym wzrokiem zmierzył opat mówiącego i długo się weń wpatrywał. Nie sprzeciwił mu się, aby bólu nie jątrzyć.

— Miklaszu Jakso — rzekł pocichu — czyńcie jako chcecie... ale rozważcie dobrze, co czynicie... komu wydajecie wojnę...

Ja z wami dziś jeszcze widzieć się potrzebuję dla dobra waszego.

Młodzieniec skłonił tylko głowę i pochód żałobny, na dany przezeń znak, ruszył z grodu powoli, a opat, oglądając się, krokiem ociężałym odszedł ku tumowi.

W podwórcu zostały tylko cicho gwarzące kupki ludzi, oczyma wiodące za Jaksami, poczynając się zwolna rozpraszać i rozchodzić w różne strony, jakby przybite żalem i trwogą.

Królowa Emnilda, zawsze biorąca nieszczęśliwych stronę, i tym razem chodziła paść do nóg męża, aby życie skazanym uprosić. Bolesław słuchać jej nie chciał, nawet z groźbą i fukiem odprawił.

Zaledwie dano osądzonym czas do następnego ranka, aby się na śmierć przygotowali przykładnie; zdawało się już, że żadnej nie było nadziei i nic ich uratować nie może.

Na dworze królowej smutek stąd i żal był wielki. Emnilda siedziała z rękami na kolanach założonemi,

zamyślona, zapłakana. Pani to była nie pierwszej już młodości, lecz jeszcze postawy i lica, które zachowało ślady wyraźne dawniejszego szlachetnego wdzięku. Rysy regularne i czyste nie zmieniły się, głębiej tylko zapadły oczy, kilka zmarszczek je otaczało, a dokoła ust uśmiechy i płacze wydeptały drogi, któremi naprzemian chodziły. Wiek na ślicznej jej twarzy rozlał pokój chrześcijański, rezygnację pobożną i smutek łagodny, jaki przystał człowiekowi na tym padole płaczu. Były one nowym wdziękiem i urokiem, który młodość zastępował.

Pobożna pani sama siedziała u gasnącego ognia; krośna jej i robota, porzucone w nieładzie, świadczyły, że niedawno od nich odeszła.

Izba królowej, której ściany całe zawieszone były obiciami, przez nią szytemi, pełną stała oznak i godeł pobożnych. Widać było krzyże na wszystkich stołach, kropielnica bronzowa wisiała u drzwi.

Królowa, ocierając łzy, długoby tak w myślach zatopiona pozostała, w nieruchomem odrętwieniu, gdyby w tej chwili z za zasłony nie dał się słyszeć płacz stłumiony.

Głos ten poruszył ją i przestraszył, tak, że nagle się zerwawszy, pobiegła do drugiej izby, w której już znowu było cicho. Odsłoniwszy oponę, ciekawemi oczyma poczęła się po niej rozglądać.

Druga komnata, przytykająca do tej, w której królowa Emnilda przy pracy dnie spędzała, mieściła zwykle służbę jej niewieścią, gotową na rozkazy.

I teraz nie było tu nikogo, krom trzech młodych dziewcząt, z których dwie cuciły na ławie u ściany trzecią, napoły omdlałą.

Ujrzawszy królowę wchodzącą, zapłakana z trudnością podnieść się usiłowała, dwie jej towarzyszki stały pomieszane i milczące. Królowa zdawała się nie pojmować, co tu pod jej bokiem stać się mogło. Szła ku osłabłej, gdy ta nagle, składając ręce i podnosząc je do góry, padła przed nią na kolana.

Błagająca ta, rozłzawiona dziewica była młodą

i bardzo piękną. Szafirowe jej oczy, ciemne włosy i śnieżna płeć, smukła i gibka postawa. — czyniły ją zarazem poważną i wdzięczną. Ubrana ciemno, z długiemi warkoczami, spadającemi na ramiona, piękniej i kosztowniej przystrojoną była, niż jej towarzyszki i zdawała się też wyższego nad nie pochodzenia. Złote sprzążki, łańcuchy, iglice, naszyjniki — odbijały świetnie od ciemnego stroju i włosa.

Była to córka ochmistrza królewskiego, Sieciecha, jedynaczka Teodora, wychowana od dziecka na pańskim dworze, a Emnildzie, jak własna córka, ulubiona. Królowa też przyczyny tych łez i rozpaczy pojąć nie mogła, bo pieszczone dziewczę nigdy się skarżyć na nikogo nie miało powodu. Kochali je wszyscy.

Teodora, zachodząc się od płaczu, padła na ziemię i zaczęła obejmować stopy królowej.

— Ocal go, miłościwa pani, ocal go!... albo i mnie niech razem z nim stracą... — zawołała, łkając.

Zarumieniona Emnilda, usłyszawszy to, skinęła na towarzyszki Teodory, aby wyszły, i, zwolna podnosząc ją z ziemi, spytała łagodnie:

— O kim mówisz, dziecko moje... ja cię nie rozumiem...

Łzy nierychło się jej wytłumaczyć dały, żal też i srom utrudniał wyznanie.

Z rozmowy i słów urywanych dorozumiała się królowa, że od dwóch lat już pomiędzy piękną córką Sieciecha a Jurgą Jaksą, w czasie świąt, obchodzonych na grodzie, zawiązał się miłosny stosunek.

Jurga był tak pięknym młodzieńcem, jak Teodora śliczną dzieweczką, charaktery obojga podobne; myśli wesołe, serca gorące zbliżyły ich ku sobie. Jurga, ile razy bywał w Poznaniu, acz się na dworze nie pokazywał, zawsze znalazł sposób zbliżenia się i widzenia Sieciechówny choć zdaleka. Pocichu zapowiedział jej już swaty. Później nieopatrzność młodzieńca, nieszczęsna ruina i zubożenie wstrzymały je; na dworze już o wszystkiem wiedziano. Dziewczę gotowe było iść za ubogiego, lecz byłżeby ją dał ojciec? Jurga więc cze-

kał wojny i łupów, poprawy w domu, lepszego czasu... i Teodora czekała...

Nagle, gdy śniąc o przyszłości, obiecywała sobie szczęście, dowiedziała się, że Jurga został na śmierć skazany. Rozpacz ją ogarnęła. Zabyła wstydu niewieściego i wszystko wyznała królowej, jak matce rodzonej.

— Dziecko moje — odezwała się, wysłuchawszy ją, Emnilda, — nie wiedziałam o tem, że Jurga bohdanem był twoim, — chodziłam upaść do nóg króla, płacząc, prosiłam go za nimi, ale nie pomogło nic...

— Miłościwa pani, matko moja! — krzyknęła Teodora, ręce załamując nad głową — jeżeli on zginie, ślijcie mnie do Dziewina, do Merseburga, gdzie chcecie, pozwólcie zamknąć się w klasztorze. Już ja świata znać nie chcę i żyć nie mogę, jeśli go nie ocalę...

— Bóg tylko jeden ocalić go może! — odparła Emnilda i łzy popłynęły jej z oczu. — Uspokój się, dziecię moje — dodała — uczynimy jeszcze, co jest w ludzkiej mocy.

Dziewczęta służebne, którym odejść kazano, musiały pewnie, przestraszone rozpaczą Sieciechówny, pobiec dać znać jej ojcu i w chwili, gdy królowa wychodzić miała, stary Sieciech, uchylając oponę, zjawił się w progu.

Ujrzawszy córkę zapłakaną, dziecię jedyne, z rękami podniesionemi — rzucił się ku niej przestraszony; klęczała jeszcze na ziemi.

Teodora, której niebezpieczeństwo dodawało odwagi przed ojcem, ujrzawszy go, na twarz upadła.

— Ojcze mój rodzony! — zawołała, nie tłumacząc mu się jaśniej — ty masz łaskę u króla, starym jesteś jego sługą... ty wyproś, ty wybaw go od śmierci!...

Zdumiony ojciec, dla którego dotąd wszystko było tajemnicą, obrócił się do królowej. Z jej ust dopiero usłyszał, o kogo Teodora prosiła; spuścił głowę siwą i stanął, jak skamieniały.

— U króla!... u króla wyprosić łaskę, gdy poprzysiągł... — szepnął głosem złamanym — tego nawet

pani nasza, ani opat Aron, ani święty nasz męczennik, Wojciech, gdyby z grobu wstał, nie potrafiłby pewnie... Cóż ja? Gdy spadną ich głowy, a gniew się pański uśmierzy, gdy król ochłonie — a! zaprawdę — posłyszymy może, jak to już nieraz bywało, żal i ból poniewczasie. Aliści one ich nie wskrzeszą!

Teodora, ciągle na ziemi leżąc, twarz sobie zakrywszy rękami, zanosiła się od łez i łkania — jęki jej stokroć wymowniejsze były, niż słowa.

Zadumał się Sieciech — królowa tulić i pocieszać ją zaczęła, lecz wszyscy z nią razem płakali...

Trwało to dość długo, gdy dziewczę, które się zdało bezmyślne i z bólu zdrętwiałe, zerwało się nagle; oczy jej zaczerwienione, ale oschłe z łez — błyszczały ogniem jakimś i męstwem wielkiem, chwyciła za rękę królowę i namiętnie całować ją zaczęła.

— Pani moja miłościwa! słyszeliście, co mówił ojciec, on króla zna... król sam straconych będzie żałować. Odważ się pani! ocalmy ich. mimo wiedzy króla... dla niego samego — ocalmy ich!...

Rzuciła się znowu na kolana.

— Wiem, słyszałam — mówiła, — że ich w więzieniu tracić mają. Nikt wiedzieć nie będzie... Ty rozkazać możesz, niech kat rękę powstrzyma, niechaj zostaną w ukryciu, w więzieniu, aż się gniew pański uśmierzy. Nikt ciebie pani nie zdradzi, bo cię miłują wszyscy... król nie spyta.

Gdy śmiałe dziewczę gorączkowo wymawiało te słowa, Sieciech i królowa zamilkli — strwożeni na samą myśl nieposłuszeństwa temu, który cienia jego nie znosił, którego gniew był jak piorun, bijący choćby w kościoły.

Emnilda milczała długo.

— Dziecię szalone — rzekła powoli — wieszże ty, czego śmiesz żądać ode mnie? Przy starym Sieciechu wszystko powiedzieć mogę. — Dałam dwóch synów królowi, nie sprzeciwiałam się nigdy żadnej woli jego, jak niewolnica byłam mu posłuszną, ale i dla mnie z latami serce jego ostygło, nie jestem już dla niego

ukochaną i jedyną. Szanuje mnie, ale powabniejszych twarzy szuka... Gdybym stała mu się nieposłuszną, radby się może był mnie pozbyć, jak się zbył matki Bezpryma i córki Rydgaga — co ją poprzedziła... Na siebiebym wyrok wydała — i na sumienie jego...

Spuszczając oczy, smutnie wyrazów tych dokończyła królowa i wszyscy stali niemi.

Sieciech dumał; boleść córki kazała mu szukać ratunku, gdzie już żadnego nie było.

— Miłościwa pani — odezwał się — próżne są obawy wasze! Krewkim jest pan nasz, ale serce ma dla was zawsze i poszanowanie... któż wie, ażaliby wdzięcznym nie był, żebyś go od własnego gniewu uratowała?

Zamyśliła się trwożliwie królowa.

— Któż wie? któż wie? — powtórzyła cicho. — Życie dwóch ludzi, którzy będą mieli czas odpokutować za grzechy swe, czy nie więcej warto — niż ostatek mojego szczęścia? Mieszko i Dobromir już matki nie potrzebują. U dworu młoda Ryksa mnie zastąpi... synowa...

Znowu łzy z oczu się potoczyły.

Ta iskierka jakiejś nadziei w szał wprawiła Teodorę; przyczołgała się do nóg królowej i ściskać a całować je zaczęła. Sieciech stał niemy, nie śmiejąc ani namawiać już, ani rzec słowa za nimi.

Emnilda zbliżyła się doń i szepnęła:

— Proście do mnie ojca Arona, a ty — zwróciła się do córki Sieciecha — odejdź stąd, uklęknij i módl się... Wszystko jest w Bożej mocy, ale Bożej woli nigdy się sprzeciwiać nie godzi. Idź, dziecko moje, w pokoju...

To mówiąc, królowa wróciła do pierwszej komnaty i, wprost do klęcznika swego doszedłszy, padła na kolana, poczynając się modlić gorąco.

Długi czas upłynął, nim powołany opat oznajmił przyjście swoje; wpuszczono go natychmiast do królowej.

— Ojcze mój! — rzekła, przystępując doń drżąca — rady twojej proszę. Radźcie, nie jako królowej, ale jako ubożuchnej chrześcijańskiej niewieście... Go-

dzi się dla ocalenia żywota ludzkiego kłamstwo popełnić?

Zdumiony opat stał chwilę milczący — zdawał się chcieć odgadnąć myśl i zastosowanie, jakie odpowiedzi jego nadanem być miało.

— Miłościwa pani — rzekł po namyśle. — Ojcowie kościoła nawet są w tym względzie różnego zdania. Sumieniowi spowiednika, rozumowi kapłana zostawia kościół ocenienie czynu... Bóg waży tajemne myśli człowiecze, ludzie sądzą postępki.

Emnilda wpatrzyła się w opata, który stał nieruchomy.

— Wyznam ci, jak na spowiedzi — rzekła. — Kuszoną jestem, abym dla ocalenia żywota dwóch porywczo przez króla skazanych młodzieńców kłamstwo popełniła i ludzi do popełnienia go skłoniła. Wy wiecie, ojcze, o kogo chodzi! Są to dzieci znacznej rodziny, która króla odstąpi i gniewną nań pozostanie, albo się z całem mieniem z kraju wyniesie, srom unosząc z sobą. Król sam później pożałować może, iż ich na śmierć skazał. Mam-li ja ważyć niełaskę mojego pana, wziąć grzech na sumienie, ażeby spełnić miłosierny uczynek?

Zimne i nieporuszone oblicze opata przebiegło jakby drgnienie jakieś niedostrzeżone; widocznie tknięty był tak wielką królowej ofiarą, tak serdeczną i piękną. Patrzał na nią ze zdumieniem, poszanowaniem i z niedowierzaniem razem.

— Wiem ja, co czynię — dodała Emnilda. — Wiem, że moja zwiędła twarz naprzykrzyła się już może panu mojemu, że nieposłuszną może wygnać z przed oczu swoich. Jedyne szczęście moje — dzieci i jego postradać mogę. Ale nie nakazał-że Chrystus, Pan nasz i Zbawiciel, ofiary czynić z siebie, tak jak On sam za nas się stał ofiarą?

Opat słuchał zdumiony — powoli głowę począł uchylać przed królową... ręce na piersiach założył, cofnął się krok...

— Nie grzech popełnisz, miłościwa pani — rzekł —

ale zasługę mieć będziesz u Boga. Sumienie twe mocą kapłańską rozwiązuję. — Lecz... choć królowej naszej, choć pani, choć żonie wielkiego Bolesława, znajdzież się człowiek tak śmiały, a tak pobożny, coby chciał być posłusznym? Ważysz, miłość wasza — wiele, a no ten, co cię posłucha, wbrew rozkazowi pańskiemu, więcej jeszcze ważyć musi — głowę i życie!

Nim opat słów tych domówił, na twarzy królowej radość zabłysła.

— Ojcze — zawołała — to sprawa moja! Ja sama odpowiem za wszystkich, ja jedna będę winną.

To mówiąc, zdjęła z palca pierścień kosztowny.

— Na pamiątkę dnia tego — rzekła — przyjmijcie mały ten dar ode mnie. Daliście mi męstwo, przynieśliście uspokojenie — Bóg niech wam zapłaci.

Zawahał się opat, dar przyjmując, lecz zmusiła go Emnilda, aby nie odmawiał.

— O tajemnicę was proszę — dodała wkońcu — od niej zależy ich życie i moje! Czas upływa...

Opat odchodził zamyślony, gdy królowa Emnilda znikła już z komnaty; szelest tylko jej sukni usłyszał, a obróciwszy się, zobaczył drżącą we drzwiach oponę.

Noc była nadeszła. Na zamku cisza panowała...

Więzienie, do którego rzucono dwóch Jaksów, znajdowało się opodal od dworców, do wałów przyparte. Były to ciemnice napół w samym usypie ziemnym skryte, z ogromnych balów sosnowych wybudowane. Ciężkie wrota okute, a w nich mniejsza furta, zaryglowana silnie, wiodły do izb, dla więźniów przeznaczonych. Wzdłuż od strony wnętrza zamku ciągnęła się długa, wąska szyja, poprzecinana gdzie niegdzie małemi okienkami, w które zaledwie rękaby przecisnąć się mogła. Z tej szyi kilkanaście drzwi, drągami pozasuwanych, prowadziły do ciemnych izb wilgotnych, w których zamknięci byli więźniowie na śmierć lub dożywotnią skazani niewolę... na długie lata powolnego konania.

W jednej z tych izb, niegdyś, przed laty, z rozkazu Bolesława oślepiono Odylona i Prybuwoja; tu czas

jakiś męczył się oślepiony także Bolesław Rudy, niegdyś król czeski... tu wielu innych, których imiona zapomniane zostały, dokonali żywota, albo po długiej męczarni wypuszczeni na swobodę, kryli się gdzieś daleko.

W większych izbach siedziało po kilku skazanych, w mniejszych po jednemu. Gdy wyrok padł na którego z zamkniętych, kat pod drzwi jego toczył pieniek krwawy, który zawsze w szyi ciemnicy stał wpogotowiu; pachołkowie wnosili pochodnie i ciężki topór jednem cięciem głowę od kadłuba dzielił. Wysypywano wór piasku na tocząca się krew, wynoszono trupa pocichu, drzwi kaźni zostawiano otworem, aby woń krwi miała czas ulecić, nim nowego wtrącono tu więźnia.

Tak się działo naówczas, gdy miłosierdzie królewskie chciało oszczędzić sromu rodzinie, lub sobie przykrego widoku... Niekiedy ofiarę wyprowadzano na plac i w oczach tysiąca ludzi czyniono z niej przykład dla drugich.

W jednej z tych izb właśnie, u trzecich drzwi od wnijścia, na garści słomy, w ciemnościach leżeli teraz Jurga i Andruszka. Znosili oni mężnie niedolę swoją, już się nie spodziewając ocalenia.

Dwa razy kapelan królewski przychodził spowiadać ich, do skruchy nakłaniać. Nie potrzebowali oni namowy jego; dawno wytrzeźwieni z chwilowego szału, biedni młodzieńcy, patrzyli mężnie na to, co ich czekało. W tej ostatniej godzinie serca się im otworzyły i oczy. Oba się winnymi czuli, a poczciwa miłość braterska wzmagała się jeszcze. Jurga siebie obwiniał, Andruszka, jako starszy, winę kładł na się, każdy gotów był na śmierć z rozkoszą, gdyby nią mógł brata ocalić.

Leżąc na słomie obok siebie, trzymali się za ręce i liczyli chwile pozostałe. Za każdym szelestem w podziemiu zdawało się, że oto krwawy pieniek o drzwi uderzy i oznajmi: na śmierć iść pora.

W więzieniu panowała ciemność bezdenna; żaden najsłabszy promyk do niego się nie wdzierał. Cicho też

było, jak w grobie, — najmniejszego szelestu. Straż stała nazewnątrz, w szyi ciągle prawie było pusto.

— Gdyby król nas był dopuścił do siebie, Andruszka, gdyby mi przed sobą mówić pozwolił, — pewien jestem, że łaskębym dla ciebie był wyprosił. Tyś młodszy, przy mnie władza była, starszeństwo — jam za dwu sam odpowiadać powinien!

— Andruszko, bracie — zawołał Jurga. — Jakże ty pomyśleć możesz, że jabym chciał żyć, kupiwszy bezkarność krwią twoją? Miłe mi życie, miłe, to pewna. Kocham Sieciechównę... śmiał mi się w niej świat — a jednak i jej, i jego nie chciałbym bez ciebie.

— Wspomniałeś córkę Sieciecha, możnego ona ma ojca — rzekł starszy — gdyby ci sprzyjała, onaby przez niego dla ciebie coś potrafiła uczynić.

— Nie — odparł Jurga, — czyż króla nie znasz? alboś go to nie widział w boju i pod lipą, gdy sądził i gdy go wróg rozsierdził? Naówczas on litości nie zna i opamiętania nie ma. A nierychło ochłonie.

— Cicho — nie mów na niego nic — wtrącił starszy.

— Juści się go teraz więcej bać nie mam potrzeby — porywczo odparł Jurga — chybaby mnie końmi rozszarpać kazał... a głowę muszę dać, czy tak, czy tak!

— Nie dla strachu to mówię — westchnął Andruszka — a no dlatego, że choć on ci życie bierze, ja go nie winię. Sędzia i król, kto wie? na jego miejscu jabym też może kazał ściąć Andruszkę, a Jurgę tylko z żywotem puścił.

Uciszyli się rozmową, bo koło drzwi coś się chrobotać poczęło. Przez szpary zabłysło światełko słabe, odpadł drąg, stróż więzienny, którego, niewiadomo dlaczego, nazwano Rybą, wsunął się do lochu, z pękiem łuczywa w ręku.

Człek był takiego wzrostu, że musiał nieco przygięty stać w izbie podziemnej, której dyle nisko leżały... Głowę miał okrągłą, kudłatą, z oczyma białemi siedzącemi na wierzchu, jak u żaby. Na gołe ciało okry-

ty kożuchem, z nogami skórą poobwiązywanemi do kolan, straszny był, jak kat, którego też obowiązki niejeden raz musiał sprawować.

Gdy kogo udusić przykazano, zwykle Ryba się podejmował; w szerokie, żylaste dłonie ująwszy gardło, niewiele czasu potrzebował, aby ofiara u nóg mu padła. Naówczas patrzał i śmiał się uradowany, że mu to przyszło tak łatwo.

Zwykle chodził powoli, jak senny, milczący, oczyma żabiemi ofiary swe równie mordując powoli, nim je ręką tknął jeszcze.

Gdy Ryba wszedł, bracia mimowolnie przycisnęli się do siebie, dłonie ich mocniej się ujęły, serca uderzyły — sądzili, że już po nich przychodzi. Stróż wziął zostawiony przy otwieraniu za drzwiami dzbanek i kawał czarnego chleba, którym był pokryty... Nie mówiąc nic, przysunął go do barłogu i ręką czarną wskazał.

Andruszka nań popatrzał.

— A co nam potem — zamruczał — wszak dziś?...

Ryba zmierzył go oczyma i dwa szeregi zębów ogromnych błysnęły mu z za warg wypukłych; ramionami ruszył, głową strząsnął, nie odpowiedział nic, odwrócił się tyłem i powrócił do drzwi, które, zatrzasnąwszy, już miał drągiem zawalić, gdy u wnijścia dał się słyszeć jakiś szept czy mruczenie, niby krótka jakaś sprzeczka.

Drąg opadł znowu, światło wróciło i opat tyniecki w czarnym długim płaszczu wszedł wolnym do więzienia krokiem. Ryba, podniósłszy łuczywo do góry, przyświecał w progu, z miejsca się nie poruszając.

Obaj bracia na widok duchownego powstali. Znali go dawniej na dworze króla, bo któż nie znał opata Arona, który u Bolesława był, jak on sam mawiał, pierwszem okiem w głowie.

Wchodząc, opat się odezwał. że im pociechę chrześcijańską przynosi, i spytał, ażaliby co rodzinie do przykazania nie mieli lub prośby jakiej przedśmiertnej, którejby zadość mógł uczynić. Mówiąc to, spoglądał dziwnie znacząco na stróża.

Niezrozumiałe to były zaprawdę odwiedziny, gdyż Jaksowie już byli przez kapelana królewskiego na śmierć przygotowani i wyspowiadani i jemu też wszystkie swoje polecenia przekazali.

— Mój ojcze, — rzekł Andruszka smutnie — nie pozostało nam o nic prosić, chyba o modlitwy za dusze nasze.

— To obowiązek kapłański — odezwał się opat. — Wprawdzie — dodał — nadziei mieć trudno tam, gdzie żadne prośby ani żywych, ani umarłych nie pomogły nic — jednak człowiek do ostatniego tchnienia w miłosierdziu Bożem i cudach Opatrzności powinien mieć nadzieję.

Słowa ostatnie wymówił opat z naciskiem jakimś i znacząco, więcej jeszcze nad nie zdawał się mówić wzrok jego.

Andruszkę uderzyło to, że opat wspominał prośby umarłych!

— A któż umarły mógł się wstawiać za nami? — zapytał ze smutnym uśmiechem. — Ludzie z grobów nie wstają.

— Tak było — począł mówić opat — i słuszną jest rzeczą, byście dla pociechy waszej o tem wiedzieli. Stryj wasz Janko, starzec dogorywający, dowiedziawszy się o nieszczęściu, które rodzinę dotknąć miało, mimo wieku i choroby na koń się kazał wsadzić i jechał do króla prosić za wami. Jechał dniem i nocą do Poznania, a zmarł w drodze i, umierając, synowi polecił, by go trupem zawiózł przed króla — i by trup jego mówił za wami.

Bracia zdumieni spojrzeli po sobie.

— Któżby się tego po tak zagniewanym stryju spodziewać mógł! — szepnął Jurga.

— Cóż król na to? — spytał Andruszka.

Opat zmilczał; domyśleć się łatwo było, dwaj bracia spuścili oczy.

— Ojcze mój — odezwał się Andruszka — nie płaczę ja po życiu ani pańskiemu wyrokowi złorzeczę; karząc mnie, król zadośćby uczynił sprawiedliwości.

Jam był głową domu, na mnie jednego spaśćby powinna zemsta i gniew pański. Jurga powinienby zostać i ocaleć, abyśmy całym rodem nie ginęli.

— A! niechby los ten padł na mnie — przerwał Jurga — jam więcej winien, bom się dał Szwabowi pierwszy pociągnąć.

W tej chwili, jakby korzystając ze światła, które im w oczy sobie spojrzeć pozwalało, dwaj Jaksowie wejrzeli na siebie, i w uścisku tym słychać było, jakby nierycerski jęk boleści.

Opat stał poruszony, milcząc. Ryba nawet wielkiemi oczyma swemi wpatrywał się ciekawie w braci, których przywiązanie zdawało się dlań rzeczą niepojętą. Widział on wielekroć dwóch wspólników zbrodni, którzy winę i karę wzajem na się zrzucać usiłowali, ale nie zdarzyło mu się nigdy spotkać ludzi, coby na śmierć idąc, wyręczać się i jeden za drugiego ginąć chcieli. Potrząsał głową, jakby nie rozumiał, czy nie wierzył.

— Miejcie nadzieję w miłosierdziu Bożem — cicho wyszeptał opat i podniósł ręce do błogosławieństwa.

Bracia poklękli na słomie, zniżyli głowy, skupione razem, a kapłan pocichu, szepcąc modlitwy, krzyż zakreślił nad nimi.

Oba przyczołgali się, aby rękę jego ucałować, a gdy się zbliżyli doń, mógł raz jeszcze powtórzyć im dobitnie pocichu:

— Módlcie się — i miejcie nadzieję! miejcie nadzieję!

Zatem, żywo się zawróciwszy, wyszedł zaraz i Ryba, drzwi za nim zatrzasnąwszy, drąg założył.

Zostali znowu sami w ciemnościach; słaby tylko promyczek jakiejś nieokreślonej nadziei im przyświecał. Czuli, że opat nie byłby może przyszedł do nich, gdyby nie miał im z sobą przynieść jakiejś otuchy.

W więzieniu tem dnia od nocy rozróżnić było niepodobna, chyba po ruchu, jaki w szyi czasem słyszeć się dawał.

Znużeni Jaksowie, mimowoli po długiej rozmowie zdrzemnęli się, leżąc na słomie obok siebie. Sen był

przerywany co chwila, niespokojny, najmniejszy szelest zdawał się oznajmywać kata.

Noc wydała im się bez miary długą, a choć się spodziewali śmierci, głód dokuczać zaczynał. Wyszukali dzban i chleb, rozłamali się nim, napili wody, nikt nie przychodził.

Po nieskończenie przeciągniętem milczeniu naostatku posłyszeli szelest i stąpanie w szyi. Kroki jakichś ludzi zbliżały się ku ich drzwiom, mruczenie i szepty im towarzyszyły. Zaczęto odwalać drąg, zabłysło światło.

Jurga i Andruszka, widząc nadchodzący zgon, raz jeszcze rzucili się sobie na szyję i uściskali. Gdy oczy podnieśli, ujrzeli izbę pełną ludzi. Pachołkowie to byli jacyś zakapturzeni, milczący i wskazujący im rękami, by natychmiast wstawali i szli z nimi.

Ryba stał u drzwi i ciekawie się przypatrywał, przecierając zaspane oczy.

Kata widać nie było. Pomimo to obaj bracia wstali w tem przekonaniu, że ich wiodą na stracenie. Ujęli się za ręce, wyszli razem. Dokoła wnet otoczyli ich pachołkowie, a że ludzie byli dorodni, chłop w chłopa, nie mogli nawet za ich czapkami dojrzeć, ani zmiarkować, dokąd ich prowadzą.

Zdala czas jakiś Ryba przyświecał łuczywem, potem światło to zgasło i znaleźli się wśród nocnych ciemności.

Czuli owiewające ich mroźne powietrze, Jurga, podniósłszy głowę, spostrzegł nad sobą niebo i gwiazdy.

Jakiś czas postępowali w milczeniu, pod nogami czując to ziemię zmarzłą, to skorupę lodu, to trochę śniegu, którym ziemia była okryta.

Wtem pachołkowie się ścisnęli i bracia z podziwieniem ujrzeli się w jakiejś ciemnej budowie. Prowadzono ich, popychając, przejściami wąskiemi, skrzypnęły jakieś wrzeciądze, wtrącono ich znowu do izby ciemnej. Wnet cofnęli się ci, co im towarzyszyli, i bracia znaleźli się sami w jakiemś więzieniu nowem, nie mogąc sobie wytłumaczyć tej zmiany.

Chwilę postawszy w miejscu. Jurga ruszył się pierwszy szukać ściany. Pod dłońmi uczuł mur zimny. Podłoga była z dylów ułożona. Gdy oczy oswoiły się z ciemnością, u góry ujrzeli przez szpary okiennicy zamkniętej wciskające się blade światełko jakiegoś brzasku.

Dokoła panowała cisza głucha, kiedy niekiedy tylko przerywana szmerem, jakby ludzkiego głosu stłumionego, który brzmiał, jak oddalony śpiew powolny.

Nikt nie przychodził.

IV.

Nazajutrz raniej, niż zwykle, w sypialni królewskiej słychać było ruch. Stróż, śpiący u drzwi, natychmiast przyszedł ogień rozniecić, a gdy w otworze okiennicy światełko błysnęło, ruszyli się i dworscy i starsi komornicy pańscy, aby stać wpogotowiu na zawołanie.

Pierwszy, co wszedł z ogniem, stary palacz i stróż progu, znał tak zdawiendawna króla, że dość mu było jednego wejrzenia na jego oblicze, aby zmiarkować, jaki dzień się zwiastuje. Burza, czy pogoda malowały się zawsze tak wyraziście na tem czole szerokiem, zwłaszcza gdy w domu osłaniać się nie miały potrzeby, że starego pańskiego stróża pytano, gdy wychodził z pańskiej komory — jak tam napisano na czole, jasno, czy chmurno?

Tego dnia jakoś nic się dobrego nie święciło; król, gdy stróż wszedł, siedział już na łożu, sparty rękami obiema, włos miał rozrzucony, brwi jeżyły się gęste, zadumany był i ze snu wyniósł gniewy.

W synu Mieszkowym było ojcowskiego wiele, ale z matki przeszła doń gorąca krew Bolesława Lutego, którego imię nosił. Mieszko milczący był i zamknięty; i Bolesław nim być umiał, ale zmuszać mu się było potrzeba do kłamania twarzy i zaparcia ust.

Na twarzy i w mowie widać było męża potężnego, co siłę swą czuje i walki żadnej się nie lęka. Pod czo-

łem wypukłem i szerokiem drgały, widocznie, niemal bujając się, myśli nietajone. Postawa malowała dumę nie małego człowieka, który ją nosił, jak ranę, nieustannie obawiającą się dotknięcia — ale dumę bohatera, co wie, iż prawo ma stanąć wysoko z woli Bożej.

Od śmierci Mieszka, który z pokorą niemal stawił się nieraz u progu cesarskiego pałacu w Quedlinburgu i Dziedzinie — do tej chwili, gdy Bolesław stanął prawie narówni z cesarzem Niemiec, zawojowawszy szerokie ziemie słowiańskie, marząc o podziale z nim świata na dwoje, upłynęły nie lat dziesiątki dla Polan, — ale jakby całe wieki...

Jedna myśl od pierwszej do ostatniej chwili zajmowała Bolesława: stworzenie państwa Słowian tak potężnego, ażeby murem mogło stanąć przeciw niemieckiej nawale. cisnącej się ku wschodowi i wypierającej Słowian coraz głębiej ze środka Europy, z siedzib starych i drogich. Cel ten stał mu na myśli ciągle.

Od zachodu światła pożyczyć, stanąć z nim narówni wszystkiem, co dawało siłę, bronić się zarazem najazdowi i jego zaborom — tego chciał i dopiął Bolesław. Imię jego już groźnem było, strasznem i znienawidzonem u Niemców. Zwano go wężem zdradliwym, lwem ryczącym, miotano nań obelgi, które stały za największą chwałę.

Włos mu się posrebrzył w tych myślach i trudzie; państwo stało już, jak budowla, której słupy ręka wbiła w ziemię, a no, dachu i ścian brakło jeszcze, nie było wałów i ogrodzenia, coby ten gmach bezpiecznym czyniły.

Młody Mieszko, syn królewski, chodził po granicach, wprawiając się do ich obrony; dłoń miał po ojcu silną i rycerską. ale czy myśl z nią narówni potężnie urosła — sam ojciec pewien nie był.

Dlatego w chwilach ciszy i rozmyślań samotnych zawsze mu prawie czoło zachodziło chmurami i wielki król patrzał na dziedzica swego, jakby z przeczuciem smutnem. Aby to państwo, stworzone przezeń, — utrzymać, pieczy trzeba było nieustannej, zachodów

i tego oka, co zgóry patrząc, widziało naraz, co się działo, co się dziać miało od brzegów Dunaju do wybrzeży Baltyku.

Bolesław nawykł do tego, syna wprawiał do życia na koniu i straży, a jednak w przyszłość patrząc, smucił się i niepokoił. Mężny rycerz Mieszko aż nadto był ojcu posłusznym, szedł na rozkazanie, ale sam rozkazu dać nie śpieszył. Spokojniejszy duch mieszkał w synu, a jemu spokoju miłować nie było wolno.

I tego dnia, jak często, wielki król wstawał z łoża posępnym; ciasno mu było w sypialni, duszno w zamknięciu, za cicho na dworcu, ściany go ściskały, jak więzienie...

Przez okiennice zawarte dzień się przeciskał, na kominie ogień płonął i trzaskał wesoło.

Pierwszy po stróżu wszedł do sypialni stary Sieciech, gładząc brodę i uchylając głowę. Przybywał po rozkazy.

Król długo nań popatrzał, nim się odezwał, — a pierwsze jego słowa były:

— Jaksów stracono?...

Rozkaz królewski, wczoraj wydany, brzmiał, że dnia doczekać nie mieli, a dzień biały cisnął się już przez okiennice.

Sieciech, milcząc, skłonił tylko głowę, król spojrzał nań i zamilkł.

Twarz znowu surowszą się stała i posępniejszą jeszcze.

— Miklasza Jaksę, który tu ojca przywiózł — odezwał się król — przywołać do mnie.

Sieciech potrząsł głową, dziwnie jakoś zafrasowany, i podniósł oczy.

— Miklasz, miłościwy panie, wedle przykazania ojca na śmiertelnem łożu, nic nie zyskawszy, musiał zaraz wczoraj z ciałem jechać stąd precz. Wola ojca dla dziecka jest święta... Nie ujrzą go tu więcej oczy nasze. Zaklęli się Jaksowie i wszyscy powinowaci ich, że progu zamkowego nie przestąpią więcej... Wszyscy, ilu ich jest! — westchnął Sieciech.

Zarumieniła się, jakby krwią oblana, twarz króla, spojrzał groźnie, pogardliwie, ale... nie wybuchnął.

— Dziś dodnia — kończył Sieciech — Jaksów powinowaci, dwu najdzielniejszych dowódców naszych, Szreniawa i Pobóg, pojechali precz ze dworu z drużyną?

Zaczerwienione oblicze pańskie zapłonęło mocniej jeszcze; drgnął, coś niewyraźnego, jak przekleństwo z ust mu się wyrwało.

Sieciech stał z opuszczoną głową siwą.

— Pozwijcie opata Arona do mnie — rzekł król. W tej chwili odprawia mszę świętą...

Na to Bolesław nie odpowiedział nic i dał po chwili wyjść Sieciechowi.

Ledwie za nim opadła zasłona, gdy się wsunęło pacholę. Zdala wyglądało na wyrostka, zbliska mu się przypatrzywszy, poznać można było karła i niemłodego już człowieka. Darował go był niegdyś królowi Guncelin, przyrodni brat jego, a raczej powinowaty, syn wygnanej Ody z drugiego łoża.

Niemczyk, przywiązawszy się do pana, jak wierny pies niemal, był poufałem stworzeniem na dworze. W części przez litość nad słabą istotą, trochę dla zjadłej złości i dowcipu, któremi zabawiał — Zyg był królowi upodobanym. Jeśli sobie nadto pozwolił, król nogą wyrzucał go za drzwi, częściej jednak słuchał tak, jak się cierpliwie słucha brzęczenia owadu w lecie. Wolno mu było wiele, musiał przecie patrzyć na marszczące się brwi pana, ażeby nie przebrać miary.

Dziś, gdy król spojrzał na wchodzącego, karzeł pozostał bojaźliwie wdali. Poznał, że zbliżać się nie było bezpiecznie. Uchwycił kawał drewna, leżącego przed kominem, i, milcząc, przyrzucił go na ognisko. Stanął potem przy niem, ręce założył na piersiach i, patrząc w oczy panu, głową pokręcał.

— Psy całą noc wyły... — począł nieśmiało — i wilki nabrały takiego zuchwalstwa, że pod sam gród podchodzą... Musiały tu zwietrzyć trupy... Koło ciemnic tej nocy coś bardzo się uwijano...

Pokiwał głową. Bolesław spojrzał nań, karzeł zamilkł.

— Przybył tam kto nowy na zamek? — spytał Bolesław cicho.

— Pełno, miłościwy panie, pełno... Objedzą nas do prószynki... Z Czech któryś ze Sławników znowu, koni pewnie czterdzieści, z Rusi — Turowski kneź, koni z pół setka; z Niemiec — Bawar jakiś, zbroi z pół kopy... od Wendów starszyzna, chyba też z sorok głów. Zato Szreniawy i Pobogi pogniewali się na miłość waszą i wypowiedziawszy wojnę, pojechali się na nią sposobić... To dopiero będzie wojna!... Słychać ze dwa tysiące komarów i trzy tysiące much w pomoc sobie przybrali... i już to wojsko ciągnie... Z bocianami do nas na wiosnę przylecą, to dopiero krwi utoczą, aż strach!...

Zyg miał zwyczaj sam się śmiać naprzód z żartów swoich, aby drugich rechotaniem do śmiechu pobudzić — i teraz uczynił to, aby panu dodać ochoty, ale popatrzywszy — śmiech mu się nagle w połowie urwał.

Zamilkł i za komin się ukrywszy, do ściany przytulony, przypłaszczył się. Nie miał już myśli próbować rozweselić raz drugi i nową przysposobić zaczepkę.

Wśród milczenia przewlókł się potem do sypialni, trzymając ścian, raz i drugi, jakby się chciał królowi przypomnieć. Widząc, że i to nie poskutkowało, bo król oczy odwracał, przesunął się ku drzwiom. Podniósłszy zasłonę, skłonił się do samej ziemi z przesadzoną pokorą i rzekł:

— Czołem panu...

I znikł.

Po wyjściu jego król w dłonie klasnął; weszło dwu dworzan komorników, a tym rozkazu nie było potrzeba, aby wiedzieli, co robić. Nieśli odzież, obuwie, i poczęli do wstania służyć. Król kożuch tylko włożył i stanął przed ogniem, który, paląc się jasno, całą komnatę ciepłem wypełniał.

W chwilę potem opat Aron ukazał się we drzwiach. Na widok jego twarz pańska widocznie się wyjaśniła.

— Chciałem już widzieć was, ojcze — odezwał się

poufnym tonem — Całą noc sny mnie dziwnie dręczyły, zmora mi pierś dusiła. Zdało się, jakby całe wojsko cesarza Henryka na mnie legło i zgnieść mnie chciało... Z nimi, choćby się poprzysięgła zgoda i przyjaźń, pokoju nie będzie nigdy..

Uśmiechnął się opat łagodnie.

— Nic teraz nam nie grozi — rzekł — cesarz gdzie indziej ma dosyć do czynienia, a król Bolesław dość mocen jest, aby się nie obawiał nikogo, nawet cesarza.

— Mocen! mocen!... — powtórzył król. — Ojcze mój, moc ta moja, jako sznur naprężony... twardy on jak żelazo... prawda... aliści co chwila grozi pęknięciem... Trwogę muszę siać, abym sam jej nie miał...

Zamilkł, patrząc w ognisko i dodał, jakby pytając:

— Jaksów stracono...

Czuć było, że ich miał na myśli, że oni to, nie wojsko cesarskie, byli dlań tą nocną zmorą.

— Ja nie wiem... — rzekł opat krótko.

— Tak, zginęli... — dodał Bolesław — zginęli! Szkoda mi ich... ale nieubłaganym być musiałem. Rycerstwo żelazną dłonią trzymać potrzeba, lub jak stado wilków się rozwydrzy. Straciłem nie tych dwu Jaksów, ale cały ich ród... poszli precz oni, idą ich powinowaci... Ubędzie mi rąk i serc dzielnych, przyrośnie gniewu i niechęci...

— Miłościwy panie — przerwał opat, — co się stało, rozważać już za późno...

— Mój ojcze — mówił, nie dając sobie przerywać, Bolesław — królewska wola, gdym ją raz objawił, rzecz niepowrotna. Ja sam jestem jej niewolnikiem. Niewiasty tylko słabe idą i powracają; mężowie, gdy raz poszli, wiedzą, iż wracać srom... Nie podałem tyłu nigdy ani w bitwie, ani w sądzie... Gniewny byłem, gdym ich skazywał, alem słowo rzekł...

— Gniew — zły doradca zawsze — przemówił opat. — Słyszę, że krom Szreniawów i Pobogów, dwu Starżów, krewnych im, i Lis — jadą precz ze dworu.

Gniewnie król ręką rzucił.

— Niech idą! niech jadą!...

Lecz widocznie go to bolało.

I jakby umyślnie zwracając rozmowę, rzekł zmienionym głosem do opata:

— Czyście myśleli o tem, o czem wam mówiłem wczora?

— Nieustannie — odparł Aron — myślałem i modliłem się, miłościwy panie...

— Zrozumiałeś mnie — ciągnął król, ożywiając się. — Patrz... starym być poczynam, włos mi codzień więcej siwieje... ociężałem. O zbawieniu myślę, a za przyczyną świętego mojego opiekuna, Wojciecha, i patrona Maurycego i Wacława Bóg mnie za przewinienia karać nie będzie... Trzeba myśleć, aby pot i krew moja, co w tę ziemię wsiąkła, nie poszły na marne. Noc i dzień słucham, ażali nad granicami krzyk się nie ozwie... Grozą tylko mogę strzymać napastników... Tą grozą dla mnie, dla syna — będzie korona na skroni... królewska korona... Dlaczegóż jej nie mam otrzymać?... Co ojciec nasz, Benedykt, straci, gdy mi ją da, jak innym, którzy ani tyla ziemi, ani takiej nie mieli potęgi? Synowi, jak zbroi, potrzeba korony, pobłogosławionej w Rzymie... O t t o III, niech mu Bóg świeci nad duszą, własną swą cesarską włożył mi na skronie... za berło dał mi włócznię św. Maurycego... a jednak przeczą mi tytułu króla i korony... ja ją mieć muszę.

Ognistemi oczyma spoglądał na opata Arona, który, trzymając wzrok utkwiony w ziemię, wciąż patrzał i myślał.

— Cóż ty mówisz, ojcze? — począł król, ożywiając się coraz więcej — tyś najbliższym doradcą moim... tobie jednemu ufam, ty widzisz jasno, radzisz rozumnie, a ważyć umiesz wszystko.

— Miłościwy panie — odparł opat po długim namyśle, jakby z ciężkością zdobywał się na słowo — nie przeczę ja, że blask korony doda świetności twej skroni, a siły Mieszkowi, ani, uchowaj Boże mnie, sądzę, by kto nad ciebie, panie, był jej godniejszym, lecz...

— Cóż więc, co? — spytał król porywczo — mów mi wszystko, całą prawdę, jak ojciec duchowny...

— Królu a panie — ciągnął Aron, — korona nie tyle zwiększy twą potęgę, co złości i zawiści obudzi... Nieprzyjaciół uskromionych drażnić niebezpiecznie... Sam cesarz Henryk w Rzymie stanie na przeszkodzie, nie tylko u papieża, ale gdziekolwiek będzie mógł stawiać przeszkody.

— A ojciec święty, Benedykt, maż mu poddanym być?... Nie jestże on następcą Chrystusa i panem a rozdawcą wszystkich koron świata?...

Opat stał znowu zadumany i król, nie doczekawszy się odpowiedzi, z coraz większą począł mówić gorącością.

— O t t o III dał mi koronę... przyrzekł mi ją pobłogosławioną. Śmierć nie dozwoliła mu wykonać tego, co ślubował. Nigdy ja nie opłaczę dość tego druha a pana, z którym ręka w rękę byłbym doszedł do wszystkiego, czego pragnąłem... Z jego zgonem zachwiało, popsuło się wszystko!...

— Możesz-że, miłościwy panie, uskarżać się na niepowodzenie? — szepnął Aron.

— O! Pragi, Pragi straconej nigdy nie zapomnę — zawołał Bolesław — i tego poranku na Wyszehradzie, gdy się róg pastuszy odezwał na moście! Róg ten stratę państwa mi zwiastował — a miałem je w dłoni!...

Aron westchnął.

— Panie — rzekł cicho — a nie byłże to palec Boży za oślepionego Bolesława?

— Miałżem tego wściekłego okrutnika oszczędzać? — wybuchnął król gwałtownie, podnosząc się z siedzenia. — Łaskawy mu byłem, zostawując życie, bo na stokrotną śmierć ten dziki przechera zasłużył...

Opat zmilczał.

— Ale z Czechami, Czechami rzecz nie skończona — ciągnął Bolesław, jakby sam do siebie. — Dwoje państw jednego języka obok siebie być nie mogą. Dwa wilki głodne nie pasą się około siebie, jeden drugiego

rozszarpać i zadławić musi. — Ale czy Mieszko temu podoła?

— Wszystko jest w mocy Bożej — ozwał się opat chłodno — maleńki Dawid zwyciężył olbrzyma Goljata.

— Niech mi moc dla dziecka da Boży zastępca na ziemi — począł Bolesław, pilno wpatrując się w twarz opata, z której nie mógł wyczytać myśli, — wy wiecie, ojcze, że to jedyne moje pragnienie dzisiaj, cel mój wielki... korony mi trzeba, należy mi się korona, i mieć ją muszę!

To mówiąc, Bolesław uderzył ręką o poręcz krzesła...

Aron nie zaraz na odpowiedź się zebrał.

— Jest to sprawa zbyt wielkiej wagi — rzekł powoli i chłodno, nie spoglądając na króla, a oczy trzymając w ziemię wlepione — sprawa zbyt niebezpieczna i śliska, aby ją można podjąć na lekko. Rozważyć potrzeba dobrze. Wyciągnąć rękę, uczynić pokuszenie, a nie dokonać tego, co się zamierzyło, takiemu, jak wy, nie przystało panu. Na pewno działać potrzeba, więc baczyć pilno...

Bolesław nieznacznie zżymnął ramionami i zakończył, powstając:

— Więc na was składam obmyślenie środków i wykonanie, ojcze mój... Nadam opactwo wasze ziemiami szerokiemi, rozmnożę zakon wasz, uczynię was możnymi i niezależnymi, jak kneziowie, uczynię, co każecie dla powiększenia chwały Bożej, a wy mi pomóżcie. — Znacie drogi do Rzymu i w Rzymie.

Opat Aron, nie odpowiedziawszy nic, pokłonił się i wyszedł krokiem powolnym do izb gościnnych, na których już wszyscy obcy i dwór był zgromadzony. Ścisk wszędzie zastał ogromny. Nadchodziła godzina posłuchania i obiadu, naówczas rannego bardzo.

Wielki gmach, w którym zastawiono stoły dla mnogich gości, i izby boczne pełne były ludzi, widocznie przybyłych z rozmaitych stron i krajów. Poznać to by-

ło po stroju. Większa część starszyzny miała na sobie kożuchy kosztowne, rozmaicie pookrywane i wyszywane; rycerstwo stawiło się w kaftanach grubych, łuskami żelaznemi naszywanych, służba pańska kręciła się w szatach jaskrawych, bramowanych złotem.

Wśród tych najwspanialszych strojów i wykwintnej odzieży zachodniej widać było i nader proste odzienie władyków i żupanów kraju, od krańców jego zapadłych gródków przybyłych... Na tych wieki przeszłe jeszcze znać było. Szli w kożuchach czarnych, w pasach wełnianych i skórzanych, z ladajakim i niepozornym starym orężem u boku, wcale się nie zdając o to troszczyć, jak wyglądali. Rozstępowano się im jednak z uszanowaniem.

Kilkunastu Ugrów stało w dziwnych strojach jaskrawych; z boku Niemców też łacno można było rozeznać po kroju sukien cienkich i frankijskich opończach a strojach, których wiele za Ottonów jeszcze z Włoch poprzywożono.

Pomiędzy gośćmi gospodarzyli komornicy królewscy, stolnicy i podkomorzowie, wszyscy odznaczając się jednakiemi ciężkiemi łańcuchami na szyjach i laskami w ręku.

Całkiem osobno w pierwszej izbie stała królewska drużyna. Tę składali mężowie, w wojnach i w życiu wypróbowani, a było ich zwykle dwunastu, którzy nad dwunastu krajami, podległemi Bolesławowi, zwierzchnictwo mieli czasu wojny i dozór czasu pokoju. Acz król sam rządził, władał i sądził, a nikt pod nim własnej nie miał woli, dzielił się z nimi władzą, a używał rady. Oni mieli ucho pańskie, zaufanie jego, wiedzieli tajemnice, drugim zakryte, oni i opat tyniecki, doradca sumienia królewskiego, najbliżej stali tronu.

Gdy u czterdziestu stołów codziennie zasiadali goście, których mieniał każdy ranek, a nigdy ich tu nie zabrakło, w osobnej izbie, u pańskiego stołu tylko tych dwunastu zasiadać mieli prawo, gdy Bolesław zawezwał ich do siebie.

Byli to najmożniejsi władcy, najdzielniejsi żołnie-

rze, najrozumniejsi ze starców, w bitwach ogorzałych. Gdy z nich jeden padł na wojnie, albo zmarł wiekiem złamany, długo stało po nim puste siedzenie, aż król w miejsce jego następcę mianował.

Teraz właśnie zmarł był niedawno stary Jakób Lis, po którym stało opróżnione miejsce w radzie i u pańskiego stołu; król zwlekał dotąd z posadzeniem na niem spadkobiercy, a kto nim miał być, ani się nawet domyślano.

Chociaż i Zyg, i Sieciech, i opat tyniecki oznajmili byli królowi, iż wszyscy krewni Jaksów rozżaleni od dworu się oddalili, stary Pobóg stał jeszcze sam z nich wszystkich u progu wielkiej izby wraz z dworem króla i dotąd się nie oddalił. Tylko konie jego i ludzie w podwórcu już gotowi do podróży czekali.

Sparty na kiju kutym z rękojeścią, młotem opatrzoną, stary wódz z twarzą, bólem jakimś pomarszczoną i pofałdowaną, czekać się zdawał na coś niecierpliwie u proga.

Oglądał się i poruszał, oczyma wodził, a ci, co go znali, — ani go pytać, ani zagadnąć nie śmieli, tak chmurnem wejrzeniem i brwią nasępioną ich odstręczał. Z siwą i wyłysiałą głową, przygarbiony, wśród tego ożywionego tłumu, sam jeden zdawał się obojętnym na to, co się koło niego działo. Sieciech się doń przybliżył.

— Gdzie król? — spytał Pobóg. — Dlaczego nie przybywa?

— Będzie za chwilę — odrzekł Sieciech. — Panie mój — szepnął na ucho, pochylając się ku niemu, — jestli to prawda, co słyszę, że chcecie dwór opuścić? Drużyna wasza stoi pode drzwiami.

— Tak jest, — niezawodnie — krótko odrzekł Pobóg — jadę.

— Król dziś bardzo posępny — nie pora.

Ramionami ruszył Pobóg.

— Nie ulęknę się — zamruczał. — Głowę mi może wziąć!

— Szreniawy i Lisy pojechali w milczeniu, nie żegnając pana — zamruczał Sieciech, — tak lepiej!...

— Co komu lepiej — odparł Pobóg.

Wtem stał się ruch wielki, gwary umilkły... rozproszeni w nieładzie zaczęli się ustawiać gromadkami, zdala słychać było stąpanie ciężkie, powolne i szelest jakiś, jakby szat jedwabnych.

W oddaleniu ukazał się król, okryty sobolą szubą podpasaną, z kołpakiem na głowie. Pod tem zwierzchniem okryciem miał drugą suknię wełnianą, bramowaną złotem, a u pasa mały ów miecz z rękojeścią z kości, pochwę złoconą, miecz, który go nie opuszczał nigdy. Był to „Szczerbiec".

Laskę trzymał w ręku.

Szedł zwolna, poglądając w prawo i lewo po twarzach, niekiedy głową skinął, nie zatrzymując się, i oczyma dał znak jakiś.

Niskiemi pokłonami i rękami zwieszonemi do ziemi witali przytomni nadchodzącego pana.

Poszedł tak krokiem wolnym, aż do drzwi wielkiej izby stołów czterdziestu, gdzie stał Pobóg. Rękę zwolna położył starcowi na ramieniu i lice, spojrzawszy nań, rozchmurzył nieco. Był to bliski Jaksów pokrewny, rodził się z niewiasty ich imienia i plemienia.

— Pobóg — rzekł król — czeka na cię opróżnione dwunaste siedzenie po Lisie, tobie je przeznaczam, tyś jeden godny!

Oczy otaczających króla biegać poczęły po sobie, nie spodziewano się snać tego. Stary, nieporuszony, nie dziękując, stał posępny.

Wnet czoło pańskie marszczyć się poczęło i król rękę mu z ramienia zdjął.

— Nie, miłościwy panie — odparł chłodno i śmiało starzec — nie. Ja nie jestem godzien siedzieć u stołu twojego. Krew Jaksów płynie we mnie. Przybyłem ci, miłościwy panie, podziękować za łaski twoje i pożegnać. Za starym Jaksem, szwagrem, pojadę, tam miejsce moje, gdzie wszyscy nasi. Ani się mej krwi zaprę

w niewoli. Miejsce moje nie u stołu i rady pańskiej, ale na wygnaniu lub w grobie.

Bolesławowskie brwi zeszły się z oczyma i zwinęły w jeden wał czarny, ręka mimowolnie padła na mieczyk i drżąca leżała na nim... Drugą król ujął się w bok i długo patrzał na wyzywającego śmiałka...

— Stary jesteś — rzekł wkońcu, — biłeś się ze mną mężnie nad Bugiem i Wełtawą — głowy ci nie zdejmę. Idź! idź z Bogiem!

I ręką gniewnie wskazał poza siebie, a dokończywszy słów tych, gdy jeszcze brwi trzęsły mu się gniewnie, ustami uśmiechać się począł dziko i strasznie.

Stary Pobóg, jakby umyślnie, zwolna się poruszył, nie śpiesząc się wcale.

Przechodząc, pokłonił się królowi w milczeniu i pominąwszy go, wśród rozstępujących mu się szybko dworzan i rycerzy, nie patrząc na nikogo, ku drzwiom powlókł się prosto, nie okazując wcale trwogi, ani pomieszania.

Wśród milczenia, w izbie panującego, każdy krok jego słychać było; król tymczasem, którego uśmiech przymuszony wnet z ust zniknął, prosto się ku Węgrom obrócił.

Opuściwszy to miejsce, gdzie go stary wojak obraził mową zuchwałą, zdawał się razem zapominać o tem, co zaszło przed chwilą, wypogodził twarz, stał się znowu sobą, takim, jakim bywał dni powszednich w gronie oddanych mu powierników.

Wedle obyczaju zachodniego na dworze królewskim niewiasty też do stołu zasiadały. Wiodła je zwykle z sobą królowa, a Bolesław rad był, aby mu one, jak kwiaty, stół ubierały.

Właśnie król z Węgrami rozmawiać poczynał, gdy we drzwiach głównych cały szereg niewiast się ukazał. Przodem szła królowa Emnilda, tak skromnie ubrana, jak wczoraj, w sukni ciemnej, w czepcu białym, na którym lekki łańcuszek złoty był opleciony. Nieco klejnotów nakazywała jej włożyć dostojność, były one niejako zewnętrzną oznaką godności królew-

skiej, lecz, obok innych niewiast swojego dworu, królowa niemal zakonną odznaczała się prostotą.

Tuż przy niej szła w długiej purpurowej sukni, naszywanej kwiatami złotemi, jaśniejąca klejnotami, a piękniejsza od nich Ryksa, żona syna królewskiego, Mieszka, cesarskiej krwi pani, córka Ezzona, palatyna Renu, z siostry cesarza Ottona zrodzona, w której rysach widać było, iż o swem pochodzeniu pamiętała.

Czarne jej oczy zgóry dumnie poglądały dokoła, a usta zdawały się nie umieć, czy nie chcieć uśmiechać. Mimo młodości i wdzięku, surowością wyrazu twarzy i postawą pańską obudzała raczej obawę, niż cześć dla siebie. Rozum i wola męska błyszczały w jej wejrzeniu śmiałem i dumnem.

Nie było żadnej z córek królewskich, rozproszonych po świecie, oprócz Matyldy, która szła też za królową w wianku dziewiczym na głowie i płaszczu niebieskim. Tak ona, jak inne, po niej następujące, panie szeregiem długim, z niezmiernym przepychem były postrojone.

Obyczajem owych czasów niewiasty, występujące publicznie, kładły na się takie mnóstwo klejnotów ciężkich, płaszczów z grubych tkanin złocistych, podszytych futrami, łańcuchów kowanych grubo, kamieni drogich, iż niektóre z nich służebne podtrzymywać musiały, aby pod tem brzemieniem nie upadły.

Największa rozmaitość jaskrawych barw orszak ten odznaczała. Panowały wśród nich purpura i fiolety u starszych — żółty i niebieski kolor u młodszego pokolenia. Wszystko to bramowane, naszywane, sadzone perłami, dawało miarę bogactw, jakie wojny i handel nagromadziły w kraju.

Przy pięknych twarzach, dobranych do królowej orszaku — złote płaszcze, purpura, lazurowe sukienki, kolorów przepych i klejnotów odbijały się, jak bogata oprawa tego żywego twarzy wieńca. Wśród nich widać też było Teodorę, córkę Sieciecha, wzrostem i postawą górującą nad towarzyszkami swojemi, z twarzą bladą i oczyma od łez już obeschłemi, ale jeszcze

gorejącemi wewnętrzną boleścią. Szła widocznie, jakby zmuszona, jakby ofiara, usiłując napróżno powołać na twarz uśmiech nieprawdziwy, skłamany, trwożliwy, męczeński. Na innych też, nie wyjmując oblicza królowej, głęboki smutek był rozlany. Emnilda nieśmiało, bojaźliwie niemal, spoglądała na oddających jej cześć i pokłony.

Gdy szelest sukni niewieścich dał się słyszeć, obrócił się ku wchodzącym król, jakby rad, że może przerwać witania i rozmowy. Tego dnia ciężko mu było zebrać się na słowo, czoło miał dumne i usta leniwe.

Bolesław, skinąwszy głową gościom, zwolna na miejsce swe przy królowej Emnildzie podążył.

U pańskiego stołu zasiadły tylko niewiasty królewskiego i powinowatego im rodu, tu też było miejsce jednej z dziewcząt orszaku królowej, przybranej do jej boku — znacznego rodu, córki margrafa Ekarda, Ody. Przebywała ona z woli ojca na dworze i w gościnie u królowej, choć Emnilda chłodno i z pewną nieufnością się z nią od niejakiego czasu obchodziła.

Po Ryksie, żonie Mieszkowej, była to najpiękniejsza pewnie z niewiast na dworze, chociaż tu na urodziwych i gładkich nie zbywało twarzach. Wysokiej postawy, silna, wyrosła bujno, z warkoczami złotemi, które się ledwie pod wieńcem pomieścić mogły, wyraz miała na obliczu ślicznem niemiły; kwitnęła krasą młodzieńczą, a wesela dziewiczego jej brakło; patrzała niby szydersko i niechętnie dokoła, wzrokiem zuchwalszym, niż inne. Niebieskie jej oczy duże śmiało spoglądały nie tylko na królową i młode towarzyszki, ale na samego króla, którego wyzywać się zdały.

Strojem też córka margrafa Ekarda odznaczała się wśród swych rówieśnic, tak była cała klejnotami kosztownemi obwieszona i przybrana, tak starannie i zalotnie występowała, oczy wszystkich kusząc i zwracając ku sobie.

Królowa, raz spojrzawszy na nią, widocznie unikała jej wzroku, wzrok trzymając spuszczony, a twarz ciągle smutkiem obleczoną. Dwór jej, jakby się stosu-

jąc do humoru pani, tak samo wyglądał zafrasowanym i smutnym, jedna tylko piękna Oda uśmiechała się, jakby na przekorę wszystkim, a gdy król, usiadłszy, rzucił na nią okiem, wejrzeniem i uśmiechem wyrazistszym odpowiedziała mu, wcale się nie troszcząc o świadków. Bolesław długo trzymał oczy w nią wlepione, ale nie rzekł do niej słowa.

W tej chwili ukazał się opat tyniecki i wszyscy, nie wyłączając nawet króla, wstali. Miejsce dlań było przy królewskim dworze zostawione. Lecz nim je zasiadł, surowym obyczajem tamtych wieków rozpoczął głośno modlitwę i błogosławieństwo.

Cały niemal obiad przeszedł bez rozmowy, w milczeniu, tylko głosami z izby czterdziestu stołów dochodzącemi przerywany. Niewiasty szeptały do siebie, król parę słów zamienił z opatem, królowa go kilka razy o bliskie święta kościelne spytała.

Proste i niewykwintne jadło, które roznoszono obficie, nasyciło gości, wypróżniały się misy, kubki z miodem i winem gęściej krążyć zaczęły... Król też spełniał je chciwie i dopiero pod koniec uczty z weselszą nieco twarzą ku współbiesiadnikom się obrócił.

V.

Po uczcie próbowano w podwórzu zamkowem koni, łuków i oszczepów, wyprawiano rodzaj małych turniejów, których zwyczaj już na dworze cesarskim naówczas się ustalać zaczynał.

Niewiasty ustąpiły zaraz do komnat swoich, idąc szyć w krosnach, prząść lub zabawiać się śpiewem i grami. Król wyszedł nieco na przedsienie, aby się przypatrzyć igrzyskom młodzieży. Opat znikł, udając się na modlitwę.

Całe życie zamkowe skupiło się w dziedzińcach, gdzie się popisywali królewscy komornicy, służba rycerska i niektórzy z gości podochoconych. Każdy z nich miał albo oręż nieco inny, lub sposób władania nim od-

mienny, więc próbowano i chadzano o lepsze, a kto górę wziął, temu okrzykami prym dawano... i drudzy zaraz imali się tejże szermierki. Ścigano się końmi, wyzywano na bary, a gawiedź zdala się przypatrywała.

Gdy się to działo w podwórcach, w małej izdebce przy dworcu, na rogu zabudowań, siedziało dwóch ludzi, w których z ubioru poznać było można duchownych.

Jeden z nich wychudłym był i przygarbionym, twarz miał żółtą, zasępioną i napiętnowaną jakąś zgryźliwością kwaśną i gniewną. Ściśnięte usta jego wyrażały ukryte szyderstwo i nieubłaganą złośliwość. Siedział skulony u stołu, na którym widać było rodzaj pulpitu i leżące obok niego narzędzia, jakich naówczas do pisania używano; natarte w miseczkach inkausty, pióra i pendzle, noże i zrzynki pergaminu, sznury jedwabne i kawały wosku.

Ogromne, wyschłe, posmolone ręce z długiemi palcami trzymał ściśnięte pod brodą, podpierając niemi głowę, której siwe błyszczące oczy zwrócone były na siedzącego naprzeciw człowieka. Ten zdawał się świeżo przybywać z długiej podróży. U drzwi stał kij krzywy, leżała czapka i płaszcz czarny, lisami podbity.

Był to mężczyzna w sile wieku, duchowną suknią okryty, ale do kapłana skromnego niepodobny — barczysty, postawy rycerskiej, zuchwałego wejrzenia, twarzy okrągłej i jakby nalanej. Czarna suknia i wygolona głowa same tylko w nim duchownego wskazywały. Trzymał się, jakby do szat, w które był odziany, nie nawykł, jakby ciągle szukał miecza, braknącego mu u boku.

W izbie, w której ci dwaj zasiadali, na kominie płonął ogień, już zaniedbany i resztki głowien pożerający; mrok w niej panował. Ubogą była, jak cela mnisza i w wygodniejszy sprzęt nie obfitowała.

Dwaj rozmawiający, pochyleni ku sobie siedzieli cicho, mierząc się wzrokiem i mieniając skąpe słowa.

— Mówicie, mój ojcze — szeptał skulony księżyna, który tu był gospodarzem — że was tu czcinaj-

godniejszy mój dobroczyńca, biskup merseburski, przysyła. Chcę temu wierzyć... chcę wierzyć... nie wątpię... lecz najdostojniejszy ten zwierzchnik zwykł zawsze czemś dla wiarogodności posłów swoich opatrywać...

Posłyszawszy te słowa, mnich, siedzący naprzeciw, rzucił się niemal obrażony niemi; ciemne oczy jego zaogniły się, spojrzał na mówiącego dumnie, zgóry, i nic nie odpowiadając, ręką sięgnął za suknię, dobył z niej mały zrzynek pergaminu i ukazał go pytającemu.

Był to paseczek wąski, na którym żadnego słowa napisanego widać nie było, na wosku tylko stała wyciśnięta pieczątka jakaś, którą pochwyciwszy, ksiądz do samych ją prawie oczu podniósł, aby się jej lepiej przypatrzyć i rozeznać na niej znaki.

Po chwili dopiero głowę skłonił, nic nie mówiąc, i oddał zrzynek siedzącemu mnichowi, który mu się przypatrywał niemal gniewny. Zwycięski uśmiech przebiegł po jego ustach i pieczęć natychmiast zawinąwszy, włożył ją do bocznej kieszeni, przysunął się bliżej do siedzącego księdza i, rękę mu kładąc na kolanie, odezwał się żywo:

— Widzicie więc, że ze mną możecie mówić otwarcie i ufnie. Nie jest mi nic tajno, wiem, że służycie temu... królowi (wyraz ten ciężko mu przeszedł przez usta), abyście skuteczniej przez to kościołowi i cesarzowi służyć mogli; wiem, że tu jesteście dlatego, aby zbliska patrzyć na to, co się knuje i zamierza. Wiem, że ten zjadliwy wróg imperji, choć sługą jego jesteście, panem waszym nie był i nie jest...

Na mnie wy się nie zawiedziecie... Nie! Ja też krwią i sercem jestem cesarski sługa wierny, sługa kościoła; ja też tego pół-poganina (zniżył nieco głos) nienawidzę, brzydzę się nim, chytrością jego, przewrotnością, drapiestwem, chciwością. Przychodzę do was, ażebym zbliska rozpoznał, co się dzieje i odniósł to tam, gdzie myślą i pracują nad odzyskaniem zagrabionych przez niego krajów...

Nastąpiło milczenie. Ksiądz powiódł kościstemi pal-

cami po czole i twarzy, westchnął i odezwał się bojaźliwie, pocichu:

— Źle jest u nas... źle! Chytry ten wąż poczyna sobie zbyt rozumnie, chytrzejszy nadeń doradca, opat tyniecki Aron, prowadzi tego żubra za rogi. Bez opata onby się dawno rozbił gdzieś o mur głową. Napróżno się tu staramy, zabiegamy, aby nieufność obudzić, aby zrodzić w nim podejrzenie... by go usunąć... a wkraść się w łaski. Opat jest lisem przebiegłym. Ten radzi, ten prowadzi, ten czyni wszystko... a ja... cóż ja mogę?... patrzę tylko i zżymam się... I... nie można rzec inaczej... rozum w tem jest, a wielki...

Wierniejszych sług kościoła na oko nie znajdziecie nad nich nigdzie, ale oniby swój kościół osobny chcieli mieć u siebie! Z Magdeburga, gdzie cesarz zwierzchność postanowił, rozkazów odbierać nie radzi... Swoje biskupstwa i arcybiskupie katedry stanowią samowolnie, pod pozorem, że Otto III na to pozwolił. Już i tę nitkę, co ich z cesarstwem wiązała, zerwali. Jawna rzecz, że Bolesław cesarstwu w niczem nie chce być dłużnym, w niczem zależnym od niego. On, on śmie się sam zwać cesarzem na wschodzie, jakgdyby już i tak dwóch ich nie było, w Rzymie i Bizancjum. Duma jego i samowola daleko sięga, dalej, niż oręż...

— A wszystko to—przerwał, wybuchając, mnich,— wszystko to na krwi, na mordach, na łupiestwie ugruntowane... Wiecie przecież, jak poczynał? Gdy mąż zacny, stary Mieszko umierał, nie był Bolesław panem całego kraju, musiał go wedle ostatniej woli ojca podzielić z trzema braćmi, z Ody zrodzonymi. Winni mu oni byli tylko, jako najstarszemu, cześć i posłuszeństwo. przymierze i pokój... ale każdy z nich na swojej ziemi był panem. Trzy lata trwał nie pokój, ale ciągła walka i męka, dopóki pobożnej królowej Ody nie wygnał precz i synów jej z nią nie wypędził razem, aby ich dzielnice sobie przywłaszczyć. A któż Odylona i Prybuwoja oślepił, aby im wydrzeć ich ziemie? I synów Ody ten sam los spotkałby pewnie, albo gorszy, gdyby się zawczasu nie ratowali, z matką uchodząc razem.

— Czyż we trzech nie mogli stawić czoła jednemu? — zapytał ksiądz.

— Oni?... Otoczeni byli zdrajcami... — ciągnął mnich dalej, coraz się bardziej unosząc — gdzie nie sięgnął orężem, tam złotem, obietnicami ujmował... Dwór królowej Ody, jej synów, wojsko, urzędnicy, wszystko zawczasu przekupione było i zjednane. Jedna tylko zostawała ucieczka. Oda schroniła się do Rzymu, do ojca św., papieża, a nie mogąc odzyskać już tego, co do niej i synów należało, wszystkie te ziemie, jej i dzieciom wydarte, złożyła w ofierze apostolskiej stolicy. To przywłaszczyciel, który siedzi na papieskiej ziemi.

Ksiądz, słuchając, westchnął.

— Tyle lat upłynęło od tych czasów! — odezwał się. — Już na to niema ratunku!

— Dlaczego? — podchwycił mnich — ofiara uczyniona była apostolskiej stolicy, aby te ziemie z jej rąk, jako jej należne, otrzymali napowrót synowie Ody... Oda żyje przecież do dziś dnia w klasztorze w Quedlinburgu, a jej dzieci...

— Cóż się stało z jej synami? — spytał słuchający — pomarli?

— Nie, żyją. Mieszko najstarszy jest przy cesarzu, chociaż i tam, z obawy trucizny i zdrady, bo Bolesław i na dworze cesarza ma swych ludzi... i tam imię swe i dostojność ukrywać musi.

— Drugi — kończył mnich — włożył suknię duchowną, trzeci się tuła po Niemczech, czekając pory dogodnej... A lata upływają, upływają i nic nie przynoszą z sobą...

To mówiąc, westchnął i załamał dłonie. Żywe przejęcie się tą sprawą posła merseburskiego biskupa obudziło snać ciekawość słuchacza: coraz pilniej począł się w milczeniu w gościa wpatrywać. Ten był tak uniesiony zgrozą i niechęcią, iż nie zważał nawet na zwrócone ku sobie oczy i wnet znowu począł mówić dalej.

— Przecież mu się zawsze tak szczęścić nie może!...

Raz mu się noga pośliznąć musi, jak mu się pośliznęła w Czechach i na Rusi. Pragę utracił bezpowrotnie.

— Dzień i noc myśli o jej odzyskaniu... — zawołał ksiądz cicho, potrząsając głową. — A, nie maż on tam całego zastępu Sławników, z których tu jeden wisi przy dworze? Ma on swoich i w Kijowie, i wszędzie...

Zżymnąwszy się, gość wstał ze stołka i rzucił rękami, jakby milczącem przekleństwem.

— Więc niema nań rady? — zawołał. — A nie można jawnie, — nie godziż się przeciw temu zdrajcy i okrutnikowi stawić sideł, jak na zjadliwe i krwi chciwe zwierzę?

Ksiądz nierychło odpowiedział.

— Sam on sobie może dół wykopie...

Wyrazy te obudziły w mnichu zajęcie i ciekawość gorącą; usiadł znowu na stołku i przybliżył się do księdza.

— Sądzę — szeptał dalej — że chyba pobożność królowej i jej cnoty ratowały go dotychczas od zguby. Ale tej czcigodnej pani, córce Dobromira, pono się gotuje los córki Rydgaga i matki Bezpryma... dni jej tu policzone. Niedość temu bykowi niewolnic i nałożnic,— zwiędła królowa już mu się codzień więcej przykrzy. Gdy jej na grodzie nie stanie, piorun z niebios uderzy w to gniazdo nieprawości...

— O! może być... może... — uśmiechając się złośliwie, dokończył szeptem ledwie dosłyszalnym, z widoczną radością ksiądz — tak, może to być! Piękna córka margrafa Ekarda niedarmo bawi na naszym dworze. Chce się jej bardzo zostać królową, wyzywa króla oczyma, kusi go słowy, pociąga młodością i wdziękiem szatańskim.

To mówiąc, stary splunął i przeżegnał się.

— Są znamiona, że król ku niej powziął namiętność wielką...

— Czyż dlatego miałby jej aż ślubować? — odparł mnich. — On, co sobie pozwala więcej, niż cesarz i inni królowie, sądząc, że dlań kościół będzie mieć prawa osobne...

— O! onby się pewnie obszedł bez kościoła i błogosławieństwa — dokończył ksiądz — ale Oda chce korony i imienia żony, a nie da mu się do siebie zbliżyć inaczej. Codzień go sobie więcej jedna, codzień go kusi potężniej... Szatanby w niej siedział, a nie byłaby niebezpieczniejszą...

— A opat Aron, świątobliwy ten człowiek, cóż na to? — szydersko odezwał się mnich.

— Patrzy i milczy, bo mu się jeszcze król z tem nie zwierzył. Sroma się go... Opat surowym dlań jest... Ja wiem najlepiej, jak stoi sprawa. Aron dla mnie nie ma tajemnic... ja przez niego zaglądam, jak przez okno, w królewską duszę...

Słuchacz ciekawie chylił się ku mówiącemu, chwytając każde jego słowo z upragnieniem.

— Wszystko się powoli składa na zgubę jego — ciągnął opowiadający ze zjadliwym wyrazem mściwej uciechy. — Los chciał, by się jedna można rodzina rzuciła na swawolę; Jaksowie, którzy się czasu wojen nauczyli być gwałtownikami, napadli i zamordowali kupca tam jakiegoś... Król ich porwać kazał i dał pościnać... Z Jaksami spokrewnione są rody możne... wszystko to, gniewne teraz, pierzchnęło od króla i dworu, precz... wszystko to wrogiem mu się stanie... Strata niemała! groźna! Prosiła za Jaksami królowa, klęczeli i prosili inni... nie pomogło nic... litości tam w tem sercu nie szukać...

To mówiąc, westchnął ksiądz i jakby się opamiętał, że za dużo powiedział, zamilkł nagle.

— Jedna tylko rzecz wątpliwa — dodał, namyśliwszy się, pocichu. — Kazał ich ściąć... ale czy ich ścięto?... Badałem dobrze, niewiadomo, gdzie i kto spełnił wyrok królewski... Nuż się ich odważono ukryć i ocalić? króla okłamać?... Któżby się to ośmielił uczynić, chyba jedna ta miłosierna i pobożna królowa... A jeśli ona to uczyniła... żal mi jej... tajemnica się nie utrzyma, król jej nie przebaczy... wystąpi wówczas namiętność dla Ody... potępi Emnildę, dopełni miary i kropla ostatnia kielich gniewu pańskiego domierzy...

Zatarł ręce.

— Padną gromy!...

— Ale mogłażby się królowa na to ważyć? — zapytał mnich zdziwiony. — Ona go zna przecie.

— Tak, ale córka Dobromira jest pobożną niewiastą, gotowa siebie zaofiarować dla ocalenia dwu żywotów.

— Wiecie na pewno, że się tak stało? — spytał mnich.

— Nie wiem... nie... są to proste domysły tylko — rzekł ksiądz żywo — ale po nici do kłębka się idzie, a zdaje mi się, że albo nitkę mam w ręku, lub ją rychło pochwycę. Jeżeli się to stało, opat Aron musi o tem wiedzieć, a jeśli on wie, ja wiedzieć będę... ja dobędę z niego...

Milcząc, z uwagą słuchał mnich, nieco zadumany, zdziwiony trochę; wyzywał dalsze zwierzenia, strzegąc się je nawet natrętnemi przerywać pytaniami.

Zkolei opowiadający ksiądz, nie będąc już panem siebie, dawał się unosić coraz gorętszemu uczuciu, jak wprzódy mnich, gdy na Bolesława narzekał.

— Jeżeli się tak stało — dodał jeszcze — jeżeli się stało, jak się domyślam, tajemnica długo utrzymać się nie może, nie zachowa.

— Jakież mogą być skutki? — szepnął mnich.

— Odrzucenie królowej za przeniewierstwo — mówił ksiądz — a potem panowanie młodej niewiasty, która jest nam oddaną, cesarską, wierną poddanką... Jej młodość będzie dla niego zgubą — zniewieści go i siłę mu odbierze.

— Lecz Jaksowie, na których nienawiść rachowaliście, zostaną przejednani? — wtrącił mnich.

— Wdzięczność zachowają chyba dla królowej, co ich ocaliła, jeżeli w istocie potrafiła to uczynić, ale dla kata tem większą nienawiść...

Tak rozpoczęta rozmowa, gdy oba z sobą coraz więcej się porozumiewali, stawała się co chwila teraz poufniejszą.

Skulony księżyna, którego na dworze znano pod

imieniem księdza protonotarjusza, Petrka, był jedynym na dworze królewskim (z wyjątkiem duchownych na nim przebywających), co umiał pisać i czytać. Był on tu niewidomym szpiegiem niemieckim. Poseł merseburskiego biskupa dobył z niego, co miał w duszy. Nie zataił przed nim, jakiemi uczuciami dla króla był ożywiony. Żmija to była, ogrzana na miłościwem łonie łask pańskich, zazdrosna wpływu opata Arona, knująca jego zgubę, spiskująca z wrogami, gotowa na wszystko dla dogodzenia zemście i uzyskania wyższego stanowiska.

Po długich szeptach, gdy się pytań i odpowiedzi przebrało, ksiądz Petrek, zupełnie ubezpieczony okazaną mu pieczęcią, wylawszy się przed posłem ze wszystkiego, co czuł i myślał, zapytał go wreszcie, jakby opamiętawszy się, że nie wiedział, z kim ma do czynienia.

— Mój ojcze, a wyż skąd przybywacie? z jakiego jesteście klasztoru? z jakiego narodu?... co was tu do nas przywiodło? czy sam rozkaz biskupa? czy ciekawość widzenia tej smoczej jamy? czy inny jeszcze cel jaki?

Mnich, usłyszawszy to pytanie, stanął w postawie dumniej, wyprostował się, podniósł głowę, spojrzał zgóry na pytającego, jakby rozmyślał, co mu odpowiedzieć. Oczy księdza Petrka potwierdzały pytanie.

— Któż wy jesteście?

Bolesny uśmiech przeleciał po ustach mnicha, zbliżył się do księdza, pochylił mu się do samego ucha i rzucił w nie jedno słowo.

Musiało ono mieć wielkie znaczenie, gdyż usłyszawszy je, protonotarjusz zerwał się nagle, załamał ręce drżący i z trwogą popatrzał na uśmiechającego się gościa. Na bladej twarzy księdza Petrka malowały się naprzemian niedowierzanie, zdumienie, strach; patrzał strwożony to na drzwi, to na gościa, to po pustej izdebce swojej.

— Na rany Pańskie! — zawołał wreszcie, głos tłumiąc. — Lecz, jeśli tak jest, o czem nie wątpię (skłonił

głowę), jeśli tak jest, jak mogliście przekroczyć stopą bramę tego zamku?

— We krwi mamy zuchwalstwo! — odezwał się mnich, uśmiechając się. — Pomnijcie, ile to lat nikt tu mojej twarzy nie widział... któżby jednak zresztą mógł co podobnego przypuścić? Twarz ta z młodzieńczej na wygnaniu miała czas odmienić się w zestarzałe, pomarszczone oblicze, na którem przeszłość się zatarła do szczętu. Mógłbym więc oko w oko spotkać się z nieprzyjacielem matki rodu mojego i nie zadrżałbym, bo nawet jego wejrzenie jaszczurcze w tym brudnym mnichu nie poznałoby człowieka, który się w nim ukrywa...

— Nie mówcie tego, nie mówcie! — przerwał ks. Petrek. — Mylicie się... Ten człowiek wzrokiem przebija nawskroś, jak włócznią, widzi czarownik pod ziemią, zgaduje to, czego nie wie... Szatana ma na posługi, co mu szepce, a dośćby było domysłu, podejrzenia tylko, żeby was skazał, jak Jaksów.

— Nawet ta sukniaby mnie nie obroniła? — rzekł mnich, podnosząc czarną połę habitu.

— Suknia? wątpię!... — odparł ksiądz. — Życieby może darował, ale oczówbyście nie uratowali... Oślepił trzech własnego rodu, a miałby czwartego oszczędzić?

Mnich, mimo gróźb tych, nie zdawał się bynajmniej strwożony.

— Przyszedłem tu — rzekł — własnemi oczyma zobaczyć, co się dzieje, czy możemy na przyszłość rachować? Nastręczać mu się nie mam potrzeby...

— A nie będziecie mieli sposobu go uniknąć, jeżeli tu zostaniecie, choćby do jutra — rzekł ks. Petrek. — Chce on uchodzić za najwierniejszego syna kościoła, czci i szanuje duchownych tak, że i najuboższego kapłana nie pominie, nie ucałowawszy ręki jego. Jeżeli się dowie, że mnich wędrowny przybył do Poznania, zawezwie was do stołu swego, zmusi przyjąć dar jakiś. Zechcecie uniknąć go, podejrzenie się obudzi...

Mnich namyślać się począł, czoło zmarszczył, zdając się ważyć, co ma czynić. Milczał długo.

— Któż mu tam ma donieść o mnie? — rzekł wkońcu. — Dwór ludzi pełen, duchownych jest mnóstwo, wątpię, by mnie dostrzeżono.

— A ja pewny jestem tego — odezwał się ksiądz żywo. — Nie sądźcie, aby tu co uszło baczności ludzi, którzy nic do roboty nie mają nad śledzenie cudzych czynności. Bolesław wie nie tylko, co robimy, ale nawet, co myślimy.

Rozśmiał się dziko.

— Oprócz mnie!... Ale ja twarzą przed nim padam, a kraj szaty opata całuję i prochy ścieram przed nim! Ja donoszę, jestem gorliwy... czernię... kłamię... Bóg wszechmogący mi odpuści, bo dla Jego służby to czynię... A cóż ja znaczę!... Każą mi pisać, co opat podyktuje, jestem posłusznym; piszę nawet na dwie ręce, bo posyłam i tam, gdzie o tem wiedzieć potrzebują. Zresztą maluczki służka Boży, stworzenie biedne i drobne, ocalam się tem, że mnie nie widać nawet.

— Nieraz — mówił z uśmiechem, — nieraz szukano tego zdrajcy, co wydał tajemnicę, śledzono na wsze strony... i ja pilno też szukałem razem z nimi... nikomu nawet ani na myśl nie przyszło mnie posądzać!

— A gdyby?... — zapytał mnich.

— Gdyby, mówicie?... — dodał ks. Petrek spokojnie. — Nie jestem-że ja kościoła mojego sługą, obowiązanym zań dać życie? Wiem, że za duszę moją odprawionoby dziesięć razy tyle mszy, ile mam lat... o duszy zbawienie trwogi nie mam. Miałżebym dbać o mizerne ciało? Jestem, jak żołnierz postawiony na straży, który wodzowi winien życie... i daje je z ochotą.

Pokazał suknię swą.

— Wziąłem tę zbroję... i walczyć muszę do końca.

To mówiąc, przeżegnał się i ręce złożył i zdał się modlić w duchu.

Twarz jego, która w czasie rozmowy często odrażała szyderstwem i złością tłumioną, wypogodziła się, stała spokojną a bezbarwną. Chytre to człecze było w istocie żołnierzem, wpadającym chwilowo w zapał

bojowy, lecz rychło odzyskującym krew zimną, aby nie utracić siły.

I znowu rozpoczęła się rozmowa pocichu, a trwała długo, gdy nagle do drzwi zapukano, otwarły się one i najstraszniejsze zjawisko, jakiego oba się mogli lękać, stanęło w progu; wszedł wolnym krokiem, rozglądając się, opat Aron.

Ujrzawszy tu nieznajomego mnicha, zdumiał się zrazu mocno; ks. Petrek pobladł nieco, obcy zakonnik stał prawie nieporuszony, usiłując przybrać pokorną postawę, o co mu niełatwo było. Nim opat miał czas zapytać o niego, obyczajem mnichów skłonił głowę i prosił o błogosławieństwo.

Opat, niezmiernie zdziwiony tem zjawiskiem, zrazu milczał i pytanie zamarło mu na ustach. Pobłogosławiwszy klęczącego i dawszy znak, aby powstał, ks. Aron zapytał po łacinie:

— Skąd to jesteście? Co was tu przywiodło?

— Z Korbei jestem — odpowiedział mnich — imię moje Benedykt, mam od przełożonego pozwolenie wędrowania i nawracania. Ciekawość i pobożność prowadziły mnie do Trzemeszna naprzód, a teraz tu, najprzewielebniejszy ojcze.

Aron długo się weń wpatrywał.

— Gdyście tu przybyli, bracie mój — rzekł — jużbyście pozostać powinni. Duchownych zawsze jeszcze mamy mało na nasze potrzeby; kraj napół pogański, nawracających apostołów dobrej woli nam braknie... Świątobliwy król nasz obsypuje ich złotem, rad każdemu, co przybywa. Dlaczegóżbyście nie mieli pozostać z nami, jeżeli gorliwość was tu przywiodła? Pole szerokie...

— Dlatego, ojcze najprzewielebniejszy — odezwał się mnich, — że uczyniłem ślub powrotu; przełożony nasz rachuje na mnie. Pokłonię się w Gnieźnie u grobu św. męczennika i muszę powracać...

Opat z wielką ciekawością wpatrywał się w mówiącego. Głos, postawa, rysy twarzy widocznie w nim ja-

kieś myśli obudzały, które się w oczach i na czole malowały.

— Jeżeli pozostać nie chcecie — odezwał się po przestanku, — przynajmniej gościem bądźcie u króla, który też was szczodrze obdarzy, i u królowej, pobożnej pani, która świadczy wiele duchowieństwu i kościołom.

— Przebaczcie — rzekł mnich żywo — ja wedle ślubu mego dziś dalej w drogę iść muszę... Ślubu łamać się nie godzi.

I pocałował w rękę opata, kłaniając mu się nisko.

— Pójdę nieszporne pacierze odmówić do kościoła... a potem... w drogę.

Skłonił się i, nie czekając już, w obawie, aby go nie zatrzymano, poszedł po swój kij, płaszcz i czapkę, chwycił je prędko i za drzwi się wysunął. Pośpiech ten był uderzający. Opat i ks. Petrek poprowadzili za nim oczyma.

— Zaprawdę — odezwał się po wyjściu jego opat Aron, — zaprawdę, coś dziwnego jest w tym mnichu... A wy, księże Pietrze, nie uważaliście tego?

— Ja? — z pokorą wielką i zdumieniem ozwał się ks. protonotarjusz. — Ja? Oprócz wielkiej świątobliwości nic mnie nie uderzyło.

— Osobliwsze w nim podobieństwo nie tylko twarzy, ale i ruchów i głosu do naszego króla, Bolesława! Gdy przemówił, uląkłem się... zdało mi się jakby snem dziwnym to widzenie, uszom moim wierzyć nie chciałem. Rodzeni bracia podobniejsi być nie mogą!

Ks. Petrek ramionami ruszył.

— Nie śmiem przeczyć — rzekł, — ale ja tego wcale nie spostrzegłem, choć długo dosyć z nim mówiłem...

— Dziwne, dziwne! — powtórzył opat. — Skądże... i jak dawno się on tu zjawił?

— Przed godziną może — rzekł zimno protonotarjusz. — Prosił mnie, aby się mógł nieco w izbie ogrzać i odpocząć.

— Trzeba go było nakarmić i dać znać o nim do

dworu... Król nierad będzie, gdy się dowie, że zakonnik minął dwór jego nieobdarzony.

— Chciałem to uczynić, ale mi wzbronił — odparł ks. Petrek ciągle z wielką pokorą i przesadzonemi ukłonami. — Wypytywałem go pilno o cel podróży; zdaje mi się, że innego nie ma nad pobożną modlitwę u grobu św. apostoła naszego. Mnich to świątobliwy, skromny, o świecie nie wiedzący wiele, lub nic prawie.

— Przyniósłże jakie nowiny z Niemiec? — pytał opat.

— Żadnych. Widać ich nie szukał i pogardzał światowemi wieściami. Nie obchodzą go one. Od grobu świętego Maurycego przywędrował tu prosto.

— Mówił co o Magdeburgu?

— Nie pytałem go o nic — zbył krótko ks. Petrek.

Opat się zadumał głęboko.

— Któż wie — rzekł, jakby sam do siebie. — Podstęp i zdrada zwykły przybierać postacie rozmaite. Nie ręczyłbym za to, że pod tą suknią mnicha ukrywać się może jeden z synów Ody, czyhających na spuściznę Bolesława.

Usłyszawszy to, ks. Petrek podniósł ręce do góry i wykrzyknął, jakby z podziwu:

— Syn Ody! Miałżeby który z nich odwagę cisnąć się sam w szpony zwycięskiego orła naszego?... Lwu w paszczękę?

— Któż wie? któż wie? — powtarzał opat zamyślony i niespokojny. — Podobieństwo do króla nadzwyczajne, głos ten sam. Trzeba posłać po mnicha, aby mu się bliżej przypatrzeć.

Opat położył rękę na ramieniu protonotarjusza i, w oczy mu patrząc, szepnął cicho:

— Idźcie, znajdziecie go w kościele na wieczornej modlitwie... Proszę was, zawezwijcie go do dworu, lub, jeśliby się wahał, zaproście do siebie. Bliżej zbadać go potrzeba... Jeden z synów Ody wdział, jak wiemy, suknię zakonną... Coś mi to apostolstwo mnicha samotnego dziwnie wygląda... Idźcie! idźcie!...

Posłuszny ks. Petrek zakrzątnął się natychmiast

spełnić rozkaz przełożonego swojego. Ks. Aron wyszedł krokiem powolnym.

Gdy się za nim drzwi zamknęły, ks. Petrek z rękami założonemi stał długo.

— Nie jestże to cud siły jakiejś nieczystej, że ten człowiek wszystko nawskroś przenika!... Odgadł go! odgadł!...

Powtarzając ten wyraz, pośpieszył zaraz protonotarjusz, kierując się ku tumowi, który cały dzień do późnej nocy stał otworem.

Kościół był pusty, jedna lampa, gorejąca wiecznie, płonęła przed ołtarzem. W pośrodku na czterech grubych słupkach kamiennych oparty, stał nieforemnie wyciosany grobowiec, nakształt skrzyni ogromnej, zawierającej zwłoki króla Mieszka. Tu także paliły się dwie lampki, rzucając mdłe światełko.

Przy tumbie tej znalazł wchodzący ks. Petrek klęczącego, z głową o kamień opartą mnicha. Gdy na szelest kroków jego podniósł się nieznajomy, blada twarz jego okryta była łzami, ręce mu drżały. Szybko, żegnając się, wstał od grobowca, ujrzawszy księdza i uspokojony podszedł ku niemu.

— Na Boga litościwego! — zawołał doń ks. Petrek — uchodźcie co najprędzej... ks. opat podejrzenie ma, a raczej... chytry wzrok bazyliszka — poznał was... znalazł w rysach waszych i głosie podobieństwo do króla... powiedział mi: To jeden z synów Ody... Kazano mi was ściągnąć do zamku, albo do mnie... dla badania... Uchodźcie niezwłocznie... śpiesznie... Ja powiem, żem was nie znalazł, nie widział. Na podzamczu znajdziecie schronienie.

I do ucha mu się nachylając, szeptać coś zaczął. Mnich ręką skinął obojętnie.

— A! mam ja tu wiernych naszych sług dosyć, — rzekł, uśmiechając się — bądźcie spokojni o mnie. Bywajcie zdrowi, Bóg z wami!

Ks. Petrek stał jeszcze we drzwiach tumu, gdy mnich, szybkim krokiem wyszedłszy z kościoła, z wi-

doczną świadomością miejsca, ciasnemi przejściami udał się w głąb zamku i z oczu mu zniknął.

Odetchnął protonotarjusz lżej i powolnym krokiem powrócił do celi swojej.

Niedługo potem przyszło pacholę od ks. opata z wezwaniem ks. Petrka do niego.

— Cóżeście uczynili? Gdzie mnich? — zapytał Aron.

Ks. Petrek odpowiedział ruchem rąk rozpaczliwym.

— Nigdzie ani śladu!... I ja, i służba kościelna — w tumie, około niego napróżnośmy mnicha szukali... ani w ogrodzie, ani na drodze, ani w okolicy śladu, ni wieści nie dopytaliśmy. Znikł, nie wiem jak.

— Znikł? — szepnął Aron.

Popatrzał pilno na ks. Petrka i z dziwnym twarzy wyrazem dodał:

— Niema więc potrzeby nikomu o nim wspominać; rozumiecie tem bardziej, iż trochę winy na was spada, żeście o obcym duchownym zaraz znać nie dali.

Ks. Petrek chciał się tłumaczyć, ale opat dał znak ręką, aby zamilkł.

— Bóg z wami... idźcie w pokoju.

VI.

Ks. Petrek oprócz swych obowiązków pisarza, z któremi wiele do czynienia nie miał, bo w wolnych chwilach nawet przepisywanie kanonów bardzo szło opieszale, spełniał też na zamku inne duchowne posługi, nie tak może z gorliwości wielkiej, jak raczej, aby się wcisnąć wszędzie i dowiedzieć o wszystkiem, co go obchodziło.

Najmniejsze drobnostki nie były mu obojętne.

Zwykł był obchodzić więzienia, niosąc pociechę duchowną winowajcom skazanym, nawracał potrosze rozpuszczonych żołdaków, apostołował między czeladzią, pogańskiemi jeszcze przesiąkłą przesądami.

Służba zamkowa męska i niewieścia wszelkich stop-

ni była mu poufnie znajomą. Mimo pozoru wcale nie ujmującego, przebiegły człeczyna umiał sobie jednać ludzi rozmaitemi przysługami, dobrem słowem datkami i chętnie się wszystkie usta otwierały. Znano też jego stosunek z opatem Aronem, u Bolesława wszechwładnym; przyczyniało się to do nadania mu powagi.

Nie było więc dziwnem ukazanie się ks. Petrka w żadnym zakątku zamkowym; prawo wnijścia swobodnego, które mu suknia sama dawała, służyło mu wszędzie. Domyślano się często rozkazów z góry tam, gdzie ich wcale nie było. Ksiądz śmiało korzystał z przywilejów swego stanu i położenia, pewien, że mu nikt tego za złe nie weźmie.

Nie zadziwiło też nikogo, gdy ks. pisarz, jak go pospolicie nazywano, tegoż dnia, wieczorem, błądząc po podwórzach, znalazł się u wnijścia do ciemnic.

W szyi otwartej siedział u wejścia stróż więzienny, a naprzeciw niego oprawca. Pierwszy z nich jadł coś z garnka, który starannie ściskał między kolanami, drugi mu się przypatrywał. Byli z sobą w dobrej przyjaźni.

Zobaczywszy naraz księdza, obaj natychmiast powstali. Ryba usunął na bok garnuszek, zbliżyli się przyklękując, pocałować go w rękę i odebrać błogosławieństwo.

Ksiądz zwrócił się do kata.

— Gdzie Jaksowie siedzą? — zapytał jakby przez omyłkę.

Ryba i kat popatrzyli na siebie.

— Ano ich jeszcze dodnia wyprowadzono na stracenie — ozwał się Ryba.

— Stracono ich? — spytał ks. Petrek.

Ryba ramionami poruszył, a kat się odezwał:

— Jam ich nie ścinał, ni wieszał... co ja wiem?

— A któż? — mówił przybyły.

Ryba i jego towarzysz pomyśleli, nim się na odpowiedź zdobyli.

— Któż to tam może wiedzieć! — rzekł Ryba.

— Gdzież ich poprowadzono? Za okopy? — badał ciekawy ksiądz.

— Ciemno było jeszcze, nie wiem — rzekł Ryba powoli. — Dlaczego ich poprowadzili? gdzie? któż to wie. Co nam do tego?

— Wieszają i zabijają tu za okopami?

— Jeszcze tego nie bywało nawet — odezwał się oprawca — żeby gdzie indziej tracono, jak tu!

Wskazał na głąb więzienia.

Zamilkł pytający, zagadnął potem dla niepoznaki o kilku uwięzionych, po krótkiej chwili skinął dwom drabom głową i uszedł na stronę.

Ryba i jego przyjaciel usiedli na pieńkach; stróż powiódł za odchodzącym oczyma, śmiejąc się jakby sam do siebie... Potem z towarzyszem patrzali sobie w oczy długo i głowami potrząsali, prychając.

— Co ja mam gadać to, czego nie powinienem wiedzieć! — zamruczał kat. — A mnie co do tego?

Tu pochyliwszy się do stróża, jął mówić poufnie i cicho:

— Jak ich stąd wyprowadzili... ja wstałem z barłogu i poszedłem za nimi. Nie wślad, nie głupim. Opodal na śniegu stopy było znać, bo świeżo poprószyło. Dwornia królowej prowadziła i zawiedli ich do księżego domu, do izby na tumie. Tam ich posadzili.

Począł się śmiać, rad własnemu rozumowi.

Stróż się uląkł.

— Tst... ty głupi — zawołał. — Nie plótłbyś! A tobie co do tego? Toć pewnie stało się z rozkazu króla i pana. Milcz i gębę stul.

Kat głową potrząsł, a oczy zmrużone śmiały mu się szydersko.

— Tyś głupi sam — rzekł. — Co ty wiesz! co ty znasz! Drągiem drzwi zawalić, wody przynieść... i tyle. Z tobą i gadać o tem niema co.

Ryba, wcale się tem nie obrażając, zajadał znowu z garnka, z uznaniem wyższości swego towarzysza spoglądając na niego, gdy ten, jakby odniechcenia, mruczał dalej powoli:

— Król? królewskie przykazanie! ale! to nie królewska rzecz, to księdzowska... Księdze tu i od króla mocniejsi, robią co chcą. Komu chcą — życie odbiorą, komu chcą, je dadzą, komu chcą, je powrócą. Prawdziwi czarodzieje. Dlatego — położył palec na ustach— i ja mówię... milczeć! A co nam tam!

Głową potrząsł i zęby mu się śmiały w ustach otwartych.

— E, kiedy to księdzowska rzecz, to ją księdzu można było powiedzieć — odezwał się Ryba.

— Taki bo ty głupi na wieki! — zawołał kat. — Czy on o tem nie wie, o co pyta? oni o wszystkiem wiedzą! A pytał, żeby próbować.

Stróż zagłębił się w garnuszku; widać było, że sam uczuł, iż do odgadywania tajemnic stworzonym nie był. Westchnął i kończył kaszę wystygłą.

Kat z triumfem podniósł czoło i szeptać zaczęli pocichu.

W czasie rozmowy tej poufnej ks. Petrek szedł ku dworcowi królowej. Otworzył sobie furtę, wiodącą w podwórko, obejrzał się dokoła i pomyślawszy nieco, dokąd się ma pokierować, nieznacznie kołując podsieniami, udał się w głąb dziedzińca. Chód jego tak był ostrożny i cichy, ruchy tak mało widoczne, iż gdyby kto nawet znajdował się na podwórku, mógł go nie słyszeć i nie dostrzec.

Jedne drzwi stały półotwarte, a za niemi widać było sień ciemną. Ksiądz pisarz wcisnął się do niej z tąż samą ostrożnością, tym samym chodem cichym, i zapukawszy leciuchno natychmiast w bliskie drzwi do komnaty, w której słychać było szmer licznych głosów, otworzył.

Była ona dosyć obszerna, z jednej strony okienkami opatrzona, pod któremi rzędem stały krośna do szycia. Pod przeciwną ścianą ławę szeroką zajmowały prządki jednako ubrane, które tu jeszcze z kądzielami w rękach siedziały. Na kominie szerokim, naprzeciw, palił się ogień wielki. W pośrodku u stołu ciężkiego, na nogach krzyżowych, zarzuconego różnym przy-

borem niewieścim, widać było także kilkanaście różnego wieku dziewcząt, które snać tylko co od krosien powstały.

Były to służebne królowej.

Pomiędzy niemi licem i pięknością odznaczała się młoda jeszcze niewiasta niewielkiego wzrostu, z kruczemi włosami czarnemi, płci smagłej nieco, ubrana z cudzoziemska, pstro i świecąco, którą inne o jasnych licach i włosach otaczały. Dziewczyna miała oczy zapłakane, twarz jakby bólem obłąkaną.

W chwili, gdy ksiądz wchodził, rozmowa między nią a resztą służebnych żywą być bardzo musiała, ale na widok przybyłego nagle wszystko ucichło. Dziewczęta zaczęły się ustawiać płochliwie i spoglądać po sobie.

Te, które siedziały u kądzieli, powstawały wszystkie zkolei i poczęły się cisnąć z pokłonami do ucałowania rąk jego. Na ostatku podeszła nieśmiało czarnowłosa.

Po odbyciu tej ceremonji ksiądz stanął, ręce złożył, przeżegnał się i na głos zaczął odmawiać modlitwy. Wszystkie służebne poklękały i zwrócone ku wschodowi, modliły się niby za kapłanem.

Pomiędzy dziewczętami były jeszcze mnogie napół poganki, które ledwie krzyża znak kłaść się na sobie nauczyły. Ks. Petrek z polecenia królowej raz lub dwa w ciągu dnia przychodził tu nauczać religji i odmawiać razem z niemi modlitwy. Były one bardzo proste. Ojcze nasz, Wierzę, Pozdrowienie anielskie, Dziesięcioro, krótkie modlitewki, tłumaczone z łacińskiego.

Gdy się modlitwy skończyły, dziewczęta powstawały z ziemi, ksiądz do kilku przemówił z powagą, a na ostatku zwróciwszy się do czarnowłosej, zagadnął ją w obcym języku.

Dziewczyna spojrzała nań śmielej niż inne i odpowiedziała, nie trwożąc się z żywością wielką.

— Żałujesz ty niezbożnego życia twojego? — odezwał się ksiądz do niej. — Powinnaś łzami Pana Boga przebłagać, aby ci przebaczył. Z twojej to naprawy,

z twojego złego życia przyszła kara na tych, co byli jego wspólnikami. Przez cię zginął Gwido, przez cię zostali straceni Jaksowie.

Dziewczyna, słuchając, zalała się nagle łzami. Była to niewolnica Greczynka, Antonina. Ukryła twarz w dłonie i puściła wodze żalowi swemu, a towarzyszki zdawały się na nią patrzeć z wielkiem współczuciem.

— Cóżem ja winna? com winna, mój ojcze dobry— zaszlochała. — Ja niewolnica byłam, nie miałam swej woli. Wszystko złe poszło z tego łotra Gwidona, który na śmierć zasłużył. Gwałtem rozbójnik porwał mnie z sobą, choć się broniłam, związali mi ręce, zamknęli usta. Biedny mój pan, biedny, dobry pan, padł jego ofiarą. On nie był winien, oni oba niewinni byli, to były złote serca, to byli ludzie, jakich niema na świecie! O! ja nieszczęśliwa! Potracono ich, zabito! — wybuchnęła, oczy zakrywając.

— Czas do pokuty!... Iśćby ci się oczyścić do klasztoru — rzekł duchowny — włosiennicę wdziać na grzeszne ciało.

— Nie!... nie!... — krzyknęła gwałtownie dziewczyna. — Nie... ja do klasztoru nie chcę... nie pójdę. Ja przy królowej pani zostanę... wierną sługą.

Nie wdając się już z nią w dłuższą rozmowę, ksiądz pisarz odwrócił się od płaczącej i poszedł dalej ku drugim komnatom niewieścim, do mieszkania Ody, córki margrafa Ekarda.

Przed komnatą siedziały postrojone Niemki, jej służebne, z posępnemi twarzami, u kądziołek. Ks. Petrek przemówił do nich w ich języku i lica się im rozjaśniły i usta uśmiechać zaczęły.

Na zapytanie wskazały mu drzwi, prowadząc ku nim uprzejmie. W komnacie, do której wszedł, siedziała w istocie Oda.

Izba była niewielka, ale z przepychem przystrojona. Kobierce leżały na podłodze, ściany były obwieszone oponami. Stół w pośrodku zasłany jedwabnym obrusem, zastawiony był i zarzucony naczyniami i fraszkami niewieściemi, połyskującemi złotem.

Oda siedziała wsparta na ręku, smutna, w postawie dumnej — nad krosnami. Widać było na nich naciągniętą tkaninę purpurową, którą szyła złotem i jedwabiami. W tej chwili jednak robota przerwana była, a piękna pani patrzała na nią obojętnemi oczyma, gdy ksiądz wszedł do izby.

Na widok jego lice się jej trochę rozjaśniło, przywitała go poufałym półuśmieszkiem, wskazując niedaleko siedzenie. Sama jednak nie poruszyła się.

Ks. Petrek, codzienny snać gość u margrafównej, usiadł, rozpoczynając cichą rozmowę po niemiecku. Mówił tym językiem, jakgdyby się z nim w ustach urodził.

— Cóż wy mi przynosicie, mój ojcze? — spytała Oda.

— Ja z mojej celi, cóż mogę wam przynieść, oprócz modlitwy za pomyślność waszą?

— Dziękuję za nią... ja także już wieczorne odmówiłam modlitwy... Źle... nie wiecie co nowego o królu? — spytała.

— Dziś nawet miłościwego pana nie widziałem na oczy — rzekł pisarz.

— Smutny jest ciągle... Uważaliście to? Wydaje się nieszczęśliwym... — poczęła, bawiąc się nićmi z krosien wziętemi, piękna Oda.

— A nacóżby potężny pan nasz mógł się skarżyć? — udając dobrodusznego prostaczka, odezwał się ks. Petrek.

Oda ramionami ruszyła, chciała coś powiedzieć i umilkła. Obejrzała się po komnacie, pochyliła nieco i poczęła wreszcie z niejakiem wahaniem:

— Nieprawdaż, mój ojcze, że niewiasta, która męża swojego a pana oszukuje i kłamie przed nim... — przez małżonka odrzuconą być może i wydaloną? Z taką ma prawo się rozstać.

Ksiądz głową potrząsł zamyślony.

— W jakikolwiek sposób — żywo dodała Oda — niewiasta, któraby spiskowała przeciwko mężowi z nie-

przyjacioły jego? Niewiasta, któraby mu się stała niewierną?

Popatrzała nań, czekając odpowiedzi, ale ks. Petrek nie śpieszył się z nią.

— Nie tak to łatwo, miłościwa pani — odezwał się po chwili — nie tak to łatwo osądzić stopień winy. Kościół, matka nasza, zostawuje sobie prawo wyrokowania.

Po krótkiem milczeniu Oda dodała z trochą niecierpliwości:

— A wy... wy jesteście kościołem? wy duchowni, nieprawdaż?

Ruchem głowy potwierdził to ks. Petrek. Przez jakiś czas znowu powalczywszy z sobą, margrafówna wybuchnęła nagle, jakby się nie mogła wstrzymać dłużej. Charakter i wychowanie czyniły ją odważną, czuła się ze swą młodością, pięknością i rodem panią, królową.

— Wy wiecie dobrze, o kim ja mówię i myślę... Króla Bolesława tu zwodzą, okłamują... Miłościwa pani, którą wy wszyscy świętą nazywacie, nie waha się potajemnie spiskować z wrogami małżonka króla.

Ksiądz przez ostrożność wyraził całą twarzą zdziwienie, a Oda żywiej jeszcze szydersko dodała:

— O tak jest, mój ojcze... i wyście nie ślepi! A ja patrzę i wiem wszystko! Lituję się nad losem króla, który wart jest lepszego. Chciał słusznie, sprawiedliwie ukarać tych łotrów... cóż? myślicie, że spełniono jego rozkazy?

Ksiądz ciągle jeszcze zdumionego udawał.

— Nieprawda. Oszukano go, okłamano... Ich wykradziono!... oni żyją, aby się mścili... a kto to uczynił? Wasza święta królowa, którą wy pod niebiosa wynosicie... Tak... ona... Cóż wy na to?

— Ja? ja?... — przerwał Petrek — ja się zdumiewam, przerażam i milczę. To nie może być, miłościwa pani... któżby śmiał...

—Tak jest! tak jest! nie mówcie o tem nikomu —

szepnęła, widząc go jakby przelękłym — dojdę ja tej tajemnicy, jestem na śladzie.

— Bądźcie ostrożni, miłościwa pani — szepnął ciszej — i tyle tylko powiedzieć wam mogę... Bądźcie ostrożni. Będąc z czcią dla was i dla ojca waszego, proszę o to... Dwór pełen sideł i zasadzek. Wasza piękność obudza zazdrość i niepokoje, robi wam nieprzyjaciół.

Z ufnością w siebie rozśmiała się pogardliwie wspaniała dziewica i ręką machnąwszy, znak dała, jak się mało lęka. Ks. Petrek poszeptał coś cicho... wysłuchała go, skinęła głową i pokorny księżyna poszedł dalej.

Teraz zkolei zbliżał się do pomieszkania królowej Emnildy. Twarz jego, już dwakroć zmieniona, po raz trzeci jeszcze się przeobraziła, przybierając wyraz łagodności i łudzącej pokory. Postawa nawet zastosowała się do niej.

Gdy podniósłszy zasłonę, stanął u progu komnaty, miał prawie pozór ubogiego, nieśmiało przychodzącego po jałmużnę.

Królowa stała w pośrodku komnaty, jakby na modlitwie z rękami złożonemi, w czepcu swym białym na głowie i skromnej szacie obcisłej. Na zwiędłej jej twarzy, obok smutku, który prawie zawsze mieszkał na niej, malował się spokój i słodycz wielka. Oczy patrzały z miłosierdziem i dobrocią.

Witając królową, ksiądz się niemal do samej ziemi ugiął, a gdy oczy podniósł, przybrały one wyraz łudzącej dobroduszności i pokory.

Ludziom wybranym na ziemi dostają się dary, jakich drudzy nigdy zdobyć nie mogą. Przychodzą one im same, rosnąc z natury tych istot, która jest rolą urodzajniejszą niż inne. Tak królowa Emnilda, pobożna i święta pani, miała szczęśliwy instynkt poznawania, a raczej przeczuwania ludzi. Ufała jednym, czuła wstręt do drugich, wyrzucając sobie jak grzech nieufność swoją, a nie mogąc jej obronić.

Przez pobożność szanowała ona wszystkich duchownych, a w nich kapłanów Bożych, głosicieli słowa żywota; jednak ten uniżony, cichy, posłuszny na

skinienie ks. Petrek obudzał w niej jakąś nieufność i obawę. Nie lubiła go królowa Emnilda. Dlaczego? — tego sama sobie wytłumaczyć nie umiała, nie dał jej do tego żadnego powodu.

I teraz, gdy go ujrzała zbliżającego się tym cichym krokiem, z łaszczącą postawą, miała niemal ochotę cofnąć się i uciec. Musiała się przezwyciężyć.

Ks. pisarz, powtarzając ukłony, zbliżył się do królowej, ręce złożył na piersiach, westchnął głęboko i rzekł zcicha:

— Co serce miłościwej naszej pani, świętej pani, pod te czasy wycierpieć musiało, ja to czułem najlepiej!... Ciężkie to zaprawdę były chwile... Przecież Bogu dzięki, skończone wszystko.

Badający wzrok posłał do królowej, która stała zdala milcząca.

— Miły księże — rzekła po długim przestanku — powinniście byli wspierać mnie modlitwami waszemi. Tak jest, cierpiałam wiele, pragnęłam królowi a panu memu miłemu oszczędzić żalu i strapienia, lecz woli Bożej trzeba poddać się we wszystkiem.

Westchnęła i nie rzekła nic więcej.

— Miłościwa pani — odezwał się ks. Petrek — któż to wie, ażali ich ocalić nie było można?... — ciszej dodał — w jakikolwiek sposób...

Usta królowej zadrżały, jakby coś powiedzieć chciała, ale się powstrzymała. Westchnęła znowu; ksiądz oczyma przenikającemi ścigał ją ciągle, najmniejszy ruch śledząc pilnie.

— Można ich było ocalić... przechować, a w dobrą godzinę potem, gdy już wszelki gniew ostygnie, znaleźć przystęp do króla. Któż skuteczniej nad was, miłościwa pani, mógłby wyjednać miłosierdzie im i tym, co rozkazom dobroczynnym staliby się posłuszni...

Królowa Emnilda drgnęła nieznacznie i dodała pocichu:

— Mylisz się, ojcze mój, przypisując mi władzę i moc jakąś nad panem a królem moim. Ubogam jest służebniczka; był może czas, gdym nad wielkiem je-

go sercem miała małą przewagę, ale wystygła owa miłość, zwiędła twarz moja, naprzykrzyła się sama uległość. Dziś ja tu jestem jemu ciężarem tylko może, a drugim zawadą...

Ks. Petrek obruszył się bardzo.

— A! miłościwa pani! — zawołał. — Czyż się to godzi i pomyśleć...

— Nie skarżę się — rzekła z łagodnością i rezygnacją królowa, — wierzajcie mi! Byłabym występną, gdyby skarga skaziła usta moje. Byłam i jestem szczęśliwą. Więcej, niżeli mnie, należy szczęście panu mojemu, bo na jego barkach spoczywa ciężar straszny... Dla niego też gotowam zawsze wszystko moje poświęcić...

— Dziś miłościwy pan — rzekł ksiądz — chmurniejszy pono, niż zwykle... Już samo wykonanie wyroku na Jaksach smutkiem jego serce napełnić musiało... cóż dopiero zuchwałe, nierozsądne postępowanie rodziny, która się cała odsunęła od dworu i pana.

— Mój ojcze, sądzicież, że ich kara to za sobą pociągnie? — niespokojnie spytała królowa. — Byćże może? Lękacie się jakich skutków?

— Któż to obrachuje — cicho i skromnie rzekł pisarz — rodzina można, liczna, spowinowacona z najpierwszymi w kraju. Widzieliśmy nieraz przykłady zuchwałych buntów z mniejszych, niż teraźniejsza, obraz wynikłe... Słudzy wierni i poddani królewscy muszą być niespokojni.

— A i ja... i ja też płaczę i niepokoję się... ojcze mój — odezwała się Emnilda. — Ale modlę się i mam w miłosierdziu Bożem nadzieję... Wszechmocny Pan cuda czyni!...

Księdzu oczy błysnęły, bo ostatniemi wyrazy królowa niemal się zdradziła. Przewrotne człecze w dźwięku ich poczuło nadzieję, domyślało się niemal ukrywanej tajemnicy, po której wyśledzenie właśnie tu przybył.

Dla niego rozmowa była skończoną, wynosił z niej

wewnętrzne przeświadczenie, że Jaksowie za sprawą i wiedzą królowej ocaleni być musieli.

Więcej tu zdobyć i dowiedzieć się od Emnildy na teraz przynajmniej się nie spodziewał. Pobożnemi więc wyrazy zamknąwszy rozmowę, skłonił się z tą samą pokorą przesadną, jaką witał i posunął się naprzód ku drzwiom komnaty.

Ze dworca królowej wszedł pisarz w dziedzińce królewskie, gdzie zawsze bywało pełno różnej gawiedzi obcej i gościnnej.

Po drodze już mu się nikt nie nastręczył potrzebny i znany. Dopiero u drzwi swoich zastał czekającego nań niepoczesnego, średnich lat człowieka, którego ubiór oznaczał komornika pańskiego.

Zafrasowany, wylękłej twarzy, wejrzenia kosego, ruchów niecierpliwych razem i pokornych, oczekujący w progu, zobaczywszy nadchodzącego księdza, ruszył się żywo do pocałowania jego ręki.

Ks. Petrek, drzwi otworzywszy, wszedł pierwszy i wprowadził go za sobą do celi. Tu ciemno już było, ogień zupełnie wygasł na kominie, ks. Petrek uderzył w ścianę i nadbiegł chłopak z łuczywem, śpiesząc rozniecić drzewo przygotowane. Klęknął na ziemi i dmuchał z całej siły, aż sucha olszyna płomieniem się zajęła. Dopóki był tą robotą zajęty, przybyły milczał, spoglądał nań, pokazywał mu, co miał robić, a ku księdzu spozierał.

Dopiero, gdy się drzwi za chłopcem zamknęły, pisarz przystąpił bliżej do komornika i zaczęła się rozmowa głosem cichym.

— Cóż tam z tobą się dzieje, Harno?

Zagadnięty począł ciężko wzdychać i kilka razy się w piersi uderzył.

— A! zawsze jeszcze źle! — rzekł. — W sumieniu i na duszy niepokój ten sam... Trup ten za mną chodzi. Nie odstępuje mnie dniem i nocą. Wy wiecie, ojcze, spowiadałem się, pokutuję, na kościoły daję, za grzech żałuję... a kamieniem mnie przywala... nieboszczyk.

— A pokuta długa być musi — odezwał się pi-

sarz. — Ale bądź spokojny... ja czuwam nad duszą twoją i wyrwę ją ze szponów szatana.

Harno pocałował księdza w rękę.

Petrek przysunął się do niego jeszcze bliżej i rzekł cicho:

— Co mówił król Ugrom, nie wiesz?

— Groził — odezwał się również cicho Harno — groził nie tylko im jednym, ale wszystkim. Zły był dziś, bardzo zły, aż trwoga ogarniała... Drżeli wszyscy.

— Pytał kogo o Jaksów?

— Nie wiem.

— Gdzie ich stracono?

— Mówią, że za okopami — odezwał się komornik. — Sawasz i Dudziec widzieli w tem miejscu ogromną krwi kałużę.

Zdziwiony ks. Petrek aż się cofnął, brwi namarszczywszy.

— Możeż to być?

— A pewnie! — dokończył Harno, bijąc się swym obyczajem w piersi.

— A któż ich stracił, bo nie więzienny oprawca.

— Pewnie uprosili sobie kogo z rycerzy, aby nie ginąć z ręki kata... i tę łaskę im wyświadczono — mówił komornik — że ich ścinał kto ze swoich. Ten, co się tego przez miłosierdzie podjął, chwalić się z tem nie będzie.

Zamyślił się ks. Petrek mocno; rzecz mu się zdała bardzo nieprawdopodobną. Mówił zamyślony.

— Sami widzieli krwi kałużę, powiadasz?... Sawasz i Dudziec? A byłże kto przy traceniu?...

— Nie wiem — mówił Harno — umyślnie pewno dodnia to sprawiono, aby ludzkich oczów uniknąć... ale... nie wiem...

Ksiądz przysunął się prawie do ucha swego wiernego sługi.

— Wiesz, — rzekł — na dworze tu różnie głoszą... rozumiesz? Gadania są rozmaite... Są i tacy, co upewniają, że Jaksów nie stracono, że ich tylko gdzieś przechowano, albo ułatwiono ucieczkę.

Zagadnięty, który o niczem podobnem nie słyszał, oburzył się mocno tem przypuszczeniem.

— A kałuża krwi! — zawołał. — To nie może być... król kazał.

— Dojdźże mi ty tego, kto takie baśnie sieje — zamruczał ksiądz — dojść mi i dotrzeć... Za pokutę ci to naznaczam... Harno... Jesteś, nie przeczę, posłuszny, pobożny, pokorny... ale nie umiesz nic wyszperać, nic mi powiedzieć...

— Księże dobrodzieju — całując go w rękę, płaczliwie począł Harno — i wół nad siłę nie pociągnie... ja ciągnę z całej siły...

W piersi się uderzył znowu i mówił dalej:

— Kto to może powiedzieć, że ich nie stracono? Ktoby ich żywił, samby śmierć karmił swoją... królby tego nie darował... spadłaby mu głowa, choćby na wysokim karku siedziała... A! przeciw woli królewskiej...

I Harno ręce załamał.

— Śmią to ludzie mówić... któż wie — dodał cicho ks. Petrek — mógł się też ktoś ośmielić to uczynić. Możnaż wiedzieć, jak daleko sięga zuchwalstwo ludzkie?... Śledź, dowiaduj się i słuchaj, podpatruj... Daję ci to za pokutę, rozumiesz?...

— Harno dobył garsteczkę drobnych pieniążków srebrnych, cienkich, jak blaszki, które naówczas we Wrocławiu bito, i z węzełka je wytrząsłszy, księdzu na dłoń zsypał, całując ją.

— Ojcze dobrodzieju, kilka mszy na tę intencję biednego grzesznika, żeby ten trup nie chodził za nim!... Po nocach go słyszę, stąpającego dokoła i stękającego strasznie... Budzi mnie ze snu zimną dłonią... pokoju mi nie daje... Jęczy i wyje pod oknami. Kiedyż ja od niego będę wolny, ojcze?

— Modlić się trzeba, pokutować a kościołowi służyć z oczami zamkniętemi — odpowiedział ks. Petrek surowo. — Zdejmiemy z ciebie ten ciężar, gdy przyjdzie godzina... A no, krew braterska niełatwo się zmywa! Módl się!

Harno zakrył sobie ręką oczy, a głową potrząsł, milcząc.

— Jutro — zwracając mowę, dokończył ks. Petrek — jutro żebyście mi koniecznie świadków tracenia znaleźli, aby zamknąć gęby plotkarzom, żebyście mi wiadomość o tem przynieśli... Jeśli nikt nie widział, nikt nie był, — któż wie, co się stało? Rodzina można i zuchwała!

— A któżby śmiał ich wykraść? — krzyknął Harno — kto?...

Nie odbierając długo żadnej odpowiedzi, komornik popatrzał na księdza milczącego z poszanowaniem i pokorą, postał, powzdychał i widząc, że rozmowa skończona, pocałował go w rękę i wyszedł.

VII.

Zima ostra była i śnieżna, nie przeszkadzało to jednak do łowów po lasach. Owszem, zwierz się zdradzał, zostawując po sobie ślady; niektóre z nich za żerem szły w miejsca, przez łowców przewidywane, inne opuszczały gęstwiny leśne i wybiegały na polanki lub do niezamarzłych strumieni.

Lasy też ówczesne do dzisiejszych nie były podobne; nie splondrowane, dziewicze, obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, który dziś z nich znikł na wieki. Żył w nich jeszcze pan puszcz, dziki tur, chodziły żubry stadami wielkiemi, łosie, jelenie. W głębokie zastępy lasów rzadko się dostawał człowiek, lub na krótko przerywał ich uroczystą ciszę. Puszcze, jakby jednem pasmem połączonem z sobą, okrywały całe obszary ziem polańskich, gdzie niegdzie tylko zrzadka przetrzebione, powypalane na pola, na łąki i wypasy, bliżej ludzkiej sadyby.

Stały one jeszcze tak, jak je po oschnięciu tych nizin stworzyła natura — całą swą siłę na nie szafując, wyrosłe bujno, gęste, ściśnięte tak, że obalony starzec, któremu ciało zbutwiało, gdy miał lec, nie padał na

ziemię, ale się opierał na pniach sąsiednich, dopóki się w proch rozsypując, nie znikł po latach wielu, nowe sobą karmiąc pokolenie.

Na każdym z tych słupów potężnej, zielonej świątyni wypisane były wiekowe dzieje jej wzrostu — a wieki te spłynęły im niepostrzeżone, niepoliczone, prześnione, jak nam przechodzą lata.

Tam, gdzie olbrzymie drzewa rosły, dla młodzieży już miejsca nie było, nic się pod cieniem ich nie mogło wyżywić i przebić w górę do słońca. Ledwie mchy i borówki skromne, co drobnemi kropelkami światła się karmią, u stóp starców pełzały.

Tu zimą, pod kłodami i gałęźmi, na łożu z suchych liści zasypiał niedźwiedź, nie budząc się aż z wiosną, bartnik-gospodarz, o którym prawiono, że był dzikim człowiekiem, nie chcącym się przyznać do ludziej mowy, aby się uwolnić od pracy. Straszne bywało spotkanie z dzikim a rozjuszonym meszką, gdy, spiąwszy się na łapy, wyzywał myśliwca, aby się z nim wziąć za bary.

Silniejszy od nas tur, nie tak obrotny, ciężki, pożądanym był także dla myśliwców łupem, dla mięsa, skóry i cudownych własności wichru, który mu ciemię okrywał. Żubry zastawano często na zielonych łąkach w pośród lasu, ale bieda była myśliwemu, gdy go zmusił na drzewo uchodzić, bo je potem rozjuszony nieprzyjaciel tłukł głową i rogami, dopóki co nie obalił i nie zgniótł napastnika.

Łatwiejsze były pogonie za łosiem, za pierzchliwym jeleniem i kozami. Nie lękano się też wilka, jeśli nie był przemienionym człowiekiem, wilkołakiem, którego strzała nie brała, który miał rozum ludzki, a drapieżność wściekłego zwierzęcia.

Na wszystkich tych mieszkańców puszcz czyhali tu mnodzy nieprzyjaciele, nie licząc zwierząt drapieżnych, wzajem na siebie wyprawujących łowy krwawe. Kneziowie, panowie, osadnicy, parobczaki szli z oszczepami, z łukami i procami, zastawiali sidła, kopali do-

ły. Dzieci zaprawiały się na drobnem ptactwie, a wyrostki tęskniły za siłą, aby co rychlej pójść w zapasy ze straszniejszem zwierzęciem, które podpatrzeć, podkraść się do śpiącego, chwycić przebiegłością — najmilszem było zwycięstwem.

Daleki głos, ledwie pochwycony uchem, był naówczas dla ludu zrozumiałą mową, znaczył godziny, przepowiadał pogodę; myśliwy tłumaczył sobie, co wył wilk głodny na polu i co ptaki w powietrzu śpiewały.

Zimą, gdy większa część wesołego ptactwa odleciała, a pozostałe musiało niespokojnie pracować na skąpy żer, w lesie bez tych głosów i pobudek martwo było i smutno. Śnieg zalegał doły, wieszał się na gałęziach, utrudniał pochody i zdradzał. Bojaźliwsze stworzenia, jak przy opadaniu liścia tak w śnieżyce uchodziły z lasów, wygodnisie grzebali sobie doły, aby im w nich cieplej było. Wszyscy tęsknie z pod tego całuna wyglądali wiosny.

A dla człowieka była to pora łowów łatwych i obfitych, zwłaszcza, gdy śniegi okryły się lodową skorupą, która ucieczkę zwierza czyniła trudną i niebezpieczną. Ówczesne łowy były istotnie jeszcze wyścigami o lepsze zręczności, przebiegłości, siły. Trzeba było często życie stawić, myślą pracować, podstępy knować, ślady zacierać, postać zmieniać, aby nie być poznanym, i łup swój pochwycić. Zdala sięgająca strzała niewielką była pomocą, drażniła raczej, niż zabijała. Dzida i oszczep, a pocisk ostry właściwy oręż stanowił. Dzielnego oka i dzielnej potrzeba było dłoni, aby tura, żubra lub łosia obalić, niedźwiedziowi wydrzeć życie. W zdartą skórę stroił się myśliwy z dumą, bo ją często krwią własną okupić musiał.

Myśliwymi naówczas byli wszyscy, co wojakami byli, a najpiękniejsza część narodu garnęła się do rycerstwa. Rzadki dzień upłynął bez łowów i rzadko dzień jeden one trwały. Najczęściej spędzano całe tygodnie w puszczach, leżąc pod szałasami nocą, aby z brzaskiem być gotowym. Zapędzano się tak bez wieści, często na nieprzyjacielskie ziemie i łowiec sam stawał się

zwierzyną, zmuszoną do walki, lub uchodzenia przed przeważną siłą...

Posępnych dni kilka w bezczynności spędziwszy u ogniska, król Bolesław ruszył nagle, nazajutrz oznajmując łowy. Szukał widocznie w tej rozrywce zapomnienia frasunku i rozpędzenia złych myśli. Stanęli mu u boku jego ulubieńcy, zwykle towarzyszący w tych wycieczkach — Sagan, łowczy pański, który miał zwierzchni dozór nad myśliwską czeladzią i psiarnią — i Radzisz, co nie miał sobie równego w rzucaniu oszczepem, a tropieniu zwierza. Oprócz nich kilkadziesiąt głów dobranej młodzieży towarzyszyło panu. Sagan zwierzchnictwo miał nad wszystkimi.

Tuż niemal za miastem rozpoczynały się puszcze, rozgałęziając na wsze strony tak, że się raz w nie zapuściwszy, całą niemal ziemię przejechać było można, nie wynurzając się z lasów. Wszystkie one wiązały się z sobą.

O brzasku dnia ruszono z nad Cybiny, gdy w tumie pierwsze światła na jutrznię zapalano.

Król wydał rozkaz, aby lasami kierowano się ku Gnieznu. Domyślano się, że pragnął zarazem rozerwać się łowami i u grobu świętego apostoła Prus pomodlić. Często on tam w chwilach ciężkich przybywał, niosąc troski swoje i dusznej szukając pociechy.

Stępią wyjechał król za okopy. Tuż w prawo było miejsce, gdzie zwykle tracono winowajców. Bolesław puścił cugle bułanemu, a koń niepostrzeżenie zwrócił się ku prawej stronie. Tu śnieg czerwonym płatem zamarzł czerwono; była to ścięta kałuża krwi.

Koń królewski chrapnął i rzucił się wbok gwałtownie, a oko Bolesława, padłszy na drogę, ujrzało na niej krwawą plamę; pobladł król, konia uderzył i jechał dalej. Dwór szeptał między sobą, spoglądając zukosa.

— Jaksów krew! — mówiono pocichu.

Jeszcze posępniejszą, gniewliwszą stała się twarz królewska.

W puszczy już dzień się zrobił jasny, niebo, jakby niczimowe, czystym oblokło się lazurem, świeciło słoń-

ce, niby wiosenne, mróz zelżał. Wjechawszy między drzewa, otaczające wielką polanę, stanęli wszyscy.

Sagan się tu zwierza spodziewał. Jakoż nie czekano długo i na łąkę wypadło kilka łosiów, które, zaledwie przystanąwszy na chwilę, natychmiast nazad pierzchliwie się w puszczę cofnęły.

Jeleń, jak strzała, nie zatrzymując się, przesadził przez polanę i zniknął, kilka kóz przemknęło bliżej, tak, że pociskami dosięgnąć je mogła młodzież podbiężawszy i położyła ich dwie. Król, z konia się nie ruszywszy, stał, patrzał, ręka mu nie drgnęła.

Początek łowów niebardzo był szczęśliwy; co grubszy zwierz wszystek ujść zdołał. Wkrótce też Sagan, już się nic więcej tu nie spodziewając, dalej poprowadził. Orszak królewski podzielił się na kilka oddziałów, rozstąpił szerzej, objął przestrzeń znaczniejszą.

Król Bolesław pozostał w jego środku, przy boku mając Radzisza, który nie zwykł go był odstępować.

Pod jakąś niefortunną wróżbą rozpoczęte łowy i dalej się nie powiodły. Zwierz znajdował zawsze przesmyki, któremi pierzchał bezkarnie. Łowcy źle obejmowali knieje. Trafiano tylko na drobną zwierzynę, która nikomu nie robiła uciechy. Król, co się czasem był zwykł zapalać, teraz obojętny jechał i zimny.

Pięć godzin może po lesie tułając się, szczęścia próbowano napróżno. Sagan klął okrutnie, łajał wszystkich straszliwie, ale to szczęścia nie poprawiało.

Choć próżnych wiader nikt przy wyjeździe nie widział, zaczynano się jakichś złośliwych domyślać czarów. Czarom naówczas wiele przypisywano i siła nieczysta często stawiała przeszkody.

Znużenie czuć się dawało silnie, głód i pragnienie dokuczały. Drużyna pańska, chcąc poprawić łowy, rozbiła się na wszystkie strony, rozpierzchła i pozbierać nie mogła.

Król Bolesław został z Radziszem jednym i dwoma pacholętami, tak chmurny, jak wyjechał z zamku, ale mocno znużony. Zdawał mu się to z twarzy czytać Radzisz i rozpoznawszy się w lesie, bo tu w całej oko-

licy znał każdą ścieżkę i każde niemal drzewo stare, nadbiegł do króla z wiadomością, że o kilkoro staj jest dworzec, w którymby spocząć i posilić się można.

Król głowę odwrócił, posłuchał go i dał znak przyzwolenia.

Wzięto się zaraz we wskazanym przez Radzisza kierunku i po krótkiej przejażdżce zdala ukazał się stary dwór w wałach, opasany ostrokołem. Grodzisko to było w głębi puszcz, mało komu znane i dostępne. Zwano je Komorą.

Czy przewodnik Bolesławowski wiedział, do kogo należało, trudno odgadnąć; król, choć dobrze każde niemal obronniejsze miejsce miał w pamięci wrażone, o właścicielu Komory mógł zapomnieć.

Siedział tu jeden ze starych Jaksów, który za Mieczysława okaleczawszy na nogi w wojnie z Niemcami, z domu się dawno nigdzie nie ruszał i słychu o nim nie było. Co zresztą króla obchodzić mogło, kto na gródku był panem, gdy on nad każdym z nich był panem i władcą?

Wprost od lasu puszczono się ku wrotom. Z za wysokiego okopu i tynów — dworu tak jak nie widać było. Dwa słupy dymu wznosiły się tylko z ich środka. Gdy Bolesław podjechał bliżej, Radzisz i pachołkowie skoczyli przodem otwierać, a towarzysz pański wrotnemu wnet oznajmił, iż król w gościnę przybywa.

Rzucili się od wrót ludzie do dworu, jak popłoszeni.

Król jechał bardzo powoli, tak, że nim się przybliżył i wjechał do środka, już wieść o nim miała czas gródek obiec cały. Ogromny ruch widać było około dworu, lecz, gdy w przedsieniu stanął król Bolesław, nikt na jego powitanie nie wyszedł, wedle obyczaju... chleba i soli nie podano. Stała służba tylko — gospodarza i rodziny jego widać nie było.

Król, jakby nie zważając na to, wszedłszy, skierował się ku świetlicy. I tę zastał pustą.

Palący się ogień świadczył, iż niedawno byli tu ludzie, ale znikli. Radzisz musiał sam panu gospodarzyć.

Wyszedł razy parę, a król poznać mógł z jego zasępionej twarzy, iż nie wszystko tu było w takim porządku, w jakim się znaleźć spodziewano; coś niespodzianego, niemiłego mąciło przyjęcie w tym domu.

Bolesław jednak o nic nie pytał, zapatrzył się w ogień, zadumał. Dopiero, gdy po długiej oczekiwania chwili służba zaczęła na stół przynosić jadło i dzbany, król popatrzał uważnie. Uderzyła go niebytność gospodarza.

Słusznego wzrostu, młody mężczyzna, postawy pięknej, oczu jasnych, ale ubrany ubogo, stał zboku. Zdawał się tylko czekać na pytanie i mężnie do odpowiedzi gotować. Twarz mu płonęła, to bladła.

— Kto tu gospodarzem? — zapytał król.

— Pan mój, stary Tomko Jaksa — rzekł podniesionym głosem sługa.

— Niema go doma? — odparł król, któremu się brwi ściągnęły.

Zapytany, zbierał się teraz dłużej na odpowiedź...

— Był tu, miłościwy panie, ale się do lasu wynieść kazał, zostawując dwór i sługi dla miłości waszej — a rozkazał mi rzec, gdybym pytany był, że należy do tego rodu, który krwi swej płacze, przeto się gościowi radować nie może.

Wszyscy pobledli, słuchając tych słów, mężnie i dobitnie wypowiedzianych przez śmiałego sługę; król ani nań spojrzał nawet, ani mu odpowiedział...

Lice jego zmieniło się nieco, pobladło, dłoń, w której kubek trzymał, zadrżała, czoło się pofałdowało, ale usta słowo wstrzymały.

Nie wstał jednak od tego stołu nieprzyjacielskiego, czując się i tu, i wszędzie jedynym panem i gospodarzem. Wzgardził doznaną obelgą.

Umyślnie może jadł powoli i długo, pił wiele, psom rzucał reszty, usiłując się okazać bezpiecznym i obojętnym. Lecz Radzisz widział nawskroś, że w nim wrzało i gotował się gniew srogi, burzyło się kryjomo wszystko.

Nie nadszedł jeszcze wieczór, lecz już do niego

było blisko. Tu się właściwie należał nocleg zmordowanym, których za królem coraz więcej się pościągało i obozowało we dworze i podwórzach, ale wkrótce król dał znak do pochodu i sam ruszył z ławy ku przedsieniu, gdzie mu już przemienionego konia (bo jeden przez cały dzień dźwigać go nie mógł) siodłano. Na skinienie pana rzucili się wszyscy do swoich koni.

Sagan, który się tu znalazł także, zapowiedział, że jelenia rogacza miano nieopodal na oku, niemal osaczonego, na króla z nim czekając tylko.

— Tak wyruszyli z Komór. Nikt tu nie witał, nikt nie żegnał, służba nawet cofnęła się i znikła. Król też, dobrego słowa nie rzekłszy za gościnę, wyruszył nazad milczący i posępniejszy, niż przybył.

Jechali znowu ku lasom, Sagan prowadził.

Stał bór sosnowy przed nimi, jak ściana czarna; wygodnie przezeń jechać było, bo nie miał podszycia... Ogromne sosny zgłuszyły pod sobą, co żyło. A tuż za nim rozpoczynały się inne drzewa, zaroślami objęte, gąszczami poprzerzynane. Sosny coraz były rzadsze, aż znikły zupełnie.

Kawał tego lasu przebywszy, jakby na dany znak uciszyli się wszyscy i czas jakiś w milczeniu jechali. Na kraju polany porwał się jeleń przeciw króla tak blisko, że Bolesław cisnąć mógł oszczepem... Jakoż cisnął nim, ale kuty pocisk, trafiając zwierza, ośliznął mu się tylko bezsilny po grzbiecie. Jeleń pomknął rączo, a król, pomimo tuszy swej, czując świeżego konia pod sobą, rzucił się pogonią za lekko ranionym zwierzem.

Puścili się też wszyscy królewscy, kto jak mógł, zdołał i umiał. Zachrzęszczały gałęzie, zatętniał bór, kilka krzyków słyszeć się dało; pod jednym z komorników koń się zaraz zwinął i padł z nim razem, ale na to nie zważano.

Król ścigał zwierza, konia pędząc bez miary, jakby na zwierzęciu i na wierzchowcu chciał spędzić gniewy i wylać je z siebie. Z okiem zapalonem, przegięty, miotając, co miał pod ręką, Bolesław ubiegł znaczny kawał

drogi lasem, ciągle zmuszony kołować i wymijać drzewa, gdy jeleń, który się coraz bardziej odsadzał, znikł mu z oczów nareszcie.

Jakiś czas król biegł jeszcze, aż konia zasapanego, spienionego i buchającego parą, zatrzymał.

Otaczał go las głuchy; nikogo za sobą, nikogo nie spostrzegł przy sobie, nigdzie szelestu i tętnienia słychać nie było... tylko wrony krakały złowrogo nad konarami starych dębów... Zdawały się szydzić i grozić głosy dziwnemi, przekornemi.

Miał król na piersiach trąbkę, przywiezioną z Kijowa, misternie rzeźbioną, z kości słoniowej, złotem sadzoną. Mógł ją do ust przyłożyć tylko, by dwór powołać do siebie, lecz czy że sam być wolał, czy o niej zapomniał, zwolniwszy koniowi kroku, począł stępią jechać dalej noga za nogą; cugle purpurowe z rąk puścił i obojętnie rozglądał się dokoła.

Puszcza była dzika, gąszczami zarosła, niedostępna, poprzerywana strumieniami, w części zamarzłemi, częścią oparzelistemi, u których mimo zimy, jakby wieczną zieleniało wiosną... Kłody i powały przerzynały ją w różnych kierunkach. Na niektórych leżały nawały śniegu zbite i sterczały, jak pagórki. Mnogie ślady zwierza widać było wszędzie, nigdzie oznak konia i człowieka.

Ta pustynia o mroku, bo noc nadchodziła szybko, wcale snać króla nawykłego do wypraw nie trwożyła. Koniem przestał kierować i dał mu się obracać, jak sam chciał. Stworzenie to było nawykłe do paszy i swobody, do wędrówek po łąkach i puszczach. Jak tylko uczuło się swobodnem, głowę podniosło do góry, okiem bystrem rzuciło, dokoła się rozpatrując, prychnęło, zarżało.

Zdawało się, że koń zrozumiał zbłąkanie się i osamotnienie pana, i na pomoc mu ludzi przyzywał. Stał, słuchał, strzyżąc uszami, lecz nic mu wzajem nie odpowiedziało.

Zostawiony sam sobie, wierzchowiec królewski począł potem iść zwolna, nozdrzami zaczerpnął powietrza,

aby ono coś mu powiedziało, gdy nikt się nie odzywał. Jeszcze raz dokoła bystremi potoczywszy oczyma, śmiałym krokiem skierował się w stronę, gdzie się zapewne spoczynek znaleźć spodziewał.

Król sądził może, iż ślady jego konia pogoń za nim sprowadzić muszą, jechał więc spokojny, lecz mrok padał gęstszy coraz, a w lesie był on wcześniejszym jeszcze, — noc nadchodziła czarna.

Nieco przyśpieszywszy kroku, koń, jakby znał jakąś drogę niewidoczną, prowadził ją coraz śmielej. Bolesław zdawał się na to wcale nie zwracać uwagi, dokąd jedzie.

Mrok wieczorny zastąpiła już noc posępna... Śnieg tylko przyświecał nieco i wskazywał drogę... Parę razy coś pierzchnęło na uboczach, coś zamruczało jak zwierz spłoszony, lecz kasztan nie uląkł się wcale. Z płaszczyzny na wzgórze zaczął wstępować koń, choć mu z ciężarem, jaki dźwigał, iść było trudno. Król, przypadkiem oko na dół spuściwszy, na śniegu dostrzegł świeże ślady stóp ludzkich.

Puszcza ciągle gęsta, ku wierzchołkowi wzgórza cokolwiek jakby przerzedzoną była. Z pomiędzy pni grubych zdziwiony król dostrzegł słabe światełko.

Koń zarżał w tej chwili, jakby je pozdrawiał. Wprędce też podbiegłszy kilka kroków, stanął, rozpatrując się dokoła. Bolesław dostrzegł maleńką ubogą lepiankę. Przez szparę okiennicy przerzynało się trochę blasku, ponad daszkiem unosił się lekki obłoczek dymu. Koń rżał ciągle, jakby nawoływał.

Jakoż, nim król miał czas z konia zejść, dał się słyszeć szmer u drzwi; uchyliły się one i głos drżący odezwał się z nich pierwszy:

— Niech będzie pochwalony!...

To powitanie chrześcijańskie, również jak krzyż było znamieniem wiernych, wśród mnóstwa jeszcze skrytych i ukrywających się bałwochwalców. Ale wśród puszcz najmniej się go mógł król spodziewać, bo właśnie lasy były schronieniem pogan, w nich oni bez-

karnie sprawowali swe obrzędy. Uroczyska zastępowały kontyny.

Usłyszawszy pozdrowienie, król prędko i donośnym głosem odpowiedział nań, zsiadł z konia, zostawując go swobodnym, i zbliżył się ku drzwiom lepianki.

Tu dopiero mógł dostrzec, że witający go był starcem przygarbionym z długą siwą brodą. Czarna czapeczka okrywała mu głowę wypełzłą; ciemna długa suknia, sznurem grubym ujęta w pasie, służyła za odzież całą.

Stary gospodarz nędznej chatki wśród ciemności mógł tylko rozeznać, że miał przed sobą podróżnego i jego konia, ale poznać go, ani się domyśleć, kim był, nie było mu podobna.

— Podróżny jestem — rzekł, zbliżając się, król, — zbłąkałem się w lesie; dajcie mi się ogrzać i spocząć u siebie.

Coś niewyraźnego odpowiedział staruszek, ale uchylił drzwi wąziuchne i niskie, a król, zgiąwszy się, wcisnął się do małej sionki. Stąd drugie drzwi podobne, z prostych desek zbite, wprowadzały do wnętrza chaty.

Była to raczej nora biednego jakiegoś stworzenia, niżeli mieszkanie człowieka. Niezgrabnie i krzywo wzniesione ściany niskie, polepione gliną, malutką bardzo obejmowały przestrzeń. Za podłogę służyła uklepana na tok ziemia; otoczony kilku kamieniami tlił się w kątku mały ogieniek.

Maleńki stolik przy drugiej ściance spoczywał na dwu ledwie z kory obdartych pieńkach. Przy nim stała chwiejąca się ławeczka na kołkach, w ziemię wbitych, a w rogu widać było posłanie z liści suchych, niepokryte niczem, liche, jak barłóg, wyleżane i wąskie. Na jednej ze ścian uderzał krzyż wielki, czarny, którego niższa część pocałunkami wytarta, zbielała. Drugi krzyż mniejszy, cynowy stał na stoliku, a przy nim leżało to, co miała najdroższego lepianka ta, co narówni ze złotem i drogiemi kamieniami lub wyżej nad nie ceniono, — mała książeczka z kart pergaminowych złożona,

w ciężkich okładzinach dębowych, z zawiasami srebrnemi.

Widać było, że w chwili, gdy się koń królewski odezwał, modlono się na niej, leżała bowiem otwarta, a na kartach przezierały malowane purpurą wielkie jej głoski.

Za królem wsunął się powoli staruszek, ciekawemi mierząc go oczyma. Na piersiach jego wiszący krzyżyk, suknia, na której teraz dostrzec było można szkaplerz zakonny, dały mu w gospodarzu poznać duchownego. Zbliżył się więc, głowę obnażywszy, do pocałowania ręki jego.

— Pobłogosławcie podróżnemu, ojcze mój — odezwał się Bolesław zdziwiony, — pobłogosławcie naprzód, a potem powiedzcie mi, jakeście się tu na tę puszczę i kiedy dostali?

Staruszek, wpatrując się bacznie w gościa, milczał długo, westchnął potem.

— Pustelnikiem jestem — rzekł; — życie zakonne światu się nie opowiada, przed ludźmi kryje. Tak samo przybyłem tu, jak ci, którzy za wiedzą króla Bolesława niegdyś się osiedlili — jak błogosławieni męczennicy, a bracia moi w regule św. Romualda: Benedykt, Mateusz, Jan, Izaak, Krystyn i ten, co ich przeżył — Barnaba. Czemuż mi się dziwujesz, synu mój? Azaliż my prosić potrzebujemy o to, aby się nam dozwolono modlić i Boga za grzechy ludzkie i swoje błagać? Jestli to winą, że nikt, prócz Barnaby i braci w Trzemesznie, o mnie nie wiedział?

Król oglądał się ze zdumieniem i poszanowaniem zarazem.

— W takiej nędzy — rzekł, — na takiem bezludziu, i wśród dzikiego zwierza, może wśród dzikszych jeszcze pogan, których lasy są pełne, jakże wyżyć mogliście?

— Jak wszystko stworzenie, co żyje łaską Bożą — odparł starzec spokojnie. — Czyż wiele potrzeba, aby żywot nędzny utrzymać? Czyż ta łaska, co zwierza od-

gania trwogą, jak kołem czarodziejskiem nie odgradza pogan od tej lepianki lepiej, niż murem i rowami?

Ciągle ze zdumienia wynijść nie mogąc, król spoglądał, oczom prawie nie wierząc. Oprócz opisanego sprzętu, wiaderko z wodą, dwa małe garnuszki, gliniana miska czarna, łyżka drewniana, grubo wyciosana, składały całe gospodarstwo pustelnika.

— Ale wy tu ani kościoła, ani ołtarza nie macie? — zawołał król.

— Mylisz się, dziecko moje — odparł, uśmiechając się, pustelnik. — Na wielkie święta chodzę do braci św. Augustyna do Trzemeszna, na dni powszednie ja sam zbudowałem sobie kapliczkę małą.

— Gdzież? — spytał król, oglądając się dokoła i coraz większe okazując zdziwienie. — Gdzie? Przy chatce nie widać innej budowy.

— Chcecie ją widzieć? — spytał uradowany staruszek.

— Proszę was...

Pustelnik ruszył się ku ognisku; tu stała lampka gliniana, napełniona jakąś tłustością, z zanurzonym w niej knotem. Zapaliwszy ją u ognia, pustelnik poszedł w ciemny kąt izdebki, poprzedzając króla. Tu podniósł na ziemi leżące drzwi, z opołków zbite. W głębi pod niemi widać było kilka schodków, wyżłobionych nieforemnie w glinie.

Kaplica pustelnika była kryptą zarazem i katakumbą. Własnemi rękami powoli wykopał ją brat Antoni, ziemię na starych wynosząc plecach.

Z trwogą pobożną i zdumieniem król zaczął się ze staruszkiem spuszczać powoli do krypty ciasnej. Nie szło mu to tak łatwo.

Podziemie było daleko obszerniejsze od izdebki na górze z czystemi, równemi ścianami, i rodzajem sklepienia, które na dwóch ciężkich słupach z gliny się spierało. Pomiędzy niemi, z ziemi także i kamieni, poczęści drzewem rzeźbionem okryty wznosił się prosty ołtarzyk z krzyżem w pośrodku i dwoma lichtarzami drewnianemi. Na nim stał cynowy kielich maluczki,

takąż przykryty patyną. Na słupach wisiało ubogie odzienie kapłańskie do mszy niezbędne: humerał, alba, pas, stuła (orarium), wreszcie ornat (paenula), nie świecące złotem, ani jedwabiem, i perłami, ale czyste i świeże, jak wszystko, co ojca Antoniego otaczało.

Ksiądz poszedł naprzód na chwilę przed swym ołtarzem uklęknąć.

Król stał, poruszając ustami, jakby się modlił.

— A tu — dodał gospodarz, powstając z uśmiechem prawie wesołym — a tu, dziecko moje (wskazał na ołtarz), stoi przygotowane ostatnie moje łoże, w którem ja i teraz często sypiam.

Była to z prostych desek grubych zbita trumienka, wewnątrz liśćmi wysłana, o którą wsparte leżało wieko z wyciosanym na nim krzyżem.

Widząc pobożne zdumienie króla, ożywił się staruszek, poczuwszy w nim duszę pobożną.

— Mam prawo się trochę pochwalić—dodał—boć to wszystko, co tylko tu widzicie dokoła, jest dziełem moich rąk. Sam wykopałem powoli kryptę, sam ją sobie przystroiłem, ulepiłem chatynkę, wyciosałem sprzęty, a Bóg dał mi siłę skończyć tak, jakom pragnął i cieszyć się tym trudem na chwałę Jego... Boć i tu, w tej głuchej puszczy brzmi teraz cześć Zbawiciela!

Wracali już z krypty do izdebki. Ojciec Antoni drzwi zamknął za sobą i lampkę zagasił.

— Siądźcie na ławie, jak możecie — rzekł do króla, — albo lepiej legnijcie na liściach, które są suche. Twarde to łoże, ale rycerzem jesteście, jak widzę, do niewygód nawykłym. Ognia wam zaniecę. Niestety, oprócz posłania i ogrzania, Bóg widzi, nie wiem, czembym was mógł przyjąć i posilić!

— A czemże wy sami się karmicie? — zapytał Bolesław, coraz większą czcią przejęty dla wesołego anachorety, którego usta tajemniczo i łagodnie się uśmiechały.

— Ja? — rzekł pustelnik. — Oto naprzód modlitwą i łaską Bożą, bo te żywią i zasilają najlepiej, a potem, potem już lada czem... jakąś kruszyną. Trochę krup

ugotowanych na wodzie, trochę korzonków, wykopanych z ziemi, czasem rybka w strumieniu złapana. Mięsa nie jem od trzydziestu lat, — chleb rzadko. Nawykłem do tego życia, za lepszem nie tęsknię. Widzicie, trzyma mnie Bóg łaską swoją.

Nic nie odpowiadając, król go w rękę pocałował. Stary, spostrzegłszy, że ogień wygasa, wiązkę chróstu z sionki przyniósł i przyłożył. Usłuchawszy rady, Bolesław zbliżył się do posłania i rzucił się na nie, czując się znużonym.

Na głód i niewygodę mógłże się poskarżyć, widząc to dobrowolne zaparcie się starca, tak surowego dla siebie?

Gdy król padł na ubogie posłanie, o. Antoni usiadł z boku na ławie przy stoliku.

— A wy skąd jesteście, dziecko moje? — zapytał.

— Ja od dworu króla jestem, — rzekł Bolesław — wyjechaliśmy dziś z nim na łowy i zbłąkałem się w lesie, pędząc za zwierzem.

— Zaprawdę, nie małoście się zabłąkali, — odparł pustelnik — jest to, można rzec, samo jądro tej puszczy, dokoła moczarami i naturalnemi otoczone zasiekami, do której się dostać trudno. Zwierz tu czasem zagląda tylko, człowiek — nigdy prawie. Dziady i czarownice stare boją się mnie, za większego od siebie mając czarownika i nie napastują, choć opodal mają swe uroczyska, na których śpiewy, a podczas i pląsy odprawiają.

Zamyślił się staruszek i widocznie zafrasował, spoglądając na leżącego.

— Jakże mi żal, że was strudzonego, zgłodniałego, niczem pokrzepić nie mam. Ale — zaprawdę!

To mówiąc, wstał z ławy uradowany.

— Zaprawdę, ojcowie z Trzemeszna dali mi do mszy świętej aż dwie flaszki wina! Starczy mi go na długo, bom oszczędny, a dla siebie, krom mszy świętej, nie używam. Wina wam zagrzeję? nieprawdaż?

— Dobrze, mój ojcze, wina mi zagrzejcie nieco, a za każdą kroplę jego oddam wam dzbanek! — za-

wołał Bolesław uradowany. — W istocie osłabłym się czuję, bo tak, jak wy, ciała martwić nie zwykłem...

— O! nie bądźcie tak rozrzutni! — uśmiechając się, pochwycił stary. — Cóżbym ja począł z takim zapasem? nie miałbym go nawet gdzie pomieścić. I nużby mi to bogactwo tak się nie poszczęściło, jak ów dar króla Bolesława dla mojej biednej braci, co zginęli za jego bryłę złota?

— A! — krzyknął, zapomniawszy się na chwilę, król, bijąc się w piersi — a i ta nieszczęsna bryła złota — do końca życia na piersi ciężyć mi będzie.

Zaledwie tych wyrazów domówiwszy, Bolesław spostrzegł, że się sam zdradził, ale miał nadzieję, że go może pustelnik nie zrozumiał.

O. Antoni stał, patrząc nań spokojny, nie okazując wcale zdumienia, z uśmiechem swym łagodnym na ustach.

— Jesteś więc królem Bolesławem! — zawołał, lekko skłaniając głowę. — Sześć ci, królu pobożny! Rad jestem, że cię moje oczy oglądają. Synem jesteś tego, co światło wiary na tę ziemię sprowadził, opiekunem jej i krzewicielem... Bóg niech ci błogosławi!

Ręką zakreślił krzyż w powietrzu—król był w usposobieniu smutnem i przerwał o. Antoniemu:

— Grzesznikiem tylko jestem, większym niż inni! A nadzieja moja w zasługach świętego męczennika Adalberta, iż mi on przebaczenie wyjedna.

— Wszyscy się modlimy za ciebie, panie, — odparł o. Antoni — bo gdyby silna dłoń twoja nie trzymała pogan, których tu nad chrześcijan więcej jest jeszcze, padlibyśmy ofiarą wszyscy, jak od dzikich zwierząt pożarci.

To rzekłszy, stary pustelnik poszedł do kąta izdebki szukać wina, wypłókał garnuszek, przyłożył do ognia gałęzi i zajął się pilno zagrzaniem napoju dla króla.

Nad ten czarny garnuszek innego nie było, i Bolesław, śmiejąc się, do ust go przyłożył, a orzeźwiający napój wychyliwszy, podziękował staruszkowi.

— Teraz — odezwał się — spokojnie mogę czekać ranka. Biedny mój koń tylko o głodzie i o chłodzie noc przebędzie.

W istocie dla kasztana miejsca tu nigdzie nie było, ani paszy. Ukrywszy się od wiatru za ścianę, stał smutny ze łbem spuszczonym.

Wkrótce jednak instynkt się obudził, począł grzebać nogami, szukając pod śniegiem zeschłej trawy.

VIII.

Sen nie brał króla.

Przybył tu z myślami czarnemi, podrażniony w drodze nowym dowodem niechęci całego rodu Jaksów, gniewny i smutny — dopiero widok tego dobrowolnego, ubogiego wygnańca, męczennika, spokojnego i niemal wesołego, — kazał mu nieco zapomnieć o sobie.

W lepiance o. Antoniego ustąpił gniew i uczucie obrazy — wobec czci dla pobożnego staruszka.

Silne wrażenie uczynił na królu Bolesławie skromny mnich, na nieznanej pustyni, żyjący w krypcie, własnemi wygrzebanej rękami, śpiący w trumnie, żywiący się korzonkami, oderwany od świata całego, oddany Bogu i modlitwie.

Bolesław nawykł był do czci i hołdów, które mu jego duchowieństwo składało, a choć on sam mu wielkie wszędzie okazywał poszanowanie, uderzony być musiał prostotą i spokojem ducha świętego człowieka, co się majestatu tego nie lękał.

Ta duchowa wyższość ubogiego człowieka, niepożądającego nic, uśmiechającego się własnej nędzy, w podziw wprawiała króla. Każdy ruch, każde słowo starca się w nim odbijało. Leżał i spoglądał na krzątającego się, jak na jakieś nadziemskie zjawisko.

Po rozmowie z Bolesławem pustelnik, czas jakiś pomilczawszy, wziął ze stołu otwartą księgę swoją.

— Miłościwy panie — rzekł — tyś królem ziemskim, ale dla ciebie służby Pana niebieskiego zanie-

choć się nie godzi. Mamy nasze godziny modlitwy... pójdę odprawić je i powrócę.

Staruszek, zapaliwszy lampę, pośpiesznie wszedł do krypty. Król został sam w myślach zatopiony.

Któż wie? porównywał może spokojne życie tego nędzarza ze swojem; jego ukojenie wewnętrzne z tą walką, którą całe życie w piersi nosił. Świeże i dawne wypadki napełniały go trwogą w sumieniu. Mógłże znaleźć lepszego doradcę i spowiednika nad tego świątobliwego człowieka, który w sądzie swym o ludziach i czynach nie mógł się żadnym powodować względem i stronnością dla nikogo, a patrzał tylko wiecznej sprawiedliwości.

Z podziemnej krypty słychać było szept modlitwy i westchnienia. Dokoła szumiał las posępnie. Niekiedy wiatr żywiej puszczę zamiatał i wdzierał się otworem dymnika do izdebki. Na kamieniach ogień dogorywał. Król leżał zadumany, niemal rad będąc, że go drużyna opuściła, że na chwilę pozostał sam z sobą i pustynią.

Cichym krokiem wrócił nareszcie ojciec Antoni, zasłaniając światło rękami, bo sądził, że król usypiał, ale Bolesław, zobaczywszy go, odezwał się żywo:

— Mój ojcze, potrzebuję pomocy z niebios od Boga... Ciężkie jest brzemię moje...

Westchnął Bolesław.

— Ciężki jest i był cały żywot mój — mówił — choć w nim miałem jasne godziny. Grzechy moje i niepokój mój i myśli moje tajemne chcę wyznać przed wami, ojcze... Wy mi powiecie najlepiej, jak ciężkie są winy i czy nie grzeszne mam pragnienia. Chcecie mi dać ucha, tak, jakbym spowiedź ze skruchą składał przed wami?

— Miłościwy panie, — czyńcie jako sumieniowi waszemu lepiej, jako duszy lżej. Wszak za cud niemal uważać muszę, że was tu do mnie przyniosły noc i obłęd. Nie jest-li to dziełem Opatrzności, która słabego i grzesznego chce uczynić lekarzem?

— I jam też tak myślał, ojcze mój — odrzekł król poruszony — niedarmo się tu znalazłem, nie wiedząc

o was ani szukać mogąc... Niech się więc wyspowiadam przed wami, ciężar mi może spadnie z piersi...

Tu król zamilkł na chwilę, jakby myśli chciał zebrać i cichym głosem począł opowiadanie.

— Dzieckiem uczono mnie rycerstwa i razem przebiegłości. Otoczeni byliśmy wrogami... kraj nam kawałami odszarpywano, polowano na nas, jak na zwierzęta dzikie. Na granicy zatknął mój rodzic krzyż, jak tarczę przeciw niemieckiej napaści.

Poszedł się pokłonić cesarzowi, aby go przejednawszy, miał czas się umacniać i zbroić.

Ja biłem się dzieckiem... Gdy dorosłem, ojciec mi mówił: — Ziemie jednej mowy do jednej powinny należeć dłoni, albo Czesi, lub my niemi zawładnąć musimy. Od morza do Dunaju, jak szeroko brzmi słowo nasze, musi być królestwo twoje... a mieczem i krwią je zdobywać trzeba! Cesarz niech sobie Zachód dzierży w przymierzu z nami, my z pomocą jego i kościoła wschodnie ziemie zagarnąć musimy... Trzeba wydrzeć, co zarwane przywłaszczone, oddarte, zjednoczyć i podbić. To dzieło twoje... ja granicę myślą oborzę, i ty je masz orężem żelaznym, jak słupami, obwarować. Zamki niech staną na rubieżach i strzegą ich.

Ale i rodzic mój Mieszko, i ja ludźmi byliśmy, ojcze mój. Zmarła świątobliwa macierz moja, gdy ja miałem lat dziesiątek. Niemcom potrzeba było na miejscu czeskiej niewiasty swoją mieć u tronu. Pokazali staremu urodziwą zakonnicę w Kalwe, Odę, córkę margrafa Dytmara, która wdziała już była suknię i złożyła śluby. Skusili go do nowego małżeństwa. Duchowieństwo nie rzekło nic. Dali mu ją, aby przez nią owładnęli ojcem moim. Przybyła na zamek dumna macocha, gdy ja już miałem lat trzynaście, ale mi serca ojca nie odebrała.

Wprędce potem chodziłem na wojnę. W domu mi było duszno. Przybywało rodzeństwo nowe. Siostrę rodzoną miałem jedną, Sygfrydę, którą za duńskiego wydano Swenona. Teraz z Ody pokolei przyszli Świa-

topełk, Władywój, Lambert, synowie mniszki. Słyszałem, jak mówiono, że państwo podzielić się miało.

Ojciec, bijąc mnie po głowie, powtarzał: — to będą wojewody twoje, a ty nad nimi panem i królem.

Ale z oczu dzieci mniszki patrzało, że mnie one słuchać nie zechcą. Starzał Mieszek, posyłał mnie w świat wojować, sam żonie posłuszny, spokoju pragnął, Niemcom się kłaniał...

Co matka moja posiała, chwast poczęło ogarniać. Krzewiono wiarę, ale państwo, wcześniej, niż dorosło, już się rozpadało.

Miał ojciec brata, Sydbora, a po nim dwu bratanków, Odylona i Prybuwoja. Ci mniszce zawczasu się kłaniali... jam się bił, a mnie tam moją ojcowiznę zawczasu na kawały darto... Ojciec milczał...

Zmarł Mieszko, gdy mnie doma nie było. Wróciwszy zastałem go na marach, macochę znowu w sukni zakonnej, młodszych braci moich gospodarzących z nią i Niemcami w moim domu. Jam był starszym i pierworodnym przecie... i głową rodu mojego.

Działy stały wolą ojca. Każdemu z synów kraj osobny. Światopełkowi Gniezno, dwie szerokie ziemie Odylonowi i Prybuwojowi. Macocha za młodszych na dwóch działach rządzić miała. Ledwie, że mi Poznań oddano.

Jęknął Bolesław, mówiąc to, i dłonią w posłanie uderzył.

— Miałżem ja dać rozpaść się temu, co ojciec własnemi, krwawemi zlepiał palcami. Byłem starszym i wodzem, nikt mnie słuchać nie chciał, ja jeden za wszystkich stawać musiałem w obronie... Wróg targał, jak pragnął. Lud do pogaństwa powracał, rozprzęgało się wszystko... Rycerstwo tylko, z którem ja chodziłem na wojny, było ze mną.

Cierpiałem trzy lata, mój ojcze, patrząc, jak się w gruzy waliło Mieszkowe budowanie, a serce się krwawiło.

Nadeszła godzina, gdy się cierpienia przebrało. Nocą naszedłem na zamek Ody, jej i dzieciom iść kaza-

łem precz z mej ziemi, gdzie chcieli, do klasztoru, do swoich, do Niemców... Musiałem raz być panem w domu, lub dachby zwalił się na głowę.

Szli precz ze złością i pragnieniem zemsty. Odylon i Prybuwoj powstali na mnie z orężem. Pokonałem ich obu, dostali się w moje ręce. Nieposłusznych mogłem dać pościnać... miałem litość, oślepić ich kazałem, aby szkodliwymi być nie mogli. Życiem im darował, choć wziąć je miałem prawo...

Mnich, słuchając, westchnął, król w piersi się uderzył.

— Mów, ojcze, winienem-li? byłem-li okrutnym?

O. Antoni milczał długo.

— Mów dalej, — odezwał się po przestanku — mów mi dalej.

— Sam zostałem panem tego kraju całego, sam z myślą ojcowską... Chrobackie ziemie trzeba było wydrzeć Czechom, stanąłem z Czechami do wojny, z Bolkiem Pobożnym, ze krwią własną, ale kraj stał mi bliżej krwi. Od Rusi trzeba było odebrać zawojowane kraje, wołali mnie na Ruś. Węgry trzymały Słowaków, musiałem się bić z Węgrami. W Niemczech przyszły niepokoje, Serbów trzeba było od nich odbić. Nie było spoczynku. Miecza ani otrzeć, ni do pochew schować. Prusy podbijać słowem świętem poszedł apostoł Wojciech i zginął. Stał on najbliżej serca mojego, czcił go cesarz Otto III i ja... i każdy, kto się zbliżył do niego, bo on istotnie świętym był mężem...

— Wyście go znali! — zawołał pustelnik, ręce składając — a! toście byli szczęśliwi!

— Prawdęście rzekli — dodał król. — Chrystus Pan żywym obrazem swoim uczynił go na ziemi i dlatego chciał, aby męczeńską śmiercią umierał.

— Po śmierci jeszcze dobroczyńcą był moim — mówił Bolesław z uczuciem. — Przeprowadziłem święte zwłoki jego do Trzemeszna, — a wkrótce potem do Gniezna. Rozpromieniała od nich świątynia nasza i rzuciła promienie na świat cały. Duch świętego apostoła przywiódł mi tu Ottona i uczynił go druhem moim.

U grobu Wojciecha podaliśmy sobie dłonie, koronę swoją włożył na skroń moją i rzekł mi naówczas: Panuj u siebie tak, jak ja w mojem władam państwie, a bądź kościołowi wiernym i mnie sprzymierzeńcem wiecznym.

Ottonowa bytność na mojej ziemi uświęciła ją, oswobodziła. On mnie uznał bratem, druhem swoim i cesarstwa swojego. Ale zawiścią zawrzały wszystkie margrafy niemieckie i co żyło wrogiego mnie i mojej ziemi. Czułem się silnym przeciw nim wszystkim, lecz nie byłem ani na chwilę bezpiecznym. Wstawało, com przytłumił, podniosło się, co zawojowałem, szarpano mnie zewsząd, nękano. Byłem już panem Czech i Morawy! Ojcowska myśl spełniła się przeze mnie, widziałem ją już oczyma mojemi... a teraz znowu niknie, gdy ciało słabnie, gdyż duch gaśnie we mnie, a mroki zwątpienia opasują...

Mieszko, syn mój, dzielny jest, ale dłoń ma silniejszą od woli i rozkazywać nie umie... Com ja krwią polepił moją, wytrzyma, czy rozpadnie się i pójdzie na marne, jak trup od robactwa zjedzony?

Maż się mój gmach rozsypać w gruzy i proch?... Nieprzyjaciele milczą, a rosną... Czekają pory, a gromadzą złość swoją, aby większą była... patrzą, bym osłabł!...

Zamilkł Bolesław, a wkrótce dodał znowu:

— I teraz... mam-li ja na sumieniu krew tych ludzi, winnych zabójstwa? Dwaj rycerze znacznego rodu zamordowali na drodze wiozącego kupię bogatego człowieka niewinnego. Skazałem ich na śmierć. Ród ich i powinowaci zwracają się przeciw mnie. Surowy byłem, ubłagać się nie dałem, przykładu dla możnych zuchwalców potrzeba było, aby nie rzeczono, że rycerzom moim czasu pokoju łupić i zabijać wolno bezkarnie... A nie mówiż Zakon nasz: oko za oko, ząb za ząb?

— Tak — odezwał się pustelnik — mówił to Zakon stary, dopóki nie przyszedł Pan światłości, Słowo

wcielone i nie rzekł natomiast: przebaczaj nieprzyjaciołom, jako pragniesz, abym ja ci twe winy przebaczył.

— Nie byli to nieprzyjaciele moi — odparł król, — kochałem ich, druhami byli mi i towarzyszami... Lecz cóżem czynić miał, sędzią będąc, przeciwko zakonowi ludzkiemu, który śmiercią za śmierć karze. Miałżem oszczędzić tych, co się nie litowali niewinnemu, dla chciwości bogactw jego?...

Pustelnik ze spuszczonemi oczyma mruczał coś, jakgdyby odmawiał modlitwę.

— Nie jesteś winnym — rzekł po namyśle — niech spadnie brzemię z serca twojego, a jeśli powstaną na cię nieprzyjaciele twoi, śmiało podnieś się przeciwko nim, bo zakon ludzki tarczą twoją. Nie ty sądziłeś i karałeś, ale zakon sędzią był i katem.

Królu mój — dodał pustelnik — jako sędzia najwyższy czystym jesteś. Jako chrześcijanin i ojciec ludu twego mogłeś-li uczynić miłosierdzie, niech ci to powie serce twoje.

Długo milczał Bolesław, spuścił głowę i podparł ją na dłoni, patrząc na wygasające ognisko i nie mówiąc słowa. Potem, jakby ocucony nagle, zawołał:

— Miłosierdzie uczynić mogłem... ojcze mój... winienem może, iż krew zburzyła się we mnie, a nie powstrzymałem jej! Żałuję uczynku mojego, żal mi ludzi tych...

Pustelnik, usłyszawszy te wyrazy, podniósł ręce obie cicho i zamruczał, jakby rozgrzeszenia słowo.

— Niech ci Bóg wszechmogący odpuści winy twoje...

To mówiąc, mnich powstał, jakby znużony chciał uniknąć pytań i odpowiedzi.

— Uśnij, gościu mój — dodał — ja pójdę do mojej trumny i spocznę także... Potrzebujesz spoczynku i ukojenia. Niech ci je Bóg ześle...

Posłuszny król Bolesław skłonił głowę i zabierał się wyciągnąć na posłaniu, a że u boku miał miecz poświęcony, który go nie opuszczał nigdy, jął pasa zwalniać, aby go mógł przy sobie złożyć.

Oko pustelnika padło na rękojeść, którą król całował, i ciekawie się na niej zatrzymało.

Wyrażone na niej były misterne znaki czterech ewangelistów, ów Tetramorfon mistyczny, który zawieszano naówczas po wszystkich kościołach i szanowano, jak symbol czworakiego zgodnego świadectwa prawdy.

Widząc, iż o. Antoni spogląda na miecz, który trzyma w ręku, Bolesław podniósł go tak, iż od lampki, którą mnich dla wejścia do krypty zapalił, światło padło na rzeźby od rękojeści.

I przeczytać mógł mnich imiona Boże tajemnicze i stojące wypisane na niej wyrazy, które im towarzyszyły.

„Quicumque haec nomina Dei secum tulerit, nullum periculum ei omnino nocebit. Amen".

(Ktokolwiek imiona te Boże nosić będzie przy sobie, żadne niebezpieczeństwo mu nie zaszkodzi. Amen).

Gdy obejrzawszy, o. Antoni do rąk króla wrócił mieczyk jego, odezwał się Bolesław, patrząc nań z poszanowaniem:

— Miecza tego rodowód cudowny... a jakom go dostał, nie wiem nawet... i to tylko powiem wam, ojcze mój, co sam wiem...

Jest temu lat wiele, żył jeszcze ojciec mój... wprawiałem się naówczas, wyrostkiem będąc, do wojny, ale mi na nią jeszcze chodzić nie dawano. Prosiłem się napróżno i wyrywałem... W podwórcu z koniem, oszczepem i mieczem musiałem wojować z pachołkami, których stawiano jak cieniaki, aby mi wroga udawali.

Dochodziłem lat osiemnastu, gdy naostatek ojciec dał się ubłagać gorącym prośbom moim... Dziwna rzecz, pomagała mi w tem macocha, Oda, namawiając ojca, aby w pole mnie puścił, gdy druga młodzież już w tym wieku na wojny chodziła... Starego wojewodę dał mi król za opiekuna... szliśmy na granicę przeciwko Pomorcom, z którymi nigdy stałego nie było pokoju.

Padłem do nóg Mieszkowi, dziękując, dosiadłem

konia i całym oddziałem ruszyliśmy nad wieczór z nad Cybiny ku granicom. Mając pierwszy raz w życiu prawdziwej wojny i boju zakosztować, niecierpliwy byłem nad miarę i nagliłem starego, pod którego rozkazy mnie oddano. Noc i dzień byłbym do granicy biegł, gdyby mi dozwolono, ale baczny wódz, posyłając naprzód szpiegi, szedł wolno i ostrożnie. Na noc rozbijano namioty i musieliśmy spoczywać.

Pierwszy nocleg i obozowisko po wyjściu naszem z Poznania, żeśmy się dla niepoznaki lasami przerzynali, — przypadło też na polanie wśród puszczy. A była wiosna piękna i noc najkrótsza, tak, że na sen się kłaść nawet nie zdawało godziwem. Przecież stary mnie zmusił lec, prosząc i zaręczając, że po krótkim spoczynku sam mnie zbudzi.

Myślałem, kładąc się, iż pewnie oka nie zmrużę, aliści zaledwie głowę pochyliłem, ogarnął mnie sen twardy, głęboki, dziwny tem, że mi się zdało, iż wszystko widzę i słyszę, co się działo dokoła, a ruszyć się ani ust otworzyć nie mogłem... Frasował się duch mój na samą myśl, iż sromotnie możemy być zmuszeni uchodzić, albo... przeważną siłą zgnieceni... Modliłem się o to zwycięstwo, gdy wśród modlitwy ujrzałem przed uchylonem płótnem namiotu jakby jasność dnia... Zdało mi się, żeśmy zaspali i że słońce weszło zawstydzić nas, chciałem się zerwać z posłania, lecz byłem jakby skrępowany i przykuty do skóry, na której leżałem. Ruszyć się nie mogłem. Jasność u wnijścia namiotu wnet w sam środek jego się wcisnęła i oświeciła go... Przez zamknięte powieki widziałem najdrobniejszy sprzęt i nawet w kątach złożony oręż nasz błyskał od tej jasności... Oczy moje zdziwione, dopiero oswoiwszy się z nią, dojrzały białego młodzieńca, z włosami złotemi, promienistego, piękności nadzwyczajnej. Czując w nim jakieś zjawisko cudowne, zerwać się chciałem i upaść przed nim, aby mu cześć oddać; lecz ciało było jak kamienne, nie władałem niem...

Widziałem, jak wolnym krokiem szedł ów mło-

dzian promienisty, wprost ku miejscu, w którem leżałem i stanął nade mną... w rękach białych trzymał on oto ten miecz i patrzał na mnie z uśmiechem.

Naówczas stanęło wyraźnie w myśli mej, iż powinienem był prosić o miecz ten, mający mi zapewnić zwycięstwo, i otrzymać go...

I zacząłem wołać z błaganiem wielkiem, domagając się miecza, na który chciwie patrzałem, a młodzieniec promienny patrzał na mnie z uśmiechem dobrotliwym, ale go z rąk nie spuszczał... I trwała ta moja modlitwa tak długo, iż z wysiłku cały oblałem się potem, a gdy mi słów brakło, młodzieniec pochylił się nad łoże moje i miecz u boku mojego położył, mówiąc: Na wiary i sprawiedliwości obronę.

Czułem jakby oddech jego wonny nad sobą, duszę moją ogarnęła radość niewysłowiona i z krzykiem obudziłem się.

Młodzieńca nie było przy mnie, namiot stał w ciemnościach, słaby brzask zaledwie poczynającego się dnia wpadał przez uchylone nieco płótno.

Spostrzegłem dopiero, że wszystko to snem było. Krzyk tylko mój zbudził starca, śpiącego nieopodal, który upamiętywać mnie i do uspokojenia zachęcać począł.

Żal mi się stał wielki straconego ze snem razem miecza, gdy ręce wyciągnąwszy pociemku, rękojeść jego uczułem właśnie w tem miejscu, gdziem śnił, że został złożony... Z podziwem zacząłem wołać o światło i domagać go natychmiast. Straż, która koło namiotu czuwała, pobiegła do pogaszonych w obozie ognisk i przyniesiono zapalone łuczywo.

Miecz cudowny, ten sam, który we śnie widziałem, miałem w ręku... Skąd i jakim sposobem zjawił się on przy mnie, nikt nie umiał wytłumaczyć. Pocałowałem go i przypasałem natychmiast, a staremu towarzyszowi opowiedziałem widzenie moje... Nie dowierzano mi...

Pytano straży, która stała u namiotu, ażali nie widziała kogo wchodzącego... Pachołek wyznał, że wprawdzie nie spostrzegł nikogo, lecz w namiocie świe-

ciło, jakby w nim zapalono pochodnie i głos mój słyszał wyraźnie.

— Od tej chwili, ojcze mój, — dokończył król — miecz ten nie opuszczał mnie nigdy... Błogosławieństwu, przyniesionemu mu z nim, winienem moje szczęście, w bojach zwycięstwa i szeroko rozlegające się dziś państwa granice...

Nic nie odpowiadając, pustelnik skłonił głowę i już miał odchodzić do swej krypty, gdy daleki szum puszczy zdał się nagle jakby rosnąć, wzmagać i zmieniać się w głosy dziwne. O. Antoni, przysłuchując się temu, zatrzymał w miejscu.

Koń królewski, stojący pod ścianą, gwałtownie rżeć zaczął. Bolesław podniósł się z posłania.

Łomot jakiś i wrzawę wyraźniej coraz słychać było w lesie. Stądo-li zwierza biegło gnane jakimś popłochem, czy burza łamała w puszczy gałęzie?

— Ludzkie głosy słyszę!... — zawołał pustelnik, zwracając się do króla.

— Jeżeli macie jaką obawę — rzekł Bolesław — znijdźcie do kaplicy waszej... ja się nie lękam niczego...

— Ani ja o siebie — odparł pustelnik — raczej o was, miłościwy panie...

Zamilkł, przysłuchując się baczniej, aż królowi rozjaśniło się lice. Wstał z posłania, przybliżył się ku oknu, odsunął okiennicę, którą było przywarte, i dobywszy róg, co na piersi wisiał... zatrąbił.

Przez otwór blask bił z podwórza i okrzyk wesoły odpowiedział głosowi trąbki. Chatę otaczał orszak króla, który, szukając go długo po lesie, śladami konia nareszcie dobił się na górę.

Radość między dworem była niezmierna; nie mniejsza też musiała być i obawa, aby król gniewnym nie był, iż go tak nieopatrznie opuścili wszyscy.

Wnet też do drzwi lepianki poczęli się dobijać Sagan i Radzisz i weszli uzbrojeni.

Saganowi zdało się, że najlepiej uczyni, gdy, nie czekając wymówek i wyrzutów, sam z żalem wystąpi, i pokłoniwszy się do ziemi, jął wołać:

— Miłościwy panie! Litościście nie mieli nad sługami swojemi, nie chcieliście odezwać się do nas i dać nam znak! Jak poszaleli błądziliśmy po puszczy. A że każdy niemal pojedyńczo wyrywał się w inną stronę, zamiast śladów waszych, miłościwy panie, własneśmy uganiali...

Westchnął Sagan, król się uśmiechał.

— Nic się złego nie stało! — rzekł i wskazując na staruszka, dodał: — Świętego męża, co mi dał schronienie, powitajcie.

Poszli tedy ręce jego ucałować urzędnicy królewscy.

O. Antoni, który się tu czuł więcej zawadą, niż pomocą, wysunął się do podziemia. Służba pańska zakrzątnęła się zaraz około posłania, ognia i co królowi potrzebnem w sakwach się znalazło. W całej lepiance ledwie dwu ze starszyzny pozostać mogło; reszta położyła się dokoła obozem dla spoczynku, dopókiby nie rozedniało.

Wkrótce uciszyło się dokoła... i król znużony usnął snem twardym.

Otworem stało wnijście do podziemia i ledwie na brzask ukazało się w niem światełko, gdyż o. Antoni jutrznię i modlitwy odmawiał pocichu. Król podniósł się dopiero, gdy rozedniało i spuściwszy się do kapliczki wraz z Saganem i Radziszem, mszy świętej o. Antoniego wysłuchał.

Czas był sposobić się do dalszej drogi, i Bolesław, gdy mu znać dano, iż konie były gotowe, zbliżył się do ucałowania ręki pustelnika.

— Ojcze mój — rzekł — nie może to być, ażebym stąd odjechał, nie zostawiwszy po sobie pamiątki, ni śladu — powiedz mi, proszę cię, co chcesz, abym dla ciebie lub tutaj na chwałę Pańską uczynił? Zbuduję kościół... choć zaprawdę takiego, jak wy, gdybym nie wiem, ile złota dał — nie potrafię wznieść.

— Uczyńcie jedno dla mnie — odparł pustelnik, — abyście mi dali dożyć dni moich, nie odmieniając tu nic, nie przysparzając mi niczego... Przypomnijcie so-

bie, miłościwy panie, los braci mojej, którąście obdarzyć pragnęli! Wprawdzie daliście jej największe dobro, bo możność przelania krwi za wiarę świętą!...

Król ręce złożył, nie dając mu dokończyć.

— Niech Bóg was szczęśliwie prowadzi — dodał o. Antoni — niech błogosławi na każdym kroku... pociesza i ukaja.

To mówiąc, pustelnik pobłogosławił schyloną głowę króla i, idąc za nim, przeprowadził za próg lepianki.

Zkolei cały dwór królewski przyszedł po błogosławieństwo staruszka i orszak ruszył już o dniu jasnym w dalszą ku Gnieznu drogę, z której się w bok zbito.

Dnia tego już tylko młodzież za zwierzem się puszczała, Bolesław nie miał ochoty ani do łowów, ani do rozmowy.

Już zmierzchało, gdy wdali ukazał się krzyż kościoła i wały zamkowe...

Król, który dla grobu św. Wojciecha miał cześć nadzwyczajną, zobaczywszy dach katedry i znamię nad nim, z konia zsiadł, pieszo, wedle zwyczaju, robiąc resztę drogi.

Cały też dwór, idąc za przykładem pańskim, szedł jakby pobożnym pochodem pątników w milczeniu ku kościołowi.

Niektórzy pocichu odmawiali modlitwy.

Już się zbliżano do wałów, zamek i katedrę otaczających, gdy mimo zawiei śnieżnej, ujrzano we wrotach stojącego człowieka z chłopięciem, który zdawał się go prowadzić.

Poznał widać Bolesław zdala tego ślepca i na twarzy jego wyraziło się niewysłowione uczucie, jakiemś wywołane wspomnieniem.

Ów, stojący we wrotach mężczyzna, z oczyma krwawemi, w których źrenic nie było, z długiemi włosami siwemi, które mu na ramiona spadały, z rozwianą brodą nawpół białą, napół zżółkłą, w tułub barani odziany, z kijem w ręku, spierał się na ramieniu chłopaka i zdawał stać przeciw burzy i wiatru, jakby mu one miłe były i pożądane... Z głową podniesioną do góry,

napawał się tą zawieją i chłodem, wciągając powietrze usty szeroko otwartemi.

Wyrostek, który ślepego prowadził, zoczywszy orszak królewski zdaleka i poznawszy go, musiał chcieć nazad go na gród odciągnąć i z drogi sprowadzić... Widać było upartą walkę między chłopcem, który go ciągnął za poły, i starcem, co się opierał, chcąc w miejscu pozostać.

Spostrzegłszy to, Sagan chciał się puścić przodem, aby panu niemiłego widoku oszczędzić, wejrzenie króla go wstrzymało. Napróżno przewodnik usiłował ślepego nakłonić do ujścia, ten chwycił się wrót, u których stał i uderzywszy wyrostka, uparcie, jak wkuty w nich pozostał.

Był to stary Odylon, oślepiony niegdyś z rozkazu Bolesława, który dni resztę na zamku gnieźnieńskim dożywał. Ilekroć tylko mógł, jak żywy wyrzut i przypomnienie stanąć przed Bolesławem, Odylon zawsze mu się nastręczał.

Miał jakieś przeczucie, gdy król przybywał do Gniezna, czuł zbliżanie się jego, i czasem dni parę stawał we wrotach, dopóki się go nie doczekał i nie zatruł mu godziny życia.

Nie obawiał się on już cięższego losu nad ten, jakiego doznał, nie lękał się gniewu, ani śmierci... czuł rozkosz jakąś, gdy się mógł Bolesławowi ze swą nędzą pokazać, szyderskim głosem go przywitać.

Przez litość nie zamykano go i nie czyniono nic mu, aby króla od tego widoku uwolnić; Bolesław srogi dla innych, dla tego nieszczęśliwego miał politowanie, osobliwie od śmierci Prybuwoja, który, zmarłszy przed kilku laty, zostawił go na świecie samego z jego ciemnością i szałem.

Wiedział już dwór królewski, co tu czekało Bolesława i ludzie, nie chcąc być świadkami spotkania, bocznemi furtami udali się do zamku; król sam wolnym krokiem, nie chcąc okazać obawy, poszedł wprost na ślepego.

Odylon, choć widzieć nie mógł nadchodzącego, po

przerażeniu chłopca, na którym się opierał, domyślił się zbliżającego i krzyknął:

— Witaj... miłościwy panie, witaj!

Skłonił głowę szydersko.

— W progu grodu zawsze stoi sługa wasz wierny z pozdrowieniem. Dawnoście nie oglądali go, a on was... jeszcze dawniej, bo od tej godziny, gdy mu oczy ze łba wydarto. Dobrzeście uczynili, miłościwy panie, żeście mu wzrok odjęli, nie było na co patrzeć, a o wielkości waszej dosyć słuchać, aby się dziwować.

Śmiał się ślepiec... Bolesław, nie odezwawszy się słowa, pominął go... szelest jego kroków posłyszawszy przy sobie, Odylon obie ręce wyciągnął, jakby go chciał pochwycić, lecz król już minął starca i szedł wprost do kościoła, który był otwarty, a że dano natychmiast znać duchowieństwu, już ono oczekiwało na przybywającego we drzwiach, z krzyżem i wodą święconą.

Za Bolesławem, mimo oporu chłopca, który prowadzić go nie chciał, rzucił się natychmiast ślepy ku kościołowi, aby i tam u grobu apostoła stanąć na oczach królowi.

Mrok panował w katedrze, oświeconej tylko naprędce rozpalonem światłem, gdy Bolesław wchodził do niej. Za filarem kruchty, w sukni czarnej mniszej, przytulony w cieniu, stał ukryty mnich, któregośmy widzieli w celi ks. Petrka... Stał i oczyma rozognionemi spoglądał na wchodzącego, a wejrzenie to zdawało się płonąć ogniem i pioruny ciskać.

Gdy król Bolesław wprost ode drzwi skierował się do grobu świętego apostoła, aby przy nim uklęknąć, z jednej strony stanął mnich, mierząc go nienawistnym wzrokiem, a z drugiej za słupem przyparty, nie dając się od niego oderwać, zatrzymał się, gwałtem do kościoła się wdarłszy, Odylon.

Obu ich jednak nie mógł widzieć król, który z głową pochyloną, pobożnie słuchał nuconego powolnie przez duchowieństwo śpiewu na cześć apostoła.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom VII

J. I. KRASZEWSKI

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY

POWIEŚĆ Z CZASÓW CHROBREGO

CZĘŚĆ II

1 9 2 8

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Było obyczajem Bolesława Wielkiego, gdy do grobu męczennika do Gniezna przybywał, czas jakiś trwać przy nim na cichej modlitwie. Znało duchowieństwo tę pobożność pańską, i gdy się uroczyste śpiewanie skończyło, ustąpili wszyscy w milczeniu ku wielkiemu ołtarzowi i zakrystji, zosawując króla samego przy dwu drogich grobowcach, kryjących zwłoki matki, którą kochał gorąco, a której ducha czuł w sobie, — i apostoła, dla którego cześć miał, jak dla niebios wysłańca.

Dwór też królewski wysunął się z katedry, przed wielkiemi jej drzwiami oczekując na wyjście pańskie.

Bolesław pozostał u trumny św. Wojciecha, oświeconej kilku lampami, palącemi się zawsze u zwłok apostoła. Doznawał tu dziwnego uczucia, jakgdyby go z duchem tego patrona i pośrednika łączył związek jakiś tajemniczy, jakby od zwłok tych płynęła pociecha, otucha i natchnienie. Korzył się tu i spowiadał w myśli i nieraz czuł, jakgdyby głos wewnętrzny na jego wyznania odpowiadał. Składał tu troski i odchodził mężniejszym.

Przyklęknąwszy na podesłanem wezgłowiu, z głową spuszczoną, ów zwycięzca w tylu krwawych zapasach pokornym się stawał pokutnikiem.

W kościele nie było nikogo, panowała cisza... niepostrzeżony tylko, z za słupa wpatrywał się w klęczącego mnich ów, który pozostał, gdy duchowieństwo odchodziło, oczyma nienawistnemi zdawał się napawać widokiem pogrążenia i smutku, który się w postawie

króla malował. Nieruchomy stał tak zdala, ściskając pięści, hamując się, jakby razem pragnął i lękał się wybuchnąć; kilkakroć krok już uczynił naprzód i cofał się.

Z piersi króla wyrwało się głębokie westchnienie; podniósł głowę i wpatrzył się bezmyślnie w ciemną głąb kościoła.

Oczy jego, oswojone już z ciemnością, patrzały bystro i owa postać czarna uderzyła Bolesława, choć rysów jej dostrzec nie mógł. Z sukni tylko poznawszy duchownego, król zdał się uderzony jego obecnością niezwykłą, domyślając się w nim obcego. W tych ciężkich myślach, jakie go obarczały, szukał ulgi, i tak samo, jak się spowiadał przed pustelnikiem, rad był dziwnie zesłanego kapłana tego wezwać na pomoc i radę.

Skinął więc ręką ku temu cieniowi mnicha, aby bliżej przystąpił. Postrzegł to stojący naprzeciw, zadrżał, zawahał się, lecz wprędce czarny kaptur zarzuciwszy na głowę, jakby twarz zakrywał, wolnym krokiem ku trumnie przystąpił. Trumna ta tylko dzieliła ich od siebie.

— Obcy tu jesteście? — zapytał król cichym głosem.

— Pielgrzymem jestem... — odparł głos cichy i drżący dziwnie.

— Znacie mnie?

— Wiem, żeście panem i władcą tego kraju...

— Jeśli pielgrzymem jesteście, rozkażę wam dać zasiłek na drogę, a proszę o modlitwę...

Mnich stał niemy.

— Zasiłku żadnego nie potrzebuję... przysiągłem na ubóstwo — odezwał się głosem stłumionym — a modlitwy moje królewskiej duszy twej ulgi nie przyniosą, jeśli z niej sam nie zrzucisz brzemienia, co na niej cięży...

Tylko od kapłana mógł Bolesław cierpliwie znieść mowę taką, ale z ust duchownego nie zdała mu się dziwną... westchnął tylko.

Mnich zamilkł na chwilę, jakby z sobą walczył, i przerwał dobrowolne milczenie.

— Choć królem jesteś, kajać ci się trzeba... bo tam, gdzie nas sądzą wszystkich, żadna korona nie idzie na szalę... a purpura plam nie osłoni... Bóg mi dał, pielgrzymując po świecie, spotykać ofiary twojego gniewu... Modlą się one za ciebie, lecz by zemstę niebios ściągnęły...

Drżący głos mnicha coraz się podnosił; król, oczy weń wlepiwszy, zdumiony, przelękły niemal słuchał go w niemem podziwieniu.

— Mnich jestem — dodał; — suknia, którą noszę, prawdę mi rzec każe... Kajać ci się trzeba i krzywdy nagrodzić... bez tego nie znajdziesz spokoju duszy ani u tego grobu, ani w świątyni Pańskiej, ani w życiu, ani przy zgonie...

To mówiąc, mnich podniósł rękę do góry.... z pod kaptura błysło dwoje oczów lśniących i szybkim oddalił się krokiem w głąb, nim Bolesław czas miał powstać i zawołać.

Król, jakby mu duszno było w kościele, śpiesznie począł ku drzwiom wielkim kroczyć, gdzie stał cały dwór jego i czekała nań gnieźnieńska grodowa starszyzna, której przewodniczył ulubieniec króla, stary Stoigniew.

— Kto i skąd jest ten mnich obcy, który pozostał w kościele i przerwał mi modlitwę? — spytał Bolesław kapłana, który na jego skinienie pośpieszył.

— Nie wiem — odparł zalękniony ksiądz. — Przybywa tu duchownych pielgrzymujących niemało. Był dziś jeden mnich, który się opowiadał, jakoby z klasztoru w Korbei...

— Szukajcie go i na gród mi prowadźcie. Chcę mówić z nim — dodał Bolesław, już się hamując i nie chcąc dać poznać gniewu po sobie.

Ksiądz śpiesznie zwrócił się nazad do kościoła, skłoniwszy przed królem, a dwór go już otoczył i do kolan mu się zniżał Stoigniew z siwą głową odkrytą. Król

z czułością druha obie ręce położył na ramionach jego i ozwał się głosem złagodzonym:

— Witaj mi, Stoigniewie! Ja do ciebie przybywam w gościnę... Nie spodziewaliście się mnie, nieprawda? radzi mi może niebardzo będziecie?

— Miłościwy królu a ojcze — żywo począł Stoigniew, kłaniając się i prostując natychmiast — wyście tu gospodarzem, nie ja... Stoigniew sługą.

— I druhem moim... — dodał wesoło król.. — Na zamek nas prowadź!

Niedaleko od katedry były dworce pańskie, Piastowskich jeszcze czasów pamiętne. Na grodzie, jako namiestnik króla, siedział Stoigniew razem z opatem Aronem, prawą ręką pańską.

Mąż to był swojego czasu w kraju tyle znaczący, iż mu nikt nie dorównywał powagą, rozumem a nauką. Bolesław często go używał tam, gdzie przebiegłości i spokoju, zimnej krwi i męstwa było potrzeba, nie do walki, choć rycerzem był niepoślednim, ale do zbierania jej owoców.

Gdy złamawszy nieprzyjaciela, potrzeba było pokój zawierać, warunki stawić, przy swoich prawach obstać, wyjednać ustępstwa, nikt nad opata Arona i Stoigniewa nie był do tego zdolniejszym.

Stoigniewa nic wzburzyć, nic biegu krwi jego przyśpieszyć nie zdołało; napozór zimny, jak Aron, słuchał i patrzał, a gdy ci, co z nim układali, myśleli już, iż go pokonali, ze spokojem odpowiadał im, do swojego powracając, dopóki woli swej nie przeprowadził. Drogi też to był człowiek dla króla.

Stoigniew nie starszym był od niego, ale mu trudy siwiznę przyśpieszyły. Obok włosów obfitych, srebrzystych, twarz zachował młodzieńczą, świeżą, rumianą i zmarszczkami nawet niepooraną. Dziwnie sprzeczały się na niej krasne barwy, żywy blask oczów, śmiejące się usta z tą siwizną przedwczesną.

W sprawach króla Stoigniew wiele musiał pokryjomu podróżować po świecie, to też języki obce znał dobrze, pismo czytał i w łacinie był biegłym.

Liczną otoczony rodziną, trzeci raz już żonaty, powiernik pański miał żyjących synów sześciu, córek pięć, z których trzy już poślubione. Zwykle przebywał on na zamku w Gnieźnie, jako namiestnik pański, lecz i własnych ziem, ze szczodrobliwości króla, miał poddostatkiem.

Dwór też go otaczał niemal książęcy, a życie podobne mógł prowadzić, gdyż król chciał, by mu wstydu nie czynił. I tu stoły musiały stać gotowe dla przybywających ze skargami, radami i prośbami. Skarb pański na to dostarczał.

Miał namiestnik oprócz tego pieczę nad biednymi więźniami, których trzymano na zamku w Gnieźnie. Tu, miotając się bezsilnie i złorzecząc losowi swemu, zakończył życie Bolko oślepiony, tu zmarł Prybuwoj, tu żył jeszcze z nędzą swą Odylon i mnodzy inni winowajcy, których dla spokoju w zamknięciu trzymać było potrzeba.

Po wspaniałem „palatium" króla w Poznaniu starodawny dworzec gnieźnieński ubogo wyglądał, ale szanowanym był dla pamiątek, które do ścian jego przyległy. Izb też w nim znajdowało się wiele i najliczniejsze poczty mieściły się w otaczających go zabudowaniach.

Gniezno za Bolesława Wielkiego należało do tych grodów, w których gromadziły się zastępy wojsk jego, zawsze gotowe do wyjścia w pole. W Poznaniu miał król przy sobie trzynaście sotni pancerników konnych, a cztery tysiące piechoty z tarczami. Gniezno żywiło piętnaście secin pierwszych, a pięć tysięcy tarczowników, zatem więcej jeszcze, niż Bolesław przy sobie ich chował. Inne też miasta, jak Włocławek i Gdecz, załogami podobnemi opatrzone były czasu pokoju. Gdy na wojnę występować było potrzeba, słano do nich, jak do śpiżarni i ruszał się lud orężny, gdzie mu wskazano.

Na Gnieźnie też musiał król stanowić takiego namiestnika, któryby najliczniejszą osadę, oka z niej nie spuszczając, zgnuśnieć jej nie dając, czujną zawsze i gotową trzymał.

W progu zamkowym czekała na Bolesława drużyna wielka, starszyzna wojskowa, żupanowie i władyki, którzy się tu znaleźli, duchowni, przełożeni i rodzina Stoigniewa.

Nim król doszedł do progu tego, miał czas ochłonąć z wrażenia, jakie na nim uczynił mnich, wypogodził twarz, a stosując się do Stoigniewa, który zawsze spokojnym był i przy powadze wesołym, Bolesław też chciał okazać się dobrej myśli. Więc na powitanie gromady odpowiedział pozdrowieniem wdzięcznem i szybko szedł na dworzec.

Tu miano czas przysposobić się na przyjęcie pana i jego towarzyszów. Stoły były już ponakrywane, pachołkowie z pochodniami stali po kątach.

Najstarszy z duchownych, wiedząc, iż król znużony był i zgłodniały, natychmiast modlitwą pobłogosławił wieczerzę i zaczęto znosić misy...

Sam Stoigniew królowi nalewkę i misę przyniósł, a urodziwa żona jego trzymała szyty ręcznik. Twarze otaczających, rade z widzenia pana, śmiały się weselem. W istocie bowiem, czystym będąc w sumieniu, każdy się mógł cieszyć ze spotkania z panem. Rzadko się obeszło, ażeby król nie obdarzył swoich wiernych nadaniem jakiem, końmi, szatami, orężem. Było to zwyczajem naówczas po wszystkich dworach, a Bolesław, szczodrobliwy z natury i wspaniały, hojnie szafował skarbami, jakich mu wojny dostarczały.

Nie było naówczas właściwie stolicy państwa: wszędzie, gdzie chwilowo król przebywał, a z nim wojsko i dwór, najwyższy sąd i urzędnicy, gród się chwilowo stawał stołecznym. Zjeżdżali do niego pokrzywdzeni z żałobą, biedni z prośbami. Letniego czasu król pod dębem lub lipą zasiadał rozsądzać sprawy; zimową porą działo się to w wielkiej izbie. A miał Bolesław sposób mądry godzenia z sobą zwaśnionych, który rzadko się nie powiódł. Gdy na sąd królewski przybyły strony, przyjmowano je obie na dworze, dni częstokroć dwa i trzy gośćmi byli u stołu i boku pańskiego. Nie dopuszczając do mówienia o sprawie, zmuszał ich Bo-

lesław do wspólnej rozmowy, którą umiał uczynić spokojną. Tak się powoli umysły podrażnione uspokajały, a gdy namiętność ostygła, naówczas sprawa już złagodzona szła przed sąd, który zbliżonych przejednywał i zbraconych do domów odsyłał.

Znano go też, że przemocy możnych nie folgował, ani krzywdzić bezkarnie biednych nie dopuszczał i dobra ludzi maluczkich pilnował, może sumienniej się o nie troszcząc, niż o skarby największe. Napływ doń był zawsze mnogi, niekiedy dzień i dwa przed oknami stać musiały gromady, nim kolej na nich przyszła.

Tym razem nikt się króla nie spodziewał w Gnieźnie, więc tylko ci się znaleźli, których tu traf zgromadził.

Siedli już wszyscy za stoły i król miał rozpocząć wieczerzę, gdy, jakby sobie coś przypomniawszy, skinął na siedzącego niedaleko duchownego. Szło mu o owego mnicha, który w kościele doń z napomnieniem wystąpił; chciał go tu mieć i poznać bliżej.

Posłano natychmiast komornika królewskiego po kapłana, który miał zlecenie wyszukać pielgrzyma. Nadszedł i on sam, ale widocznie zafrasowany zbliżył się do ucha króla.

— Miłościwy panie — odezwał się — mnicha tego szukaliśmy napróżno... i około kościoła, i po całym zamku, i na ogrodzie, i na podzamczu... Stróż we wrotach widział go, uchodzącego śpiesznie...

Zasępiło się czoło króla, ale wnet Stoigniew, któremu Bolesław o mnichu powiedział, wyprawił ludzi swych kilku, aby miasteczko strzęsiono całe. Nie było wątpliwości, że w noc zimową i śnieżycę pielgrzym nigdzie dalej nad podzamcze ujść nie mógł; obiecywano więc sobie tego dnia, albo do jutra wyszukać go koniecznie.

Słowa, które powiedział, utkwiły silnie w pamięci króla, pozbyć się ich nie mógł, pragnął więc nieodmiennie, aby mu tego człowieka przyprowadzono. Głos mu się zdawał znanym, choć przypomnieć nie

mógł, gdzie i kiedy go słyszał. Zakapturzona umyślnie twarz budziła dziwne podejrzenia.

Stoigniew, który sam panu u stołu chciał posługiwać, choć mu przy nim usiąść nakazano, wesołością swą i swobodą próżno starał się czarne myśli rozpędzić. Bolesław chwilami dawał się rozweselić, ale wnet wracały chmury.

Tak przesiedział król wieczerzę, po której mu się spoczynek należał i choć dwór pozostał jeszcze przy pełnych dzbanach, Stoigniew zaraz pana do jego sypialni zaprowadził. Tu już płonął ogień, czekały ciepłe szaty i służba stała wpogotowiu.

Zaledwie wszedł Bolesław, znowu spytał o mnicha i chciał się dowiedzieć, czy go kto dnia tego nie widział w kościele lub nie mówił z nim. Posłano do księży, przybył wybrany kleryk z opowiadaniem, jako mnich ten, zdając się z mowy i obejścia wcale nie obcym i owszem dobrze obeznanym z miejscowością, różnych ludzi o różne badał sprawy i rzeczy, wydał się wielu podejrzanym, obcować z nikim poufalej nie chciał, strawy nawet pielgrzymiej nie skosztowawszy, gdzieś się skrył, iż go nigdzie odszukać i śladu znaleźć nie było podobna.

Wysłuchawszy opowiadania, król odprawił kleryka nagrodzonego, ze Stoigniewem pozostając sam.

— Miłościwy panie — odezwał się namiestnik, — cóż ten biedny jakiś mnich, pątnik, pana mojego ma tak niepokoić? Czy się odezwał zuchwale? Może nie wiedział, do kogo mówi?

— Wiedział on co i do kogo rzekł — odparł król. — Duchownemuby to było przebaczonem, owszem za dobre poczytanem, gdybym pewnym był, iż w istocie mnich to jest, a nie skryty wysłaniec czyjś, co chciał podpatrzeć czynności moje i złość mi uczynić? Dlaczegoż zasłonił twarz, czemu uciekł tak skoro?

Stoigniewowi podejrzanem się to wydało, ale zmilczał; a król, który dlań tajemnic nie miał, wylał się zaraz z całym żalem swoim.

— Stoigniewie mój — odezwał się, — zaprawdę,

gdym na spoczynek zasłużył, Bóg mi właśnie największe zsyła niepokoje. Wiecie o Jaksów sprawie? Co było ich krwi i rodu, pierzchnęło ode mnie. Codzień ktoś uchodzi... Żal! żal!

— Miłościwy panie — żałować już nie pora. Cieszcie się raczej walecznym synem waszym, który gdziekolwiek pójdzie, jak wy — pokonywa i zwycięża.

— Cieszę się nim i trwożę — szepnął król, — wojakiem jest mężnym i szczęśliwym, lecz na wojnę ja go posyłać muszę. Nie rwie się on sam, ani jej pragnie; woli przy Ryksie spoczywać.

Stoigniew jeszcze raz króla za kolana ścisnął.

— Panie! panie! Bogu trzeba dziękować, a nie naprzód widzieć złe, które nie przyszło i nie przyjdzie. W chmurne dni wszystko wydaje się czarnem.

— Przed tobą mogę duszę otworzyć — wiesz, Bezprym, Bezprym, co milczy i chodzi zasępiony, który mnie unika, żal mając do mnie, Bezprym, któregom ja osądził, silniejszym jest.

Uląkł się niemal Stoigniew, posłyszawszy te słowa; król bowiem nawet przed nim nie zwykł był nigdy wspominać o Bezprymie, synu swym pierworodnym, którego dla Mieczysława niemal był odepchnął od siebie. Było to dziecię żony, której pamięć królowi została ciężką i przykrą, dziecię, dla którego Bolesław serca nie miał, wychowane między sługi, zgorzkniałe od niedoli, znienawidzone i nienawidzące.

Nieustannie miany na oku, trzymany bez działu, bez zatrudnienia, zawsze w Poznaniu, rzadko dopuszczany do ojca, Bezprym w istocie tym bólem rozdrażniony, silniejszym był od ulubieńca Mieszka, był strasznym. Stał się on raną i groźbą dla króla, co rad był o nim zapomnieć.

Wzmianka o Bezprymie świadczyła Stoigniewowi, jak król rozżalonym być musiał, gdy się to imię, którego chciał zabyć, na ustach jego znalazło. Stoigniew też mówić nie śmiejąc o tem, przeczuwał w odrzutku przyszłego wichrzyciela. W istocie dość było nań spojrzeć, być z nim chwilę, aby się go ulęknąć.

Król pozbyć się pragnąc tego syna, chciał go zrazu do stanu duchownego sposobić. Dany więc był księżom na naukę, z której chciwie korzystał, lecz gdy przyszło składać śluby, okazał do nich wstręt taki, a sami duchowni uznali w nim naturę tak gwałtowną, niepohamowaną i namiętną, iż śluby odłożyć przynajmniej doradzali. Stało się więc, że Bezprym pozostał tak, wiodąc życie bez celu i napawając się myślami gorzkiemi, które zazdrość w nim rozbudzała.

Pomiędzy nim a Mieszkiem nie było żadnego ani braterskiego, ani nawet dalszego stosunku. Otoczony małym dworem, złożonym z nadzorców, Bezprym krył się po kątach, milczał, udawał pokorę, ale z oczów i czoła patrzało mu zemstą straszliwą. Zamknięty w sobie, nigdy się z żadną nie odkrył myślą, lecz król wiedział przez oddanych sobie ludzi, że gwałtowniejszego i namiętniejszego nad niego nie było w rodzinie charakteru.

Nie śmiał na wspomnienie o Bezprymie nic rzec Stoigniew, a król odezwał się, patrząc nań:

— Co z tym uczynić? Mieszkowi niebezpieczny wróg rośnie. Jak mi radzisz? Krew to moja! znam ją. Buchnie prędzej, później.

— Miłościwy królu — a dlaczegóż, dopóki wybuch nie jest niebezpiecznym, wykipić jej nie dacie? Czemu go trzymać w bezczynności i zamknięciu, aby w nim gorycz rosła i mnożyła się?

— Cugle mu puścić — odparł król, — ani ja go wstrzymać potrafię! Własnej krwi obawiać się muszę. Po matce ma krewnych, znajdzie łatwo sprzymierzeńców między Niemcami. Azali przeciw cesarzowi Ottonowi własny syn nie powstawał?

Sposępniał Stoigniew, spuścił głowę.

— Gdzie człowiek nie może nic, — rzekł — Bogu trzeba sprawę zlecić i Jego prosić.

Westchnęli oba, a Bolesław, wpatrując się w ogień, szeptał, jakby sam do siebie:

— Stary mój! policz wrogów, zrachuj, co grozi, a nie dziwuj się czołu posępnemu i temu, co mi z du-

szy bucha. Na jednego Mieszka — Bezprym, trzech synów Ody, Czechy, Niemcy, Ruś, dalecy i bliscy, a Mieszek jeden... jeden... wojak dzielny, ale wódz?

— Wodzem się wojak staje — przerwał Stoigniew.

Zamilkli znowu, a stary namiestnik już był rad przerwać niemiłą rozmowę i do snu nakłonić.

— Noc późna — rzekł, — spocząćby należało.

Gdy na to nie było odpowiedzi, skłonił się do kolan, zwołał komorników, aby łoże przygotowali i na straży pozostali.

Nazajutrz rano, gdy Stoigniew zjawił się znowu u króla, znalazł już u niego Sagana, który przyszedł był z oznajmieniem, iż, mimo poszukiwań na podzamczu i po gościńcach, mnicha nigdzie nie znaleziono, ani też wieści żadnej o nim nie było.

Król wybuchnął gniewem wielkim.

— Zdrajcami więc tu nawet otoczonym być muszę — zawołał, — kiedy mi jeden słaby jakiś, nieznany człek śmie w oczy urągać i z pod ręki się mojej wyślizga! Jeśli ujść nie mógł — to go przechowano. Któż on jest? Suknia go broni, więc się zemsty mojej obawiać nie może. Dlaczego uchodzi?

Szło o to wielce Stoigniewowi, a jeszcze bardziej duchownym przy katedrze, ażeby tajemniczego tego mnicha odkryto i zdjęto z nich posądzenie, że go przechowywać mogli. Dnia więc tego nie było zakątka w Gnieźnie, kędyby pachołkowie z grodu i klerycy nie śledzili zbiega; na gościńcu zatrzymywano wozy i jadących, rozesłano na drogi różne, — wszystko bezskutecznie.

Popłoch tylko wielki sprawiło to pomiędzy ludnością całą, a król, jak przybył chmurny, nawet pogodą Stoigniewową rozweselić się nie dał.

Gdy król na zjazd powołanych ze starszyzny czekał, tymczasem mnich, który był znikł z Gniezna bez śladu, zjawił się trzeciego dnia w Poznaniu. Niebytność króla, mającego się zatrzymać w Gnieźnie, ośmieliła go snać do tego kroku, i ks. Petrek, wcale się go już

widzieć nie spodziewający, uląkł się, gdy go znowu na swym progu zobaczył; uląkł się tak, iż ręce załamał.

— Bóg z wami — zawołał mnich dumnie i szydersko zarazem, — obawiać się nie macie czego! Wracam ja z gorszego niebezpieczeństwa! W Gnieźnie oko w oko spotkałem się z Bolesławem; gonią mnie tam i śledzą! Gniezno całe strzęsione, po drogach ścigano i łapano!

Uśmiechnął się dumnie.

— Na Boga, dlaczegóż nie uchodzicie co prędzej, jeżeli wam życie miłe? — zawołał ks. Petrek.

— Któż wam powiedział, że ono mi jest miłem, — odparł mnich — za tę chwilę, którąm miał u grobu apostoła, królowi rzucając jad w duszę... nie szkodaby i życia!

Ks. Petrek stał blady i drżący; widocznem było, żeby się rad pozbył co najrychlej gościa tego niebezpiecznego.

Szczęściem opata Arona nie było w Poznaniu, więc przyjścia jego się nie lękał; obawiał się jednak, aby inni szpiegowie, których dwór miał dosyć, nie spostrzegli przybysza. Mnich znać te obawy z twarzy księżyny wyczytał, pogardliwie nań spojrzał i odezwał się:

— Nie trwóżcie się, mój ojcze; ani siebie, ani was nie chcę podawać na zemstę króla... idę stąd precz, a jestem bezpieczny, bo matce mej i mnie zostali jeszcze, mimo lat wielu, przyjaciele wierni. Mów mi, co mam zanieść tam, skąd przybyłem? Bolesław trawiony jest niepokojem o swe państwo... to jawne. Czuje, że to, co skleił łupieżami, z pod ręki mu się rozleci.

Ks. Petrek, może dla łacniejszego pozbycia się mnicha, zbliżył się doń i począł mówić szybko.

— Ani się łudzić, ani spać nie godzi — mąż to silny i doradców ma rozumnych. Życia ma jeszcze dosyć przed sobą, by żelaznemi klamrami związać te kraje.

— I — dodał — wiem od opata o jednej sprawie, która może mu dać siłę wielką. Otto włożył mu na skroń koronę... pamięta on o tem i królem się zowie, ale mu trzeba z Rzymu od ojca świętego korony nama-

szczonej, o tę koronę starać się będzie — pójdą po nią posły! Rozumiecie! To groźba dla cesarza. Cesarz posłów do Rzymu nie powinien dopuścić, cesarz w Rzymie musi zapobiec, aby mu nie dano namaszczenia.

— Papież mu korony dać nie może — odezwał się mnich, — cesarz zaprzeczy. Jemu korona! Wszak myśmy z matką gnieźnieńskie i poznańskie kraje złożyli w darze apostolskiej stolicy, która nam, a nie komu innemu nadać je przyrzekła. Inaczej być nie może.

— W Rzymie! nie może być? — ruszając ramionami, szepnął ks. Petrek niedowierzająco — wy to mówicie? Zmienia się panujący, zmieniają widoki.

Pochmurno spojrzał mnich.

— Bezpieczniej korony nie dopuścić, gdy zostanie wysłaną, niż jej zaprzeczać w Rzymie — mówił ks. Petrek, a więc... niech cesarz baczność ma, niech pilnować każe. Znane są gościńce...

— Do Rzymu one wszystkie prowadzą! — odparł mnich — waszym obowiązkiem wyszperać, kto i którędy pojedzie, dać znać, wysłać natychmiast.

Sparty na stole ks. pisarz zadumany był smutnie...

— Myślicie, że mi to łatwo? — zawołał, śmiejąc się ponuro i szydersko — pisać nie mogę... pismo jest najstraszniejszym zdrajcą. Wysłać nie mam kogo, komu zaufać.

Oba milczeli długą chwilę.

— Mamże ja na to czekać, abym się tu o czemś więcej dowiedział? — spytał mnich. — Gotowym!

Rękami podniesionemi ks. Petrek zaprotestował.

— Pocóżeście królowi w oczy wpadli? nacoście na siebie ściągnęli podejrzenie? Wam nie pozostaje nic, tylko jak najśpieszniej, suknię zrzuciwszy, uchodzić. Kto wie — po gościńcach mogą już być dane rozkazy do ścigania mnicha z Korbei.

Groźba ta nie zdawała się bynajmniej straszyć przybylca.

— Będę wiedział, co poczynać — rzekł chmurno — ale wy — wy — mówcie, co mamy czynić?

— Powiedziałem wam to, co mogłem, dość, byście

się na baczności mieli; — reszta nie do mnie należy. Cesarz silnym jest dość, by środki obmyśleć; o co chodzi — wy wiecie. Koronę ma na myśli, do niej wzdycha, chce ją zostawić synowi Emnildy, choć ma starszego syna węgierskiej Judyty, który marnieje zamknięty.

— Pamięta o nim cesarz i my! — mruknął mnich.

Rozmowa poczęta trwała długo jeszcze, a gdy naostatek mnich, nie mówiąc, dokąd i jak ma się oddalić, pożegnał ks. Petrka, pisarz bojaźliwie wyszedł obejrzeć się dokoła, aby się upewnić, że nikt nie postrzeże wymykającego się z jego mieszkania.

Bystrem okiem obejrzawszy wszystkie kąty, ks. Petrek powrócił przekonany, że mnich bezpiecznie ujść może, ale nie dopatrzył ukrytego za węgłem Zyga, który może przypadkiem się tam znajdował. Zobaczywszy wychodzącego nieznanego sobie duchownego, Zyg natychmiast się wyrwał ze swej kryjówki i zabiegł mu drogę, domagając się pocałowania ręki i błogosławieństwa.

Nie strwożyło to mnicha, który zadośćuczynił prośbie karła, chcąc się go pozbyć co prędzej. Nie przyszło to łatwo; Zyg był natrętny, a nie mając co robić, był nadzwyczaj ciekawy i gadatliwy zwłaszcza z ludźmi nowymi...

— Jaka to szkoda, mój ojcze, — zawołał, skacząc przed nim, — że króla pana niema doma! Przyjąłby was na dworze, napojonoby, nakarmiono i naładowano kieszenie... ale możebyście poszli do królowej?

— Jestem pielgrzymem, zwiedzam kościoły, do dworów nie zachodzę — odparł mnich, przyśpieszając kroku.

— To źle czynicie... źle... — mówił Zyg — groszby się przydał! Suknię macie wytartą! Widzę, żeście po jałmużnie byli u ks. Petrka, ale on nikomu nie da nic. Wziąć, weźmie od każdego — ale obdarzyć! E! e! mądry to człeczyna. U nas tu mędrszego niema. Mówią, że opat Aron rozumny, ale ks. Petrek i tego za nos wodzi, ani się spostrzeże.

Próżno chciał mnich wyminąć zaskakującego mu drogę karła, prowadził go tak wesołek królewski aż do bramy w okopach — usiłując namówić do zamku lub do katedry i księży. Wreszcie u mostu karzeł przyostał, stanął, pożegnawszy przychodnia i tu na nową jakąś czatował zabawkę.

Ks. Petrek widział Zyga idącego za mnichem i ręce załamał!

II.

W oddalonej części starego dworca nad Cybiną znajdowało się opuszczone dosyć i zaniedbane teraz mieszkanie, które niegdyś część niewieściego dworu Mieszka pierwszego zajmowała... Osobny dziedzińczyk z furtą, na drąg nocą zamykaną, poprzedzał je. W podwórku tem niechlujno było i nie baczono widać, aby oku miło było spocząć na niem. Psy wylegiwały się tu na rozrzuconej słomie. Pod daszkiem z jednej strony siedziało na grzędach kilka krogulców, jastrzębi i białozorów zasępionych z najeżonemi piórami.

Kiedy niekiedy przemykał się jakiś pachoł niezdarny z głową ostrzyżoną, w odzieniu lichem, w skórzniach starych, w kożuchu podartym, i jakby znudzony, zwlókłszy się pod dach, znikał.

Wszedłszy przez sień do wnętrza, trzeba było przejść kilka izb napełnionych służbą niepoczesną, nim się do głównej świetlicy dostało.

Chociaż zamek i dworzec był pański, nigdzie tu przepychu Bolesławowskiego znać nie było. Dostatek wprawdzie znać było wszędzie, lecz ładu i ochędóstwa brakło. Czeladź, jakby uśpiona, nawpół drzemiąca nudziła się przy ogniskach wraz z psami, które powyciągane były na ziemi...

Wśród niej zdawał się zajmować pierwsze miejsce ogromnego wzrostu człek stary, zbudowany z samych kości, obciągniętych skórą grubą, pomarszczoną i czarną. Odziany w krótki kożuszek, niegdyś suknem nie-

bieskiem, teraz spłowiałem, pokryty, w obcisłych spodniach i skórzniach sznurowanych, z brodą posiwiałą, krótko postrzyżoną, siedział stary wpatrzony w ogień, obie ręce sparłszy na kolanach, a głowę na rękach...

Opieszale i ciężko poruszająca się gawiedź, co go otaczała, nie zdawała go się wcale obchodzić. Nie słuchał jej żartów, śmiechów, przedrwiwań i ziewania. Myślami był widocznie gdzie indziej.

Wieczór nadchodził i w izbach zaczynało być ciemno. Stary siedział na pieńku, grzał się, ale choć nieruchomy, nie usypiał, czarne oczy z pod brwi nawisłych błyskały mu ogniem młodzieńczym niemal.

Czeladź, leżąca na ziemi i po ławach, spoglądała czasem ku staremu z pewną trwogą, a zarazem nienawiścią. Nie okazywali mu poszanowania pachołkowie, lecz bać się musieli jego siły. On też na nich nie zważał i jakby wstręt miał do obcowania z nimi... sam z sobą coś dumał, czy przypominał, i o to, co go otaczało, nie zdawał się troszczyć.

Gdy wreszcie z pieńka, na którym siedział, powstał, nie obrócił się do zalegających izbę pachołków; dwu z nich, na ziemi leżących, przestąpił ogromnemi nogami, kilku rozepchnął i skierował się, niedbale wlokąc, ku drzwiom, wiodącym do świetlicy.

Drzwi prowadziły do wąskiej sionki, która izbę czeladzi od niej przedzielała. Drugie dopiero otworzywszy, starzec się znalazł w obszernej komnacie.

Tu nieład prawie taki, jak na podwórcu panował. Psów kilka leżących na ziemi, gdy wchodzącego posłyszały, podniosły głowy, i poznawszy go, legły znowu spokojnie... W kącie na berle siedział ptak zasępiony... widać ulubieniec pana. Chowane wilcze szczenię wystawiło łeb z pod ławy i znikło.

U okna, na pokrytej skórą ławicy szerokiej, pół siedział, pół leżał młodzian wysokiego wzrostu, który spojrzał też na wchodzącego, zwróciwszy doń twarz i pozostał tak, wpatrując się w gościa. Starzec widocznie tu był domowy; szedł powoli, rozglądając się. Tu

i owdzie porozrzucane szaty zmięte zbierał i składał, kubki na stole stojące ustawił inaczej, do próżnego dzbanka zajrzał i postawił go w miejscu, gdzie znalazł. Czynił to jakby z bezczynności, aby czemś zająć ręce.

Młody człek patrzał na to milczący. Odziany w suknię zszarzaną, która niegdyś była piękną i kosztowną, z piersiami napół obnażonemi, niedbale podpasany, znać nie ruszał się dnia tego z pod dachu. Twarz jego śniada, nie bez wdzięku, wybladłą była i zmęczoną. Oczy miał, jakby nałogiem ukrywania wzroku, wpadłe pod brwi i skryte, usta zacięte, wyraz cały ponury i srogi zarazem. Na wchodzącego spoglądając, łagodniał widocznie...

Był to Bezprym, starszy syn królewski z Judyty Węgierki — odepchnięty przez ojca na korzyść Mieszka, niegdy do duchownego przeznaczony stanu, dziś niepewien, jakie go czekały losy.

— Co ty tu tak błądzisz, Gheza? — zapytał głosem głuchym królewicz. — Czego szukasz?

Stary, założywszy ręce spuszczone, stanął naprzeciw Bezpryma, głowę przechylił i wpatrzył się w niego milczący.

— A kogoż i czegożbym ja szukał? — odezwał się Gheza po węgiersku, bo Bezprym go w języku matki zagadnął — kogo? czego? szukam ciebie, — królewiczu mój. Co ty? co tobie? jak?

— Jak? mnie? dziesięć razy na dzień pytasz o to. Poczciwy Ghezo, jakże mi ma być? jako tym, co w ciemnicy siedząc, czekają wyroku śmierci...

— Rzućcie to, rzućcie! — zawołał Gheza. — Myśli tych mieć nie trzeba, a siły zbierać i czekać. Hej! hej! przyjdzie i nasza godzina — przyjdzie! Znajdziemy i my przyjaciół, będziemy i my panowali!

Bezprym słuchać się zdał z przyjemnością powolnego marzenia swego sługi, a oczyma jakby do niego mówił — prawno dalej — co więcej?

Gheza też ciągnął głosem cichym i nieśpieszącym:

— Albo to królewicz mój nie jest prawym pierwo-

rodnym synem królewskim? albo to jemu nie należy się państwo? Ma kto iść do klasztoru i w mnichy, toć chyba Mieszko... a piękną Ryksę po nim dostanie mój pan. I królestwo, i skarby, i koronę.

Podparty na dłoni Bezprym słuchał.

— Praw, praw, stary — szepnął — tyle mojego, że w tej niewoli mam ciebie, co mi, jak piastunka dziecku, bajki prawisz! Tyle mojego. Tyś mi został jeden... Mam ojca, który mnie na oczy nie dopuszcza, mam brata, co mnie znać nie chce, no i — więzienie, trochę tylko jaśniejsze i przestronniejsze od tego, w którem trzymają skazanych...

— Gołębiu ty mój, sokole mój biały! orle złotopióry! — począł stary Gheza. — Nie narzekaj, a karm się, abyś silny był, gdy ci z klatki przyjdzie wylecieć; przyjdzie ta godzina, przyjdzie! ja ją widzę oczyma mojemi... hej! hej Eljen! słyszę, jak cię królem witają...

Zbliżył się kroków parę i rzekł ciszej:

— Pytałem starej wieszczki. Te baby czarownice, one wszystko wiedzą. Kazałem jej wróżyć przyszłość. Lała wosk... wylała z niego koronę! Królem będziesz.

— Pleć, stary — śmiał się Bezprym — a no, czarownic, co ze złym duchem mają do czynienia, nie pytaj...

Splunął Gheza i ręką w powietrzu zamachnął nad głową.

— To moja sprawa...

— Co dziś we dworze? — pytał Bezprym.

— Co? co zawsze... Królowa Emnilda modli się i płacze... Król kędyś na łowach... Młoda pani Ryksa zasępiona w krosnach szyje, na małżonka czekając. Mieszka król kędyś na Pomorców wyprawił. Spocząć mu nie daje... wojować musi, choćby nie chciał.

— A maż on w sercu wojnę? — spytał Bezprym.

Gheza głową potrząsał.

— Woli u spódnicy siedzieć, w jedwab się ubrać i słuchać pieśni — rzekł powoli. — Juści w polu, gdy człek zobaczy nieprzyjaciela, żeby w nim kropli krwi nie było, ruszy się... i bić będzie! Mieszek się bije, a pro-

wadzą go tak, aby ochoty do tego nabrał; ale to pieszczony syn Dobromirowej córki, a nie krew mojego królewicza.

Bezprym się zerwał z ławy... z zapałem jakimś dzikim, dłonią zdawał się szukać miecza i począł szybko do Ghezy:

— Oni myślą, prawda? oni myślą, żem ja do niczego niezdatny? żem ja zgnił, zwiądł i zapłakał się i zamęczył. Gheza, prawda, że ja dobrze udaję przed nimi?... Patrz... ot jakim...

To mówiąc, ręce na piersiach złożył, głowę spuścił, wzrok utopił w ziemi... zmalał i skulił się pokornie.

— Ale gdy na swobodę wylecę — Ghezo... gdy mi to wolno będzie o moje upomnieć się prawa, dopiero poznają, kim ja jestem!

Odprostował się, czoło wzniósł do góry, długie odrzucając włosy, usta mu się dumnie uśmiechnęły, ujął się jedną ręką w bok, a drugą dźwignął w powietrze.

Stary sługa uradowany przypadł mu do kolan i począł nogi całować.

— Tak! Tak! królewiczu mój! orle mój złoty! takim ci trzeba być, takim cię jeszcze stare moje oczy zobaczą... Przed nimi milczmy, ja i ty... o! usta zszyte mieć trzeba. Pytają mnie często chytrzy ludzie — co Bezprym? Ja tylko ruszam ramionami. Ginie marnie, tęsknota go zżera mówię — a no, niech uchowa Bóg, aby to prawda była...

— A jednak tak żyć, Ghezo — tak czekać, tak nasłuchiwać — zawołał Bezprym — ciężko! Są godziny!... chce się iść wydusić wszystkich i choćby zginąć samemu...

— Niech Bóg uchowa... tsyt! nie mówcie nawet tego — odezwał się stary, w rękę go całując — nie mówcie. Trzeba żyć... trzeba żyć, aby piękną królowę mieć i koronę złotą... i...

Machnął znowu ręką po swojemu.

Na wspomnienie królowej dziki wzrok Bezpryma rozpłomieniał. Grała w nim gorąca krew matki i na-

miętna dziada i ojca, w marzeniach swych sennych widział białą królowę i czarne oczy, wlepione w siebie.

Z dziecinną jakąś lekkomyślnością, chwytając za rękę Ghezę, rzekł mu, śmiejąc się:

— Wezmę Ryksę Mieszkowi... piękna jest! piękna!... Widziałem ją małą, gdy cesarz Otto przysłał na nasz dwór, żeby się chowała na żonę dla tego... (wyraz dodał plugawy). Naówczas już była piękna, ale czy ty widziałeś, Gheza, jaka ona dziś, jaka ona wybujała, rozkwitła... jaka z niej królowa?... Zakradłem się w kościele, żeby się tych niewiast pięknych dosyta napatrzeć. Piękniejszej nad Ryksę niema żadnej... Gheza, ja mu ją wezmę! hę?

Stary głową kiwnął.

— On mi moje prawo pierworodztwa chce wydrzeć. Mogę go zabić, a ją... zabrać.

— Bratowę? — niedowierzająco spytał Węgier.

— W Rzymie rozgrzeszą... ja wiem. Gorzej, niż bratowa, Oda, druga żona Mieszkowa, była Chrystusową oblubienicą, wziął ją i nie było mu nic...

Mówił z taką gorączką, że Gheza przerywać nie śmiał, a zresztą wierzył wszystkiemu i pochwalał wszystko, co ukochany pan powiadał.

— Po świecie dużo jeszcze piękniejszych nad Ryksę i młodszych... — szepnął.

Tu, chwilę pomilczawszy, Gheza dla zabawy znać biednego więźnia do ucha mu szeptać począł.

— No, a wówczas w kościele, jakeście się to babom przypatrywali, nie widzieliście margrafianki Ody, hę? To dopiero kobieta...

— Widziałem — żywo zawołał Bezprym — piękna jest. Juścibym ją wziął, ale nie na żonę... Na królowę się nie zdała, bo oczyma bardzo strzela po ludziach...

— O! strzela... strzela... — śmiejąc się, dodał Gheza — i już sobie tura upolowała... hę! hę!

Bezprym uderzył go po ramieniu.

— Kogo?... myślę, że niejednego? — zapytał.

— Ma ich poddostatkiem, co za nią chodzą i śmieją się do niej, a jeden ten... za wszystkich stanie.

— Kto? kto? mów!...

— Czyż nie wiecie? Mnie bo wam mówić trudno...

Zawahawszy się nieco, dodał zaraz:

— A... króla!... króla!... Wysoko patrzy młoda margrafówna... wysoko sięga... śmiała dziewka, bo myśli, że starą królowę jeszcze wysadzi i nam zapanuje.

Zadumał się Bezprym.

Gheza, pomilczawszy, począł znowu zcicha.

— E... na dworze napatrzyć się i nasłuchać jest czego. Na mnie oni niebardzo zważają, nie strzegą się, dziwy czasem plotą. Wszyscy Odzie panowanie przepowiadają... ma ona tu swoich... królowaby się jej rada ze dworu pozbyć, a nie śmie... Nie spojrzy nawet na nią... przecie ona nie zważa na to... A gdy króla ma przed sobą, to go tak oczyma łapie, że gdyby i starszy jeszcze był i nie tak gorący, jak jest, nie obroniłby się.

— Różne prawią też rzeczy — ciągnął dalej Gheza. — Słyszał pan mój o Jaksach, co ich tracić mieli... Mówią, że królowa ich gdzieś schowała... ludzie prorokują, że się to wyda i król skorzysta, by w gniewie starą porzucić i wziąć młodą...

Bezprym się wstrząsnął...

— Co mi tam! — zawołał — mnie z tego nic! mojego losu to nie poprawi!

— Kto wie! — szepnął Gheza.

Gdy tak rozmawiali, a w izbie ciemniało, przez okna, które ku okopom wychodziły na gościniec, dosłyszeli szum i wrzawę. Bezprym spojrzał.

Orszak wojenny zbliżał się powoli. Na czele jego jechał na koniu siwym, wykwintnie rycersko ubrany młodzieniec pięknej i wesołej twarzy. Na głowie miał szyszak z piórem czerwonem, lśniący od złotej blachy, którą był w części okryty, na piersiach pancerz łuskowy, na nim płaszcz z futrem. Pas, nasadzany kamieniami, trzymał miecz w złoto okuty u boku. Twarz jeźdźca z dumą zwracała się ku zamkowi, do którego

jechał. Za nim postępowało dwu starych wojewodów konno i świetny orszak; pancernicy wszyscy ludzie dorodni i doborni...

Przez okno, wysoko umieszczone, tylko głowy ludzi i koni mógł dojrzeć Bezprym. Zobaczywszy na czele jadącego Mieszka, pobladł i pięści zacisnął. Zerwał się z ławy, aby uniknąć tego widoku, nic nie mówiąc, ale cały drżący. Gheza, który dojrzał przyczyny tego wzruszenia, starą głową potrząsnął w milczeniu.

Dopiero, gdy cały ten orszak powracających z wyprawy przesunął się przed oknem, Bezprym gwałtownie okiennicę zasunął i krokiem żywym po izbie się zaczął przechadzać. Zafrasowany piastun podłożył ognia, zakręcił się po komnacie i, do kolan mu się pokłoniwszy, szepnął:

— Niechaj! niechaj!... będziemy i my tak jeździli! będziemy i my tak powracali... albo jeszcze lepiej... orle ty mój złoty, będziemy...

Nic nie odpowiadając na tę zwrotkę codzienną, z którą obył się dosyta, Bezprym dał rozkaz Ghezie, aby się dowiedział, skąd i z czem powracał Mieszko. Bolało go też, iż czuł w nim zwycięzcę.

— Znowu pobił... znów cały i zdrów wraca! — mruczał.

— Przyjdzie nań godzina... jak w Czechach! jak w Czechach! — szepnął, odchodząc, Gheza i ze drzwi ruchem głowy przepowiednię tę potwierdził.

W podwórce wyszedłszy, stary Gheza znalazł tu wszystko w ruchu. Istotnie Mieszko, jak zwykle, wracał z łupem i niewolnikiem. Wycieczka ta zimowa była jakby rodzajem polowania na upatrzonego. Mszcząc się jakiejś napaści nadgranicznej, Bolesław posłał syna spalić kilka siół i nabrać jeńców, aby rozbójniczych sąsiadów pogan nastraszyć. Wysłani przodem szpiegowie opatrzyli miejsca, oznaczyli czas i Mieszko, jak burza, spadł na Pomorców, którym stada całe, mienie i mnogo jeńców nabrano.

Jak tylko oznajmiono o przybyciu jego, stara kró-

lowa pierwsza wyszła na spotkanie, pierwsza go uścisnęła, płacząc z radości.

Mieszko wiedział już, że ojca na zamku nie było, a nim żona pośpieszyła przeciw niemu, on sam już był w jej komnacie. Matka mu towarzyszyła.

Z małym Kazimierzem na ręku Ryksa w progu męża witała. W istocie siostrzenica cesarska była niewiastą uderzającej piękności, ale twarz jej młoda i wdzięczna miała na sobie wyraz powagi jakiejś surowej, niemal chłodnej. Coś zakonnego w ubiorze, w obejściu się, coś wyniosłego i zdającego się wdali świat trzymać od siebie miała piękna Ryksa.

Wszystko, co w jej mieszkaniu otaczało młodą panią, było wytworne, świetne, lecz zarazem poważne, jak ona. Stała przed mężem w sukni czarnej, w czepcu mężatek, sama krzyż mając na piersi i dziecię trzymając uśmiechnięte, na którego białej szyi także krzyżyk złoty był zawieszony.

Mieszko ku obu wyciągnął ręce na powitanie. Ryksa, wedle zwyczaju, schyliła się do ręki swojego pana, on usta zlekka przyłożył do jej czoła, dzieciaka pocałował i wnet królewna oddała go stojącej za sobą niewieście.

Emnilda, nie chcąc w tej pierwszej chwili synowi i synowej być natrętną, do wnuka poszła i z nim razem znikła w bocznej izbie. Na twarzy Mieszka nie tyle znać było radość, co znużenie.

— Zwlec się muszę z tych żelaznych pęt! — zawołał do żony. — Głodny jestem... spragniony... Idę zbroję złożyć i powrócę...

Ryksa chciała go o coś spytać; ręką dał znać, jakby słuchać nie chciał i wyszedł.

Gdy jej z oczu znikł, jakiś czas stała ze wzrokiem w ziemię wlepionym, potem zwróciła się ku stronie, w którą wyniesiono dziecię i spokojna, chłodna wyszła za starą królową.

W izbie, w której królewicz się rozbierał, gwarno było. Komnata sypialna cała obwieszona tarczami, siekierami bojowemi, włóczniami, pancerzami wytworne-

mi, na zbrojownię wyglądała. Ogień, który się na kominie palił, błyskał na żelaznych i złotych blachach, które okrywały ściany.

Rzeźwa młodzież otoczyła królewicza, śpiesząc porozwiązywać rzemyki, porozpinać sprzączki, uwolnić z tych pęt, które go długo więziły.

Ówczesne wojenne uzbrojenie niepospolitej wymagało siły i wprawy do dźwigania. Pod pancerzem z łuski żelaznej, który całe ciało okrywał, noszono jeden lub dwa skórzane kaftany. Pancerze były grubo kute, aby mieczom i dzidom przeciwników opór silny stawić mogły. Broń też, którą rycerz zmuszony był dźwigać, tarcza, włócznia, miecze, młoty, łuk, oszczep przyczyniały brzemienia.

Czeladź pańska, snać ulubiona Mieszkowi i spoufalona z nim, śmiejąc się i żartując, rozdziewała młodego wojaka, który z uśmiechem jej odpowiadał. Widać było w Mieszku żołnierza dzielnego, lecz niezbyt rozmiłowanego w swem rzemiośle i nie wiedzionego do boju, jak ojciec, myślą wielką. Walka była dlań rozrywką rycerską, bo brzemię panowania jeszcze na innych spoczywało barkach i synowi niepilno było je odziedziczyć.

Gdy pancerz z niego ściągnięto, odetchnął królewicz i rzucił się na posłanie z wyrazem widocznego zadowolenia.

— Hej, Michno! — zawołał do jednego z czeladzi— idź mi, zobacz, czy łaźnia zapalona... Nie pocznę nic, dopóki w niej nie wypocznę... i zimną nie obleję się wodą. Dopiero siły mi powrócą!

Łaźnia była naówczas niemal tak, jak chleb nieodzowną potrzebą, należała do nawyknień życia, iż nikt się bez niej, jak bez jadła, nie obchodził. Po całych dniach na królewskim zamku łaźnie dla dworu i dla panów musiały stać wpogotowiu. Urządzano je zprosta, rozpalając ogromne głazy utrzymywanym ciągle ogniem pod niemi i lejąc na nie wodę. Drewniane ławy, sięgające niemal do stropu, na których stawano, siadano lub legano, wedle upodobania, i od których po-

szło przysłowie: „im kto wyżej siedzi, tem mocniej się poci", kubły z wodą zimną, winniki brzozowe... cały przyrząd łazienny, wielce niewykwintny składały. Nie miał i król Bolesław wytwornie urządzonej łaźni, a chadzał do niej, jak wiadomo, chętnie i chętnie z sobą drugich prowadził.

Mieszko też nie wątpił, iż łaźnię napaloną i gotową znajdzie; pilno mu było do niej, aby się pozbyć ostatków znużenia.

Wtem nadbiegł wysłany Michna, lecz z twarzą, na której widać było, że się nie tak sprawił, jak spodziewał.

— Łaźnia?... — zapytał Mieszek.

Michno po głowie tarł ręką.

— Łaźnia? — powtórzył królewicz — daliż jej stróże zastygnąć? to nie może być!...

— A! nie!... nie!... — pośpieszył dodać chłopak...

— Więc do łaźni... — zawołał królewicz, zrywając się z posłania.

— Ale łaźnia... miłościwy panie... łaźnia... zajęta — wyszepnął chłopiec.

— Przecież niewiasty swoją mają? — rozśmiał się królewicz — a któż śmiał królewską zajmować?

Michnie wyrazy na ustach zastygły.

— Mówże! — krzyknął zniecierpliwiony pan — kto śmiał?...

Michno, spuściwszy głowę, zaniemiał.

— Wygnać precz!... — wołał Mieszko i popatrzywszy na chłopca, ręką go chwycił za ramię, trzęsąc nim.

— Będziesz ty mi mówił, kto wlazł do mojej łaźni?

Oczy podniósł, błagając Michno i jeszcze się nie zebrał na wyznanie.

— Królewicz Bezprym jest w łaźni! — krzyknął wreszcie, czując, że go Mieszko chwycił silniej.

— Kto? królewicz? jaki?... Tu niema innego nade mnie?... — ofuknął Mieszek. — Słyszysz ty to? Bezprym! Nie mógł się pójść myć razem ze służbą? kto mu pozwolił do królewskiej łaźni? — krzyknął... won

go wygnać!... Cóż to ja na Bezpryma łaskę będę czekał?...

To mówiąc, kożuch na siebie wdział królewicz i przez podwórze do sąsiedniej łaźni pośpieszył. Zdala drzwi jej poznać było łatwo po buchającej z nich parze. Mieszko wkroczył wprost, służbę prowadząc za sobą.

Bracia, choć w jednym żyli dworze, nigdy się z sobą prawie nie spotykali. Dawniej Mieszko się próbował zbliżyć do Bezpryma, lecz ten go pogardliwie zbywał milczeniem; przyszła później tajemnie tlejąca braterska nienawiść i rosła z dniem każdym. Spotkali się w dziedzińcu, omijali się, jakby nie widzieli.

Zmuszono Bezpryma do oddawania czci młodszemu, ale wybranemu bratu; król jeden tylko twardym rozkazem mógł to na nim wymóc, nikt inny.

Syn Judyty miał prawo starszeństwa i pierworodztwa wedle europejskiego zwyczaju; dziecię Emnildy, słowiańskim obyczajem młodszych, czuło się powołane do spadku władzy po ojcu. Do nienawiści obu przyczyniło się może, iż w Bezprymie czuł Mieszek wolę niezłomną i rozum bystrzejszy, że się go obawiał.

Z gniewem w piersi wszedł królewicz do łaźni, u których drzwi dwu ludzi smolne trzymało pochodnie. Pomimo światła, we wnętrzu, pełnem pary gęstej, nic widać nie było. Bezprym, któremu oznajmiono o Mieszku, nie myślał się ruszać z górnej ławy.

Stanąwszy w progu, gniewny pan zawahał się wszakże, co miał czynić. Brat mu ustąpić nie chciał, gwałtem go wyrzucić i rozjątrzyć, a niepotrzebną we dworze czynić wrzawę, nie życzył sobie królewicz.

Z za obłoków pary w tej chwili ujrzał nagiego Bezpryma na górnej ławie, z rękami pod głowę podłożonemi, z nogami podniesionemi do góry, zdającego się czekać i wyzywać gwałt.

To zuchwalstwo rozgniewało Mieszka.

— Precz do łaźni czeladniej! słyszysz!... — krzyknął, rękę podnosząc.

— Każ mnie wyrzucić! — odparł chłodno Bez-

prym — jeśli się ważysz na to. A twojej czeladzi łby porozbijam, jeśli się mnie tknąć waży.

— Mam-li ja czekać na ciebie? — począł, rzucając się, Mieszko.

— Wolno ci się parzyć... ja nie bronię... — szydersko mruknął Bezprym.

Nie mogąc wytrzymać dłużej, idącym za sobą wskazał królewicz, nic nie mówiąc, brata.

Słudzy zawahali się. Stali, spoglądając jedni na drugich. Bezprym był silny, odważny, mógł dotrzymać, co obiecywał. Pachołkom niebardzo się chciało głów nadstawiać. Poza nimi jednak stało dwóch z czeladzi łaziebnej, napół nagich drabów ogromnych i silnych niewolników wojennych, stworzeń napół dzikich, dla których walka była niemal pożądaną. Na dany znak ruszyli oni ku ławie.

Bezprym, ujrzawszy to, chwycił za ławę i zdarł z niej lekko przybity kawał drzewa, który ujął w dłoń silną, usiadł i gotował się do obrony. Dwaj niemi łaziebnicy trochę się wstrzymali, popatrzyli na się, ruszyli ku rusztowaniu, i zręcznie podźwignąwszy je na barkach, obalili na ziemię. Razem z ławicą, na której siedział, uczepiwszy się jej oburącz, spadł i Bezprym, a nim miał czas potłuczony wydobyć się z pod desek, naskoczyli łaziebni pachołkowie i, chwyciwszy go za ręce, choć im włosy darł z głowy, pędem lecąc, wynieśli i rzucili na podwórzec nagiego.

We drzwiach stojąca gawiedź poczęła się śmiać z nieszczęśliwego Bezpryma, który leżał na śniegu. Drzwi od łaźni natychmiast zawalono drągiem i, nim się do pomsty zabrać mógł pokrzywdzony, nie miał już przed sobą nikogo. Klęczał tylko u nóg jego stary Gheza i obejmował go rękami, trzęsąc się z gniewu cały, ciągnąc swojego pana, na którego własną opończę narzucił, na drugie podwórze.

Bezprym powstał, obejrzał się obłąkanym wzrokiem ku łaźni i podtrzymywany przez sługę wiernego, znikł w furcie, wiodącej do jego dworca. W podwórcu cicho było i pusto, dopiero po oddaleniu się Bezpryma

wyjrzała czeladź Mieszkowa z łaźni, rozglądając się bojaźliwie.

Królewicz zwyciężył wprawdzie, lecz sam nierad był swojemu zwycięstwu. Czuł to dobrze, że do mnogich uraz dodał jeszcze jedną nieprzebaczoną. Pozostało w nim niepokojące uczucie jakiejś trwogi.

Ze sromem i spuszczoną głową, milczący jak kamień, Beprym przywlókł się do izby swojej.

Tu Gheza, przyklęknąwszy, począł go ocierać, rozgrzewać, pieścić jak dziecię, przemawiać doń wyrazy pełnemi słodyczy i tkliwości.

Syn Judyty siedział głuchy, niemy, jak posąg. Łza mu pociekła z oka, wyraz z ust się nie dobył, pięści miał zaciśnione, zdawał się skamieniały z bólu, zabity... Głowa, opadła na piersi, wisiała bezwładnie.

Jak dziecię dał się oblec, jak nieprzytomny położyć. Piastun mu przyniósł kubek jakiegoś napoju ciepłego i wlał mu w usta prawie siłą. Próbował on napróżno rozmaitemi pytaniami wywołać z niego choć wyraz, choć westchnienie. — Bezprym miał usta zaciśnięte i nie otworzył ich nawet do poczciwego sługi. Ręką tylko zimną pogłaskał go po głowie na odpowiedź całą. Gheza mówił za dwu.

— Sokole mój, orle mój złoty! zobaczysz, doczekamy, wybije zemsty godzina! Odpłaci nam za to Mieszek, weźmiemy mu królestwo, zabierzemy żonę... wyżeniem go z tej ziemi, tak, jak on śmiał...

I Gheza, nogi wychowanka swego obejmując, rękami tulił, osłaniał, aż póki znużenie i ból — zdrętwienia okrutnego nie zmieniły w sen gorączkowy.

Gdy Mieszko po łaźni, przyodziawszy się, powrócił do żony i matki, Ryksa łatwo poznać mogła po twarzy jego, która nigdy nic ukryć nie umiała, że nim jeszcze jakiś niedogorzały gniew miotał, ale pytać go nie śmiała. Posępnym był królewicz i milczącym, a zwierzać się nie chciał z tego, co uczynił.

Nie mogło to pozostać w ukryciu tajemnicą dla nikogo. Z okien owego podwórka wielu na to patrzało ludzi, czeladź królewicza była świadkiem wypadku;

natychmiast wieść się rozbiegła po dworze, doszła do królowej, która ją przyjęła z przerażeniem, do Ryksy, wcale nie myślącej się ujmować za Bezpryma, naostatek do Ody, która się tem uradowała.

III.

Gdy się Jaksowie znaleźli w nowem więzieniu, do którego jakieś dalekie dochodziły mruczenia i głosy, nie byli jeszcze pewnymi ocalenia. Zdało się im, że śmierć mogła być tylko odroczoną. Wśród ciemności poczęli szukać, na czemby się zeprzeć lub położyć mogli, lecz izba była pusta. Legli więc przy ścianie na ziemi z obojętnością ludzi, co nic do stracenia nie mając, nie troszczą się, jak ostatnie chwile przeciągniętego życia przepędzą.

Upłynął czas długi, a nic ciszy i mroku nie przerwało. Naostatek usłyszeli klucz, chodzący w zamku drzwi, nie tych, któremi ich wprowadzono, lecz w umieszczonych w przeciwległej ścianie. Ukazało się w nich światełko i wszedł maleńki, przygarbiony, niemłody człowiek z lampką, którą osłaniał ręką. Okryty był suknią czarną, kroju, jakim ją duchowni nosili, z sukna grubego. Na głowie miał czapeczkę z futrem, która mu uszy i część bladych okrywała policzków.

Wszedłszy jakby z obawą i wahaniem, wzrokiem niepewnym, strwożonym popatrzał na dwu braci, pilnie im się przyglądając. Być może, iż inaczej wcale wyobrażał sobie zbójców, na śmierć skazanych. Gdy zobaczył łagodne a smętne twarze Jaksów, którzy, za ręce się trzymając, powstali z ziemi, mocno zdziwionym się zdawał. Palec położył na ustach i zawrócił się ku drzwiom, któremi wszedł, i z za nich wydobył kosz zostawiony. Było w nim jedzenie, jakiego dawno już dwaj skazani nie kosztowali, — był dzbanek z napojem.

W milczeniu postawił starowina koszyk przed nimi, ruchem ręki zachęcając ich do jedzenia, lampkę

postawiwszy na przymurku. Sam ręce złożył i stał niemy i zaciekawiony, ciągle się w nich wpatrując.

Andruszka pierwszy odezwał się pocichu:

— Mój ojcze, kiedy nas tracić mają?

Usłyszawszy głos, przybyły jakby się uląkł go, znowu rękę na ustach położył.

— Nic — nic nie wiem, nic!

— Lecz...

— To wam powie kto inny, nie moja rzecz. I ręką na kosz wskazał.

Chociaż niepewni przyszłego losu swojego, Jaksowie tak byli zgłodniali, że Jurga wyciągnął rękę do kosza. Zobaczywszy ich jedzących, stary postał chwilkę, zostawił lampkę, mało co światełka dającą, i wyszedł, drzwi zamykając za sobą.

Jakąś siłę nową wlał w nich napój i jadło: Andruszka się uśmiechnął.

— Poco nas karmią na śmierć! — zawołał.

— Kto wie — rzekł Jurga, — coś się stać musiało! Wyrok królewski śmierć przede dniem zapowiedział, a to już dzień, biały dzień.

Jurga wskazał okno wysoko w górze, przez którego szczeliny w okiennicy widać było przedzierający się blask dnia jasnego.

— Tak, dzień — potwierdził Andruszka.

— Może się nad jednym wreszcie zlitują — dodał cicho młodszy. — Jeżeli ważą jeszcze, którego mają tracić, to jam gotowy.

Starszy go już po ręku uderzył i głową potrząsł, po tejże chwili klucz się w zamku obrócił; otworzyły się one i, schylając się, wszedł inny duchowny, nieznany obu braciom, mąż poważny, z krzyżem na piersiach, na ciężkim złotym zwieszonym łańcuchu. Za nim widać było staruszka, co przyniósł kosz, ale ten, wpuściwszy go, sam nie wchodząc, zewnątrz pozostał.

Bracia powstali na widok księdza, którego rękę poszli ucałować wedle zwyczaju. Piękna, choć surowa twarz duchownego nie zdawała się im nic złego zwia-

stować. Szedł, jakby pociechę niosąc z sobą, a nim mówić począł, zmierzył też wejrzeniem bacznem Jaksów.

Ci stali przed nim milczący.

— Przyszedłem wam, dzieci moje, zwiastować, jeżeli nie ocalenie, — to nadzieję jego. Nie mogę, bo prawa nie mam, powiedzieć wam — ani komu to winni jesteście, ani co wam przeznaczono. Uczyniono wszakże tyle, iż z pod gniewnej ręki króla — miłościwa opieka was wyrwała. Nadzieja więc w Bogu, iż czas ułagodzi pana i możecie być ocaleni. Lecz w Bożej to woli, w Bożej łasce. Módlcie się o nią.

Tu zamilknąwszy nieco, duchowny mówił dalej:

— Na swobodę wynijść, choćbyście rycerskiem słowem byli związani, nie możecie. Ktoś nieopatrzny zobaczyłby was, wydałaby się przed czasem tajemnica. Są dobrzy, ale i złych ludzi jest wielu. Musicie więc pozostać w zamknięciu, tu — lub może gdzie indziej. Dla świata umarli jesteście. Nikt wiedzieć nie powinien, że żyjecie. Macie czas na pokutę i żal za grzechy.

Słuchając tej mowy, choć otucha w serca ich wstąpiła, dwaj Jaksowie mniej daleko radości okazali, niż spodziewać się było można.

Ludziom rycerskiego powołania, nawykłym do swobody, do ruchu, do nieustannego zajęcia, niewola wśród czterech murów wydawała się niemal śmierci równą. Siedzieć tak w tej ciszy, nie widząc nikogo, nie wiedząc, co się wkoło działo, nie mogąc się rozkurczyć, chwycić powietrza, pocieszyć światłem, — karą było okrutną. Pocieszało ich to może jedno, że rozdzielonymi być nie mieli. Tak się przynajmniej spodziewali.

Andruszka rzekł z westchnieniem:

— Ojcze przewielebny, zostawcie nas przynajmniej razem. Srogaby rzecz była...

— Będziecie z sobą, — odparł duchowny—nie zbędzie wam na niczem, oprócz, niestety, — swobody i ludzi. A żebyście zaś o Bogu nie zapomnieli, parę razy w tydzień możecie z za kraty, do której was zawiedzie stróż, wysłuchać rannej mszy świętej. Powtarzać wam

nie trzeba, iż gdybyście, na nieszczęście, poznani i napatrzeni przez kogo byli, życiem to przypłacić możecie. Więc idąc na mszę i w kościele twarze zakrywać musicie i do nikogo nie mówić ani słowa.

Ksiądz dodał:

— Bóg z wami! — skinął głową i z powagą, krokiem wolnym wyszedł z izby. Drzwi zaryglowano za nim.

Bracia padli sobie w objęcia i ściskać się zaczęli radośnie. Mieli przynajmniej nadzieję.

Cały ten dzień szeptali z sobą, gubiąc się w domysłach, kto ich mógł od zguby uratować, czyjej odwadze winnymi byli to przechowanie. Znali oni dobrze Bolesława i wiedzieli, na jakie narażał się niebezpieczeństwo ten, co śmiał jego woli sprzeciwić. Jurga wpadł na myśl, iż ojcu Teodory mógł być winien tę łaskę i łzom jego córki. Andruszka posądzał raczej opata tynieckiego, którego przybycie do ciemnicy było jakby obietnicą lepszego losu. Żaden nie sięgnął nawet myślą do królowej, której pośrednictwa w sprawie swej nie przypuszczali.

Więzienie srogo się już dwom Jaksom czuć dawało. Cisza, milczenie, próżnowanie, niewiadomość, jak długo potrwać może ta niewola, czyniły ją nad wyraz srogą i ciężką. Jurga, którego już sen nawet nie brał, rzucał się zrazu jak dziki zwierz, potem zbolały opadł na siłach, zatęsknił, zachorzał. Nie wstawał z posłania, milczał, zdawał się śmierci wyglądać. Wytrwalszy brat czuwał nad nim i widząc go tak w oczach ginącym, zaklął stróża, aby o tem starszego duchownego uwiadomił.

Tegoż dnia nadszedł on do więzienia. Jurga ledwie, zobaczywszy go, mógł podnieść głowę, która zaraz na posłanie opadła bezsilna. Audruszka zwlókł się do księdza.

— Mój ojcze, — rzekł — winniśmy ocalenie nas od śmierci gwałtownej — dobroczynności, łasce, nie wiemy czyjej. Lecz zgnijemy tu z tęsknicy; natura nasza nie znosi zamknięcia i więzienia. Jurga mi w oczach

ginie. Umrze on — umrę i ja po nim. Tyle tylko, że się pomęczymy dłużej.

Ksiądz wysłuchał ze smutkiem skargi, lecz zdawał się nie wiedzieć, co z nimi począć. Zbliżył się do Jurgi i przekonał sam, iż go choroba trawiła. Nie mówiąc nic, uczyniwszy tylko nadzieję powrotu, odszedł. Drugiego dopiero dnia powrócił, lecz nie sam. Towarzyszył mu znany braciom opat tyniecki Aron, któremu tamten wielkie okazywał uszanowanie.

Opat począł od rozpatrzenia się i wybadania Jurgi i przekonał się, że mu istotne groziło niebezpieczeństwo. Zdawał się jednak i on nie wiedzieć, co począć, jak radzić.

— Idzie o życie wasze — rzekł. — Ktokolwiek was na swobodzie zobaczy, wyda... Naówczas nie tylko wy zginiecie, ale zgubicie osoby, które ocalić was chciały. Nie widzę ja innego... tylko przeprowadzenie was do szerszego więzienia, do mojego klasztorku w Tyńcu, gdzie w celach zakonnych przynajmniej na słońce patrzeć, z braćmi, co was nie wydadzą, obcować będziecie mogli. Lecz jakże się wam niepostrzeżonym i niepoznanym dostać do Tyńca?

Andruszka podchwycił żywo, poręczając, że gotowi będą nocami, manowcami przedzierać się na miejsce, ludzi unikając, nie mówiąc do nikogo, bodaj twarze osłoniwszy. Jurga nawet, zasłyszawszy o tem, podniósł głowę i słabym głosem poręczył, że raczej umrzeć gotowi, niż dobroczyńców swych zdradzić.

Poczęła się tedy narada długa, wielka, jak podróż tę, na owe czasy niemałą, przyprowadzić do skutku. Ułatwiało ją to jedno, że obu braciom, nawykłym do wycieczek i wypraw wojennych, kraj cały był dobrze znany, i umieli w obcych stronach dawać sobie radę, a wówczas lasy i puszcze, połowę znaczniejszą ziemi zalegające, i pora, nawet zimowa, podróż tajemną możliwą czyniły.

Opat Aron, nie przyrzekając nic, brał to do namysłu, a gdy towarzyszący mu duchowny wyszedł, dodał z pewnem wahaniem:

— Znajdziecie w Tyńcu bracię moją z różnych stron i języków świata tam zebraną. Moglibyście z tego skorzystać. Do stanu duchownego nie myślę was namawiać, bo wiem, że to nie dla takich, jak wy, rycerzy powołanie. Moglibyście wszakże, rozpytawszy się i objaśniwszy u ojców, przygotować do podróży większej daleko, któraby wam ocalenie zapewniła.

Tu spojrzawszy na ciekawie go słuchających, opat ciągnął dalej:

— Król a pan nasz miłościwy mieć będzie potrzebę wielką wysłać ludzi zręcznych i pewnych w sprawie ważnej... daleko... kto wie? do Rzymu może? do samego ojca świętego. Zręczności do niej i męstwa wielkiego potrzeba — niebezpieczeństw do przebycia znajdzie się dosyć. Moglibyście mieć w pomoc dodanego braciszka Włocha.

Na samą wzmiankę o wyprawie podobnej Andruszka rzucił się ręce opata ucałować, a Jurga podniósł się, jakby mu sił przybyło. Lecz dnia tego na kilku słowach się skończyło.

Natychmiast prawie odżył młodszy. Uradowany Andruszka ujrzał go tego wieczora znacznie orzeźwionym; noc przespał spokojnie, obudził się silniejszy, smak mu do jadła powrócił i, gdy trzeciego dnia opat Aron przybył do nich, znalazł go już trzymającego się o swej sile.

Stanęło tedy na tem, iż przygotowania do podróży uczynione być miały, ale że się to wszystko tajemnie odbywało, czasu więc trochę zabrać musiały. Jurga i Andruszka, raz nocą wydobywszy się za bramy zamkowe, co opat ułatwić obiecywał, nie potrzebowali już przewodnika. Nadchodziły pod pełnię noce księżycowe, mieli więc jechać lasami i nocą, przez dzień odpoczywając w szałasach, w gąszczach i nigdzie nie zajeżdżając. Na to Jaksowie uroczyste dać musieli słowo rycerskie, a co rzekli, na to się spuścić było można. Ofiarowali się zresztą choćby uroczystą przysięgą stwierdzić swe przyrzeczenia.

— Tem ważniejsza to rzecz, — dodał opat — iż,

nie wiem, w jaki sposób i z jakiego powodu obudziły się w ludziach podejrzenia, iż nie zostaliście straceni. Nieprzyjaciele tych... którym winniście ocalenie (opat wymienić nie chciał nikogo), mogliby z najmniejszej skorzystać poszlaki, aby przed królem ich oskarżyć. Ostrożności więc potrzeba nadzwyczajnej.

Chociaż opat Aron chciał czekać na to, aby Jurga, który przychodził do siebie, sił więcej nabrał, zaręczyli mu oba, że podołają i najcięższej podróży, gdy się na swobodę, powietrze i światło wydobędą. Jednak nie wyznaczono dnia do wyjazdu. Oba bracia z gorączką niecierpliwą go wyczekiwali.

Jednego wieczora, gdy każdy szelest ich poruszał tak, że się natychmiast zrywali, sądząc, iż już nadeszła godzina, w istocie później, niż zwykle, we drzwiach dał się słyszeć klucz. Otwarł je kleryk stary, a za nim widać było w progu stojące i jakby wahające się, czy wnijść mają, dwie jeszcze osoby.

Potwierdziły się domysły Jurgi, gdy zdala we drzwiach poznał naprzód starego Sieciecha. A za nim szła z zasłoną na twarz zapuszczoną niewiasta... Serce powiedziało więźniowi, choć się tego nie mógł nigdy spodziewać, że to była Teodora.

I ona to była w istocie. Pieszczona ojca jedynaczka, wybłagała u niego tę nadzwyczajną łaskę, by Jurgę, którego za narzeczonego swego i męża przyszłego uważała, mogła widzieć, nimby na niepewne puścił się losy.

Długo opierał się stary, nie chcąc dozwolić na to; ubłagała go córka, dopuściła królowa, żeby z ust jej Jurga posłyszał wyrazy, do poprawy życia pobudzające.

Piękna Sieciechówna, która tyle męstwa okazała, napraszając się, by jej narzeczonego widzieć dozwolono, gdy znalazła się w progu tej izby strasznej i ciemnej, gdy zobaczyła Jurgę tak chorobą i niewolą zmienionego, w nędznej odzieży, rozpłakała się i osłabła.

Ukląkł przed nią po rycersku Jaksa... i wnet też owa chwilowa słabość minęła i odważne dziewczę odzyskało przytomność.

Słów tam wyrzeczono mało. Sieciech po ojcowsku napominać zaczął, Teodora prosiła obu, aby się nie narażali na to, by zdradzonymi być mogli. Przyniosła ona od siebie poświęcony krzyżyk narzeczonemu, który miał go bronić od niebezpieczeństwa.

Jurga stał się niemal wesoły.

— A! wiedziałem ja — zawołał — komu ocalenie nasze mieliśmy zawdzięczać!

— Jeżeli myślicie, iż mnie lub ojcu memu je winniście — odpowiedziała Teodora, — mylicie się. Prosiłam ja i on za wami, lecz... lecz ocalił was kto inny, czyjego imienia wyrzec się nie godzi.

Zdziwili się Jaksowie, lecz i teraz jeszcze królowa im na myśl nie przyszła. Wiedzieli, że prosiła i ona za nimi, ale prośba odrzuconą została. Dopytywać się nie śmieli.

Po krótkiem pożegnaniu, z którego dowiedzieli się, iż tejże nocy wyruszyć mają, Sieciech z córką opuścił więzienie, a bracia żywo poczęli się gotować do drogi, do której już odzież i oręż mieli przez opata dostarczone. Stary kleryk im pomagał.

Późna już była noc, gdy wszedł opat Aron... Z nim razem opuścili celę w tumie i zeszli w podwórze, gdzie na nich dwa konie czekały. Kazano im je do wrót, w których straż stała, prowadzić w ręku. Niedaleko od tumu furta wiodła na pole. U tej, jak u innych, choć czasu pokoju było to zbyteczne, stała straż, gdyż Bolesław wszelakiej zdrady, podejścia i napaści się obawiał.

Opat Aron, pierwszy dając się poznać straży, wyszedł stąd na pole i opowiadając swoich dwu posłańców, braci za sobą prowadził.

Ucałowawszy rękę jego, dosiedli koni z niewysłowionem tem uczuciem, jakiego doznaje człowiek długo zamknięty, gdy nagle wydobędzie się na swobodę... Nie mówiąc do siebie słowa, poparli konie, co żywiej oddalając się od grodu, którego okolice szczególniej były niebezpieczne. Lecz zimową nocą spotkania czyjegokolwiek mało się mogli obawiać, a po zmarzłej

ziemi i wodach nawprost skierowali się ku najbliższym lasom.

Jeszcze opat stał w furcie, aby się naocznie upewnić o ich oddaleniu, gdy puściwszy konie, Andruszka i Jurga znikli mu już w zaroślach.

Śledzący pilnie sprawę Jaksów ks. pisarz Petrek nabierał przekonania silniejszego coraz, iż coś w tem było ciemnego. Doszedł on z pomocą Harna, że stracenie Jaksów było niepodobieństwem. Daleko trudniej mógł się dowiedzieć, co z nimi uczyniono i kto był główną tej sprawy sprężyną. Opat Aron, którego zaufanie posiadał (jak mu się zdawało) — z różnych stron zręcznie badany, nie dał z siebie ani słówka wydobyć. Sądził więc ks. Petrek, iż nie wiedział chyba o niczem. Posądził starego ojca Teodory, ale ten, okazując mu wielkie uszanowanie, jakie się każdemu należało duchownemu, trzymał się od niego zdala.

W tumie księża byli w dobrych z ks. Petrkiem stosunkach, który ich sobie jednał, przepisując im na kawałkach pergaminu rozmaite hymny i sekwencje kościelne. I ci jednak, przyjmując ks. protonotarjusza gościnnie, bliższych z nim nie zawierali stosunków.

Umiał on zręcznie i tu i gdzie indziej rozmowę naprowadzać na smutną tragedję Jaksów, rzucał dwuznaczne wyrazy, pragnąc dać do zrozumienia, że coś wiedział i że był do tajemnicy przypuszczony — to mu jednak do wydobycia jej nie pomogło.

Z rozmaitych poszlak zdawało się ks. pisarzowi, iż Jaksowie gdzie indziej schronienia znaleźć nie mogli, tylko u księży. Tu więc skierował swe kroki, już nie do starszyzny się zwracając, ale do kleryków i posługaczy kościelnych.

Milczący staruszek, zwany bratem Ruprechtem, który miał klucz od więzienia Jaksów i wogóle od wszystkich izb na tumie, dla gości obcych i dla winowajców przeznaczonych — zdał mu się najpewniej rzeczy świadomym.

Przy pierwszej swej bytności około tumu ks. Petrek rozmowę z nim przyjazną zawiązał. Brat Ru-

precht, któremu pochlebiało to, że kapłan, tak wysoko u dworu położony, poufale się z nim obchodził — chętnie się wdał w gawędę, nie sądząc, ażeby dla ks. Petrka mogły być jakie tajemnice.

Sam on nie wiedział dobrze, co to byli za winowajcy, których mu strzec kazano, miał ich za grzeszników srogą kościelną odbywających pokutę. Ciekawość wiek już w nim przytępił.

— Dużo masz roboty i zachodu, mój bracie, — mówił doń pisarz — na twe stare lata, ciężko ci już być musi.

— Nie — s o l i D e o g l o r i a — rzekł braciszek, bo zwykł był ten pobożny wykrzyk często powtarzać.— Już się człowiek wdrożył i drepcze, nie czując znużenia...

— Macie bo pewnie i więźniów w tumie do pilnowania...

— A zawsze ich tam coś jest, — rzekł stary — ludzie nie anioły, toć to jeszcze półpoganów dużo.

— Tak, tak, — potwierdził ks. Petrek — a z tymi więźniami ciężka sprawa, bo to butne i zuchwałe...

— Nie wszyscy — kaja się wielu.

— Teraz ich tam dużo u was? — zapytał nawiasowo ks. Petrek.

— Było więcej, dwu mi wczoraj ubyło.

— Wczoraj na raz dwu! Ulga wielka — cóż to za ludzie byli?

— Pono wojenni jacyś... na rycerzy wyglądali — a no dziwnie łagodni i cisi byli.

— Młodzi, starzy?

Młodzi jeszcze oba. Jeden mi tu chorzał z tęsknoty, czy zamknięcia, a no odszedł.

— Cóż to za jedni mogli być, boć ja tu o wszystkich wiem, a takich dwu przypomnieć sobie nie mogę.

— Jam też nazwisk i imion nie był ciekawy. Zdało mi się, że braćmi chyba być musieli, gdyż się z sobą kochali bardzo.

— Na wolność ich puszczono? — zapytał ks. Pe-

trek, który był już pewien, że za nić chwycił i chciał dotrzeć do kłębka.

— Pewnie, pewnie — ja tam nie wiem, nie moja to rzecz, nie moja... — rzekł stary. — Nocą ich wyprowadzono ode mnie.

— Wczoraj?

— Tak jest — rzekł dobroduszny Ruprecht.

To mówiąc, ponieważ go już kędyś powoływano, pożegnał pokornie ks. protonotarjusza i pośpieszył zpowrotem.

Jeden z komorników znać widział go na rozmowie z ks. Petrkiem i uląkł się, aby go ten nie badał. Zaledwie stary podszedł ku niemu, zapytał, czy pisarz nie wyciągał go na rozmowy o więźniach. Zdziwiony niezmiernie, nie przyznał się winowajca do tego, co mówił z ks. Petrkiem, któremu nie dowierzano i lękano się go powszechnie.

Już pisarz, rad z pochwyconej wiadomości, miał powracać do swej celi, gdy go zaproszono, aby wstąpił spocząć. Trzeba było naprawić, co poczciwy popsuł starowina i zbić z tropu ks. Petrka. Dosyć zręcznie się do tego wzięto, niby z wypadku rozmowę zwróciwszy na dwu braci, zmyślonego nazwiska, którzy za życie rozwięzłe świeżo więzieniem i postem byli karani, a wczoraj wypuszczeni... po odbyciu pokuty.

Opowiadanie miało cechy wszelkiego prawdopodobieństwa i zachwiało nieco ks. protonotarjusza, lecz po rozmyśle uznał on to, czem było... podejściem tylko. Stał przy swojem.

Jakiś czas przebywszy na obojętnej rozmowie w tumie, powrócił ks. Petrek do swojej celi. Tu począł dopiero rozmyślać, jak miał postąpić, aby za trudy swe nagrodę osiągnąć.

Wszystko, co mogło królowi Bolesławowi przyczynić trosk, gniewu, niepokoju, pożądanem było dla skrytego sługi arcybiskupa mogunckiego i cesarza. Zasiać we dworze waśń, podejrzenie — usunąć pobożną królowę, którą za opiekunkę i orędowniczkę uważano, było celem dla ks. Petrka.

Opat Aron wyjechał był nazajutrz do jednego z podległych mu pomniejszych klasztorów, które naówczas zakładali możni. Spodziewano się powrotu króla. W czasie niebytności powiernika duchownego ks. Petrek miał dobrą zręczność docisnąć się do niego — i gdyby się udało — rzucić jakie ziarnko, coby kiełkowało w przyszłości.

Czekał więc niecierpliwie, ażeby król z Gniezna powrócił, a modlił się o to, aby opata z sobą nie przywiózł, lub, by go ten nie uprzedził do Poznania. Prośby te zostały wysłuchane; następnego wieczora król w licznym orszaku, weselszy, niż wyjechał, rad, że syna ulubionego zobaczy, stawił się na gród nad Cybiną.

Ciche dworce natychmiast nowem życiem zakipiały. Co żyło, ruszyło przeciw panu i na jego posługi. Rozjaśniły się lica — Bolesław powracał dobrej myśli...

Ks. Petrek już przez swoich wiedział, że w Gnieźnie była narada pańskiej drużyny, że godzili się na to wszyscy, iż król uroczyście koronowanym być powinien, że o koronę wszelkiemi sposobami, choćby ofiarą największą, starać się było potrzeba.

Wieczora tego król był tak otoczony i domownikami, i rodziną, i posłami, którzy tu nań czekali, iż się doń docisnąć było prawie niepodobieństwem.

Gdy król do dworca się zbliżał, złożyło się jakoś tak dziwnie, iż nim o przyjeździe dowiedziała się i wyjść mogła na spotkanie królowa Emnilda, już Oda miała wiadomość o powrocie króla, i pierwsza w przedsienie powitać go wybiegła.

Król się rozśmiał do niej, rzucając na nią ognistem wejrzeniem, bo namiętności swych, niestety — nigdy nie nawykł był hamować.

Wybiegnięcie to naprzeciw Bolesława wkraczało niejako w prawa królowej i mogło gniew jej, choć cichy, milczący, wywołać; więc margrafówna Oda, nie czekając, aż się pani ukaże, skinęła tylko królowi, dała mu znak jakiś i skryła się natychmiast. We dworze to postrzeżono jednakże i głowami potrząsano.

Król, gdy się ukazała Emnilda, niemniej ją z wiel-

ką czułością i poszanowaniem powitał. Oda kusiła go po szatańsku, a swawolnego i nawykłego chuciom puszczać cugle człowieka łatwo było jej pociągnąć — nie zmniejszało to jednak czci Bolesława dla niewiasty, którą i on, i duchowieństwo, i wszyscy za świętą niemal uważali. Korzył się przed nią i sromał król, a im czuł się winniejszym, tem powolniejszym okazywał się dla niej.

Ks. Petrek, czyhający na króla, dnia tego nie mógł doń dostąpić — nie było powodu, a prócz tego, nadziei, aby z nim sam na sam mówić miał zręczność.

Nazajutrz protonotarjusz z właściwą sobie zręcznością na oczy mu się nasunął — a gdy go pan dostrzegł, powitał go pokłonem do ziemi.

Zaczem już miał powód przybliżyć się, zagadnąć i próbować, azali król, stęskniony za opatem, zawsze rad duchownych chciwy — nie zażąda się z nim rozmówić.

Stało się nadspodziewanie dla księżyny szczęśliwie. Pan skinął na niego i poprowadził go za sobą do sypialni. Z bijącem sercem, skulony, szczęśliwy, szedł kroki cichemi za panem ks. pisarz. Gdy się w izbie sami znaleźli, bo komornikom król za progiem kazał pozostać — Bolesław począł od tęsknicy za opatem.

— Gdyby miłość wasza mi co do rozkazania miała — odezwał się ks. Petrek — choć tak wielkiego męża nie potrafię nigdy zastąpić i nie godzien jestem rozwiązać rzemyka jego... starałbym się...

— Słuchajno, mój ojcze — rzekł król — opat mnie straszy wielce grzechami mojemi... czy w istocie przepisy życia są tak srogie, aby za najmniejsze przestępstwo piekło zaraz otworem stało?

Ks. Petrek głowę w ramiona wnurzył, ręce rozłożył, milczał długo.

— Miłościwy panie! — rzekł. — Kościół zna słabości ludzkie i folguje szczególnym osobom, gdy ich położenie, krewkość, stosunki, — popełnione wykroczenia tłumaczą. Tym, na których ramiona włożone jest brzemię wielkie, więcej też odpuszcza prawo. Czczę

i padam na twarz przed wielką światłością i dobrotliwością mojego dobroczyńcy przewielebnego Arona — ale surowym jest on nad miarę, jak dla siebie, tak i dla drugich.

— Tak mi się zda — rzekł król.

Ks. Petrek, drżąc, czekał, ażeby Bolesław szczególny jakiś wypadek wymienił, z czemś mu się zwierzył — lecz do tego nie przyszło. Spytał tylko król niewyraźnie i niejasno o różnicę jakiegoś grzechu śmiertelnego od powszedniego i wysłuchał odpowiedzi bardzo umiejętnej ks. pisarza, który wprawdzie nie kłamał, bo mu na to nie dozwalało sumienie — lecz śmiertelnego grzechu rozgrzeszenie wskazał jako możliwe i naturalne.

Innych parę pytań zadawszy, zamyślił się król i zamilkł.

Ks. Petrek tymczasem umiał naprowadzić rozmowę na sprawy dworu. Wiedział, że król rad powieści słuchał o tem, co się u niego w domu działo. Począł ubolewać nad złośliwością ludzką, nad dziwnemi często baśniami, jakie sobie ludzie roili, i — dodał — o co mu szło najwięcej:

— Nie obeszło się i teraz, gdy miłość wasza tak sprawiedliwie skarcił zuchwałych i niewdzięcznych Jaksów... bez różnego o tej sprawie gadania.

Król chmurno spojrzał, lecz poczętej rzeczy wstrzymać już niepodobna było... Mówił więc dalej pisarz, króla oczyma badając:

— Po dworze chodzą najniedorzeczniejsze pogłoski, jakoby mimo rozkazu i wyroku pańskiego Jaksów czyjaś opieka ocalić miała... Wiadomo to wszystkim, iż młodszy z córką Sieciechową był zaswatany, więc jego, a nawet świętą, miłościwą panią naszą... posądzają o nieposłuszeństwo i bunt przeciw woli twej — panie!

Bolesław, słuchając, podniósł zdziwione oczy i wlepił je bacznie w mówiącego.

— Co ty mówisz? — zapytał, a gorzki, dziwny jakiś uśmiech przebiegł mu po ustach. — Co mówisz?

— Wiem, miłościwy panie, że tak nie jest i być nie może — bo któżby śmiał stanąć przeciwko twej woli wszechwładnej? Lecz oto, czem jest złość ludzka!!

Rzucając królowi tę wiadomość do serca, sądził ks. Petrek, iż zasieje nią nieufność, podejrzenie i gniew może, lecz z twarzy króla rozpoznać nawet nie umiał, co myślał i czuł.

Bolesław nie rzekł ani słowa, zwrócił mowę na opata i klasnąwszy na komorników, wprędce pisarza odprawił.

Wyszedł on drżący. Wiodło mu się, aż do ostatniej chwili szczęśliwie. Lękał się, aby teraz nie poślizgnęła się noga.

Skutek wiadomości zdał mu się chybiony — król ją lekceważył i nawet nie wziął do serca. Ks. pisarz odszedł wielce niespokojny, pocieszając się tem, że ziarno później może zacząć kiełkować.

IV.

Tyniec, którego opactwo pierwszy król Bolesław z Judytą węgierską, matką Bezpryma, założył i uposażył, starą był osadą i gródkiem. Podanie powiadało, iż nie jeden, ale trzy warowne zameczki stały tam niegdyś u brzegu Wisły. Okolica leśną była i choć o półtorej tylko mili od chrobackiej stolicy Krakowa odległą, spokojną tak, jak zakonne wymagało życie.

Jak w całej Europie naówczas, w Polsce zakonnicy św. Benedykta przynosili ze sobą światło. Od tych ognisk klasztornych, przy których pierwsze szkółki powstały, miało się ono zwolna po napół pogańskim jeszcze rozchodzić kraju.

Nie będziemy opisywali podróży Jaksów do Tyńca, która trwała dość długo, już dlatego, że miejsc wiele wymijać musieli i od oczów się chronić. Szczęściem udało im się uniknąć spotkania z ludźmi, coby poznać ich mogli. W lasach często słyszeli łowców, psy i uganiania się za zwierzem, ale bacznie się od nich chronili.

Wieśniaków, których wyminąć nie było podobna, obawiać się nie mieli powodu.

Podróż była męcząca, mróz i zawieje czyniły ją przykrą. Rozpalali wprawdzie ognie i klecili szałasy dla ogrzania się i spoczynku, lecz sukni z siebie nigdy zwlec nie mogli. Jeden z nich zawsze czuwać musiał, aby zaskoczeni nie byli. Nie obeszło się też bez błądzenia, które czasu dosyć kosztowało, nim się znowu znaleźli, gdzie było potrzeba. Gościńców naówczas kraj miał mało jeszcze; latem stały za nie rzeki i one najlepiej drogę wskazywały. Zimową porą instynktem, rozpytywaniem, ba i gwiazdami nawet kierować się musieli.

Żaden jednak wypadek groźniejszy przez cały przeciąg podróży się nie trafił. Jurga i Andruszka, oba myśliwi namiętni, kilka razy na widok zwierza nie wytrzymawszy, puścili się za nim; służył on im za strawę, bo jej kupować po osadach nie chcieli. Chleba trochę mieli w sakwach, a konie musieli karmić u cudzych stogów, gdy się u osadników nie dało owsa dostać.

Rumaki, zarówno, jak jeźdźcy, wytrzymałe, niewiele ucierpiały w podróży, lecz i one, i ich panowie tęsknili już ostatniego dnia za ogniskiem, ciepłym pokarmem, no i wypoczynkiem, i upatrywali, rychło się ten przyobiecany Tyniec ukaże...

Opat Aron dał im własną ręką zapisany zrzynek pergaminowy, pod pieczątką, swą, do zastępującego go ojca przeora. Wiele jednak na nim pisać nie mógł i nie chciał; zlecił więc Andruszce, by resztę ustnie opowiedział.

Chociaż mieli nadzieję dnia tego dobić się do klasztoru, noc ich raz jeszcze w lesie zaskoczyła, gdyż Kraków chcąc pominąć, gdzie się widzianymi być obawiali, nadto się daleko w gąszcz puścili. A że przybycie po nocy do nieznanego miejsca zdało się im nieprzystojnem, musieli szałas stawić i do dnia w nim czekać.

Mróz nocą wziął ostry, lecz niebo się wyjaśniło

nad podziw pięknie, i gdy z rana się do koni zerwali, nowy duch w nich wstąpił.

Zaledwie wyruszyli z noclegu, z wielkiem podziwieniem swojem, o staj kilkanaście z lasu się wydostawszy, na urwistem wzgórzu nad rzeką zamarzłą teraz, ujrzeli w ogrodzeniu budowle, a nad niemi wysoko krzyż, który im Tyniec zwiastował. Zdala słychać było odgłos klasztornego dzwonka. Słupy dymu podnosiły się nad dachami.

Z niewymowną pociechą w duszy, czując się ocalonymi, popędzili konie, by się rychlej dostać pod dach gościnny. Nie było trudności z przebyciem lodu, a dobra droga wyjeżdżona, którą widać drzewo z lasu zwożono, poprowadziła ich do bramy.

Była ona dosyć warowną wprawdzie, nie bez myśli o jakimś nieprzyjacielu, opatrzona częstokołami i ostrym zaborolem, lecz nie wyglądała pokaźnie. Na mur czasu jeszcze nie stało.

Przez te wrota wjechali na wewnętrzne podwórze, z którego furta druga prowadziła do właściwego klasztoru. Pozsiadali tu z koni i prowadząc je w rękach, podstąpili ku zawartym wrotkom. Te się jednak natychmiast otworzyły i stróż w odzieży ciemnej ciekawemi oczyma mierzył przybyłych. Był to bracisżek, który już trochę języka rozumiał i gdy mu Andruszka opowiedział, że są od opata posłani, a z przeorem mówić potrzebują, wnet od nich konie pobrano, a ich samych do forestorjum wpuszczono.

Gospoda ta dla obcych pustą była, ale gotową na ich przyjęcie. Ogień się palił na kominie, a z wielkiej tej izby widać było kilkoro drzwi, do osobnych cel prowadzących. Ogromny stół, na którym parę kuflów cynowych zapomniano, na ścianie wizerunek Chrystusa, ławy i parę stołów, podłoga matami wysłana... oto wszystko, co w gospodzie znaleźli.

Zaledwie do niej weszli, gdy ukazał się na progu młody nowicjusz czarno ubrany, z wesołą twarzą, oczyma ciemnemi i pełnemi ognia, rumiany, z wyrazem jakiegoś spokoju i szczęścia, którego Jaksowie dawno

już nie spotykali na ludzkich obliczach. Widocznie obowiązkiem jego musiało tu być gości przyjmować. Francuz rodem, nauczył się był jako tako języka i sam dobrodusznie śmiał się z własnej mowy.

Powitawszy Jaksów, spytał czyby głodni nie byli i zarazem oznajmił im, że przeor jest w chórze, i za chwilę, gdy się skończą modlitwy, przyjdzie do nich. Zajął się zaraz bardzo pilnie przybyłymi i z wielką troskliwością o drogę, o której niebardzo mówić mogli, rozpytywać począł.

Obowiązki gościnności zarazem i ciekawość poznania tego kraju, którego jeden widział tylko zakątek, pobudziły młodego kleryka do rozmowy, trudnej dla niego, a choć już wiele języka miejscowego się poduczył, brakło mu samemu wyrazów, a mowę Jaksów nie zawsze mógł zrozumieć. Lecz ze skromnością i pokorą dziwną, z łagodnością dziecięcia patrzał w oczy młodym gościom i usiłował odgadywać, co mówili.

Oba Jaksowie, jak na dziwne zjawisko patrzyli na tę postać zupełnie dla nich nową, w której młodość łączyła się z takiem pomiarkowaniem i rozumem. W rycerskim stanie szumiał ten wiek właśnie najgoręcej butą. Dziwiła ich także wesołość i wyraz spokoju w kleryku, którego stan wyobrażali sobie pełnym ostrych prób i nieustannych umartwień.

Kleryk Odon zabawiał ich, jak mógł i umiał, dopóki wreszcie nie zbliżył się czas wychodzenia z chóru. Z uśmiechem wymknął się co żywo, oznajmując im, że idzie o przybyciu ich opowiedzieć przeorowi. Niedługo też razem z klerykiem ukazał się ks. przeor w czarnej sukni i płaszczu, jakiego benedyktyni w chórze używali.

Był to niemłody już, ale czerstwy mężczyzna, pięknej postaci, w którego rysach malowało się to samo uspokojenie błogie, jakie ich na twarzy młodego chłopaka dziwiło. Było ono, jakby charakterem tej familji zakonnej, o czem się później przekonali. Ostre życie pokrywał ten wyraz wewnętrznej spokojności ducha i wesela.

Andruszka, pozdrowiwszy pocałowaniem ręki ojca Benedykta, oddał mu pergaminowy zwitek opata. Przeor odszedł z nim do okna i chwilę poczytawszy, klerykowi dał znak, żeby się oddalił. Z pisma wiedział, że się na osobności z przybyłymi rozmówić było potrzeba.

O. Benedykt, acz od lat już kilku żył w Tyńcu i z językiem się obył, równie trudno, jak kleryk, mógł nim mówić. Nie poszło więc łatwo porozumienie, chociaż bystry umysł się wielu okoliczności domyśleć potrafił. Zrozumiał przeor, że miał tu ukryć przysłanych, nie narażając ich na spotkanie z rycerstwem i osobami, do dworu króla należącemi; w kartce stało, iż dobrzeby było, jeśli nie obu, to zdolniejszego z nich próbować nauczyć jakiegoś języka, z którymby w podróż do Włoch wybrać się można. Jaksowie prosili, w obawie nie tak o siebie, jak o tych, co ich ocalili, by jak najmniej pokazywać się mogli i pozostali w ukryciu.

— Żadne wam tu niebezpieczeństwo nie zagraża — odezwał się przeor. — Zimą zwłaszcza do klasztoru mało kto uczęszcza z osób rycerskiego stanu. Dla niepoznaki moglibyście włożyć suknie nowicjuszów, ale i to nie jest potrzebnem. Gdyby ktoś do klasztoru przybył, zawsze się ukryć możecie i w celi waszej, którą wam przeznaczę, pozostać.

Natychmiast więc dał o. Benedykt młodemu klerykowi, powołanemu z sieni, rozkaz, ażeby się zajął umieszczeniem dwu braci. A że z życiem zakonnem obeznać i zastosować się doń musieli, kazał im pokazać klasztor i objaśnić, jak dzień tu był rozłożony.

Z wielką uprzejmością młody kleryk jął zaraz spełniać rozkazy, zabierając z sobą Jaksów naprzód do wyznaczonego im mieszkania.

Dla Jaksów znalazła się komnata czysta, z oknami ku Wiśle zwróconemi, w której nie brakło komina i miejsca na posłanie. Mieli też stół i ławy, a naówczas niczego już więcej nie potrzebowano. Zniesiono tu ich juki podróżne, i po długiej jeździe, w ciągu której ni razu się przebrać nie mogli, pierwszy raz przeodziali

się i z ciężkich kaftanów wyzwolili. Kleryk im we wszystkiem wesoło, po bratersku posługiwał, usiłując rozchmurzyć czoła i natchnąć dobrą myślą.

Kilka razy wchodził i wychodził, nim wpogotowiu byli, posiliwszy się tem, co im tu przyniósł do jedzenia, a co im się dziwnie smacznem wydało, tak byli wygłodzeni; naostatek zabrał ich ze sobą, ażeby, wedle rozkazu przeora, całą tę osadę klasztorną obejrzeć mogli.

Wszyscy, których tu spotykali, nawet do najcięższych posług użyci, mieli na sobie suknie zakonne, wszyscy też mieli te twarze jasne i uśmiechami ożywione, które tak Jaksów dziwiły. Mijając się, nie mówili nic, gdyż milczenie panowało wogóle w klasztorze całym, zdumiewające dla przybyszów, ale wejrzenia i oblicza zdawały się witać przyjaźnie.

Kleryk Odon, jak mógł i umiał, tłumaczył Jaksom to, co im pokazywał. Naprzód wprowadził ich do kościołka, który choć mały był naówczas, choć skromny, dosyć jednak ozdobnie wyglądał, dzięki szczodrobliwości króla i kunsztowi samych ojców. Tu pomodliwszy się przed wielkim ołtarzem, za którym był chór zakonny, i rzuciwszy okiem na dwa boczne, misternie złoceniami przyozdobione, wyszli naprzód do wielkiej wspólnej izby jadalnej. A trafili właśnie na chwilę, gdy całe zgromadzenie w milczeniu za długim stołem siedziało.

Na małem wywyższeniu młody kleryk w wieku Odona czytał coś z księgi w języku, Jaksom niezrozumiałym. Zakonnicy razem wszyscy zebrani byli, oprócz przeora, który miał miejsce osobne i siedzenie wywyższone, a na usługach jego stało dwu kleryków. Młodzież wdrażała się w ten sposób do karności i pokory. Na ścianie wizerunek Chrystusa i kilka innych mniejszych obrazów na złoconych deskach — zdobiły ciemną i niską jadalnię, widocznie tymczasowo skleconą.

Stąd szli do podobnej jej izby sypialnej, jeszcze uboższej, bo to, co się tu posłaniem zwało, ledwie na imię to zasłużyć mogło. Rzucona na deskę garść słomy,

suknem grubem pokryta, stanowiła łoże mnisze... Wielki komin w pośrodku ściany starczył na ogrzanie izby zimą.

Przechodząc potem długie chodniki i podsienia, z których drzwi do celi zakonników widać było, kleryk im kilka tych mieszkań pokazał. Niemal w każdem z nich znaleźli jakiś przybór i narzędzia rzemieślnicze, których użytku nie mogli odgadnąć, obok mnogich godeł religijnych widać było warsztaty, dłóta, siekiery, krawieckie nożyce i t. p. Nie było i jednego z ojców, coby nie miał zajęcia.

Brat Odon tłumaczył im z uniesieniem, jakie oni tu spokojne, szczęśliwe, niczem niezamącone życie prowadzą, dzieląc czas między modlitwą a różnemi robotami.

— Latem — dodał — wozimy, budujemy, sadzimy, siejemy, żniemy i gospodarujemy aż miło...

Pokazawszy im w głównym gmachu, co było najciekawszego do widzenia, z oczyma promieniejącemi nareszcie zapytał, czyliby i najpiękniejszej a najdroższej pracowni oglądać nie chcieli?

Obudziło to ich ciekawość i zdumieli się mocno, gdy spuszczeni do obszernej izby i światłej, nie dostrzegli w niej nic nad kilka polic drewnianych, zapełnionych czemś, co później okazało się — księgami, jakie oni tylko po kościołach widywali. Ogromny stół, w pośrodku kilku pulpitami opatrzony, zarzucony był kartami białemi, ze skóry wygładzonej i jasnej, na niektórych z nich widać było poczęte malowania i złocenia. Obok stały małe skorupki różnej barwy, pendzle i przyrządy do pisania. Kilka ksiąg dużych, które przepisywano, leżało także na stole.

Młody Odon z uwielbieniem spoglądał na tę pracę, której piękności rycerze wcale ocenić nie mogli. Złocone rysunki, niektóre figury Świętych wprawiały ich w podziwienie, lecz zakrytem było znaczenie tych skarbów dla nieświadomych pisma wojaków.

Wszystko to mieściło się w głównym gmachu kla-

sztornym, lecz otaczały go liczne zabudowania, które kleryk im z pewną chlubą chciał koniecznie pokazać.

Tuż obok była szkoła klasztorna, gdzie klerykom wykładano nauki wyższe, między któremi już matematyczne pisma Gerberta, jego Adacus i zabawna Rithomachia miejsce znalazły. Uczono pilnie muzyki, której wówczas wyższą daleko wagę nadawano, niż dzisiaj, wprawiano się w komput kościelny, bo ten niezbędnie każdemu duchownemu był potrzebnym.

Izba szkolna pustą stała o tej godzinie, ławy tylko i siedzenia nauczyciela, otoczone niemi, nadawały jej odrębny charakter.

Szkółka dla ubogich dzieci i sierot przychodzących, o które naówczas nie było łatwo, znajdowała się poza tynem klasztornym. Żaczkowie bowiem przynosili z sobą wewnątrz klauzury zbyt wiele wrzawy, która nabożeństwu częstokroć przeszkadzała.

Opodal od głównej budowy widać było młyny, żarna, piekarnie, kuchnie, drewutnie, wszystko w porządku największym i wszędzie czarne suknie mnisze, wesołe ich twarze, wszędzie uroczystą ciszę i ład dziwny.

Gdy tak, obszedłszy wszystko, nareszcie znaleźli się znowu Jaksowie w swej izbie, sami z sobą, a brat Odon pożegnał ich wesoło, obiecując i nadal służyć za tłumacza i pomocnika, długo nie przemówili słowa do siebie. Nie było napozór nic tak bardzo dziwnego w tem, co im tu pokazywano. Nieskończenie wspanialszy był dwór królewski, bogactw widzieli w życiu i na wojnie stokroć więcej, a przecież to, co tu oglądali, było dla nich nowem i zdumiewającem, jakgdyby świat jakiś nieznany odkryli.

Żaden z nich, choć często spotykali duchownych, nie widział dotąd klasztoru i nie znał życia jego. Dla nich wydawało się ono zdala karą okrutną i więzieniem nieznośnem, tu zaś spotykali ludzi, co, wedle wyrazów kleryka, nie tylko szli dobrowolnie, lecz gwałtem się wpraszali do rodziny i widocznie w niej i z nią szczęśliwi byli. Dla wojaków Bolesławowskich, młodych a butnych, nawykłych do niepomiernej, dzikiej

swobody, było to niepojętą zagadką. Żaden z nich drugiego nie śmiał zapytać o nią, badali się oczami.

— Ha! — odezwał się wreszcie Jurga, spozierając ku bratu — jeden Bóg wiedzieć to raczy, jak nam tu długo żyć przyjdzie... Ludzie jacyś dobrzy i przyjacielscy... a no... życie?

— Tsyt! lepsze, niż w ciemnościach na poznańskim tumie — odparł starszy. — Tobieby się bo chciało... Sieciechównę zabrawszy, w lasy gdzie ujść z nią i siedzieć po staremu między kuflem a polowaniem i wesołymi druhami, albo na wyprawę ruszyć... — Ale nierychło do tego przyjdzie...

— Cóż my tu z nimi robić będziemy? — spytał Jurga. — Jeść, pić i spać?... — albo z tym młodzieniaszkiem gawędzić?... Modlić się i spać znowu... Za płot w las nie wolno... do konia ani przystępu!...

— Przecież się nam opat jakiegoś języka uczyć kazał — przerwał Andruszka — a ja nie jestem przeciw temu... to się i na wojnie nieraz przydać może...

Zadumali się oba.

— Jak ci się zda? długo to potrwać może? — spytał Jurga.

— Zda mi się, że niekrótko — rzekł Andruszka. — Gdyby to niezbyt długo miało się ciągnąć, w Poznaniuby nas przetrzymali...

— Ale juści w las chyba na łowy czasem nam będzie wolno — dodał młodszy, któremu swoboda smakowała, i westchnął.

— Ja o to przeora nawet nie będę śmiać pytać — rzekł Andruszka. — O półtorej godziny od Krakowa, gdzie namiestnik królewski siedzi... a koło niego i ludzie się ode dwora kręcą... nużby nas kto poznał?...

Smutna ta rozmowa przeciągnęła się do wieczora. Z izby swej słuchali bracia, jak dzwoniono na modlitwy, słyszeli, jak szli na nie i wracali zakonnicy. Wieczorem przyniesiono im znowu posiłek skromny, ale dostatni, taki, jakiego używali mnisi sami, którzy mięsa czworonożnych zwierząt wcale nie jedli, dwoma daniami się ograniczali, lecz mieli oprócz tego chleb, miar-

kę wina i owoce latem. Tu piwo i miód zastępował kosztowny napój zachodni. Pochlebiali sobie wprawdzie benedyktyni, że klimat ostry zwycięzą i winnice zaprowadzić będą mogli, lecz szło to oporem i powoli.

Po wieczerzy Odon życzył im wypocząć po długiej i nużącej podróży i, pożartowawszy z nimi wesoło, zostawił samych.

Nazajutrz tenże miły przewodnik oznajmił im mszę świętą i zaprowadził do kościoła na ranną, zrozumiawszy to, że się z obcymi spotykać nie mieli. Po nabożeństwie zawezwał ich do przeora.

Miał czas o. Benedykt i w piśmie opata się rozczytać, i rozmyśleć lepiej, jak z braćmi postąpić.

Mieszkanie jego, do którego weszli, obszerniejsze, bo w niem dostojnych gości częstokroć musiał przyjmować, ozdobniejsze było od cel innych tylko większą ilością godeł religijnych i świętości... Stół zajmowały pargaminy i księgi, które się rozsyłały kościołom, sprzedawały biskupom i nowo fundującym klasztorom. Tak samo obrazki, naczynia, wyrabiane przez braci, kunsztami zatrudnionych, szły na podarki i zamiany.

Opat przyjął ich z uprzejmością, ale powagą ojcowską.

— Dzieci moje — rzekł, — widzieliście już wczoraj, że my tu wszyscy nie tylko usty, ale i rękami Boga chwalimy, robiąc każdy, co kto umie i może. Wyście stanu i rzemiosła wojennego ludzie... Co wy tu poczynać będziecie?... W bezczynności żyć, — sroga to kara, którejbym wam chciał oszczędzić...

— Ojcze przewielebny, — rzekł, uśmiechając się, Andruszka — my oprócz oszczepem i mieczem robić, a końmi toczyć nie umiemy bo nic, a uczyć się i za starzy jesteśmy... i...

— No... i ochoty pewno, jako rycerze, nie macie...— podchwycił przeor. — Na modlitwie, choćby ona zdrową dla duszy była, nie wytrwacie po dniach całych...

Patrzył na nich ciekawie, bracia stali z oczyma spuszczonemi.

— Języka się nam jakiegoś uczyć przykazał ks.

opat, ojciec i dobroczyńca nasz, — rzekł Jurga — bratu mojemu starszemu możeby to było za ciężko, jam gotów, byłębym kogo miał...

— Rzymskiej mowy potrzebaby wam, gdy pono do Rzymu iść za pokutę macie... — odezwał się przeor. — Chcecie więc?

— Słuchać musimy rozkazu opata — dodał Jurga.

Nie szło o czytanie i pisanie, których laików naówczas prawie nie uczono, a rycerze uważali je może za uwłaczające dla siebie, lecz o mowę samą. Do tej najlepszym nauczycielem wydał się kleryk Odon, którego już bracia na wstępie poznali i pokochali. Stanęło więc na tem, ażeby on w pewnych godzinach rozmową ich nauczać próbował praktycznie, co część dnia zająć mogło.

Andruszce chciało się bardzo wyjednać pozwolenie na łowy w lasach, do opactwa należących, lecz tego dnia wspomnieć jeszcze nie śmiał przeorowi o gorącem żądaniu.

W istocie żal mu było brata, a Jurga potajemnie to samo żądanie i myśl miał, przy danej sposobności rozrywkę tę wyjednać dla Andruszki. Odrazu w tak dobrych stosunkach byli z młodym klerykiem, iż oba się spodziewali z jego pomocą wyjednać pozwolenie.

Tymczasem zabawką było rozglądanie się w owem życiu klasztornem i chodzenie około koni, które tak cudownie ciężką podróż wytrzymały.

Kilka dni już upłynęło im w Tyńcu wśród ciszy i spokoju, gdy raz około południa usłyszeli gwar w podwórcach i Jurga, wybiegłszy do przedsienia, ujrzał przybywający orszak rycerski, wcale pokaźny, przeciw któremu sam przeor wyszedł na powitanie. Nie mając czasu rozpatrywać się w nim, Jurga natychmiast się cofnął przestraszony, oznajmując, bratu, aby krokiem za próg nie ruszał.

W chwilę potem wbiegł Odon z oznajmieniem, iż namiestnik królewski przybył z rozkazania królewskiego dowiedzieć się, czyby zakonnicy co do żądania nie mieli. Oba Jaksowie na dworze króla nie jeden wi-

dywali raz starego Belinę, który teraz w zamku wawelskim siedział. Ulękli się więc mocno, dopytując się, jaki poczet, jakich ludzi miał ze sobą, i czyby w klasztorze długo myślał zabawić? Odon o wszystkiem przyrzekł się dowiedzieć i oznajmić.

Ponieważ poczet Beliny był dosyć znaczny, przyjmowano ich wszystkich razem w refektarzu, gdzie się i kleryk mógł łatwo wcisnąć i co było dowiedzieć. Nierychło jednak powrócił i nie było go, aż znowu w podwórcu zatętniały konie, a cała owa drużyna namiestnicza nazad do Krakowa wybierać się poczęła.

— Nie mogłem odejść, miłościwi panowie — rzekł Odon, — wróciwszy, musiałem też być trochę tłumaczem, bo Belina ciekawą historję opowiadał, a o. przeor zdawał się nią bardzo zajęty. Pewnie ona i wam jest wiadomą... historja to dwóch nieszczęśliwych braci, dziwnie jakoś nazywających się, podobnie do greckiego bohatera Ajaksa. Ci bracia kupca na drodze złupili i zabili okrutnie, za co ich król na śmierć skazał. Mówią, że teraz sam wielce żałuje, bo byli rycerze mężni, a że rodzinę mieli możną i liczną, która się od dworu usunęła, stratę w tem król poniósł znaczną...

Gdy to mówił, Jurga i Andruszka strwożeni, oczy spuściwszy, siedzieli drżąc, aby Odon się w nich nie domyślił winowajców i serca do nich nie stracił.

Chociaż liczba braci i czas mogły łatwo na domysł ten wprowadzić Odona, nie zdało mu się wszakże, aby ci dobrzy rycerze, do których się przywiązał, takimi mogli być zbrodniarzami.

Z szczebiotliwością młodzieńczą Odon opowiedział im słyszaną z ust namiestnika historję, która już była doszła przez kogoś do Krakowa, o starym Tomku, co misą krwi króla miał w domu uraczyć, sam się z niego wyniósłszy i nie chcąc z nim być pod jednym dachem.

Jaksowie nie mogli się powstrzymać od gorącego wykrzyku i wzruszenia, które ich zdradzić mogło... lecz Odon znajdował to wrażenie naturalnem i wy-

szedł zaraz, upewniwszy ich, że się już mogą nie obawiać spotkania z kimkolwiek.

Po wyjściu kleryka Jurga i Andruszka poczęli się ściskać, pocieszeni nieco tem, że rodzina, co ich odpychała wprzódy, jednakże w ostatku do więzów krwi się poczuła i sprawę ich trzymała, choć już umarłymi ich sądziła.

Lecz, wdzięczni będąc Jaksom swym i powinowatym, oba doznawali uczucia, którego w nich trudno było się domyślać: żałowali króla!

Bolesław miał tę miłość u swoich wojaków, z którymi odbywał wyprawy, a nieraz u jednego legiwał ogniska, miłość niemal bałwochwalczą, której nawet zbytnia surowość zachwiać nie mogła. Andruszka mówił w więzieniu, iż w miejscu króla, takżeby Jaksę jednego na śmierć skazał. I on, i Jurga nie mieli żalu do swego pana, bo kochali go, jak przedtem, a teraz, dowiadując się, iż śmierć ich przyczyniła mu trosk i strat, gniewali się na siebie. Niewielu wodzów umie sobie tak jednać serca, a Bolesław należał właśnie do tych, co, obchodząc się często surowo, zawsze sprawiedliwie, obudzali zapał w wojakach i kochać się kazali.

Jaksowie litowali się w tej chwili więcej może nad królem, do którego, jak do ojca, byli przywiązani, niż nad własnym losem. Ledwie, że za złe nie mieli powinowatym, iż go odstępowali, a gdyby w tej chwili zasłyszeli o niebezpieczeństwie, grożącem Bolesławowi, ważyliby się pewnie, bodaj na śmierć, by go ratować.

Następnego dnia odwiedził ich przeor, z którego twarzy domyślili się tylko, iż miał dla nich życzliwe usposobienie. Być mogło, iż wczorajsze opowiadania o znaczeniu rodziny podniosły ich w oczach jego.

Jurga, śmielszy, skorzystał z tego dobrotliwego usposobienia o. Benedykta i wybiegł za odchodzącym w korytarz. Tu, powtórnie ucałowawszy rękę jego, odezwał się pocichu:

— A mój ojcze! mam do was prośbę wielką. Bóg widzi, nie dla mnie... o brata mi więcej idzie... Myśmy

tak do zamknięcia między czterema ścianami nie nawykli. Andruszka mi schnie, patrząc na lasy... Gdybyście pozwolili na łowy wybiec.

Prośba ta była tak naturalna ze strony wojaków naówczas, iż się jej przeor nie mógł zadziwić. Widywał on sam we Francji nie jednego opata nawet zagorzałym myśliwym. Uśmiechnął się więc łagodnie.

— Któżby wam tego bronił! — rzekł. — Lecz sami dobrze zważcie, na co się wystawiacie? W Krakowie gości dużo rycerzy, co was znać i poznać mogą. Ci niemal codzień wyjeżdżają w lasy, i zapuszczają się nieraz daleko... Jesteście pewni, że unikniecie spotkania?... a jeśli się zetkniecie z takimi ludźmi, co was poznają... już nie siebie, ale innych narazić możecie...

— A! ojcze przeorze! — zawołał Jurga — myć to na własnem sumieniu mamy, a o naszą skórę też idzie... Lasy szerokie... miejsca dosyć... ucho mamy bystre, konie rącze, ani się napaść znienacka, ani dognać nie damy...

— Cóż mam wam rzec? — odezwał się o. Benedykt — czyńcie, jako chcecie, a patrzcie, byście w nieszczęście nie wpadli...

Jurga jeszcze raz w rękę go pocałował i z twarzą uśmiechającą się do izby powrócił. Chwilę siedział naprzeciw brata u ognia.

— Hej, Andruszka — rzekł figlarnie, — co to tu za lasy dokoła! mnisi w nich nie polują!... co tu zwierza być musi!...

Lepiej o tem nie wspominać, kiedy nam tego kosztować nie wolno!... — odparł starszy smutnie.

— Hm... — zawołał Jurga — dlaczego niema być wolno?... konie stoją, oszczepy i łuki mamy, z rana się w las możemy wymknąć, ani nas kto spostrzeże...

— Nie kusiłbyś mnie, — odezwał się Andruszka — nie godzi się, przeorby się gniewał. Obiecaliśmy mu być posłuszni...

Wtem Jurga, dłużej powstrzymać nie mogąc, poskoczył doń.

— Przeor pozwolił!...

Zerwał się starszy, jakby tejże godziny chciał na koń siąść.

— Kłamiesz! — krzyknął — mów prawdę!

— Prawdem rzekł... — uderzając się w piersi ręką, odparł młodszy. — Przyznam ci się, prosiłem go. Wprawdzie dawał mi rady i przestrogi, ale drzwi nam nie zapiera...

— Jutro w las! jutro w las!... — klaszcząc w dłonie, począł wołać spragniony Andruszka.

I przez cały wieczór cieszyli się jak dzieci... ręce im drżały do oszczepów...

— W las! w las! — powtarzał jeden, to drugi.

I po pierwszej mszy pobiegli do stajni, a w chwilę potem już ich w klasztorze nie było.

V.

Ks. Petrek niespokojnie trochę czekał powrotu opata; król dziwnie jakoś lekceważąco przyjął jego doniesienie, lękał się więc, by ono skutków jakich kłopotliwych nie pociągnęło za sobą. Kość była rzucona, musiał już teraz popierać innemi środkami rozpoczętą sprawę; nie chciał sam pozostać z nią, — wspólników mu było potrzeba.

Nazajutrz więc, po widzeniu się z królem, które się milczeniem skończyło i nie zbliżyło go do niego, korzystając z wieczornego obchodu niewieściego dworu, wcześniej, niż zwykle, wcisnął się do margrafówny.

Znalazł ją zarumienioną mocno, niespokojną, na cichej rozmowie ze starą niewiastą, która się wciskała wszędzie, nawet do króla — i niezrozumiałem jakiemś na dworze trudniła się rzemiosłem. Zwano ją starą Panichą.

Nosiła ona na piersi ogromny krzyż cynowy, na znak widomy, że była ochrzczoną, siadywała dużo w kruchcie kościelnej, gniewała się, gdy ją posądzano o czary, zamawiania i praktyki bałwochwalcze, jednak leczyła różnemi tylko sobie znanemi ziołami, przy któ-

rych szepty i zażegnywania różne odprawiała. Ludzie się jej lękali.

Bojąc się, aby ją nie prześladowano o czarnoksięstwo, Panicha duchownym okazywała cześć nadzwyczajną, tak że na twarz padała przed nimi i kraj sukien ich całowała. W kościele jęczała i modliła się tak, aby ludzie słyszeli ją i widzieli. Mimo to wszystko, więcej się jej lękano, niż lubiono. Wcisnąć się umiała wszędzie, a czując, że obudzała pewną obawę, korzystała z tego, wyłudzając od każdego, co tylko mogła.

Młodsze jej życie mało znane było. Zdawiendawna wisiała przy dworze. Niegdyś pewnie piękną być musiała, dziś stara już, z włosami siwemi, ale białemi jeszcze zębami i oczyma przenikającemi, postawę miała zręczną, chód rześki i zdala wydawać się mogła młodą, choć twarz jej całą marszczki poryły.

Pokorna do zbytku, umiała być zuchwałą bez miary. We dworze nie było człowieka, któregoby tajemnic życia nie znała, wszystkich wad jego i słabości. Pomiędzy tumem a dworem pańskim snuła się bezustannie. Niekiedy nikła na dni kilka i wracała niepostrzeżona.

Do jednej królowej Emnildy nie miała przystępu; odprawiano ją tu datkiem; ani jej słuchać, ani przypuszczać do siebie nie dozwalała świątobliwa pani.

Chociaż wydawała się ubogą, chodziła obdarta, byli tacy, co przysięgali, że miała już niemały skarb uzbierany i gdzieś zakopany na rozdrożu.

Panicha chadzała do ks. Petrka, lecz ten obawiał się czarów, posądzał ją o nie i wstręt miał do niej, mimo że mu się nie narzucała.

Gdy wszedł do komnaty margrafówny, widocznem było, że żywa rozmowa się przerwała. Oda stała cała zarumieniona. Panicha u progu, zawinięta w płachty, ręką jeszcze coś wskazywać się zdawała, gdy ks. Petrek w progu się pokazał. Wnet stara ogarnęła się znowu, spuściła głowę; na widok księdza, pośpiesznie ku niemu podbiegłszy, upadła przed nim na ziemię, ręką uchwyciła brzeg sukni, ucałowała, a po-

tem obie dłonie ku niemu wzniosła. To uczyniwszy, podobnie pożegnała Odę i oddaliła się śpiesznie.

Na twarzy ks. Petrka to spotkanie widoczną odbiło się chmurą; długo się też nie odezwał słowa. Oda miała pałające oczy i twarz ożywioną, jakby jakąś nadzieją, z którą się nie śpieszyła zwierzyć pisarzowi.

— Co ona tu robi, ta czarownica? — szepnął ksiądz — po wszystkich kątach jej pełno...

— A! mój ojcze! To biedna, uboga żebraczka, która się wysługuje, jak może, dla kawałka chleba... a pobożną jest bardzo...

— A szatan od niej zdala cuchnie! — odezwał się ks. Petrek. — Wiedzą ludzie, co ona umie... Komu ona nieprzyjaciółką, temu się nic nie wiedzie... zna się ona ze złem...

— Ale nie! nie... — przebąknęła Oda.

Ksiądz zamilkł.

— Dobrzeby było jednak, abyście jej unikali — dokończył pisarz.

To mówiąc, przybliżył się ku pięknej margrafównie, która niespokojnie rękami coś na stole składała.

— Ja tu do waszej miłości — rzekł, zniżając głos— przychodzę w ważnej sprawie... w sprawie tak ważnej...

Oda rzuciła, co miała w ręku, i spojrzała nań oczyma chciwemi wieści.

— Nie ulega wątpliwości, — mówił pisarz — że nie wiem kto, ale najpewniej królowa z Sieciechem ocaliła Jaksów, przeciwko woli króla!... Tak! okłamano pana, sprzeciwiono mu się... wykradziono ich... Siedzieli ukryci w tumie; parę dni temu gdzieś ich do innej kryjówki uprowadzono...

Oda, słuchając, ręce ścisnęła blałe, a usta się jej uśmiechały złośliwie.

— Ja do tego doszedłem — mówił dalej Petrek, — a wam to oddaję, abyście wy z tego korzystali... Król już się pono zdrady domyśla... Kogo posądza? — nie wiem... Trzeba, abyście wy, miłościwa pani, donieśli mu o tem, gdy będzie można potajemnie... Lecz nie wyjawiajcie, skąd to wiecie... Niech król zapyta tylko

królowę, przysięgą... pobożna niewiasta fałszu nie powie... naówczas...

— Naówczas... sądzicie — spytała Oda, — że na królowę gniew jego spadnie?...

Ksiądz spojrzał na nią bystro.

— Miłościwy pan nasz jest w sile wieku... bez niewiasty on żyć nie może. Jeżeli inną pod tę porę umiłuje gorąco, będzie mu na rękę rozstać się z córką Dobromira.

Oda zarumieniła się nieco i poczęła mówić szybko:

— Król we mnie rozmiłowany... ja to wiem! Ale mnie mieć nie będzie, tylko, gdy da mi prawo z nim obok siąść na tronie... Inaczej nie... nie... nie! Wiem, że dla mnie wszystkie mu zbrzydły!

Rozśmiała się.

— Królowa wie to dobrze, radaby mnie dawno do ojca odprowadzić. We dworze mnie czernią, jakobym jeszcze w domu miała kochanka... Co mi tam!... Młoda i piękna jestem... niech mówią, co chcą... król się o to nie spyta... Zechce mnie mieć, musi przed ołtarz prowadzić...

Ksiądz słuchał, trochę oczy spuszczając.

— Wszystko to wiem... i wasza miłość wierzysz też, że ja, sługa wierny cesarza, życzę, aby się tak stało, jak chcecie... A kto do tego dąży, trzeba, by umiał drogi sobie znaleźć.

— Jakie drogi? Ja go oczyma trzymam na uwięzi, byle mi się nawinął... — poczęła Oda — królowa się krzywi, Ryksa głowę odwraca... nie dbam o to... śmieję mu się przy nich... Wczoraj, gdyśmy szły, zostałam ostatnia umyślnie. — Bolesław stał zboku... pochyliłam mu się tak, że mnie pocałował. Nie widział nikt...

— To wszystko nie pomoże — szepnął ks. Petrek— póki królowa... niech zostanie odprawioną do klasztoru... Jej tam lepiej będzie...

— A mnie na jej miejscu! — rozśmiała się Oda.

— Więc czyńcie, pomagajcie sobie, aby to miejsce otrzymać! — począł nagle ks. Petrek. — Powiedzcie

mu o Jaksach i o zdradzie królowej. Jeżeli to nie jej sprawa... ale któżby się ważył na nią?... no... to się oczyści...

Ks. Petrek dodał jeszcze kilka słów i szybko się oddalił.

Nadchodziła godzina wieczerzy. Dnia tego na dworze ludzi było wielu. Z dwunastu panów radnych Bolesława połowa z nim przybyła z Gniezna; byli posłowie różni, — był z Danji goniec do króla i z Rusi dwu kneziów, którym rad był, bo ich potrzebował.

We wszystkich izbach stoły pełno były obsadzone, czeladź z pochodniami stała u ścian, gwar wesoły panował we dworcu. Pomiędzy panem, gośćmi i czeladzią był związek jakiś żywy, tak, że ilekroć król milczącym był i pochmurnym, odbijało się to w otoczeniu; — gdy wiedziano, że rubaszne swe odzyskał usposobienie, śmiało się wszystko; Zyg chodził inaczej, pachołkowie i komornicy żywiej się obracali.

Początek wieczerzy poważniejszym był, siedziała u stołu królowa, opat Aron, dwu obcych duchownych, panowie radni, posłowie. O rycerskich sprawach, orężu i wojnie mówiono: który naród najdzielniejszy, jakie miecze najlepsze, jakie hełmy najtwardsze i jak w polu się ścigać najrozumniej. Król i jego wojewodowie mówili, przypominając własne dzieje, gdzie im się i jaka broń wysłużyła najskuteczniej. Duńczyk chwalił uzbrojenie swoich, inni niemieckie, tamci włoskie, a byli i tacy, co i węgierskie sławili.

Gdy tak rozprawiano, król, który rad pił i drugim nalewać kazał, wprędce się jeszcze bardziej rozochocił. Gdy duchowieństwo dla modlitwy odeszło od stołów, a królowa też ze starszemi się cofnęła, Bolesław młodszym niewiastom śpiewać i skakać kazał, dla zabawy oczów. Kubki chodziły gęste i śmiechy rozlegały się coraz głośniejsze, a białogłowy młodsze, rade wesołości, słuchały wyrazistych oświadczeń, których im nie szczędzono.

Oda nie chciała widzieć, gdy inne szły, wmieszała się do tanecznic i przodowała im. A miło na nią było

popatrzeć, gdy ciężki płaszcz rzuciwszy, w opiętej sukni popisywała się swą kształtną i rozkwitłą bujno postacią.

Król też z oczów jej nie spuszczał, a ona, choć się zdawała zajęta zabawą, ani się zbyt od niego nie oddalała, ani się dała drugim zasłonić. Stała ciągle na widoku.

Mieszko rozmawiał z Duńczykami, radni rozprawiali z posłami. Bolesław się zabawiał. Trwało to już długo, gdy ku margrafównie skinął; podeszła do niego w skokach.

— Radują się wam oczy! — zawołał. — Cóż, gdy tylko oczyma się wam radować można!

Oda z oczami podniesionemi do góry coś mówiła niezrozumiałego. Po chwili rzuciła odniechcenia:

— Albo to wina moja?

— A czyjaż? — spytał król.

— Oczów, co się radują same... i na tem im dosyć — odparła Oda.

Król się zadumał, patrząc na nią.

— Mnie bo was żal — poczęła, jakby korzystając ze zbliżenia się, margrafówna i z tego, że nikt się nie przysłuchiwał rozmowie — mnie bo was żal...

— Jeśli żałujecie, to pomiłujcie!... — rozśmiał się Bolesław rozochocony.

— Choćbym miłowała... cóż z tego — poczęła Oda. — Ja wolna... wy nie wolni...

Na to nie było odpowiedzi długo... popił Bolesław z kufla i wąsy otarł. Spojrzał na nią bystro i wyzywająco; odpowiedziała mu takim samym wzrokiem.

— Mnie bo was żal... — powtórzyła znowu — was tu nikt może tak, jak ja, nie miłuje, tak, jak ja, nie żałuje... a zdradzają wszyscy!...

— Wszyscy?! — zapytał Bolesław, śmiejąc się, wszyscy?

— Wszyscy... — powtórzyła margrafówna — jam śmiała... ja kłamać nie umiem... Co mi tam! Mogę jutro do ojca powrócić. Dawnoby czas... by i o mężu

pomyśleli dla mnie... Pogniewacie się na mnie... to odeślecie..

Z ciekawością król słuchał.

— Za cóż się ja mam gniewać?... — zapytał.

— Za to, co powiem.

Tu zniżyła się do ucha królowi.

— Królowa nawet was zdradza! Tak!... Skazaliście Jaksów na śmierć... ona sprawiła, że żyją...

Surowe spojrzenie Bolesława nie zmieszało ją.

— Ja wiem, że tak jest.

Sądziła Oda, iż twarz króla, która łatwo gniewem się okrywała purpurowym, zmieni się i nasroży, gotową była do wybuchu i pytań.

Lecz Bolesław wyciągnął rękę do próżnego kubka, uderzył nim w stół, co znaczyło, by go podczaszy napełnił, twarz mu się nie zasępiła, owszem uśmiech po niej się przesunął.

— A!... ty niemiecka dzierlatko!—rzekł. — Szpaczku ty, co tak szczebioczesz ładnie i żwawo, kto ci to takie baśnie przynosi?... Wy we wszystko wierzycie?

Oda stała zarumieniona.

— Wierzę prawdzie... cały dwór o tem już prawi— zawołała.

— A kto wam mówił o tem?

Oda zacięła usta, sama nie wiedziała, na kogo to złoży i czem się wytłumaczy.

— Mnie?... a niewiasty!... Tylko o tem na dworze prawią... A kto miał uczynić? — wiedzą wszyscy! Pobożna królowa... Myślicie — dodała — że ja, gdybym żoną była, uczyniłabym kiedy co przeciw pana woli? Ani dla rodzonego brata!!

Bolesław nie odpowiedział ani słowa.

Zwróciła się więc w inną stronę.

— Królowa... ja nie wiem.... a drudzy Sieciecha winią... Córkę miał za Jaksę zaswataną...

Białemi zębami roześmiał się król i ramionami ruszył.

— Co więcej?... Praw, sroczko różowa! Choćbyś nie do rzeczy paplała, zawsze cię słuchać miło. Hej! mło-

dość wionie od ciebie, jak na wiosnę od świeżych pączków brzeziny, gdy się rozwiną. Gdy przy mnie stoisz, zdaje mi się, że i mnie inne lata wracają. Praw... co chcesz... a zbliż się do ucha... wszystko ci wolno...

Uraziła się nieco Oda, choć słowa były pochlebne.

— Nie takam ja krótkowidząca, jak myślicie, miłościwy panie! — zawołała żywo.

— Krótkowidząca, łatwowierząca! — rozśmiał się król. — Wolno ci to, bo za to warkocz dziewiczy masz długi! Co mi u niewiasty po rozumie, kiedy krasy niema... U niej cały rozum w krasie, i póty rozumu, co młodości.

Oda stała nadąsana.

— Praw, praw! — mówił Bolesław. — A no i to wiedz, że komu ja rzekłem, iż umrzeć ma, ten umarły i pogrzebiony... a ktoby mi go z ręki chciał wydrzeć, pójdzie tam, skąd nie wracają... Moja wola i o tysiąc mil sięga... Rozumiesz to?

— Było to niegdyś, miłościwy panie... było — a dziś... tyś już ciężki, tyś głuchy, gdy nie chcesz słyszeć... i ślepy, gdy ci widzieć niemiło!!

Skinęła ręką i żywo odskoczyła, jakby odejść chciała. Król rad był ją powstrzymać, pierzchnęła. Zdało się jej, że naostatku trafiła mu w serce i strzała utkwiła...

A król siedział tak spokojny, jakby posłuchał piosenki i wnet się obrócił do tych, co o wojnie prawili, zagadując ich o zbroje i młoty.

Późno w noc ruszył się wreszcie Bolesław i dwór cały z nim, choć po izbach jeszcze niektórzy zostali u dzbanów, rozgadani.

Prowadzący króla pochodniami do sypialni doszli do jej drzwi tylko; tu postawiono straż, a dwaj komornicy i Sieciech tylko towarzyszyli Bolesławowi do łoża, na które rozebrany legł natychmiast.

Sieciech stary odchodzić miał, gdy król go znakiem, który zrozumiał, zatrzymał.

Często bardzo dawał mu na dzień następny rozka-

zy, czekał więc na nie sługa, ale Bolesław nie odezwał się, aż wyszli służebni.

Ręką skinął, aby się doń Sieciech przybliżył.

— Słuchaj ty, stary, — rzekł — co mi tu trutnie do uszu przynoszą, na królowę i na was, o tych nieszczęsnych Jaksach. Nie dośćem się z nimi namęczył póki żyli, nie dośćem ich śmierć odżałował, jeszcze z grobu mnie prześladują! Kto tu zmyśla baśni, że królowa i wy, dla córki waszej, z pod moich rąk ich wyrwaliście i żywicie! Kto to mówić śmie i powtarzać? Ja o tem dwakroć już słyszę, a nieradbym trzeci raz tej wieści!! Ogłoście mi po dworze, kto będzie śmiał się z tem nosić i o tem mówić... nie jak psu odszczekiwać mu każę pod ławą, ale jak psa go wyżenę lub ubić każę.

Sieciech słuchał zbladły i osłupiały; gdyby nie mrok w izbie, oświeconej tylko ogniem komina, którego blask do łoża nie sięgał, Bolesław poznałby był na twarzy sługi przerażenie i niemal przyznanie się do winy.

Starzec drżał, potrzebował zebrać myśli, nimby się zdobył na słowo.

Król mówić już przestał, czekał na odpowiedź; Sieciech stał oniemiały.

— Słyszycie i wy pewnie o tem? — dodał król. — Lub może wam w oczy nie śmiano tego rzec, boć was winią. Winią królowę! Bezecne języki jadowite, śmią na świętą porywać się niewiastę! Któraż już na świecie bezpieczną będzie, gdy ta nie jest poszanowaną, co nikomu, nigdy nie uczyniła zła, a tyle robiła dobrego?

To rzekłszy, król się kożuchem osłonił. Był to znak odejścia. Sieciech posunął się ku drzwiom, niepewnym krokiem, pełen jeszcze niepokoju i trwogi. W pierwszej chwili, wyszedłszy z komnaty, chciał natychmiast o radę biec do opata i z przestrogą do królowej — lecz północne koguty już piały, nie była pora.

Oprócz współbiesiadników króla — we dworze spało wszystko.

Starzec, który się nigdy do żadnych knowań nie mieszał, widział przecie jasno, co się tu działo, rozumiał więc dobrze, iż królowi donieść mogli tylko źli ludzie, co pobożną Emnildę zgubić pragnęli, a dla swych widoków, w jej miejscu młodą Odę postawić. Nie śmiał tylko badać króla, od kogo to miał, lecz z rozmowy cichej z margrafówną, na którą patrzał z ubocza, odgadywał, że ona to Bolesławowi przynieść musiała. Ona jedna.

— Któż drugi? Kto był ten skryty nieprzyjaciel — tego odgadnąć nie umiał.

Ze zwieszoną na piersi głową wysunął się Sieciech do mieszkania swego, nazajutrz zamierzając naprzód o tem uprzedzić opata, potem oznajmić królowej. Sen go też prawie do brzasku nie wziął, i gdy się ruszać dwór począł, wstał z łoża niespokojny.

Opat Aron odprawiał zwykle rano w tumie mszę świętą, tak, by później być na króla zawołanie. Tu naprzód pośpieszył stary, swoje obowiązki dworskie zwierzywszy następcy.

Opat modlił się już w zakrystji, gdy do niej wszedł Sieciech, na którego twarzy widać było pomieszanie. Sama jego niezwykła tu przytomność już opatowi dawała do myślenia. Lękał się, aby coś królowi się nie przytrafiło.

Wyszli wnet razem nie do izby, bo się ścian lękał stary, lecz na podwórze katedry. W krótkich słowach opowiedział Sieciech powód przybycia.

Opat Aron ręce załamał, — lecz gdy doszedł do końca powieści, uspokoił się znacznie.

— Król, dzięki Bogu — rzekł, — żadnej do tego nie przykłada wiary... lecz — kto i jak odkrył tak pilnie strzeżoną tajemnicę? Kto ją zdradził złośliwie?

O tem próżno myśleli oba, — odgadnąć było trudno.

Opat wrócił wnet do księży przy tumie, a ochmistrza nazad odprawił, by wcześnie i oględnie królowę ostrzegł.

Tu nie potrzebował śledzić długo, by dojść, że bied-

ny stróż dał się na słowo wyciągnąć ks. Petrkowi. W ten sposób wszystko się tłumaczyło.

Z tumu wprost ks. Aron poszedł do protonotarjusza. Znalazł go na modlitwie. Widzieliśmy, że był to człowiek, mimo swej zdrady, pobożny, bo nawet gorliwość religijna była dlań pobudką do niej...

— Mój ojcze! — odezwał się, wchodząc, gdy tamten modlitwę dokończył. — Możecie mi oddać usługę wielką. Zaniepokojono króla plotką nie do wiary o jakiemś ocaleniu i wykradzeniu Jaksów; król jest w wielkim gniewie na tych, co to wymyślili. Kazał Sieciechowi ogłosić we dworze, że jak psa ukarze tego, kto będzie śmiał powtarzać tę baśń. Nie słyszeliście wy o tem? Nie wiecie, kto może być jej sprawcą?

Ks. Petrek wybornie udał zadziwionego, przejętego i zaczął dopytywać, czy, uchowaj Boże, nie zaszkodziło to „świętej pani“ lub „czcigodnemu Sieciechowi“!

Uspokoił go opat odpowiedzią, że złośliwa baśń na to była stworzoną zapewne, aby pomiędzy królem a królową zasiać nieufność i obudzić niechęć, lecz wielki rozum i serce pańskie odgadło cel i tylko sprawca mógł ucierpieć na tem.

Ks. Petrek stał widocznie pomieszany, starając się niepokój ten pokryć troskliwością o świętą panią i czcigodnego starca. Nie wiedział, co począć, bo się lękał, aby król, na zapytanie Arona, nie wyjawił mu, że od niego to słyszał.

Przyznać się nie chciał i nie widział sposobu, którego właśnie szukał w głowie, aby z siebie winę kłamstwa i zatajenia zrzucić. Nie pozostawało mu nic innego, jak fałszem nowym obałamucić opata, w którego zaufanie dla siebie miał wiarę.

Po chwili namysłu i milczenia skłonił głowę i boleściwie ręce rozkładając, odezwał się cicho:

— Muszę się przyznać, że i mnie już o tem wieści doszły, iż królowi coś podobnego doniesiono. Ogarnęła mnie trwoga wielka, a że waszej przewielebności nie było naówczas, próbowałem sam umysł króla odwrócić od podejrzeń. Mówiłem z nim o tem.

— Jakże to przyjął? — zapytał chłodno opat.

— Z oburzeniem! — zawołał ks. Petrek.

Milczenie krótkie przerwało rozmowę; protonotarjuszowi brakło wyrazów, mieszał się widocznie, był nieswój. Przebiegły opat zdawał się tego nie widzieć i nie rozumieć.

— Jak sądzicie—zapytał,—kto mógł być sprawcą?

— Cóż ja o tem sądzić mogę! — z pokorą wielką począł pisarz — ja, który tu siedzę zamknięty, do niczego się nie mieszając, czas pędząc na modlitwie i pracy. Obcy jestem temu, co się tu dzieje — przypadkiem chyba jaka wieść mnie dolecić może... Wasza przewielebność znacie lepiej ludzi i sprawy, które jakby siecią opasują miłościwego pana naszego! Wszędzie złych pełno!

Podniósł oczy ku niebu i zamilkł.

Opat patrzał nań z rodzajem chłodnej ciekawości; po twarzy przebiegały mu jakby strumienie jakieś, wstrząsające jej rysami; hamował się jednak — Petrek był mu potrzebny.

Protonotarjusz miał czas uspokoić się nieco i ochłonąć.

— Mówmy więc o czem innem — siadając na krzesło u stołu, począł opat zwolna. — Nietajno to wam, miły bracie, że król korony od ojca świętego pragnął, jako potwierdzenia tytułu i wieńca, który od świętego przyjaciela swego, cesarza Ottona, otrzymał. Życzył sobie pan miłościwy wprost się udać do ojca świętego, aleśmy go przekonać zdołali, iż cesarza ominąć i bez jego woli nic się uczynić nie da. Drogi mamy do stolicy apostolskiej zamknięte. Cesarz wszechwładny jest, od granic naszych począwszy — do Rzymu; ani posłyby nie doszły do niego, ani powrócić do nas mogły z koroną...

Petrkowi oczy połyskiwały — głową potwierdzał w milczeniu. Nie spodziewał się takiego zwrotu i choć nie okazywał zdziwienia, w duszy wielce był zdumionym. Mówił sobie, słuchając.

— Zaprawdę, jeżeli pozwolenia cesarskiego czekać będziecie — poczekacie na nie długo!!

Opat ciągnął dalej.

— Cesarz właśnie na przyszłe święta Wielkanocne do Niemiec ma zjechać; potrzebujemy męża rozumnego, życzliwego, sprzyjającego królowi i jego sprawie, któryby na dwór arcybiskupi z tem jechał, i sprawę o koronę opiece jego powierzył... Padło oko królewskie i moje na was, mój ojcze...

Ks. Petrek spojrzał i drgnął.

Chlubno mu było zostać posłańcem króla, dogodnie mu się zdawało w ten sposób zapobiec, aby Bolesław upragnionej nie otrzymał korony; lecz zarazem niepokój go przejmował, kto tu w jego miejscu stanie na straży?

Pochylił nieco głowę z dziękczynieniem pokornem.

— Miłościwie nadto dla mizernego sługi waszego — odezwał się, słowa cedząc powoli — ani śmiem pochlebiać sobie, bym dostojeństwa był godzien i podołał wielkiemu celowi. Słabe ramiona, wątłe siły moje!

— Król was wysłać pragnie! — dodał opat. — Nie możecie się jego woli opierać. Dano wam będzie na podróż, co potrzeba, byście godnie przedstawiali u dworu wielkiego króla naszego... Wezwijcie w pomoc Ducha Świętego i sposóbcie się do drogi.

To mówiąc i wymówek nie słuchając, opat wstał; ks. Petrek milczał rad i zafrasowany razem. Odprowadził go do drzwi niepewien jeszcze, czy go spotkało szczęście, czy się gotowało niebezpieczeństwo.

— Lecz — odezwał się nieśmiało do odchodzącego już — któż mnie tu wam zastąpi, jeśliby pismo jakie sporządzać przyszło?

— O tej potrzebie wątpię — rzekł opat. — W pilnym razie ojciec Paweł wezwanym być może z Trzemeszna.

Opat szedł już dalej, gdy protonotarjusz, o drzwiach otwartych zapomniawszy, stał w nich jeszcze, rozmyślając nad sobą. Zwolna potem przymknął je, wraca-

jąc do izdebki. Stanął u ognia, zapatrzony w żar czerwony.

— Miałżeby opat być tak przebiegłym, by mnie chciał zwieść i okłamać? — rzekł w duchu. — On? mnie? miałżeby posądzać, chcieć się pozbyć?

Uśmiech mu skrzywił usta.

— Nie — nie może to być; odrzucić nie mogę poselstwa, będzie ono i mnie służyło...

Opat śpieszył już do króla, aby go schwycić wprzódy, nim wrzawa dworska go otoczy.

Bolesław, zobaczywszy ulubieńca swojego, pośpieszył go powitać ucałowaniem ręki... Na widok jego starszyzna, którą był przywołał dla narady, natychmiast się usunęła. Zostali sami.

— Miłościwy panie, — szepnął opat — ks. Petrka pozbyć nam się ze dworu potrzeba, inaczej to, co przedsiębierzemy dla otrzymania korony z Rzymu, nigdyby się nam nie powiodło. Ze swej celi ma on oko i ucho wytężone na wszystko... Dałem mu wiedzieć, że się już wcale u papieża, omijając cesarza Henryka, starać o nią nie myślimy. To ich uspokoi.

Wyprawiam protonotarjusza do cesarza... choć wiem dobrze, iż nam odmowną odpowiedź przyniesie. To nam da czas dróg innych próbować. Zbyć się go stąd na teraz jest nieuchronnem. Oznajmiłem już mu o podróży.

Król się uśmiechnął.

— Czyńcie, jako się wam zda najlepiej — rzekł — jam przy was, gdy o mądre chodzi sprawy, prostaczkiem; Petrek nam przydatny — ale z nim igramy jako z ogniem... który i strawę zgotować pomoże i strzechę zażec.

— A najlepiejby może było napisać na dwór cesarski do tych, co nam sprzyjają — dodał opat, — aby naszego posła tak gościnnie przyjmowano, by się rychło oddalić i wracać do nas nie mógł.

Opat głową znacząco potrząsł.

— Dla niepoznaki — rzekł wkońcu — miłość wa-

sza go obdarowanym odprawi i z pilnem zachęceniem do wiernej usługi, z obietnicą nagrody.

Bolesław, który oczy miał z poszanowaniem wlepione w mówiącego, był przy nim niemal pokornym i posłusznym. W tych sprawach czuł najlepiej wyższość jego.

— Uczynię, jak mi powiecie, — rzekł — lecz któż nam listy do Rzymu ułoży? Kto powiezie?

— Z Trzemeszna i Tyńca sprowadzimy wiernych ludzi — mówił opat — a ci tajemnicy nie zdradzą. Nie jedno, lecz trzy różnemi drogi wyślemy poselstwa do Rzymu, a daj Boże, aby choć jedno z nich dostało się do apostolskich progów i do nas wróciło. Wiedzą cesarscy dobrze, iż się o koronę staramy, nie złudzi ich to, iż się do Henryka udamy po nią! Na wszystkich gościńcach czatować będą, podróżnych chwytać i listów szukać, — na wszystkich drogach zabiegać.

Westchnął opat Aron.

— Kogóż wyślecie?.— zapytał król.

— Dobierzemy duchownych, dodamy im dzielnych rycerzy ku obronie — mówił opat.

— Stoigniew stary do jednego z poselstw zdatny — przerwał Bolesław.

— Znajdziemy i innych — dodał zamyślony opat Aron. — Zostaw mi to, miłościwy panie... rozmyślać i modlić się będę. Ani chcę. byście wiedzieli, co i jak uczynię, bym wam niepokoju nie przymnażał... Biorę to na barki moje, a Bóg miłościwy wesprzeć zechce sługę swojego.

VI.

Ranek był jakby dla łowów wybrany, i pod szczęśliwą wróżbą wyjechali za klasztorne wrota Jaksowie.

Niedawno trochę śniegu upadło — potem mokry śnieżek w wilgotną mgłę się zamienił, która do drzew i traw przyrosła mrozem... Każda gałązka, każde zdziebełko małe przystroiło się w białą, połyskującą szatę

i w niej to nawet, co dla oka pospolitych dni niewidzialnem było, stało się widocznem. Las zdawał się gęstszym, gałęzie obfitsze, a na ziemi, co pozostawiła jesień, odżyło w bieliźnie zimowej, jakby wskrzeszone do nowego pośmiertnego żywota.

Stały puszcze ciche, otwierające swe głębie — a nigdy może obu Jaksom nie wydały się tak cudownie pięknemi, jak teraz. Konie ich, teraz wypoczęte, rade swobodzie, prychały i szły lekko a raźno...

Rozglądali się po okolicy dobrze, aby napowrót znaleźć drogę. Własnemi ślady też mogli nazad dostać się do klasztoru.

W okolicy niespłoszonego zwierza obiecywało się dosyć — lecz na drobnego się nie myśleli porywać. Czuć było las stary jeleniami, kozami, może niedźwiedziem i dzikiem.

Andruszka i Jurga, jadąc, spoglądali, czy gdzie nie dojrzą tropu... Lecz lisie i zajęcze obojętne im były. Śpieszyli głębiej się w bór zapuścić, jakby powracali do domu. Czuli się w nim swojsko; wszystko, choć w okolicy nieznanej, zdało się im znajomem, przeczuwali niemal doliny, zakręty i gąszcze, które mieli spotykać.

Jechali cicho, czasem spoglądając na siebie i mówiąc oczyma.

— Jak nam tu dobrze!

— W klasztorze — odezwał się Andruszka — ludzie są mili i gościna uprzejma, niech im Bóg za schronienie płaci... lecz zawsze to więzienie!

— A ludzie ci w niem po dobrej woli żyją i Odon powiada, żeby swej celi na królewskie nie zamienił pałace.

— Święci są — dodał Andruszka — a no świętych trzeba, żeby wytrzymać z nimi. Straszne życie! każdego dnia wraca jednakowe... zawsze też same... Usnąć z nimi można...

— A oni weseli są i z twarzy ich widać, że szczęśliwi — rzekł Jurga.

— Inni to jacyś ludzie, — odparł starszy — chyba w sobie wojaczej krwi nie mają.

Gdy tak mówili, rozpatrując się po lesie, Jurga syknął, wskazując tropy świeże. Poznał w nich pisanie dzika, który powlekał leniwie nogami i śnieg pokreślił za sobą.

— Oni czytają z karty — rzekł Andruszka, śmiejąc się — a my lepiej zato od nich po ziemi... Jakbym dzika widział i miarębym jego dać gotów.

— Świeży ślad! — zawołał Jurga — dotrzyjmy!

Ruszyli śpieszniej, rozstępując się nieco, tak, aby tropy w pośrodek wziąć między siebie...

W kilku miejscach wałęsający się wieprz próbował ryć, ale zmarzłej ziemi nie naruszywszy, porzucił.

Oba Jaksowie, zapomniawszy już o wszystkiem, z oczyma wlepionemi w ślady zwierza, gorączkowo doganiać go zaczęli... Zdala widać było, jak kłodę ciężką, przysiadłego ogromnego odyńca, z najeżoną sierścią, z bielejącemi kłami, z ryjem olbrzymim. Ten nierychło zobaczywszy ich, ruszył szparko i, ryknąwszy krótko, począł uchodzić.

Zwierz był niezmiernego wzrostu, niezgrabny, ciężki, ale straszny siłą. Wpadł w zaspę śniegową, w której się ukrył prawie do grzbietu, i wyskoczył z niej na kłodę, przy której śnieg się nagromadził. Za tą chróst był i gąszcz powikłany, a z tej mu się dobyć znowu przychodziło z trudnością — gdy Andruszka dopadł go pierwszy i oszczepem żgnął po grzbiecie.

Uwiązł ci on w boku odyńca, lecz śmiertelnego nie zadał ciosu, Jurga z drugiej strony zabierał się go dokonać, gdy rozjuszone zwierzę koniowi jego kłami podcięło nogi przednie.

Koń i jeździec padli razem tuż obok wieprza, który paszczęką krwawą bronił się wściekle... Przytomności swej winien Jurga, że w tej chwili miecza dobywszy, uskoczył i z boku nim tak zręcznie uderzył, iż dzik, krwią żygnąwszy, padł, dogorywając.

Drogo to było okupione zwycięstwo, bo koń miał

nogi rozcięte, a jedna z nich na skórze się tylko trzymała.

Biedne zwierzę tarzało się, pasując z bólem i śmiercią, Jaksowie stali przerażeni wypadkiem...

Konia Jurdze żal było niemal, jak przyjaciela, ręce załamał nad nim. Wiedział, że go ocalić nie potrafi, i oszczędzając mu boleści, gardło poderznął przez litość.

Andruszka zsiadł ze swojego, który się żachał i rwał. Stali niemi nad swą nieszczęśliwą zwierzyną, nie wiedząc sami, co z nią poczną i z sobą.

Wprawdzie oddalenie od klasztoru nie było tak wielkie, ażeby się do niego pieszo nie można było dostać — lecz odyńca nie mogli zabrać z sobą. Końby go nie udźwignął, a im obu zaciągnąć byłoby ciężko. W klasztorze też, chyba dla obcych mógł się na co przydać odyniec, bo tu mięsa z czworonogich nie jadano.

Strata konia bolała obu okrutnie; Jurga czuł się winnym i wyrzucał ją sobie. Zajęli się tak mocno doznaną stratą i rozmyślaniem, co dalej robić mają, bo do klasztoru chyba powracać trzeba było natychmiast, a dzień im przeszedł cały — że ani słyszeli, ani spostrzegli, gdy tuż ku nim nadbiegł konno jeździec i stanął...

Nie widzieli go jeszcze, ale dwa psy bure już im się pod nogi do zwierza rzuciły. Z nich się dopiero domyśliwszy, iż ktoś zbliżyć się mógł i pochwycić ich tu znienacka, podnieśli oczy strwożone... Andruszka chciał uchodzić, ale brata zostawić nie mógł.

Jeździec, którego koń sapał i bokami robił, był im szczęściem nieznany; człek już niemłody, odziany dziwnie, wyglądał dziko i stanu jego odgadnąć było trudno.

Konia miał pod sobą, mierzyna grubego, okrytego zimową sierścią, grubą, najeżoną. Ponad nim widać było zgarbioną nieco silną budowę człowieka, okrytego kożuchem niedźwiedzim, włosem nawierzch włożonym. Na głowie czapka ze łba meszki, z białemi kłami, nadawała mu straszne oblicze, z pod niej długie

pasma włosów napół siwych i brodę na dwoje rozdzieloną, rozczochraną, policzki żółte i oczy czarne widać było. Uzbrojenie miał staroświeckie — ciężki topór, mieczyk mały, dzidę w ręku.

Zgarbiony trzymał się na mierzynie i, milcząc, spoglądał na dwu braci i leżącego konia i dzika. Z pod wąsów można było się domyśleć uśmiechu szyderskiego; z mową wcale nie śpieszył. Stał, jakby był w domu i jakby czekał, by go ci obcy pierwsi zagadnęli. Lecz oni najmniejszej do tego nie mieli ochoty.

Wreszcie nie pozdrowiwszy ich po chrześcijańsku, co ich uderzyło obu, stary zawołał:

— Droga zwierzyna! Skąd wy?

Andruszce się niebardzo odpowiadać chciało, ale był rad zbyć go.

— Byliśmy w gościnie u ojców na Tyńcu, pozwolili nam zapolować, a no łowy niesamowite...

Nieznajomy zmierzył oczyma obu, wspomnienie o ojcach i Tyńcu nie zdawało mu się do smaku.

— Pewnie królewscy jesteście ode dworu? — zapytał.

— Jesteśmy wojacy, nie dworacy — odparł Jurga.

Stary głową pokręcił.

— Co myślicie poczynać? — spytał.

— Wracać, jeden pieszo, drugi z koniem.

— A dzik?

— Możecie go sobie wziąć, jeśli chcecie — odezwał się Andruszka — nam się on na nic nie zdał.

— Naprawdę? — spytał stary. — Wieprz, co się zowie zdrów i wypasł się bodaj u mnie, rad mu będę. Ale ja darmo podarków nie biorę; niedaleko stąd moja dziura... spoczniecie u mnie. W klasztorze o smaku mięsa zapomnieliście, a i miodu oni sycić nie umieją, te czarowniki z za morza.

Ręką pogardliwie rzucił.

— Wracać bo nam trzeba — odezwał się Andruszka niespokojnie.

— Wrócicie wczas, drogę wam pokażę, — mówił stary — gościną ubogą gardzić się nie godzi.

I pomyślawszy, dodał:

— Może nie macie ochoty iść, nie wiedząc do kogo? Stary jestem człek, którego ojcowie niegdy cały ten kraj dokoła trzymali. Nasz on był. Dziś u nas nikt nic nie ma, król jeden wszystko... Nowa wiara, pany nowe, jam starych lat człowiek i żebrak... Została mi zagroda i prawo do łowów. Resztę mnichom dano... zabiorą oni tu dokoła, co zechcą. Któż to panem, jeśli nie oni? Król ich pierwszy sługa.

Zdumiony Jurga wtrącił.

— Nie jesteście chyba chrześcijaninem?

— Albo ja się ciebie pytam — odparł dumnie stary, — z jakim ty trzymasz Bogiem?

Zamilkł nieco.

— Chcecie do Starżowej skały — rzekł po chwili — to dobrze... nie... to niech dzik gnije, a wy bywajcie zdrowi, ale... po staremu... gościną się gardzić nie godzi.

Spojrzeli po sobie bracia. Niebezpieczeństwo im u tego człowieka, co się dziczył na króla i na nowe sprawy, nie groziło żadne... ciekawość brała. Skinęli ku sobie. Andruszka, dziękując, głowę skłonił.

Stary małego, prostego rożka dobył z za odzieży i dwa razy krótko się odezwał. Stali czekając, gdy z gąszczy nadbiegło dwóch ludzi z oszczepami. Głowy mieli postrzyżone, choć odrosłe i widać w nich było albo niewolników, lub parobięta. Powrozy mieli na plecach, oszczepy w rękach, odkryte włosy bez czapek.

Stary im pokazał dzika ręką, a sam, nie mówiąc nic, ruszył, Jurga na konia brata skoczył ztyłu, siedzenie swe zabrawszy na plecy.

Nie mówiąc słowa, prowadził ich z sobą stary Domosul Starża. Nie słyszeli o nim dotąd w klasztorze, a człek był z buty, uporu i dzikości znany. Przez nie on włości potracił, a nie chcąc się ochrzcić, zupełnie od ludzi odłączył. Mieszkowi i Bolesławowi wypowiedział posłuszeństwo, ziemie sobie dał pozabierać i przez litość tylko do żywota go zostawiono na starym gródku, nie broniąc mu łowów i na jego sprawy patrząc

przez szpary. Szanowano w nim krew starą władyków dawnych na tej ziemi, dawano mu dożywać w tem, co on swoją dziurą nazywał.

Lasem jadąc, poczęli się spinać na górę, u której wierzchu widać było okop stary i tyny mocne. Wrota z bierwion ogromnych same wyglądały, jak ściana jakiegoś gmachu. Z poza nich i wału nic widać nie było.

Gdy u nich stanęli, dzidą uderzył trzykroć Domosul i szeroka furta się otworzyła, za którą wąski most na wysokich stał palach. Za nim w podwórcu jakieś nędzne szopy z chróstu i ladajakie klecie widać było, że litość brała nad tym, co w nich mieszkać musiał. W pośrodku trochę pokaźniejszy dworek z przedsieniem na słupkach zdawał się być Domosulowym.

Tu też on stanął, a wnet postrzyżone parobki, podobne tym, których w lesie widzieli, przybiegły konie zabrać do szopy.

Nic nie mówiąc, Domosul wszedł do dworu, pełnego niewiast, ubogo w szare płótno poprzybieranych. Była to służba pańska, gdyż rodziny nie miał.

W izbie, do której wprowadził gości, panował taki nieład, dym, tyle śmiecia walało się po kątach, iż w niej nawet nie było gdzie posadzić gości.

Przeprowadziwszy przez nią, gospodarz, nie mówiąc nic, przodował dalej przez komorę najlepszą, z której poczęli iść jakiemś podniesieniem na słupach podpartem, które się w przeciwną góry stronę zniżało i schodziło; gdzie? dostrzec nie mogli.

Otwarł drzwi Domosul i, spojrzawszy na Jaksów, rzekł:

— Idźcie za mną; do starej jamy dojdziemy... zobaczycie starą jamę, kędy lwy spoczywały...

Odwrócił się i wiódł ich dalej za sobą.

Z podniesienia zstępowali, jakby do lochu, w górze wykutego, w którego ścianie z jednej strony porobione były otwory, przepuszczające światło.

Schodzili ciągle w dół. Domosul drugie drzwi popchnął i znaleźli się w izbie napół skale, pół w twardej ziemi czysto i pięknie wykutej. Gdzieś wysoko ro-

snące drzewa korzeniami poprzechodziły aż do podziemia i sploty ich znajdowały się u sklepienia, jakby umyślnie dla ozdoby poczepiane. Z okopcenia ścian i wytarcia znać było, że nie od dziś tu ludzie mieszkali. Z izby wielkiej, w której też kilka otworów światło dawało, drzwi z ziemi wiodły do innych znać mieszkań i kryjówek podziemnych. Ponad niemi w wyżłobieniach z niemałem zdziwieniem ujrzeli Jaksowie stojące nieforemne bałwanki z drzewa, z ponasadzanemi w oczach, u pasów i na głowach kamykami. Przy jednej ze ścian było kamieniami obłożone ognisko, na którem olbrzymie dwie suche gorzały kłody, a dym wymykał się otworem, który ponad grzbiet góry wychodził.

Wszystko tu było osobliwe i dziwne, jak gospodarz tego domu. Mnóstwo skór uścielało ziemię, do ścian poprzybijane były rogi jelenie, kozłów i łosiów, na nich wisiały odzieże, futra, opony stare, broń odwieczna. Stół dębowy stał w pośrodku na pniach, wkopanych w ziemię. Zamiast ław były kute siedzenia dokoła, kożuchami pookrywane.

Domosul, wprowadziwszy ich tu, słowa nie mówiąc, zwrócony ku nim, rękami obiema powitał.

— Dziwujecie się może! — odezwał się, spoglądając na nich — a no, stare dworzysko spaliło mi się, więcem wciągnął do jamy, kędy praszczury nasze siedziały. I dobrze mi tu... ciepło i cicho...

W istocie mimo mrozu na dworze, w podziemiu czuć było aż do zbytku ogień, który je ogrzewał. Otwory pozatykane błonami sosnowemi, tak cienkiemi, że żółtawe światełko przez nie wchodziło.

Zaraz za gospodarzem wbiegło dwoje pacholąt bosych, w kożuszkach, a tym kazano, aby wnet jedzenie było.

Siedli, rozpatrując się, Jaksowie; Domosul przypadł też napół na skórach.

Oręż, który wisiał na ścianach, mógł ciekawość obudzić, bo podobnego już za Bolesława nie oglądano. Były tam jeszcze miedziane miecze z rękojeściami ma-

łemi i tarcze stare, porąbane w bitwach zapomnianych, — kolce, wężownice i siekiery bojowe, poosadzane na potężnych drągach; niektóre z nich złoty drut oplatał.

Domosul zrzucił z siebie ciężkie okrycie i stanął przed nimi w kaftanie skórzanym, w którym zwykle doma chadzał.

Wkrótce też chłopaki i stare gospodynie poczęły znosić misy z niewytwornem jadłem, na dawny sposób zprosta przyrządzonem, kaszą, mięsem pieczonem i warzonem, z kubkami miodów i piwa domowego.

Stół pokryto grubym ręcznikiem szarym. Gospodarz zasiadł swe miejsce i gości do mis zaprosił.

Jurdze się jednak jeść odechciało, tak mu straconego konia srogi żal było. Biedził się niepomiernie. A dzień to był już nieszczęśliwy jakiś, bo ledwie do stołu zasiedli, gdy zdala hałas jakiś usłyszeli. Jaksom się zdawało, przyjmując zaprosiny starego Domosula, iż w tem pustkowiu spotkać się z nikim nie było niebezpieczeństwa.

Gospodarz ucha niecierpliwie nastawił; goście spojrzeli po sobie. Nie było co już się taić, iż wszelki obcy przybyły mógł dla nich być zdrajcą. Odezwał się więc Andruszka.

— Miły panie, słychać jakąś wrzawę. Mieliżbyście spodziewać się gości?...

Domosul głową potrząsł, jakby nie był pewien sam.

— Muszę wam wyznać — dodał żywo Andruszka— iż uchowaj Boże, kto z królewskiego dworu nas zobaczy, zgubieni być możemy...

Stary, zmarszczywszy brwi, popatrzał na nich ciekawie.

— Z mojej jamy zdradzie wyjść nie dam — odparł — bądźcie spokojni... U mnie nie gości nikt nigdy, krom jednego synowca, Jaśka z Tęczyna, któryby mnie chciał na swoją wiarę nawrócić i wyrwać z mojego spokojnego grodziska.

— Ale Jaśko z Tęczyna zna nas! — zawołał, zry-

wając się, Jurga. — Jeśli on istotnie jest, uciekać trzeba...

Domosul spojrzał na nich, coraz mocniej zdziwiony.

— Nie pytałem was, coście za jedni... — rzekł — gość gościem. Zrobiliście co przeciw królowi? Tem więcej was bronić i osłaniać będę... bo go nie cierpię!...

Szmer, stąpanie i rozmowa się zbliżały. Domosul się zamyślił chwilę i ręką im wskazał na boczne wnijście do drugiej izby.

Andruszka i Jurga, zerwawszy się od stołu, pobiegli się ukryć w niej. Domosul został w miejscu.

Otwarły się drzwi i, schylając się, szedł mężczyzna słusznej urody, pięknej twarzy, odziany starannie i bogato. Wesoło w progu Domosula pozdrowił, oczyma rzucając po izbie. Stary, nie wstając i mięsa, które trzymał w ręku, nie rzuciwszy, odwrócił głowę nachmurzoną.

— Czołem stryjowi! — odezwał się wchodzący — czołem... No... ale cóż to? Przerwałem, widzę, posiłek. Mówili mi, że macie gości. Nie widzę ich! Cóż się z nimi stało?

Domosul kość ogryzał i wysysał spokojnie.

— Tobie co do moich gości? — spytał.

Stanął, głową pokręcając, Jaśko.

— Przeciem nie potwora jaka, aby ludzie ode mnie uciekali... — rzekł. — Cóż to jest?

— Co ci do moich gości? — powtórzył Domosul — hę?

Oręż i odzież zwierzchnia, którą Jaksowie zrzucili, leżały na widoku. Jaśko na nie oczyma rzucił ciekawemi i uśmiechnął się.

— Widzę, żeście mi nieradzi — rzekł, wzdychając.

— Za co ja wam rad być mam? — odparł Domosul, do stołu i jadła nawet nie prosząc. — Ja inny człek, niż wy, choć krew w nas jedna... Wy ludzie nowi, jam dzik stary. Albo ja wam przeszkadzam panu pokłony bić i nowemu Bogu? Albo co od was potrzebuję?... Dajcież staremu zdechnąć w spokoju...

Moja nędza mi nie ciężka, a waszych skarbów wam nie zazdroszczę...

Przybyły Jaśko przybliżył się do stołu, sparł na nim i widocznie oczyma szukał, gdzie mu się skryli goście, których łyżki drewniane przy misie zdradzały.

— Zaprawdę — dodał po chwili — sroga to dla mnie obraza, że się ludzie chowają, lub wy ich chowacie przede mną!... Więcbyście się wy dla nich, lub dla siebie lękali czego i myśleli, że Jaśko z Tęczyna, bratanek wasz, zdradzić może?

— Hej! hej! — mruknął stary, jedząc ciągle — kto nie chce się sparzyć, ten w ogień palca nie kładzie...

Rzucił się trochę gniewnie przybyły.

— Jesteście dla mnie we własnym domu niełaskawi — rzekł. — Nicem ja wam nie zawinił, chybać tem, że się o was troszczę, gdy wy nas i mnie znać nie chcecie...

— A no... nie chcę — rzekł Domosul krótko, ciągle bardzo spokojnie chodząc około misy.

— Krwi się swej odpychać tak i wyrzekać nie godzi! — stęknął Jaśko.

— Kiedy ta krew się własnego starego obyczaju wyparła — mruknął Domosul — i do wrogów przystała!

— Do jakich wrogów! — wybuchnął Jaśko. — Możecie króla naszego, wielkiego bohatera, wrogiem nazywać?

— Wrogiem go zwę!... — potwierdził Domosul — nie tylko moim, ale i wszystkich, którym ta ziemia miła. Co ojciec jego rozpoczął, on dokonał... Oddali nas w ręce Niemców...

— A któż kiedy szczęśliwiej z Niemcami wojował nad Bolesława? — począł gorąco Jaśko. — A komużeśmy to winni, że nas sąsiedzi szanują i drżą przed nami?...

Domosul drgnął tylko.

— Czekajcie końca — zawołał, — czekajcie końca!

Jaśko wzruszony począł się przechadzać po izbie, mrucząc. Parę razy przesunął się około drzwi, za któ-

remi stali Jaksowie, wpatrując się w nie, jakgdyby czuł, że za niemi są ukryci. Stanął przy nich na chwilę, a że izdebka była mała, uchem myśliwca i wojaka oddech ich może usłyszał i uśmiech mu przebiegł po ustach.

Domosul obejrzał się trochę niespokojnie, gdzie stał bratanek jego, który ruch ten spostrzegł. Jaśko jednak nie ustąpił.

— Tameście waszych gości zakryli przede mną? — rzekł, ręką na drzwi wskazując. — Cóż to, chyba zbóje są i mordercy jacy, że się oczów czystego człowieka obawiają.

Jaksowie słyszeli te wyrazy, wymówione tuż blisko, i zakipiało w obu. Jurga byłby może wyskoczył z kryjówki, gdyby go Andruszka nie wstrzymał gwałtem.

Domosul nie odpowiedział nic.

— Nie za kogo innego mam gości waszych, jeno za ludzi bez czci i wiary, gdy się ukrywać potrzebują przed Jaśkiem z Tęczyna.

Tych wyrazów domawiał, gdy Jurga wyrwał się i stanął przed nim.

Na widok człowieka, o którego śmierci był przekonanym, bo o niej szeroko głoszono wszędzie, cofnął się Jaśko oniemiały i przestraszony, jakby widmo z grobu wstające ujrzał.

Andruszka nie został za bratem; w milczeniu wyszli oba dumnie, słowa nie mówiąc, groźnie wpatrzyli się w przerażonego gościa.

— Jaśku z Tęczyna, — odezwał się Andruszka — jeżeliśmy się kryli przed tobą, to nie dla własnego bezpieczeństwa... Winniśmy życie ludziom litościwym, co nas ocalili bez wiedzy króla... czynimy to dla nich, iż się nie pokazujemy... Chcieliście nas widzieć, macie... ale wiedzcie to, że jeżeli nam nie dacie słowa i przysięgi, że nie wydacie nas... życie wam wziąć musimy...

— Jaśko stał jeszcze, nie mogąc przyjść do siebie z wielkiego zdumienia. Patrzał i oczom swym nie wierzył, słuchał i nie wiedział, co trzymać o tych dwu nie-

boszczykach. Pojąć mu było trudno, by króla oszukać ktoś śmiał dla ich ocalenia. Znał on Bolesława.

— Za Andruszą Jurga powtórzył:

— Słowo nam dajcie... lub...

— Nie potrzebujecie mi grozić...—zawołał Jaśko.— Nie jestem królewskim dziesiętnikiem i pachołkiem, ale wojakiem, jak wy... Biliśmy się nie jeden raz obok siebie. Cieszę się, żeście ocaleli, a zdradzać was, niech mnie Bóg broni wszechmogący!

Innego słowa nie potrzebowali Jaksowie i wnet się z nim ściskać zaczęli. Zatem, choć Domosul, sam jedząc, za stół nie prosił synowca, siedli wszyscy do mis.

Jaśkowi pilno było się dowiedzieć o cudownej przygodzie braci. Lecz zaledwie dopytywać zaczął, gdy Andruszka przerwał:

— Nie badajcie nas... nie możemy mówić nic nad to, iż nas widzicie przy życiu... Tajemnica to nie nasza.

— Lecz cóż myślicie z sobą? — odezwał się Jaśko. — Uchodzicie do Ugrów, czy do Czech? Do nieprzyjaciela kraju?

— Nie — rzekł Jurga. — Kryjemy się, czekając szczęśliwszej godziny, a do obcych nie myślimy iść... lecz dzisiejszy dzień nauczyćby nas winien, jak się to schować od oczów ludzkich trudno i jak borsuka z jamy można słowem wykurzyć.

— Jeżeli w tej okolicy myślicie się ukrywać — dodał Jaśko — ja wam też w Tęczynie chętnie ofiaruję gospodę...

— Za serce dobre niech Bóg płaci — rzekł Andruszka. — Ano nie godzi się nam włóczyć po świecie. Przed wami wyznać możemy, żeśmy gośćmi na Tyńcu. Wyprosiliśmy się na łowy... Konia Jurdze raniony dzik podciął... i tuśmy się na chwilę schronili... ale do klasztoru powracać trzeba. U was też z Krakowa rycerstwo gości często i skryćby się było niepodobna.

— Kąt juściby się znalazł — odparł Jaśko — ale nie chcę gwałtu wam zadawać!... Tylko mi na jedno pozwolicie, abym z pod jeźdźca którego mojego najlep-

szego konia wziął i Jurdze dał za zabitego. Pieszego mi żal.

Nie wymawiał się od ofiary Jaksa.

— A myślicie — przerwał Domosul, — że u mnie już konia zapaśnego niema? Jam tu przecie pierwszy, zdaje mi się. Ubogi jestem, prawda, pozabierali mi królowie wasi, com miał nie od nich, ale od ojców naszych... tyle jednak zostało, że się jeszcze pieszaka ma na co wsadzić.

Wszczęła się tedy rozmowa żywsza. Jaksowie, choć niedawno przybyli, ciekawymi byli dowiedzieć się, co się na świecie święciło, co w Krakowie o nich i o królu mówiono... i czy o wojnie słychać nie było.

Wzdychali do niej wszyscy, a choć Jaksom iść na nią nie byłoby dozwolonem, dowiedzieć się o niej pragnęli przynajmniej.

Jaśko, który był, jak oni, nawykły do wypraw, westchnął, usłyszawszy o wojnie.

— Już nie wiem, kiedy jej doczekamy — odezwał się. — Król ociężał, obsiadły go niewiasty, otoczyli go ludzie nierycerscy. Chciałby Niemcom się przyczaić, aby, jak mówią, koronę od nich dostać i na głowę syna ją włożyć... Mieszko żołnierz mężny... a no... ojca nie dorósł i nie dojdzie mu nigdy do pasa...

Potrząsnął głową.

— Jam prosty człek — odezwał się Domosul, — jam dziki zwierz, co siedzi w swej jamie i światła nie widzi... prawda? tak wy o mnie trzymacie? Ale starym, gdy słabnie wzrok, bogowie dają widzenie inne, co ściany przebija... Wszystko to, co oni zbudowali, w proch się rozsypie! Niemców myślą Piastowicze pożyć chytrością, przebierają się w ich odzież i przyjmują obyczaj... Zdaje się Bolkowi, że węża oszuka, że jaszczurkę podejdzie!... Ja nie wiem nic... słyszę, co gadają ludzie.

Bolko chytreńko kłania się cesarzowi i popija miód, pewny, że podlazłszy mu pod bok, nogę podstawi... a ślepi... jak ci, których pooślepiał. Nie widzi nic! Naprowadził księży niemieckich, którym ręce całuje, ci

za to cesarzowi donoszą jego najtajniejsze myśli. Synowa Niemka, Niemek pełen dwór... Nie powie słowa, nie poduma, czegoby Niemcy nie wiedzieli. Dadzą mu pokój... do czasu, potem sypną się i podpiłowane słupy strząsną tylko, a dach na ziemię poleci.

Mówił jakby sam do siebie Domosul.

— Ochrzcił naród cały — ciągnął dalej, śmiejąc się,—kłaniają się wszyscy przed krzyżem ze strachu... A no pójdźcie na Kupałę w lasy, zajrzyjcie do chat, jaki tam Bóg panem... Tam czekają tylko na to, aby do starego powrócić! Wy i król widzicie tylko, co macie przed sobą. Spytajcie mnie, co się u nas dzieje? Nie powiem wam! Poco? Co musi się stać, to się stanie... poleje się krew... o! poleje...

Dziwnej tej mowy, do której nie byli nawykli, Jaksowie i Jaśko słuchali w milczeniu. Gościom się ze starym gospodarzem spierać nie chciało, i nie godziło, tylko synowiec rzekł, gdy on swojego dokończył.

— Bóg nas od nieszczęścia uchowa, a dzieło króla, pana naszego, pobłogosławi!...

Śmiechem szyderskim odpowiedział Domosul, wstając z ławy, aby świeżej napić się wody.

— Co z wami gadać! — mruknął. — Jaja od kur mądrzejsze dziś...

Na rozmowie czasu upłynęło dosyć; wstali Jaksowie, do odjazdu się sposobiąc. Wstał też Jaśko, ofiarując się dla bezpieczeństwa ku Tyńcowi ich przeprowadzić.

Gdy się ze starym żegnali, ten się uparł, aby konia od siebie dał pod Jurgę i wyszedł z nimi w podwórze, gdzie już mierzyn niepozorny stał gotowy. Za uzdę go ująwszy, Domosul cugle od niej oddał Jurdze w ręce, głową kiwnął i na synowca nie spojrzawszy nawet, powrócił nazad do swojego podziemia.

Tak tedy w towarzystwie Jaśka ruszyli ze Skały w las znowu, a gdy się od niej oddalili, westchnął on, zwracając ku niej głowę.

— Domosul umrze, jakim żył — rzekł. — Stara

swoboda i obyczaj milsze mu nadewszystko... Ani króla, ani duchownych znać nie chce... Zubożał tym uporem, dał sobie zabrać ziemie... ale się nie ugiął.

— Niewielu, szczęściem, takich, jak on upartych przy starem — rzekł Andruszka, — nikomu on prócz sobie nie szkodzi...

— Z żupanów dawnych mało który stoi tak twardo — odezwał się Jaśko, — ale ubogiego narodu, co trzyma z nim i z takimi, jak on, jest dużo! U góry król, rycerstwo, władcy, duchowieństwo... a u dołu lud, co żyje, jak żył i patrzy tylko, by wrócił do dawnej swobody... Jeżeli Mieszko ojcowskiej nie będzie miał dłoni...

— Mieszko wojownik dzielny — odparł Jurga.

— Daj mu Boże szczęście! — zakończył Jaśko, — bo jeśli mu sił nie stanie... i my wszyscy poginąć możemy!

Wspomniał, jakby odniechcenia Bezpryma i zamilkli wszyscy.

Powrót do klasztoru łatwiejszym był z towarzyszem, który się do nich przyłączył. Jaśko znał dobrze okolicę i był najlepszym przewodnikiem. Dowiódł ich więc aż do polany, z której gród tyniecki widać już było. Tu rozstać się musieli.

— Hej! — rzekł na odjezdnem, wzdychając, Jaśko — jakbym ja wam rad był, gdybyście mi przybyli w gościnę, ale... Andruszka głową potrząsa... siedźcież w dziurze zamknięci i pośćcie z mnichami... A gdy się wam zatęskni, huknijcie do mnie... choć na łowy razem pójdziemy w lasy!

— Jaśku — zawołał Jurga — a milczcie!...

Położyli palec na ustach, skinęli ku sobie głowami i Jaksowie pośpieszyli do klasztoru.

VII.

Książęcy, jeśli nie królewski dwór, napół duchowny, pół rycerski otaczał możnego arcybiskupa w Magdeburgu. Zwierzchnik duchowny nad biskupstwami

otaczającemi był zarazem arcypasterzem, władcą wielkich ziemi, zwierzchnim panem mnogich wasalów, którzy od niego trzymając lenna, winni mu byli służbę wojenną i posłuszeństwo. Gród arcybiskupi groźno i poważnie wznosił się u rozdzielonych ramion Łaby, obejmujących silną twierdzę, nad którą panowała katedra, kośćmi świętego Maurycego wsławiona. Naprzeciw niej wznosił się, jakby duchem nad ziemią tą panując jeszcze, wizerunek Ottona I.

Miasto ściśnięte w małych rozmiarach, składające się z krętych ulic i domostw, pełne było zawsze życia i gwaru. Stolica duchowna, gród pański, targowica u brzegów rzeki, — roił się ciągle stary Dziewin przybywającymi zewsząd biskupami, cesarskimi posły, książęty, panami i kupiectwem.

Jednego wieczora mały orszak jezdnych, wśród których łatwo było poznać duchownego, ze służbą i pocztem dla bezpieczeństwa dodanym, zbliżył się do wrót starego miasta pośpiesznym krokiem, opóźniwszy się w podróży.

Nie spytała straż przybywającego we wrotach, skąd ciągnie, gdyż suknia duchowna już go opowiadała.

Orszak towarzyszący nie oznajmywał znacznego człowieka. Skromnym był, a ze stroju ludzi nie umiała straż odgadnąć, skąd jechali. Ksiądz skromnie też i pokornie wyglądał. Lecz ktoby był się wpatrzył w twarz jego w chwili, gdy wrota mijał, ujrzałby na niej radość wygnańca, co po długich latach do własnego powraca domu. Smutne dosyć i niemiłego wyrazu lice uśmiechnęło mu się na widok kopuł kościelnych, żegnał się pobożnie, mruczał pacierze, ale oczy świadczyły, że myślami innemi był zajęty.

W miarę jak zbliżał się do rynku, oczy jego coraz żywszego nabierały blasku, konia popędzał, a gdy u drzwi dawnego opactwa benedyktyńskiego stanął, śpiesznie zsiadł, nie troszcząc się o konia i ludzi swych, zostawił ich u wrót, sam żywym krokiem wpadłszy do wnętrza.

W podwórcu obszernem cicho już było i pusto. Przybyły obejrzał się dokoła i ciasnemi schodkami dostawszy się przez przejście ciemne, do pierwszych drzwi zapukał. Poruszyło się coś we wnętrzu, gość wszedł.

W sklepionej izbie paliło się już światło, u stołu w siedzeniu, poduszkami wysłanem, spoczywał mężczyzna ogromnego wzrostu, a jeszcze większej tuszy, któremu otyłość podnieść się dozwalała z trudnością. Obiema rękami wsparty na poręczach miał zapewne myśl ruszyć się, ale wysiłku potrzebował na to wielkiego. Na stoliku przed nim widać było ogromny kufel cynowy z przykrywką i kilka grzanek suchych na misce. Twarz rumiana, rozlana, ogromna, z krótko strzyżonym włosem, świeciła oczyma rozumnemi, bystremi i zaufaniem w siebie.

Zmrużywszy nieco powieki, siedzący usiłował poznać w zmroku przybywającego, lecz nierychło dopiero, gdy się ten ruszył ku niemu, zawołał:

— Gość niespodziewany! ksiądz Petrek!... Cóż za gwiazda szczęśliwa ciebie tu do nas przyprowadziła w porę?!

Protonotarjusz szedł do pocałowania ręki i otrzymał uścisk braterski.

— Najmilejszy bracie — mówił otyły duchowny — ja oczom nie wierzę... Tyżeś-to?

— Ojcze Emerardzie, ja jestem, ja!... acz sam ledwie wierzę, jakem się tu mógł znaleźć, gdym najmniejszej nie miał tego szczęścia nadziei...

— Z niczem złem nie przybywacie?

— Z niczem dobrem też! — rzekł ks. Petrek. — Lecz... mogęż was o gościnę prosić tu... czy...

— Dla was znajdzie się izba — odparł stary — ludzi wyślijcie do gospody. Pełno u nas, jak zawsze. Najdostojniejszy pan nas, arcybiskup, nigdy od najazdu wolnym nie jest...

Ojciec Emerard, mówiąc to, w dłonie klasnął, nakazał milczenie przybyłemu, powtórzył ten znak i wchodzącemu braciszkowi wydał rozkazy.

— Najdostojniejszego naszego pana — rzekł, odprawiwszy braciszka — dziś się ani ujrzeć spodziewajcie. Brandenburskiego mamy gościa, z którym zgodę czynimy, albo raczej on z nami, cięgi wziąwszy... Cesarski posłaniec na listy czeka... Za chwilę chleb wieczorny w refektarzu dla nas podadzą, pójdziecie ze mną. Arcybiskup dziś jeszcze wiedzieć o was będzie... ale... cóż niesiecie? pokój, czy wojnę?

I śmiejąc się, dodał opasły Emerard:

— Niełacno, z wami mając do czynienia, rozeznać, czy wojna nie jest pokojem, czy pokój nie zmieni się na wojnę... Cóż ten wasz chytry wąż, ta jadowita żmija, ten wróg nasz zajadły czyni i myśli?

— Pytajcie mnie, ojcze Emerardzie — odezwał się ks. Petrek — co on mówi, a nie sądźcie, bym wiedział, co myśli... To, co myśli, tego nie powie, co mówi, — tego nie myśli pewnie... Kto go odgadnie?...

Przybywam w poselstwie od niego — ciągnął dalej ks. Petrek. — Zdaje mi się, że „Tragbier" ociężał, że mu próżne z cesarstwem walki dojadły, że naszarpawszy i nachwytawszy, radby się przy swej pastwie utrzymał. Więc z pokorą śle a z prośbą, aby mu czcinajgodniejszy, najdostojniejszy arcybiskup u cesarza dopomógł do uzyskania od papieża Benedykta — korony!

Mówiący spojrzeli sobie w oczy. O. Emerard zrazu wierzyć się nie zdawał, potem wielkim śmiechem wybuchnął. I śmiali się oba, śmiali długo, jeden drugiemu przyczyniając śmiechu wesołością.

— Zaprawdę, albo sam rozum postradał, — rzekł o. Emerard — lub myśli, że my go nie mamy! Koronąbyśmy mu się mieli wywdzięczać za to, że nas nękać nie przestaje!...

Ruszyli ramionami.

— Z tem przybywam — odezwał się ks. Petrek. — I niech tak zasługi św. Maurycego duszy mej grzesznej będą pomocne.

Wchodzący braciszek oznajmił o wieczerzy w refektarzu, w którym się klasztornym obyczajem kate-

dralne duchowieństwo zbierało na obiady i chleb popołudniowy.

O. Emerardowi potrzeba było pomóc do powstania z siedzenia, ale gdy raz wsparłszy się o stół i ramię braciszka, na nogach stanął, wysapał się i dźwignął, krokiem pewnym wiódł ks. Petrka za sobą.

Braciszek przyświecał im, przodując korytarzami do sali na dole, w której już kilkadziesiąt osób było zgromadzonych.

Długie stoły, otoczone ławami, przygotowane były dla gości, ale ci stali jeszcze, rozmawiając z sobą i zdając się na kogoś oczekiwać.

Zgromadzenie przedstawiało widok, wcale do refektarza zakonnego niepodobny, choć godła na ścianach i mały pulpit dla lektora na podniesieniu miejsce to cechowały, jako dla duchowieństwa przeznaczone.

Nie trzymali się naówczas świeccy duchowni jednej formy w sukniach, jakie nosili; obowiązkowemi były tylko barwy skromne i ciemne, wzbronione świecidła i rycerskie przybory. Ale i w tem wiele swobody dawano, wiele młodych i do możnych rodzin należących księży wyłamywało się z praw ogólnych.

Widać było i rozmaicie popostrzygane głowy, na których korony ledwie dostrzec było można i wąsy zawiesiste i brody różnie trefione, a przy nich suknie szare, bronzowe, oszywane, pasami, nasadzanemi bogato, ujęte, i czarne sutanny, i krótkie odzieże, przy których buty jakby do konia, ostrogami opatrzone, niczyjego nie zwracały oka.

Jeden z młodszych księży, krewny arcybiskupa, przyszedł tu z sokołem ulubionym na ręku, którym się lubował i drugim go okazywał, nie zbywało też na psach, oczekujących na resztki wieczerzy.

W refektarzu panował wesoły gwar. Kilku gości świeckich, wmieszanych między duchowieństwo, dodawało rozmowie rubasznego ognia, który w owe czasy zdrożnym się nie wydawał nikomu. Przytomni, na kilka kupek rozdzieleni, rozprawiali jedni o cudach

i pobożnych przedmiotach, drudzy o łowach, inni o wojnie.

Gdy ks. Emerard z protonotarjuszem ukazali się w progu, wiele oczów zwróciło się ku nim. Ks. Petrka nie wszyscy tu znali... Z oddalonego kąta wystąpił, zobaczywszy go, w benedyktyńskiej sukni mnich i jakby oczom nie wierzył, ręce szeroko rozłożył. Był to ten sam, który ks. Petrka odwiedził w Poznaniu, a królowi Bolesławowi uszedł w Gnieźnie...

Przystąpił on żywo do przybyłego — i popatrzywszy nań długą chwilę, rzekł:

— Jakże się to stało, że ja was tu widzę? Wyście to?!...

— Jam jest! — kłaniając się, odparł ks. Petrek.

— Wygnano was?

— Nie — z czcią mnie jako posła tu wyprawiono.

Skłonił się mnich z pokorą szyderską ks. Petrkowi.

— Czołem przed wami! — rzekł — niema na świecie przebieglejszego nad was człowieka, ani droższego nam... Witajcie.

Gdy to mówili, szmer się stał i wszyscy, miejsc na ławach szukając, siadać poczęli.

Dla ojca Emerarda było krzesło wygodne w końcu jednego stołu. Obok siebie posadził z jednej strony przywiedzionego gościa.

Na kazalniczce ukazał się młody kleryk, któremu drugi przyświecał. Wszyscy powstali, uciszono się, czytano błogosławieństwo stołu i modlitwę. Lecz na tem się czytanie skończyło, bo zgromadzenie milczenia zakonnego zachowywać nie myślało, i gdy kleryk zszedł z miejsca, rozmowy gwarne i śmieszki rozległy się po całym refektarzu. Nalewano kufle, misy ustawione dymiły się na stołach, wszystkie ręce wyciągały się ku nim. Jadło było obfite, a mający je spożywać zdawali się zgłodniali i chwytali je chciwie.

Ksiądz, który przybył z sokołem, miał swe miejsce i tuż wbity kołek dla ptaka, zastępujący berło. Posłuszny sokół siadł na nim, dzwoniąc pętami, które mu

nogi krępowały. Z pod stołów tu i owdzie warczenie psów słychać było.

Ktoby rozmów podsłuchał — zaprawdę dziwiłby się im niemniej, jak obrazowi tego wieczornika, podobniejszego do gospody, niż do refektarza. Dwór też arcybiskupi był niemal gospodą dla mnóstwa podróżnych.

Nie przeciągnęła się jednak zbyt długo biesiada, bo godzina była spóźniona.

Tak się dzień skończył dla posła, który nazajutrz rano pośpieszył się pomodlić naprzód u grobu św. Maurycego. Chciał tu zaczerpnąć sił i natchnienia, aby wielkiego dzieła jak najskuteczniej dokonać. Miał bowiem tu jak najdzielniej szkodzić Bolesławowi, a zarazem przyniesioną odpowiedź uczynić mu znośną i nieobudzającą podejrzenia.

Ks. Petrek służył Cesarstwu z przekonania i był pewien w swem sumieniu, iż spełnił święty obowiązek, zdradzając króla Bolesława. Gorąco więc uzbroił się modlitwą i przejęty posłannictwem swojem, poszedł do pałacu oczekiwać na posłuchanie.

Tu, mimo godziny rannej, przedsienie i izby wszędzie przepełnione już były. Orszaki panów przypuszczonych do arcybiskupa, mnodzy suplikanci, ubogie duchowieństwo wiejskie — comesy, baronowie sascy i rycerstwo tłumnie się cisnęło.

Dworska służba pałacowa starała się w jakikolwiek sposób porządek utrzymać.

Sala, w której arcybiskup Gero przyjmował, uderzała wielką na owe czasy wspaniałością. Dostojny pan otoczony był dworem licznym, wasalami, urzędnikami, dowódcami wojsk swoich, dukami, baronami. Rodzaj podniesienia wywyższało krzesło jego i najbliższych osoby pańskiej ponad tłum, zebrany dokoła i zdala widnymi czyniło. Kanclerz, biskupi, opaci, notarjusze, sędziowie duchowni trybunału, na którego czele stał arcybiskup, w kosztownych futrach i jedwabiach, z łańcuchami na szyjach, z laskami w ręku cisnęli się koło Gerona. Sam on, podeszłych już lat mąż, sparty

na łokciu, siedział na wygodnej stolicy, okiem rozumnem i bystrem przyglądając się przybywającym. Rysy jego twarzy, energiczne, spokojne, wydawały człowieka, co wiele przetrwawszy, szczęśliwie stał u kresu i pewien był swej potęgi.

Na skinienie jego chyliły się głowy, zwracały uszy, śpieszyli wszyscy posłusznie, okazując mu cześć i poszanowanie głębokie. Do spraw, które mu przedstawiono, choć ucha nakłaniał, skąpy był na słowa — dawał mówić, spoglądał ku swoim, jakby ich uwagę zwracał na to, co opowiadano, dozwalał swoim przybocznym zabierać głos, a dopiero, gdy obie strony dostatecznie roztrząsały kwestję, słowem ją krótkiem rozstrzygał.

Duchowieństwo w owym czasie nieskończenie większe i ważniejsze zajmowało stanowisko, niżeli w późniejszych wiekach. Cesarstwo dzieliło się z nim władzą, uposażało je obficie, nadawało mu prawa, potęgi jego nad duszami ludzkiemi używając do utwierdzenia swej władzy. Cesarz rzymski i papież byli najwyższymi panami, sędziami, zwierzchnią władzą, z pod której nikt się nie mógł wyłamać. Ręka w rękę szło cesarstwo z papiestwem, zakreśliwszy sobie pole działania, którego coraz więcej jednak obejmowało duchowieństwo... We wszystkich krajach stanowiło ono jedno wojsko, jedno rycerstwo Chrystusowe, mające wodza w Rzymie, naczelników w metropolitach, pułkowódców w diezecjach, tysiączników i sotników po całej ziemi.

Kościół wspierał cesarza, lecz nawzajem miał w nim obrońcę i sługę. On rozstrzygał najwyższe spory i wyrokował, gdzie sam zażądał, był sędzią. Od kolebki do grobu podlegali wszyscy władzy jego.

Małżeństwa panujących, dziedzictwa, następstwa, działy, wszystko się rozstrzygało przed trybunałami duchownemi, a klątwa biskupia, gdy wyrzuciła ze społeczności chrześcijańskiej bodaj najmożniejszego pana, ścigała go aż za grób i odmawiała mu nawet pogrzebu na święconej ziemi.

Cesarz, jako władza świecka, był tylko właściwie pierwszym sługą i wykonawcą rozporządzeń kościoła, dzierżył on jabłko symboliczne, którem go obdarzył Benedykt VII, ale musiał pomnieć, że je z rąk jego otrzymał.

Arcybiskup magdeburski dotąd miał pod sobą kościół polski i czeski, i gdy należało po św. Wojciechu następcę wyznaczyć, zesłał tam paralityka Thiemana, z ramienia swego wyznaczając go.

Nie mogło mu być miłem, że „chytry Bolesław" z pod tej zwierzchniej władzy wyrwał mu polskie diecezje i osobną dla nich metropolję ustanowił, chcąc dla niej być cesarzem i pierwszym sługą.

Chociaż ten sam Gero zaprzysięgał w imieniu cesarza ostatni pokój z Bolesławem, wymuszony jego zwycięstwy i napozór przyjacielem liczyć się musiał, nie miał nigdzie król Polan większych nieprzyjaciół, zajadlejszych jak tutaj wrogów. Samo imię Bolesława wprawiało w gniew i burzyło ich, bo mu nic uczynić nie mogli.

On, co z mieczem szedł przed cesarza raz w życiu — pełniąc chwilowo urząd miecznika — tym samym mieczem dobił się niezawisłości.

Z umysłu posłańcowi Bolesława ostatnie wyznaczono posłuchanie. Ks. Petrek miał czas przysłuchać się, jak dumnie arcybiskup zbywał duków, jak groził baronom, jak hołdy przyjmował obojętnie.

Dopiero, gdy wszystkich niemal odprawiono, podkomorzy dworu oznajmił wysłańca Bolesławowego, a arcybiskup skinął tylko, aby przystąpił.

Upadł ks. Petrek na kolano, jak przed dawnym zwierzchnikiem, prosząc o błogosławieństwo, a następnie z rzędu rzecz swą rozpoczął. Wiedział już o celu poselstwa arcybiskup, słuchał więc na ręku wsparty i dał mu wyłożyć sprawę, jako król przez Ottona III, cesarza danej i przyrzeczonej z Rzymu korony dopominając się, u najdostojniejszego arcybiskupa o pośrednictwo do cesarza — u cesarza o poparcie do ojca świętego prosi.

Wysłuchawszy, Gero podniósł nieco głowę i uśmiechnął się wzgardliwie.

— Nie będę taił — rzekł,—jakiem sercem poselstwo to, urągające się cesarskiej władzy, przyjmuję. Wiem to i ja, wie i cesarz, iż na przyjaźń i sojusz króla waszego cale rachować nie możemy. Złamał on wszystkie przyrzeczenia, zawiódł wszelkie nadzieje. „Wszystek ten stosunek z nami, połączenie się ojca jego i jego — „małżeństwy, ściślejsza zażyłość więcej nam dotąd „w istocie szkody przyniosły, niż korzyści... I na przy„szłość nic nowego spodziewać się nie można. — Je„śli udanym spokojem na jakiś czas przyjaznym się „nam okaże, tysiącem praktyk potajemnych narusza „u nas miłość i zgodę, a upatrzywszy porę, czyha na „zgubę naszą“ *). Dziwne to jest poselstwo zatajonego nieprzyjaciela, które z rąk naszych oręża przeciw nam samym się dopomina.

Skończył arcybiskup, gdy z otoczenia jego wstał merseburski biskup, Thietmar, zdając się głosu domagać u pasterza, a gdy ten skinął nań, wybuchnął gwałtownie.

— Za szyderstwo i urągowisko tę prośbę chyba poczytać należy! — rzekł. — Azaliż się nie znamy i nie wiemy, co w sercach jest waszych? Cesarstwo nigdy z was przyjaciół mieć nie będzie, ani kościół powszechny sług powolnych.

Dał znak Gero, aby Thietmar poprzestał i sam zakończył słowy.

— Mówimy to wam, miły bracie, jako znanemu z wierności słudze kościoła, nie żebyście to królowi odnieść mieli, i gniew jego a złość rozżarzyć, lecz byśmy sercom ulżyli przez świadectwo dane prawdzie. Jaką zaś odpowiedź zanieść macie, o tem jeszcze radzić będziemy...

Wstał tedy Gero, a wnet i krucyfer, i dwór, kanclerz, podkomorzowie, rycerstwo ruszyło się odprowadzać go uroczyście do komnat jego.

---

*) Thietmar, dosłownie.

Pokłoniwszy się, ks. Petrek ustąpił na stronę.

Wiedział on zawczasu, co go tu spotka: o. Emerard oznajmił mu, iż tajemna narada i posłuchanie w pobocznej izbie na dworcu arcybiskupim w porze poobiedniej ma się odbyć.

Do tej narady został wezwany biskup merseburski, znany z nienawiści dla Słowian i ich języka i obyczajów. Kanclerz, o. Emerard i mnich benedyktyn mieli też być przytomni.

Ks. Petrek, mający wiele do czynienia w Magdeburgu, wiele dawnych znajomych do widzenia, chwili nie tracił... Tu, wśród swoich, innym się widział człowiekiem, śmielszym, mocniejszym, żywszym, bo nie potrzebował ukrywać się z tem, co miał na dnie serca swojego. Nie domyślał się on wcale, iż nawet tu śledzić mógł ktoś za nim i każdy krok jego mieć na oku.

Izba, przeznaczona dla narady, do komnaty arcybiskupiej była przyległą: panował tu kanclerz i pisarze, a ogromne wolumina i kodeksa zalegały pułki dokoła. U wielkiego stołu, niezajęte nigdy stało wzniesione na stopniu krzesło arcybiskupie, na którem on zasiadał, ilekroć sam schodził do spraw ważniejszych. Obok siedział już surowego oblicza, oczów dzikich, niskiego czoła, wyrazu twarzy znamionującego gwałtowny charakter biskup merseburski... Był to jeden z najgorętszych swego czasu kapłanów i apostołów, ale, jak on sam wyznaje, w środki łagodności nie wierzył siłą chciał dokonywać wszystkiego.

Kanclerz był mężem większego pomiarkowania i przebiegłości, choć nie innych dla Polski usposobień. O. Emerard żywił dla niej też same uczucia, którym w rozmowie zwrot tylko rubaszniejszy nadawał, naostatek mnich benedyktyn z Nowej Korbei, osobisty wróg króla... także mógł tylko oliwy do ognia dolewać, a ks. Petrek, wrzekomo przybyły dla popierania interesu, wiemy, jak był usposobiony.

Czekając na przybycie arcybiskupa, biskup merseburski, któremu długie milczenie było trudnem, i który coś nieustannie opowiadać musiał, czego dowo-

dzić, lub o coś się spierać, a był z tego znanym dobrze, zabrał głos, nie mogąc znieść myśli tej, by Bolesławowi nawet pozorną wyświadczono powolność.

— To są groby pobielane — mówił — wszyscy Słowianie, tak dobrze ci, co się ponawracali pozornie, jak ci, co nie nawróciwszy się, udają, iż z nami chcą iść razem. Nigdy ja tego nie pochwalałem, nawet cesarzowi, iż na Bolesława, tego najniegodziwszego, idąc, Lutyków pogan brał ze sobą. To nam wówczas nieszczęście ściągnęło i niebłogosławieństwo Boże! Lutycy obok naszych chorągwi z krzyżami nieśli swoją z namalowaną boginią nagą... w którą wyrostek z orszaku margrabi Hermana kamieniem cisnął. Za to się później cesarzowi skarżyli i dostali dwanaście grzywien wynagrodzenia. A godziłoż się chrześcijańskiemu panu płacić? Nielepsi ci, których jużeśmy i święconą wodą i słowem pochrzcili... Widziałem sam, że się do żelaznej obręczy modlą, Honidłem ją zowiąc i około trzód ją obnosząc.

— Nielepiej pewnie i około Gniezna? — zwrócił się do ks. Petrka.

— Bogów ci powywracano w lasach — odparł protonotarjusz, — ale ich chowają ludzie po pieczarach, a dawne swe obrzędy odprawiają pewnie. Większa część dobrze, jeżeli się przeżegnać umie.

— Takci jest! — potwierdził biskup merseburski — tak jest w krajach wielu, gdzie krzyże zatknięto, co się chrześcijańskiemi zowią, a w rzeczy pogańskiemi są. Mamyż się dziwować, iż Bóg mściwy karze, iż znaki się okazują na ziemi i niebie srogie a przerażające?

— To wasza przewielebność słyszała — wtrącił o. Emerard, — iż niedawno słońce przed zajściem swem dziwnie krwawem było i jakby napół rozciętem widziane?

— W miesiącu sierpniu — dodał Thietmar — ukazała się nowa jakaś gwiazda obok Niedźwiedzicy, która daleko rozchodzącemi się promieniami przestrach we wszystkich obudzała. Nigdy za naszej pamięci nic podobnego nie oglądaliśmy... „Ale, Który wszystko

wie, zna ją i znalazł ją roztropnością swoją“ (Baruch III, 32).

W prowincji Turyngji czyniło szkodę trzech wilków, ukazujących się razem, dotąd nigdy przez mieszkańców nie widywanych... ludzi i bydło zajadle napastujących.

Mówił to Thietmar z przejęciem wielkiem i namaszczeniem, z wiarą głęboką, jaką wszyscy naówczas podzielali, iż te nadzwyczajne zjawiska zwiastowały ludziom straszne kary i klęski.

Sam o sobie też pisał z mocnem przekonaniem o prawdziwości wypadku, że go raz szatani we śnie zmusili do zjedzenia jakiejś złośliwej trawy, uwarzonej dlań umyślnie, której skutek ten był, że kilka ciężkich potem dopuścił się błędów...

Nikt też nie wtrącił słowa w to opowiadanie, ani śmiał przeczyć, — dodawano raczej do niego.

Mnich benedyktyn mówił, że w jednem z miast saskich niewiasta urodziła dziecię z dwiema głowami, a każda z nich miała w sobie po troje oczu...

Rozpowiadano i inne, budując powieści tego rodzaju, gdy wszedł arcybiskup, poprzedzany przez pachołąt dwoje. Te, drzwi otworzywszy, gdy wszyscy na powitanie powstali — znikły natychmiast w przedsieni.

Gero sen poobiedni jeszcze miał na oczach, zwlókł się do tronu swego, zasiadł na nim i zagaił krótkiem słowem.

— Mówcie, bracia mili, rad słuchać będę — a co Duch Święty natchnie... ogłoszę wam.

— Czcinajgodniejszy, świątobliwy, dostojny panie, — odezwał się Petrek — niech mi wolno będzie rzec naprzód słowo, nie z urzędu, lecz z sumienia.

Skinął Gero, a protonotarjusz ciągnął dalej.

— Tak jest, z sumienia mówić będę. Przybyłem tu jako posłannik tego, który u pana naszego cesarza nie zasłużył na łaskę i wiarę. Niech mi to za złe policzone nie będzie. Tego się domagam dla uspokojenia duszy mojej, o to proszę, a czcigodnego o. Emerarda, oraz

innych tu przytomnych wzywam, aby mi dali świadectwo.

Szmer się rozszedł po izbie.

— Spokojni bądźcie!

O. Emerard rzucił kilka słów pochwały. Skłonił się ks. Petrek i ustąpił.

— Więc tedy ów niepoczciwy zdrajca i wróg korony żąda? — odezwał się Thietmar. — I do was się o nią odzywa? Naprawdę zuchwalstwa większego wyobrazić trudno; aliści to jest więcej, niż zuchwałością, bo urągowiskiem!

— Nie urąga się on — odparł ks. Petrek — boleje i męczy się. Potęga cesarska czuć mu się daje. Dojada mu zazdrość, bo Czesi, Duńczycy i Węgrowie nawet już to posiedli, o co on się dopiero dobija.

— Czesi się od kościoła powszechnego, ani z pod mojego zwierzchnictwa nie wyłamują — odezwał się arcybiskup.

— Bolesław korony chce tylko na to, aby się niepodleglejszym od nas uczynić — rzekł Thietmar.

— I aby synowi — dodał benedyktyn, — który siły jego mieć nie będzie, dać z nią błogosławieństwo, któreby łupieże uświęciło i nieprawe nabytki pieczęcią swą zamknęło.

— Cóż mu rzeczemy? — spytał Gero.

Kanclerz zażądał głosu.

— Wasza dostojność — rzekł, zwracając się do Gerona — łatwo się zbędziecie natrętnej prośby tem, że chociażbyście pośredniczyli do pokoju z Bolesławem i poprzysięgali w imieniu cesarza, właśnie przez to, że pokój ów spokoju nie przyniósł, uczestnikami żadnych traktowań być nie możecie.

Szmer pochwalny słowa te utwierdził, a Gero dał znak, że znalezioną formę odpowiedzi przyjmował.

— Na tem nie dosyć — odezwał się Thietmar — na tem nie dosyć... Jakkolwiek od łona macierzystego metropolji magdeburskiej nieprawnie oddarto polskie kościoły, niemniej czcinajgodniejszy pan nasz

a zwierzchnik musi kraj polski uważać, jako sobie podległy.

Gero znowu głowy skinienem prawdę przyznał wnioskowi.

— Więc i pieczołowitości jego pasterskiej przynależy — ciągnął Thietmar dalej — czuwać nad losami tego kraju. Korony on mieć nie będzie, póki cesarz włada imperjum i światem; raczej zawczasu myśleć trzeba, co czynić, aby oderwane kraje wróciły do prawej władzy.

— Święte słowa — potwierdził benedyktyn. — Matka moja dziedzictwo swoje ofiarowała apostolskiej stolicy.

— Czyni się na dworze Bolesławowskim od lat wielu wszystko, co zwycięstwo dać może cesarstwu zczasem — począł o. Emerard. — Powolna to praca, trud ciężki i ofiarny, ale z pewnością do celu wiedzie. Dlaczego Odę, matkę waszą, z klasztoru dano Mieszkowi?... nie dla tego tysiąca więźniów niemieckich, których wyzwoliła, ale dla zbawiennego wpływu na dworze. Dlaczego przemądry pan Otto III, acz się dał gładkim Bolesława słowom wodzić, zaszczycił syna jego związkiem z Ryksą, własną siostrzenicą? Wszystko się to czyniło i czyni, aby wpływ nasz tam powoli utwierdzić i upewnić go.

— Mało tego — rzekł cicho ks. Petrek z pewnym wstydem i wahaniem, — jest jeszcze do uczynienia coś, co dokonać śpiesznie należy, Bolesława chuci są znane, niewieścia płeć go ciągnie ku sobie, może nad nim wiele niewiasta. Emnilda królowa nie naszą jest, ani ku nam serca nie ma. Tę mu odjąć, a dać Odę margrafównę, na którą już okiem rzucił — winno być celem zabiegów.

Śmiała ta myśl zrazu milczeniem przyjętą została.

— Lecz jakże się to może spełnić? — zapytał o. Emerard.

— Wielce łatwo, jeżeli się ku temu ręki przyłoży — dodał ks. Petrek.

— To rzecz wasza — rzekł Thietmar; — wy też czu-

wać powinniście, abyście go obsadzili ludźmi nam użytecznymi. Sprzyja nam pobożna i rozumna Ryksa, może ich ona wzywać ku sobie. Mnożyć potrzeba tych, na którychby się opierać można, a tak, jak on nas niecny, przewrotny człek siecią swych podstępów otacza, my go winniśmy opasać wiernymi naszymi.

— Mam nadzieję w Bogu, iż to królestwo jego — mówił cicho ks. Petrek — nie ostoi się długo. Zlepek to z chróstu i gliny, purpurą na chwilę pokryty. Synowie królowej Ody, Bezprym odepchnięty od następstwa przez ojca, Mieszko, Ruś zwyciężona, Węgry pokrzywdzone, Czesi rozdrażnieni, poganie czyhający na chwilę dogodną, rozerwą to państwo, gdy ten, co je skleił, głowę w mogile złoży.

— Runie przy pierwszej burzy to gniazdo nieprawości — wołał Thietmar, — a im wyżej je osadzono, tem haniebniejszy będzie upadek jego.

— Śpieszne macie rozkazy do powrotu? — rzekł Gero. — Ażali nie byłoby lepiej zwlec z odpowiedzią, w niepewności go zostawić, aby innych ubocznych starań nie dopuścić?

— Nie jabym się na to uskarżał — odezwał się ks. Petrek. — Zaprawdę, nie ja, co się tu mogę modlić u grobu patrona mojego osobliwego, a napawać wonią tego, co go otacza. Słabe siły moje, lecz, ażali i te, gdy ich tam nie stanie, gdy straży i pilności zabraknie — nie dadzą im nowej mocy? Kto wie, co oni tam pod niebytność moją przedsiębrać mogą, co knuć tajemnego, a któż to o tem doniesie, gdzie należy?

— Słuszne, co mówicie — odezwał się Gero. — Więc wszystko to rozważywszy na szali roztropności, odpowiedź wam damy w niedługim czasie.

To mówiąc, pobłogosławił zgromadzenie, które powstało, i ruszyli się z miejsc wszyscy.

Gdy się to działo, a ks. Petrek z zupełnym spokojem dokonywał, co zamierzył, w myśli się tylko przygotowując do powieści, z jaką miał wystąpić, gdy powróci — maluczki pisarzyna, człowiecze pokorne i nieznaczne, wychowaniec kanclerza arcybiskupiego, bra-

ciszek Arnolf, gotował z wszystkiego, co się tu działo, mówiło, co ks. Petrek wypowiadał, czem grozili inni — wierne sprawozdanie. Spisane na kawałku tak zwanego „pergaminu greckiego“ (papieru bawełnianego), wklejone w okładziny kodeksu przeznaczonego dla benedyktynów w Trzemesznie, miało ono przez własne ręce ks. Petrka, z nim razem jechać do opata tynieckiego. Mógłże chytry i przebiegły protonotarjusz nawet przypuścić, iż coś podobnego z dworu arcybiskupa wyjść, a jego rąk użyć za narzędzie się ośmieli, ku przestrodze królowi Bolesławowi?

VIII.

Chociaż się chwilowo pozbyto ks. Petrka, którego opat umiał wyprawić, nie ściągając królewskiego podejrzenia, obawa królowej Emnildy, aby się jej pobożne kłamstwo nie wydało, trwała ciągle. Dochodziły ją zewsząd zatrważające wieści, iż o ocaleniu Jaksów mówiono wiele, że na dworze panowało przekonanie, iż uszli zagranicę.

Baczna margrafówna Oda, która i jej, i Mieszkowej żonie, Ryksie, i wszystkiemu, co jej na drodze do tronu stało, szkodzić się starała, rzuciła myślą na zapomnianego i odsuniętego Bezpryma.

Opowiadanie o wypadku w łaźni rozeszło się szybko po dworze, obudziło jej ciekawość razem i poddało myśl zbliżenia się do niego. Chciała mieć w nim na przypadek sprzymierzeńca. Czuła to dobrze, iż opuszczony przez wszystkich, znękany Bezprym—wdzięcznymby był za każde słowo i wejrzenie życzliwsze.

Nieszczęściem wiele przeszkód nie dopuszczało jej zbliżyć się do niego, — ale od czegoż była Panicha?... Wchodziła ona i wciskała się wszędzie, nosiła, co jej kto powierzył. Słudze więc kazała wyszukać starej baby i zamknęła się z nią sam na sam.

— Na rozkazanie twe, królowo moja, uszy i ręce, i nogi... — zawołała stara, przypadając jej do nóg.

— Tu się nie wszystko tak dzieje, jakby ono powinno — mówiła Oda powoli, nicmi się zabawiając, aby na starą nie patrzeć — serce litościwe znieść tego nie może, a radeby z pociechą dla biednych...

Nie rozumiejąc jeszcze, o co iść mogło, Panicha kręciła tylko głową, potakując, i mruczała cicho:

— Pewnie! pewnie!...

— Jedni mają do zbytku, drugim na chleb niemal zbywa, — mówiła dalej margrafówna — jednych otaczają dwory, drugim i pachołka brak...

Wtem wstała i podeszła do baby.

— Widziałaś ty kiedy królewskiego syna, Bezpryma? — spytała.

Oczy Panichy jak przestraszone biegać zaczęły dokoła, twarz przybrała wyraz niepokoju.

— Tego, którego królewicz młodszy niedawno precz z łaźni wyrzucić kazał, jak — niewolnika?...

— Tego samego.

— Zdalekam go widziała — szeptać poczęła szybko baba. — Zdrów, silny, ale niepiękny... zamęczyli go, trzymają ze psy i ptakami w zamknięciu... Jeden stary Ugr, wierny mu, nie odstępuje od niego. Dlaczegóż o niego pytacie, królowo moja?...

— Bo mi go żal... Chciałabym mu pomóc, najaw go wydobyć... ale mu trzeba dodać serca, bo je stracił.

Baba widocznie nie zrozumiała dobrze, lecz okazywała postawą swą, że na wszystko była gotową.

— Chodzicie wy na ich podwórze? — zapytała Oda.

— Psy złe... juści... ale kij od czego?...

— Znacie starego Ghezę?

— Kilka razyśmy się łajali... czemu nie... — mruczała stara. — Powiedzcie tylko, czego chcecie, a reszta już moją sprawą.

— Chcę, byście Węgra starego do mnie przysłali, aby przyszedł potajemnie na rozmowę... Może się jemu i panu zdam na co?...

To mówiąc, rzuciła coś w fartuch Panisie, która ręce podniosła i dziękując, do ziemi przypadła. Potem

nie mówiąc nic, głową znak dała, że spełni rozkaz i wyszła śpiesznie.

Panicha się wszędzie wcisnąć umiała; choć ludzie ją podejrzewali o różne sprawy, — wyśmiewali się chętnie, szydzili z niej i to ich zabawiało. Tego samego dnia znalazła się w podwórku Bezpryma i usiadłszy pod ścianą na pieńku, udawała, że drzemie. Najrzeli ją pachołkowie i zaczęli krzyczeć, łając i przedrwiwając; odpowiedziała im przekleństwy, żądając, by jej spokojnie choć dali zasnąć, gdyż gdzie indziej nie miała spokoju.

Udawała tak napół uśpioną, gdy nierychło przywlókł się Gheza w brudnym kożuchu przez podwórze. Najrzawszy go, posunęła się za nim do sieni. Węgier się obawiał czarownic i krzyknął, aby się do niego nie zbliżała.

— Ja z wami mówić muszę; nie dla was, niechby was licho gniotło — zawarczała baba — a dla waszego królewicza. Jeśli go miłujecie, to mnie posłuchajcie.

Gheza stanął wszakże, zdaleka się trzymając.

Zwolna, nie chcąc podnosić głosu, zbliżyła się Panicha ostrożnie.

— Staraj się, ty stary, dostać potajemnie do margrafówny... ona wam na biedę waszą radzić chce. Rozumiesz? A Panu Bogu i starej babie podziękujcie, że wam to przyniosła.

Gheza zdawał się niedobrze rozumieć; powtórzyła inaczej toż samo Panicha, usiłując mu wpoić przekonanie, że wiele na tem dla Bezpryma zależeć może. Gheza stał jeszcze, jakby odurzony, gdy stara, gniewna, że się nawet przybliżyć do niej nie chciał, odeszła.

Od nieszczęścia, jakie go w łaźni spotkało, Bezprym jeszcze nie przyszedł do siebie. Wrzał zemstą, która mu niemal zmysły odejmowała. Rzadko na ławie wyleżał, psy swe nogami kopał, po izbach latając z pięściami zaciśnionemi. Gheza go nie hamował, chcąc mu się dać wyburzyć.

Z poselstwem Panichy wchodząc, zastał go jakimś

wypadkiem, po wysiłku takim gniewnym, uśpionego snem twardym na ławie.

Jeden z psów jego ulubionych siedział na straży przy nim, głowę na nogach jego trzymając opartą.

Gheza, jak ten pies, przysiadł cicho i sparty na ręku, czekał, aż się Bezprym obudzi.

W godzinę może zerwał się z krzykiem i nierychło opamiętał, obaczywszy wiernego sługę, który mu kubek podał, aby się po śnie orzeźwił. Spalone wargi przyłożył doń Bezprym chciwie i okiem mu podziękował. Legł zaraz znowu.

Gheza przysunął się mu do ucha.

— Słuchajcieno dobrze, panie mój, co to ja wam przynoszę. Słuchajcie, a rozważcie... i mówcie, co ja mam poczynać? Noszą tu jedną starą babę złe duchy po dworze... Czarownica to pewno... jędza zła. Przyszła dziś do mnie z litościwem słowem (splunął stary) jakoby od margrafówny Ody, abym się ja z nią starał widzieć, a ona tobie, królu ty mój a panie, coś pomóc może.

Zerwał się Bezprym i siadł.

— Naprawdę? — spytał.

— Albożbym śmiał kłamać przed tobą, sokole ty mój złoty? — z wyrzutem niemal odezwał się Gheza — ja?...

— Nic więcej nie mówiła?

— Nic. Co mam czynić?

— Co? — począł Bezprym gorąco — co? Bezmózgi stary... czy nie rozumiesz tego, że mnie, gdyby szatan pomagać przyszedł, muszę go wziąć!

Gheza aż się cofnął przestraszony temi słowy, brwi mu się najeżyły.

— Nie mówcie w złą godzinę! — zawołał — nie wołajcie licha, aby nie przyszło...

Chcecie — rzekł po chwili — toć pójdę dla was, gdzie każecie.

— Trzeba ci iść, trzeba iść, słuchać pilno, odnieść mi słowo każde, każde!... Słyszała pewnie margra-

fówna, co zrobił ten pies... żal ją wziął nade mną, królewskiej krwi dzieckiem... Trzeba iść...

Bezprym zerwał się z ławy. W kącie izby stała okuta skrzynia, poszedł do niej prędko i otworzył wieko. Trzymał w niej po matce resztę droższej spuścizny. Dobył ze dna złoty obręczyk i przyniósł go Ghezie.

— Nie dałbym za nic tego, co macierz moja nosiła — rzekł — a no trzeba, aby dziecko jej obronić się mogło od sromoty. Nie mam nic, — co za dziw, że sprzedać chcę, abym sobie szatę dostał nową. Powiesz, żeś do niej posłany ode mnie. Rozumiesz? A obręcz tę dasz jej ode mnie, przez wdzięczność, że wspomniała o zelżonym Bezprymie.

Gheza, nic nie mówiąc, wziął złote kółko i wsunął je za nadrę, z głową spuszczoną z izby wnet wyszedłszy, śpieszył się przyodziać lepiej. Wstyd mu było stanąć tak przed margrafówną.

Nieznacznie się potem z podwórza wymknął i błądzić począł, jakby nic nie mając do roboty, około świetlic niewieścich. Kręcił się tu czas jakiś, to zbliżając, to oddalając, to zaglądając w przedsień, gdy służebna jakaś dała mu znak. Szedł tedy za nią ostrożnie.

Bocznemi drzwiczkami wprowadziła go do małej izdebki. Tu już Oda nań oczekiwała. Wpuściwszy go, wymknęła się sługa, a Gheza przypadł na kolana przed piękną panią, która z rozognionemi policzkami i oczyma zbliżyła się do klęczącego.

— Powiedzcie — rzekła śpiesznie, — powiedzcie panu swojemu królewiczowi, że są ludzie, co się nad jego losem litują i postarają się mu pomóc u ojca. Czemu on siedzi zamknięty i nawet nie mruknie, kiedy się nad nim znęcają? Nawet nie jęknie, kiedy go biją? Niech ma odwagę i śmiałość, gdy mu mówić dadzą. Rozumiesz, powiedz mu to, niech ma odwagę, niech się skarży, niech grozi, niech się uczyni strasznym, a będą się go bali... Gdy się go nie zlękną, — to go zgniotą.

Gheza wysłuchał pilnie. Odzie śpieszno było odejść;

szła już, gdy przypomniał sobie obręczyk złoty i położył go u nóg jej.

— Miłościwa pani — rzekł — klejnot to po nieboszczce królowej, mój pan go wam przysyła, jako dar dziękczynny.

Schwyciła margrafówna z widoczną radością, wcale się nie broniąc od przyjęcia go i wnet na rękę włożywszy, kilka razy ją obróciła przeciw światłu, aby się dobrze przypatrzyć, jak pulchnej ręce było pięknie w złotej, grubej przepasce.

Gheza pośpieszył do pana, aby jednego nie zapomnieć słowa i odnieść mu, co nakazano.

U wieczerzy Oda się gotowała do rozmowy z królem, a ilekroć chciała jej, potrafiła zawsze uczynić, jak postanowiła. Zwykle, gdy przychodziło do śpiewów i pląsów młodzieży, królowa Emnilda wychodziła, często i Ryksa szła za nią. Naówczas panowanie pięknej Niemkini się poczynało: śmiało czyniła, co jej się podobało, nie troszcząc się, co o tem nazajutrz mówić będą. Nie unikała króla, narzucała mu się i kilka razy dała publicznie schwycić i pocałować. Śmiechem przyjmowała to, wcale się nie sromając.

Raz spadł jej wianuszek, co było jakby niedobrą przepowiednią, podniosła go z ziemi i włożyła na głowę, nie zarumieniwszy się wcale.

Tego wieczora król patrzał na pląsy niewieście, nie było przy nim ze dworu nikogo, oprócz starego Sieciecha, który, gdy się zabawiano, więcej córki pilnował, niż króla.

Przysunęła się więc Oda do Bolesława śmiało. Oko jego padło na jej rękę i zdawało się ze zdumieniem wielkiem poznawać ów obręczyk złoty.

Zrozumiała Oda spojrzenie i ręką potrząsła tak zręcznie, aby król mógł się dobrze przyjrzeć klejnotowi. Nie spytał jednak, skąd go miała. Po chwili sama, obręcz znowu nadstawiając, przysunęła do króla.

— Pamiętacie pewnie kolce te na ręku królowej Judyty? Otóż się ono mnie dostało. Syn królowej nie ma zaco sprawić opończy i po matce klejnoty sprze-

daje i mienia. Jak psa wyganiają go z łaźni, a ojciec milczy.

— Kto się wyganiać daje — zawołał król, — ten wart, by go precz wyrzucono.

— Dziś sam bezsilny, przyczai się, zmilczy, a co się namota na jutro? E! Jutro dla Mieszka być może straszne. Nie trzeba drażnić i zająca, bo ugryzie. Wy robicie sobie, miłościwy panie, z własnej krwi wrogów.

— Śmiała jesteś, że mi to mówić się ważysz!

— Dlaczegobym milczeć miała? Kto dobrze życzy, ten prawdę mówi. Róbcie, jak lepiej.

I pobiegła do dziewcząt, jakby ją to nic nie obchodziło. Król ścigał ją oczyma długo i wkrótce wyszedł do sypialni.

Gdy domownicy odeszli na chwilę, Bolesław się ocknął.

— Sieciechu mój, — odezwał się — niesłusznie wreszcie jest, aby ten grzesznik Bezprym gnił zamknięty. Trzeba ich z Mieszkiem pojednać i dać mu więcej swobody. Bezpryma znam, — zły a bezsilny jest, będzie pragnął wiele, a nie otrzyma nic. Aliści sumienie uspokoić muszę. Przywiedźcie go jutro do mnie.

Sieciech zapytał o godzinę, król ranną wyznaczył.

— Każcie mu się odziać przystojnie, i niech Mieszko tu będzie razem.

Rozkaz królewski spełniał się zawsze ściśle; wnet więc z sypialni podążył Sieciech do królewicza Mieszka, który z Ryksą i kilku Niemcami z jej dworu na rozmowie siedział jeszcze.

Gdy wolę ojcowską mu objawił, Mieszko się zerwał zaczerwieniony i zburzony, lecz żona go natychmiast do opamiętania przywiodła kilku słowami, a ochmistrz wyszedł, śpiesząc do Bezpryma.

Tu nadzwyczajne jego odwiedziny popłoch wzbudziły ogromny, a gdy, nie oznajmując się, wszedł do izby Bezpryma, którego zastał w nędznej odzieży przed ogniem wyciągniętego na ziemi z psami razem, kró-

lewski syn, ledwie oczom swym wierząc, długo nań patrzał, nim powstał, aby posłuchać, z czem przychodzi.

Sieciechowi żal było Bezpryma, jak wielu innym na dworze.

— Przychodzę do was, miłościwy panie, od króla— rzekł — ze słowem dobrem.

Rozśmiał się Bezprym szydersko.

— Nie śmiejcie się, — mówił stary—król chce was jutro widzieć u siebie i z Mieszkiem pojednać.

Krew uderzyła na twarz synowi Judyty. Zerwał się z ziemi cały, wstając, jak oparzony, psy za nim skoczyły przelękłe, zaczynając warczeć i szczekać.

— Co król każe, spełnić się musi — spokojnie dodał Sieciech, — a dla waszego dobra też tego potrzeba. Otrzymacie więcej swobody i pewnie inne jakie dobrodziejstwa. Serce królewskie poruszyło się dla was.

Skłonił się Sieciech i, nie czekając odpowiedzi, wyszedł natychmiast, w pierwszej izbie nakazawszy Ghezie, aby nazajutrz odział Bezpryma, jak przystało i nie dał mu się nędznie stawić przed królem, by gniewu jego nie budzić.

Całą niemal noc chodził Bezprym po swojej izbie jak wrzący... Gheza siedział i uspokajał go, szeptali z sobą. Bezprym go odpychał, ten do kolan mu przypadał, godzili się i swarzyli, jak niańka z dzieckiem. Pospali się wreszcie nadedniem, nie zmógłszy jeden drugiego.

Gdy nazajutrz nadeszła godzina naznaczona, Bezprym, niemal gwałtem odziany w suknie najlepsze, poszedł do sypialni Bolesława.

Nie było tu nikogo, nie śpieszył się do niej Mieszek. Wszedłszy, długo stał w progu syn Judyty, nim się rzucił do nóg królewskich. Spełnił tę powinność, lecz z widocznym chłodem i wstrętem. Bolesław nie odezwał się też, aż go u nóg zobaczył.

— Kazałem ci przyjść! — rzekł. — Dość tej niewoli. Bądź mi posłuszny, a będzie ci z tem dobrze — zuchwałych nie znoszę. Mieszkowi przeznaczone królestwo, wedle obyczaju słowiańskiego. Zresztą taka jest moja wola... I ty otrzymasz swoją dzielnicę, krew ci

moja w tobie płynie — ale przysiąc musisz posłuszeństwo. Mieszko cię skrzywdził, zganiłem mu to, przyjdzie ci rękę podać. Nie masz się kryć jak wilk. Przychodź na dwór, jedź na łowy, idź na wojnę, ale bądź wiernym mnie i moim postanowieniom.

Bezprym milczał.

Król widocznie czekał odpowiedzi, po kilkakroć wyzywając do niej spojrzeniem.

— Mów — dodał.

— Nie mam co mówić, — odparł Bezprym—uczyniony zostałem niewolnikiem, rab — nie mam prawa ust otworzyć. Jam mówić zapomniał.

Zawrzał z gniewu król.

— Dość! — zawołał. — Przebaczam ci to, a no mówię dość, chcesz-li być cały! Dość! Nikt mnie nie ma praw do rachunku pozywać, oprócz Boga! Milcz!...

Bezprym chciał odejść.

— Stój! Mieszko przyjdzie.

Nastało milczenie ciężkie. Niekiedy syn i ojciec mierzyli się oczyma. Mieszko nie nadchodził. Król Bolesław gniewnym już był na niego. Zawołał komorników, stojących u drzwi, aby go natychmiast przywiedziono.

Naostatek usłyszano krok śpieszny i ciężki, wchodził Mieszko przybrany z niemiecka, strojny, dumny. U drzwi stojącego brata potrącił, mijając i widzieć go nie chcąc — szedł królowi się pokłonić. Nie odpowiadając mu, Bolesław wskazał Bezpryma.

— Skrzywdziłeś brata — rzekł, — źleś uczynił, chcę, byście żyli zgodnie. Podajcie sobie ręce — i niech to będzie zapomniane. Pierwszy teraz, co się porwie na drugiego — przede mną odpowie, jakby nie był synem królewskim, ale prostym buntownikiem.

Zawahał się Mieszko, idący do Bezpryma, który kroku ku niemu od drzwi nie zrobił, lecz przystąpić doń musiał. Zacięte miał dumnie usta, drżał, słychać było oddech piersi ciężki.

Na krok stanąwszy od brata, zatrzymał się Mieszko; groźnie sobie w oczy popatrzali. Bezprym czekał

blady, jak chusta, ale z płomieniami w źrenicach. Król Bolesław każdy ruch ich zdawał się śledzić z zajęciem nadzwyczajnem.

Zawołał na Mieszka:

— Rękę mu podaj.

Dopiero, gdy na ten rozkaz drżącą dłoń wysunął Mieszek, Bezprym wyciągnął ją także. Skoro tylko dotknęli się, jakby w klamrę żelazną Bezprym pochwycił rękę wyciągniętą do rzekomej zgody. Oba co mieli sił, nawzajem, ścisnęli dłonie, a choć Mieszkowi z bólu krew uderzyła do twarzy, nie odezwał się, nie drgnął. Cisnął i on Bezpryma z całą siłą gniewu, lecz podołać nie mógł. Gdy nareszcie rozerwał się uścisk braterski, Mieszko musiał schować rękę, gdyż krew ciekła mu z za paznogci. Była to jakby zapowiedź przyszłości.

Król Bolesław na ten raz nie żądał więcej. Mieszko mu się pokłonił i śpiesznie wyszedł z sypialni. Bezprym stał.

— Idź — odezwał się król — a bywaj codzień u boku mojego i nie kryj się po dziurach, — chcę cię widzieć.

Gdy Bezprym wyszedł, król wstał, oko jego padło przypadkiem na miejsce, gdzie stali bracia, jednając się z sobą. Na świeżo wymytej podłodze białej pięć wielkich kropli krwi, jeszcze nie zaschłej, świeciło.

Wejrzenie Bolesława oderwać się od nich nie mogło. Zrozumiał on, co krew tę wycisnęło, lecz chciał odgadnąć, z czyjej spłynęła ręki. Silnego potrzebował następcy, coby z siebie nie krew dał sączyć, ale ją toczyć umiał.

Ani się dziwił król, iż gniew pałał w braciach i przemógł posłuszeństwo, — chciał tylko pewności, który z nich silniejszy? A gdy w chwilę potem król wszedł do izby zastawionej stołami, gdzie nań oczekiwał zwykły tłum swoich i obcych, ujrzał tam Mieszka przy żonie i Bezpryma wdali osamotnionego, nie poglądał im na twarze, szukał ich rąk, aby się przekonać, która z nich krwawą była... Gdy Mieszko sięgnął do misy, sczerniałe jego paznogcie zdradziły tajemnicę.

W życiu jednak i obyczaju Bezpryma niewielka zaszła zmiana. Zrazu ze swobodą, zwróconą mu, nie wiedział prawie, co począć, ciężyli mu ludzie, wśród których on, syn królewski, stał na pośledniem jakiemś miejscu, zawsze, jakby odepchnięty i wydziedziczony. Gdy Mieszka otaczał dwór świetny i liczny i nadskakiwania tych, co sobie na przyszłość łaski jego zaskarbić pragnęli, do Bezpryma mało kto się jawnie przybliżyć ośmielił, by nie być posądzonym o jakąś niechęć dla wybranego przez ojca następcę.

IX.

Miało się już ku wiośnie, a choć ją w powietrzu czuć było, poczynała się w istocie najprzykrzejsza pora roku; walka ustępującej niechętnie zimy ze słońcem i ciepłem, które się ustalić nie mogło. Śniegi leżały po lasach, zalegały parowy, rzekami płynąć zaczynały kry, ziemia miejscami rozmarzła, w cieniu pokryta była jeszcze lodu skorupą.

Jeden dzień przynosił z sobą wiosnę i cuda czynił, wskrzeszając umarłe rośliny i odrętwiałe drzewa, drugi wracał zimą, szronem i mrozem, sypał śniegiem i zabijał chłodem. Jak dwaj zapaśnicy walczyli z sobą lód i ciepło, śmierć i życie, zwątpienie i nadzieja.

Na łąkach najwytrwalsza trawa zaczynała zielenieć i rosnąć, dobywała się z pod skorup zamrożonych, wytykała ze śniegu, starsze drzewa stały głuche, ledwie ważąc się na pączki. Gdzie niegdzie łozy okryły się kotkami bujno; wczesna wierzba pękała — ale na niebie więcej było obłoków szarych, niż słońca.

Rzadko kto w tej porze puszczał się w drogę, chyba gwałtowna pędziła go potrzeba. Rzeki wzbierały, trudne były do przebycia; gdzie zamróz zszedł, tam konie grzęzły w nieprzebytem błocie, na resztkach lodu ślisko było i niebezpiecznie. Czekali wszyscy, aby wody kry uniosły, ziemia wilgoć wypiła — i słońce wysuszyło drogi.

Ks. Petrek jednak, niespokojny o to, co się tam bez niego działo nad Cybiną, z poleceniami różnemi wyruszył właśnie w tej porze zpowrotem. Po kilkakroć wstrzymywały go rozlane rzeki, parę razy przeprawiać się musiał z niebezpieczeństwem życia, ale gorliwość niezmierna i wiara gorąca pędziły go do celu i dodawały męstwa.

Więc choć wolno, posuwał się jednak ku granicy i naostatek przejechawszy ją, jeszcze silniejszą uczuł gorączkę pośpiechu, aby znowu znaleźć się w swej celi i na straży pilnej około króla, ku któremu pobyt w Magdeburgu jeszcze większą natchnął go nienawiścią. W myśli swej układając, co i jak powie opatowi, zdając z poselstwa sprawę — minąwszy rubież, na pierwszy nocleg zmuszony był stanąć na pustkowiu i skraju lasu, bo nigdzie szopy ani osady dokoła nie było.

Ludzie już mieli szałas klecić dla niego, i miejsca suchego szukali tylko, gdy jeden z nich, puściwszy się dalej trochę, nadbiegł dać znać, iż niedaleko było obozowisko oddziału wojska Bolesławowskiego i że bezpieczniej było a weselej do niego się przyłączyć.

Ks. Petrek, rad się zawsze czegoś dowiedzieć, zwłaszcza po dłuższej niebytności w domu, zgodził się na to chętnie.

Oddział pancerników z trochą piechoty wyprawiony był przeciwko Lutykom, którzy często dopuszczali się grabieży nad granicami. Doniesiono królowi właśnie przez szpiegów, iż zamierzali wtargnąć, a król przybyłego na dwór Jaśka z Tęczyna, który mu się jak na łowy na tę wyprawę prosił — wysłał, aby dać poganom naukę. Byli oni, acz poganie, sprzymierzeńcami cesarskimi i płatnymi jego pomocnikami, zbójecką szajką, śmiałą i okrutną, a dokuczliwą.

Jaśko z Tęczyna radował się temu wielce, iż się z męstwem i przebiegłością popisze, więc choć mu kraj był obcy, dobrał sobie ludzi, opatrzył położenie i stał już parę dni na zasadzce. Tem oczekiwaniem zmęcze-

ni ludzie i on ucieszyli się bardzo, gdy na wieczór zobaczyli swoich, powracających zdala...

Jaśko szczególniej księdzu był rad, a że namiot już miał rozbity i wszystkiego poddostatkiem, pisarza pokornie do siebie jął prosić, ręce jego całując.

Samo poselstwo, o którem zaraz nadmienił, wysokie dało Jaśkowi wyobrażenie o człowieku, którego u siebie przyjmował. Cześć mu więc wyrządzał największą.

Zeszła się do namiotu inna starszyzna, która ks. Petrka znała i widywała w Poznaniu, i wszyscy nader ciekawie wypytywać się zaczęli o podróż i o to, co w Niemczech i u cesarza słychać było.

Wiedział przebiegły ks. Petrek, czem mu tu być należało, co mówić i jakie okazywać usposobienie... Nie kosztowało go to, bo zawsze mówił sobie, iż czynił wszystko na chwałę Bożą. Przed wojakami króla inaczej jak nieprzyjacielem cesarstwa i Niemców okazywać się nie mógł.

Słuchano go nie bez wielkiego podziwu nad rozumem i pobożnością, jaką okazywał. Gromadka starszych jednak wkrótce się z namiotu rozeszła, bo wieczór był późny, a Jaśko, własne posłanie żołnierskie ustąpiwszy księdzu, sam nieopodal siodło i skórę sobie podłożywszy, legł także do spoczynku.

Ks. Petrek, modlitwy dokończywszy, widząc, że Jaśko nie śpi jeszcze, a czaty za chwilę ma obchodzić, sam też do snu nie śpieszył i zagaił rozmowę znowu, pytając, coby na dworze słychać było.

Jaśko niedługo tam bawił, bo zaledwie przybywszy, korzystał z wyprawy, aby się do niej przyłączyć: wiedział jednak, iż król Bezpryma do większych łask przypuścił, i że to powszechnie wpływowi pięknej Ody przypisywano, która się nad losem pognębionego ulitowała.

Wiadomość ta zajmować się zdawała ks. Petrka, dopytywać zaczął pilno o inne wieści. Przed Jaśkiem nieinaczej się malował, tylko jako pokorny sługa opata Arona, posiadający całe jego zaufanie.

Wybadawszy o Bezpryma, wtrącił wnet z ubolewaniem nad tem, iż pokrewni Jaksów i cała rodzina tak się od króla usuwała... Mówiąc to, czy z umysłu, aby wypróbować Jaśka, czy przypadkiem — ks. Petrek odezwał się dwuznacznie, iż tem gorzej czynili, gdy — jak powszechnie i nie bez przyczyny utrzymywano — Jaksowie straceni nie zostali, a do czasu się przechowywali.

Usłyszawszy to, Jaśko, pewnym już będąc, iż ksiądz jest do tajemnicy przypuszczonym, rozśmiał się głośno i znacząco. Uderzyło to ks. Petrka.

— I wy tak sądzicie? — odezwał się, podnosząc z posłania głowę.

— A jakżebym inaczej mógł — odparł Jaśko — kiedym ich na własne oczy oglądał i mówiłem z nimi.

Ks. Petrek palec położył na ustach, dając mu znak milczenia.

— Juścić wiem, przed kim to mówię — ozwał się Jaśko,—bobym tajemnicy ich nigdy w świecie nie zdradził. Wam przecie nietajno, co opat czyni, a on ich, wyswobodziwszy, wysłał do Tyńca, gdzie do czasu prawdziwą pokutę odsiadują, boć rycerzowi klasztor ciężka to rzecz...

Gdyby nie mrok w namiocie, byłby może sam poznał nieopatrzny Jaśko, jaką radością napełnił serce ks. Petrka, czyniąc przed nim to zwierzenie, tak dla niego pożądane. To, czego na żaden sposób nigdzie pochwycić nie mógł, mimo całej przebiegłości swojej ks. Petrek, łacno mu teraz niespodzianie wpadło w ucho... Miał to za cud Opatrzności...

Nie dając znać po sobie, jął rozpytywać ostrożnie, co i jak poczynali sobie Jaksowie.

— Nudzą się srodze biedni, iż litość nad nimi bierze — odezwał się Jaśko z Tęczyna. — Choć naprawdę nie powinniby się za klasztorem ukazywać, wyprosili się u przeora, że im choć do lasu trochę dozwolił wybiec. Tam dzik podciął nogi koniowi młodszego i mój stryj, zapamiętały poganin, naskoczył na nich, gdy właśnie dobijali zwierza. Wziął ich z sobą w gościnę,

a tam i ja z nimi się zetknąłem, czemu zrazu nieradzi byli, bo się srodze lękali, by ich kto nie zdradził.

— I słusznie to czynią — dodał ks. Petrek — nie o ich tylko skórę idzie, ale o tych, co ją ocalili. Król pan nasz miłościwy, jak łaskaw jest i szczodry dla tych, co mu służą wiernie, tak nieubłaganym dla nieposłusznych. A na Jaksów był mocno zażalonym i gniewnym, więcby też i tym, co mu zemstę jego wychwycili, łaskaw nie był.

Tak wydobywszy z Jaśka, co się tylko dało, rad niezmiernie, układł się ks. Petrek, osobliwszą modlitwą dziękując Świętym Pańskim, których relikwje wiózł z sobą — iż mu tak ważną odkryli tajemnicę.

Nazajutrz, gdy pancernicy odciągali ochoczo i śpiesznie z obozowiska, ksiądz ze swoją garstką ruszył do Poznania, z sercem rozradowanem, przemyślając tylko nad tem, jak z tajemnicy skorzysta.

Zdało mu się, iż królowi zaskarżyć ani opata, ani tych, co mu pomagali, nie było bezpiecznie; pierwsza próba go o tem przekonała; postanowił więc na inny sposób spożytkować wiadomość, okazując opatowi Aronowi, jak niesprawiedliwie krył się przed nim, zamiast ufać mu całkowicie i na pomoc przyzywać. Tajemnica ta mogła być bronią w ręku jego dla otrzymania od Arona — co najmniej jakiego daru królewskiego.

Chociaż ks. Petrek sam dla siebie potrzebował mało, cenił jednak nabytek, bo umiał go na cel, do którego dążył, używać.

Z temi myślami, po ciężkiej podróży, która, choć w znajomym kraju, łacno nie poszła dla roztopów okrutnych — dojechał naostatek ks. pisarz do Poznania, a stanąwszy u drzwi swej celi, gdzie go zaraz Harno poszedł przywitać... Bogu podziękował, że go szczęśliwie doprowadził.

Spytał natychmiast o opata, i oznajmiono mu, iż na dworze się znajdował. Wnet też ktoś pobiegł z wieścią o powrocie.

Ks. Petrek nie miał jeszcze czasu sukni zrzucić podróżnej, gdy opat Aron we drzwiach się ukazał.

Podbiegł ku niemu z przyklęknięciem, witając go, jakby nadzwyczaj przejęty i poruszony ks. pisarz.

— Śpieszcie się przeodziać — bo król czekać nie lubi, a już wie o powrocie waszym i wnet się przed nim stawić musicie. Ja nie pytam was o nic — posłyszę, co przyniesiecie przed króla.

Westchnął ks. Petrek.

— Czcinajgodniejszy panie — rzekł, — nieszczęśliwe to było owo poselstwo moje. — Zawczasu wiedziałem o tem, iż nie sprawię nic — przecie posłuszny jechać musiałem, wypić ten kielich goryczy...

— I z niczem was odprawiono? — odezwał się opat.

Ks. Petrek ręce rozwarł szeroko.

— Nie mogę tego powiedzieć — odparł — półgębkiem mi obietnice czyniono, bom nalegał mocno, a czy onym przyrzeczeniom ufać można — cóż ja wiem?

— Jeszcze stał opat, gdy nadbiegł drugi posłaniec od króla, ks. Petrka wzywający natychmiast przed niego.

Opat wyprzedził posła.

Król siedział sam za stołem w izbie, którą radną zwano. Była ona przeznaczoną na zwoływane narady dwunastu wojewodów pańskich. Na ścianach jej wisiało dwanaście malowanych tarczy i dwanaście siedzeń rzezanych z drzewa misternie stało dokoła stołu. Największe, purpurą okryte, dla króla było przeznaczone, nad którem też i tarcza złocista i dwa wielkie miecze zawieszone były.

Gdy się drzwi otwarły i wszedł opat, podniósł król głowę, badając go oczyma. Aron przystąpił aż do ucha pańskiego i pocichu szybko coś mówić począł, jakby chciał ostrzec i przypomnieć. Skinął nań Bolesław, że go zrozumiał.

Gdy wszedł ks. Petrek, opat stał już opodal i patrzał przez roztworzoną okiennicę.

Król pobożnie, z uszanowaniem ks. Petrka przywitał.

— Mówcie bez ogródki, co wieziecie z sobą — zawołał król — miodu dla osłodzenia piołunu nie potrzebuję... Cóż Geron?

— Najmiłościwszy panie — odezwał się ks. Petrek. — Zrazu i mnie i miłości waszej prośbę przyjęto niełaskawie. Pracowałem nad tem, aby wielkie stąd dla kościoła i cesarstwa korzyści okazać, jeżelim nie przekonał i nie nawrócił, wina w tem nie moja. Wymogłem tyle, iż mi przyrzeczono wstawienie się do cesarza uroczyście... lecz arcybiskup za skutek tego nie poręcza...

— Byleby uczynił, co przyrzekł — odezwał się król.

Tu począł dopytywać o cesarza i pobożną Kunegundę, małżonkę jego, o innych powinowatych cesarza i duków a margrafów, których ks. Petrek mógł widzieć w Magdeburgu, o Guncelina, przyrodniego brata swego, wreszcie o wiadomości z Włoch i zwycięstwa nad Saracenami i t. p.

Ks. Petrek rad, że rozmowa się na ten tor zwróciła, obszernie rozszerzać się począł, szczególniej nad potęgą cesarza i świątobliwością czystego jego żywota, która go zawczasu w poczet błogosławionych zaliczyć dozwalała.

Trwało opowiadanie dość długo, poczem Bolesław, łaskę swą ks. Petrkowi za jego trudy przyrzekając, dla spoczynku go odprawił.

Ks. pisarz jednak, acz znużony, nie pomyślał o nim tak rychło... Wnet pozwać do siebie kazał Harna i badał go długo, aby niebytność nagrodzić, a wieści ze dworu pochwycić. Najpilniej wypytywał o Bezpryma, jak się on teraz znajdował i co czynił.

Nazajutrz ks. Petrek wyszedł z domu rano pozdrowić znajomych; przy tej zręczności upatrując, ażali tam i opata w celi, którą często dla nabożeństwa zajmował, nie zastanie. Chciał się dowiedzieć, ażali pod jego niebytność ten, który go z Trzemeszna miał zastępować, sporządzał pismo jakie.

Kodeks też ów, dla opata przysłany, niósł z sobą. Aron owego zastępcę pisarza, choć był pewien, iż z ni-

czem się, ostrożnym będąc, nie wymówi — tegoż rana pod pozorem potrzeby klasztoru, nazad odprawił.

Z kodeksem, który przyniósł w ręku, ks. Petrek wsunął się do celi. Zobaczywszy go, uradowany Aron natychmiast pochwycił skarb drogi. Dziękował ks. pisarzowi, iż mu w całości dowiózł tak pożądany nabytek.

— To podobno — odezwał się ks. Petrek — najpiękniejszy owoc mojej podróży... niewiele mam nadziei, aby u Gerona prośby nasze skutkowały...

Jeszcze kilka słów wtrąciwszy, ks. Petrek, jakby sobie przypomniał, zbliżył się do opata i uniżenie w rękę go pocałowawszy, szepnął:

— Czcinajgodniejszy panie, żal mam do was...

— Do mnie?

— Tak jest, żal w tej sprawie Jaksów, z której dla mnie uczyniliście tajemnicę, jakgdybym ja, stary, wierny, pokorny wasz sługa, na żadne nie zasługiwał zaufanie.

Opat chciał przerwać, ks. Petrek podchwycił żywo.

— Przecież wiem o wszystkiem dobrze, tak jak o tem i innych wielu wie, że do Tyńca wysłani zostali przez przewielebność waszą...

Opat Aron, mimo obawy, jaka go ogarnęła, nie okazał nic po sobie. Wzrokiem zimnym przeszył mówiącego.

— Mój ojcze — odparł spokojnie, — ja własne tajemnice zwierzam wam chętnie, ale c u d z y c h — nikomu.

To mówiąc, cofnął się nieco opat i dodał pocichu:

— Rozumiecie mnie? I na tem koniec niech będzie.

Ks. Petrek, którego znowu nadzieja zawiodła, zamilczał. Opat wziął w rękę przywieziony kodeks, zdawał mu się przypatrywać chwilę, odniechcenia po chwili wtrącając:

— Nieszczęście to jest ta grzeszna ciekawość ludzka, która wszędzie się wcisnąć pragnie, oprócz zakątków własnego sumienia... Nieszczęście to jest ten nie-

spokojny język ludzki, który się utrzymać w mierze nie umie, oprócz gdy własne grzechy wyznaje... Więc ta wiadomość o Jaksach tak jest już rozpowszechniona?

— Niestety! — odezwał się ks. Petrek.

— Skądże do was ona doszła? — badał opat, ciągle się kodeksowi przypatrując.

— Waszej przewielebności taić tego nie będę... W podróży spotkałem oddział pancerników królewskich — mówił protonotarjusz — jednym z jego oddziałów dowódcą był Jaśko z Tęczyna, a ten na własne ich widział oczy. Snać się wcale nie wystrzegają, bo się z nim kędyś na łowach spotkali.

Oburzony opat wzdrygnął się i nie rzekł już ani słowa. Ks. Petrek, wyczekawszy, miał odchodzić, gdy mu szepnął:

— Proszę was, nie powtarzajcie tego przed czasem. Wszystko się to, da Bóg, inaczej skończy, niż ludzie sądzą, ale chwila jeszcze nie przyszła...

Więcej nie dodał opat i odprawił pisarza, zaraz po jego wyjściu ryglując celę ze środka.

Wiadomo mu było, że nadesłany kodeks w okładce zawierał wiadomość o postępowaniu, mowach i pobycie ks. Petrka w Magdeburgu. Rozciął wewnątrz okładziny i wydobył z nich ów kawałek „greckiego pergaminu", na którym drobnem pismem stała relacja pożądana i natychmiast odczytywać ją zaczął.

Chociaż znał dobrze księdza protonotarjusza, nie spodziewał się, aby on tak jawnie przeciw królowi śmiał występować i do rad przeciwko niemu należeć. Oburzył się, czytając, westchnął — lecz cel był osiągnięty. Arcybiskup mógł się łudzić, że innemi drogami o koronę Bolesław się starać nie będzie.

Do myślenia też dawała wieść, przywieziona o rozgłoszonem ocaleniu Jaksów, które spokojności królowej zagrażać mogło. Z tego stanu niepewności wyjść było potrzeba.

Pobożny opat westchnął, szukając w myśli środka, jakimby mógł przyśpieszyć rozwiązanie, wypra-

szając łaskę dla Jaksów, a przebaczenie dla świątobliwej pani, co im ocaliła życie.

Do trosk opata przybyła nowa, gdy się tegoż dnia dowiedział, iż grecka niewolnica, którą Jaksa był wywiózł z Kijowa, wzięta na dwór królowej, nagle znikła.

Zdało mu się koniecznem naradzić z królową Emnildą, nie wyjaśniając jej wszakże obawy swojej. Ucieczka Antonji była dostatecznym pozorem.

Dnie królowej upływały całe niemal na modlitwie i dobrych uczynkach. Zmuszona pokazywać się na dworze, trwała tylko na nim tak długo, jak mąż wymagał, śpiesząc do swojej kaplicy, do tumu, lub do ubogich, których karmiła i okrywała. U drzwi jej przez cały niemal dzień cisnęły się gromady najbiedniejszych, dla których zastawiano stoły, rozdawano im odzież, darzono wszelaką jałmużną.

Korzystali z tego i ci, co niebardzo godni byli pomocy, lecz byle się kto umiał przeżegnać, miał prawo do miłosierdzia. Zwykle kapłan przy tem lub sama królowa nauczali modlitwy Pańskiej, dziesięciorga przykazań i najgłówniejszych wiary artykułów. Nie tylko w Polsce, ale w Niemczech, długo po przyjęciu wiary chrześcijańskiej lud zaledwie zewnętrzne jej znał cechy, powoli musiała ona wnikać w oddalone zakąty, tam zwłaszcza, gdzie kościołów i klasztorów brakło. Królowa więc też nieustannie apostołować musiała, a dobroczynność połączona z apostolstwem była najlepszym środkiem nawracania.

Nadchodzący opat znalazł królowę Emnildę, jak zwykle, otoczoną ubogimi i odmawiającą dla nich modlitwy, które oni za nią powtarzali. Poprzedzało to zawsze rozdawanie pokarmów, napojów, krzyżyków i szat, jako widomych znaków przyjęcia do chrześcijańskiego społeczeństwa.

Ujrzawszy opata Arona, zwierzyła starszej niewieście rozdzielenie jałmużny, a sama weszła z nim do swej komnaty.

— Miłościwa pani — rzekł opat, wchodząc — do-

wiedziałem się o ucieczce Greczynki Antonji. Ludzie mówią, że poszła szukać Jaksy przez przywiązanie do niego, zatem, że się o jego ocaleniu dowiedziała... Tajemnica się nie daje utrzymać...

— Posądzam Teodorę — szepnęła królowa, — że ona, pocieszając ją, mogła nieostrożnem słowem się zdradzić.

— Toby jeszcze było najmniejszem złem — rzekł opat Aron; — lękam się, by i więcej ludzi nie domyślało się.

— Mój ojcze, a gdyby się domyślali?...

— Królby się mógł dowiedzieć...

— A gdyby się dowiedział? — powtórzyła królowa z rezygnacją. — Niech się dzieje wola Boża... Niema tu nikogo winnego, oprócz mnie, a ja na karę wszelką jestem gotową i w sumieniu spokojną...

Skłonił się opat.

— Miłościwa pani... miłościwa pani... — odezwał się — inaczej radzić trzeba... tak, by król wdzięczen ci był, a nie gniewny, ażeby za dobry uczynek dziękował, a nie karał!... Do tego, zda mi się, przyprowadzimy go, gdyż codzień mu Jaksów żal więcej...

— Cóż czynić radzicie? — spytała Emnilda.

— To, co i ja sam codzień czynię i czynić nie przestanę — mówił opat Aron — wspominać mu Jaksów, budzić po nich ból i żal, dzielność ich i wierność chwalić, utyskiwać, żeśmy tak pożyteczną dla pana naszego stracili siłę...

— Nie śmiem... drżę, gdy ich wspomni kto... — przebąknęła królowa — spuszczam oczy, by mojego kłamstwa nie wydały...

— Król sam — dokończył opat — często teraz ich wspomina, więc tylko mu potakiwać...

Zmilczała pobożna pani.

Tymczasem, jak się to często zdarza, że złym szyki miesza niewidzialna ręka... tego, czego uczynić nie chciała królowa, podjęła się Oda, z zamiarem szkodzenia tej, której miejsce tak jej zająć było pilno.

Usłyszawszy o ucieczce Antonji i o domniemanych

jej powodach, tegoż dnia przy biesiadzie głośno poczęła przy królu mówić o Jaksach, z oczu nie spuszczając królowej.

Wzdrygnęła się i zarumieniła Emnilda. Opat podchwycił zaraz, występując z żalem i pochwałami dla rycerzy. Królowa ośmielona rzuciła słówko.

Przy stole pańskim nie było nikogo z obcych. Siecieh stał tylko, siedział Mieszek i Ryksa. Reszta dworu przy osobnych stołach głośno się zabawiała. Gdy się mowa rozpoczęła o Jaksach, nachmurzona twarz króla zasępiła się zaraz, okiem potoczył dokoła. Słuchał, nie mówiąc nic, długo. Gdy się już prawie nie spodziewano, by się o nich miał odezwać, potrząsł głową i począł półgłosem.

— Niema dnia, ażebym ja sam nad losem Jaksów nie bolał... żebym nie przypomniał, jacy byli rycerze dzielni, a mnie wierni słudzy... Straciłem ich... nie dosyć na tem, tracę codzień wszystkich, co należą do rodziny... Uciekają mi, a ci, co zostali, serca do mnie nie mają... Gniew jest złym doradcą!...

Westchnął król, milczała Emnilda, jakby siły w sobie szukając.

— Miłościwy panie mój, — rzekła — święci czynią cuda... módlmy się, może który z nich dla nas też cud uczyni i z martwych ich wskrzesi.

Bolesław smutnie głową potrząsł.

— Nie wiem ja, ażalim godzien cudu takiego — odezwał się. — Jeżeli kto, to wy, świątobliwa niewiasto, moglibyście go wyprosić... Zaprawdę, z duszybym wam za to był wdzięczen. Spadłby mi z sumienia ciężar wielki, poweselałoby koło mnie... A no... poco mówić o tem, co się nigdy stać nie może!...

Wtem opat przerwał.

— Bóg jest wszechmogącym — rzekł — jestże niepodobieństwem Temu, co świat stworzył z niczego, wskrzesić człowieka, choćby był umarłym?

Bolesław popatrzał nań zdumiony.

— A cóżbyś uczynił — dodała, ośmielając się, Emnilda, której twarz rumieńcem pałała — cobyś uczynił,

panie mój, gdyby się stał cud taki? Cobyś zrobił ze zmartwychwstałymi?

Królowi dziwna ta rozmowa przykrą się być zdawała, lecz w miarę jak się przeciągała, budziło się w nim podejrzenie czy ciekawość. Ostatnie słowa przyjął zadumany, wzrokiem pilnie badając żonę i opata.

— Cobym uczynił — rzekł zwolna, rozmyślając. — Możeszże wątpić, iżbym im przebaczył, jak ojciec, i do łaski przywrócił, aby zapomnieli, co przecierpieli?... Bogdajbym ich mógł z sobą wziąć do łaźni i sam na sam dać im naukę, aby więcej nie broili... a potem u stołu posadzić poczestnie...

Z nimi powróciliby mi wszyscy ich powinowaci, do rady i do boju... wszyscy starzy druhowie moi, co przy mnie i za mnie krew leli... O! jakażby to była uroczystość wielka i święto!... Ale... przewielebny ojcze — zwrócił się do opata Arona — Bóg takich cudów nie czyni dziś.

— Dlaczegóżby dziś nie mógł uczynić, co wczoraj czynił? A jest-li kto godniejszy takiego cudu nad miłościwą panią naszą... Niech ona się modli... ja w cud wierzę.

Królowi dziwnie wesoło zaświeciły oczy.

— Emnildo moja! — zawołał. — Twoim modlitwom się polecam! Módl się!...

To mówiąc, nie czekając odpowiedzi, król powstał od stołu, widocznie weselszy i jakby ożywiony.

Oda, która w milczeniu słuchała całej rozmowy, rozgorączkowana i gniewna, bo król na nią nie rzucił już nawet okiem, odstąpiła natychmiast, do siebie żal mając, iż niepotrzebnie o Jaksach tych napomknęła. Inni też zdala pochwytawszy słowa króla i Emnildy, rozmaicie je tłumaczyli. Stojący nieopodal Harno starał się zapamiętać wszystko i natychmiast z doniesieniem pobiegł do ks. Petrka.

Siedział ks. pisarz u pulpitu i bawił się około pergaminu jakiegoś, gdy komornik wpadł zdyszany.

— Ojcze! — zawołał. — Na moje uszy słyszałem, mówiono za stołem królewskim o Jaksach. Opat utrzy-

mywał, iż Bóg cud uczynić może i wskrzesi ich za wstawieniem się jakiego świętego... Możeż to być?... To wybyście mogli mojego brata wskrzesić, a mnieby z sumienia spadł ciężar... i nieboszczyk przestałby mnie prześladować...

Ofuknął go ks. Petrek, iż nie do rzeczy prawił. Zaklął się Harno, iż własne opata słyszał wyrazy, dodając, iż król samą myślą, jakoby z grobu powstać mogli, tak był rozradowany, jakby już ich żywymi widział.

Szeroko o tem mówiąc, powtarzając się, Harno nie zbyt zrozumiałym się stał i zarobił tylko na połajanie u ks. Petrka, którego jednak rozmowa ta trochę zaniepokoiła.

Skorzystał z wieczornego obchodu komnat niewieścich, aby się dostać do Ody. Był pewien, że od niej się o tem więcej dowie.

Zastał ją rwącą z gniewu nici, któremi szyła, i rzucającą kłębkami. Gdy się zjawił ks. Petrek, cisnęła ostatni i zerwała się od krosien.

— Zbiera się na dziwne sprawy—zawołała żywo— królowa wskrzesić myśli tych, co nie pomarli... króla jak dziecko wodzą i bałamucą, a on się im daje oszukiwać!... Jacyś święci Jaksów z grobu wyprowadzą!... zrobią cud!... Słyszeliście? Opat zaręczył, iż się takie cuda dzieją! Tylko co nie widać, jak ich tu sprowadzą...

Ruszyła ramionami.

— Królowa, której należała się kara, otrzyma za to podziękowanie i cześć!... Któżby się tego mógł spodziewać!... — mówiła Oda gwałtownie. — Król zesłabł...

— Jestże to prawda, o czem mówią, jakoby się gotowało? — zapytał pisarz. — Możeż to być?

— Zdaje się... kiedy króla próbowali... — rzekła Oda. — A! mnie już ten dwór i to wszystko dojadło. Wrócę do ojca... nie mam tu siedzieć czego, ani na co czekać...

Zamyślił się ks. Petrek.

— To rzeczy śliskie... — szepnął, — trzeba cze-

kać... a z drogi nie schodzić... Tak życzę... Zobaczymy! Kto króla zna?... Dziś on łagodny, a jutro może być wściekły, gdy sobie lekceważenie swych rozkazów przypomni...

Zamilkła Oda. Cichy szept jakiś zakończył rozmowę i ks. Petrek posunął się dalej.

Gdy się to działo u margrafówny, królowa się gorąco modliła, oczekując na opata. Wstała, ujrzawszy go wchodzącego i upadła przed nim na kolana. Twarz jej promieniała radością niezmierną.

Opat Aron, choć wzruszony, twarz miał niezmienioną, na której zawsze jeden spokój, niezakłócony nigdy niczem, się malował. Radość go nie rozjaśniała więcej, smutek nie gnębił widomiej.

— Mów, ojcze, co teraz czynić mamy? — zapytała królowa.

— Wysyłam natychmiast, dziś jeszcze, do Tyńca— odezwał się Aron — aby Jaksowie przybywali.. Gdy tu staną, ty, miłościwa pani sama, ty jedna możesz rzucić się z nimi razem do nóg króla pana naszego... niema wątpliwości, iż im przebaczy, że wieczną wdzięczność zachowa dla was... Ja pilno będę stać na straży, aby jaki wpływ obcy nie popsuł tego, co się tak szczęśliwie uczynić dało. Bogu cześć i chwała!...

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom VIII

J. I. KRASZEWSKI

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY

POWIEŚĆ Z CZASÓW CHROBREGO

CZĘŚĆ III

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Po pierwszej swej wycieczce do lasu tak nieszczęśliwej Jaksowie nie śmieli już wypraszać się więcej za furtę klasztorną. Nie tyle się lękali Domosula, który nie widywał nikogo, jak nieco lekkomyślnego Jaśka z Tęczyna, — i nie bez przyczyny. Nie przeczuwali jednak, że to, co mogło być niebezpieczeństwem, szczęśliwym obrotem do przyśpieszenia ich wyzwolenia przyczynić się miało.

Życie klasztorne, zrazu tak straszne, znośniejsze się z każdym dniem stawało. Wszyscy ojcowie, z którymi się choć trochę rozmówić mogli, byli dla nich tak uprzejmi, tak weseli, tak dobrej myśli, że, obcując z nimi, mimowoli pozbywali się smutku.

Młody Odo był im tłumaczem i przewodnikiem, kilku też innych zakonników potrosze się już rozmówić umiało. Nie zbywało na przedmiotach obudzających ciekawość. Klasztor był ich pełnym. Każdy niemal z braci św. Benedykta miał jakieś zajęcie. Chodząc po celach, mogli się przypatrywać ze zdumieniem, jak się w rękach wprawnych kruszce w żądane kształty wyginały posłuszne, jak się w ogniu topiły bezbarwne mieszaniny, żywemi krasząc kolory.

Andruszka mniej był ciekaw tych rzemiosł, które za poślednie majsterstwa uważał, niegodne, by się niemi wojak zajmował; Jurgę zajmowały te tajemnice i bawiło przypatrywanie się zajęciom rozlicznym mnichów. Szczególny jednak urok miało dlań pismo, te znaki nieme, tajemnicze, które myśl, w sobie spowi-

niętą, mogły nieść na drugi koniec świata i w wieki odległe.

Nie przystało mu uczyć się go, lecz lubił patrzeć w wielkiej izbie, gdy wszyscy ojcowie zajęci byli wielką robotą, jak to tam szła praca, podziałem raźnie i pięknie. Niekiedy z ochotą ofiarowywał się braciszkom do zajęć pośledniejszych, a oni śmiali się wesoło z tego niezgrabnego nowicjusza.

W klasztorze benedyktynów, w którym przepisywanie rękopisów było niemal głównem zajęciem, dzieliła się praca na kilka rąk i głów, począwszy od najpośledniejszej do najważniejszej i najzawikłańszej. Jurga mógł się tu przypatrywać, jak o. Arnolf, staruszek niezbyt już silny i przygarbiony, nic więcej nie robił, tylko przygotowywał atrament i kolory. Cały dzień czuwał nad niemi, odświeżał je, rozrzedzał, dosypywał, dolewał. Znano go nawet lepiej pod nazwą Atramentariusa, niż pod jego imieniem zakonnem.

Drugi braciszek, siedząc u okna, strugał trzciny i zacinał pióra. Ten miał młodsze oczy i pewniejszą rękę.

Jak każdy inny, tak i on od piór mógł być oderwanym każdej godziny i do noszenia wody, albo nawet rąbania drew i szedł z takim pośpiechem a ochotą, jakby do najmilszej sprawy.

Osobny stół miał ojciec Teodoryk, który pergamin czyścił i wygładzał. Tu i siły było potrzeba i zręczności. Nad niejedną buntowniczą skórką dobrze się musiał namęczyć, lecz pociechę też miał, gdy szorstka i twarda — w rękach jego stała się śnieżystą i połyskującą. Z niej dopiero inny brat wycinał pod miarę równe kartki, przeznaczone do złożenia kodeksu. Z jednego kawałka szły często i ogromne karty do chorałów i graduałów, i malutkie zrzynki na pośledniejsze użytki.

Ze stołu tego przechodził pergamin do ojca Rubryki. Ojciec Rubryka siedział wygodnie i czerwonemi linjami kreślił na białych kartkach przyszłe wiersze rękopismu. Dowodził on, jak zresztą każdy z ojców, iż

najważniejszą ze wszystkich spełniał czynność. Śmiejąc się, jedni po drugich dopominali się uznania, iż gdyby nie oni, nie byłoby rękopismów... a w istocie wszyscy się na nie składali.

Kilku młodszych braci pisało i nad nimi Jurga stawał najdłużej, przypatrując się z podziwieniem jak pod ich palcami rodziły się te znaki dziwnie powyginane, niektóre rozrosłe, wystrojone w purpurę i złoto, otoczone floresami, jak dworem jakim, poczwarkami, stworzeńkami, dziwacznemi wzory. Czasem jeden z piszących zostawił miejsce próżne na tego magnata drugiemu bratu, który najzręczniej umiał wypieścić naczelnika liter i wystroić go odświętnie.

Jurga te wielkie głoski nazywał królami i książęty, resztę wojskiem, co szło za niemi.

Cóż dopiero było mówić, gdy wypadła cała karta zamalowana figurami, których znaczenie tłumaczyli mu ojcowie. Tu trzeba było misterstwa wielkiego i barw rozlicznych i świetlnych. Nie jeden raz zmęczył się biedny kunsztmistrz na to, aby wkońcu westchnąć boleśnie, znajdując dzieło swe innem, niż je w duszy nosił. Boleść Chrystusowa nie dość mu była bolesną, piękność Matki Boskiej nie dosyć piękną, anioły nie dosyć powietrzne... Więc smucił się on, drudzy go pocieszali, a Jurga podziwiał, jak ręka ludzka w tak drobnych rozmiarach tyle pomieścić mogła.

Szło potem dzieło pracy rąk tylu do tego, co je czytał po głosce i poprawiał, mozoląc się więcej może, niż ten, co je napisywał.

Naostatek w rogu pod oknem siedzący staruszek z pomocnikami wiązał rozpierzchłe karty, zbijał je w całość, okrywał okładzinami, do wartości kodeksu zastosowanemi.

I tu było się czemu napatrzyć, bo choć często prosta deska drewniana służyła dla ochrony, obciągano ją kosztowną materją jedwabną, obijano je klamrami srebrnemi i mosiężnemi. Rękopisma, przeznaczone dla książęcych i pańskich kaplic, ubierano w kość słoniową, blachy srebrne i kamienie drogie.

A gdy w pocie czoła wywiedziona na świat księga skończoną była i odnieść ją miano do przeora, cóż to za radość była!

Nikt powiedzieć nie mógł, ażeby ten skarb drogi był jego dziełem. Składali się nań wszyscy. Może też zwyczaj tego podziału pracy u ojców benedyktynów miał na celu właśnie, by nią żaden dumnym być nie miał prawa.

Wiadomo z reguły zakonnej, iż ilekroć przełożony spostrzegał, że braciszek zręcznością w kunszcie jakim mógł się wbić w pychę, odejmował mu tę pracę, a dawał inną, aby pokorę przypomniał i nauczył jej.

Jurga bawił się z braćmi i zabawiał ich razem. Nie wzbraniano mu przesiadywać w tej izbie, którą był sobie upodobał. Znajdował go tu często przeor i uśmiechał mu się, zapytując, czy się też czego nie nauczył.

— Nic, przewielebny ojcze — śmiał się wojak sam ze siebie, — jedno co umiem, to krew czerwieńszą od najpiękniejszych z tych farb przelewać...

— A żebyś to wiedział, jakie śliczne rzeczy, jakie ciekawe nawet dla rycerza, znajdują się w tych skórkach, — mówił przeor — jakie tu się opisują przygody osobliwe, czyny wielkie, boje sławne...

Odo, który był temu przytomny, dodał pocichu:

— Żeby nasz gość mógł przeczytać lub usłyszeć tę śliczną historję Walthera, którą mnich w San Gallen tak pięknie wierszem opisał.

— Tem ciekawszaby ona dla niego była, — dodał przeor — iż tu pono na Tyńcu ów Walther swe życie miał zakończyć...

— Historję Walgierza Wdałego? — przerwał Jurga. — Już mi Jaśko z Tęczyna wspominał, ale jej nie znam...

— Tak mówią, że ów Walther i Walgierz jedną są osobą... — dodał przeor. — Baśnie o nim prawią! Najpiękniejsza jednak ta, którą nasz brat z San Gallen ułożył wierszem, godnym dawnych poetów...

Tego dnia skończyło się na pobieżnej wzmiance

o Walgierzu, lecz Jurga, wyszedłszy z bibljoteki, zaniósł znudzonemu Andruszce wiadomość o historji, o której mu wspomniano, a ten mocno się nią zajął, jako czyny rycerskie i nadzwyczajne przygody opiewać mającą.

Nieszczęściem trudno tu było kogo uprosić, coby płynniej mógł zrozumiałym językiem wytłumaczyć braciom poemat o Walgierzu. Odo, choć dobrej woli, źle mówił po polsku, inni ani czasu, ani języka po temu nie mieli.

Jurga, chodząc do księży, ciągle się o tego Walgierza dopytywał. Ten i ów coś mu więcej o nim przebąknął, lecz tylko ciekawość podrażnił, a nie zaspokoił. Aż przeor, śmiejąc się, litował nad Jurgą, iż tak pięknej baśni nie będzie mógł poznać, gdy przypadek nastręczył niespodzianego i ochotnego pośrednika między spragnionymi a niedostępnem dla nich źródłem.

Jednego dnia Odo wbiegł z oznajmieniem o księdzu z Krakowa, który się ofiarował wieczorem, w izbie gościnnej opowiedzieć im szeroko dzieje owego pana na Tyńcu tak sławnego w świecie całym.

Andruszka szczególniej się tem ucieszył; lubił on bardzo słuchać nawet baśni starych dziadów i opowiadań bab starych, cóż dopiero, gdy mu rycerskie dzieje obiecywano.

Oczekiwano spełnienia obietnicy, a gdy godzina wieczorna nadeszła, Jaksowie pośpieszyli do gospody, gdzie się znalazł i przeor, ale temu nie o znaną baśń chodziło, ale o przysłuchanie się językowi, którego pilnie wyuczyć się starał *).

---

*) Historja Walthariusa i Heligundy, wierszem łacińskim opisana przez mnicha Santgallen, prawdopodobnie Eckeharda w X wieku, którą wydał J. Grimm i A. Schmeller (1438), a później Edelstand du Méril (1443), przypomina wprawdzie nazwiskiem bohatera i bohaterki nasze podanie o Walcerze (Walgieasu), ale analogja jest tylko w założeniu powieści, której rozwinięcie Grimm nawet nazywa czysto i charakterystycznie słowiańskiem. Idziemy tu za znaną nam starą legendą taką, jaką opisał Paprocki, mało co (w początku) posługując się Walthariusem.

Ów ksiądz z Krakowa w odwiedziny przybyły, niemłody już człowiek, a bywały na świecie i po dworach, wesoło i ochoczo powitał swoich słuchaczów i siadł u komina przy kufelku, zapewniając przeora, iż mu opowiadanie samemu uczyni przyjemność.

— A! zaprawdę — rzekł — godna rzecz posłuchać historji tej, w której niejedna pożyteczna dla ludzi światowych nauka się mieści, szczególniej co do obejścia się z niewiastami i jako losy człowieka zmienne są, a szczęściu własnemu nigdy zawierzać zbytnio, ani go na płochej miłości niewieściej opierać się nie godzi.

Ten tedy Walgierz, pan możny, a komes na Tyńcu, gdy do nas już światło wiary zaglądać zaczęło, a same wojny uczyły, iż na Zachodzie zakwitało rycerstwo i wszelka umiejętność, której my jeszcze doma nie mieliśmy, wyprawił się był dla nauki wojennego rzemiosła i dobrego obyczaju na dwór króla francuskiego. A był mężem urodziwym, roztropnym, odważnym i wszelkiego dobra chciwym.

Przybywszy na dwór królewski, naprzód jął się przypatrywać, jako drudzy z orężem, końmi i w obyczaju sobie poczynali, a łatwo to wszystko pojąwszy i przyswoiwszy, w krótkim czasie innych niemal wyprzedził, tak że go wszyscy wysoko szanować zaczęli. A jako był w latach młodości i krewkości, nie mógł też widzieć codziennie córki królewskiej, Heligundy, nie powziąwszy dla niej miłości gwałtownej. I ta mu też na nią wzajemnością zdawała się odpowiadać, ale zdala tylko widywać się i oczyma z sobą rozmawiać mogli.

Piękna królewna innym też na dworze pozawracała głowy, między którymi odznaczał się szczególniej niejaki Arinald, który u niej wcale łaski nie miał, chociaż pilno starał się o nią.

Walgierz, wiedząc, że mu Heligunda przeciwną nie była, u króla też, jej ojca, o wzięcie się starał i tego sobie zyskać potrafił.

Przyjęty na dwór, otrzymał nawet urząd podczaszego i, u stołu posługując, tem łacniej mógł do kró-

lewnej się zbliżyć, która, przypatrując mu się więcej, coraz serdeczniej skłonną dlań być zaczynała i okazywała mu to jawnie, mając sobie od ojca nadaną swobodę wielką.

Walgierz, chcąc ją sobie bardziej pozyskać, ponieważ z domu wyniósł umiłowanie pieśni i głos wdzięczny, a wiedział, iż niewiasty lubują się w śpiewie, który lepiej od słowa do serca ich przemawia, nocą się podkradał pod okna królewnej, śpiewał i grał na gęśli, jak mógł najwdzięczniej, a Heligunda rada się temu przysłuchiwała.

Trwało to nocy kilka; królewna, pieśniami miłosnemi coraz więcej ujęta, gwałtownie zapragnęła wiedzieć, kto je nucił. Przywołano stróżów z jej rozkazu, dopytując koniecznie, a ci odpowiedzieli, że nie wiedzą i nie znają śpiewaka, który z zakrytą twarzą przybywał i odchodził. Gdy nalegania, aby go wydali, próżne były, królewna kazała wtrącić stróżów do więzienia i zagroziła im, że na gardle będą karani, jeśli nazwiska tego człowieka nie wydadzą. Ci, uląkłszy się, wyznali, iż Walgierz był onym śpiewakiem.

Uradowała się tem wielce Heligunda, której serce rozdwojone było, bo Walgierza już miłowała wprzódy, a pieśniami ją ujął tamten... więc podwójną miłością przystała ku niemu. A gdy się zbliżyli ku sobie i porozumieli, królewna potajemnie zaczęła go do siebie wzywać na rozmowę, co w obojgu poczętą już miłość jeszcze więcej wzmocniło. Postanowili tedy i umówili się do ucieczki, gdyż zezwolenia królewskiego na małżeństwo spodziewać się nie mogli.

Arinald zaś odepchnięty przez pannę, posiąść jej nie mogąc, wyśledził i podpatrzył schadzki i umowy, podsłuchał, że się uciekać sposobili; jako człowiek chytry i przewrotny, nie zdradzając ich przed królem ojcem, wolał skorzystać z tego na inny sposób.

Ponieważ droga uchodzących nieodmiennie przez kraj jego prowadzić musiała, którędy płynęła rzeka znaczna i przewóz na niej był do niego należący, Ari-

nald, pożegnawszy króla, jechał do domu, zasadzkę na uchodzących uczynić postanowiwszy.

Dany był tedy rozkaz surowy przewoźnikom, ażeby, gdy ujrzą z Francji przybywającego rycerza z panną, któremu zapewne śpieszno będzie od pogoni, — inaczej go nie przeprawili przez rzekę, jak żądając za to grzywnę złota. Pewien był, iż Walgierz, posłyszawszy cenę, wda się w spór i kłótnię z ludźmi u przewozu, a tymczasem danoby znać Arinaldowi, który nadbiegłszy, przypartemu do rzeki Walgierzowi pannę miał wydrzeć. Stało się, jak przewidywał, wszakże nie po myśli jego.

W istocie w kilka dni potem śpiesznie uchodząc, przypadł Walgierz do rzeki owej, Renu, zdala głosem pańskim i rozkazującym o przewóz co rychlej wołając. Przewoźnicy, ludzie prości, uląkłszy się rycerza groźnie występującego, zapomnieli o rozkazie i niezwłocznie przewieźli go na brzeg drugi. Zażądali tej grzywny złota, a Walgierz, nie wadząc się, rzucił ją im, aby dalej pośpieszać.

Odbiegł był już od brzegów dosyć, gdy Arinaldowi dano znać, grzywnę odnosząc, iż rycerz z panną już przejechali. Niemiec wpadł wtedy w gniew niezmierny i zebrawszy ludzi czem prędzej, w cwał konie puścił, aby dognać uchodzących, którzy, dla ciężaru, jaki z sobą wieźli, ze zmęczenia zbytniego pofolgowali nieco, i tylko co się byli w miejscu pewnem, bezpiecznem na spoczynek układli, gdy nadbiegł Arinald ze swoimi.

Walgierz, choć się już bezpiecznym sądził, nie domyślając napaści żadnej, jako był rycerz ostrożny, dla wypoczynku wybrał wzgórek, z którego daleko widać było dokoła, aby znienacka go nie zaskoczono. Nie zrzucał pancerza, ani odpasywał miecza, a jeśli zasypiał, na tarczy swej lekszy, Heligunda czuwała; tak naprzemiany odprawiali warty oboje...

Gdy więc Walgierz ujrzał zdaleka Arinalda — wnet go poznał po hełmie, domyślając się, co mu tu gotuje, i Heligundę wraz z końmi za sobą postawiwszy, sam

spokojnie przybycia jego oczekiwał... Chociaż sam był jeden przeciwko kilkunastu Niemcom, nie stracił serca bynajmniej.

Nadbiegł Arinald ze swoimi, powołując zdala.

— Mam cię, zdrajco! Córkę królewską ukradłeś, a przez ziemie moje jedziesz i przewozuś nie zapłacił, głowę mi za to dasz.

— Źleś rzekł — odparł Walgierz. — Królewnej nie ukradłem, anim ją siłą porwał, gdyż dobrowolnie ze mną ujechała, za przewóz zapłaciłem, a głowy ci nie dam, póki jej nie weźmiesz.

Słysząc to i widząc silnego i mężnego rycerza, ludzie Arinaldowi odradzać poczęli, aby raczej okup wziął i dał im jechać, nie stawiając życia na grę niebezpieczną. Lecz Niemiec słuchać ich nie chciał, tchórzami ich obmierzłymi bezczeszcząc.

Pierwszy tedy przeciwko Walgierzowi z orszaku Arinalda wystąpił Gamelo, i tarczę, skórą troistą okrytą, na rękę wziąwszy, włócznię rzucił. Wczas się opatrzywszy, Walgierz uchylił się tak, że na ziemię padła bezsilna, on zaś swoją, w chwili, gdy Gamelo miecza miał dobywać, rękę mu przebił i do konia przygwoździł... Chcąc wyrwać pocisk, raniony cisnął tarczę i lewicą chwycił zań, gdy Walgierz padł na niego i mieczem go przebił, tak że on i koń razem runęli.

Gdy się to działo, stojący najbliżej siostrzan Gamela Gimo, z boleści nad losem zabitego, oburącz dzidę na Walgierza rzucił, który stał nieustraszony i nietknięty.

Oba pociski nic mu nie uczyniły: chybił jeden, z drugiego się otrząsnął Walgierz, gdy Gimo z mieczem nań natarł, lecz ciął napróżno, bo żelazo się oparło, a włócznia Walgierza, pod brodę się wbiwszy napastnikowi, z siodła go wysadziła...

Umierającemu Walgierz wnet uciął głowę, która się na ziemię potoczyła.

Arinaldowi ludzie stali trwogą zdjęci, lecz on tem mocniej się wściekał, a gwałtownej zemsty domagał.

Wystąpił tedy Werinhard z łukiem i strzałami, które od twardej tarczy, ledwie ją drasnąwszy, odpadały.

— Umiesz się zakrywać od strzał — zawołał — nie ujdziesz miecza mojego.

— Czekam właśnie, abyś go dobył — rzekł Walgierz i zarazem konia jego w piersi uderzył. Spiął się koń, Werinharda obalił na ziemię, biorąc pod siebie. Tuż poskoczył rycerz, helm mu zdarł, za jasne włosy pochwycił, głowę podniósł i od karku odrąbał...

Trzy trupy pobitych gniewem okrutnym zapaliły Arinalda, który począł wołać i zaklinać swoich, aby ukarali zuchwalca... Wyszedł tedy po innych Eckedfried, Sas, który możnego pana w swym kraju zamordowawszy, schronienia u Arinalda szukał i na dworze jego przebywał. Począł się Sas odgrażać i łajać, za co mu też Walgierz odpłacił, wyzywając go, aby lepiej mieczem, niż językiem poczynał.

Eckedfried, który miał dzidę całą żelazem okutą, cisnął nią na Walgierza, lecz ta, od tarczy się odbiwszy, zawisła mu na ramieniu, a włócznia Walgierzowa, skruszywszy tarczę jego, rozłamaną na dwoje, w piersi mu się wbiła. Padł Sas, zalany krwią, a rycerz, konia jego ująwszy, odwiódł zaraz na stronę.

Za nim pośpieszył Hadawart, piąty zkolei, a że przez trupy, które zawalały drogę, przystępu nie było i koń skakać się wzdragał, ruszył pieszo przeciwko Walgierzowi. A nim szedł, wyprosił u Arinalda, aby, jeżeli zwycięży, dostała mu się malowana pięknie tarcza, którą Walgierz się zasłaniał.

— Śmiały jesteś i żal mi cię! — zawołał do niego Walgierz.

— A! ty wężu chytry — krzyknął Hadawart — pociski i strzały cię nie biorą, jak żmija opasałeś się wałem... ale cięcia mojej ręki nie ujdziesz. Chcesz dobrej rady? Arinald mi tarczę twą podarował, odłóż ją na bok, abym jej nie popsuł. A podobała mi się bardzo... Nie zwyciężę cię ja, stoją jeszcze insi za mną, którzy wkońcu za wszystkich się pomszczą...

Walgierz jednak, tarczy się pozbyć nie chcąc, na

mężnego przeciwnika czekał, mieniając z nim słowa, któremi wzajem w sobie gniew coraz większy budzili, aż Hadawart przypadł z mieczem. Walgierz włócznią się bronił i silnem pchnięciem z dłoni mu miecz wytrącił; schylił się po niego Hadawart, gdy Walgierz pochylonemu — kark przygniótł nogą do ziemi i przebił leżącego...

Ledwie odetchnąć miał czas rycerz, gdy ujrzał przeciwko sobie lecącego Putafryda z włócznią wymierzoną w ręku. Pocisk gwałtownie rzucony poleciał daleko, aż upadł u nóg królewnej Heligundy, która ze strachu krzyknęła.

— Radzę ci ustąpić — zawołał Walgierz. — Nie uczynisz mi nic!

W gniew wielki wprawiony Putafryd nieopatrznie począł wywijać mieczem, od którego tarcza zasłaniała Walgierza. Zajadły, sam prawie na włócznię mu się natknął i padł zabity.

Siedzący na dzielnym koniu Gerwig zmusił go przeskoczyć przez trupy i zaledwie Walgierz miał czas głowę poległemu uciąć, gdy z obosiecznym toporem frankijskim runął na niego zajadły. Szczęściem wypróbowana tarcza — ciosy odbijała...

Walgierz skrwawiony swój miecz, uskoczywszy, wetknął w trawę, aby osychał, a z włócznią znowu szedł na napastnika. W chwili, gdy Gerwig tarcze swe do góry uniósł, pchnął go i przebił. Wnet, wedle obyczaju głowę odrąbawszy, stanął...

Arinaldowi rycerze, po tylu trupach, już szczęścia i sił nie mieli ochoty próbować, ale on, choć sam do walki się nie śpieszył, począł wołać i pozostałych do boju pędzić...

— Mamyż tak powracać, straciwszy tylu ludzi, — ze wstydem, z rękami próżnemi? Żadnego już niema męża, coby się z tym zmęczonym i okrwawionym zbójem ośmielił próbować.

Walgierz, słuchając, spoczywał.

Hełm mu głowę palił, zdjął go, aby pot z czoła otrzeć i powiesił na gałęzi drzewa, gdy nagle na szyb-

kim koniu nadbiegł nań Randolf i ciężką żelazną sztabą uderzył go w piersi, ale pancerz nie dał jej głębiej przeniknąć. Walgierz pochwycił tarczę, hełmu wdziewać nie miał czasu... i Niemiec, w głowę odkrytą godząc, uciął mu dwa kosmyki długich włosów. Drugi cios odbił Walgierz tarczą, a żelazo wbiło się w nią tak głęboko, iż Randolf wyrwać go nie miał siły. Ujrzawszy to, rycerz pociągnął gwałtownie, i nagle potem padłszy nań, na ziemię obalił.

— Za moje włosy musisz głową przypłacić, abyś się przed narzeczoną tem nie chwalił.

I łeb mu urąbał.

Dziewiąty wystąpił Helmnot, który miał trójzębny pocisk w ręku. Sądził, że cisnąwszy nim, gdy się w tarczę wbije, łacno z nią pociągnie Walgierza i na ziemię rzuci. Świsnął trójzębny pocisk, a Arinaldowi z radości w dłonie klaskać zaczęli, ale Walgierz stał nieporuszony, jak dąb, chociaż trzech ludzi sznur od trójzęba, z całych sił wyprężony, ciągnęli... sam Helmont, — Trog dziesiąty, — Tanast i Arinald jedenasty i dwunasty.

Walgierz się ogromnym gniewem zapalił wkońcu i z odkrytą głową wpadł na Helmonta, naprzód mieczem ciąwszy go przez łeb i kark, i hełm rozłupawszy na dwoje: Trog oplątał się był sznurem od pocisku, i nie mógł pochwycić wczas za oręż, — był więc bezbronny. Walgierz podciął mu nogi i jego tarczę porwał, nim on po nią sięgnąć mógł... Raniony podniósł z ziemi ogromny kamień i rzucił nim z taką siłą, że własną swą tarczę rozbił. Wlokącego się po trawie, aby wyrwać miecz w nią wetknięty, Walgierz dobiegł i rękę mu odrąbał. A tuż oręż swój, złożony na uboczu, śpiesznie wziąwszy, biegł Tunastus, lecz nim się walka rozpoczęła, Walgierz już mu bok rozpłatał...

Trog z odciętą ręką żyw był jeszcze, łajał i sromocił zwycięzcę, czego wytrzymać nie mogąc dłużej, Walgierz dobił go, aby milczał.

Został jeden Arinald.

— Spróbujemyż się, miły towarzyszu — krzyknął

ku niemu Walgierz... — Bywaliśmy na jednym dworze, biesiadowali razem nieraz, znamy się dobrze, aleśmy się z sobą nie mierzyli; chodź więc, popróbujemy się.

Arinaldowi z wściekłości i żalu po towarzyszach, których utracił, mowy zabrakło; konia więc zmuszał, aby po trupach szedł, i skoczywszy z nim nieszczęśliwie, pod nogi niemal Walgierzowi się obalił.

Mógł naówczas rycerz leżącego jednym ciosem łatwo się pozbyć, lecz śmiechem tylko przyjąwszy ostatniego zapaśnika, dał mu czas podnieść się do walki.

— Łatwego nie chcę zwycięstwa — odezwał się — miecza dobywaj!

Gdy tych słów domawiał Walgierz, już Arinald siekł go co siły po puklerzu, napróżno starając się nieokrytego schwycić przeciwnika.

Dał mu czas znużyć się spokojnie stojący Walgierz, aż wreszcie, tarczą go napierając, następować nań zaczął i pchał tak, aż Arinald, na stos trupów oparłszy się, zachwiał się i upadł na nie.

Naówczas schylił się i łańcuchem, który miał na szyi, udusił go, poczem, jak innym, tak jemu głowę od karku odciął, a tarczę rzuciwszy, obrócił się ku Heligundzie, prosząc jej, aby mu dla ochłody wina podała.

— To była — rzekł opowiadający ksiądz — pierwsza przygoda zwycięska Walgierza.

— A zaprawdę — przerwał Andruszka, — my, cośmy też w bojach bywali i na niejedno patrzyli, nigdyśmy nic podobnego na oczy nie widzieli. Człowiek ten musiał mieć siłę nieludzką, oręż nadzwyczajny.

— I miłość dla królewny wielką — dodał Jurga, — bo dla ocalenia jej tak bohatersko walczył!

Uśmiechnął się staruszek.

— W pieśni i bajce łacno się cuda dzieją—rzekł,— chociaż są ludzie, jak to wiemy z podań starych, nadzwyczajną obdarzeni mocą, którym nikt podołać nie potrafi.

— Lecz zważajcie tylko, ażali człowiek, co się na

takie ważył niebezpieczeństwa dla onej królewnej. nie wart był, aby ona mu miłą, a wierną pozostała małżonką? Lecz niewieście serca zmienne są, jak to zaraz ujrzycie.

Zabrawszy tedy łup znaczny z zabitych, po wypoczynku jechał Walgierz na Tyniec z królewną — i szczęśliwie tu przybył.

Podczas bytności na dworze króla francuskiego szerokie majętności jego trzymał we władaniu swem niejaki Wiślimir, z rodu Popielowego, który sam na Wiślicy siedział.

Gdy Walgierz powrócił, nadbiegli ze wszech włości ludzie z żalami i skargami, jak okrutnie przez niego uciemiężeni byli.

Zatruło to zrazu rycerzowi powrót szczęśliwy do domu, ale nie chcąc sądzić, nie wysłuchawszy, słał naprzód z dobrem słowem do Wiślimira, wzywając go. aby się tłumaczył i opowiadał, jak ta sprawa stała.

Na to jednak otrzymał odpowiedź dumną i gniewną, iż się mu tłumaczyć nie myśli, ani jechać do niego, niech się stanie, jako chce!

Walgierz też nie był skłonny połknąć gorzkie słowo, nie pozywając do rachunku o nie.

— Nie chce on do mnie, pójdę ja do niego — ozwał się na to.

I zebrawszy ludzi swych, gdy tamten bezpiecznie sobie tuszył, że się nań nie waży, naszedł Walgierz Wiślicę, wpadł na gród Wiślimira i, związać go kazawszy, powiózł z sobą na Tyniec, gdzie go na wieży zamkniętego osadził.

Nie chciał mu życia brać, gdyż byli dawniej przyjaciółmi, tylko wolności go pozbawiwszy, skarał więzieniem.

Czas jakiś upłynął, aż na wojnę zawołano... Musiał Walgierz pocztem iść na rozkaz pański.

Gdy nadeszło rozstanie, a Heligundę miał żegnać, ta z boleści wielkiej i żalu niezmiernego prawie od zmysłów odchodziła, narzekając na wojnę, na króla i na własny los, który ją w obcym kraju na samot-

ność skazywał, tak, że Walgierz, zaledwie ją uspokoiwszy, mógł odjechać z pewnością w sercu, iż miał w niej najprzychylniejszą małżonkę, pocieszając się tem, iż go nad życie miłowała.

Aliści od króla Salomona czasów wiadomo, iż na wielkiej miłości szczęście budować trudno, gdyż częstokroć im gwałtowniejszą jest, tem prędzej uchodzi.

Stało się tedy, gdy wojna się przeciągnęła, a Walgierz nie powracał, że we łzach tonąca Heligunda srodze tęsknić sobie poczęła i samotnością na zamku się nudzić. Co widząc, sługa jej, rada pani się przypodobać, wspomniała o więźniu, który na wieży siedział zamknięty, a był człek urodziwy i młody, iżby go dla rozmowy i rozerwania się w tęsknicy, gdy się ludzie pośpią, puszczać można, na dzień go znowu zamykając.

Opierała się zrazu królewna, ale namowom sługi wreszcie oprzeć się nie mogąc i nie myśląc, aby rozmowa do złego doprowadzić mogła — zezwoliła. Z czego korzystając, Wiślimierz począł się jej zalecać, co nietrudem było, gdyż niewiasta była wielkiej piękności i dowcipu. Nieznacznie tedy z owej rozmowy niewinnej doszli do poufałości coraz większej, tak, że Heligunda, zapomniawszy na przysięgę pierwszemu uczynioną, dała się gachowi namówić i, z więzienia go uwolniwszy, ujechała z nim do Wiślicy.

Po skończonej wojnie wrócił Walgierz z łupem i czcią do domu, a gdy w podwórzu stanął, zdziwił się mocno, widząc, że, wedle zwyczaju, żona przeciwko niemu nie wyszła. Spytał sług, dlaczego się to stało; ci odpowiedzieli mu zaraz, iż pani niema, gdyż z Wiślimierzem na Wiślicę ujechała.

Wpadł tedy w gniew niezmierny Walgierz i, prawie z konia nie zsiadłszy, natychmiast do Wiślicy za wiarołomną pojechał.

Tu, że się go wcale nie spodziewano, wrota stały otworem i na zamek wpadł tem łatwiej, że na nim pod ten czas gospodarza nie było, gdyż na łowy w puszczę wyjechał.

Ujrzawszy go, Heligunda ze strachu do nóg mu padła, prosząc łaski i miłosierdzia, tłumacząc się, iż sługa ją na szwank naraziła, że była niewinną i zdradzie tylko uległa. Wielkiego serca mąż dał się ująć łzom i prośbom niewieścim. Heligunda zaś, wrzekomo do zemsty mu chcąc dopomóc, namówiła go, aby się sam ukrył w komorze i ludziom swoim pochować kazał, ażby Wiślimierz wrócił; wtedy mu go wydać miała.

Stało się tak, jak chytra chciała niewiasta.

Walgierz dał się zamknąć w komorze. Tuż nadjechał i Wiślimierz z łowów, a ona, przeciwko niemu wybiegłszy, natychmiast mu opowiedziała, kędy Walgierz był ukryty. Wpadł nań Wiślimierz ze sługami swoimi, przemocą opanowawszy, związać kazał i do więzienia wrzucić. Życia mu odbierać nie chcąc, obarczył go tylko okowy ciężkiemi, przykutemi do ściany.

Na większą boleść i męczarnię klatkę, w której go posadzono, z oknem, ku sypialni swej wychodzącem uczynić kazał tak, że Walgierz nieustannie na oczach miał pieszczoty Wiślimierza z Heligundą i mógł słyszeć, jak się z jego niedoli urągali oboje.

Lękając się sług własnych i mniej im ufając, Wiślimierz straż nad więźniem zlecił rodzonej siostrze swej, Ryndze, która miała klucze od klatki i oków, a gdy więźnia pod strażą wywodzono, pilnowała go. A była Rynga ta niewiasta z twarzy i postawy tak brzydka i odrażająca, że ją nikt za żonę wziąć nie chciał, chociaż oddawna lata miała po temu.

Ta, ustawicznie patrząc na pięknego Walgierza, wkońcu litość uczuła nad nim i dnia pewnego, gdy nikogo na zamku nie było, odezwała się doń, iż radaby mu wolność dać, gdyby ją chciał wziąć sobie za żonę.

— Wziąłem był dla piękności jedną, która mię o zgubę przyprawiła — rzekł Walgierz. — Dlaczegóżbym drugiej nie miał wziąć dla serca. Niech się stanie, jako chcesz, bylebym wolny był.

I nie dziw, że jakimkolwiek bądź kosztem chciał być wolnym Walgierz, srom i niewolę bowiem cierpiał wielką. Nie dość, że żelazem był okuty i w klatce

jako zwierz zamknięty, ale na żelaznym wole siedzieć musiał, a przez okno patrzeć i słuchać niewiernej, która wraz z gachem nielitościwie z niego szydziła.

Rynga w umówioną chwilę pootwierała zamki w okowach i w klatce, a Walgierz uprosił też, aby potajemnie przyniosła miecz... Siedział jednakże, czekając, aby Wiślimierz i Heligunda przyszli do sąsiedniej izby, jak to bywało codziennie... a gdy się do snu zabierali, Walgierz, przez okno głowę wynurzywszy, zawołał:

— Wiślimierzu — a gdybym też ja, potargawszy okowy, sromu mojego i krzywdy przyszedł się na was pomścić?

Krzyknęła przerażona Heligunda, lecz Wiślimierz, pewien będąc oków i żelaza, śmiać się z tego począł.

— Mścij się, — zawołał — mścij, jako możesz; już ci odpuszczę, choćbyś mnie i zabił!

Pewnym był bowiem wierności siostry swej i na niewieściem przywiązaniu się ugruntował.

Gdy Walgierz ujrzał ich już bezpiecznie spoczywających, skoczył prędko z mieczem do izby i oboje przebił, tak, iż krzyknąć nawet czasu nie mieli, a w zamku nikt się nie domyślał, co się stało.

Rynga, która w bliskości oczekiwała, pomogła narzeczonemu do zabrania skarbów wszystkich i wywiezienia do Tyńca potajemnie, gdzie razem z nim, wyjechawszy, mieszkała.

Tak się skończyła historja Walgierza, o którym drudzy powiadają, iż gdy ta żona umarła, a życie mu ciężyło i obrzydło, majętności wszelkie oddawszy ludziom rodu swojego, sam szedł na starość Bogu służyć w klasztorze w sukni mniszej...

Gdy ksiądz dokończył, chwilę panowało milczenie — wszelako, jak nigdy się powieść bez dziwu lub pochwały nie obchodzi, Andruszka rzekł, iż cudowne były przygody rycerza, a no — to tylko w podziw go wprawiało, że ten, który dwunastu walecznym zapaśnikom mógł sprostać, jednej kobiecie dał się tak haniebnie oszukać.

II.

Po wczorajszej rozmowie długiej zaspali Jaksowie na pierwszą mszę świętą, czego im wstyd było; to też, gdy, obudziwszy się, ujrzeli w oknie dzień wielki i słońce, poczęli się co prędzej odziewać, aby choć na drugie nabożeństwo stawić się mogli.

U ołtarzów i w chórze na niem nie zbywało. Wiadomo, iż wedle reguły benedyktyńskiej siedem razy w dzień zakonnicy zbierali się na modlitwę, a do południa msze jedne po drugich wychodziły.

Tęsknica dojmowała wygnanych większa, niż kiedykolwiek, bo wiosna się poczynała właśnie i pora do ciągnienia w pole i lasy. Gdy wróciwszy z kościoła, stanęli w oknie izby, a spojrzeli ku Wiśle, na łąki zieleniejące, na lasy, pączkami napęczniałemi czerwieniejące i lśniące, niemal na łzy im się zbierało, myśląc, jak długo może jeszcze potrwać niewola i od wszelkiego świata odłączenie bolesne. Dumali tak, rozprawiając po słowie, gdy wszedł Odo, pozdrowił ich obu, i do Andruszki się odezwał, że w gospodzie nieznajomy jakiś młody podróżny domagał się usilnie widzenia z nim.

Odo zaręczał, iż z początku zaparł się nazwiska i osoby żądanej, wiedzieć o niej nie chcąc, ale mu podróżny, całując go po rękach i płacząc, niemal zaprzysiągł, iż żadnego złego zamiaru nie miał, a o bytności Jaksów w klasztorze na pewno był uwiadomionym.

Oba bracia ulękli się mocno, domyślając zdrady jakiejś; — strwożył się, widząc ich pomieszanie, Odo i zapewnił, że do ostatka bytności ich zaprzeczał. Radzili więc i uradzić nie umieli, ktoby był ów młodzieniec, z opisu się domyślić nie mogąc, a to właśnie podejrzenie zwiększało.

Po długich wahaniach ciekawość przemogła wreszcie i choć Jurga go powstrzymywał i zaklinał, aby nie szedł, wyrwał się Andruszka do izby gościnnej.

Tu wszedłszy, ujrzał na ławie siedzącego, znużo-

nego widocznie drogą młodzieńca, którego lice mu się zupełnie wydało nieznanem.

Na widok Andruszki podróżny ów, krzyknąwszy nagłos, wstał, podbiegł i do nóg mu padł, nie mogąc się podnieść, gdyż omdlał ze wzruszenia. Gdy Andruszka usiłował go dźwignąć z ziemi, dopiero ze zdziwieniem niezmiernem poznał w przebranym Antonję, niewolnicę swą grecką, acz wybladłą i schudzoną.

A że do klasztoru wchodzić niewiastom nie było wolno, wnet, ująwszy ją pod rękę, wywiódł za obręb jego i tu dopiero na ławie u furty posadziwszy, rozpytywać począł, jak się to stać mogło, iż się tu znalazła.

Niewolnica zaś, niewiele mówić mogąc, płakała, nogi pana ściskając i powtarzała tylko, iż mu ogołoconemu ze wszystkiego, służby nie mającemu, chciała być pachołkiem, niewolnikiem, posługaczem, byle jej od siebie nie odganiał.

Z trudnością mógł jej to wytłumaczyć Andruszka, iż oni oba skazani byli na siedzenie w klasztorze, którego progu niewieście nie wolno było przestąpić. Tknięty jednak tem przywiązaniem Jaksa obmyślił, aby we wsi pod klasztorem Antonina mogła pozostać, dopókiby się losy ich nie rozstrzygnęły.

Tu, gdy do rozpytywania o dwór królewski przyszło i o to, co się na nim działo, Antonina niewiele powiedzieć umiała. Jedno wiedziała tylko, że Teodora, córka Sieciechowa, wierną zawsze była Jurdze i nieustannie wspominała o nim, że Jaksowie przyjaciół wielu mieli, którzy nad przyszłością Jaksów czuwali i pewno im zginąć nie dadzą.

Zabawił się Andruszka na tej rozmowie dłużej, niż sądził, a Jurga coraz niespokojniejszym nań oczekiwał, tak, że gdy, powracając, ukazał się w progu, rzucił się nań brat, nalegając żwawo o wytłumaczenie, co się stało, z oczów mu już pragnąc wyczytać tajemnicę.

Oczy jednak nie mówiły nic, ani radości, ni bólu nie zdradzając.

— Uspokój się, — rzekł pocichu starszy — zgad-

nąć zaprawdę trudno było, kto za mną tu przyszedł. Nie kto inny to jest, tylko Antonina.

Jurga krzyknął zdziwiony.

— Po męsku przebrana uszła ze dworu i z trudem wielkim a niebezpieczeństwem aż się tu dowlokła. Wyznała mi, iż Sieciechówna przed nią miejsce, w którem schronieni byliśmy, zdradziła. Mówiła i o tem, że lepiej, aniżeli Heligunda, o tobie pamięta, a na ciebie oczekuje.

Usłyszawszy to, Jurga uradował się wielce, bratu na szyję się rzucając. Poczem oba umówili się, aby nie wydając Antonji, upatrzeć dla niej pewne schronienie — zdala się jednak trzymając, dopókiby o ich losie nie rozstrzygnięto.

Gdy potem zwołano braci do jadalni, musiał Andruszka, rumieniąc się i bełkocąc, nieforemną jakąś historję wiernego sługi zmyśleć, aby przybycie podróżnego wytłumaczyć. Przeor go do klasztoru chciał wziąć, lecz Andruszka oświadczył, iż tego sobie nie życzył i miał mu tymczasowe schronienie sam upatrzeć.

Jakoż wyszedłszy z Jurgą oba zaraz po stole, wynaleźli chatę w osadzie klasztornej, gdzie bezpiecznie przebywać mogła. Przyczem Andruszka surowo zakazał jej, aby się u furty pokazywać nie śmiała.

Jurga, rozpytawszy o Sieciechównę swą, z najlepszą myślą wrócił razem z bratem, a obu się dnia tego usta nie zamykały, przeszłość wspominając i o przyszłości sobie wróżąc różnie.

Już wieczór późny nadszedł, gdy u furty usłyszeli wrzawę i spostrzegli dwu jeźdźców przybywających. Odo, który im był przychylny, nadbiegł natychmiast z przestrogą, aby się nie ukazywali, gdyż przybyli jacyś posłańcy, jakby ze dworu królewskiego, którzy natychmiast się do przeora zgłosili z ważną sprawą.

W niepewności więc wyczekując, coby to być mogło, siedzieli u ognia milczący, gdy po kilku chwilach usłyszeli kroki w korytarzu i przeor wszedł do nich.

Wstali, ujrzawszy go w niezwykłej godzinie, mimowolną trwogą przejęci. Przeor twarz miał zasępio-

ną, a smutną, zdawał się wyrok jakiś przynosić z sobą, z którego objawieniem nie było mu pilno.

— Mężom zwiastować mając nowinę złą czy dobrą, nie będę jej słodził ni łagodził — rzekł. — Nadbiegł od opata naszego najprzewielebniejszego poseł umyślny, który mi rozkaz przyniósł, abyście z nim razem, nie zwlekając, nazad do Poznania powracali. Napróżno starałem się go badać, coby to znaczyć miało. Poseł sam nic więcej nie wie nad to, iż pośpiech nakazano i ostrożność wielką, abyście na drodze widzianymi nie byli.

Niech więc Bóg was prowadzi — dodał — jedźcie ufni w to, że opat, który do ocalenia was się przyczynił, do ostatka nie opuści. Zresztą poseł uwiadomionym jest o was i towarzyszyć ma wam w podróży, przyślę go tu, byście sami z nim mówili o jutrzejszej podróży.

Zaniemieli, słuchając tych słów, Jaksowie, poglądając na siebie, a przeor, kilka słów pociechy dodawszy, wyszedł i wkrótce potem Odo dwu podróżnych wprowadził.

Oba byli komornikami ze dworu i posług królowej Emnildy, zaledwie z widzenia Jaksom znani. Starszy z nich, człek wielce wytrawny, małomówny, ostrożny, zwał się Samek; młodszy, Odrzyn, pod jego był rozkazami i śmiałością tylko wojaczą się odznaczał.

Pozdrowiwszy Jaksów, gdy go pytać niespokojnie zaczęli, Samek długo milczał, zbierając się z odpowiedzią.

— W przededniu wyjazdu — rzekł — wezwała mnie miłościwa pani, nakazując, ażebym sobie pewnego dobrał towarzysza i z nim się zgłosił do opata, a co on mi powie, ma być to spełnionem, jakgdyby sama królowa jejmość dała od siebie przykazanie. Wziąłem tedy Odrzyna, który tu oto jest (wskazał nań), bo go znam za dobrego towarzysza, na którym polec można, i szedłem do opata Arona. Ten mi rzekł: konie weźmijcie dobre, zapas wszelki na drogę, jedźcie do Tyńca, nie mieszkając, znajdziecie tam dwu Ja-

ksów, którzy na śmierć byli skazani — ale żyją. Zgłoście się do przeora, aby was do nich doprowadził i powiedzcie, iż żądam, by tu do Poznania wracali natychmiast, po drodze nigdzie twarzy swej nie okazując i nie wydając się.

Usłyszawszy to z ust Samka, Jaksowie nie odpowiedzieli nic. Na śmierć czy życie powracać było ich powinnością. Ci, co ich ocalili, rozporządzać nimi mieli prawo. Nie pozostawało nic nad ślepe posłuszeństwo.

Wnet Andruszka i Jurga zajęli się wyborem na dzień jutrzejszy. Na myśl im zrazu nie przyszło, iż Antonji też los jakiś zapewnić należało. Wziąć ją z sobą czy zostawić — sami nie wiedzieli, a otwarcie o niej mówić się wstydzili.

Jak świt Andruszka wysunął się z izby, bo nie chciał mieć na sumieniu opuszczenia niewolnicy, która, chcąc mu służyć, tak ciężką drogę odbywała. Ani zostawić jej, ani wziąć z sobą nie miał odwagi, lecz gdy go płakać a prosić i zaklinać poczęła, by jej nie rzucał, pieszo się ofiarując iść za końmi, zdjęty litością Jaksa musiał dla niej o koniu myśleć, na którymby, jako sługa, w drodze towarzyszyć mogła. Ściągnęło się z tego powodu niemal do południa, choć Samek o pośpiech naglił.

Antonja oczekiwała za wrotami klasztornemi. Szli tymczasem Jaksowie żegnać przeora i braci, którzy, gdy się o wyjeździe braci dowiedzieli, zebrali się niemal wszyscy, aby ich na podróż pobłogosławić. Umieli sobie bowiem zaskarbić miłość wielką, a poczciwy braciszek Odo tak się do nich przywiązał, iż w zakonie sam znajdując szczęście, ich też zaklinał, by świat rzuciwszy, wracali tu używać spokoju, jakiego on dać nie może.

Przeprowadzeni do furty wyjechali Jaksowie z posłami, wynosząc z tego gniazda wspomnienie, którego sami sobie wytłumaczyć nie umieli. Ludzie rycerskiego rzemiosła, nawykli do ruchu i wrzawy, zrazu męczyli się w tem zamknięciu, potem widok zakonników

zwolna działał tak na nich, iż niemal się przywiązali i do nich, i do ich trybu życia. Wynosili stąd wiele zapożyczonego, mimowolnie zmienieni w duszach, choć sami odmiany tej nie czuli.

Tęsknotę i niepokój wprędce podróż rozproszyła, a widok tego wiosennego światła dawne im swobodne przypomniał życie.

Samek i Odrzyn ludzie byli myśliwi, a na dworze służbą niewolniczą znudzeni; i im się więc ta wędrówka manowcami po nocach, rankami przez lasy rozwijające się uśmiechała. Jechali więc raźno, niemal zapominając, co w końcu drogi czekać mogło. Antonja milcząca ztyłu za nimi podążała.

Chociaż Samek lepiej dróg był świadomy, bo w długiem życiu, szczególniej zamłodu wiele się włóczył, zmuszeni będąc unikać głównych gościńców, błądzili nieraz i podróż się zwlekała nad miarę.

Gdy się już ku Poznaniowi zbliżali, Andruszka dopiero spytał przewodnika, co, przybywszy, miał uczynić z nimi i jakie było przykazanie.

Stary odpowiedział, iż nocą wjechać mieli przez furtę u tumu, tak, aby ich na dworze nikt nie widział, a tymczasowo pozostać w izbie, która na tumie dla nich była wyznaczona.

Chociaż chwilami strach ich ogarniał, ufali jednak, iż opat i królowa nie sprowadzaliby ich dla wydania i srogiej kary. Jeden drugiego usiłował orzeźwić otuchą; nie mogli uzyskać zupełnego przebaczenia, spodziewali się przynajmniej życie ocalić, a w każdym razie lepszy był jakikolwiek koniec jawny, niż przeciągnięta niepewność losu.

Ostatniego dnia, aby za widna nie przybywać, przestali kilka godzin w lesie i tu o włos jeden nie spotkało ich nieszczęście wielkie. Właśnie w ostępie, w którym się rozłożyli, król polował dnia tego. Nierychło zasłyszeli głosy psów i myśliwską wrzawę, tak, że ledwie czas mieli koni z paszy dopaść i w cwał się oddalić, aby ich nie pochwycono.

Łowcy królewscy, tętent koni pochwyciwszy, są-

dząc, iż ktoś królewskiej zabawie przeszkadzał, puścili się w pogoń za uchodzącymi i byliby ich pojmali może, gdyby Samek, przytomniejszy niż inni, nie wprowadził ich na moczary i gąszcze. Lecz w ucieczce tej Antonina, mniej zręczna w obejściu się z koniem i trwożliwsza, pozostała gdzieś tak, że później, nawołując i szukając po lesie, znaleźć jej nie mogli.

Pocieszali się tem, iż niedaleko będąc Poznania, mogła później, ochłonąwszy, sama do niego znaleźć drogę.

Zamiast przybyć wieczorem, ledwie ostrożniej się już przekradając, w nocy zdążyli do grodu, furty i tumu. Stojąca u niej straż na rozkaz Samka puściła jeźdźców, a choć około tumu spali już wszyscy, dobudzono się stróża i izba do spoczynku się znalazła.

Samek i Odrzyn, spełniwszy, co im przykazanem było, pożegnali się czule z Jaksami, do których w ciągu podróży się przywiązali, i powrócili na dwór królowej.

Ległszy na garści słomy, którą na posłanie dostali, znużeni podróżą bracia zasnęli, zapominając o wszystkiem, a choć we snach wracała im trwoga, nie obudzili się rychło, aż dzwony i ruch koło kościoła sen im przerwały.

Nie zjawił się nikt, musieli czekać długo na przybycie stróża, który o pożywieniu pomyślał, zalecając im, aby nie wychodzili, gdyż w podwórcach pełno było pobożnych.

Dzień cały upłynął na oczekiwaniu nadaremnem: opat nie przybył. Nazajutrz z południa dopiero ujrzeli go wchodzącego. Rzucili się oba do ucałowania jego ręki, czekając, co im będzie zwiastować.

— Bóg łaskaw! — odezwał się Aron. — Król miłościwie jest usposobiony. Godzinę tylko wybrać chce królowa, w której wraz z wami stawić się będzie przed nim, błagając o przebaczenie. Nie trwóżcie się więc, a czekajcie i bądźcie dobrej myśli.

To rzekłszy, opat oznajmił im zarazem, iż z rozkazu

królowej dostać mają szaty nowe, przystojne, w których by się królowi stawić mogli. Dnia ani godziny oznaczyć nie umiał opat.

Radość wielka wstąpiła w serce Jaksów.

Innego uczucia doznawała pobożna pani: Emnilda, mimo odwagi, której jej opat dodawał, trwożyła się chwilami. Mógł król na widok winowajców unieść się gniewem, mógł wybuchnąć, mógł nareszcie przebaczyć Jaksom, cały swój gniew wywierając na żonę, która dała przykład nieposłuszeństwa i ośmieliła się pójść wbrew jego rozkazom. W tym razie na wszystko będąc gotową, królowa modliła się tylko, aby przynajmniej ofiary, na śmierć przeznaczone, ocalone zostały.

A właśnie troska o koronę zachmurzyła czoło Bolesława i dni tych z obawą przystępowano do niego. Opat też nie przyszedł do królowej, zdala tylko oczyma dając znać, iż wszystko było wpogotowiu.

Pomimo niestałości króla, który się dopuszczał często uczynków, ściągających strofowanie i upominanie duchowieństwa, miał on poszanowanie wielkie dla Emnildy. Sama pobożność jej i łagodność rozbrajała go, ilekroć gniew nim owładnął, sam widok tej pokornej służebnicy, zawsze spokojnej, uśmiechającej się, cierpliwej, kazał mu się miarkować i zawstydzał rozmiętnionego.

Wahała się jednak Emnilda, acz wiedzieć mogła o sile, jaką jej dawał żywot, cały świątobliwością i pobożnemi uczynkami zapełniony. Wzywała na pomoc Opatrzność, aby jej do dzieła miłosiernego dopomogła i nie zawiodła się, ufając jej.

Wiosennego wieczora król był samotny, brakło mu jego władyków, tęsknił za rodzinami, które się od dworu oddaliły, w radzie zbywało mu na mężach, do których się dawniej zwykł był odwoływać; służebnych miał poddostatkiem, przyjaciele i towarzysze opuścili go!

Naprożno król sam i przez opata starał się skłonić ich do powrotu: wierni mu byli, słuchali rozkazów, ale nie szli, jak dawniej, z ufnością ku niemu...

Na chwilę takiego rozdrażnienia trafiła właśnie nadchodząca królowa. Ujrzawszy ją, Bolesław podniósł oczy ku niej.

— Mówią, że modlitwy ludzi świątobliwych są skuteczne — rzekł do niej — winnabyś się pomodlić, aby mi Bóg przyjaciół powrócił. Pusto koło mnie, nie mam ludzi! Na starość odbiegło mi wszystko!

— Miłościwy panie — odezwała się królowa. — Dajcie mi moc, zabezpieczcie od gniewu waszego, a ufam Bogu, iż się to wszystko odmieni.

Zdumiał się Bolesław.

— Jakiejże chcecie mocy? Jakiej poręki? — zawołał.

— Abym łaski i serca waszego nie straciła — odpowiedziała królowa. — O to tylko was proszę.

— Czyńcie, jako wiecie, że dobrem będzie — rzekł król poważnie. — Tak świątobliwa, jak wy, niewiasta zaprawdę złego nic uczynić nie może, a gdybym się zagniewał na was, jabym był winnym.

Królowa przypadła do ręki męża, chcąc ją ucałować, a Bolesław czoła jej ustami dotknął z poszanowaniem.

— Czyńcie, — rzekł — czyńcie, nie pytam, jak i co. Co zrobicie, dobrem być musi.

Na tę rozmowę, jakby umyślnem zrządzeniem, nadszedł opat Aron.

— W porę przybywacie, — odezwał się król — oto Emnilda żąda bezpieczeństwa tylko, a obiecuje mi powrót moich przyjaciół utraconych. Bądź świadkiem, miły ojcze mój, iż przyrzekam gniew wszelki hamować i co królowa zechce — spełnić.

— Ufam, że modlitwy świątobliwej pani naszej dokażą cudu! — zawołał opat.

Wstała natychmiast królowa, dziękując jeszcze, chcąc się oddalić.

Król zatrzymał opata Arona. Nieustanną troską była mu korona, której tak pragnął.

— Cóżeście obmyślili? — zapytał opata.

— Jedno jest do uczynienia—począł Aron.—Potrze-

ba, pominąwszy cesarza, słać do Rzymu, lecz tak, aby o wysłańcach nawet najbliżsi ze dworu nie wiedzieli. Z Niemiec dochodzą wieści, iż na gościńcach poczyniono wszelkie zasadzki na jadących z Polski ku stolicy ojca św. Arcybiskup magdeburski, nie ufając temu, iż się do niego udawano, podejrzewa nas o to, co istotnie uczynić zamierzamy.

Nie jednego więc posła, ale odmiennemi drogami dwu przynajmniej wyprawić potrzeba do Rzymu po koronę. Wprawdzie obu z darami słać musimy, nie wiedząc, który z nich dojdzie bezpiecznie: — obu należy wyposażyć i na stracenie skarb jeden poświęcić.

Król ruchem ręki i uśmiechem pogardliwym okazał, jak mało mu szło o straty.

— Mój ojcze, — zawołał — o złoto nie idzie; korona poświęcona droższa jest nad wszystko dla potomków moich. Gdybym wszelkie naczynia miał dać stopić i z ostatniego miecza zdjąć złote skówki, — niech idzie do grzywny pośledniej, do prószyny... Ale gdzież ludzie, którymby poselstwo powierzyć można?

— Znajdą się ludzie — odparł opat. — Dwu kapłanów wiernych wam i pamiętnych dobrodziejstw waszych dla kościoła dostarczy zakon nasz, rozsypany po świecie całym. Od klasztoru do klasztoru przejdą oni Niemcy, Włochy, wszystkie kraiki pośrednie. W obronie dodamy im dzielnych rycerzy, co dla was, miłościwy królu, gotowi są życie poświęcić.

— Mnichów wy wybierzecie — odparł Bolesław — ale skąd weźmiemy rycerzy, których mi na dworze coraz więcej braknie?

— Jutro, miłościwy panie, mieć ich będziesz przed sobą — powtórzył opat.

— A imiona ich? — spytał król.

— Jutro twarze ich i imiona mieć będziesz — powtórzył opat.

Król patrzał nań zdziwiony trochę, lecz nawykł był taką mieć ufność w swym doradcy, iż pytać więcej zaniechał.

— Jutro? — powtórzył.

— Tak, jutro! — potwierdził Aron.

Nadchodzący z pokłonami obcy goście wkrótce zakończyli rozmowę.

Bolesław zwrócił się ku nim, wypytując o Ruś i o kraje, które przebywali w drodze. Opat pod pozorem modlitwy skłonił się i oddalił. Szedł do królowej, która, czując przybycie jego, oczekiwała nań.

— Niech Bóg weźmie w ręce sprawę naszą — rzekła do opata, składając dłonie. — Jak skoro zmierzchnie, każcie Jaksów przywieść do mnie, by słowa prawdy usłyszeli z ust moich. Jutro stawić się będą wraz ze mną przed panem i mężem moim. Jutro! — dodała z trwogą. — Jutro, ale cóż to jutro przyniesie?...

— Zaprawdę radość wielką! — dodał opat. — Idę natychmiast zanieść im rozkazy.

Szedł też zaraz do tumu, a gdy stanął przed Jaksami, rzekł im poprostu:

— Przyodziejcie się przystojnie w suknie, które wam dano; jak skoro zmierzchnie, pójdziecie ze mną do królowej. Jutro ona sama stanie, wiodąc was przed króla... i otrzymacie łaskę. Ufam w to, pewien jestem... Lecz myślicież, iż koniec na tem?...

Andruszka odezwał się, że na wszystko, co ich mogło spotkać i wszelaką karę byli gotowi.

— Za każde przestępstwo zapłacić potrzeba pokutą jakąś — odezwał się opat — a kto jej nie odbędzie, na sumieniu mu ona zaciąży. Dlatego wyznaczyłem ja was do niebezpiecznego przedsięwzięcia, którem króla łaskę w zupełności odzyskać będziecie mogli... Musicie się udać w podróż długą i grożącą utratą swobody, a nawet życia... a jeżeli choć jednemu z was uda się to pozyskać, za czem oba wysłani będziecie drogami różnemi, zjednacie serce królewskie, zatrzecie pamięć lekkomyślności i przewinienia...

— Gotowiśmy na wszystko, — zawołał Jurga — gotowi!

Wielka była radość i pośpiech w przygotowaniach do stawienia się przed królową. Zaledwo zmierzchać poczęło, już u drzwi oczekiwali na znak, który im opat miał dać.

Osłonięci długiemi opończami, czapki ponasuwawszy na oczy, szli za nim. Chociaż ludu było wszędzie dosyć, a podwórce się roiły, wśród tłumu obcych przesunęli się jakoś niepostrzeżeni i niepoznani. Jeden Harno, który, stojąc pod ścianą, szpiegował, co się gdzie działo, spostrzegł opata i za nim idących dwu o zakrytych twarzach ludzi i z ciekawością zabiegł im drogę. Acz Jaksowie potrafili go uniknąć oko w oko — Harno ich poznał. Był pewien, że nie kto inny, tylko Jaksowie mu się zjawili.

Opanowany myślą o widmie brata, wziął ich też niemal za cienie umarłych i przerażony popędził do ks. pisarza. Wpadł do izdebki jego z takim pędem, blady i przelękły, iż ks. Petrek zerwał się do niego, sądząc, że coś nadzwyczajnego stać się musiało na dworze.

Zapytany wodził jakby obłąkanemi oczyma, nie mogąc przyjść długo do słowa.

— Harno! co się stało?... W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — żegnając go, zawołał ks. Petrek.— Mów, co ci jest?

— Upiory! widziałem upiory! Na oczy moje... Zmarli mi się ukazują ciągle...

— Boś grzesznik niepoprawny! — ofuknął go ks. Petrek. — Jak i gdzie widziałeś te upiory? mów!...

— Przed chwilą! ojcze mój, w dziedzińcu... ukazali mi się dwaj ścięci Jaksowie... Szli z zakrytemi twarzami, ale im oczy błyskały straszliwie. Przysiąc mogę, że ich widma mi się ukazały...

— Gdzie? na którym podwórcu?... — zapytał chłodno ks. Petrek.

— Na tym, który do mieszkania królowej prowadzi — mówił przestraszony Harno. — Zdawali się iść wślad za opatem.

— Ks. pisarz nie odpowiedział mu nic i odprawił go ruchem ręki.

— Idź — rzekł — pomódl się, pość, to ci się duchy zmarłych ukazywać nie będą, grzeszny jesteś...

Harno chciał jeszcze coś mówić, lecz Petrek pilno, niecierpliwie na drzwi wskazywał, powtarzając:

— Idź... idź...

Harno, ucałowszy jego rękę, zmuszony był wyjść natychmiast.

Ks. Petrek przenikliwy wiedział już, domyślał się, co się święciło. Odgadł, że sprowadzono Jaksów, że ich królowej przedstawić miano, aby wyprosiła łaskę pańską.

— A! — zawołał — szanowny opat radby się obejść beze mnie!... Zobaczymy, czy się to uda... Natychmiast biegnę do margrafównej, niech ona uprzedzi ten spisek i królowi powie wszystko, a gniew jego rozżarzy.

I ks. pisarz pośpiesznym krokiem gonił już do komnat pięknej Ody. Niepostrzeżony wcisnął się do niej, niewidziany wyśliznął; dopiero w drugim końcu dziedzińca pochwycił go za suknię Zyg, szepcąc szydersko:

— Wyście dla margrafównej za stary... co się próżno koło niej bawicie?... tam młodszych potrzeba...

I pogroził mu na nosie, a pisarz, oburzywszy się napozór i ofuknąwszy, suknię mu wyrwał gwałtownie i uszedł.

Wieczorem król dziewczętom dworskim pląsać kazał. Sieciechówna rada nierada korowodowi przewodziła. Oda wyglądała chwili, by się do Bolesława przybliżyć i stanęła za jego siedzeniem. Gdy piosenka dziewcząt dozwalała jej niepodsłuchanej mówić, przysunęła się do ucha pańskiego.

— Miłościwy królu, — rzekła — jużbyście wy Bezprymowi czy Mieszkowi powinni oddać królestwo wasze; wyście zesłabli i postarzeli..

Król się odwrócił.

— Tak myślisz? — rzekł szydersko.

— A cóż? — rozśmiała się Oda. — Ludzie sobie z was żarty stroją, kto chce, oszukuje... Słowo wasze nie waży, z gniewu waszego się śmieją!

Oczy króla zapałały ogniem.

— Dziewko! — zawołał — urodziwą ty jesteś, ale ci do kądzieli iść i do... pląsów, nie tam, gdzie królewskie sprawy.

— Tak, tak... — nie zważając na daną odprawę, poczęła Oda — tak, miłościwy panie... ja do kądzieli, a wy do klasztoru chyba... Co wy tu znaczycie? Chcieliście ukarać Jaksów? uszli z życiem, bo królowa się ulitowała ich młodości... Kto tam wie dlaczego?

Uśmiechnęła się złośliwie.

— Chłopaki urodziwe!... — dodała. — Teraz wam każą im przebaczyć, a królowej waszej jeszcze za jej zdradę dziękować.

Poczęła się teraz mocniej śmiać i wzięła w boki, a patrząc zgóry na króla, śmiała się tak długo, szydersko — jątrząc go.

Król nie podnosił głowy, chociaż widać było, jak drżał cały; ręką sięgnął po złoty kubek i wychylił go do dna.

Ona czekała tylko rychło-li wybuchnie, gdy król, przetrawiwszy w sobie gniew, głowę podniósł do niej, popatrzał i rzekł:

— Urodziwa z was dziewka! ale kto was weźmie, chyba na łańcuchu przykuje.

Oda, która się wcale innej spodziewała odpowiedzi, pobladła. Król, jakby mszcząc się, mówił powoli:

— O! tobie te urodziwe chłopcy smakują!... Jużby ci się pod czepiec chciało prędzej, aby skosztować korowaja! Dziewko ty niemiecka!... Człowiekby za tobą szalał, gdyby nie wiedział, że w tobie siedzi siła nieczysta... wszystko, co święte, pobożne, tobie solą w oku... Idź w pląsy — to ci przejdzie ów żar, co cię pali! Miło patrzyć, gdy się zwijasz, ale słuchać cię... tylko gniew.

I ręką wskazał jej koło dziewcząt, ale Oda obrażona z rękami na piersi zaciśniętemi cofnęła się, pioruny oczyma rzucając.

— Pojadę stąd! — szepnęła. — Nie wytrwam!...

III.

Śliczny był, ciepły, jasny dzień wiosenny. Pierwszy raz niebo okryło się całe i przyodziało lazurową szatą, po której jak białe rąbki przejrzyste snuły się obłoczki miękkie, zjawiające się na chwilę i roztapiające w błękitach.

Tego poranka po raz pierwszy do niebios jasnych ziemia przystroiła się zielono. Gdzie wczoraj jeszcze czarną była, dziś strzelały majowe trawy, na wierzbach pękały liście, brzozy niektóre poroztwierały pączki, w dolinach zakwitły złociste łotocie. Dzień był jakby świąteczny; ktokolwiek ujrzał go, weselał. Wracało życie...

W królewskich też podwórcach wyglądało świątecznie. Ludzie, konie, psy, ptaki łowcze na berłach kręciły się niespokojnie. I gości tego dnia napłynęło więcej niż zwykle: gości do sądu i łaski pańskiej.

Przed dworem a pałacem króla stał mnogi lud wszelakiego stanu. Byli tu i władycy możni, przybyli ze stron dalekich, i wojacy, i ubodzy kmiecie i najuboższy lud, który stał na uboczu. Wśród obcych, od granic przybyłych, kręcił się ks. Petrek, dostając języka, patrząc może, czy między nimi nie było wysłanego z Magdeburga, aby się rozpatrzyć, co się tu działo.

Dalej na uboczu stali poganie Lutycy i Wilki, odziani dziwnie, patrzący dziko, groźni napozór, a w istocie potęgą, co ich otaczała, strwożeni.

Powoli te tłumy wchodzić poczęły do izby stołów czterdziestu, bo tuż i król miał się ukazać ze dworem.

Z p a l a t i u m króla do wielkiej owej jadalni, za-

wsze otwartej dla obcych, gdzie każdy przybyły chleb, sól i napój znajdował nie mierzony, wiodła droga jedna pod dachem, druga przez dziedziniec. Czasem Bolesław wolał iść niewidzialny, niekiedy dla okazałości z komnat swych ciągnął przez podwórze z całym dworem powoli, aby i lud ubogi widzieć mógł majestat królewski. A którędy król iść miał, zbierały się kupy ciekawych, dla pozdrowienia go po drodze.

Tego dnia czuli wszyscy, iż Bolesław iść będzie podwórcami; tu też stali, oczekując nań, a trzymając się zdala od innych.

Nagle wszystko drgnęło i poruszyło się; zakołysał się tłum, jakby wiatr fale podnosił, podźwignęły głowy, strzeliły oczy, szmer przeleciał po gromadach i zamilkło wszystko w oczekiwaniu. W podsieniu ukazał się orszak królewski, a był tak wspaniały, jakgdyby Bolesław pany i książęta miał przyjmować.

Szły naprzód pacholęta napół czerwono, pół żółto poodziewane parami z sobą. Za niemi komornicy w łańcuchach na szyi z laskami w ręku, dalej podkomorzowie w szubach jedwabnych, miecznik niósł obnażony miecz, godło sprawiedliwości i siły, naostatek Sieciech z laską wysoką złocistą poprzedzał pana.

Strojnym był pan, jakby do najdostojniejszych gości wychodził. Na głowie miał kołpak z przepaską złocistą, szczerbczyk u pasa złotego, sadzonego kamieniem drogim, suknię spodnią purpurową jedwabną, a na niej lekki kożuch soboli, czarną okryty tkaniną, która połyskiwała na słońcu.

Za panem, jak pies, biegł Zyg, uśmiechając się, w oczy mu spoglądając, wesołością swą do pańskiej się stroiąc. Reszta dworu ciągnęła za królem, trochę zbita i zmieszana.

Gdy się Bolesław ukazał i zatrzymał nieco u progu, jak kłosy od wiatru pochyliły się wszystkie głowy w pokorze. Niektórzy poklękali, ręce wyciągając ku niemu, lud ubogi na twarze padał. Lutyki i Wilki cisnęli się w kupkę zbitą, jakby się ulękli i do obrony gotowali.

Popatrzał Bolesław i zwolna postąpił dalej. Oczy potem podniósł na jasne niebo, przypomniało mu ono może jaki dzionek weselny, bojowy, któremu przyświecało podobnie.

Z powagą, w milczeniu przesunął się orszak wśród tłumu i począł we drzwiach jadalni niknąć, aż ostatni komornik i pacholę wtoczyli się za psami pańskiemi. Naówczas też ruszyli i goście, gdzie komu było przeznaczone.

W jadalni królewskiej pusto jeszcze było, królowa jeszcze nie przyszła, stał jeden opat Aron w milczeniu. Z panów rady dwunastu — dwu zaledwie król znalazł go oczekujących, — reszty mu brakło oddawna.

Jakiś czas panowało milczenie i jakby oczekiwanie; oczy króla często się na drzwi, któremi Emnilda wchodzić była zwykła, obracały. A gdy zdala Bolesław usłyszał szelest szat, twarz mu nieco pobladła. Opat nie spuszczał z niego oka.

Z miejsca, w którem stał Bolesław, nie widać było głębiej nad drzwi rozwarte, któremi wnijść miała królowa. Z sali stołów czterdziestu, wprost nich, sięgał wzrok daleko. Gdy szelest dał się słyszeć, zarazem ci, co stali w jadalni, poruszyli się i okrzyk stłumiony podziwu jakiegoś dał się słyszeć, lecz wnet poszanowanie usta zamknęło. Tuż szła królowa na ten dzień uroczyście strojna, na włosach i czepcu złotą niosąc przepaskę, w sukni purpurowej, ze złotem. Blada twarz jej jakby jasnością jakąś otoczona była. Szła nie sama: z prawej i lewej strony, trzymając ich za ręce, wiodła Jaksów dwu, odzianych czarno i jakby pokutniczo, zbladłych, z oczyma spuszczonemi.

Król, ujrzawszy ich, drgnął cały; po twarzy jego przebiegły zkolei jakby gniewu płomienie, blaski łaskawości, niepewność jakaś, aż wreszcie wystąpiła na nią radość wielka.

W milczeniu szła Emnilda przed pana i uklękła. Oba Jaksowie rzucili się na kolana i twarzami pochylili ku nogom królewskim i ziemi... Chwilę trwało

milczenie, królowej w piersi zabrakło tchu... Podniosła oczy w górę...

— Panie mój i królu — zawołała — przychodzę cię prosić o miłosierdzie dla siebie i dla tych dwu winowajców, których przed gniewem twym uchowałam. Przeszedł gniew... stawię ich przed tobą, błagając cię, bądź miłosiernym, wzorem Chrystusa... ulituj się im!

Król stał widocznie wzruszony; nagle ręce mu się rozpostarły i wyciągnął je ku królowej.

— Bogu niech będą dzięki — zawołał — za ocalenie dwojga drogich żywotów ludzi, których śmierć ja sam opłakałem... i tobie, Emnildo, nie przebaczyć, alem winien wdzięcznym być... Niech to będzie dzień wielkiego wesela, gdy mi moi wierni wracają do boku... Podnieście się — dodał do Jurgi i Andruszki, rękę ku nim wyciągając — niech idzie w zapomnienie przeszłość... Spodziewam się, że ją zmażecie!

— Krwią naszą! — zawołali zgodnie Jaksowie, całując ręce wyciągnione.

Na widok tego dziwnego pochodu ludzi, których wszyscy za umarłych mieli, strach ogarnął zrazu tłum cały. Cudem się zdawało ocalenie, oczom nie wierzono! Potem, gdy przemówiła królowa, gdy odpowiedział król, podniosły się okrzyki nieskończone. Podrzucano kołpaki, podnoszono ręce, radość się malowała na licach, ludzie poruszeni cisnęli się bliżej ku panu.

Śmiała się twarz pańska weselem, jakie dawno nie gościło na niej. Radość ogólna odbijała się na niej. Spojrzał na czarne suknie Jaksów i zwrócił się do Sieciecha.

— Nie przystały im te szaty! — zawołał. — Idźcie i przybierzcie ich w odświętną odzież ze skarbca, zawieście im na szyi łańcuchy, na pasach przypaszcie im miecze... Idźcie i wracajcie tu, abyśmy się weselili wspólnie.

Sieciech, którego twarz z trupiobladej w początku coraz żywszym oblewała się rumieńcem, ze łzami w oczach ruszył wnet, zabierając z sobą młodzianów obu, a wzrok wszystkich poszedł za nimi.

Królowa osłabła i rozpłakana musiała usiąść, aby przyjść do sił znowu.

W orszaku jej, tak mnogim, jak zwykle, jednej tylko brakło twarzy — Ody nie było...

Margrafówna opowiedziała się chorą, nie chciała być świadkiem przewidywanego zwycięstwa królowej, nie mogła w sobie utaić gniewu, który nią miotał. Zato twarzyczka Teodory, córki Sieciecha, promieniała, jak gwiazda, a ktoby był tajemnicy jej nie wiedział, domyśliłby się łatwo.

Bolesław siadł z wypogodzonem obliczem i, zwracając się do opata, rzekł żartobliwie:

— Wasza przewielebność takżeście pono do spisku należeli... za co niech wam będą dzięki, jak również wszystkim tym, co mi krwi przelanej oszczędzili!... Do Tyńca dodam wam lasów przestrzeń nową i łąk, aby się została pamiątka dobrego uczynku!

Wtem w podwórcu zatętniało ogromnie, jakgdyby wojsko całe wylało się na ogród... słychać było rżenie koni i wrzawę. Naprzeciw stołu królewskiego poodsuwane okna dozwalały widzieć orszaki jakieś, napływające w podwórze. Byli to wszyscy Jaksowie i ich powinowaci, którym z rozkazu królowej znać dano, aby przybywali i oczekiwali, rychło się miłosierdzia dokona dzieło.

Zdawna niewidziani ci wszyscy, co dwór króla opuścili, wracali mu z dziękczynieniem... Gdy w progu ujrzał ten tłum, na którego przodzie szli starcy, twarze znane mu a miłe, porąbane, bliznami zorane, dalej młódź rycerska, niewiasty, a nawet dzieci, bo jadący zabrali z sobą rodziny całe, aby padły do nóg królowi i królowej... Bolesław uniósł się na siedzeniu z nietajoną radością.

Wszyscy szli schyleni ku niemu.

— Nie do mnie! przed królową na kolana! Ona to uczyniła cud... ona! jej dziękujcie!...

Królowa osłabła w tej chwili i niewiasty podtrzymać ją musiały; twarz jej okryła bladość niemal śmiertelna... i nierychło otwarły się znowu oczy, łez pełne...

Wtem na przedsieniu dały się słyszeć trąby. Sieciech wiódł braci, przyodzianych rycersko i strojnych, którzy powtórnie Bolesławowi i Emnildzie do nóg padli.

Tuż stryjowie, bracia, wujowie stryjeczni i dalsi powinowaci, wstawszy, objęli ich kołem i zapomniawszy o przytomności króla, jęli, płacząc niemal z radości, zkolei ściskać, podając sobie z rąk do rąk. Nigdy na dworze pańskim nie było takiej wrzawy.

Co żyło, biegło, pytało się, a dzieliło wielką tę radość pańską...

Ks. Petrek, który stał przed swoją izbą z zaciśniętemi ustami, blady, z głową spuszczoną, słuchał tych okrzyków i uśmiechnął się gorzko. Ten i ów, spostrzegłszy go na uboczu, przybiegł z oznajmieniem o wesołej nowinie.

— Jaksowie zmartwychwstali!

Byli i tacy, co przypisywali cud świętemu jakiemuś, twierdząc, iż ścięci byli w istocie i przez modlitwy królowej z grobu zostali wyrwani.

Z rozkazu króla przysposobiono gromadom i dworowi całemu ucztę, wytoczono beczki piwa... Kazano się weselić.

W izbie swej piękna margrafówna leżała na pościeli, z rękami pod głową i z kwiatkiem w ustach, z oczami wlepionemi w belki, uśmiechała się szydersko... tym samym niemal uśmiechem, jak sługa jej, ks. pisarz. Przez otwarte okna dochodziły tu odgłosy z podwórzów, a za każdym z nich purpurą gniewu okrywały się lica Ody. Rzucała się gniewna na łożu.

— Odesłał mnie do kądzieli!... na łańcuchu kazał mnie trzymać!... Czekaj! Ja jeszcze obręcza nie mam na szyi, a kto komu go włoży? Nie wiem...

Pomaluśku otwarły się drzwi ostrożnie, oko jakieś ukazało się w szparze, szerzej nieco roztworzyły się podwoje i głowa Panichy wcisnęła się przez nie. Zobaczywszy leżącą, uderzyła stara w pomarszczone dłonie i weszła.

— Królowo ty moja złota! co tobie! — zawołała. —

Co tobie? Tu dwór cały się raduje... a ty chora?... chora? Miłościwa liljo moja biała! Co tobie?... Ja zioła znam, sposoby znam... co boli? powiedz, co boli?...

Zmarszczyła się margrafówna.

— Boli — wskazała na serce — na to ty nie masz leku...

— Oj! oj! czemu nie? czemu nie? — poczęła Panicha — niema takiej rzeczy i niema bólu takiego, na któryby leku nie było...

Margrafówna milczała, oczy zwracając ku górze.

— Mnie stąd trzeba precz! — rzekła — mnie tu niema co robić!... Znajdę sobie męża w domu! Co mi tam!...

Stara kręciła głową, rozglądając się dokoła dziwnie; skradała się zwolna aż do łóżka, zdawała się chcieć coś mówić i wahała.

— Królowo ty moja! — rzekła. — Tobie tu królową być... ale jak ty będziesz nią, nie zapomnisz o Panisie, nie zapomnisz!... Nasza pani... ona słaba... (tu głos się w szept zmienił), ona bardzo wątła, jej życia niewiele zostało... Lada dzień zaśnie...

Chrząknęła znacząco; w oczach jej coś się zwijało, więcej mówiąc, niż usta.

Oda poczęła się w nią wpatrywać.

Niedosłyszany prawie szept wyszedł z ust Panichy i twarz margafównej szkarłatem się oblała — kiwnęła głową, nie odpowiadając ani słowa. Rozpuszczonemi włosami poczęła twarz osłaniać, jakby się zawstydziła... i dłońmi białemi ją pokryła.

Stojąca nad nią Panicha głową potrząsała.

— Nie zapomnijcie wówczas o Panisie — dacie jej tu izby i ucho swe, a będzie wam sługą wierniejszą od psa. Posłuży we wszystkiem tak potajemnie, że na świecie nikt a nikt wiedzieć nie będzie...

Szeptała długo pocichu, potem głośniej poczęła:

— Lada dzień... zobaczycie!... Ot, tak zaśnie. Już ja wiem, życia jej niewiele pozostało... nie uciekajcie stąd.

Oda twarz odsłoniła...

— Źle mówisz; dlatego mi jechać trzeba, aby za mną gnali, aby o mnie prosili... rozumiesz?

Panicha, ręce złożywszy, głową potrząsała.

— Królowo moja, róbcie rozumnie! Wy wiecie, co robić, a ja też wiem... o! wiem.

Wstała z ziemi stara, pokłoniła się i wyszła prędko, ze drzwi jeszcze śląc uśmiech pięknej Odzie.

Po wyjściu jej margrafówna natychmiast się podniosła i zerwała z łóżka, klaszcząc na sługi... Kazała się odziewać prędko...

— Do ojca — jutro — do domu! — zawołała. — Jedziemy! musimy!

Niemieckie dziewczęta jej uradowane wnet zaczęły się krzątać około wyboru. Ona sama wzięła się pomagać niecierpliwie. Niekiedy rzucała robotę i stawała zamyślona...

— Powrócę! tak lepiej! — mruczała...

I posłała sługę do ks. Petrka...

Znaleźć go łatwo było; stał zdala, przysłuchując się wybuchom radości, jakby czekał, co z niej wyrośnie. Gdy nań skinęła Niemka, obejrzał się tylko i krokiem żywym pośpieszał na zawołanie. Ledwie się ukazał, niecierpliwa dziewczyna poczęła doń mówić.

— Idźcie ode mnie prosić, ja do ojca odjechać muszę... tak, muszę. Ani pytajcie, ani radźcie. To musi być, rozumiecie mnie, musi! Jutro — dziś, pójdźcie do króla, do królowej, wszystko mi jedno... Już mi się do domu stęskniło... Od królam wczoraj gorzkie słyszała słowa. Trzeba jechać, aby mnie żałował. Na oczach stać najgorsza rzecz!

Ks. Petrek słuchał, chciał coś rzec, ale mu nie dała.

— Już ja wiem, co czynię, nie mówcie... Powiedzcie królowej, że jej proszę do domu!...

Ręką skinęła rozkazująco; ks. pisarz zamyślony wyszedł... Z oznajmieniem tem, które mu zlecono, nie pora iść było. W izbie ucztowano... wesołość, śmiechy, wykrzykiwania słyszał tylko. Musiał stać i czekać, aż się królowa oddaliła z niewiastami.

Wślad zaraz poszedł za nią. Duchownemu wstęp

był zawsze wolny, więc choć królowa potrzebowała spoczynku, puszczono go... Przebiegły księżyna, ręce podniósłszy do góry, głowę zniżywszy z czcią wielką, od uwielbień rozpoczął.

— Święta pani nasza cuda czyni! — rzekł, wzdychając.

— Nie mówcie — przerwała Emnilda.

— Przyszedłem z nowiną może też wstrętliwą, miłościwa pani — odezwał się. — Ażali to dla dworu nie lepiej, gdy z niego to ustąpi, co się z nim miłością połączyć nie może? Margrafówna Oda przeze mnie oświadcza miłościwemu panu i pani, iż za gościnę im dziękuje i do ojca powrócić pragnie.

Wzdrygnęła się królowa, nie umiejąc pokryć radości. Ks. Petrek dodał z kłamanym uśmiechem.

— Wstrzymywać jej nie potrzeba... Niech jedzie. Niebezpiecznych to wdzięków niewiasta, do których lgnęli wszyscy!

Emnilda wstrzymała się od odpowiedzi długo.

— Królowi o tem oznajmię — rzekła.

Widząc, że rozmowa nie może się przeciągnąć, ks. Petrek z pokorą wielką i pokłonami wysunął się natychmiast. Sam nie chciał pośredniczyć w tem do króla; sądził, że ta wiadomość nie będzie mu miła, wolał więc ją zdać na opata, rachując, że jak przed królową, tak przed nim, będzie miał zręczność ze swą gorliwością o dobro pańskie wystąpić. U sług około dworu rozpytał zaraz o Arona, który się w tumie znajdował, a że wiadomość pilna była, pośpieszył do jego celi.

Braciszek, który był na rozkazach u opata, nie wpuścił go zaraz, dając mu wiedzieć, że się ktoś u niego znajdował. Ks. Petrkowi było na rękę podpatrzeć, kto miał tajemne narady z nim, ustawił się tak, aby po drodze wychodzącemu spojrzeć w oczy.

Nadzieja go jednak zawiodła — gdyż zaledwie na ławie w sieni przysiadł, dwu zakapturzonych mnichów wyszło z celi i przesunęli się tak żywo koło niego, iż choć ich pozdrowił, aby zatrzymać — otrzymał tylko mruczenie w odpowiedzi... Zdało mu się, że

unikali zbliżenia się do niego. Ponieważ wyszli od opata — gotów był to przypisać rozkazom jego.

Zachmurzony tą myślą stał jeszcze, gdy drzwi celi otworzyły się i sam opat ukazał się w progu, wzywając go do siebie.

Dotąd ks. Petrek prawie był pewnym, iż miał całe jego zaufanie, sprawa Jaksów coraz mocniejsze budziła w nim podejrzenie, iż mógł je postradać. Milcząco pozdrowił swojego zwierzchnika i smutnie spojrzał ku niemu.

— Co mi ks. protonotarjusz przynosi? — zapytał Aron.

— Jestem posłem margrafównej Ody, która chce do ojca powracać — odezwał się, podnosząc oczy, aby wrażenie pochwycić, ks. Petrek, — zdaje mi się, że pożądańszem być nie może, gdyż margrafówna... nie wszystkim tu jest miłą... nie dla wszystkich pożądaną. Może się mylę, ale oczy jej i chęci wysoko sięgają. Pozbyć się więc niebezpiecznej niewiasty...

Opat patrzał w okno; nie przeczył, ani potwierdzał.

— Wasza przewielebność zechcecie może o tem powiedzieć panu miłościwemu... Mnie to poselstwo nie przystało...

— Jest-li to, jak sądzicie, stałe postanowienie, czy niewieścia tylko próba? — rzekł opat.

— Nie potrafię sądzić o tem — odezwał się pokornie ks. Petrek. — Zdawałoby się jednak, że w istocie chce się stąd oddalić.

Ks. pisarz miał wielką ochotę przeciągnąć rozmowę, lecz opat zamyślony był dziwnie i milczący; nigdy zimniejszym nie okazał się dla niego. Ks. Petrek stał, wywołując jakieś słowo, zwierzenie się, poufałego coś, coby poświadczało, że łask nie stracił. Opat milczał zadumany.

— Zaprawdę — dodał nieśmiało — byliśmy dziś świadkami rozrzewniającego widoku... Cudu dokazała świątobliwość pani naszej... Co za radość powszechna!!...

Opat milczał jeszcze.

— Boli mnie tylko jedno, — kończył pisarz — że mi nie było dopuszczone do dzieła miłosierdzia ręki przyłożyć... że nie zasłużyłem na zaufanie i wierne moje usługi zyskać mi go nie mogły... Budzi się we mnie wątpliwość, czy ja przewielebności waszej jestem użytecznym... gdy do niczego używać mnie nie raczysz?

— Jakto do niczego, mój bracie — przerwał opat. — Król powierzył wam przecie poselstwo najtrudniejsze, najbliższą serca swojego sprawę? Wasza podróż do Magdeburga przekonaćby was powinna, jak wielkie posiadacie u pana naszego zaufanie. Ale też takiego, jak wy, człowieka do poślednich posług używaćby się nie godziło...

Skłonił się ks. Petrek.

— To pewna — rzekł, — iż nikt gorliwiej dla dobra kościoła i króla nie pracuje nade mnie; nieudolność tylko moja skutku nie dozwala osiągnąć. Robiłem, com mógł.

— Wiemy to — dokończył opat — i natychmiast, jakby odwracając rozmowę, począł żegnać pisarza, który, rad nierad, wysunął się, mocno rozżalony i gniewny.

Nazajutrz rano poczet, który miał towarzyszyć margrafównie w podróży, sposobił się do drogi. Oda milcząca, ale zarumieniona i podrażniona wybierała się niecierpliwie. Kobiety jej wiązały swe przybory i sposobiły juki na konie. Wozy zatoczono pod izbę i już je ładować zaczęto.

Margrafówna napróżno usiłowała się dowiedzieć, jak król przyjął wiadomość o jej postępowaniu, dziwując się i złoszcząc, że ją tak łatwo wypuszczano. W istocie nikt na dworze nie okazywał najmniejszego żalu i ochoty zatrzymania jej.

Jeden tylko Bezprym, który był późno wczoraj powrócił z łowów, dowiedziawszy się o wyjeździe Ody, pośpieszył do niej z dobrem słowem.

Pożegnanie z królową było ze strony Ody zimne.

a prawie czułe od Emnildy, która wdzięczną jej była, że dwór opuszczała i tłumaczyła to sobie dobrą wolą. Obdarzyła więc odjeżdżającą i uścisnęła, błogosławiąc. Ryksa także okazała się przy pożegnaniu czulszą, niż była zwykle dla Ody.

Od króla przyniesiono podarki wspaniałe, na widok których zarumieniło się radością lice Niemki. Bolesław wyszedł sam w podwórce do odjeżdżającej.

— Szkoda nam pięknej dziewoi — rzekł, uśmiechając się do niej — ale kiedy ojciec woła, słuchać wam trzeba! Jużci też może kiedy do nas powrócicie?

Oda spojrzała na króla jakby z wyrzutem; szepnęła coś niewyraźnego, zwykła jej śmiałość opuściła ją w tej chwili, spodziewała się czegoś więcej nad podarki i obojętne słowo. W duchu sądziła może, iż jej Bolesław nie puści.

Król, popatrzywszy na nią wzrokiem pożądliwym, mrugnął powiekami, uśmiechnął się, ale wnet poszedł nazad do dworu i nie ukazał się więcej.

W progu izby Panicha i inne niewiasty dworskie kłaniały się odjeżdżającej, okazując niby żal wielki; wogóle jednak więcej się spodziewała piękna pani. Wprawdzie poczet, dodany jej, okazały był, dobrany i odpowiedni dostojeństwu, nie zbywało na niczem, wracała z orszakiem godnym niemal królowej, lecz nie oddano jej czci, której duma pragnęła. Widocznie pozbywano się jej prawie radośnie.

Oda wyjechała otoczona rycerstwem, sama jedna z swym małym dworem, w sercu żywiąc mściwe uczucie. Ostatnie wejrzenie Panichy mówiło jej coś, co ona jedna zrozumiała i co w przyszłości obiecywało wiele!

Ks. Petrek, za którym goniła oczyma, wcale się nie zjawił. Wyjechali już za okopy i podzamcze, gdy na gościńcu ukazał się z kijem w ręku ks. pisarz, jakgdyby z pieszej jakiejś powracał wycieczki.

Ujrzawszy jadącą, zatrzymał się niby zdziwiony, pozdrowił ją i rzuciwszy okiem po orszaku, który się składał z ludzi oswojonych z pograniczem, a rozu-

miejących mowę Niemców, zawahał się zrazu z przystąpieniem do margrafównej, która się, zobaczywszy go, zatrzymała.

Widząc, że nań oczekuje, zbliżył się pisarz, a że poczet nieco dalej stał, mógł się więc pocichu rozmówić, czego sobie życzył zapewne.

— Źleście uczynili — rzekł prędko — iż stąd ustępujecie... Czasem, gdy sprawa zdaje się przegraną, jest najbliższą końca... Cóż król?

— Nie szczędził podarków... ale mi słowa dobrego nie powiedział — szepnęła Oda. — Królowi wszystkie niewiasty równe...

Ks. Petrek uśmiechnął się szydersko.

— Ja nie żegnam — dodał — pięknej margrafównej... Da-li Bóg życie, spodziewam się ją tu widzieć jeszcze... i w świetniejszym orszaku...

To mówiąc, zbliżył się do niej.

— Jedziecie do Niemiec — rzekł żywo — zawieźcie ode mnie ten zwitek do magdeburskiego arcybiskupa. Dostojny ojciec wasz niech go mu prześle. Zda mi się, że opat chytry chce oszukać wszystkich, ale i ja mam wzrok bystry i czuły... Niech Bóg szczęśliwie prowadzi! — dodał głośno, żegnając ją krzyżem na drogę i odstąpił wnet, puszczając się ku zamkowi.

Orszak margrafównej ruszył się wnet i dalej gościńcem pociągnął.

Ks. Petrek, który już od wczoraj zabiegając, podsłuchując, łapiąc poszlaki pewne, doszedł do tego, iż poselstwa do Rzymu się domyślił, wiedział, że jeden z Jaksów jest do boku posła przeznaczony.

Zaraz po wczorajszem wyjściu od opata ks. Petrek pobiegł się dowiadywać zręcznie o owych dwu mnichów przybyłych, którzy mieli być do Sieciechowa przeznaczeni.

Znano go, jako podręcznego pomocnika opata Arona, nie wszyscy więc usta przy nim trzymali zamknięte. Tegoż wieczora wiedział, iż dwaj benedyktyni nie przyjechali z zagranicy i do Sieciechowa nie zo-

stali naznaczeni. Oba ściągnięci zostali z Tyńca, a jak mówiono, podróż jakąś mieli przed sobą.

Nie wpadł na myśl dwu poselstw ks. Petrek, ale się jednego domyślił. Był już tego prawie pewien, jak również, że wysłano go do Magdeburga dla zmylenia Niemców i zbicia ich z tropu.

Szczęściło się dosyć przebiegłemu przyjacielowi cesarstwa, a umiał też każdą najmniejszą zręczność wyzyskać.

Tegoż ranka Andruszka miał polecony wybór koni i przysposobienie się do podróży. Spotkał się z nim w podwórcach ks. pisarz i wnet czułością wielką począł mu szczęścia, jakie go spotkało, winszować, unosząc się nad królową.

Andruszka, jeszcze przejęty dobrocią królewską, szanując duchownego, wiedząc, iż do dworu należał i opatowi służył, niebardzo się miał na ostrożności. Wiedział już, dokąd go wysyłano i nakazaną miał tajemnicę, ale nie czuł się obowiązanym zachowywać jej względem ks. pisarza.

— Konie rozpatrujecie — rzekł, uśmiechając się porozumiewająco, ks. Petrek. — Potrzeba je dobrać tak, aby długą, ciężką, niebezpieczną wyprawę mogły wytrzymać.

Oczyma dawał mu do zrozumienia, że o wszystkiem był uwiadomiony. Andruszka też nie wątpił o tem.

— Życiebym dać gotów, by miłościwemu panu jak najlepiej usłużyć — odezwał się.

— Niebezpieczna, trudna wyprawa... gorzej, niż przeciw jawnemu nieprzyjacielowi... — rzekł ksiądz, wzdychając — na baczności się mieć będzie potrzeba od niespodzianych zasadzek!...

Andruszka potwierdził to ruchem głowy.

— Kraj nieznany, ludzie obcy, a wielce przebiegli... Daj Boże podołać temu...

— To już nie moja rzecz — odezwał się Andruszka, ale tego, co, lepiej znając wszystko, prowadzić

będzie... Ja w obronie tylko i na posłudze mu stawać muszę.

— Mam-li dać radę? — szepnął ks. Petrek dla lepszego zbadania. — Nie szukajcie manowców, nie schodźcie na małe drożyny, wielkim gościńcem najmniej się was spodziewać będą... i jechać najbezpieczniej. Powiedzcie to, ale od siebie, przewodnikowi... nie domyślą się ludzie, kto jesteście, widząc, że się nie kryjecie z sobą.

— Rozumna rada! — potwierdził Andruszka.

— Ku południowi i w cieplejsze dążycie kraje — z uśmiechem dodał wkońcu Petrek — kożuchów i opończy nie zabierajcie... ciężar to daremny...

Andruszka potwierdzająco się uśmiechnął, a ks. pisarz, pewnym już będąc swojego, zbiegł natychmiast do celi, na zrzynku ostrzeżenie napisał, woskową je pieczęcią i sznurem opatrzył, wyszedł na miasto i oddał margrafównie, aby je do arcybiskupa wysłano.

Na gościńcach więc większych, któremi jechać doradzał, pewnym był rozstawienia pilnych straży i pochwycenia królewskiego posła. Szczęściem jednego tylko odgadywał, gdy w istocie dwu ich być miało.

Rad z siebie, że oddał kościołowi i cesarstwu posługę, przejęty radością, pobożny ks. pisarz wprost potem udał się do tumu i pokląkłszy przed ołtarzem, gorąco modlić się zaczął. Zdradzał on w dobrej wierze, pewien, że na swe zbawienie pracuje.

IV.

W kilka dni po wyjeździe Ody niewiasty wyszły wszystkie na pobożną przechadzkę. Królowa przodowała. W dworcu jej, jak zwykle, wszystko stało otworem, okna były poodsłaniane, drzwi odemknięte, choć żywa dusza w izbach się nie znajdowała. Straży też w wewnętrznych dziedzińcach nie stawiono.

W chwilę po wyjściu królowej na jednym z podwórców zjawiła się, rozglądając ostrożnie, Panicha.

Nie widząc nikogo, pocichu drzwi otwarła i zamknęła je za sobą. Oczyma śledziła wszystkie kąty, krokiem wolnym, jakby bez celu posunęła się ku oknom izb Emnildy, a gdy i tu nikt się nie pokazywał, podeszła do nich blisko. Nierychło ośmieliła się włożyć głowę w otwór i wpatrzyć się w pańskie komnaty. Ciekawość, czy inna jaka myśl ją prowadziła? Zajętą się być zdała silnie i jakby przestraszoną tem, co czyniła, a szła jednak.

We wnętrzu było pusto. Od okna odstąpiwszy, powlokła się, obejrzawszy kilka razy ku drzwiom, — te stały otworem. Mogła więc wnijść, nikt jej nie widział. Wsunęła się pocichu i znikła. Dobra chwila upłynęła, a nie widać jej było zpowrotem...

Gdy nareszcie wyszła, blada, jakby pijana i wystraszona, musiała się oprzeć o ścianę na czas jakiś, by nie upaść, bo nogi się trzęsły pod nią.

Oczyma wodząc obłąkanemi, ręką wychudłą tarła czoło, oblane potem, jakby z niego myśl jakąś natrętną zetrzeć chciała. Potem z przestrachem nagłym odbiegła prędko ku furcie, którą weszła, wyśliznęła się nią i nie odetchnęła, aż na drugim podwórcu, gdzie pod ścianą upadła napół zemdlona.

Widocznie coś się z nią stało nadzwyczajnego, bo twarz i postawa jej cała zmieniły się strasznie. Targała się, jakby chcąc i nie mogąc powstać, wreszcie płachtę zasunęła na oczy, niby nie chcąc, aby jej kto z twarzy wyczytał myśli, i tak pozostała skulona, uśpiona, póki ją głos Zyga nie zbudził.

Karzeł stał nad nią i wykrzywiał się dziwacznie.

— Stara ty czarownico — wołał — co ty tu ścianę królewską walasz, ocierając się o nią... Jeśli ci czas przyszedł zdychać, idź do psiarni...

Tym głosem obudzona, Panicha podniosła nieco głowę, zasyczało jej coś w ustach, ale głosu rozeznać nie było można.

— Upiłaś się gdzieś na podzamczu — śmiał się karzeł — a przyszłaś tu piwo wydychać. Że cię też psy nie zjedzą.

Panicha ręką go odganiała, ale karzeł był złośliwy i sprawiało mu przyjemność dręczyć tych, co mu się bronić nie mogli; jak osa opadł babę i brzęczał jej nad uchem.

— Żal ci snać twojej pani, do której chodziłaś czary dla niej sposobić. Pojechała, nie wróci! Trzeba się było zabrać z jej dworem, tamby ci lepiej było.

Zyg przychylił się, zęby wyszczerzając, i począł cichym głosem:

— Ty, co umiesz czarować, toćbyś i mnie powinna jaką dziewkę przyciągnąć, a to od ilu lat jestem na dworze, żadna, nawet niewolnica i chłopka, królewskiemu słudze się nie uśmiechnęła!

Panicha poczęła wstawać, aby się od zjadliwego karła uwolnić, lecz siły ją opuściły i opierając się oburącz na ziemi, zaledwie podnieść się potrafiła, gdy Zyg popchnął ją, śmiejąc się, i znowu padła, przeklinając go, odgrażając się, nareszcie kij chwyciwszy, by mu się obronić. Zygowi tego tylko była potrzeba! I on też kij miał pod ręką, stanął z nim, jak z mieczem do walki.

Gawiedź, w drugim końcu dziedzińca stojąca, zbiegła się ze śmiechem patrzeć na to osobliwe widowisko. Panicha nareszcie, rzuciwszy kij, dźwignęła się z ziemi i, klnąc Zyga, rzuciła się do ucieczki. Karzeł i gawiedź gnali za nią i tak ze wrzawą wypędzili ją z dziedzińca wśród powszechnego śmiechu. Psy obudzone hałasem, pognały za nią, szarpiąc odzież i przyprowadzając niemal do szaleństwa.

Temu wypadkowi przypisywano, że nazajutrz Panicha była obłąkaną i w kruchcie kościelnej śpiewała, skakała i plotła tak od rzeczy, iż ją z zamku precz wygnać kazano.

Miała ona przyjaciół na podzamczu i do nich się schroniła. Oddawna zwykła była u dalekich jakichś krewnych w ubogiej chacie Drapaczów nocować i składać swe łachmany. Gdy tu teraz wpadła z rozczochranym włosem, płachtami rozrzuconemi, jakby pijana — Drapacz o mało nie zamknął drzwi przed nią,

tak się nastraszył. Wparła się siłą do lepianki, wołając:

— Co to wy mnie nie znacie? ja królowej pani sługa! Ja chodzić będę we złocie i w szkarłatach. Nie wiecie nic! Będziemy mieli nową panią. Tej już niedługie panowanie. Co ja wiem, nie powiem. Weszłam do komnaty, nikogo nie było, com robiła? co komu do tego? co? Ze ściany mi jakaś twarz okropnemi oczyma zaświeciła... grożąc, albo ja się boję? Nie boję się!

Mówiła przerywanemi słowami, a Drapacz ręce łamał, milczeć jej każąc i spać ją chcąc położyć. Nic to nie pomogło. Panicha po swojemu bredziła po nocy, a nazajutrz rano wstała z tym samym śmiechem i szałem.

Chciała się wyrwać z podzamcza i wnijść na zamek znowu, lecz od wrót ją odpędzono i Drapaczowi nakazano surowo, aby ją zamknął i pilnował. Trzeciego dnia uspokoiła się nieco, nie wychodziła już ku grodowi, obawiając się chłosty, lecz bredziła zawsze jedno, o królowej nowej, o swej przyszłości, o oczach, które na nią ze ściany patrzały.

We dworze mało kto spostrzegł nawet, że Panichy nie było.

Trzeciego dnia właśnie, gdy miano jednego z Jaksów wyprawiać, z rana rozeszła się wieść, że królowa Emnilda zachorowała.

Na całym zamku, w mieście, gdziekolwiek się o tem dowiedziano, żal, boleść wielka i przestrach ogarnęły ludzi, królowa bowiem była matką ubogich, orędowniczką wszystkich u króla, opiekunką biednych, co się do niej czasem z kończyn kraju ściągali. Nie odmawiała nigdy opieki nikomu, a król rzadko prośbę jej odrzucił.

Zdawna już na znużonej twarzy świętej niewiasty widać było, jak jej życie ciężyło wielkiem brzemieniem. Często mówiła, iż czuła się słabą i nie obiecywała sobie długiego wieku. Nie spoczywała jednak i nie zamykała się u siebie. Codzień wychodziła zająć

swe miejsce przy panu, trwała na nabożeństwie, karmiła swoich ubogich. Dopiero dnia tego po raz pierwszy strwożyli się wszyscy, dowiadując się, iż królowa leży i wynijść nie może.

W przededniu wróciwszy z kościoła, Emnilda zażądała napoju: złoty jej kubek stał na stole, kazała sobie weń nalać wody, wypiła ją i, stawiając go, szepnęła, że woda tego dnia dziwny jakiś smak miała.

W godzinę potem oczy zaczęły jej zachodzić ćmami, uczuła ból w głowie i musiała naprzód usiąść, potem się położyć. W nocy stan ten się pogorszył. Z cierpliwością wielką znosiła królowa boleści, Bogu za nie dziękując.

Nazajutrz, gdy nie wyszła do jadalni i Bolesław, nawykły od lat wielu widzieć ją u boku swojego, nie zobaczył jej twarzy, co mu pokój i pociechę przynosiła, posłał zaraz niespokojny, a wnet i sam wszedł do komnaty żony.

Zastał ją leżącą, bladą, z oczyma straszliwie jaśniejącemi jakiemś życiem potężnem, w gorączce, z usty spalonemi, lecz przytomną i modlącą się. Rozmaite rady niewieście, któremi ją chciano leczyć, nie pomagały. Z każdą godziną stan się pogarszał.

Nie było naówczas lekarzy. Jedynym, co słynął szeroko, był biskup praski, starzec sparaliżowany sam, którego rady zdala zasięgnąć nie było podobna, a jego przywieźć — niemożliwe...

Rzucono się więc o pomoc do jedynego lekarza w niebiesiech, który mógł skinieniem życie przywrócić i uleczyć chorobę. Po kościołach wszystkich nakazano nabożeństwa. Z tumu przyniesiono relikwje świętych, rozesłano do klasztorów, aby uroczystemi modłami błagać Boga o zachowanie życia królowej.

Na królu widać było smutek tak wielki, jakiego od utraty Pragi nie pamiętano. Milczący siedział, posyłając się dowiadywać co chwila, obiecując ofiary szczodre duchowieństwu, jeśliby modlitwy jego zdrowie królowej przywróciły. Dzień też i noc nie ustawały ofiary i pieśni w kościołach.

Królowa Emnilda, przy której łożu zajęła miejsce Ryksa, otoczona całym swym niewieścim dworem, przywiązanym do niej, jak do matki, leżała cierpiąca, choć nic nie zdawało się zwiastować pogorszenia. Osłabłą była, skarżyła się na boleści, lecz uśmiechała się do otaczających.

Dzień i dwa przeszły bez żadnej zmiany prawie — wstępowała więc nadzieja we wszystkich, iż się choroba sama przesili i królowa ocaloną zostanie. Ona sama nie okazywała ani trwogi, ni zbytniej o życie troski.

Trzeciego dnia zażądała duchownego, spowiedzi i przygotowania na podróż wielką... Potem zdała się już spokojniejszą i mniej cierpiącą, sen łagodny przymknął jej powieki. Na dworze dziękowano już Bogu za ocalenie, które się pewnem zdawało. Król ślubował złoty krzyż do Gniezna.

Lecz, gdy się Emnilda obudziła, zażądawszy widzieć syna i wnuka, ledwie miała siłę się pochylić ku nim, aby ich pocałować.

— Nie trwóżcie się — mówiła — nie płaczcie! Godzina moja przychodzi, idę na lepszy świat, do najdobrotliwszego z ojców, pełnego łaski. Tu jestem już niepotrzebna, tam mnie spoczynek czeka i szczęśliwość. We śnie widziałam anioła Pańskiego, który mi zwiastował, że powołuje mnie ku sobie Ojciec niebieski.

I sługom nakazała się przybrać w białe szaty, a potem pocichu modlić się zaczęła.

Bezprym, choć królowa Emnilda była dlań zawsze łaskawa i wielekroć starała się dlań serce ojca ukoić, uśmiechał się dziko na wiadomość o chorobie. Gheza musiał chodzić nieustannie na zwiady i przynosić mu wieści, które w podwórcach mógł pochwycić.

Tak samo niespokojnie wyglądał ks. Petrek końca choroby, którą zawczasu osądził śmiertelną. Było mu równie, jak przyjaciołom cesarstwa, na rękę doczekać się zgonu królowej. Znali oni Bolesława i spodziewali się Odę, lub inną Niemkę na dwór wprowadzić, a z nią

ustalić wpływ tajemny Niemców, który miał przyszłość podkopać.

Dzień i noc niemal całą stali ubodzy ludzie u ścian, spoglądając na wrota, cisnąc się, gdy komornika zobaczyli.

Ks. pisarz z innymi chodził na nabożeństwa błagalne i pokazywał się na nich jawnie, aby go tam wszyscy widzieli.

Dni te, w trwodze przebyte, wydały się wiekami...

Królowa gasła widocznie, a otaczający jej łoże łudzili się jeszcze nadzieją. Czasem orzeźwiona zdawała się silniejszą, przemówiła słów kilka, uśmiechnęła się do Teodory Sieciechównej, przemówiła do Ryksy, zbladłą ręką pogłaskała wnuka, potem opadała senna, znużona i powieki jej zsiniałe zamykały się.

Dzień jeden nie przyjmowała już pokarmu, zaledwie mogąc do ust spiekłych wziąć kroplę wody. W nocy przebudzona, ujrzawszy u stóp łoża Sieciechównę, skinęła na nią. Noc to była ostatnia...

— Teodoro moja — rzekła — czas się zbliża! Nie łudźcie się i modlitwami nie wstrzymujcie duszy mojej. Ona tak pragnie ulecieć na łono ojcowskie. Któż wie, czy doczekam rana? Idź — proszę, powiedz ojcu swojemu, że raz jeszcze chcę pożegnać króla i pana mojego, niech przyjdzie do mnie!

Zapłakana pobiegła Sieciechówna; zbudzono Bolesława, który natychmiast wieść się kazał do królowej.

Zobaczywszy go, wysiłkiem ostatnim podniosła się Emnilda, ręce wyciągając ku niemu. Kazano się wszystkim oddalić, król padł na siedzenie.

— Panie mój — odezwała się silniejszym, niż wprzódy, głosem królowa. — Panie mój! mnie Bóg powołuje, chciałam cię pożegnać i za lata, spędzone z tobą, dziękować. Przed oczyma mojemi widną jest przyszłość — niech ci Bóg da siły do dźwigania jej, bądź szczęśliwym! Nie zapominajcie o duszy mojej!

— Przyszłość widzisz? — zapytał król. — Powiedz mi ją!...

— Nie wolno mi jej odkryć tobie! Lecz i ty — wi-

dzieć ją będziesz, gdy przyjdzie godzina. Mężnym bądź. Pomnij tylko, że ta, którą weźmiesz po mnie, ciebie, pana mojego, winna być godną. Nie patrz na młodość, nie daj się uwieść wdziękowi, abyś nieprzyjaciela nie posadził w domu twym u stołu twojego.

Umilkła królowa; nie rzekł też słowa Bolesław. Przyszły mu na myśl lata, przeżyte z córką Dobromira, niezamącone niczem, pogodne, czyste, w ciągu których on stokroć potrzebował przebaczenia, a nigdy nie miał przebaczać powodu. Żal niezmierny ścisnął męskie serce jego; zdało mu się, że z tą niewiastą odchodzi szczęście, które mu jej modlitwy u Boga wyjednywały.

Zbliżył się do niej, usta szeptały jeszcze modlitwę, lecz gdy je całował raz ostatni, uczuł je jak lód zimne, a rysy okryły się bladością śmiertelną. Z rękami na piersiach złożonemi, w których ściskała krzyż, z tą na ustach modlitwą przy pożegnaniu męża, cicho i spokojnie skonała królowa Emnilda.

Na krzyk dziki, który się wyrwał z ust króla, nadbiegł dwór cały i padł rozłzawiony u łoża, widząc martwą królowę.

Sieciech zbliżył się natychmiast do pana, aby go od smutnego oderwać widoku. Wyprowadzono króla, a z drugiej strony drzwiami wszystkiemi biegli ludzie z płaczem i jękiem do ciała. W mgnieniu oka rozeszła się po dworcu i dziedzińcach wieść straszna:

— Królowa umarła! Emnilda nie żyje!

Była to chwila, gdy dzień się robić poczynał; ubodzy ludzie budzili się do pracy, gdy ozwał się dzwon żałobny na tumie i ks. Petrek porwał się ze snu. Zrozumiał on głos ten poranny i drgnął. Po chwili już był odziany, na nogach i wybiegł ze swej izdebki. Ludzie, zawodząc i płacząc, snuli się w dziedzińcach, tłum czarny widać było około dworca. W powietrzu latały słowa „królowa umarła".

Dziwny uśmiech skrzywił mu usta; lecz w mgnieniu oka przyoblókł twarz żałobą.

Naprzeciwko niego biegł Harno, nie od palatium

pańskiego, ale z podzamcza, przestraszony jakby i nad miarę pomieszany; księdza zobaczywszy, nie mówiąc doń nic, począł go ciągnąć nazad do jego mieszkania. Ks. Petrek mógł się łatwo domyśleć, iż coś innego mu niósł, niż wiadomość o zgonie, o którym już wszyscy wiedzieli.

— Ojcze mój — zawołał w progu. — Byłem posłany na podzamcze przez Sieciecha (pochwycił się za głowę). Ojcze mój, com słyszał, co widziałem! Z chaty Drapacza wystawiła głowę rozczochraną Panicha, ta straszna baba, co się do margrafównej włóczyła, i krzyczała, że ona będzie nową królową... Oda... i że nie kto, tylko ona, Panicha, wszystko to zrobiła!

Ks. Petrek rzucił się, usta mu gniotąc ręką.

— Milcz, przeklęty głupcze! — krzyknął. — To obłąkana... sama nie wie, co prawi. Milcz! Chcesz-li być pewien głowy na karku! Nie śmiej mówić o tem nikomu. Idź, rozkaż Drapaczowi, by zabił okno, aby jej nie wypuszczał, by nikt nie śmiał tego powtarzać!

Chociaż wolą było zmarłej, ażeby pogrzeb jej odbył się tak, jakby w zakonie życie skończyła, choć kazała się pogrzebać w sukni mniszej, jako pokorna służebnica Chrystusowa, król o tem słuchać nie chciał. Nakazał, aby oddano cześć największą zwłokom królowej, ze wspaniałością je grzebiąc obok Mieszka, tam, gdzie on sam też chciał spoczywać. Rycerstwo, panowie, duchowieństwo natychmiast zwołani zostali. Z Gniezna i Trzemeszna mieli przybyć kapłani, a mnogi lud i tak już gród oblegał.

Trzeciego dnia po zgonie odbył się więc z przepychem owych czasów niezmiernym, z jałmużnami i darami, z nabożeństwem uroczystem, pogrzeb pobożnej pani, za którym szło, co żyło w mieście i okolicy.

Gdy nazajutrz rozpłynęły się tłumy i powszechne życie wróciło w zamku nad Cybiną, choć, jak zwykle, nie brakło ludu na nim i gwaru, pustka, którą po sobie zostawiła Emnilda, dała się czuć wszystkim.

Młoda Ryksa, choć równie pobożna, lecz zajęta

dziecięciem swem i mężem, żyjąca w zamknięciu, mniej dostępna, nie mogła jej zastąpić.

Królowi brakło tej towarzyszki wiernej, której siedzenie, pokryte czarnem suknem, stało próżne. Opat, widząc go chmurnym i niepocieszonym, starał się naprzód skłonić go do zgodzenia się z wolą Bożą, potem odwrócić myśl jego od tej żałoby, przypominając mu dwa poselstwa, które wyprawione być miały. Oba one powstrzymane zostały z powodu choroby królowej.

Na wzmiankę o tem król w istocie ożywiać się zdawał.

— Jaksowie i moi dwaj księża czekają na pańskie rozkazy! — odezwał się opat.

— Niech jadą! — odparł król.

Naówczas opat obszernie począł kreślić plan podróży i opowiadać, jakiemi listy do Rzymu miał ich opatrzeć.

Listy te, przeciw zwyczajowi, przysposabiał nie ks. pisarz Petrek, ale benedyktyn, którego umyślnie dla sporządzenia ich sprowadzono do tumu, skąd wcale nie wychodził.

Szło następnie o oznaczenie wagi złota, jakie z sobą dwa poselstwa zabrać miały. Bolesław oznaczył ją bardzo wysoką, lecz zabranie takiego skarbu dla wagi jego było w podróży prawie niepodobieństwem.

Wszystkie te szczegóły, o których król musiał mówić, oderwały nieco myśl jego od wspomnienia królowej.

Dla tem pewniejszego omamienia księdza Petrka, którego się opat obawiał, kazał mu wygotować nowy list do arcybiskupa, polecający modlitwom jego duszę królowej, przyczem miał być dołączony dar dla duchowieństwa u grobu św. Maurycego, a razem prośba nagląca o pośrednictwo u cesarza w sprawie korony.

Tym listem jakby mocno zajęty, opat spędził kilka godzin razem z Petrkiem. Pisano go i przerabiano, przyczem i o wielkim żalu króla a smutku jego była mowa.

— Przewielebny ojcze — odezwał się ks. Petrek wkońcu — wszystkim naszym wiernym sługom miłościwego, wielkiego pana naszego idzie o utrzymanie go w najdłuższe lata!... Niech mi więc będzie przebaczonem, jeśli się odezwę w tej sprawie.

Opat spojrzał ciekawie.

— Na smutek miłościwego pana niema ratunku innego, tylko tę świątobliwą panią, nieodżałowanej pamięci królowę, zastąpić inną u boku jego niewiastą. Lepiej stokroć jest, aby świętym związkiem małżeńskim został połączony z inną, niżby miał pokątnej szukać pociechy w ladajakich miłostkach...

Opat Aron słuchać się zdawał z uwagą, nie przecząc wcale, czem ośmielony nieco ks. Petrek mówił dalej.

— Myśmy do poskramiania naszych namiętności nawykli... lecz królowie a rycerze hamować ich nie umieją... *Caro infirma*... królowej potrzeba!...

— Nierychło o tem mówić się będzie godziło — przerwał opat.

— Lecz potem, gdy król zakosztuje swobody, do której czasu wojen swych był nawykły, za późno być może — mówił pisarz. — Im krótsze będzie wdowieństwo jego, tem dla duszy zbawienniej.

Tu zatrzymał się nieco i zawahawszy, ciągnął dalej:

— Pomiędzy ludźmi we dworze mowa, iż za pobytu margrafówny Ody rzucał na nią pan miłościwy pożądliwem okiem... Niewiasta nieco płocha dla dostojeństwa królewskiego młodośćby swą poświęciła chętnie... Ludzie mówią, że wcale nie patrzała krzywo na miłościwego pana...

— Samiście rzekli, że niewiasta płocha... — wtrącił opat.

— Lecz ustałaby płochość w stadle małżeńskiem — mówił ks. Petrek. — A skądże miłościwemu panu żonę weźmiemy, jeśli nie z pomiędzy chrześcijańskich rodów... niemieckich, z któremi połączenie wojnom też zapobiec może...

— Rada wasza — odparł opat Aron — może być

pożyteczną, chociaż wybór zdaje mi się niedobry... Król towarzyszki nowej zapragnie, nikt mu jej nie może odmówić... Bodaj jednak wybrał inną!...

Uśmiechnął się ks. Petrek.

— Z tego, co po dworze chodziło, wnosząc — dodał — zda mi się, że innej nie zechce... a nie byłożby lepiej dla tego, kogo wezwie do swej rady, by mu to przyniósł właśnie, co ma na myśli?...

Rzuciwszy tak odniechcenia to, co chciał zdać na opata, ks. pisarz przez czas jakiś zajął się mocno aktem, który miał przysposabiać; potem, niby coś sobie przypomniawszy, rzucił trzcinkę, którą pisał.

— Zapomniałem też donieść waszej przewielebności, jak to powinienem był z obowiązku — odezwał się, — jakie tu niedorzeczne chodzą plotki...

Wiem przecie z ust waszych i z własnego poselstwa, iż innych starań o koronę, jak tylko przez cesarza i arcybiskupa, niema... a są płosi ludzie, co utrzymują, że wprost do ojca świętego, do Rzymu, ma być poseł stąd wyprawiony... Jużciż, gdyby tak być miało, jabym coś o tem wiedział. Baśń jest sklecona licho...

Opat, posłyszawszy to, poruszył się niezmiernie; mimo mocy, jaką miał nad sobą, zbladło mu lice i wybuchnął gniewem.

— Że ludzie plotą takie baśnie, nie dziwię się, — ale dziwno mi, że mi je wy, ojcze, powtarzacie...

Z obowiązku — rzekł, zniżając głowę, ks. Petrek. — Wasza przewielebność o wszystkiem musi być zawiadomioną. Niedorzeczność, plotki — ja to wiem najlepiej, com nieco po świecie bywał i znam moc cesarską, a czujność tych, co mu służą!... Do Rzymu się dostać stąd... gdyby nawet stokroć się przebrał ktoś, nie potrafi... ani ja, co znam drogi i ludzi, ważyłbym się sam, anibym radził komu... Szedłby na zgubę pewną...

Spojrzał w oczy opatowi, mówiąc to, ks. Petrek, lecz Aron, już uspokojony, przybrał szyderski wyraz twarzy.

— Zaprawdę — odezwał się, — baśń godna tych próżniaków, co na dworze nie mając się czem zabawiać, z palca sobie wykręcają niebywałe rzeczy... Mój ojcze, ani słuchać tego, ani na to zwracać uwagę... I ja nieraz słyszę rzeczy, którym, gdybym chciał dać ucha, przyszłoby zwątpić o ludziach i, co gorzej, o stanie naszym kapłańskim. Albo myślicie, że we mnie nie usiłowano wmówić, iż wy, którzy jesteście prawą ręką moją, służycie arcybiskupowi magdeburskiemu i cesarzowi, a na dwór ich donosicie, co się u nas mówi i dzieje?

Ks. Petrek, siedzący nad pulpitem, zatrząsł się cały; głowa jego spuszczona nad pergaminem nierychło się podniosła, a głos dobył się z ust dopiero, gdy ochłonął.

— Niepoczciwa to potwarz — rzekł cicho i drżąco — niegodna, by mówić o niej...

Opat się podniósł z siedzenia.

— To też — odparł spokojnie — widzicie, że nigdy o niej wam nie wspominałem, choć oddawna mnie nią karmiono, ani się zmniejszyła dla was ufność moja...

W milczeniu posunął się pisarz szybko do ucałowania ręki opata, który z postawą pewną siebie i dumną niemal wyszedł z izby.

Pisarz, odprowadziwszy go do progu z pokorą, wrócił chwiejącym się krokiem. Za progiem zaraz stanął nieruchomy, osłupiały, jak wryty, z oczyma w ziemię wlepionemi, zapominając o wszystkiem, co go otaczało, długo, długo...

Słowa opata Arona, jak rozpalone iskry, latały mu po głowie. Był więc zdradzonym, odgadniętym, — on, co sądził, że schwytanym być nie może i jest bezpiecznym. Co miał radzić na to, nie wiedział sam!

— Kto mnie mógł zdradzić?... — pytał ciągle. — Więc chytry ten wąż i tam ma swoich, co mu donoszą, co szli za mną, co podsłuchiwali?...

Strwożony, trząść się zaczął, jak w febrze. Jeżeli opat słyszał o tem... król wie... a król.. rzucić mo-

że do ciemnicy... zesłać do benedyktynów, którzy mnie zamkną, jak więźnia na wieki!... Uciekać!... Jak i dokąd?... Niepodobieństwo!...

Męczeństwo, na które mógł być skazanym, pomimo gorliwości dla sprawy kościoła, przerażało go. Nie był na nie przygotowanym. W myślach powstał zamęt niewysłowiony i wreszcie ks. Petrek, nie umiejąc go pokonać, padł na kolana do modlitwy, szukając w niej ratunku.

Ale i modlić się nie mógł. Usta powtarzały wyrazy, myśl biegła gdzie indziej. Przypomniał sobie, iż pisma arcybiskupie miał w izbie, że je u niego znaleźć było łatwo teraz, gdy go już miano w podejrzeniu. Skończywszy więc krótką, roztargnioną modlitewkę, wstał, drzwi zaryglował i zajął się wyszukiwaniem kartek, które natychmiast chciał zniszczyć.

I w tem trudność była wielka, bo palenie ich mogło być dostrzeżonem, a skóra niełatwo się pali. Postanowił je więc zakopać gdzieś w miejscu bezpiecznem.

Co prędzej, zebrawszy zwitki, wysunął się ostrożnie na podwórze i wyszedł krokiem szybkim za okopy. Tu wszędzie ludu było tak wiele, iż wpobliżu miasta nie mógł zrobić nic; musiał wnijść w las, gdzie, jak mu się zdawało, nikt go już spostrzec nie mógł. Pod korzeniami starego dębu naprędce wykopawszy dołek, ks. Petrek wrzucił, co przyniósł z sobą, zasypał ziemią, zakrył liśćmi, udeptał nogami i lżej odetchnął, gdy się ta czynność szczęśliwie dokonała. Obejrzał się jeszcze dokoła, — nie było nikogo, żadna gałązka się nie poruszała, las i okolica milczały!

Spokojniejszy, wziął za kij i wracał ku miastu powoli, zacząwszy się modlić na nowo. Zbierał myśli, aby coś postanowić na przyszłość.

Co miał czynić? Ucieczka byłaby przyznaniem się do winy, której żadnego dowodu nie miano. Ktoś go zapewne z pogłosek, pochwyconych na dworze magdeburskim, mógł oskarżyć, ale gołe słowa łacno było odeprzeć. Opat Aron prawdopodobnie im nawet nie

wierzył. Ks. Petrek chciałby był zajrzeć w jego duszę, lecz czuł, że to jest niepodobieństwem. Ze wszystkiego przeto wypadało mu pozostać na dawnem stanowisku, starać się na nowo obudzić zaufanie i służyć, jak dawniej, sprawie kościoła i cesarstwa. Postanowił być ostrożniejszym, ale niemniej gorliwym. Cierpliwość i pokora były najlepszem lekarstwem na podejrzenia.

W tych myślach zbliżył się ks. Petrek do miasta.

Uszło bacznego oka jego w chwili przestrachu, jaki go zrazu ogarnął, iż przy zakopywaniu zwitków pergaminowych miał świadków.

Traf chciał, że się dwaj Jaksowie przed rozstaniem swem chcieli na osobności rozmówić po bratersku. Wyszli więc godzinę wprzódy do lasu i położyli się na ledwie oschłej ziemi nieopodal od miejsca, w którem stał dąb stary.

Szelest nadchodzącego śpiesznie pisarza zwrócił ich uwagę; zamilkli i byli mimowolnymi świadkami zakopywania jakiegoś, jak się im zdawało, skarbu. Zaraz po odejściu ks. Petrka, którego mało co znali, Andruszka zaczął się śmiać z nieostrożności księdza i chciał nauczyć go większej baczności w ważnej sprawie. Śmiejąc się, podeszli na miejsce, które dobrze widzieli i począwszy grzebać, dobyli z łatwością ukryte zwitki. Zdziwiło ich to, dlaczego ksiądz potrzebował taić się z niemi.

— Nieczysta to rzecz — rzekł Andruszka, — a może właśnie Pan-Bóg chciał, byśmy jaką zdradę niebezpieczną odkryli. Czytać z nas żaden nie umie... idźmy do opata.

Opat Aron znajdował się w tumie; gdy ich zobaczył nadchodzących, sądząc, że coś o podróży mówić mu mają, począł od tego, aby spokojni byli i oczekiwali na rozkazy.

— My tu nie z tem przychodzim — odezwał się Andruszka, — ale ze śmieszną sprawą, która może ma jaką wagę.

I począł opowiadać, jak się rzecz miała.

Na twarzy Arona odmalowała się radość i zdzi-

wienie, sięgnął chciwie po zwitki i pocałował w głowę Andruszkę.

— Istotnie — rzekł, rzucając oczyma na kartki — oddaliście królowi przysługę... choć wypadkiem. Proszę was, milczcie o tem!

Skłonili się Jaksowie.

— Ks. Petrka, mimo że oddawna wiem, iż nas zdradza, dlatego trzymam właśnie, aby go innym nie zastąpiono. Żleby było, gdyby się czegoś domyślał. Nie mówcie nic... i nikomu...

Gdy opat z pomocą z drugiej celi przywołanego mnicha zabierał się do czytania, Jaksowie wyszli uradowani.

Ks. Petrek, wróciwszy do swej celi, choć znacznie w duchu uspokojony, niemniej jeszcze z myślami gorączkowemi całą noc przepędził. We śnie zdało mu się, że zakopane nieostrożnie zwitki ktoś dobył z ziemi. Obudził się w potach, ogarnęła go trwoga, bo naówczas i długo potem jeszcze w sny wierzono.

Jak świt więc pędzony niepokojem, pobiegł w las w zamiarze wydobycia pergaminów i ukrycia ich gdzie indziej. Jakiż go przestrach ogarnął, gdy ujrzał już zdaleka rozrzuconą ziemię i próżny dołek.

Blady upadł u stóp dębu, prawie utraciwszy przytomność. Ktoś musiał go więc podpatrzeć, dobyć i zanieść do grodu te świadectwa zdrady, które były dlań wyrokiem potępienia.

Nie mogąc długo przyjść do siebie, siedział ks. pisarz na ziemi, z oczyma osłupiałemi, sam już nie wiedział, co poczynać. To, co dla bezpieczeństwa uczynił, zgubiło go, albo zgubić mogło co chwila. Na zwitkach stało jego nazwisko... wyprzeć się ich było niepodobieństwem!

Gotów już był na nieuchronne męczeństwo. Jednakże, wróciwszy do drzwi swej celi, znalazł tylko wiadomość, że go do opata wzywano. Poszedł do niego natychmiast.

Ani z twarzy, ani z mowy nie mógł się wcale domyśleć, aby tajemnica jego odkrytą została. Opat Aron

żądał spisania jakiegoś nadania nowego, które król uczynił dla Sieciechowa. Gorliwie się wziął do niego ks. pisarz i nieco uspokojony wrócił do celi, aby tam wykaligrafować akt, który mu spisać polecono.

Podróż do Magdeburga, od dnia do dnia odkładana, zaniechaną została; ks. Petrek został ze swą trwogą na dawnem stanowisku.

V.

Dni kilka upłynęło bez żadnej na królewskim dworze zmiany. Większe tu jednak teraz panowało życie, ruch dawny powrócił z Jaksami i ich powinowatymi, którzy się znowu do króla garnęli. Starzy towarzysze bojowi dopomagali Bolesławowi do znoszenia smutku i ożywiali nieco pustkę, którą po sobie zostawiła Emnilda.

Ks. Petrek, widząc, że się w obejściu z nim nie zmieniło nic, nabrał jakiejś otuchy.

Uchwalono wysłać pierwszego Andruszkę z ojcem Romualdem benedyktynem i kilku czeladzi, dobranej między wiernymi królowi Niemcami. Pozorem ich wyprawy miało być poselstwo do cesarza.

Ojciec Romuald, mający prowadzić tę gromadkę, znał dobrze kraje, które miał przebywać i o ile się to uskutecznić dało, zamierzał jechać od klasztoru do klasztoru, spoczywając u swej braci i u niej zasięgając wiadomości o bezpieczeństwie gościńców. Andruszka miał powierzoną straż i obronę, zwierzchnią władzę nad czeladzią i pilnowanie złota, które wieziono w podarku dla papieża.

Chociaż wszystkie środki bezpieczeństwa obmyślone były jak najbaczniej, a opat Aron bystrym umysłem przewidywał, co i gdzie się stać mogło, nie tajono przed sobą, że tej wyprawie groziło pojmanie, niewola, przeprawa ciężka... Z rezygnacją zakonnika i spokojem podwładnego, spełniającego rozkazy prze-

łożonych, jechał o. Romuald, — Andruszka gotował się, choćby na śmierć.

Od granicy do pierwszego opactwa, w któremby bezpiecznie stanąć mogli, dosyć było daleko. Kołowano więc tak, aby jak najmniej z ludźmi się spotykać, a noce spędzać w zaroślach i miejscach pustych. Nie był ten kraj jeszcze tak zamieszkałym, ani tak ludnym, jak się stał później; zawsze jednak uderzała podróżnych odmienna cała postać jego, zdala widne gródki, wieże, osady i kościoły liczne. Starano się omijać najznaczniejsze miasta. Podróżni już się byli dostali szczęśliwie do Magdeburga i posuwali śpiesznie dalej, gdzie się coraz bezpieczniejszymi być sądzili, gdy jednego wieczora znaleźli się nad sporą rzeczułką, wiosennemi wody wezbraną.

Dla podróżnych był tu przygotowany prom, stojący u drugiego właśnie brzegu. Niedaleko tego przewozu widać było na wzgórzu, oblanem wodą, znaczny zameczek z wieżą okrągłą i mnogiemi budynkami. Gościniec szedł pod samą górą.

Andruszce zdawało się, mimo nadchodzącego mroku, iż na brzegu przeciwnym dojrzał kupkę jezdnych ludzi. Wskazał ją zaraz o. Romualdowi, ale ten uspokojony już, nie widział w niej nic, coby ich zastraszyć mogło.

Gdy na zawołanie prom ruszył, aby ich przewieźć — uderzyło to Jaksę, iż nie wszyscy się nań zabrali, a więc jakby na czatach tam stać musieli.

Benedyktyn zaś utrzymywał, iż właśnie spoczywali może po przewozie.

Dosyć długo dla rozlanych wód czekać musieli na przewoźników, którzy, wpatrując się pilnie w gromadkę, przybili i, milcząc, zabrali ich na pokład, licho zbity, a zaledwie mogący pomieścić ludzi i konie.

Andruszka, który na wszystko miał oko, niespokojnym był, widząc, jak bacznie się im przypatrywano. Owa kupka ludzi na przeciwnym brzegu wcale nie ustępowała. Na pół rzeki mogli dojrzeć, że to byli uzbro-

jeni pachołkowie, którym dowodził na przodzie stojący, pokaźniejszy wąsal, czarno zarosły.

Stał on twarzą zwrócony ku promowi i bacznie się zbliżającym przypatrywał. Nic już nie mówiąc o. Romualdowi, Jaksa sposobił się do obrony i ludziom oczyma dał znak, aby się na baczności mieli.

Gdy prom już się zbliżał do lądu, pachołkowie stojący u brzegu, na skinienie dowodzącego, kołem obstąpili miejsce, do którego przybić miano.

O. Romuald zaręczał, iż to nic innego nie znaczyło nad okup od przewozu i przejazdu, który wszyscy naówczas właściciele zamków na swoich ziemiach często z największą uciążliwością podróżnych, lub i z napaścią rozbójniczą na nich pobierali.

Puszczono naprzód księdza, którego suknia duchowna najlepszą była obroną. W chwili, gdy koń jego na ląd stąpił, dowódca gromadki kazał się jadącym zatrzymać. Dosyć hałaśliwie i butno pytać począł, wpatrując się w ludzi, co byli za jedni, skąd i dokąd jechali? Naówczas o. Romuald spokojnie odpowiedział mu, iż od czeskiego króla jechali z listami do cesarza, a za prawo przewozu i przejazdu zapłacą, co potrzeba.

Dowódca pokręcił głową.

— Dużo się — zawołał — włóczy takich ludzi po świecie, co się opowiadają od królów, a jeżdżą, aby kupczyć, ludzi oszukiwać, a drugim chleb odbierać... Mnie wy nie oszukacie... Okazać trzeba listy i pieczęcie... Na burg pojedziecie!...

Oparł się benedyktyn, okazując suknię swą duchowną.

— Albo to łotry i sukni cudzej nie mogą włożyć! — zawołał krzykliwie dowódca. — Na burg! Tam się rozprawimy...

Tuż prawie nad ich głowami wznosiła się góra, na której stał zameczek. Zdala we wrotach jego widać było wypatrującą skinienia ludzi gromadę, więc choćby Andruszka ze swoimi przebił się przez tych, co mu drogę zastępowali, niepodobieństwem było zbiec

od licznej pogoni. Musiano się więc zgodzić na zwrócenie do burgu, a tuż i pachołkowie dokoła ich obstąpili.

W milczeniu jechali kamienistą drogą ku górze. Widać było na niej mnogą kupę ludu zbrojnego, która we wrotach pierwszych oczekiwała. Andruszka, który nawet miecza w obronie dobyć nie mógł, zżymał się, jadąc z przeczuciem smutnem.

Zwlekli się tak do pierwszej bramy, a dowodzący kazał im jechać wprost na drugi podwórzec. Ten był otoczony dokoła murami i obszerny bardzo.

Zameczek wyglądał pusto i miał na sobie znaki niedawnej pogorzeli, po której go połatano. Zaledwie się tu znaleźli, gdy we drzwiach ukazał się silnej budowy mężczyzna w kaftanie skórzanym, który wprost podszedł do księdza. Ze śmiałego jego obejścia się i postawy poznać w nim było można pana domu.

Nie mówiąc nic, począł się bacznie przypatrywać koniom, ludziom, jukom i księdzu, obchodząc ich dokoła. Szczególną uwagę zwracać się zdawał na konie,— ludzi jakby na później zostawiając.

O. Romuald po razy kilka zaczynać doń mówić napróżno; zdawał się nie słuchać, czy nie słyszeć; z największą bacznością rozpatrzywszy się w całym orszaku, graf poszedł do benedyktyna z brwią namarszczoną i spojrzał mu w oczy.

Mnich począł mówić, tłumacząc mu, skąd i za czem jechali.

Nie przerywając, wysłuchał go, uśmiechając się tylko, pan domu. Na twarzy jego malowała się radość, coraz wzrastająca. Gdy o. Romuald skończył, rozśmiał się głośno i uderzył go po ręce.

— Co to za mowa!... — zakrzyknął — mnichowi, jeżeli nim istotnie jesteście, kłamać się nie godzi... Jam was poznał po koniach! My tu was czekamy dawno. Wiem ja lepiej, skąd jedziecie i dokąd... Posłani jesteście od Bolka polańskiego, aby mu, mimo cesarza, koronę kupić w Rzymie... Na was już na wszystkich

drogach czatują i wiedzą!... A mnie się szczęśliwie udało łakomą tę zdobycz zagarnąć...

Ksiądz chciał mówić.

— Z koni! — krzyknął graf. — Wziąć ich... loszek mam już przysposobiony. Spodziewam się, że z próżnemi nie jechaliście rękami, a mnie właśnie tego potrzeba... po spaleniźnie na odbudowanie!...

Andruszka chciał się bronić, czterech go ludzi chwyciło i ściągnęło z konia, — miecz wyrwano z ręki. Toż się stało z innymi w mgnieniu oka. Nie uszedł zniewagi i ksiądz.

Ogromna kupa wtłoczyła się w podwórce i już jedni odzierali pochwyconych, drudzy z koni odwiązywali juki. Graf, stojąc, śmiał się uradowany.

Listy, przeznaczone do Rzymu, miał o. Romuald zaszyte w kapturze, a że mu, jako duchownemu, suknię zostawiono, więc te ocalały.

Choć dowodu innego nie było nad poznanie koni i w jukach pochowane szaty i uzbrojenie, — starczyło to grafowi. Ciężar worów skórzanych, w których było bryłami poczęści umieszczone złoto, naprzód na nie zwrócił oczy; znalezione skarby, powitane radosnym okrzykiem, dowiodły grafowi, że się nie omylił.

Więźniów, ani słuchając, ani na nich patrząc, kazano wiązać i do lochu prowadzić. Pędzono ich, popychając i bijąc, a dziedzińce poza nimi rozlegały się szyderskiemi okrzykami.

Andruszce krwawe niemal łzy z gniewu z oczu się sączyły. Gdyby nie zbyt ufny benedyktyn, byłby prom ze środka rzeki zawrócił, rozbił go i przy mroku wieczornym uszedł może. Tak sobie mówił w duchu, lecz narzekanie było próżnem...

Rozdzielonych na dwie kupki wpędzono szyją do głębokiego podziemia i zaryglowawszy je bezpiecznie, ludzie do łupów wrócili.

O. Romuald ukląkł się modlić, Andruszka włosy rwał z głowy.

Graf Zeno, siedzący na burgu, był lennikiem arcybiskupa magdeburskiego; po krótkiej więc naradzie

ze swymi przybocznymi, natychmiast ubezpieczywszy zabrane złoto, siadł na koń, aby panu swemu wesołą zanieść nowinę.

Gdy nazajutrz rano dowiedziano się u arcybiskupa o pochwyceniu posłów polskich, radość była wielka... Zrodził się jednak wkrótce spór o zabrane złoto, do którego całej ilości chciwy graf się nie przyznał, a wszystko za własność swą uważał. Arcybiskup co najmniej połowy żądał i posłał z groźbą do grafa. Zatarg się z tego wywiązał tak żywy, z obu stron tak uparty, iż końca nie było można przewidzieć.

Zagrożony uwięzieniem graf, którego ostrzeżono zawczasu, nie widząc się z arcybiskupem, natychmiast uszedł do swojego burgu, na którym z ostateczności bronić się nawet był gotów.

Graf Zeno przysięgał, że nie da prószyny pochwyconego złota, które mu się za przysługę cesarstwu wyświadczoną należało. Gniewny i rozsierdzony powrócił do zamku, kazał na wszelki wypadek postawić straże i do obrony się gotować. W radzie zaś arcybiskupiej, posądzającej grafa o łup znaczny, postanowiono naprzód dojść, ile to grzywien złota wieźli posłowie.

Zadanie było dosyć trudne, lecz miano zawsze zręcznych posłańców pod ręką. Uradzono wyprawić do ks. Petrka z zapytaniem o objaśnienie i to nie zwlekając chwili.

Suknia duchowna była najlepszym do Polski listem bezpieczeństwa. Braciszek Makary wyruszył z ustnem poleceniem do Poznania. Celem podróży miał być niby pokłon u grobu męczennika w Gnieźnie.

W kilkanaście dni po wysłaniu Andruszki, gdy opat Aron właśnie zbierał się innemi drogami drugie poselstwo wyprawić, do celi ks. Petrka o zmroku zapukał brat Makary.

Ciągle ścigany myślą niebezpieczeństwa własnego, przestraszył się, ujrzawszy go przed sobą ks. pisarz. Oniemiał prawie w pierwszej chwili. Nierychło rozpoczęły się szepty potajemne.

W godzinę potem poseł arcybiskupi, przeprowa-

dzony przez Harna, szedł nocować na podzamcze, a ks. Petrek, namyśliwszy się długo i bacznie, pomodliwszy, przeżegnawszy — krokiem śmiałym zmierzał do tumu, gdzie się spodziewał zastać opata.

Zdało mu się, iż nastręczyła się zręczność pozyskania zaufania, jeżeli ono było zachwiane...

Widząc go wchodzącego z twarzą wesołą, jak nigdy i niemal triumfującą, opat Aron, który miał u siebie dwu ojców, świeżo przybyłych z Francji i przygotowywał ich do wielkiego posłannictwa, jakie w tym kraju spełniać mieli, zobaczywszy ks. Petrka, natychmiast ich pożegnał. Z twarzy jego widział już, że darmo nie przychodzi.

— Wasza przewielebność — odezwał się pisarz, osłaniając się pokorą — rzuciłeś raz słowo, które mi serce przebiło... Mam tu nieprzyjaciół, co mnie czernią. Bóg łaskaw, że mi daje zręczność dowieść, jak szczerze służę panu mojemu... Złą wiadomość przynoszę, ale zła lepsza, niż żadna, gdy o takiej wagi rzecz idzie!...

Opat zmilczał.

— Mnich wędrowny z za Magdeburga był dziś u mnie — mówił dalej ks. Petrek. — Starałem się go wybadać. Utrzymuje on, iż graf Zeno pochwycił mnicha i kupkę ludzi, wysłanych jakoby z Poznania do Rzymu!...

Spojrzał na opata Arona, który pobladł i drgnął widocznie.

— Zrodził się, jak on powiada, spór pomiędzy wasalem a panem o znaczny łup przy posłach pochwycony, którego ceny graf Zeno nie chce powiedzieć...

Aron namyślał się, co powiedzieć i westchnąwszy, spokojnie już rzekł:

— Byłem przeciwnym wyprawianiu wszelkich posłów, znając i wiedząc, jak tam na nich czatować będą, lecz woli króla oprzeć się nie mogłem. Nie moja to była sprawa... Król, pan nasz miłościwy, raz chociażby próbę chciał uczynić... Stało się, co Bóg przeznaczył... niech będzie pochwalone imię Jego!...

A po małym przestanku opat dodał:

— Gdzież jest mnich ten?...

— Śpiesznie powędrował do Gniezna, zatrzymać go nie było podobieństwa...

Nastąpiło milczenie, ks. Petrek stał, domagając się choć słowa. Opat mu chłodno podziękował.

Powtórzywszy zapewnienie swej wierności i gorliwości, pisarz zabierał się już niby do odejścia, ale wprzód spróbował jeszcze, ażali mu się nie uda dowiedzieć, jak znaczna była zdobycz schwytana. Wtrącił więc ubolewanie nad poniesioną przez króla stratą, pytając się, jak była wielką.

— Stało się to — odpowiedział opat — bez woli mojej i prawie bez wiedzy... Król sam wyznaczył, co wieźć mieli. Zapewne podarek, przeznaczony dla ojca świętego, znacznym być musiał, gdy u stóp jego miał być złożony...

Dwoma westchnieniami zakończyła się rozmowa. Zaledwie drzwi się za ks. Petrkiem zamknęły, gdy opat zawołał braciszka, który przy nim był zawsze i po Jurgę go wyprawił. Chwila ta zdała mu się najsposobniejszą do wysłania drugiego poselstwa, którego się ani w Magdeburgu, ni gdziekolwiek bądź spodziewano.

Przygotowanym był Bolesław i doradca jego do straty i niepowodzenia, a gdyby i trzech posłów mieli po drodze Niemcy obedrzeć, król postanowił słać ich póty, dopóki ktoś szczęśliwy do Rzymu się nie dostanie i korony poświęconej mu nie przywiezie.

Jurga z towarzyszem swym duchownym czekał tylko na rozkazy. Jak brat, tak on, gotowym był na wszystko, co go spotkać miało, chociaż do życia wiązała go piękna Teodora i przyrzeczenie jej ojca, że za powrotem do ślubu stanąć mają.

Zbudzono go nocą, nie pozwalając mu ani się żegnać, ani dać znać o sobie, i w kilka godzin po doniesieniu ks. Petrka już orszak drugi wyruszył furtą od tumu na niebezpieczną wyprawę.

Następnego poranku, gdy w jadalni pełnej, jak zawsze gości i panów, Bolesława oko nie dojrzało młod-

szego Jaksy, domyślił się łatwo, iż opat musiał go wysłać za bratem.

Sieciechówna także, nawykła do pozdrowienia zdaleka, zadrżała, nie widząc go, lecz pytać nawet nie śmiała. Szepnęła tylko ojcu, że Jurgi nie było.

Ku końcowi uczty, przy której król siedział posępny, pijąc tylko, aby utopić swój smutek, zbliżył się opat do niego.

— Wyprawiliście Jaksę? — zapytał Bolesław cicho.

Skinieniem głowy potwierdził Aron.

— Niema wieści o pierwszym?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, król spojrzał. Opat miał oczy spuszczone, — stał dziwnie zachmurzony. Łatwo było odgadnąć, że mówić nie chciał, bo dobrego nic nie przynosił. Bolesław nie spytał więcej.

Tego dnia gościł na dworze niezwykły przybysz. Był to powinowaty jakiś króla, a raczej do powinowactwa z nim przyznający się Niemiec, zrodzony z drugiego małżeństwa Ody Mieczysławowej. Stosunek ten z Bolesławem czasem go zbliżał do niego, — niekiedy jednak nie przeszkadzał do zatargów i napaści. Chwilowo panowała zgoda pomiędzy Guncelinem a królem.

Z małym orszakiem przybył do króla w gościnę, wysłany na zwiady, choć się tylko do przyjaźni przyznawał i z drużbą przechwalał. Bolesław go przyjmował pańsko, obdarzał po cesarsku, lecz w przyjaźń i szczerość nie wierzył.

Samo przybycie Guncelina dawało się domyślać, że Niemcy knuć coś musieli. Tak było w istocie; lecz tym razem nie szło im o wojnę, której prowadzić nie myśleli, doświadczywszy oręża Bolesławowskiego. Dowiedziano się o zgonie Emnildy, wchodziło w rachubę sąsiadów, aby królowi z Niemiec wyswatać małżonkę i wpływ swój zwiększyć na dworze. Na rękę im było, aby dwojakie potomstwo jeszcze się trzeciem zwiększyło, by po zgonie ojca więcej się dzieci o spadek waśniło.

Szczęśliwe narzucenie Ody pierwszej, danej Mieszkowi, kazało drugą podobną Bolesława obdarzyć.

Guncelin, nie mówiąc nic, jechał tu potajemnym swatem. Oda margrafówna gotową była zająć opróżnione miejsce Emnildy.

Na ten związek czyhali nieprzyjaciele Bolesławowi; był im koniecznym, a łatwym się zdawał. Oda była piękną, zalotną, śmiałą, — król-bohater starzał, przewidywano, że nad słabnącym łatwą mogła uzyskać przewagę.

Znając króla, nie wątpiono, iż za nową żoną wkrótce tęsknić będzie.

Chociaż się i na polach bitwy spotykali z Guncelinem, pod dachem króla był to gość, którego przyjmowano z wystawą i ochoczo, starając się go uczcić i rozerwać.

Rad mu był król, jak wszystkim gościom swym, a szczególniej Niemcom, przed którymi lubił okazywać możność swą i siłę. Kazał wyjeżdżać strojnym pocztom swoim, każdy w inną barwę przyodzianym, pancernikom, których żelazne łuski na słońcu błyszczały, tarczownikom, biegającym zręcznie z oszczepami i toporami, dworowi występować w szatach bogatych, niewiastom — odzianym w złoto i drogie tkaniny. Guncelin spoglądał na to okiem zazdrosnem, ale się od podziwu wstrzymać nie mógł.

— Cesarz Otto — rzekł mu raz Bolesław, gdy siedzieli sami — cesarz Otto, błogosławionej pamięci, uznał mnie godnym królewskiej korony, włożył własną, cesarską na skroń moją; — dostali z Rzymu korony Węgier dziki, Duńczyk ledwie ochrzczony, bratobójca Bolko czeski, a mnie, com szerokie ziemie zawojował, mnie jej dotąd ojciec rzymski odmawia. Sprawiedliwież to, Guncelinie?

Niemiec milczał długo, wąsa zakręcił.

— Bracie — rzekł szydersko — Węgrów potęga złamana została nad Lechą, cesarstwo nigdy się nie lękało Duńczyków, ani Czechów, — tyś straszny dla nas. Rzym nie da ci korony, bo Rzym idzie z cesarzem ręka w rękę!...

Bolesław zkolei milczał też i spuścił oczy na ziemię.

— Nie da mi jej Rzym — odezwał się ponuro — to wezmę ją sam; poświęcą mi ją i namaszczą biskupi moi, słudzy tegoż Chrystusa, co najwyższy biskup rzymski!

Ręką, jakby w miecz zbrojną, król powietrze przeszył i zamilkł.

Guncelin spoglądał na niego.

— Mocen jesteś w domu uczynić, co ci się zda — odparł — ale cię nie uzna cesarstwo!

— Mieczem sobie wyjednam uznanie — śmiejąc się, odezwał król.

— A potomkowie twoi? — spytał Guncelin.

Na to wspomnienie chmurą zaszła skroń Bolesławowa, lecz opamiętał się rychło.

— Mieszko dał się wam przecie we znaki; wojakiem jest nie pośledniejszym ode mnie.

— Nie przeczę — zawołał Guncelin — ale Bolesławem on nie będzie.

Pochlebstwem tem nie rozbroił króla, który się wstrząsnął i usunął od niego na siedzeniu.

— Wszystko w mocy Bożej — dokończył. — Bogu i Chrystusowi służę wiernie i tuszę, żem u Niego na łaskę zasłużył.

Nie odpowiedział na to Niemiec, lecz wkrótce rozmowę na weselszy tor prowadzić zaczął.

— Tobie we wdowieństwie nie żyć, bracie — odezwał się. — Żony ci potrzeba!

— Emnildy drugiej nie znajdę — rzekł król.

— Ani jej szukać nawet — począł żywo Guncelin. — Na dojrzalsze lata innej ci trzeba. Same z siebie smutne to dni, gdy przychodzi siwizna, — odmładzać się musisz młodością cudzą. Ja ci swatem chcę być.

Pytającem okiem rzucił na króla, lecz Bolesław z siedzenia wstał i jakby rozmowa niemiłą mu była, począł inną.

Po wieczerzy siedzieli u dzbanów, nalewano miód stary, wino i pili oba milczący, gdy wkońcu napój po-

czął serca rozgrzewać. Guncelin rzucił okiem po izbie, w której sami wojacy i dwór męski widać było.

— Bracie — rzekł — smutno u ciebie, niewieściej twarzy nie widać!

— Tęskno ci? Idź do dworca, gdzie siedzą białogłowy, — nie bronię.

Rozśmiał się Guncelin.

— Mnie was żal — ciągnął dalej. — Żonę przecie weźmiecie, juści się niewolnicami nie będziecie obchodzić, aby was księża łajali? Pocóż ściągacie z tem? Ja wam mówiłem — swatem będę.

Bolesław spojrzał nań ciekawie.

— Dziewczę pańskiego rodu, młoda krew z mlekiem, pląsa jak łania, śpiewa jak słowik, śmieje się, że zmarłyby do niej wstał, ogień dziewczyna!

— A jam próchno! — odparł król. — Ale któż ona? mów!

— Znacie ją dobrze! — zaczął, oczu z niego nie zdejmując, Guncelin. — Margrafa córka, co na waszym bawiła dworze... Oda...

Królowi mimowolnie wzrok zajaśniał.

— O! znam ją — zawołał — bo mnie kusiła; okrutnie płocha i zalotna niewiasta, kusiła i innych, a zdała się ludzi wołać do siebie. Gdy się uśmiechnie, prawdę rzekłeś, jakby napój lała z ust, co upaja, gdy spojrzy, zimno się robi, ale boję się, by w niej siły nieczystej nie było.

— Toć ją u ołtarza księża wygnają — rzekł Guncelin. — Dzika łania rzuca się swobodnie po lesie, póki wolną jest; gdy ją złapią i obłaskawią — za ręką idzie.

Król znowu rozmowę odwrócił; nie nalegał Guncelin, prawił o innych sprawach, które się po Niemczech działy, Bolesław słuchał go bacznie. Przyszło do pogańskich krajów nienawróconych i niepodbitych, do których sobie prawa rościli Niemcy; — namarszczył się Bolesław.

— Ci moi być muszą! — rzekł. — Nie będę pytał,

czy mi ich da Rzym, podbiję ich i nawrócę. Mowę mają naszą, z ciałem mojem się zrośli, nie dam ich!!

— Idą przecie z nami na was! — odezwał się Guncelin.

— Pójdą ze mną przeciw wam! — rzekł Bolesław. — Adalbertów tylko trzeba, coby krwią tę ziemię ochrzcili dla mnie.

Niemcowi rozmowa była niemiłą, począł pić i nucić piosenkę. I tak dosiedzieli do nocy, patrząc sobie w oczy, a do ładu przyjść nie mogąc. Co król zagaił, Guncelin odpierał, co ów począł, tego nie chciał Bolesław.

Gościna się przeciągnęła. Na dworze pańskim zawsze ona długą była, teraz w smutku swym i niepokoju, choć takiemu gościowi rad był król. Guncelin się wybierał i przysiadał, o podróży mówił, a nie wyjeżdżał.

Codzień na ustach miał Odę, a rzadko mu się powiodło dłużej nią zająć króla. Uważał jednak, że okazywał coraz mniejszy wstręt do tej rozmowy, a raz już nawet sam o nią zagadnął, mówiąc, że w pląsach piękniejszej dziewczyny nie widział nigdy.

Potwierdził mu to Guncelin chętnie, lecz wnet o czem innem zagadano.

W ostatku dzień już do odjazdu był przeznaczony. Nikt ze dworu nie jechał bez podarków i Guncelinowi więc król wspaniałe wydzielił, futrami, sztukami sukna i złotogłowiu, i naczyniem go obdarzywszy drogiem. przeciw zwyczajowi tylko, ani oręża, ani zbroi nie dał żadnej.

— Żelaza ci nie dam — rzekł, klepiąc go po ramieniu — wolę złoto, bo pewny nie jestem, czybyś miecza znowu kiedy przeciw mnie nie użył... Głupi, kto sam na siebie broń daje.

Z pod brwi spojrzał Guncelin na niego, dziękując.

— Bracie mój! — odezwał się. — Ja cesarstwu służę i wiernym być muszę, anim winien, gdy na ciebie oręż podniosę.

— Ani ja winien będę, gdy, z cesarstwem wojując.

głowę ci utnę! — odparł Bolesław. — Ale dziś rozstańmy się w pokoju... Niech mnie Henryk nie wyzywa, ja go też napadać nie myślę, a gdy bronić się trzeba będzie...

Na wyjezdnem spytał się jeszcze Guncelin żartobliwie, czy ma być mu swatem do Ody?

— Czas-no mi dajcie — mruknął Bolesław, — a nuż tęsknica doje? Nie wiem!

— Ja i bez waszej woli — odparł Niemiec — zawiążę targ o nią, bo lepiej, niż wy, wiem, co wam potrzeba.

Na tem się skończyło i Guncelin wybrał się w drogę. Król tego wieczora przywołał do siebie opata.

— Kusił mnie ten człowiek — rzekł mu — abym żony szukał.

Aron zwlekał z odpowiedzią.

— Miłościwy panie — odezwał się — komu Bóg raz taką niewiastę dał, jaką była święta zmarła pani nasza, niełacno mu inną dobrać po niej.

— W grzechu żyć nie chcę — odezwał się król, a w powściągliwości nie umiem.

Napróżno długo czekał Bolesław słowa. Aron się w okno swoim zwyczajem zapatrzył i nie mówił już nic. Nie śmiał król nalegać.

Każdego dnia niemal coś musiał wspomnieć o koronie. Kazał sobie liczyć dni podróży do Rzymu i opowiadał drogi, domyślał się, jak posły będą przyjęte i kiedy przywieźć mogą odpowiedź. Naówczas opat niecierpliwość wmawiał, malował trudności podróży i niebezpieczeństwa, osładzał przypuszczeniami, że oba posłani, mimo ostrożności, w ręce czujnego nieprzyjaciela dostać się mogą. Jednego dnia przerwana rozmowa, nazajutrz znowu się rozpoczynała niemal takaż sama, a opat z wytrwałością zawsze ją w tenże sposób rozwiązywał.

O losie Andruszki nie śpieszono uwiadomić Bolesława, nie upominali się benedyktyni o uwięzionego ojca Romualda, ale po kilku dniach z wielkiem po-

dziwieniem swem, gdy raz wieczorem wracał do celi swej przy tumie — ujrzał opat kupkę ludzi, zebraną około dwóch pieszo przybyłych pielgrzymów, których ani z sukni, ani z postawy zrazu poznać nie mógł.

Zbliżywszy się dopiero, zdziwiony wielce Aron ujrzał swego benedyktyna w obdartej sukni, a obok niego nędznie odzianego Andruszkę.

Właśnie przygody swe opowiadać zaczęli byli zgromadzonym, gdy Aron nadszedł, przyśpieszając kroku. O. Romuald rzucił się do jego ręki, przystąpił do niej i wymizerowany Andruszka, na którego twarzy więzienie daleko dobitniej malowało się, niż na licu benedyktyna.

— Bóg miłosierny! — zawołał opat. — Uwolniono więc was?

Mnich się odwrócił ku Andruszce i na niego wskazał, jako na zbawcę.

— Jemu winienem, żem wolny — rzekł.

I opowiadać zaczął, jak do lochu rzuceni zostali zrazu, jak potem litości córki więziennego stróża, która młodości Jaksy się użaliła, zawdzięczali przeniesienie do izby ponad ziemią. Z tej Andruszka, siłą i zręcznością kratę żelazną wyłamawszy, nocą się spuścił w podwórze, wyjścia na wał wyszukał skrytego i mnicha za sobą wyciągnąwszy, przez bagnisty przekop, otaczający zamek, na plecach go przeniósł i ocalił. Nim zaświtało i ucieczkę odkryto, zbiegowie już byli w lesie i łowieckim instynktem się w nim kierując, potrafili o głodzie i chłodzie dobić się do Łaby, gdzie pomoc już jakąkolwiek za obietnicę nagrody znaleźli.

Uradował się opat, ściskając brata, o którego losie zwątpił; dano odpoczywać obu. Lecz nazajutrz Andruszka, któremu wstyd było, iż tak nędznie wpadli w ręce zasadzce, a straty wielkiej byli przyczyną, przyszedł paść do nóg opatowi, aby go raz jeszcze wysłano.

Tego jednak bez wiedzy króla uczynić nie było można. O. Romuald także oświadczył się z gotowością, całą winę pierwszego nieszczęścia biorąc na siebie.

VI.

Gdy jednego dnia, polując z sokołem, Bezprym czekał, stojąc na koniu, aby pies sokolniczy ptastwo wytropił, a noszony dobrze ptak, na ręku mu siedząc, niecierpliwie trzepotał skrzydłami, zamiast zwierzyny ujrzał obok siebie stojącego z kijem w ręku księżynę, którego na dworze widywał zdala.

Duchowny go pozdrawiał uprzejmie, życząc łowów pomyślnych, lecz, że naówczas spotkanie księdza również, jak baby z wiadrami próżnemi, za złą uważano przepowiednię, skrzywił się Bezprym, gotów będąc na gród powracać, pewien, że i tak łowy nic nie przyniosą.

Ksiądz uparcie przy nim stał; czy ciekaw był tych łowów, czy go tam co innego trzymało? Uśmiechnął się, ku Bezprymowi zwracając oczy.

— Rozrywka to pańska — odezwał się głosem schrypłym i bojaźliwym, — ale synowi królewskiemu wojnaby i władza lepiej przystała...

Bezprym, choć się poddawał woli ojca, o sobie mówił, nie kryjąc bólu.

— Albo to wy nie wiecie — odezwał się — jaki ja jestem syn królewski? Mieszkowi mnie na sługę przeznaczono... Toć wolę z ptakiem jechać, niż za panem bratem mieczyk nosić lub tarczę...

Pokręcił głową ksiądz.

— Wszystko się to — rzekł — zmienić może...

— A jak? — wtrącił Bezprym, który psa już z oka stracił.

— Byle wola i odwaga — szepnął ksiądz cicho. — Prawa przecie nie straciliście, pierworodnym jesteście... Dziś czy jutro możecie się o nie upomnieć...

Był to może pierwszy człowiek na dworze, który w ten sposób mówił do Bezpryma... Duchownego suknia dodawała wyrazom znaczenia. Królewicz słudze ptaka na rękę przesadził i sam zsiadł z konia.

— Mnie zawsze, patrząc na was zdaleka — odezwał się duchowny — żal było miłości waszej!

— Bóg zapłać — rzekł Bezprym.

— Nie rozpaczałem ja nigdy o przyszłych waszych losach — dodał. — Jeśli chcecie pomówić ze mną, może wam posłużę dobrą radą... ale wszak mnie nie zdradzicie?

Bezprymowi wzrok się zaognił.

— Mnie zdradzono — odparł, — ja nikogo...

Odeszli nieco na stronę; stała olcha stara nad błotem, Bezprym rzucił się na murawę, miejsce przy sobie wskazując księdzu, który przysiadł się skromnie.

— Tak — powtórzył — prawaście się nie wyrzekali... możecie się upomnieć o nie...

Bezprym dwie szerokie nagle dłonie otworzył.

— Z czem? Gołemi rękami dwiema? — zawołał, śmiejąc się. — Choćbym w nie wziął miecz, co jedno żelazo poradzi?...

— Alboż sprzymierzeńców i opiekunów znaleźć nie możecie? — podszepnął ksiądz.

— W kim? Gdzie? — spytał Bezprym.

Nastąpiło milczenie. Ks. Petrek, gdyż on to był, ujął rękę Bezpryma i ucałował ją, choć się wyrywała.

— Miłościwy panie, litość mnie do was prowadzi... Posłuchajcie mnie — mówił — o sprzymierzeńca wam łatwo będzie...

Królewicz z natężoną uwagą słuchał; widać było, że serce żywiej w piersiach mu uderzyło i twarz blada oblewała się rumieńcem.

— Mówcie, gdyście poczęli! — zawołał. — Tu nas nie posłyszy nikt!...

— Król Bolesław — ciągnął dalej ks. Petrek — myśli się oderwać od cesarstwa i być sam panem. Mogłoby to lat parę trwać, ale na wieki trwać nie może... Synowi Mieszkowi zostawi przykazanie, aby tak czynił, jak on... To go zgubi... Wy się powinniście udać pod opiekę i łaskę potężnego pana, co całym światem włada, poprzysiąc mu przymierze wieczne, jak inni królowie, a otrzymacie tę koronę, o którą Mieszko napróżno się będzie kusił.

Skończył, a Bezprym ważyć się zdawał jego słowa.

— Cesarz, co nas ma w nienawiści — odezwał się — zechce-li losem moim zająć się? wziąć mnie w opiekę? a wziąwszy, czy nie wygna mnie, aby sobie kraj przywłaszczyć...

— Dlaczegóżby to miał uczynić? — począł ks. Petrek — dlaczego? Dosyć mu hołdu! Sam rządzić nie chce, ale władzę swą z Rzymu daną ma nad światem; musi rozciągać ją na wszystkie kraje.

I pomilczawszy trochę, dodał zaraz ciszej:

— Jam mały człowieczek, ale maleńka mrówka sypie kopce wielkie... Cóżbyście rzekli, gdybym ja zapewnił wam opiekę cesarską wzamian za przysięgę z waszej strony...

Bezprym zerwał się, jak oszalały, z ziemi, a że ksiądz wstał za nim, uchwycił go i począł w ramiona całować.

— Jakto! — zawołał. — Jabym tego nienawistnego Mieszka mógł precz wygnać? Żonę mu wydrzeć?... panować... koronę wdziać?... pomścić się?... ja?

— Możecie uczynić z pomocą cesarza wszystko, bez niej nic — rzekł zimno ks. Petrek. — Oni są nieprzyjaciółmi jego... wy bądźcie mu wiernym, a panowanie otrzymacie..

— A cesarz mi da koronę... i wypędzi Mieszka... i pomści krzywdę moją?...

Głowy skinieniem potwierdził to ks. Petrek. Bezprym począł chodzić pod olchą, na miejscu ustać nie mogąc. Chwila rozmowy uczyniła go innym człowiekiem, wstąpiło weń życie, krew krążyła gorętsza, w oczach mu ogień pałał.

Ks. Petrek schwycił go, gdy tak krążył zamyślony.

— Gdybyście wydali tajemnicę — szepnął przestraszony zmianą, którą widział w Bezprymie — życie mnie to kosztować może...

— A mnie królestwo! — zawołał Bezprym — i zemstę! zemstę!... O! nie bój się... nikt się nie dowie, nie pozna nikt, z jakim skarbem chodzić będę... Idź, jedź, posyłaj, daj znać cesarzowi, że ja mu się poddaję, że będę mu... wiernym... korony tylko chcę i zemsty... Mieszko zginie...

Ledwie potrafił go uśmierzyć ks. Petrek.

— Uczynię, co przyrzekłem — odezwał się. — We dworze ściany słyszą, ludzie zdradzają, zejdziemy się tu, lub na podzamczu, gdy będzie potrzeba... Teraz siadajcie na koń, łowy kończcie... ja iść muszę. Wasza miłość nie znacie mnie, ni ja was!...

I skłoniwszy się, ks. pisarz szybko puścił się zaroślami ku Cybinie. Bezprym stał jeszcze, jak upojony; rozśmiał się sam do siebie, skoczył do konia, odebrał sokoła i popędził dalej.

Pobożny ks. Petrek w złym i dobrym razie zwykł był się modlić; teraz, uczyniwszy krok tak stanowczy i śmiały, udał się wprost do kościoła, a z natury swej będąc do obłudy skłonnym, im bardziej się cieszył z postępku swego, tem smutniejszą przybierał i wielce zbiedzoną postać. Patrzący nań zdala tychlejby odgadł z jego twarzy, że mu się jakieś nieszczęście przytrafić musiało.

Potrzeba było obmyśleć środki oznajmnienia o tem przez arcybiskupa cesarzowi. Pisać nie śmiał, jechać nie mógł, posłać nie miał kogo... Nim z kościoła doszedł do izby swojej, wpadł na myśl, iż opataby należało skłonić znowu do wysłania go raz jeszcze w sprawie korony do Magdeburga, wedle pierwszej myśli.

Obawy, jakie miał po odkopaniu zwitków, zupełnie były ustały; pewien był, że zwierz jakiś, czując świeżo poruszoną ziemię, mógł ją odrzucić i poszarpać zrzynki skóry, skłonny był nawet przypuścić cud, za wstawieniem się świętych uczyniony dla ocalenia go i zniknięcia tych świadectw zdrady, nadziemskiemi siły zniszczonych. Nie mógł tylko odgadnąć, że się dostały w ręce opata, który obchodził się z nim tak, jak był zwykł, nie okazując mu ani nieufności, ni gniewu.

Postanowił więc rzucić słowo przy pierwszej zręczności. Ta się wkrótce trafiła...

Oprócz spisywania aktów, których naówczas niewiele potrzebowano, ks. Petrek, który był znakomitym kaligrafem, przepisywał dla opata Arona Rabana Maura komentarz o Jeremjaszu. Szła praca bardzo powoli,

a opat często się o to wielce pożądane dowiadywał dzieło. Brakło mu nie tylko kopji, ale tęsknił za oryginałem, z którego była robiona.

Jednego dnia przyszedł się dowiedzieć, jak postępowała robota.

Ks. Petrek skarżył się na oczy. Nie miał, jak mówił, nikogo, coby mu trzciny zacinał, farby dostarczał, sam musiał gładzić pergamin, sam ciągnął rubryki, dlatego szło tak opieszale. Mówił o tem szeroko i bardzo przekonywająco.

Wtrącił na swe uniewinnienie, że i droga do Magdeburga dosyć czasu zabrała, choć mimo gorliwości największej — żadnego owocu nie przyniosła.

— I nie dziw — dodał, — tam nie raz jeden, ale nieustannie kołatać potrzeba i darami nie jednego Gerona, ale wszystkich ujmować. Miłościwy pan nasz hojnym jest wielce, tam tylko zaniedbuje słać dary, gdzie one najpotrzebniejsze...

Mowy tej słuchał opat pilnie, nie uszło to jego uwagi, iż ks. Petrek musiał mieć inną potrzebę jechania i dlatego znowu do podróży nakłaniał. Dowiedzieć się o tem, co było pobudką, nie mógł opat inaczej, jak wysyłając go i stamtąd zasięgając wieści. Myślał więc, czy nie należało w istocie wyprawić pisarza, aby dojść tajemnicy; lecz narazie nie dał żadnej stanowczej odpowiedzi.

— Mój ojcze — rzekł, — być to może, iż tam kołatać potrzeba, ale ja ani tam, ani w Rzymie się nie spodziewam nic dobrego dla nas... Król koronowanym był przez Ottona III bez namaszczenia. Chce-li go i zażąda — ażali arcybiskup nasz gnieźnieński dać mu go nie może?...

Po raz pierwszy usłyszawszy tę myśl, tak zuchwałą, ks. Petrek nie mógł się powstrzymać i wykrzyknął:

— Anathema ściągnęlibyśmy na głowę pańską!... Zamiast błogosławieństwa — Rzym cisnąłby klątwę... W prawa jego wdzierać się...

Opat Aron zlekka ramionami poruszył...

— Ja też — dodał — nie jestem za tem... chociaż

arcybiskup mógłby myśl tę popierać... Słowo to jest dziś, a nie czyn jeszcze...

Ks. Petrek uspokoić się widocznie nie mógł, usta jego powtarzały ciągle:

— Anathema!...

Wyszedł opat Aron, nie ciągnąc dłużej rozmowy. Pisarz, zamiast tego, o co się kusił, zażył tylko przestrachu i niepokoju, z którego długo ochłonąć nie mógł.

Doniesienie o tem wszystkiem do Magdeburga stawało się niemal koniecznością.

Opat nie bez myśli rzucił tę groźbę w uszy niewiernemu słudze; wiedział dobrze, iż o niej doniesie, a trzeba mu było może nastraszyć, aby z dwojga złego wybierając, cesarz lub Rzym nie odmawiał korony. Złą czy dobrą była rachuba, zdało się i królowi i jego doradcy, iż środka tego użyć mogli.

Gdy ks. Petrek dręczył się, szukając sposobu porozumienia z arcybiskupem, swatanie Ody szło nieprzerwanie rozmaitemi drogami. Stara ochmistrzyni Niemka, którą Ryksa sprowadziła, zjednaną była przez margrafa, a że często z wnuczęciem chodziła do króla, który rad z nią żartował, ona też na swój sposób stręczyła piękną Odę, a rozpowiadając o jej wdziękach, które oku męskiemu dostępne nie były, dodawała przytem:

— Biedna dziewczyna dla miłości waszej miała wielką cześć i rozlubowała się w niej. Co za dziw!... Którażby niewiasta takiego pana nie kochała!...

— Stary dla niej jestem — odparł król.

— Stary! tego oczy ludzkie nie widzą — mówiła Adelhejda — niewiasty najlepiej sądzą mężczyzn... Przecie Oda odjechała, płacząc, a mówiąc, że chyba umrze z tęsknoty za królem naszym.

— Mówiła to?

— Sto razy! — powtórzyła Adelhejda. — Słyszeli wszyscy, nie taiła się z tem wcale. A co się tam łez wylało i leje... Miłościwy pan jużby litość nad nią mieć powinien...

Mówiła tak długo, i więcej niż swaty Guncelina, niż

namowy ostrożne innych pochlebców, wzruszyło króla to, iż Oda piękna i młoda serce doń miała.

Począł myśleć, zagadnął opata — ten milczał znowu. Nie w smak mu były królewskie swaty — wybór jeszcze mniej; lecz Bolesław wolę miał we wszystkiem upartą, a walczyć z nim mógł... on sam tylko. Każda inna walka próżną z nim była.

Opat Aron modlił się o odwrócenie tej plagi, która domowi królewskiemu groziła. Oko jego widziało już sieci, które snuto dokoła, trudne do rozerwania; przybywało nowe ich pasmo z Odą, która niemiecki wpływ miała powiększyć.

Bolesław nie chciał widzieć tego, a raczej gardził znaczeniem niewiasty, namiętność go zaślepiała.

Sam powtórnie zagadnął Adelhejdę o margrafównę, łając ją, że go kłamstwem karmiła, ale kobieta zaklęła się na wszystkie świętości, iż mówiła prawdę i że Oda z wielką była dla króla miłością.

Gdy w kilka dni potem opat się znalazł u króla znowu, oświadczył mu wprost Bolesław, że postanowił pojąć żonę i wybrał margrafównę Odę.

— Miłościwy panie — odparł spokojnie duchowny — woli waszej nikt nie śmie się sprzeciwić... lecz wierni słudzy twoi boleć będą nad tobą.

— Boleć? — dlaczego? — zawołał, porywając się z siedzenia.

— Nie mówię o młodości margrafównej — kończył Aron... — ani o jej zalotności... lecz z nią razem przybywają niemieccy ludzie i stosunki z tymi, którzy miłości waszej dobrze życzyć i szczerymi druhami być nigdy nie mogą.

Bolesław pogardliwie się uśmiechnął.

— Niewieści wpływ strachu mi nie czyni — rzekł — pójdzie ona za mężem i zapomni swoich. Stanie się królową i pokocha kraj, który ją przysposobi!

Opat skłonił głowę. Król mówił wiele, nie wywołując już odpowiedzi; chciał przekonać i na swą stronę przeciągnąć opata, ale czuł, że tego dokazać nie potrafi.

Nazajutrz powołał Bolesław syna Mieszka, który już ze słuchu wiedział o zamiarze ojca.

Ryksa zżymała się na samą myśl macochy Ody, z którą nigdy nie były w zgodzie. Mieszko też obawiał się niewiasty dumnej, chciwej władzy, mogącej owładnąć królem.

Gdy stanął przed ojcem, odgadując już, poco został wezwany, znać było z twarzy, iż się gotował na niemiłą nowinę.

— Tęskno mi samemu — odezwał się Bolesław — postanowiłem swaty posłać do margrafa i Odę zaślubić. Nie masz się czego obawiać, bym cię dla młodszych dzieci, jeżeli je Bóg da, z praw twoich wyzuł. Dostaną działy, ciebiem przeznaczył do panowania! Oda musi być żoną moją; wyznaczyłem ciebie w poselstwo po nią.

Spojrzał na syna, który stał z głową spuszczoną, milczący.

— Wybierzesz orszak świetny i niezwłocznie wyruszysz w drogę z podarkami...

Mieszko milczał.

— Miłościwy królu — odezwał się, widząc brew jego zmarszczoną — do nóg waszych upadnę, prosząc, byś mnie uwolnił od tego... Jechać nie mogę...

Zwrócił się popędliwie Bolesław ku niemu z twarzą zaognioną.

— Kiedy ja rozkazuję?

— Błagam cię...

— Śmiesz mi się opierać?

— Nie mogę jechać — odezwał się Mieszko — czyń, co chcesz ze mną, nie pojadę...

— Mów, dlaczego?

— Łacno to pojąć: macochy nie chcę, abym na Bezpryma nie wyszedł...

Straszne milczenie poprzedziło wybuch straszliwszy jeszcze. W pierwszej chwili Bolesław gotów był niemal rzucić się na syna, ale się powstrzymał.

— Idź — rzekł — uchodź ode mnie!... jestem

w gniewie. Krwi własnej mogę nie oszczędzić... Z oczów mi idź...

Nie mówiąc słowa, Mieszko wyszedł; Bolesław, pozostawszy sam, czasu potrzebował, by ochłonąć.

Od dnia tego, gdy Bezpryma do łaski przypuścił i codzień mu się nakazał pokazywać na dworze, dając mu poczet świetniejszy, mało z nim jednak obcował Bolesław. Widywał go zdala, zawsze z twarzą ponurą i wejrzeniem kosem, stroniącego od siebie.

W gniewie na Mieszka Bezpryma sobie przypomniał. Zawołał na komorników i kazał mu natychmiast stawić się przed sobą.

Było to tak nadzwyczajnem, iż całe otoczenie króla przerażone zostało, ujrzawszy, jak Mieszko odszedł blady i natychmiast po ustąpieniu jego kazano wołać zapomnianego.

Choć znaczniejszą część dnia Bezprym spędzał na łowach i włóczędze po okolicach, tego wieczora znajdował się w domu, gdy Gheza z twarzą rozjaśnioną nadbiegł dać mu znać, żeby natychmiast do króla śpieszył, który nań czekał.

Komornik z tem przybyły, który pode drzwiami królewskiemi podsłuchał rozmowy z Mieszkiem, szepnął staremu Węgrowi, iż Mieszko naraził się ojcu i dlatego Bezpryma wzywano. Wiadomość tę na ucho udzielił mu wierny sługa i królewicz, odziawszy się, prędko pobiegł z postanowieniem mocnem korzystania z wypadku.

Gdy podjąwszy zasłonę we drzwiach, stanął przed Bolesławem, znalazł go z gniewem i niecierpliwością na twarzy wyrytą. Zmierzył go okiem król.

— Słuchaj — rzekł wprost i nie tłumacząc mu się wcale. — Wyznaczyłem cię, abyś jechał w poselstwo i przywiózł mi margrafównę Odę... Biorę ją za żonę. Dam rozkazy, aby ci poczet i podarki ze skarbca wydzielono. Jedź, jak syn królewski i ojcowskiego mienia nie żałuj... Nie wracaj bez dziewki, chcę ją mieć, rozumiesz?...

Bezprymowi twarz się rozjaśniła.

— Co rozkazujesz, ojcze, spełnię — odezwał się. — Kiedy mam ruszyć w drogę?

— Jutro — rzekł król. — Jedź śpiesznie, wracaj prędko... Zapomnij, żeś był u mnie w niełasce, zyskasz tem serce moje.

— Miłościwy królu i ojcze — rzekł Bezprym żywo i wesoło — zrobię, jako potrafię najlepiej... Przywiozę margrafównę...

— Wybieraj się w drogę! — przerwał Bolesław — w drogę!

Wskazał mu drzwi i Bezprym uradowany wyszedł.

Od pierwszej rozmowy z ks. Petrkiem widywali się i naradzali często; zrozumiał Bezprym, że poselstwo to dawało mu najlepszą zręczność zetknięcia się z Niemcami i zawarcia umowy. Pisarz bolał ciągle, że nie mógł znaleźć pewnego człowieka, coby przywiózł listy jego. Bezprym sam teraz mógł je wziąć z sobą.

Skoczył więc do Ghezy, by mu wydać rozkazy, a sam, niepostrzeżony, poszedł szukać swojego wspólnika. Nierychło jednak udało mu się wynaleźć go wśród dworzan, między którymi chodził na połów jakich wiadomości, wedle codziennego swojego zwyczaju.

— Ojcze mój — chwytając go, odezwał się Bezprym. — Spotkało mnie raz w życiu szczęście. Zdaje się, że Mieszko odmówił ojcu jechać po margrafównę Odę. Ja jestem w poselstwie wyznaczony. Jutro jadę!

Petrek załamał ręce z radości, aż mu kości w stawach chrząsnęły.

— Możeż to być?

— Tak jest.

Wnet oddalili się od ludzi.

— Pisz listy — rzekł Bezprym — ja je powiozę i odprawię.

— Lepszym nad listy wszelkie ty sam jesteś, miły panie — wołał ks. pisarz. — Nie mów im wszystkiego, ale daj do zrozumienia wiele, zaskarb sobie przyjaciół, zjednaj ludzi... Moje listy ukryj pilno, o wasz los chodzi... dziś jeszcze mieć je będziecie...

Ledwie tych słów domówił, gdy stary Sieciech i podskarbi króla, Domorad Żelaziec, przyszli, szukając Bezpryma.

Niespodziana łaska króla dla niego zdumiewała wszystkich, lecz posłuszni byli. Z nimi miał poseł królewski umówić się o wybór dworzan, konie i przygotowania niezwłoczne do drogi.

Zbliżyli się doń z ciekawością ludzi, co po raz pierwszy stykają się z odepchniętym, oniemiałym i pogardzonym, którego łaska pana nagle podniosła. Ponury i stroniący dotąd od wszystkich Bezprym nagle stał się nowym człowiekiem. Czuł się silnym i duma, długo tłumiona, odrazu objawiła się w wydanych śmiało rozkazach.

Spojrzeli po sobie. Nie ustępował Mieszkowi i stanął przed nimi jak prawy syn królewski, który krew czuje w sobie. Tak łacno mu przychodziło wydawać rozkazy. Posępna twarz niemal była groźną, rysy przybrały podobieństwo do Bolesława, z jakąś barwą, której król nie miał nigdy. Gniewliwy był i zapamiętały, lecz coś szlachetnego i rycerskiego czuć w nim było nawet w chwilach roznamiętnienia; Bezprym miał w oku chciwość panowania i krwi razem... żądzę zemsty i okrucieństwo. Szczęście czyniło go strasznym.

Stary Sieciech w duszy ulękł się go, ujrzawszy po raz pierwszy rozpowitym z niewoli i przymusowego upokorzenia.

We dworze całym wiadomość o postanowieniu króla najrozmaitsze obudzała uczucia; niepomiernie cieszyli się jedni, rozpaczali drudzy.

Ryksa, żona Mieszkowa, chodziła blada i milcząca. Przewidywała przyszłość groźną, lecz miała siłę spojrzeć jej w oczy. Mieszko był przygnębiony, gniewny, a nie wiedział, co czynić więcej. Ufał, że ojca przebłaga i lękał się o siebie.

Niemiecki dwór i słudzy radowali się wielce. Adelhejda przyznawała sobie część zasługi i obiecywała wiele od młodej królowej. Ks. Petrek pisał zamknięty i cieszył się powodzeniem podziemnej roboty swojej.

Zdało mu się teraz, że sprawa Bezpryma już nawpół jest wygraną.

Opat chodził zasmucony. Starzy słudzy króla i rycerstwo niewesole mieli twarze. Młodzież cieszyła się młodej królowej, która wesele na dwór wnieść miała. Znali ją tu śmielsi z wejrzeń i szeptów, którym była rada aż do zbytku, a niejeden sobie wiele po łaskach jej obiecywał.

Wieczora tego nigdzie nie było spoczynku. Szeptano, chodzono, rozmawiano, wybierali się jedni do drogi, drudzy im pomagali.

Na podwórcu Bezpryma, zwykle spokojnem, gdzie gospodarowały tylko psy i sokoły, a obdartych garstka służalców, teraz ruch był i wrzawa jak nigdy; kręcili się komornicy i urzędnicy królewscy, znoszono juki i wory, szaty i oręż. Cała wiosenna noc upłynęła bez snu, na przygotowaniach. Bezprym kazał się stawić ludziom, co mu towarzyszyć mieli, sam ich opatrzył, aby wstydu nie miał, zbrakował kilku, rozporządził pochodem i okazał, że rozkazywać potrafi. Gheza chodził, a raczej biegał, jak upojony, dumny, uszczęśliwiony, a ile razy wrócił do królewicza, ściskał go za nogi, szepcąc mu do ucha.

— Ty, sokole mój złoty, panować będziesz... nie on... nie ten... ty, tobie przeznaczono królować... a mnie tego doczekać... i umrzeć!...

Nie tyle gniew króla, co wybór Bezpryma zasmucił Ryksę i królewicza. Był to już drugi znak łaski dla niego, obudzający obawę. Żałował nieledwie Mieszko, iż się przemóc nie zdołał, lecz teraz już było za późno. Sam on się przyczynił do tego zwycięstwa syna Judyty.

O świcie wszystko było gotowem. Bezpryma nie poznawali ludzie, tak go nowe zmieniły losy. Ociągał się jeszcze z wyjazdem, bo nocą, nadbiegłszy doń, ks. pisarz objawił mu myśl, którą, pisząc, dopiero był uderzony. Dlaczegoby go Bezprym jako tłumacza i pomocnika nie miał z sobą wziąć i króla prosić o to?

Posłuszny Bezprym zgodził się i czekał rozmowy z Bolesławem.

W podwórcu już czekała na koniach ustawiona drużyna, doborna, świetna, z ludzi najokazalszych złożona, rżały konie, śmiali się wojacy. Wstał i król, chcąc widzieć poczet, jadący po narzeczoną, a w przedsieni znalazł opata, który niepokojem jakimś gnany śpieszył do niego.

Zbliżył się właśnie Bezprym do ucałowania ręki ojcowskiej.

— Gotówem, miłościwy panie — odezwał się — lecz chowany byłem od ludzi daleko, na posła sam niebardzom przydatny, gdybyście mi ks. Petrka raczyli w pomoc dodać — śmielszybym był!

Jeszcze się król nie miał czasu odezwać z odpowiedzią, gdy opat Aron wtrącił:

— Właśnie mi, jak prawa ręka jest potrzebny ks. protonotarjusz... Anibym go miał kim zastąpić. Lecz jeśli miłościwy pan innego duchownego, równie mu pomocnym być mogącego, życzysz, znajdziemy go łatwo.

Król nie miał nic przeciwko temu. Bezprym pochwycony znienacka nie wiedział, jak postąpić.

— Z nieznajomym mi trudniej będzie—rzekł cicho.

— Każdy usłuży wedle sumienia i obowiązku i będzie na wasze rozkazy — dodał opat.

Tak zamiast tego, który mu miał być pomocą, Bezprym niespodzianie otrzymał stróża i dozorcę w osobie benedyktyna, którego natychmiast przywołano.

Zdala stojący i wyczekujący już skutku ks. Petrek zmieszał się, gdy mu po chwili dał znać nasadzony Harno, iż zamiast niego inny duchowny towarzyszyć miał Bezprymowi.

Oprócz niego dwu poważnych mężów, zaufanych z rady swej, Leliwę i Szreniawę, dołączył król do orszaku dla dodania mu okazałości. Ci z sobą osobne brali orszaki.

Bezprym zaledwie już miał czas pod jakimś pozorem zbiec dla zabrania pisma ks. Petrka, który go za-

klął, aby dodanemu duchownemu nie zwierzał się i nie zawierzał, i przed swoim orszakiem z niczem się nie wydawał.

Słońce już było podeszło na niebie, gdy wszyscy, na konie siadłszy, przeciągnęli przed królem, pokłon mu składając. Orzak był prawdziwie dla panny młodej dobrany, młódź najpiękniejsza, zbroje najświetniejsze, szaty od złota i barw jasnych, pióropusze u hełmów, błyszczące miecze, tarcze malowane, włócznie kute żelazem. Wodzowie w złotych łańcuchach; pasami sadzonemi przewiązani, czeladź nawet i służba królewska.

W środku w czarnej sukni jechał ojciec Wolfram, który miał czas od opata wziąć instrukcje, aby na każdy krok królewicza był uważnym. Samo żądanie zabrania z sobą ks. Petrka podejrzenie w nim budziło.

VII.

Nie będziemy iść wślad za dwoma poselstwy, które zdążały do Rzymu po koronę. Jurga, wyprawiony z o. Gerbertem, był szczęśliwszym. Udało mu się przebyć całe Niemcy bez wypadku, choć kilkakroć zatrzymywani byli.

W początku podróży garstka ta przeodziała się tak i przybrała, aby jak najmniej zwracać oczu na siebie. Zamiast szerokich gościńców, wybierano drożyny niewygodne, puste, lecz od straży i czatów bezpieczniejsze. Klasztory, do których zajeżdżali, dostarczały o. Gerbertowi dokładnych wskazówek i co lepiej dawały mu braciszków, znanych w okolicy, którzy się opowiadali, jako prowadzący własność klasztorną od opatów miejscowych. Tak od jednego do drugiego przeprowadzali ich mnisi, a gdy przypadkiem spotkali łakomego a głodnego zdobyczy rycerza, czatującego na gościńcu, co naówczas było zwyczajnem, bronili się tem, że kościelne prowadzili mienie...

Zwolna więc i pod ciągłym strachem szła podróż Jurgi z ks. Gerbertem aż do samych wrót wiekuistego

grodu. Gdy tu nareszcie dotarła gromada owa, skwarnego dnia, wśród wycia wichru, który kurzawą napełniał powietrze, wszyscy padli na kolana z dziękczynną modlitwą, czując, że tylko cudem się dostać mogli do celu podróży.

Była to połowa dopiero wielkiego i trudnego dzieła. W Rzymie papieskim miał cesarz swoich zwolenników i stróżów, wpływ jego był potężnym. Należało z oględnością wielką przedsiębrać kroki i nie wydawać się z sobą i z całem poselstwem, dopókiby drogi przygotowane nie były.

Przybyć do Rzymu trudnością było wielką, dopięcie celu nie mniejszą, naostatek, gdyby się to udało, odwieźć poświęconą koronę, o której wieść musiała dojść do cesarza, stawało się zadaniem ze wszystkich najcięższem.

Czuł to o. Gerbert, lecz wybór jego dowodził jak opat Aron znał ludzi i umiał posługiwać się nimi. W średnim wieku, wypróbowany życiem mnich benedyktyn był żelaznym mężem, napozór chłodnym, jak żelazo i jak ono twardym, ostrym, gdy przecinać trzeba było węzły — milczącym i przebiegłym. Przez całą drogę modlił się o. Gerbert, mówił mało, zasępiony jechał, nie skarżył się nigdy, chociaż i głodu, i niewygód nadzwyczajnych zażyć było potrzeba. Jurga, wpatrując się w niego, starał się go naśladować. Kierował gromadką i w karności ją trzymał.

Sam widok nowych zupełnie krajów i ludzi starczył mu, aby opłacić wszystkie podróży ciężary i niebezpieczeństwa. Z krajów, w których człowiek był stosunkowo młodym przybyszem, wjeżdżając w świat, na każdym kroku pełen ruin i obalonej przeszłości, zdumiewającej olbrzymiemi dzieły swemi, Jurga się czuł upokorzony dzikością i pustynnością swych pól i lasów. Mury te, kolumny, obalone sklepienia, sterczące resztki świątyń, pozmienianych na kościoły, zdały mu się dziełami nie ludzkiej ręki i ducha, ale zgasłego jakiegoś plemienia istot nadziemskich.

Wszystko tu świadczyło o przeszłości skończonej,

o narodzie wielkim, umarłym, pogrzebionym, który długie musiał żyć wieki, by tyle dokonać.

Rzym w ruinach napoły, napół w stojących jeszcze budowach wieków chwały i potęgi, przybylcowi z kraju drzewa i szałasów snem się wydał jakimś niezrozumiałym, niepojętym.

O. Gerbert, pomodliwszy się u wjazdu do bramy miejskiej, opowiedział się tu jako mnich benedyktyn, przybywający w sprawach zakonu. Nie zwracając oczu na siebie, przesunęli się za Tyber do benedyktyńskiego klasztoru. Tu byli bezpieczni. Listy i świadectwa dawały im opiekę.

Gdy furta otwarła się dla nich i zawarła za nimi, o. Gerbert odetchnął raz pierwszy swobodniej i wprost poszedł do otwartego kościoła powtórnie złożyć dzięki Bogu. Orszak jego umieszczono zaraz w gospodzie, dla obcych przeznaczonej, która osobno od klauzury u wrót była urządzoną.

Jurga tak ciekaw był, zdumiony i przejęty, tak rad, że straszna podróż skończoną została szczęśliwie, iż spoczynku nie potrzebował. Ulice, które przebywali, rojące się świetnemi orszakami, wśród których piękne niewiasty, bogato poprzybierane, otoczone dworami strojnemi, przesuwały się, z dziwną swobodą i zalotnością spoglądając na tłumy, duchowni z pocztami zbrojnemi, sami też nie bez oręża, — panowie w jasnych szatach i na piersiach świecących pancerzach, sam lud tak odmienny od tego, do jakiego był nawykły Jurga, nęciły ciekawość podróżnego.

Nazajutrz znaleziono słowiańskiego rodu braciszka, który z Jurgą mógł się rozmówić, kazano mu się odziać tak, aby oczów na siebie nie ściągał i dozwolono mu pójść po mieście, którego widoku był ciekawym.

O. Gerbert chodził tymczasem około wielkiego dzieła, które przygotowywać było potrzeba. Dary we złocie, jakie przywieźli z sobą, ułatwiały nieco zadanie, bo skarb był wyczerpany wojną z Saracenami, lecz wkrótce dowiedział się wysłaniec opata, iż o żądaniu opata wcześniej dano znać do Rzymu, a cesarz się sprzeciwiał

wysłaniu korony i oprócz tego rościł papież prawa do kraju Polan, szczególnie Gniezna, które Oda, żona Mieszkowa, z sąsiedniemi ziemiami zapisała darem apostolskiej stolicy.

Bolesław trzymał więc tę własność prawem oręża tylko; dziedzictwa i rozporządzenia Polany dopominano się tutaj.

Przewidując to, król Bolesław polecił zapewnić w Rzymie, iż będzie się uznawał lennikiem i chętnie grosz do skarbony świętego Piotra składać będzie corocznie, chociaż Oda ofiarowała to, czego nie miała i czem rozporządzać nie mogła.

Sam nie ważąc się na wyjednywanie u papieża Benedykta żadnej korony, o. Gerbert posłał innych na zwiady. Powoli toczyły się rozprawy o środkach, jakich użyć było potrzeba, aby dostąpić do celu.

Jurga tymczasem patrzał, uczył się, dziwował, modlił, a braciszek, dodany mu, karmił go owym tysiącem legend, które tu do murów przyrosły, powsiąkały w ziemię, w powietrzu unosić się zdają.

Kilkanaście dni upłynęło, a nic jeszcze nie uczyniono. O. Gerbert milczał i nie tłumaczył się nawet ze zwłoki.

Jednego dnia, gdy dla nieznośnego skwaru w ciemnej izbie na matach spoczywał Jurga i zdrzemnął się znużony, otworzył oczy, szelest jakiś posłyszawszy nad sobą, a zdało mu się, że śpi jeszcze, gdy ujrzał tuż stojącego Andruszkę, który, otworzywszy ręce, czekał na uścisk braterski.

Jurga się porwał i dwaj bracia, nim słowo do siebie wyrzec mogli, powitali się pocałunkiem. Młodszy oczom swym nie wierzył prawie, bo się takiego szczęścia nie spodziewał.

W istocie było to nadzwyczajnym trafem, iż drugiemu posłańcowi udało się przebrać temi samemi tory i drogami, wślad za pierwszym.

O. Gerbert i Romuald nabrali oba otuchy, gdyż podwójne dary dawały im możność tem skuteczniejszego

działania. Z Andruszką przybyła i nadzieja, niemal pewność pozyskania korony dla króla.

Zaraz nazajutrz wiedzieli o tem bracia, a opowiadając sobie o podróży i jej niebezpieczeństwach — naradzili się wcześnie o powrocie.

Naówczas Jurga, który umysłu był żywszego, wpadł na tę myśl szczęśliwą, ażeby zpowrotem rozdzielić się i oprócz namaszczonej korony, wieźć drugą podobną fałszywą, aby nią Niemców, czatujących na tę zdobycz, oszukać. Ta mniemana korona dla większej pewności pójść miała przodem tak, ażeby wpadła w ręce cesarskiej straży, która, zadowolona zdobyczą, jużby na przewiezienie prawdziwej nie zwracała tak pilnej baczności.

Nazajutrz opowiedziano o tem o. Gerbertowi, który uśmiechnął się i zdumiał, a że miał obok siebie drugiego brata, odezwał się doń po łacinie.

— Zważcie, jaka u narodów dzikich jest wrodzona przebiegłość. Oto żaden z nas nie wpadł na tak wyborny środek zabezpieczenia namaszczonego daru ojca świętego.

Pochwaliwszy wielce szczęśliwy pomysł Jurgi, o. Gerbert, który już przed przybyciem Romualda rozpoczął umowy, ciągnął je dalej teraz, podwoiwszy ofiarę.

Nalegał on na to, że Bolesław był w rzeczywistem posiadaniu państwa tak rozległego i potężnego, że je w jedności z kościołem koniecznie należało utrzymać, a to najlepiej można było utwierdzić ofiarą namaszczonej korony, która wierną i kościołowi, i cesarstwu zostać miała.

Przeciągały się jednak owe umowy, którym na drodze stawali posłuszni Henrykowi cesarzowi w otoczeniu papieskiem. Naostatek ujęty wymownemi prośbami i zaręczeniami o. Gerberta, papież Benedykt przyrzekł koronę, którą sam miał u grobu książęcia apostołów pobłogosławić.

Nie potrzeba było sprawować wytwornej, której robota wieleby czasu zabrała. Złoty obręcz, kilku ka-

mieniami oszlifowanemi nasadzony, wystarczał. Błogosławieństwo dawało mu wartość całą, a im łatwiejszą była do ukrycia korona, tem mniej na niebezpieczeństwo narażoną.

Inną podobną naprędce ukuć kazano, którą przodem i niezbyt się wystrzegając, wieźć się ofiarował mężny Andruszka. Wiedział on i towarzyszący mu benedyktyn, że zatrzymani i do więzienia może wtrąceni zostaną, lecz oba dobrowolnie chcieli tą ofiarą okupić bezpieczne przybycie poświęconego wieńca do Poznania.

Wielki to był dzień dla gromadki polskich wysłańców, gdy im oznajmiono, że się mogą znajdować w krypcie u grobu Piotrowego, aby być świadkami obrzędu. Tu oni mieli po raz pierwszy oglądać poważne, męskie i rycerskie oblicze niemal Benedykta, który pod skromną suknią duchowną zachował w sobie coś z charakteru rodu wojowniczego i pańskiego hrabiów tuskulańskich. Widać w nim było władcę, króla razem a głowę Kościoła, surowego sędziego, stróża obyczajów duchowieństwa, które poprawy i karności potrzebowało.

Dostatki, w jakie opływały klasztory i biskupstwa, ziemskie ich posiadłości rozległe, stosunki bliskie z rycerstwem rozwięzłem, — nadwerężały obyczaje. Papież je do nauki Chrystusowej i pierwotnej czystości zwrócić usiłował.

Przy mszy świętej leżała na ołtarzu korona, dotykając relikwij apostołów; poświęcił ją sam ojciec święty i po uroczystym obrzędzie, wraz z listem oddał posłom, którzy w imieniu króla, podległość stolicy apostolskiej zaręczyli.

Tegoż dnia, nim się posłowie ruszyli z Rzymu, już goniec potajemny wyprzedzał ich na alpijskim gościńcu, biegnąc oznajmić o podróżnych, których z koroną pochwycić miano niechybnie.

W klasztorze naradzano się dnia tego i nazajutrz jawnie, w oczach mnogich świadków, ruszył ze znacz-

niejszym pocztem Andruszka z ojcem Romualdem, wioząc fałszywą koronę.

Dopiero w dni kilka potem potajemnie wyjechać miał o. Gerbert z Jurgą, wioząc ukryty ów obręcz poświęcony, który przeznaczonym był dla uwieńczenia królewskich skroni.

Wszystko się stało, jak obmyślano. Pierwszy poczet przebył Włochy bezpiecznie, śledzony i miany na oku. Jechali w tropy za nim wysłańcy, którzy go u granicy Niemiec wskazać mieli i dać pochwycić. O. Romuald umyślnie prawie nieostrożnym był i stawał w miejscach, gdzie mógł być postrzeżonym, nie tając się z tem, że z Polski jechał od króla w poselstwie, choć niby zamilczał, co ono miało na celu.

Na drugim noclegu niemieckim znaleźli się posłowie otoczonymi w gospodzie przez tak liczną gromadę zbrojnych, iż o oporze ani myśleć nie było można.

Z urąganiem i przechwałkami pochwycono ich, niby usiłujących tłumaczyć się, zaprowadzono do najbliższego zameczku i gdy zaczęto przetrząsać juki, z radością nadzwyczajną znaleziono koronę.

Natychmiast wysłano gońców z oznajmieniem, iż zdobycz się w ręce cesarskie dostała. Radość była niezmierna i triumf wielki. Szukano listów papieskich, rozparając suknie, trzęsąc wszystko napróżno, nie umiano ich znaleźć, a naglony o. Romuald przyznał, że w obawie pochwycenia — zniszczone zostały w pierwszej chwili.

Gdy się to działo na głównym gościńcu, z bacznością nadzwyczajną od klasztoru do klasztoru przemykali się o. Gerbert i Jurga. Wioząc tak drogi klejnot, musieli nadzwyczajnemi otaczać się ostrożnościami. Najgorsze dni do podróży, słoty i wichry były im najpożądańsze, przekradali się nocami, rankami po niedostępnych ścieżynach i manowcach. Podróż też trwała długo. Jurga czuwał, prawie nie kładąc się na spoczynek, chyba, gdy do którego z klasztorów przybyli, gdzie zupełnego pewni byli bezpieczeństwa.

Przez niemieckie kraje jadąc, podwajano czujność,

choć pochwycenie pierwszej korony uspokoiło zupełnie cesarskich, a wieść o tem już się była wszędzie rozeszła. Gdy naostatek po tylu napróżnych krążeniach dnia jednego ujrzeli rzekę, którą im jako Łabę ukazano, radość niezmierna odmalowała się na twarzach wszystkich. Przeprawili się przez nią pochmurnego ranka jesieni, a czeladź towarzysząca im była tu już, jak w domu. Przyśpieszono więc koniom biegu.

Jurga, chcąc królowi prędszą sprawić radość, najzręczniejszego z pachołków wyprawił przodem nocą i dniem do Poznania. Tu niepokój był wielki. Wprawdzie opat Aron przez benedyktynów miał wiadomość o przybyciu Jurgi do Rzymu, lecz potem nic już o obu wyprawach słychać nie było. Król niecierpliwił się i narzekał, były dnie zwątpienia i gniewu.

Gdy Andruszkę z o. Romualdem pochwycono, rozgłos był tak wielki i radość Niemców taka, że się wnet wiadomość rozeszła daleko i doszła do Trzemeszna naprzód, nareszcie do Poznania.

Tu nie wiedziano wcale o podstępie, którego Jurga był sprawcą. Opat był w smutku wielkim. Nie ośmielił się zwiastować o tem natychmiast Bolesławowi. Zwlekał.

Nie można jednak było długo ukryć nieszczęśliwej wieści. Ks. Petrek, który ją miał pierwszy, chodził z nią pozornie zasmucony, dzieląc się ze wszystkimi, aby doszła do uszu króla.

Już naówczas piękna Oda, którą Bezprymowi z chęcią wydano, przybyła do Poznania i niezwłocznie małżeństwo pobłogosławione zostało. Zjechało się na wesele tłumnie rycerstwo domowe i niemieckie, król hojnie przyjmował i zdawał się wesół a szczęśliwy.

Od pierwszego dnia nowa pani nowe tchnęła życie w dwór, nową wesołością ożywiła trochę spoważniałych towarzyszów króla. On sam dał się powodować niewieście, która z zuchwalstwem nadzwyczajnem, nie obawiając się groźnego pana, rządziła nim samowładnie. O dziwo! Król dawał się prowadzić posłuszny,

wpatrując się w piękne oczy, i zdał zapominać o wszystkich swych troskach, gdy mu Oda szczebiotała!

Mieszko i Ryksa, nie mogąc się ani oddalić, ni wyłączyć, stali na uboczu.

Oda lekceważyła mężowską synową, nie dbając, że jątrzy panią krwi cesarskiej, a Bezprymowi nad Mieszkiem dawała w łaskach swych pierwszeństwo. On jej był najmilszym sługą, król też nabrał trochę serca do Bezpryma i więcej teraz upatrując w nim zdolności, obiecywał mu też na przyszłość świetniejsze stanowisko.

Napozór nic nie było odmiennego gwałtownie, przecież przybycie jednej niewiasty zmieszało dawny porządek, wwiodło jakiś zamęt, napełniło niemal strachem dawne sługi. Pytano się siebie cicho, co będzie z tego panowania Niemki zalotnej nad królem, chwilowo zaślepionym? Nikt się jednak nie ośmielał rzec słowa.

Opat milczał i stronił nieco od dworu. I na to Bolesław zdawał się nie uważać.

Były to pierwsze dni roznamiętnienia krewkiego pana, całe oddane niewieście, która umiała oderwać go od wszystkiego i zawojować dla siebie. Z tego czaru i upojenia nie wyszedł jeszcze król Bolesław, gdy jednego wieczora Zyg przyniósł mu koronę, skręconą ze słomy i położył ją u nóg jego. Karzeł był głupowaty, iż się na żart taki ważył.

— Miłościwy panie — rzekł, śmiejąc się, — trzeba będzie słomianą się kontentować, bo złotą cesarscy porwali...

Bolesław nierychło go zrozumiał, a znaczenie słów pojąwszy, chciał go kazać wyrzucić precz i osmagać. Zyg do nóg mu upadł, wyznając, że w całym dworze mówiono o tem.

Burza powstała sroga. Chciała Oda króla uśmierzać, odepchnął ją po raz pierwszy, spojrzawszy na nią tak, że pobladła i cofnęła się przelękła.

Na wołanie pańskie, które grzmiało jak burza rozhukana, zadrżało, co żyło, biegło wołane, co zasłysza-

ło tylko. Skupili się wszyscy; — król patrzał po twarzach i mówić nie mógł z gniewu.

Sieciechowi wskazał Zyga, aby go wnet pochwycono; pytał drżącym z gniewu głosem, kto mówił o pochwyconej koronie, kto i skąd słyszał o niej.

Zyg strwożony wybełkotał imię ks. Petrka. Kazano go natychmiast przywieść.

Dwóch komorników wnet go niemal gwałtem przyciągnęło przed króla, wystraszonego, bez duszy. Zagrzmiał nad nim głos, skąd i od kogo słyszał o tem...

Pisarz umiał powiedzieć tylko, że w całym dworze było to wiadomem, że koronę wiezioną cesarscy na granicy schwycili.

Słano wnet do opata, który, idąc, dowiedział się o królewskim gniewie, lecz nie uląkłszy się go, spokojnie i bez najmniejszego przybył pośpiechu; król miał czas ochłonąć nieco, a ujrzawszy wypogodzone, zimne, poważne oblicze surowe idącego naprzeciw sobie, zawstydził się tej gorącości, z jaką wybuchnął.

Czekał, aż się Aron przybliżył.

— Ojcze, prawda-li to? — zawołał. — Wszyscy, aż do najnędzniejszego błazna wiedzą tu o tem, o czem ja nie wiem nic?

— Wieści chodzą o tem, lecz pewności niema, dlatego płochych pogłosek do uszu twych, panie, podawać nie było potrzeby.

Ks. Petrek, któremu szło o to, aby się dobrze uwiadomionym okazał i nie został zatarty, przerwał, kłaniając się opatowi, iż z cesarstwa przybywający, od marchij pogranicznych, jednozgodnie to poświadczyli, iż w górach, wpobliżu włoskich granic, koronę i posłów schwycono, a radość stąd była wielka.

Pisarz, który miał potajemne posłanie, a do niego przyznać się nie chciał, mógł zaręczyć, iż wieść fałszywą nie była. Wiedział nawet, w którem hrabstwie i miasteczku posłowie schwyceni zostali. Opat wolał króla w niepewności trzymać.

Napróżno obrażona tem Oda, że poślednie miejsce zajęła na chwilę, starała się Bolesława pociągnąć

i rozerwać. Król, nie spojrzawszy nawet na nią, z opatem poszedł na osobność. Zmieniony był i gniewny; chciał natychmiast trzecie poselstwo wysyłać.

Dał mu wszystko wypowiedzieć Aron, słuchał cierpliwie i znowu wielkim swym spokojem nieco rozgorączkowanego upamiętał. Gniew, gdy nie zarazi sobą tych, wśród których wybucha, musi zawsze przygasnąć i w sobie zawarty trawić się powoli. Bolesław ochłódł nieco.

Zdaniem opata było nie poczynać nic, dopókiby nie nadeszły wieści pewne i ostateczne. Wszak ci jedne posły pochwycone być mogły a drugie wrócić szczęśliwie.

Jakkolwiek mała była nadzieja, Bolesław dał się tem ukołysać. W sprawach niewojennych nawykł był ufać opatowi, którego rozum i baczność nie zawiodły go nigdy. Pozostał jednak król posępnym i zachmurzonym i Oda spostrzegła po raz pierwszy, że władza jej nad nim nie była tak potężną, by wszystko inne stłumiła.

Szła dotąd przebojem i zuchwalstwem, z którem się jej szczęściło; teraz musiała użyć innych niewieścich sztuk: łez, smutku i przypochlebiania, pokory i czułości. Kosztowało ją to zmienianie się; nawykła być śmiałą, pokonywać się musiała, stając się pokorną. Dla króla te kameleońskie zmiany coraz nowy wdzięk jej nadawały. Miłość w młodości, mówią, opanowuje i zaślepia człowieka, lecz w latach późniejszych, gdy się życie wymyka, gdy ostatkami goni, niebezpieczniejszą jest jeszcze, bo z niej ostygnąć nie można.

Oda traciła moc swą i odzyskiwała ją wprędce. a z tych walk wychodziła coraz silniejszą. W sercu jej nie było nic, oprócz żądzy panowania i pragnienia życia. Oczyma rzucała po dworze całym, jakby wszystkich zakuć potrzebowała w te więzy, w których król chodził.

Ks. Petrek był jej powiernikiem i ulubieńcem; dodało mu to siły i pewności siebie. Opat wiedział wszystko i cierpiał, nie spuszczając go z oka. Uszły tylko jego

baczności jego stosunki z Bezprymem i umowy, które w cichości już aż do cesarskiego ucha sięgnęły. Cesarz zgodził się na żądanie królewicza, obiecywał mu królestwo, pomoc orężną, poparcie przeciw Mieszkowi z warunkiem poddania się cesarstwu.

Na Bezpryma twarzy czytać można było zmianę, lecz przypisywano ją przypuszczeniu do łask ojca i odepchnięciu Mieszka.

Ryksa, z dumą rodowi swemu właściwą, znosiła upokorzenie swoje i męża, nie narzucając się i nie chcąc żebrać przejednania. Ona może także w duszy rachowała na to cesarstwo, z którego panującymi łączyła ją krew. Nie trwożył ją Bezprym, nie obawiała się Ody nawet, czując się tu niejako ogłoszoną żoną następcy Bolesława. Mieszko był nim uznanym. Dumna pani nie przypuszczała zmiany i trzymała się na uboczu.

Oczy wszystkich zwrócone były na króla i jego rodzinę; radował się w duszy jeden ks. Petrek, widząc zamęt, nienawiść i walkę, która groziła przyszłości. Wszystko, co gotowało ruinę, pożądanem dlań było, co ją mogło przyśpieszyć, do tego ręki przykładał.

Posłuszny opatowi, król pozostał w oczekiwaniu niecierpliwym, rozjątrzonym, do gniewu skłonnym. Oda teraz napróżno usiłowała powrócić zapomnienie na wszystko pierwszych dni. Niekiedy Bolesław odprawiał ją do krosien i do kądzieli. Szła z ustami zagryzionemi, zamiast do swej izby, pomiędzy młódź rycerską i drażniła króla, strojąc śmiechy, które uszu jego dolatywały.

Dnie płynęły chmurami i jasnemi promieniami przeplatane. U stołu król się ożywiał, ale noc przynosiła z sobą troskę, sny rodziły niepokoje.

Jednego dnia opat, który miał oko baczne na wszystko, a pamięć niezmierną, idąc z tumu na dworzec, spostrzegł na koniu zmęczonym wbiegającego w podwórze pachołka, którego twarz zdała mu się podobną do jednego z tych, co z Jurgą wyprawieni zostali.

Wstrzymał się i skinął. Skoczył jezdny z konia i podbiegł ku niemu. Opat go poznał.

— Co wieziesz? — spytał.

— Wieść dobrą, ojcze przewielebny! O dwa lub półtora dnia ciągną za mną o. Gerbert z Jaksą i koronę wiozą.

Zdumiał się radośnie Aron.

— Bogu niech będą dzięki! lecz tu wieść się rozeszła...

Chłopak się rozśmiał.

— A! tak — zawołał — Andruszka Jaksa z księdzem wieźli umyślnie fałszywą koronę i dali ją w ręce cesarskim. Poświęcona jest już na naszej ziemi.

Gdy opat wszedł z twarzą, na której nigdy nic nie można było odgadnąć, zawsze jedną i poważną, król się odwrócił ku niemu. Przyjście jego zwiastowało zawsze ważną sprawę.

Powstali wodzowie, witając go, uchylił król głowę, pierwsze mu czyniono miejsce. Aron stał.

— Przynosicie mi co, mój przewielebny — odezwał się Bolesław — lub macie żądanie jakie do mnie? Wam zawsze i przed wszystkimi należy pierwszeństwo.

— Dziś mi ono należy w istocie — rzekł Aron — bo przynoszę wam, miłościwy panie, to, czegoście najmocniej żądali, — koronę!

Oczy Bolesława zajaśniały, powstał poruszony cały; wszyscy się skupili ciekawi.

— Objawienie mieliście? — spytał.

— Przybył posłaniec od o. Gerberta; są o półtora dnia drogi.

— Więc niegodziwem kłamstwem było, na utrapienie moje zmyślonem, że ją pochwycono. Ukarać należy winnych!

— Nie winien nikt—odezwał się opat,—koronę pochwycono i korona stanie tu jutro! Dano cesarskim tę, która poświęconą nie była, na łup, by się uspokoili; namaszczona przybywa.

Na wszystkich twarzach odmalowała się radość, król podniósł ręce do góry.

— Niema — zawołał przejęty — czegobym nie uczynił dla tego, co tak przebiegle i rozumnie postąpić umiał.

Gwar się stał taki w izbie, a za nim poszły okrzyki tak głośne, że po całym dworcu rozeszła się ta radość, której przyczyny nie wiedziano jeszcze. Zbiegali się ludzie, podpatrując i podsłuchując.

Król po namyśle skierował kroki wprost ku kościołowi. Szedł za nim Aron, szli panowie radni, ciągnął i dwór, wlokła się ciżba. Kazano w dzwon uderzyć. Na grodzie mało kto wiedział, za co dziękczynne odprawiać miano modły, lecz biegli, kto żył, i cisnęli się do tumu.

Przed wielkim ołtarzem u grobu ojca stanął Bolesław, jakby z duchem jego dzielić się chciał radością swoją. Aron pośpieszył do zakrystji, aby z pocztem całego katedralnego duchowieństwa wynijść zaraz przed oświetlony ołtarz i zanucić hymn dziękczynny.

Ks. Petrek siedział w celi nad pergaminem, gdy Harno wpadł doń, wołając, że korona z Rzymu przybywała i że król z całym dworem w tumie już za nią Bogu dziękował.

Upewniony o pochwyceniu jej ks. Petrek osłupiał. Niepojętem to było dla niego. Triumf, którym się pocieszał, obracał się niepojętym sposobem w upokorzenie.

— Kłamiesz, niezdaro! — krzyknął. — Jak zawsze, nierozumnem jesteś stworzeniem, chwytającem naopak słowa.

Wtem posłyszał dzwon, coraz wyraźniej bijący na tumie; chwycił na siebie płaszcz i wybiegł. Dokąd — nie wiedział sam.

Niewiasty i królowa nie wiedziały o niczem jeszcze; Mieszko, Ryksa, Bezprym i ich dwory, posłyszawszy okrzyki, słysząc bijący dzwon, wybiegli we drzwi, stali ludzi. Nie wszyscy wytłumaczyć umieli, co się stało; rozmaite obiegały wieści, wiedzieli tylko wszyscy, iż król z dworem pośpieszył do tumu na radosne jakieś podziękowanie Bogu.

Ks. Petrek z twarzą wybladłą i zmienioną, pierwszy przyniósł wiadomość, której nie wierzył i chciał jej zaprzeczać.

Lecz tuż nadeszli z tumu inni, co ją potwierdzali. Ks. pisarz gniewał się i burzył, kłamstwem zowiąc i zwodnictwem, co głoszono. Nie śmiał się z tem wydawać, iż miał najpewniejsze doniesienia, burzyło go to, iż im zaprzeczać śmiano. Zbiegł więc wprost do zakrystji tumu i tam stanął, oczekując na opata. Musiał przybrać wesołą twarz, choć się w nim wzbierały gniew i kipiała nienawiść.

Gdy po skończonym hymnie opat ukazał się w progu i ujrzał ks. Petrka, podszedł, jak stał, w kapie i infule ku niemu.

— Ciesz się, mój ojcze — rzekł, — król dostąpił wreszcie, czego pragnął, — poświęconej przez papieża korony! Wielkiego rozumu posłowie nasi umyślnie koronę niepoświęconą dali w ręce cesarskim, którzy ją zabrali, aby bezpieczniej panu namaszczoną przywieźli.

Ks. Petrek, któryby był klął, gdyby mógł, zbladł i skłonił głowę.

— Chwała ludziom rozumnym i przebiegłym! — odparł cicho. — Radość mamy wielką!

Rzekłszy to, a lękając się, aby po nim nie poznano, iż utrapionym był wielce, natychmiast wymknął się z pośrodka duchownych.

Nigdy może nie czuł się tak przybitym, tak upokorzonym, jak w tej chwili.

VIII.

Radość, przepełniająca serce królewskie, płynęła z niego na wszystkich; powołał do siebie Mieszka, który się trzymał na uboczu, kazał przyjść Bezprymowi i obdarzył go, aby na dzień uroczysty wspaniale mógł wystąpić, uśmiechnął się synowej. Odzie ogłosił, że będzie królową narówni z innemi, nadał opa-

towi ziemię i lasy, Jaksom majętność kazał wykupić... sypał wkoło siebie dobrodziejstwy. Był szczęśliwym.

To błogosławieństwo, którego potrzebował dla dzieła życia całego, miało je utwierdzić na wieki.

W dniu, gdy korona upragniona nadejść miała, wysłano poczty naprzeciw posłom, co ją wieźli, aby ze wspaniałością należną wprowadzoną została i złożoną na ołtarzu, dopókiby do Gniezna nie była przewiezioną, gdyż koronacja odbyć się miała z uroczystością wielką, przy napływie wszystkich panów, wodzów, władyków i rycerstwa, których gońcy powołać mieli z kraju całego i najdalszych jego granic.

Rozesłano ich wcześnie, naznaczając dzień dosyć odległy, aby wszyscy mieli czas przybyć.

Gdy w Poznaniu taka panowała radość, w Magdeburgu i na dworze cesarskim dowiedziano się z zeznań o. Romualda, iż korona, oddana w ręce czatujących na nią, wcale nie była tą, jaką papież Benedykt poświęcił.

Wyczekawszy nieco, posłany benedyktyn oznajmił to i oświadczył, iż gotów stwierdzić jest to przysięgą.

Sama obojętność jego a szyderskie prześmiewanie się Andruszki dowodziły zresztą, iż tak być musiało. Od granic też wysłani na zwiady przybyli z oznajmieniem, że poświęcona korona, mimo wszystkich zabiegów, była w Poznaniu, a uroczysta koronacja odbyć się miała w Gnieźnie.

Niepodobieństwem jest opisać wściekłości, jaka opanowała arcybiskupa i nieprzyjaciół Bolesława, gdy się przekonali, iż mimo nich osiągnął, czego pragnął. Nie szczędzono Bolesławowi tych nazwisk, jakich, mówiąc o nim, użyli kronikarze niemieccy. Teraz więcej, niż kiedykolwiek był on dla nich lisem chytrym, wężem wykrętnym, oszustem złośliwym... Wzrosła złość i chęć zemsty przeciwko niemu, jak niegdyś opat Aron przepowiedział.

Tem się pocieszali cesarscy, iż mieli na samym dworze wroga tych, na których rachować mogli. U boku Henryka i pod jego opieką byli synowie Mieszka i Ody

starszej, Ryksa Niemka, Oda margrafówna, Bezprym, który szukał zawczasu opieki cesarza, — były to narzędzia, których sobie w dogodnej porze użyć obiecywano.

Bolesław jeszcze im był strasznym, ale potomstwo jego mieli w ręku. Czekali i czyhali.

Tymczasem mszczono się na niewinnych, trzymając w srogiem więzieniu Andruszkę i o. Romualda. Dano ich do odludnego zameczku w górach pod klucz stróża, który już niejednego winowajcę, cesarzowi nienawistnego, zamorzył w lochu.

Napróżno opat Aron usiłował przez zakonników św. Benedykta wstawić się za nimi. Król też obstawał przy tem mocno, aby jakimkolwiek bądź środkiem tych, co dla niego cierpieli, oswobodzić. Naznaczono okup wielki. Tenby też może nie został przyjętym, lub w ostatku trupy-by tylko zań wydano, gdyby nie znaleziono w sąsiedztwie na lichym burgu siedzącego barona, który ofiarował się za opłatą wpaść na gródek, gdzie załoga była słabą, i więźniów odbić siłą.

Stało się, jak przyrzekł. Nocą chciwy okupu obrońca nadszedł z kupą ludzi niespodzianie na gródek, którego nie pilnowano wcale, schwytał dozorców, zagroził im śmiercią, do więzienia wprowadzić się kazał, i odbił nie tylko tych dwu, ale i innych, którzy w lochach gnili.

Ci rozpierzchli się w górach, a rycerz uprowadził Andruszkę i benedyktyna, którym bezpieczną wskazano drogę i opatrzono na nią.

Nim w Gnieźnie nastąpiła koronacja króla, już i tych dwóch straconych powróciło do Poznania. Lecz obu ich trudno prawie poznać było, tak straszliwie niewola znęcała się nad nimi. Wybledli, schorzali, zgłodniali, zmęczeni, wyschli, potrzebowali dłuższego spoczynku, by odzyskać siły.

Jurga od chwili przybycia nie odstępował brata, a król obu ich, obsypawszy łaskami, ojcowską troskliwością otaczał. Oba naówczas pokłonili się panu, prosząc, aby im dozwolił spocząć na ojcowiźnie. Choć nie-

chętnie puszczał ich Bolesław od boku swego, choć ociągał zrazu zezwolenie, w ostatku zgodził się, aby jechali do domu.

Dowiedziawszy się o tem, wnet ozdrowiał Andruszka i uczuł, że na koń siąść może. Jurga, któremu król sam obiecał sprawić wesele z Sieciechówną, szczęśliwy jechał gniazdo wyścielać.

Wiedzieli już, iż Bolesław majętności ich wykupił, ale z cudzych rąk wyrwane, w jakim stanie odebrać mieli!...

Nadeszła była zima, przypominająca ową smutną, która dla nich tylu nieszczęść była przyczyną... Tak samo znowu ziemia była całunem okryta, ogołocone z liści drzewa, lodem zasłane rzeki i jeziora; wracali drogą tą pamiętną, którą ich królewski wysłaniec pod strażą na sąd prowadził. Wszystkie te wspomnienia, choć się niemi truć nie chcąc — nic o nich nie mówili, przychodziły im na myśl mimowolnie, a w miarę, jak się do pustki zbliżali, smutnieli oba i jakaś ich ogarniała obawa.

Rycerskie ich serca miękły pod wrażeniem, które, jako niemęskie, wyrzucali sobie, chociaż mu ulegali.

Jechali w małym orszaku czeladzi, choć opatrzeni we wszystko, lecz nie tak świetnie i butno, jak niegdyś tu z kijowskiej powracali wyprawy. Andruszce też na myśl przychodziła nieszczęśliwa niewolnica grecka, którą ostatniego dnia przed przybyciem do Poznania w lesie zbłąkaną stracili i słychać o niej nie było. Po powrocie z Rzymu mówiono im wprawdzie na dworze, iż się tam Antonja ukazała, ale wkrótce potem znikła. Andruszka litował się nad jej losem.

Ostatniego dnia podróży, gdy się już do Jaksowych Borów zbliżali, gołoledź się wzięła wielka, która jazdę utrudniała. Konie się ślizgały tak i upadały, iż wpośród drogi musieli stanąć, szukając kowala, coby im zaostrzył podkowy.

Rzecz to pod te czasy nie była łatwa. We dworach tylko i miasteczkach znajdowali się ci wysoko naów-

czas cenieni kunsztmistrze, którzy z żelazem rady sobie dawać umieli. Znając dobrze drogę, wiedzieli, gdzie się udać dla okucia koni na ostro, ale zmarudzili wiele czasu i co mieli stanąć przed wieczorem w starym dworze, ściągnęli do nocy.

Słońce już dawno było zaszło i gwiazdy się pokazały na niebie czystem, które ostry mróz obiecywało, gdy z lasów wynurzywszy się na szeroką polanę, gródek otaczającą, z bijącem sercem ujrzeli go zdaleka. Zdumieli się mocno, zamiast ciemnej pustki widząc światło we dworze i dymy, buchające ponad dachy. Andruszka i Jurga mimowolnie i razem popędzili konie żywiej.

Wrota stały otworem, podwórzec pełen był ludzi i koni. U podsienia roiło się, jakby gośćmi. Postrzegli, że na nich tu oczekiwano. Pachołkowie trzymali pochodnie smolne, przy których świetle poznali swoich stryjecznych, starego Tomka Jaksę, którego dwoje pacholąt pod ręce trzymało i wszystkich swych krewnych i powinowatych. Na przedzie stał dziedzic Komory, ten, co króla u siebie misą krwi chciał przyjmować.

Zsiedli z koni uradowani gospodarze naprzód do najstarszej głowy rodu, do Tomka Jaksy, z pokłonem.

— Niech Bóg błogosławi zmartwychwstałym! — zawołał głosem drżącym starzec. — Niech Bóg błogosławi! A pomnijcie, coście przeszli za młodości bujność i że cudem ocaleni jesteście.

Wszyscy zatem ściskać się zaczęli i okrzyki zabrzmiały w podwórzu. Dawni słudzy i dwornia cisnęli się do panów, padając im do nóg i całując po rękach. Niektórych brakło, ci już spoczywali na „Bożej roli". Zdala pod słupy drewnianemi ujrzał Andruszka Antonję; zdawna tu widać czekała na niego, klasnęła tylko w ręce i zawstydzona uciekła.

Dom, który się pustym i ogołoconym zastać spodziewali, z rozkazu króla obficie był zaopatrzony we wszystko. W wielkiej izbie zastawione stoły czekały na gości. Gdzie zajrzeć, pełno było szat, oręża i dostat-

ku... Snem i cudem wydawało im się to odrodzenie do nowego żywota po tylu przebytych przygodach.

Wnet też ciągnąć zaczęła służba z misami, dzbanami, ręcznikami, jadłem i napojem, i wszyscy u stołu mieścili się wesoło. A że był i duchowny, przysłany przez króla i opata dla poświęcenia domu na nowe życie, uroczystem błogosławieństwem rozpoczęła się uczta. Trwała ona do dnia białego, bo każdy z dawnych i nowych dziejów miał co opowiadać, a szczególniej Jaksowie oba o owej podróży, w której tyle cudów oczyma swemi oglądali, a o tylu się nasłuchać mieli zręczność.

Tym, co się nigdy poza granicę zachodnią kraju swego nie ruszyli, zdały się nie do wiary opisy kraju, jaki Jaksowie przebywać musieli i powieść o stolicy wielkiej, której napół zniszczone wspaniałości oglądali.

Cały dzień następny goście pozostali jeszcze, przesiedzeli i dzień trzeci, a Jaksowie się przekonali, obejrzawszy po domu, iż zapasów na przyjęcie starczyło. Było wszystkiego poddostatkiem.

Czwartego dnia dopiero zostali sami, a że Jurga do wesela musiał się sposobić, a Andruszka szeptał coś, że gotów był poślubić Greczynkę, — bracia radzi nieradzi o rozłączeniu się pomyśleć musieli.

Na obszernych ich ziemiach, które w ich posiadanie wróciły, była druga stara, opuszczona siedziba, zwana Gródkiem Zielonym. Andruszka chciał tam osiąść, Jurga gotów mu był ustąpić z Jaksowych Borów, lecz starym obyczajem Słowian ojcowskie gniazdo należało młodszemu i starszy zmusił brata, aby w niem pozostał.

Podzielono równo ziemię i dary królewskie, a Andruszka, nie zwlekając, pojechał zaraz na Gródek Zielony, aby się w nim zagospodarować. Jurga tymczasem w dawnym dworze się krzątał, przyprowadzając go do porządku, ściągając służbę i gotując się na przyjęcie młodej pani.

Niewiele wówczas wymagano, życie nawet po królewskich i pańskich dworach było bardzo proste i nie-

wytworne. Kraj na wojny narażony, cały niemal był wiekuistem obozowiskiem. Nawykły były i niewiasty w razie wieści o napadzie dosiąść konia, uchodzić w lasy i koczować w nich pod namiotami, często potem, gdy niebezpieczeństwo przeszło, wracając na zgliszcza.

Parę izb starczyło dla gospodyni i jej pracowitego dworu, spędzającego dni całe u kądzieli i ogniska; a choć w uroczystości obwieszano się łańcuchami i odziewano złotogłowiem, nie wstydziły się królewne prząść, a księżniczki gotować.

Oba Jaksowie pozostali, pracując około domów, gdzie wiele do czynienia mieli aż do dnia naznaczonego na koronację królewską.

Bolesław chciał ją mieć tak świetną, tak wspaniałą, ażeby odgłos jej Niemców utrapił i rozszedł się po całym świecie. Szczególne mając nabożeństwo do św. męczennika Wojciecha, naznaczył król dzień, jemu poświęcony w kwietniu, na obchód ten, na który zwołano ze wszystkich ziem podległych wojewodów, żupanów, starszyznę i co było najznaczniejszego. Na grodach tylko w obawie, aby nieprzyjaciel nie skorzystał z ogołocenia ich, pozostawiono dowódców załogi.

Wszyscy jechali z pocztami świetnemi pod znakami ziem, prowadząc lud przyodziany wspaniale. Ze wszystkich klasztorów i kościołów zwołano duchowieństwo, aby liczbę jego pomnożyć. Zaprosił król i Gunczelina, i margrafa Ekarda, ojca Ody, i Niemców kilku, aby byli świadkami uroczystości, która wspaniałością królewską dorównać miała pamiętnemu przyjęciu Ottona III w Poznaniu i Gnieźnie.

Zamek gnieźnieński nie mógł starczyć na pomieszczenie ani połowy gości, jacy tu przybyć mieli, chociaż do starych dworców kilka wielkich izb stołowych przybudowano. Reszta ludu i panów obozować miała pod szałasami i namiotami nad jeziorem na Jeleniu, na podzamczu.

Już w połowie kwietnia z Poznania nieustannie szły tu wozy ładowne, a ostatnie miesiące zimy wszy-

scy łowcy królewscy polowali w lasach, aby przysposobić mięso na te gody dla pospolitego ludu.

Na tysiące liczyć było można spodziewanych gości, którzy wszyscy na koszcie i żywności króla utrzymani być musieli. Nie było to już pierwszyzną dla Bolesława, bo dwór cesarski także licznym był i zjazd ogromny. I teraz dla dodania okazałości co najpiękniejsze poczty pancerników barwianych, co najżwawsi tarczownicy stawać mieli w otoczeniu królewskiem.

Siedział jeszcze na arcybiskupiej stolicy gnieźnieńskiej brat Wojciechów, Radzym, mąż świątobliwości wielkiej i ducha tego, co męczennika ożywiał, starzec już w lata podeszły, przez króla narówni niemal czczony z tym, którego ciało na wagę złota wykupił. Jemu dano było, jakby w imieniu Wojciechowem, namaścić królewską skroń... i od nikogo innego poświęconego wieńca nie chciał Bolesław przyjąć, tylko z rąk jego...

Na wzór obrzędu, z jakim koronowano cesarzów wAkwizgranie, duchowieństwo ułożyło ceremonjał przyszły. Korona z Rzymu przysłana, włócznia św. Maurycego, dar cesarza Ottona, w berło oprawna, miecz błogosławiony, który Bolesław zawsze u boku nosił, — służyć miały do koronacji. Jabłko dano ukuć z bryły złota niewielkim kunsztem, ale go tylko silna dłoń króla podźwignąć mogła, tak było ciężkie. Ciężkie, jak władanie krajem, ciężkie, jak odpowiedzialność zań przed Bogiem.

Na kilka dni przed św. Wojciechem na gościńcu z Poznania do Gniezna płynął lud tak gęsto, jechało wojsko, szło wozów tyle, iż się przecisnąć było trudno. Z gości zagranicznych ojciec margrafównej odmówił przybycia, składając się chorobą. Guncelina przyprowadziła ciekawość. Był tu posłańcem, co miał wypatrzeć wszystko i donieść dalej...

Dzień naznaczony, choć kwietniowy, wstał z jasną pogodą i słońcem. Podwórce, wały, cały obwód zamkowy i łąki dokoła tysiącem ludu były pokryte. Świątynia gorzała światłami, które otaczały grób i ołt-

tarz wielki, cały złotemi blachami obity, krzyżem olbrzymim ze szczerego złota, który Bolesław darował. Droga od zamku do tumu wysłana była suknem purpurowem. W kościele naówczas szczupłym zaledwie dostojnicy i starszyzna pomieścić się mogła, reszta otaczała go, zajmując obszerne podwórce.

Gdy Bolesław, cały złocistą szatą odziany, w płaszczu purpurowym, ukazał się w drzwiach dworca, rozległy się tysiączne okrzyki dokoła. Poprzedzał go, otaczał, szedł za nim orszak ogromny, w sobolich kożuchach, w łańcuchach, w pasach sadzonych z mieczami u boku, z laskami w ręku dostojnicy.

Za królem szło dwunastu jego radnych, za nimi królowa z niewiastami swemi w blasku młodości, dumna, wesoła, szczęśliwa... We drzwiach dwu biskupów, Radzym i poznański, powitali pana błogosławieństwem i wodą święconą, i ująwszy go pod ręce, wiedli ku ołtarzowi. Wstrzymał się jednak Bolesław u grobu Wojciechowego, bo opiece męczennika przypisywał całe powodzenie swoje. Tuż niesiono na poduszkach oznaki władzy: poświęconą koronę, jabłko, berło i miecz, które na ołtarzu złożono.

Rozpoczęły się wśród ciszy modlitwy i śpiewy, a Radzym drżącym głosem przemówił do króla, opowiadając mu o obowiązkach i ciężarach władzy...

Szły zatem owe uroczyste zapytania i odpowiedzi, ważące, jak przysięgi i sama przysięga na ewangelji i przyjęte modlitwy, psalmy, aż nareszcie namaszczenie, włożenie korony, oddanie berła, przypasanie miecza, który dobywszy, król na cztery strony świata przeszył nim powietrze; rozległy się śpiewy wesołe, zwycięskie, głośne!

Bolesław siedział już na tronie, spoglądając dumnie dokoła. U wielkiego ołtarza Radzym składał niekrwawą ofiarę.

W czasie mszy jeszcze ciągnęły się modlitwy dziękczynne. Już nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy nagle dzień jasny zmienił się w noc prawie. Czarnemi

chmury okryło się słońce, wichr zawył wściekły, sypnęło gradem i ulewą...

Zbladł król, siedzący na majestacie, zadrżeli wszyscy, kapłani tylko nie przerwali śpiewu, a Radzym odmawiał spokojnie ostatnią modlitwę...

Słychać było w okna i błony kościelne bijącą burzę, parę błyskawic bladych przeszyło powietrze, daleko grom rozległ się głucho, odbijając się i jakby tocząc po okolicy. Na chwilę ziemia, dachy, kiełkująca zieloność wiosenna, wszystko okryło się szatą białą, zimową. Na obliczu ukoronowanego mimo męstwa widać było wrażenie tej przestrogi, czy groźby niebieskiej.

Czas jakiś nie ustawał wicher, zdając się wysilać na dach świątyni i jej ściany, które smagał i oblewał mroźnemi falami. Ostatnia modlitwa była skończoną, gdy burza gwałtowna zwolna uchodzić zaczęła. Niekiedy jeszcze ostatni szturm przypuszczała do świątyni i bezsilna, omdlała, zmieniła się w wiatr słaby, który zdarł z niebios opony. Z za oszarpanych obłoków poczynał przeglądać błękit, ulatujące chmury zmieniły barwę i zbielały, złocąc się promieniami słońca. Coraz szerzej ukazywał się lazur pogodny, coraz bardziej rozrywały się chmury i słońce w całym majestacie swoim ukazało się zwycięskie, w mgnieniu oka roztapiając białe krupy, któremi okryta była ziemia, susząc zmokłe pola i przynosząc ciepło wiosenne.

Tym słońca promieniem zdała się na nowo jaśnieć i twarz królewska, na którą wróciła pogoda i zwycięski wyraz spokoju.

Bolesław podniósł ukoronowaną głowę, aby, natychmiast wstawszy, uniżyć ją jeszcze przed ołtarzem i u trumny męczennika.

Gdy król, przeprowadzony przez duchowieństwo, ruszył nazad do drzwi kościoła, w podwórcach ozwały się trąby, rogi, wielkie wołanie radosne. Całe zastępy pancerników, miecze dobywszy, stały jakby w obronie ukoronowanego.

Dzień to był wielkiego zwycięstwa po upokorzeniu wielkiem i przeciągnionem długo, zwycięstwa odnie-

sionego nad cesarstwem, wyzwania jakby i wypowiedzenia mu wojny.

W tych tłumach, co było Niemcom przyjaznego przez nich wysłanego, gryzło wargi i bladło gniewem tłumionym. Guncelin we zbroi wspaniałej, cały świecący od złota i klejnotów, szedł posępny w orszaku, nie umiejąc ukryć srogiego rozżalenia. Przepych ten niezmierny, seciny wojska, zbrojny lud, potęga nowego króla jadły mu serce. Pomiędzy duchowieństwem nieznaczne miejsce zajmując, jakby się od oczu ukrywał, sunął się ks. Petrek z pokorą udaną i przejęciem kłamanem. I jego pierś ściskała się pod wrażeniem tego dnia uroczystego, zdającego się zwiastować dalszy szereg dni wielkości i potęgi. Niekiedy okiem i wejrzeniem bojaźliwem rzucił po tych tłumach, sięgnął daleko i wnet, jakby oślepiony, wzrok na ziemię spuszczał. Czuł się zwyciężonym, gorycz zalewała mu usta i paliła wargi.

Twarz opata Arona, który był też w orszaku duchownych, otoczony mnichami swojego zakonu, nie zmieniła się wcale, nie widać było na niej ani uczucia triumfu, ani obawy. Zawsze jednakowy, nieporuszony, spoglądał tylko na króla, jakby chciał czytać z twarzy jego. Ani burza nie uczyniła go trwożnym, ni słońce mu dało weselsze oblicze. Nie można było w nim poznać, ni domyśleć się tego, którego sprawą i prawie wyłącznym owocem trudu był dzień dzisiejszy. Modlił się ze spokojem człowieka, dla którego wszystko, co świat dać i odjąć może, obojętnem się stało, spodziewanem i zwyczajnem.

Ilekroć wzrok ks. Petrka padł nań, zaogniał się, białka zdawały się krwią zachodzić, oddychał ciężej, piersi miał zemsty i nienawiści pełne.

Na dworcu wnet otoczyli króla wszyscy, niosąc mu dary i życzenia. Tu poznać było można, jak ten surowy i gwałtowny często król umiłowanym był przez wszystkich. Wojacy szczególniej, którym w obozie był starszym bratem, zbliżali się doń, jak do towarzysza

broni, przejęci i poruszeni. Bolesław miał dla każdego uśmiech i wesołe słowo.

Dnia tego królowa jedna była nieco zapomnianą, lecz twarzą wesołą kłamała uszczęśliwienie wielkie, czekając swej chwili. Jakoż król w ostatku do niej się zwrócił, a była dnia tego taką krasą przyobleczona, że oczy wszystkich oderwać się od niej nie mogły. Siedzenie jej zgotowanem było przy królewskiem.

U tegoż stołu zasiadła cała rodzina, — dumna Ryksa, której piękność poważna o lepsze szła z zalotną Odą, Mieszko, Bezprym nawet i w sukni duchownej skromny i pokorny Dobromir, syn Bolesława, który w Trzemesznie po dobrej woli z mnichami razem przemieszkiwał, a był tak szczęśliwy, że innego życia nie pragnął. Wziął on po matce i rysy twarzy, i przymioty duszy, pokorę, pobożność i łagodność.

Kochał go król, ale sercem litościwem tylko. Cóż mu było po synu, który orężem władać ani chciał, ani umiał?...

Bezprym i Mieszko, których stół rozdzielał, siedzieli, niekiedy spoglądając ku sobie groźnemi oczyma; braterską w nich widać było nienawiść, od miłości braterskiej trwalszą!

Bezprym mierzył czasem oczyma Ryksę, czasem uśmiechał się do Ody.

U tegoż stołu dano miejsce starszyźnie duchownej i Guncelinowi, który napróżno usiłował udawać wesołość. Król też nie patrzał na niego. Dnia tego zamknięty był w sobie.

Przepowiednia niebios ciężyła nad nim; słońce, co przyświecało pochodowi, burza i ciemność, która obrzęd zakończyła, powrót światłości i pogody... Duchowieństwo nawet skłonne było w zjawiskach takich upatrywać, jak we wszystkiem, znaki i przestrogi Boże. Wierzyli w nieustanne mieszanie się potęg niebieskich w sprawy człowieka najpobożniejsi ludzie. Żadna czynność ważniejsza nie spełniła się bez zwiastowania jej znaczenia, bez upomnienia, bez groźby lub pociechy z góry. Burza też ta na umysłach pobożnych zostawiła

wrażenie głębokie i pocieszano się tem tylko, że po niej znowu wróciło jasne słońce.

Gwarna biesiada przeciągała się bardzo długo nie tylko na dworcu, lecz w przybudowanych izbach stołowych pod namiotami, a dla pospolitego ludu pod gołem niebem. Ktokolwiek przyszedł dnia tego, został nakarmiony i napojony, nie odpychano nikogo, nawet najnędzniejszego żebraka.

W jednej tylko oddalonej izbie na grodzie, której drzwi niezamknięte stały otworem, radości, ani biesiady, ni życia nie było. Zajmował ją od lat wielu oślepły Odylon.

W przededniu przybycia króla Stoigniew, obawiając się, aby zuchwalstwem swem uroczystego nie zamieszał obrzędu, zmuszonym był zamknąć go i straż postawić. Starzec zagniewany, oszalały, który wiedział, co się na grodzie gotuje, z gniewu i boleści miotając się zamknięty i bijąc o drzwi i ściany napróżno, padł nareszcie dobity rozpaczą i skonał.

Rankiem Stoigniew, któremu dano znać, przyszedł opatrzyć trupa; znalazł go skostniałym. Leżał nawznak z piersią obnażoną, z brodą rozwianą, z usty otwartemi, które jakby w szyderskim ostatni raz rozdarły się uśmiechu, z pięściami zaciśniętemi, a u nóg jego chłopię, co go wodziło, skulone, płakało rzewnie.

W pustej izbie nie było więcej nikogo, na progu szczebiotały wróble, zbierając rozsypane kruszyny chleba. Niedaleko stąd rozlegało się wesele, — tu była cisza śmierci i pustka niedoli...

Z tych gromad, które zamek przepełniały, niekiedy zbłąkał się człowiek jaki przypadkiem pod drzwi półotwarte, zajrzał w głąb, stanął przestraszony, popatrzał na starca, którego ciało zsiniałe czekało pogrzebu, na zachodzące się z płaczu chłopię i uszedł.

Gdy od stołów ruszać się poczęto, a wstawać kto chciał, aby zbliżyć się do innych, podniósł się też Guncelin, bo mu tu ciężko było oddychać. Pił wiele, aby zalać gniew i jakby oliwy do ognia dolewał, palił on go coraz mocniej. Sam nie wiedział prawie, jak się zna-

lazł we drzwiach otwartych, aby powietrzem chłodniejszem odetchnąć; szedł tak rozmarzony, że psów, plączących mu się pod nogami, nie widział i kilka razy skowyczeniem ich dopiero ostrzeżony, opędzać się im musiał.

Już wychodził, gdy na progu nastręczyła mu się twarz znajoma. Stał przed nim ze skrzywionemi usty, sfałdowanemi dziwacznie, ks. Petrek. Znali się z sobą dobrze. Porozumieli się oczami i poszli w podwórze, ale i tu wrzawa mówić nie dawała, a ludu kręciły się gromadki wesoło. Posunęli się dalej milczący, a idąc tak, coraz spoglądali na siebie, mówiąc oczyma, bo nie śmieli ustami... Guncelin pogardliwą twarz przybrał... Petrek szyderską.

Szli tak, unikając tłumów, coraz dalej, jakby przejść się chcieli tylko. Za ścianą dworu dopiero Guncelin stanął, ręką wskazał w stronę komnat królewskich i rzekł cicho:

— Kruche to wszystko budowanie!... Nie potrwa!...

Uśmiechnął się Petrek.

— Co najdłużej do końca żywota mniemanego króla... Siedzieliście, miłościwy grafie, u jednego stołu z Mieszkiem i Bezprymem... musieliście widzieć, jak się jedli oczyma... Tak się jeść oni będą o pierworodztwo i koronę. Patrzaliście na śliczną królowę Odę? I tej Pan Bóg da potomstwo!... Cesarstwo ma tu sprzymierzeńców, a niema nikogo, coby miał moc walczenia z niem... Temu jednemu dana była potęga, aby skruszoną została... i w proch się rozsypała...

Mówił ks. Petrek, gdy właśnie stanęli u drzwi półotwartych, za któremi leżał trup Odylona. Widać było płaczące chłopię.

Ksiądz zajrzał i cofnął się, ręce łamiąc. Bladością twarz mu się i tak zżółkła okryła.

— A toż nie jest znak prawicy Bożej, która śmierć zsyła na przestrogę wśród wesela?

Guncelin zajrzał.

— Żebrak jakiś — rzekł.

— Bratanek pański, któremu on wyłupić kazał

oczy — porywczo począł ks. Petrek. — Znałem go, Odylon się nazywał. Ile razy król miał przybyć do Gniezna, czuł swego wroga i wychodził przeciw niemu z przekleństwem. Dziś ono go zadławiło...

Milczący zatrzymali się czas jakiś, patrząc na leżącego trupa. Widok to był nadto przykry, by długo ścierpieć go mogli; odeszli, wracając ku pełnym podwórcom.

— Wszystko to nie na długo — przebąknął Guncelin. — Młoda niewiasta dla zmęczonego żywotem człowieka — trucizną. Słodki jad z ust jej śmierć zaszczepi... Oczy mu się do niej palą...

Potwierdził Petrek.

— I ja tak mniemam... Kruche i wątłe to budowanie... Trzeba stać na straży, aby w chwili potrzebnej być na stanowisku... Zawre tu walką, zawre wojną, ledwie mu zamkną się oczy...

— Oszukano ojca świętego, papieża, — uwiedziono go — mówił dalej — zapewniły go przewrotne mnichy, że cesarz dał swe zezwolenie. Inaczejby Benedykt nie posłał tej korony... Kraść ją musieli złoczyńcy!... Opat Aron był duszą wszystkiego... Powiedzcie o tem! Cesarz Henryk szanuje tych przewrotnych zakonników, w Kłunjaku na ołtarzu złożył jabłko, które mu papież ofiarował, obsypuje ich datkami... Tak mu się wywdzięczają... Oni tu wszystkiem... krajem zawładli, zakładają codzień klasztory, mnoży się ich liczba... panują! Biskupów objęli, otoczyli... u króla pierwsi, — a cesarstwu nieprzyjaźni.

Słuchał Guncelin z uwagą.

— Pobożny pan nasz, cesarz Henryk i małżonka jego, Kunegunda, nie dają sobie na nich rzec słowa... Oni też dwoje żyją z sobą obyczajem niemal zakonnym — rzekł, uśmiechając się, Guncelin. — Świątobliwy to pan, ale nie do miecza cesarskiego stworzony... dlatego lada słowiański panek pod nosem mu przywdziewa koronę bezkarnie...

Głową potakiwał Petrek, nie śmiejąc ustami, gdyż zbyt wielką miał cześć dla dostojeństwa cesarskiego,

by rzec, co miał przeciw niemu. Westchnienie tylko z ust mu się wyrwało.

Z tysiąca takich obrazów składał się jeden wielki dnia tego. Obok wesela i triumfu snuła się trwoska i warzyły bezsilne gniewy, ale te ukrywać się i taić musiały. U stołu pańskiego dwaj powołani Jaksowie sprawiali służbę podczaszych, a ile razy który z nich kubek panu podawał, uśmiechał się Bolesław. Drożsi mu byli też, niż przedtem, jako te owieczki zbłąkane, które do stada wróciły.

I nie jeden dzień, ale całe siedem ucztowano tak w Gnieźnie, przy zawsze pełnych stołach, a coraz weselszej myśli. Skarbiec pański stał otworem, bo każdy odjeżdżający, co przybywał się pożegnać, obdarzonym być musiał wedle stanu i dostojeństwa.

Już się miało ku końcowi uczty, a król do Poznania zabierał się powracać, gdy jednego wieczora wezwano ks. Petrka do opata. Ani wątpił, iż gdy wszystkich za wierne służby i dla pamięci dnia tego obdarzano, on także miał otrzymać dowód szczodrobliwości króla. Wiadomo było wszystkim, że przez ręce opata Arona szły ofiary dla duchownych, nadania klasztorom i podarki.

Zastał przełożonego swojego w obszernej izbie, w której stoły założone były kunsztownemi sprzętami, złotemi i srebrnemi naczyniami i sztabami złota, przeznaczonemi do kościołów; kilka kart, na których spisane były nadania dla duchowieństwa ziem i osad, leżały też przygotowane. Opat przywitał go twarzą, jaką miał zawsze.

— Wezwałem was, ojcze — odezwał się — abym wam w imieniu króla podziękował za usługi, jakieście mu oddali. Przeznaczono wam tę ilość złota w nagrodę i... wszystkie koszta podróży...

Ostatnie wyrazy zdawały się tak niezrozumiałe ks. pisarzowi, iż zapytał:

— Podróży!... jakiej podróży?

Opat chwilę pomilczał.

— Miły ojcze — rzekł wkońcu — sądzę, że wam będzie przyjemniej powrócić do Magdeburga, do przyjaciół waszych, niżeli tu dłużej zostawać...

Ks. Petrek pobladł.

— Nie przeczę — odezwał się głosem drżącym — iż mam w Magdeburgu przyjaznych duchownych... Są już moje usługi tu niepotrzebne, lub miałażby wierność moja dla króla być podejrzaną?

Uśmiechnął się opat.

— Ojcze mój — odezwał się spokojnie — nie podejrzewaliśmy was nigdy, wiedzieliśmy od początku, komu służycie i wiarę trzymacie. Zostawiliśmy was na urzędzie tylko dlatego, iż woleliśmy mieć na nim osobę, o której wiedzieliśmy, że się jej strzec mamy, niżeli się obawiać nieznajomego... Dziś, gdy król koronę otrzymał, gdy wszystko odkryte... pocóżbyście dłużej pozostawać mieli? Cobyście im donosili?...

W miarę, jak Aron mówił, stojący Petrek bladł coraz bardziej, drżał i o ścianę oprzeć się musiał, by nie paść.

— Potwarze to są wrogów moich! — zawołał. — Ale Bogu ofiaruję niesprawiedliwe posądzenie... On niech nas sądzi...

To mówiąc, w piersi się uderzył.

Opat Aron, jakgdyby na stole szukał, co dla ks. Petrka było przeznaczone, karty usuwał i przestawiał nagromadzone dary, nie słuchając odpowiedzi. Z głębi wyjął woreczek, rozwiązał go i wyjąwszy zeń zwitki, które Jaksowie odkopali pod drzewem, nic nie mówiąc, na dłoni je podał protonotarjuszowi.

Oczy jego tylko padły na nie, ciężki oddech dobył się z piersi, odpowiedzi nie było. Dowód zdrady był nieodparty. Nierychło pisarz począł bełkotać:

— W sumieniu czysty jestem... służyłem kościołowi i cesarstwu, którym wierność winienem. Jeźli kto zdrajcą, to ci, których pobożny pan łaskami obsypuje, a ci przeciw niemu się zmawiają.

Opat wzgardził odpowiedzią.

— Konie i służba gotowe dla was — rzekł, — za-

bierzcie złoto... Chociście chcieli, nie mogliście nam zła uczynić, a praca było pożyteczną... Więc płaca się wam należy...

To mówiąc, opat posunął bryłę złota i głową skinął na pożegnanie; ks. Petrek zagarnął w połę datek i oddalił się w milczeniu...

IX.

EPILOG.

Lat kilka upłynęło od koronacji króla w ciszy niemal i pokoju. Rzadko na granicach ucierać się było potrzeba. Bolesław mógł owoców trudów swoich używać spokojny, lecz z każdym rokiem siwiał włos na skroni, marszczkami więcej orało się czoło; — wielki król posępniał i smutniał.

Proroczym wzrokiem znać przyszłość gotującą się przeglądał.

Małżeństwo z Odą, które ożywiło i opromieniło dni jego na czas krótki, zaczynało mu ciężyć i niepokoić. Młoda niewiasta płochą była i miłowała rozrywki, — król poważniał i śmiech mu nie był do twarzy.

Szczęście owo wyczerpywało siły, rodziło tęsknotę; przypominały się szczęśliwsze dni pożycia z nieboszczką królową Emnildą, do której Oda wcale nie była podobną. Próżna, dumna, rozmiłowana w piękności swej, dla której szukała wielbicieli, myślała tylko o tem, by występować z przepychem i otoczyć się wrzawą. Zkolei ulubieńców na dworze wybierała i odpychała, a gdy król marszczył się i zżymał, jątrzyła go, okazując tem większą wesołość i lekceważenie.

Choć między nią a poważną i surową Ryksą nie wybuchały spory, walka była ciągłą. Siostrzenica cesarska nie dawała ani uchybić sobie, ani się zepchnąć z należnego stanowiska. Oda usiłowała codzień jej dać uczuć, że ona tu była królową. Dwie niewiasty nie mówiły prawie do siebie, spotykały się tylko publicz-

nie, a gdy wzrok się ich skrzyżował, zdawały się wyzywać wzajemnie.

Tak samo nienawidziła Oda Mieszka, gotowa przeciwko niemu stawić Bezpryma. Królowi, znając słabość jego, nieustannie poddawała dowody przeciwko Mieszkowi, jako był nieudolnym i bezwolnym, sławiąc drugiego z mocy i odwagi. Lecz król milczał i na niewieście szczebiotanie nie zwracał uwagi. Gniewało to królowę, ale starań nie porzucała, pewną będąc, że słowa jej powoli Bolesława zmienią i nawrócą.

Król przeciwnie z wielkiej owej namiętności dla margrafównej coraz bardziej ostygał i obojętniał dla niej. Oddalał się od niej i nie zwierzał myśli swych. Gniewała się Oda, wyrzucając mu, że ją wziął, jak niewolnicę do łoża, nie jako królowę do boku, a Bolesław niemal potakująco się uśmiechał.

Tak płynęły dni coraz cięższe.

Król też więcej teraz, niż kiedykolwiek, zajmował się jakby zabezpieczeniem przyszłości. Ustanawiał straże po zamkach na granicach, Mieszka wysyłał na oglądanie ich, troskał się o rzecz najmniejszą, ogłaszał rozkazy, wpajał miłość sprawiedliwości. Za młodszych dni bohater na polu wojny, — chciał być prawodawcą i gospodarzem w podeszlejszym wieku.

Najuboższy lud pierwszy u niego miał posłuchanie, najmniejsza krzywda, wyrządzona mu, więcej go obchodziła, niż spory o szerokie ziemie i lasy pomiędzy rycerstwem.

Okazując miłość dla Bezpryma i o los jego troskliwość, nie spuszczał król z oka Mieszka, przy każdej zręczności powołując go do boku i głosząc następcą swoim, tak, aby wola jego najmniejszej nie ulegała wątpliwości.

Bezprym, na oko posłuszny, zatajał myśli swe i czekał.

To nieustanne zajęcie, podróże po granicach, sądy, łowy, gościny i przyjęcia trzymały króla napozór w dawnej sile, ale ci, co go otaczali, widzieli jawnie, iż nie tym już był, co dawniej.

Na konia ciężko mu było siadać, myśl wesoła przy biesiadzie przychodziła rzadko, stary Zyg próżno się go starał rozchmurzyć, królowa strojna i jaśniejąca wdziękami nie przyciągała wejrzenia...

Czasem, gdy ktoś ze starych towarzyszów przybył z pokłonem i powieścią o wyprawach dawnych, trochę mu rozjaśnił czoło. Żył tylko przeszłością, a o przyszłości myślał jednej.

Gdy z opatem sam był, pytał go codzień niemal:

— Ostoiż się dzieło moje?... Ma-li Mieszko siłę?... Rycerz jest mężny, lecz czy królem być potrafi?...

Pocieszał go Aron, ale często bardzo, gdy się król przed nim otworzył, ze zdumieniem widział w nim zwątpienie wielkie i jakby widzenie przyszłości groźnej.

Posłowie, żupanowie i rycerstwo, których Bolesław pociągnął ku sobie i miłował, łaski u Mieszka nie mieli! Naprawiać to chciał król, dając synowi ludzi sobie miłych, lecz z tymi zimno się on obchodził. Pasowany niegdyś rycerzem przez cesarza, Mieszko lgnął do obyczaju niemieckiego i Zachód mu się uśmiechał, tak jak Ryksie.

W końcu drugiego roku król zasłabł. Nie była to choroba, — sił mu brakło, życie uchodziło, wyczerpywało się, sam czuł, że gasnął powoli. Nie ogarniał go strach o siebie, lecz o państwo tylko... Śmierć, jako spoczynek, była dlań upragnioną, nękała go troska wielka o przyszłość. I zadumany pytał ciągle:

— Ostoiż się dzieło moje?

Czując się już słabym, król przypomniał, jako po śmierci Mieszka sam się został, zmuszony dobijać się zwierzchnictwa, które mu należało; chciał, by wszyscy wiedzieli wolę ojca ostatnią.

Była znowu wiosna i świat stał w majowych szatach, gdy jednej nocy na niebiosach zdumiony lud i przerażone duchowieństwo ujrzało wschodzącą wielką gwiazdę nieznaną, od której ognista jakby miotła sterczała...

Zjawisko to zwiastowało naówczas klęskę... a duchowni pocichu opowiadali, iż zwykło się było okazy-

wać jako oznajmienie o zgonie mocarzy. Chrześcijanie biegli do kościołów, reszta pogan na uroczyskach składała ofiary, błagając bogów o odwrócenie klęski.

Gdy król ujrzał tę gwiazdę na niebiosach, drugiego dnia rozesłał gońców do władyków i przedniejszych panów, do rady i wodzów, ażeby się do Gniezna zbierali.

Jednemu opatowi Aronowi wiadomem było, co ów wielki wiec miał znaczyć, za jego bowiem radą i przyłożeniem się król zjazd zwoływał. Czuł się już codzień słabszym, oczy mu wpadały, jakby je siła jakaś do wnętrza wciągała, policzki wychudły, ręka drżała, gdy był spokojnym. W gniewie tylko odzyskiwał moc dawną, lecz gdy ten minął, opadał więcej, niż zwykle.

Nie było innego lekarza nad Włocha, benedyktyna, który coś chwycił z salernitańskiej mądrości; tego sprowadzono, aby radził i dawał królowi leki z ziół, które sam przyrządzał; te chwilowo zaledwie go pokrzepiały. I jak po gniewie, tak po nich słabł Bolesław więcej.

Gdy na dzień zjazdu udać się miał do Gniezna, przywiedziono mu czarnego konia, zaśmiało się do niego oko pańskie i z pomocą dwu komorników dosiadł go raźno, lecz trzy zaledwie mile ujechawszy, spoczywać musiał. Obok króla, który jechał dworem, znajdował się Mieszko; nie było przykazania dla Bezpryma, który się zżymał.

Ze wspaniałością ruszono do starego grodu, gdzie już zgromadzonych gości Stoigniew od dwu dni przyjmował.

Spodziewano się uroczystości wielkiej, o której zawczasu różne wieści chodziły. Mówiono nawet, że za żywota rządy chciał zdać na Mieszka i kazać go koronować, aby mógł się przypatrzeć, jak rządzić będzie.

Pierwszego wieczora, choć podróżą zmęczony, odżył Bolesław wśród swoich i zasiadł do wieczornej uczty, jak za lepszych czasów, ciesząc się, śmiejąc, a kubki każąc napełniać, ale gdy legł, uczuł się ciężkim. Na następny dzień wstał słabszym, dopóki mnich, będący

u jego boku, napoju z ziołami wzmacniającemi mu nie dał.

Wszyscy wtedy i król sam w poczcie wspaniałym, koronę wdziawszy, z berłem w ręku, miecz wielki każąc nieść przed sobą, udał się do katedry, u której drzwi duchowieństwo nań czekało. Arcybiskup mszę świętą odprawiał, której Bolesław słuchał, u grobu męczennika klęcząc.

Gdy się nabożeństwo ukończyło, poprowadzono króla do tronu, stanął na stopniach jego Mieszko, niżej dostojnicy i dwunastu panów rady... cisza wielka się stała, aż przemówił pan.

Mówił, jako namaszczony władca, iż czując się zgonu bliskim, chce, aby królestwo zamieszane nie było i aby pod jednym zostawało panem... którym był wyznaczony Mieszko. Prosił o wierność synowi a posłuszeństwo należne, zalecając mu, aby sprawiedliwie i pobożnie rządził, ubogi lud otaczał opieką, krzywd jego nie cierpiał, czujnie granic bronił, nieprzyjaciela odganiał — i co on zjednoczył krwią swoją i ludu a trudem wielkim, w całości utrzymał.

Słysząc te słabnącym głosem wymawiane wyrazy, starsi płakać zaczęli, a gdy król prosił ich, by stali przy synu jego, okrzyknęli jako jeden mąż, przyrzekając wierność i poszanowanie.

Mieszko, poklęknąwszy, ucałował rękę ojcowską, a duchowni do ołtarza szli i hymn dziękczynny zanucili.

Tak się skończył dzień uroczysty, ucztą smutną niemal, bo król pod wieczór zasłabł i owładnął nim strach jakiś nagłego skonu, a chciał, jak ojciec, w Poznaniu umierać i leżeć obok niego.

I gdy zebrani ucztowali, król odszedł zawczasu, Mieszka im, jako pana w swojem miejscu zostawując, który posępnie i nieochoczo się z gośćmi zabawiał.

Pan był męstwa wielkiego i obyczajów gładkich, lecz nie miał serca do rycerstwa swojego, ani ono do niego i starzy w nim rubasznego ojca, jak w Bolesła-

wie, nie znajdowali. Niektórzy, zdala nań patrząc, już wówczas Niemcem go przezywali.

Nie było więc u stołu wczorajszej ochoty, a stary król legł na posłaniu.

Gdy nazajutrz rano przywiedziono Bolesławowi konia, a siadać nań miał, ledwie się dźwignął, uśmiechem swoich pozdrowił i jakby pożegnał.

Patrzali nań wszyscy niemal ze łzami i wiedli go okrzykami za okopy, niektórzy u konia idąc, nogi mu i kraj szaty całując.

Trzeciego dnia dopiero, wolno jadąc, stanął król nad Cybiną. Tu zsiadłszy u dworca, wprost na łoże poszedł, znużonym się czując nad miarę.

Stał u wezgłowia opat i Sieciech stary; Bolesław spojrzał na nich.

— Gdzie to te czasy, mili moi, gdym ja trzy dni i trzy nocy z konia nie zsiadając, nie zrzucając zbroi, ledwie kawałkiem mięsa i kubkiem kwaśnego piwa grzeszne ciało pokrzepił, a czułem się silnym i ręka mi nie zadrżała!...

Zamilczeli wierni towarzysze.

Weszła królowa z wesołością na twarzy, ale ją odprawił nazad, mówiąc, że spoczywać miał. Od tego dnia król nie wstał i mimo rad a leków mnicha gorzej się czuł coraz, wiedząc, że śmierć nadchodzi.

Trwoga ogarnęła jednych, niepokój drugich, niecierpliwość innych; zawrzało na grodzie. Gromadka wiernych już łoża królewskiego nie opuszczała. Przybył z Gniezna Stoigniew, siedział nieodstępnie opat, służył Sieciech... Kiedy, niekiedy wsunął się Bezprym, popatrzał, a nie otrzymawszy słowa — odchodził. Królowę też Odę przyjmował Bolesław milczeniem obojętnem, co ją niemal do gniewu pobudzało, bo smutną być nie umiała. Smutek jej w złość się obracał.

Dnia 15 czerwca król chwilami przytomnym był, a niekiedy mówił tak dziwnie, jakgdyby snem jakimś i marzeniem był napastowany. Słuchali przytomni z trwogą i podziwieniem. Nie mówił bowiem o niczem, tylko o wojnie, obronie kraju, o sprawiedliwości i tem,

co w życiu dawniej go zaprzątało. I ta mowa chorego zdawała się silniejszą a piękniejszą, niż gdy cale był zdrowym. Szeptem się ona kończyła i snem głębokim, w czasie którego stali wszyscy nieporuszeni, niemi, nie śmiejąc tchnąć, a nie mogąc go opuścić.

W dniu następnym Bolesław, choć słabszy, poznawał wszystkich, mówił przytomnie, z duchownym o sumieniu swem radził, wziął ostatnie błogosławieństwo, a potem znowu półsenny mruczał zaledwie zrozumiałemi wyrazy.

Nikt już nie miał najmniejszej nadziei. We dworze panował niepokój coraz większy. Oda, której król słusznie opisał wiano, pocichu skarby swe zbierać i ściągać nakazała. Oczyma suchemi patrzała na małżonka, nie żałowała go wielce, ale gniewała się nań, że umierał, zawód jej czyniąc.

Trzeciego dnia zbudził się król rzeźwiejszym. Był to niemal cud; zażądał napoju, mnich mu podał lek ów wzmacniający, lecz ten już mu obrzydł, frankońskiego wina zapragnął bez żadnej przymieszki i zaprawy. Dano mu go, napił się chciwie i orzeźwiał. Podano mięso, do ust je wziął, pożuł i wyrzucił. Radowali się niektórzy, mówiąc mu, iż zdrowie powraca, on im odpowiedział, że śmierć nadchodzi... Jakoż ku wieczorowi dnia 17 czerwca znowu przyszły sny i widzenia.

Strwożyli się ci, co słuchali.

Drzwi sypialni były zamknięte, nakazał król słabym głosem, ażeby je otwarto i żeby wszyscy, ktokolwiek zapragnie pożegnać pana swojego, był przypuszczonym. Biegła więc służba, dając znać po grodzie i kto chciał, cisnął się do królewskiego łoża. Stali już około niego Oda królowa, Mieszko z Ryksą i małym Kazimierzem, Dobromir i Bezprym, dwunastu panów i wojewodów okalało go.

Sieciechowi kazał pytać, czyliby kto nie miał doń żalu i prośby. Przystępowali niektórzy, ale tylko z bólem i płaczem. Przypominając, powoływał innych sam i jeszcze ich obdarzał.

Widząc zgon nadchodzący, z płaczem się odezwał Sieciech, aby król wydał rozkazanie, jak chciał i gdzieby go pochować miano, ile dni obrzęd miał trwać i jaką żałobę wdziać polecał.

— Nie troszczę się, jak i gdzie mnie położycie, zdaję to na miłość waszą. Z ojcem spocząć chcę... Uczcicie mnie lepiej, niż pogrzebem, spełnieniem myśli i pragnienia mojego około państwa, którem życiem mojem budował, krwią lepił... niech nie odejdzie od potomstwa korona, niech kwitnie i rośnie, co zasiałem!...

Zawołali wszyscy, iż życia też dla rodu jego i państwa dać są gotowi, a wołanie powstało wielkie, wśród którego: ojciec i pan nasz... brzmiało.

Gdy się uciszyło, król miał oczy zamknięte; wśród ciszy ci, co bliżej stali, słyszeli tylko, jak mówił jeszcze:

— Widzę... widzę przyszłą kraju tego dolę... Stoi ona przed oczyma moimi... Duch mój przegląda przyszłość... Kwitnącym go zostawiam i spokojnym, — niezgoda i waśń rozerwą go i zakłócą... Krwi wiele, drogiej krwi wytoczy się w wojnach bratnich, przyjdą klęski srogie, wrogowie najdą i spustoszą. Ród mój i potomstwo widzę wygnane, z pokorą przytułku żebrzące u obcych, u nieprzyjaciół, którychem miał pod nogami mojemi... Rozszarpią oni państwo, upadną krzyże, spustoszeją świątynie pańskie, swawolne kupy rozpustować będą na gruzach... krew i mord, płomienie i zgliszcza!...

Król ręką oczy zasłonił.

— Gdybym nie miał umierać — jęknął — widzenie toby mnie dobiło!...

Umilkł na chwilę i uśmiech mu wszedł na usta.

— Wschodzi nowa jutrzenka!... słyszę śpiew radosny i witanie! Ród mój powraca, spokój z nim i Boże błogosławieństwo... Spokojny umieram...

To mówiąc, westchnął, ręka mu opadła, otworzył oczy, wzywając duchownych, co go otaczali i o modlitwy prosząc; klękli wszyscy u łoża... Usta mu się poruszały jeszcze chwilę, potem zwolna przymknęły się

powieki, twarz blednąć poczęła, otwarły wargi, uleciała dusza z oddechem ostatnim.

Dał się słyszeć krzyk przerażający, którym zamek, gród i miasto rozległo się całe:

— Król nie żyje.

Z wielką wspaniałością, jaka przystała królewskim zwłokom, złożono ciało Bolesławowe obok króla na tumie w Poznaniu. Zbiegł się kraj cały na pogrzeb tego, który dwadzieścia pięć lat ciężkiego trudu poświęcił stworzeniu państwa, wprzódy duchem ujętego, niżeli ciałem jednem się stało.

Ze starych kronik, których karty zachowały podania owych czasów, wiadomo, jak powszechny żal był po Bolesławie.

„Przez cały rok — pisze Gallus — nikt w Polsce biesiady nie sprawiał, nikt ze szlachty, mężczyzna, ani białogłowa; ani dźwięku gęśli w gospodach, ani piosnek dziewczęcych i wesołości na ulicach słychać nie było. Wszyscy przez rok tak się zachowywali... ale płacz po Bolesławie mężów szlachetnych i kobiet nie skończył się aż z ich życiem. Ze zgonem jego pokój, wesele, obfitość na długo z Polski ustąpiły".

* * *

O losach dwu braci Jaksów niewiele dopowiedzieć nam pozostaje.

Z ciężkiej próby życia w młodości wyszli oni gorzkiem doświadczeniem zahartowani, zbrojni męstwem i stałością umysłu. Wyrośli na mężów godnych zacnych przodków swoich.

Andruszka, który płacąc przywiązanie Greczynki, wkrótce ją zaślubił, niedługo domowego pilnował ogniska, w drugim roku zachorzała i zmarła mu żona; owdowiawszy, nie chciał w powtórne wchodzić śluby. Życie mu też spokojne na wsi nie smakowało; — puścił Jurdze Gródek Zielony, a sam powrócił do pancernych, do życia wojskowego, do którego był nawyknął.

W kraju, zewsząd zagrożonym wojną, rąk dzielnych było potrzeba.

Jurga, ożeniony z Teodorą, córką Sieciecha, osiadł w Jaksowych Borach, ale i ten, choć szczęśliwy doma, ziemianinem spokojnym długo być nie umiał. Obu rycerski chleb był jednym, którym wyżyć mogli.

Dopóki w kraju ciszej było, siedział przy żonie; zaledwie znać dano o nieprzyjacielu, ruszał w pole, wytrwać nie umiejąc na ławie, gdy inni szli do boju. Zaraz też po śmierci tego, którego imienia postrach trzymał nieprzyjaciół zdala i po zgonie pobożnego cesarza Henryka, który rokiem wprzódy zmarł jeszcze, nowy cesarz Konrad wypowiedział wojnę sąsiednim plemionom słowiańskim i Polsce, a smutne przepowiednie umierającego aż nadto prędko się sprawdziły.

Oto Bezprym zbiegł naprzód do wuja na Węgry, potem u cesarza poszedł szukać poparcia swoich praw pierworodztwa. Słabe znalazłszy poparcie na Węgrach, które dla siebie wojować i zawojowywać chciały, w cesarzu zyskał opiekuna: Polska została zewsząd napastowaną, zdobycze Bolesławowe wydzierano jej od granic dalekich. Mieszek z całem męstwem swem napadom się obronić nie umiał.

Niemcy, z którymi walczyć był zmuszony, opasywali go, wdzierali mu się wpływem i zabiegami w dom jego własny.

Zaraz po zgonie króla opat Aron, który już dawnego zachowania i łaski u Mieszka nie miał, może dlatego, że Bolesław nazbyt mu ufał i umiłował go, ustąpił ze dworu, powracając do Tyńca.

Wprędce potem zjawił się ks. Petrek na dworze królowej, będąc jej mocno zaleconym, i ofiarował swe pisarskie usługi. Napozór skromne bardzo pełniąc obowiązki, choć czynności jego jawnemi nie były, krzątał się pilnie, służąc tym, którym był duszą i ciałem zaprzedanym. Z jego namowy królowa jeszcze za życia męża, z obawy i wzgardy dla Polaków, otaczać się zaczęła Niemcami, których dwór codzień liczył więcej, tak, że wkońcu sami niemal na nim zostali.

Trudną dla Mieszka była walka z tymi, co w jego radzie i domu mieli najgorętszych zwolenników i pokątnych donosicieli.

Smutne nastały czasy, których brzemienia spadkobierca króla Bolesława podźwignąć nie mógł. W zamęcie codzień się zwiększającym, wśród klęsk, które każdy dzień przynosił, jasnej myśli do wyjścia zabrakło, — troska i boleść resztę przytomności odjęła.

Niesłusznie gnuśnym Mieszka nazwano, lecz nieudolnym był w istocie do utrzymania nawet tego, co ojciec stworzył i zdobył. W gruzy rozsypało się to wielkie dzieło, a nawet nawrócenie Polski, dwu panowaniami utwierdzone, zachwiało się rozprzężeniem ogólnem.

Królowa, chcąc mieć lud za sobą, gdy możnych odepchnęła, wyprawiała mu igrzyska, wśród których stare i pogańskie pieśni i igrzyska wracały.

Przyszła chwila, gdy po śmierci nieszczęśliwego Mieszka, po ujściu Kazimierza, nadziei zwycięstwa i środków nie było, kraj cały został przez pogan, wybiegłych z lasu, zalany. Kościoły burzono, wywracano zamki, chrześcijan mordowano. Oba Jaksowie wrócić musieli na swój gródek bronić ostatka mienia, życia swego i rodziny.

Z garstką wiernej czeladzi i resztką wojska swojego zamknęli się w Jaksowych Borach, gotując się do rozpaczliwej obrony. Dnie i noce czuwać musiano nieustannie w niepewności, kiedy te tłumy, co się po całej Polsce na łup i zdobycze puściły rozpasane, przyjdą pod gródek, ażeby go zrównać z ziemią.

Niemal cały ród Jaksów zgromadził się tu do nich, aby sił rozproszonych nie wystawiać na niebezpieczeństwo. Inne zamki opuszczone stały na łasce Bożej, tylko Jaksowych Borów, w których znaczne skarby zgromadzono, bronić postanowili. Do mocniejszego też, niż gdzie indziej, oporu gotowali się zrozpaczeni, tak, że niewiasty nawet sposobiły się do walki i gotowe były przywdziać zbroje.

Jurga i Andruszka mieli czas usypać okopy, wysta-

wić ostrokoły i zaborole, zaopatrzyć gródek w żywność dla dosyć licznej załogi i obmyśleć dobrze, co czynić mieli, aby rodzinę swą obronić.

Nierychło też gromady owe rozwścieczone przeciw chrześcijanom ważyły się napaść na gród, pilno strzeżony. Opatrywano go zewsząd, podsyłano ludzi, aby załogę ku sobie przeciągnąć, lecz Jurga i Andruszka oko mieli na wszystko. Nie ważył się ów tłum bezładny rozpocząć daremną walkę z rycerstwem. Sądzono, że wkońcu głodem i niedostatkiem ich zmogą.

Tak upłynęło kilka miesięcy w życiu wśród nieustannej trwogi. Kiedy niekiedy śmielszy ktoś w kilkadziesiąt koni wypadał w lasy za zwierzyną; w pola, z których zabierano wyrwane naprędce zboża. Choć gęb do karmienia było wiele, starczyło jednak od głodu.

Czasem przyciągały gromady i szły niemal pod sam gród, przypatrując mu się; odpędzano je strzałami i nie ważyli się kusić o zdobycie. Wieści zaś od Poznania, od Krakowa nie mieli Jaksowie, bo tam Czesi pustoszyli ogniem i mieczem ludność, wypędzali tysiącami, przesadzając na swoją ziemię.

Nie było pana, nie było Boga, nie było życia... pustynia jedna i zgliszcza, a wśród nich wałęsające się tłumy upojone.

Łakomstwo na zdobycz, której się u Jaksów spodziewano, wreszcie rozproszonych napastników w jedną zbiło gromadę. Kilka tysięcy czerni, najrozmaiciej zbrojnej, bez wodzów prawie, bez ładu, strasznej liczbą tylko, wylało się jednego wieczora jesieni pod gród Jaksów i całą dolinę, wśród której leżał obozowiskiem, zajęło.

Niewiasty, patrząc z wietrzników domostw, płakały, licząc i nie mogąc przeliczyć tych tłumów, których wrzaski śmierć się zapowiadać zdawały. Niektórzy, bliżej podbiegając, usiłowali przerazić groźbami i łajaniem. Nie strwożyli się Jurga i Andruszka, a ludowi swojemu za okopami siedzieć cicho nakazawszy, czekali.

Nazajutrz o świcie rzuciła się tłuszcza chmarą wiel-

ką na ostrokoły, usiłując je podpalić lub wywrócić, ale taka chmara strzał i oszczepów posypała się, gdy się zbliżyli, tyle trupów padło, że napastnicy cofnąć się musieli.

Więc leżeć postanowili obozem i wytrwawszy dni kilka, gdy żywności zasposobionej braknąć zaczęło, po naradzie w połowie się rozeszli, zostawując część tylko, aby gródka pilnowała.

Tejże nocy Jurga z Andruszką, na śpiących wyskoczywszy niespodzianie, okrutną w nich rzeź sprawili, a gdy się gromady chwyciły do obrony, mieli czas na gród się schronić. Zwiększyło to zajadłość daremną. Ze dniem rzucili się oblegający na wał znowu i walka u ostrokołów zawrzała wściekła. Lano ukrop, walono kamienie i kłody, trupem usłano dokoła okopy, a z południa cofnęli się napastnicy i położyli w dolinie spoczywać. Nie dali im Jaksowie spoczywać, nawet ran obwiązać, znowu z gródka czyniąc w biały dzień wycieczkę. Choć liczbę mieli znacznie mniejszą, lecz ludzi do boju nawykłych, dobrze zbrojnych, z których każdy szedł na dziesięciu, ufając żelazu, jakiem był odziany!

Bronili się szczęśliwie bracia nie tygodni, ale miesięcy kilka, jakiegoś końca, jakiegoś miłosierdzia Bożego oczekując. Gdy się to już zbyt długo przeciągnęło, uradzili wkońcu, by zabrawszy na wozy żony i dzieci, dostatek i mienie, opasać dokoła swoim ludem i tak z zamku wyciągnąć, obronną ręką przerzynając się za Wisłę, gdzie spokój miał panować. Już niemal postanowionem to było, i dnia tylko wyczekiwano pogodnego, a Andruszka i Jurga, srodze bolejąc nad swą ojcowizną, jeszcze się ociągali, gdy nadbiegł mały oddział synów władyków i żupanów, który im zwiastował, że Kazimierz z posiłkami cesarskiemi znowu szedł ład i pokój w Polsce przywracać.

Na to więc zeszło to potężne Chrobrego państwo, że Niemcy zbawcami jego być mieli, że w nim na nowo wiarę szczepić, prawo stanowić, kościoły stawiać i uszczuplone granice umacniać było potrzeba.

Skarby wszystkie do Czech uprowadzono niezbożnym łupem, inne Ryksa, uchodząc, powiozła z sobą, rozerwali je swoi i cudzy, nie pozostało nic, nad pamięć wielkiego króla, który się w potomku nie odrodził.

Jaksowie byli pierwszymi, co stanęli przy wnuku jego, pomagając do odbudowania w gruzy rozsypanego królestwa.

Stał złupiony i zburzony Poznań, pustką i popieliskiem leżało Gniezno, w Gdeczu żywy mieszkaniec nie został, — w łykach ich do Czech uprowadzono.

Andruszka i Jurga musieli o domowych sprawach zapomnieć, aby służyć młodemu królowi, któremu sług zabrakło, gdyż wszystko znowa poczynać musiał.

Oba też doszli do dostojeństw znacznych, do majętności wielkich i ród ich później się rozmógł a rozmnożył na liczne gałęzie.

Majętność ich i potomstwo, które od włości różne nazwiska przybierało, we wszystkich prawie ziemiach rzeczypospolitej znaleźć można w wiekach późniejszych. Wszyscy byli niemal ludzie rycerscy lub w kościele piastujący wysokie dostojeństwa, mało który spokojnie na zagonie usiedział i koło roli się zabawiał.

W radzie i w polu miejsce ich było, a wszyscy się odznaczali, jak przodkowie ich, krwią gorącą i umysłem żywym, dwojgiem przymiotów, które sprawiają, że z niemi łacno nieszczęśliwi na głowę padają, a szczęśliwi wysoko idą do góry. Urósł też ród, aż póki rzeczy ziemskiej kolej nań przyszła, by z innemi razem na stronę ustąpił.

KONIEC

$+ \frac{Edo}{d}$